

MIKE CAREY

PRZEBIERAŃCY

Przełożyła Paulina Braiter

Wydawnictwo MAG

Warszawa 2009



Tytuł oryginału:

Dead Men's Boots

Copyright © 2007 by Mike Carey

Copyright for the Polish translation

© 2009 by Wydawnictwo MAG

Redakcja:

Joanna Figlewska

Korekta:

Urszula Okrzeja

Ilustracja i opracowanie graficzne okładki:

Jarek Krawczyk

Projekt typograficzny, skład i łamanie:

Tomek Laisar Fruń

ISBN 978-83-7480-143-0

Wydanie I

Wydawca:

Wydawnictwo MAG

ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa

tel. (22) 813-47-43, fax (22) 813-47-60

e-mail kurz@mag.com.pl

www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor:

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk Sp. z o.o.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

tel. (22) 721-30-00

www.olesiejuk.pl

Druk i oprawa:

drukarnia@dd-w.pl

Mojemu bratu, Dave'owi, z miłością.

Jesteś tam, mały?

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję Jockowi za pierwszą lekcję zapisu perkusyjnego. Jeśli coś pokręciłem, to nie jego wina. Dziękuję Ade i Joelowi za pokazanie mi dziwnych i tajemniczych zakamarków Londynu, który to proces trwa zresztą nadal. Dziękuję Gabrielli Nemeth i Nickowi Austinowi za zredagowanie i korektę tego monstrum, a także Meg, Darrenowi i George'owi za niezłomne wsparcie.

Spis treści:

Niezbyt często bywam na pogrzebach, a kiedy już się zjawiam, to zazwyczaj albo pijany w trupa, albo nafaszerowany ziołową bombą ogłuszającą w rodzaju salwinoriny, do tego stopnia, że zaczynam tracić czucie od stóp w górę; przypomina to stopniowe wygaszanie centralnego układu nerwowego. Dziś byłem trzeźwy jak świnia, a to dopiero początek moich zmartwień. Na cmentarzu panował przeraźliwy ziąb - tak mocny, że czułem go nawet przez rosyjski wojskowy szynel (nigdy nie walczyłem, ale szara piechota to stan umysłu). Słońce wciąż tkwiło w zimowej przechowalni, porywisty wschodni wiatr szorował mi twarz ostrym pilnikiem, a poczucie winy atakowało umysł niczym ostry drut, powoli przegryzający się przez bryłę lodu.

- Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz - powiedział ksiądz, a przynajmniej do tego właśnie sprowadzały się jego słowa.

Na październikowym mrozie jego włosy i skóra były jasne jak popiół. Żałobnicy niosący trumnę ruszyli do przodu w chwili, gdy wiatr znów powiał mocniej i osłaniający ją całun wydał się jak żagiel. Czekał go jednak krótki rejs: wystarczyły dwa kroki, by znaleźli się obok równej, prostokątnej dziury w ziemi. Tam pochylili się równo jak jeden mąż i ułożyli trumnę na dwóch parcianych pasach, przytrzymywanych przez czterech rosłych grabarzy. Ci jednocześnie ruszyli naprzód i trumna bezszelestnie zniknęła w ziemi.

Spoczywaj w spokoju, Johnie Gittingsie. A przynajmniej śmiertelna

część ciebie: co do reszty, będziemy musieli poczekać i zobaczyć.

Może dlatego właśnie wdowa po Johnie, Carla, stojąca naprzeciw mnie w eleganckiej żałobie, sprawiała wrażenie tak wyczerpanej i spiętej. Jej kostium uzupełniała broszka ozdobiona pękiem czarnych jak noc piór. Gdy tak na nią patrzyłem, przez moment wyobrażałem sobie, że spoglądam na wszystko z wielkiej wysokości, i czerń jej sukni stała się czernią asfaltowanej drogi, na środku której spoczywały szczątki martwego, zabitego przez samochód ptaka.

Ksiądz znów zaczął, wiatr jednak porywał jego słowa i rozdawał na chybił trafił pośród nas tak, że każdemu przypadła zaledwie mizerna cząstka mądrości i pociechy. Zatopiony we własnych myślach, skupionych na śmiertelności i zmartwychwstaniu bez możliwości odkupienia, rozejrzałem się po twarzach innych żałobników. Przypominało to „Who is Who” londyńskich egzorcystów. Byli tam między innymi Reggie Tang, Therese O'Driscoll i Greg Lockyear, przedstawiciele Kolektywu z Tamizy; Burbon Bryant i jego nowa żona Cath, o rysach ostrych jak brzytwa; Larry Tallowhill i Louise Beddows - Larry sam wyglądał jak chodzący trup, jego białe kości policzkowe prześwitywały przez skórę niczym płomień przez papierową latarnię; Bill Schofield, znany z powodów zarówno skomplikowanych, jak i obscenicznych, jako Jonasz; Ade Underwood, Sita Lovejoy, Michelle Mooney - wszystkie z pięknego Południa (czyli z okolic dzielnicy Elephant & Castle), a pośród „i innych” dziewczyna - niezwykle ładna, niezwykle młoda, o sięgających ramion niemal białych włosach, która przyglądała mi się podczas całej ceremonii. Jej twarz miała w sobie coś znajomego i niepokojącego, ale nie potrafiłem tego określić, i niepewność ta bynajmniej nie poprawiała mi nastroju. Podobnie jak

nieobecność jedynej londyńskiej egzorcystki, którą miałem nadzieję ujrzeć na tej imprezie. Ale też Juliet Salazar nigdy nie należała do osób przesadnie sentymentalnych. Szczerze mówiąc, wątpię, by znalazła w sobie jakikolwiek sentyment, nawet gdyby jej za to zapłacono.

Ponieważ byliśmy na cmentarzu, zjawilo się też sporo zmarłych. Zebrali się w grupki wokół nas, w bezpiecznej odległości, wyczuwając zgromadzoną tu moc i to, co mogłaby z nimi zrobić, ale byli tak zląknieni jakichkolwiek wrażeń, że nie mogli się powstrzymać. Trudno było nie zerkać na ową żalospną zbieraninę, choć patrząc na duchy, często zachęcamy je, by podeszły bliżej, zupełnie jakby nasza uwaga działała jak przyciągający je magnes. Były ich tu dziesiątki, może nawet setki, stłoczonych tak ciasno, że nakładały się na siebie, ich głowy przenikały przez kończyny i torsy innych, byle tylko lepiej się nam przyjrzeć, a może też obejrzeć nowego. Najnowsze duchy wciąż nosiły na sobie ślady śmierci: wychudzone ciała, nogi i ręce wyginające się pod osobliwymi kątami, a w jednym przypadku wielką ranę na piersi, niemal na pewno stanowiącą pozostałość po kuli. Mieszkańcy o dłuższym stażu albo nauczyli się dosyć, by ukryć pamiątki po śmierci, albo też dosyć zapomnieli, i bardziej przypominali siebie samych za życia. Inni powoli dogasali i rozpływali się, tak że co paskudniejsze szczegóły całkiem zniknęły.

Ksiądz najwyraźniej nie dostrzegał licznie zgromadzonych słuchaczy. Może i dobrze, bo biorąc pod uwagę jego wiek i mizerną kondycję, mógłby nie znieść wstrząsu. Jednakże ludzie uprawiający mój zawód nic nie mogą poradzić na swój szósty zmysł, nie da się go włączać i wyłączać wedle woli. W pewnym momencie mowy pogrzebowej Burbon Bryant

sięgnął do kieszeni i wysunął z niej książeczkę zapalek, którą zawsze tam nosi - to jego narzędzie, służące do poskramiania mieszkańców niewidzialnych królestw, tak jak moim jest prosty metalowy flet („Clarke's Original” w tonacji D). Położyłem mu dłoń na ramieniu i pokręciłem głową.

- Nie teraz - wycedziłem z naciskiem samym kącikiem ust.

- Wypalę tylko parę sztuk, Fix - wymamrotał. - Reszta ucieknie jak spłoszone gołębie.

- Jeśli to zrobisz, złamię ci szczękę - odparłem pogodnie.

Burbon obdarzył mnie zaskoczonym, urażonym spojrzeniem, właściwie odczytał wyraz mojej twarzy i schował zapalki.

Czemu nie upiłem się przed przyjściem? Sądząc po zebranych wokół twarzach, nie byłbym jedyny. Egzorcyści często sięgają po wódkę, by uciszyć swój zmysł śmierci, wielu z nich używa też speedów, kiedy chcą go wyostrzyć. Ale ja starannie dobieram chwile, kiedy sięgam po sztuczne wsparcie: dziś miałbym wrażenie, że próbuję się ukryć przed czymś, czemu się wstydzę stawić czoło, a nie jedynie stępiam nieprzyjemne bodźce. Kiepski precedens.

Starłem się jak najmocniej zdekcentrować, patrząc poprzez zbiorowisko zmarłych w stronę wysokiego, cmentarnego ogrodzenia z kutego żelaza, zwieńczonego wybitnie niechrześcijańskim drutem kolczastym. Nawet tam jednak nie znalazłem wytchnienia: demonstranci z Tchnienia Życia napierali na pręty niczym turyści w zoo, wykrzykując wyzwiska pod naszym adresem. Na szczęście staliśmy dość daleko, by nie dało się ich zrozumieć. Życiowcy, jak nazywamy ich lekceważąco, to radykalni obrońcy praw zmarłych. Dla nich my, duchołapy, jesteśmy tym

samym, co dla wiernych katolików lekarze aborcjoniści. Zawsze pojawiają się na pogrzebach egzorcystów, jeśli tylko zważą okazję. Najpewniej ksiądz bądź jeden z grabarzy potajemnie z nimi sympatyzował i przekazał informację.

Ceremonia powoli dobiegała końca. Carla rzuciła garść ziemi na trumnę męża, parę osób ustawiło się w kolejce, by uczynić to samo. Potem grabarze zaczęli na dobre machać łopatami. Teraz, gdy pokłoniliśmy się już rytualnie obrzędowi orania ziemi, mogliśmy się rozejść, odczekawszy przyzwoitą chwilę. Carla tuż przed pogrzebem odwołała planowaną stypę w swoim domu w Mill Hill, nie podając zbyt jasnych powodów, a sam pogrzeb, który ozdobione czarną obwódką zaproszenia zapowiadały na trzecią, został bez wyjaśnienia przesunięty na wpół do drugiej. Może dlatego Juliet się nie zjawiała.

W chwili, gdy już sobie gratulowałem, że łatwo mi się upiekło, krzyk od strony bramy głównej sprawił, że odwróciłem się w tamtą stronę. Jakiś człowiek biegł ku nam żwawym krokiem, dziwnie kontrastującym z nieskazitelnie skrojonym włoskim garniturem. Zazwyczaj ludzie nie wkładają ciuchów od Enzo Tovaré do joggingu, bo pot i błoto nie wpływają zbyt dobrze na delikatne szwy.

Pod innymi względami ów spóźnialski także wyglądał nietypowo. Kasztanowe włosy zaczesał do tyłu w staroświeckim stylu, przypominającym Errola Flynna, miał też pasującą do niego hollywoodzką twarz - owoc albo wspaniałych genów, albo pracy świetnego chirurga plastycznego. Na oko liczył sobie trzydziestkę, ale coś w jego rysach przywodziło na myśl albo przedwczesną dojrzałość, wynikającą z bogatych doświadczeń, albo też wewnętrzny spokój i powagę. Wyglądał

staro jak na swój wiek i było mu z tym całkiem do twarzy.

A w dłoni trzymał złożoną kartkę papieru, którą unosił tryumfalnie, demonstrując wszem wobec. To plus eleganckie ciuchy sprawiło, że zważyłem w pierwotne założenie, że to jeden z Życiowców, próbujący zakłócić uroczystość ogłuszającą petardą albo workiem z farbą.

Kiedy znalazł się między nami, zwolnił, i gdy mnie mijał, zauważyłem, że wcale nie dyszy, mimo szybkiego biegu. Zastanawiałem się, czy do ćwiczeń także wkłada włoskie płótna.

- Pani Gittings - rzekł, wręczając papier Carli. - To nakaz wydany dziś rano przez sędziego Tilneya z sądu dzielnicowego w Hendon. Zechce pani przeczytać?

Carla wytrąciła kartkę z dłoni mężczyzny, który sięgnął szybko, by ją złapać, nim wyląduje w grobie.

- Niech pan stąd idzie, panie Todd - powiedziała lodowato. - Nie ma tu pan nic do roboty. Absolutnie nic.

- Pozwolę sobie się nie zgodzić - odparł uprzejmym tonem facet we włoskim garniturze. Rozłożył kartkę i zademonstrował Carli. - Wie pani, co tu robię, pani Gittings, i dlaczego nie mogę na to pozwolić. To wszystko jest nielegalne. Nakaz zabrania pani grzebania doczesnych szczątków świętej pamięci Jonathana Gittingsa i nakazuje pojawienie się w...

Nagle zabrakło mu pary. Patrzył na grób i wyraźnie dotarło do niego, że jest już zasiedlony i do połowy zasypany ziemią. Może na sekundę stracił wątek: wystrojony, z nakazem w rękę, i wszystko na próżno! Potem ponownie złożył nakaz i zdecydowanym gestem wsunął do kieszonki na piersi. Minę miał poważną.

- Najwyraźniej przyszedłem za późno - oznajmił. - Miałem wrażenie, że ceremonia ma się odbyć o trzeciej. Z pewnością to właśnie mi powiedziano, kiedy dziś rano zadzwoniłem do zakładu pogrzebowego. Może w ostatniej chwili przesunięto godzinę? - Carla zarumieniła się, otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale Todd gestem poddania uniósł obie ręce. - Nie zamierzam przerywać pogrzebu, który już się toczy, i przepraszam za zakłócenie powagi chwili. Gdybym zjawił się przed pogrzebem, miałbym obowiązek zapobiec mu. Teraz... wrócę do siebie i rozważę inne dostępne środki. Wkrótce znów porozmawiamy, pani Gittings, i może się pani spodziewać nakazu ekshumacji...

Carla wydała z siebie bolesny okrzyk, jakby te słowa zraniły ją fizycznie. Wówczas Reggie Tang - nietypowy Galahad - stanął między nią a prawnikiem i przygwoździł go morderczym spojrzeniem.

- Czy mogę zobaczyć pańskie zaproszenie? - rzucił.

Zauważyłem, że zwodniczo chuderławy kumpel Reggiego, Greg Lockyear, podkraść się do Todda od tyłu, patrząc na przyjaciela i czekając na sygnał. Nie mogłem uwierzyć, że zamierzają zrobić coś prawnikowi na oczach pięćdziesięciu świadków, lecz ponura zawziętość na twarzy Reggiego mówiła sama za siebie. Podobnie jak większość nas, znał Johna od wieków i kilka razy pracował z nim, kiedy nie znalazł lepszej oferty. Tak to zwykle działało i przypuszczałem, że może podobnie jak ja, czuł teraz spóźnione wyrzuty sumienia na myśl, że zawsze traktował Johna jak ostatnią deskę ratunku. Może więc uznał pobicie faceta w garniturze za łatwy sposób zrównoważenia złej karmy.

Wystąpiłem naprzód, zaskoczony tym faktem równie mocno jak inni zebrani, i położyłem dłoń na ramieniu Reggiego. Zwrócił ku mnie gniewne

spojrzenie, zdumiony i oburzony tym, że ktoś mu przeszkadza, kiedy on się dopiero rozgrzewa.

- Zachowuj się, Reggie - powiedziałem. - Nikomu się nie przysłużysz, wywołując tu bójkę, a już na pewno nie Carli.

Jeszcze chwilę patrzyliśmy sobie w oczy i zaczynałem już podejrzewać, że zaraz mnie rąbnie. Przesunąłem się w lewo, by mieć na oku Grega Lockyera - tak przynajmniej nie musiałbym walczyć na dwóch frontach - ale chwila minęła i Reggie odwrócił się, z niesmakiem wzruszając ramionami.

- Pierdzielone pasożyty - rzekł. - Niech ci będzie, Fix. Ale jeśli się stąd, kurwa, nie zabierze, przyfanzolę mu w twarz.

Posłałem Toddowi spojrzenie, pytające, na co jeszcze czeka.

- Pani Gittings będzie w kontakcie - rzekłem.

- Z pewnością - zgodził się. - Ale naprawdę muszę już zacząć...

- Musi pan lepiej dobierać chwile. Będzie w kontakcie. Na razie proszę to zostawić, dobrze?

Todd powiódł wzrokiem po otaczających go ponurych twarzach i pewnie dokonał w myślach szybkich obliczeń. Rozejrzał się w poszukiwaniu Carli, ona jednak cofnęła się między życzliwy tłumek i słuchała słów pociechy Cath i Therese.

- Jestem gotów zaczekać dzień lub dwa - oświadczył w końcu. - Z szacunku dla wdowy. Dzień lub dwa, nie więcej.

- Dobry plan - zgodziłem się.

Pozdrowiwszy mnie szybkim skinieniem głowy, Todd obrócił się na pięcie. Tym razem poruszał się znacznie wolniej i dopiero po minucie zniknął mi z oczu, pogarszając jeszcze i tak już ponury i nerwowy nastrój.

Rozpraszciliśmy się powoli, bez entuzjazmu wymieniając się uwagami na placyku obok parkingu, bo nikt nie chciał się oddalić w nieprzystojnym pośpiechu. Przywitałem się z Louise - nie widziałem jej od ponad roku - i przez chwilę graliśmy w „czyż to nie okropne”, wymieniając się historyjkami na temat Życiowców.

- Ostatnio organizują zasadzki - oznajmiła Louise z leniwym, przeciągłym akcentem z Tyneside i przypaliła papierosa złotą zapalniczką w kształcie małego rewolweru. - Załatwiają nas kolejno. Uwierzyłyś? Do Stu Langleya zadzwonili nad ranem. Jakaś kobieta mówiła, że właśnie wprowadziła się do nowego domu i w cholernym kiblu na parterze zobaczyła ducha. Stu kazał jej przyjść rano, ale babka rozplakała się i zaczęła błagać coraz głośniejszym i natarczywiejszym głosem, a Stu był zbyt uprzejmy, żeby rzucić słuchawką. W końcu ubrał się i pojechał do niej. Na jego miejscu kazałabym jej się powstrzymać albo sikać przez okno. W każdym razie przyjechał na miejsce, gdzieś w Gypsy Hill. Dokładnie tam, gdzie mówiła, zobaczył dom z tabliczką NA SPRZEDAŻ. Drzwi frontowe stały otworem i jak ostatni kretyń wszedł do środka. Nie zastanowił się, czemu w oknach nie świeci się światło ani dlaczego na trawniku wciąż stoi znak NA SPRZEDAŻ, skoro babka już się wprowadziła. Było ich czterech, mieli bejsbole. Załatwili go tak, że wylądował w szpitalu, w śpiączce. Przeżył jeszcze tydzień, potem lekarze odłączyli respirator. Powiadają ci, Fix, nie przestaną, póki nie wykończą nas wszystkich.

- Nawet jeśli, nic to im nie da. - Pokręciłem głową, gdy Louise zaproponowała mi sztacha. - Egzorcyzmy są teraz częścią ludzkiego genomu. Pewnie zawsze były, tyle że nie objawiły się, dopóki nie pojawiło się coś do egzorcyzmowania. Zabicie nas wszystkich nie rozwiąże

problemu.

Gwałtownie wydmuchnęła dym nosem.

- Nie, ale pobicie kilkorga z nas daje reszcie sporo do myślenia.

Obok przeszła kolejna grupka żałobników zmierzających do samochodów, jedną z nich była ostra blondynka. Towarzyszyło jej dwóch facetów, których nie znałem. Przechodząc obok, posłała mi kolejne mordercze spojrzenie.

- Wiesz może, kto to? - spytałem Louise, zerkając w bok i wskazując kobietę tak, by nikomu nie rzuciło się to w oczy.

- Kto?

- Ta dziewczyna.

Louise wypuściła z ust powietrze w głośnym westchnieniu i skrzywiła się ze znużeniem.

- Dana McClennan.

- McClennan? - Coś wewnątrz mnie szarpnęło się i opadło pod dziwnym kątem. - Jakaś krewna nieświętej pamięci Gabriela McClennana?

- Córka - wyjaśniła Louise. - I pozostała wierna rodzinnej tradycji, Fix. Jest nawet wredniejsza niż jej stary. Kiedy się dowiedziała, że Larry ma HIV-a, uciekła z prędkością stu mil na godzinę. Myślałby kto, że próbował ją pocałować z języczkiem czy coś takiego. A może babka uważa, że do zarażenia się wystarczy sama rozmowa, tak jak moja mama.

Nie odpowiedziałem. Wzmianka o Gabie McClennanie przywołała całą gamę bardzo nieprzyjemnych wspomnień, w większości wywodzących się z nocy, gdy go zabiłem. No dobra, może pośrednio: tak naprawdę bardzo ułatwiłem komuś innemu zabicie go. I tak nie pozostawił mi wyboru, bo sam chciał mnie załatwić, sam też sprowadził na imprezę

wilka, któremu rzuciłem go na pożarcie. Można rzec, że kto mieczem wojuje, od miecza ginie. Całkiem sporo przekonujących argumentów, ale żaden nie sprawił, że poczułem się lepiej. Z całą też pewnością nie potrafiłbym się wytłumaczyć wdowie i dzieciom.

- Co ona tu robi? - spytałem.

- Przyjechała z Burbonem. Chyba rozesłał wici w Oriflammie, że dziś pogrzebią Johna. Mówił, że załatwił samochody wszystkim egzorcystom, którzy zechcą przyjechać.

- Jest duchołapką?

Louise wzruszyła ramionami.

- Owszem, tak sama twierdzi. Poszła w ślady ojca. Nie mam pojęcia, czy jest w tym dobra.

Przyjąłem to po męsku, ale te wieści mnie nie ucieszyły. Jeśli córka Gabe'a działa w tej samej branży co ja, w dodatku w Londynie, wciąż będziemy na siebie wpadać, czy nam się to podoba, czy nie. Niezbyt radosna perspektywa. Odprowadziłem dziewczynę wzrokiem aż do bramy. Zobaczyłem jak się zatrzymuje, nie zważając na dwóch oddalających się towarzyszy, i zamienia kilka słów z Życiowcami pikietującymi cmentarz. Ktoś powinien z nią o tym porozmawiać: zachęcanie tych świrów to kiepski pomysł.

- Jak tam muzyka? - spytałem, niezbyt delikatnie próbując rozluźnić nastrój.

Louise grała na basie w zespole o większej liczbie nazw niż koncertów. Zdawało mi się mętnie, że ich obecne *nom de sound-stage* brzmi jakoś punkowo, jak „Gwiazdy i Buce”, ale jutro z pewnością znów się zmieni.

- Całkiem dobrze - odparła Louise. - Całkiem dobrze. Mamy nowego menedżera, twierdzi, że da radę wkręcić nas do Spitzu.

W tym momencie podszedł do niej Larry Tallowhill i objął w talii ramieniem.

- Feliksie Castorze - rzekł z udaną surowością. - Odczep się od mojej pieprzonej kobiety.

- Cóż mogę poradzić na to, że żadna mi się nie oprze? - odparłem. - Jak się sprawdzają nowe leki?

Larry lekceważąco wzruszył ramionami.

- Świetnie - powiedział. - Pożyję, dopóki nie zabije mnie coś innego. Czego więcej mógłbym żądać?

Larry zawsze zdumiewająco pozytywnie podchodził do swojej choroby, będącej wynikiem tak wybitnego pecha, że większość ludzi na jego miejscu toczyłaby pianę z pyska w atakach rozpacz. Zaraził się HIV od ugryzienia *loup-garou*, z którym właśnie walczył - moglibyście go nazwać wilkołakiem, tyle że jego zwierzęca część była czymś większym, bardziej długonogim i znacznie dziwniejszym niż sugerowałoby to miano. W dodatku nikt mu nawet za to nie płacił: zobaczył, jak potwór ugania się za dziećmi na parkingu przy Sainsburym, i bez namysłu wkroczył do akcji. Stwór chciał się tylko posilić, ale skupił się na Larrym, gdy tylko pojął, że mu zagraża, a jak mówiłem, był silny, szybki i bardzo, bardzo wredny. Larry zniósł atak, dokończył robotę z jedną ręką wiszącą w strzępach, a potem przeszedł pół mili do szpitala, żeby go połatali. Spisali się rewelacyjnie: podali leki, wzięli urwany palec, który ze sobą przyniósł i przyszyli, nie pozwolili, by się wykrwawił na śmierć albo dostał tężca, i w końcu przywrócili mu dziewięćdziesiąt pięć procent sprawności

nerwów. Jakież dziesięć, jedenaście miesięcy później dostał wiadomość.

Dla egzorcystów to ryzyko zawodowe: niewielu z nas umiera ze starości.

Zmieniłem temat, bo wcześniej czy później doprowadziłby nas do jeszcze bardziej bolesnej kwestii tego, jak umarł John Gittings - zamknięty w łazience, z lufą dubeltówki w ustach. Trudno mnie nazwać przewrażliwionym, ale całe popołudnie starałem się o tym nie myśleć.

- Jak idą interesy? - spytałem, raz jeszcze sięgając po wytarte, bezpieczne banały.

- Super - odrzekł Larry. - Nigdy nie było lepiej.

- Wczoraj dostaliśmy trzy zlecenia - potwierdziła Louise. - Jest szybki - skinieniem głowy wskazała Larry'ego - wiesz dobrze jaki szybki, ale nawet on nie dałby rady trzem w jeden dzień. Przeszkadzałyby sobie nawzajem: drugie jest cięższe niż pierwsze, a trzecie niemożliwe. Sama więc załatwiłam środkowe i oczywiście okazało się prawdziwym skurwysyństwem. Staruszka, twarda jak cholera. Walczyła i wyrzygałam klientowi cały lunch na dywan.

- Śniadanie - poprawił Larry. - Była zaledwie jedenasta.

- Drugie śniadanie. A ten gość, dyrektor dużej firmy czy coś takiego, mieszka w Regent Quater, mówi: „Mam nadzieję, że przed wyjściem pani posprząta”. Nawet bym to zrobiła, ale nie po tym, jak się odezwał. Przywalałam mu standardowymi warunkami i wyszłam. Teraz mówi, że nie zapłaci. Ale zapłaci, tak czy inaczej.

Choć udana, próba zmiany tematu nie odciągnęła nas zbyt od śmierci. Ale tak to już jest u egzorcystów.

Po jeszcze paru uprzejmostkach, Lou i Larry odeszli, trzymając się

pod rękę, a ja wróciłem w pobliże grobu, by się pożegnać. Carla stała pogrążona w rozmowie z księdzem. Może nawet zanadto pogrążona. Kiedy podszedłem, wykorzystała okazję i uwolniła się, dziękując mu wylewnie.

- Będę już jechał - oznajmiłem. - Uważaj na siebie, Carla. Odezwe się niedługo, dobrze?

Ona jednak wyciągnęła do mnie rękę z czymś, co okazało się jej kluczykami.

- Fix - odezwała się przeproszającym tonem - odwieziesz mnie do domu? Naprawdę kiepsko się czuję i chciałabym cię o coś poprosić.

Zawahałem się. Mówią, że nieszczęścia chodzą parami, ale ja należę do nieszczęść najlepiej czujących się w samotności. Z drugiej strony, nie załapałem się na karawanę Burbona i potrzebowałem podwózki do miasta. Przytaknąłem jakieś pół sekundy za późno, by wyglądało to szczerze, i wziąłem kluczyki.

- Raz jeszcze dziękuję, ojcze! - zawołała przez ramię Carla.

Ksiądz odprowadził nas wzrokiem; sprawiał wrażenie nieco poruszonego.

- Spytał, czy mam jakiegokolwiek wątpliwości - powiedziała Carla, dostrzegłszy, że się oglądam. - Czy chciałabym z nim pomówić o fragmentach doktryny. A potem, nim zdołałam się odezwać, zaczął mnie zasypywać słowami, jakby próbował wyciągnąć informacje.

- Duchowni są najgorsi - zgodziłem się. - Nie aprobują tego, co robimy, ale i tak muszą sprawdzić. Ta sama zasada, co w tabloidach.

Może zabrzmiało to lekko niesprawiedliwie, ale często się z tym spotykałem. Ludzie zakładają, że ukrywamy jakąś wielką tajemnicę.

Musimy, bo w przeciwnym razie jak moglibyśmy robić to, co robimy, nie wiedząc jak to działa? Ale to nie tak. Czy prosilibyście Steve'a Daviesa o wyjaśnienie ruchów Browna, albo Torvill i Deana o wytłumaczenie, jak powstają kryształki lodu? Dysponujemy pewnym zestawem umiejętności, nie księgą wiedzy wszelakiej.

Na parkingu został już tylko wóz Carli: wielka, przestronna stara vectra GLS w odcieniu ciemnej szarości, na której doskonale odcinały się rozbryzgane plamy ptasiego łajna. Otworzyłem przed Carlą drzwiczki - samochód nie miał centralnego zamka - i przeszedłem na stronę kierowcy, po drodze przyglądając się jej uważnie. Teraz, po wszystkim, wydawała się spokojniejsza, ale też zmęczona i trochę stara. Nic dziwnego - samobójstwo kogoś, kogo kochamy, musi być jednym z najboleśniejszych ciosów, jakie może zadać nam życie. Pod innymi względami nadal jednak pozostawała kobietą, którą poznałem na początku lat dziewięćdziesiątych, nim jeszcze spotkała Johna, kiedy była głośną, zadziorną blondynką, z którą zagrałem w pokera i o mało nie poszedłem do łóżka. Powstrzymał nas mój strach przed bliskością i jej upodobanie do starszych mężczyzn, które zadziały niemal jednocześnie i zamieniły obiecujący numer w niezręczną rozmowę o rozgrywkach *micro-limit hold'em*. W jednym z wierszy Yeatsa jest taki fragment, w którym pyta on czytelnika, czy w jego pamięci dłużej pozostaje kobieta, którą zdobył, czy też kobieta, którą stracił. A kiedy będziecie się nad tym zastanawiać, możecie też specjalnie dla niego ocenić, gdzie się zgina dziób pingwina. Gdyby wszystko potoczyło się inaczej, Carla mogłaby zostać moją panią Robinson, choć nawet w tamtych czasach mniej przypominałem bohatera „Absolwenta”, a bardziej „Nocnego kowboja”.

Uruchomiłem silnik i ruszyłem, zauważając, że ksiądz wciąż nie spuszcza z nas spojrzenia smutnych oczu. W pewnym sensie nawet mu współczułem: w dzisiejszych czasach niełatwo zarobić na życie posługami duchowymi.

Powoli manewrowaliśmy pomiędzy pikietami Życiowców, obrzucani hojnymi porcjami wyzwisk i drwin, wśród których na szczęście zabrakło gróźb i pocisków materialnych. Większość zebranych wymachujących transparentami i skandujących nie przekroczyła jeszcze dwudziestki. Co mogli wiedzieć o śmierci? Tak naprawdę nie zaznali jeszcze nawet życia.

Cmentarz leżał aż w Waltham Abbey, podczas gdy John i Carla mieszkali - czy raczej Carla mieszkała, a John już nie - w Aldermans Hill, tuż za Southgate, w mieszkaniu nad sklepem z kostiumami. Czekąca mnie długa droga, a vectra poruszała się ciężko, jak zalana tratwa. Dołączywszy do ruchu, przypomniałem sobie o opróżnionej do połowy butelce metaxy w wewnętrznej kieszeni, wyłowilem ją jedną ręką i podałem Carli. Bez słowa wzięła flaszkę, odkręciła i pociągnęła długi łyk. Aż zadrżała. Zapewne to alkohol sprawił, że do oczu napłynęły jej łzy, choć istniało wiele innych wyjaśnień, tłumaczących czemu szybko otarła twarz grzbietem dłoni.

Zerknąłem w lusterko wsteczne i zauważyłem, że ktoś siedzi nam na ogonie. Zakląłem pod nosem. Była to jedna z furgonetek, którymi przyjechali Życiowcy - duży wóz dostawczy, zapewne wypożyczony z pracy, ciemnogrnatowy, z literami układającymi się w nazwę „Usługi porządkowe Bowyera”, wypisanymi odwrotnie na przedniej szybie, bo dobry pomysł to dobry pomysł, nawet jeżeli pierwsze wpadają na niego służby ratownicze. Nie wspomniałem o niczym Carli: zmieniałem tylko

pasy kiedy mogłem, żeby utrudnić im życie. Byłem pewien, że zdołam ich zgubić na długo przed powrotem do Londynu.

- O co chodziło w tej awanturze z prawnikiem? - spytałem.

Sposób, w jaki to ująłem, być może zabrzmiał nietaktownie, ale zawsze uważałem, że gniew stanowi świetne antidotum na rozpacz. Rozpacz paraliżuje człowieka, a porządne wkurzenie dodaje energii i utrzymuje na nogach, choć trochę utrudnia rozeznanie, dokąd właściwie zmierzamy.

Carla pokręciła głową, jakby nie chciała o tym rozmawiać, i już miałem dać spokój, potem jednak pociągnęła drugi łyk koniaku i zmieniła zdanie.

- John zawsze powtarzał, że chciałby być pochowany w Waltham Abbey, obok swojej siostry, Hailey - mruknęła. - Zawsze. Oprócz mnie na całym bożym świecie kochał tylko ją. Ale nie był sobą, Fix. Od miesiący przed śmiercią. Zupełnie go już nie poznawałam.

Westchnęła głęboko i nieco ochryple.

- Istnieje taka choroba, nazywają ją wczesną postacią Alzheimerera. Ojciec Johna zapadł na nią, kiedy miał czterdzieści osiem lat, i nim skończył pięćdziesiąt, nie potrafił nawet sam się ubrać. John był przekonany, że Hailey zaczęła chorować tuż przed śmiercią, i strasznie się bał, że jego też to dopadnie. Kiedyś chciał, żebym mu przyrzekła, że jeśli go to spotka, dam mu pigułki. Gdyby dotarł do etapu, kiedy... no wiesz, kiedy już nic by z niego nie zostało. Ale nie mogłam mu tego obiecać, i powiedziałam to. Poza tym fakt, że dopada to członków rodziny nie znaczy, że muszą zachorować wszyscy. Bo przecież nie wiadomo, prawda? Nie ma sensu wybiegać naprzeciw kłopotom. Ale Johnowi zawsze

zdarzały się dni, kiedy prawie nie mógł się ruszyć, bo za bardzo o tym myślał. Gdy wpadał w taki nastrój, starałam się go rozweselać i czekałam, aż się otrząśnie. Wówczas zazwyczaj przeproszał za to, że mnie zdenerwował, i tyle. Ale parę miesięcy przed świętami stało się z nim coś złego. Miał wtedy robotę - coś, za co świetnie płacili, ale co go najwyraźniej nieustannie dręczyło.

- Jaką robotę? - wtrąciłem znacznie lżejszym tonem niż się czułem.

Bo jeśli się zastanawiacie, właśnie stąd brały się moje wyrzuty sumienia. Słyszałem już co nieco o ostatnim wielkim numerze Johna i miałem spore powody do solidnych wątpliwości.

- Nie chciał powiedzieć. Ale raz, gdzieś w listopadzie, wsadził mi do ręki tysiąc funtów i kazał wpłacić do banku, po czym dodał, że będzie tego więcej. Sam wiesz, jak to jest, Fix. Bez urazy, ale najczęściej zarabiacie tylko na czynsz. Jasne, u młodych facetów to świetna sprawa, dwieście, trzysta funtów za parę dni pracy, doskonała zabawa. Ale z czasem sprawy zaczynają wyglądać inaczej, a tobie wciąż nie udaje się nic odłożyć. Toteż byłam naprawdę zachwycona, poważnie. Spytałam go nawet: „Czyżby w Buckingham Palace mieli jakiegoś ducha? Czy możemy ogłosić cię egzorcystą z nadania królewskiego?”. A on się roześmiał i powiedział coś na temat królów East Endu, ale choć pytałam, nie rozwinął tematu. Myślę, że tak naprawdę nieważne, o co chodziło w tej pracy, po prostu nie wiedział, czy sam da sobie radę. Zadzwoił do tych dwóch gości z Kolektywu, Reggiego i jego kumpla, który nigdy się nie myje, ale nie chcieli już z nim pracować. Powiedzieli, że zrobił się zbyt nieuważny i nie mogą na nim polegać, jeśli podczas roboty coś pójdzie nie tak.

Zawahała się, jakby czekała, że się odezwę i zacznę bronić reputacji

Johna. Ja jednak tego nie skomentowałem - bo jeśli Reggie tak powiedział, to miał rację. John nigdy nie należał do osób przesadnie zorganizowanych, a z wiekiem tylko mu się pogarszało. Jego obecność podczas roboty bynajmniej nie dodawała otuchy: zazwyczaj stanowiła raczej kolejny powód do zmartwienia.

Nie czułem się jednak zbyt dobrze z tą myślą, bo John dzwonił nie tylko do Reggiego. Do mnie także, trzy razy w ciągu tygodnia. Wiadomości wciąż tkwiły na mojej sekretarce, bo nigdy nie chce mi się niczego kasować. Trzy razy siedziałem i słuchałem, jak John mówi, że może mieć dla mnie pracę, i trzy razy nie podniosłem słuchawki, bo życie jest zbyt krótkie i zazwyczaj staram się unikać spraw, które mogłyby jeszcze je skrócić.

A potem zadzwonił Burbon, *de facto* ojciec chrzestny londyńskich duchołapów, z wieścią, że John ucałował lufę dubeltówki.

- Wspominał może, dla kogo pracuje? - spytałem, zmieniając ostro biegi i skręcając na wjazd na M25. Niebieska furgonetka wciąż jechała za nami, ale nie przejmowałem się: jeszcze nawet nie zacząłem walczyć.

Carla pokręciła głową.

- Spytałam go. Nie chciał o tym gadać. Powiedział tylko, że to wielka sprawa i że kiedy skończy, trafi do podręczników historii. „To numer do podręczników”, powtarzał. Coś, czego nikt przed nim jeszcze nie dokonał. I ta praca go zmieniła. Wyraźnie coś go gnębiło, miał paranoję na punkcie zapominania. Robił notatki, listy nazwisk, miejsc, i ukrywał je w całym domu. Otwierałam puszkę z herbatą i pod przykrywką znajdowałam złożoną karteczkę. Wyłącznie nazwiska. Potem, następnego dnia, krążył po domu, wszystko zbierał i palił. I po raz pierwszy zaczęłam myśleć, że

może jednak miał rację. No wiesz, co do Alzheimera. Pomyślałam, że może wywołał go stres czy coś w tym stylu.

Znów otarła oczy.

- To był straszny okres, Fix, nie miałam nawet z kim o tym pogadać. Gdyby Hailey żyła, zadzwoniłabym do niej i razem byśmy na niego wsiadły. Ale w ogóle nie mogłam do niego dotrzeć. Zaczął wpadać w szal za każdym razem, gdy choćby wspomniałam, że zachowuje się dziwnie. Doszło do tego, że udawałam, że wszystko jest w porządku, nawet gdy skradał się po domu niczym szpieg na filmie i zbierał tajne liściki, które sobie zostawiał.

Potem, jednej nocy, przyszedł do łóżka i zaczął mówić o śmierci. Oznajmił, że ma przeczucie, że jego czas wkrótce nadejdzie, i zmienił zdanie co do pożegnania. „Zapomnij o Waltham Abbey, Carlo. Musisz mnie skremować”. Nie wiedziałam, co na to odpowiedzieć. A co z Hailey? Co z kwaterą, którą już wykupił tuż obok niej? To choroba przez niego przemawiała, nie on. Zrobiłam zatem to co wtedy, kiedy próbował mnie przekonać, bym obiecała, że go otruję. Siedziałam cicho. Nie odezwałam się ani słowem. Nie chciałam przyrzec czegoś, czego nie zamierzałam dotrzymać. A później, po tym jak...

Carla ujrzała przed sobą to słowo i skreśliła gwałtownie, by je wyminąć.

- Po tym jak to zrobił... dostałam list od adwokata, Maynarda Todda z jakiejś firmy z trzema nazwiskami, jedno z nich należało do niego. Oznajmił, że John przyszedł do niego przed śmiercią i napisał nowy testament. Nadal zostawiał cały spadek mnie, ale chciał zyskać pewność, że zostanie spalony, nie pogrzebany. Wybrał nawet jakieś miejsce na East

Endzie, Grace coś tam. Zapisał wszystko czarno na białym. A na końcu dodał fragment, że musi się zwrócić do nieznanego, bo nie może zaufać własnej żonie, że spełni jego wolę.

- I co zrobiłaś?

- Nic - oświadczyła z gorzką satysfakcją Carla. - Zignorowałam to. Pomyślałam: pierdołę, może mnie gość zaskarżyć. Zrobię to, czego pragnął mój John, kiedy wciąż jeszcze był sobą, zdrowy na umyśle. Załatwiłam zatem pogrzeb, choć Maynard Todd mówił, że mnie powstrzyma, i przełożyłam z trzeciej na wpół do drugiej, żeby zjawił się tam za późno. I tak się stało. - Mówiła coraz bardziej zdławionym głosem i nagle się rozplakała. - Ale to już nie ma znaczenia, Fix. Nie obchodzi mnie, co zrobią z ciałem Johna. Chcę tylko, by odnalazł spokój. Boże, pozwól mu znaleźć spokój.

Na to nie mogłem już nic odpowiedzieć, więc nawet nie próbowałem; skupiłem się na paskudzeniu życia kierowcy niebieskiej furgonetki. Liga przeciwników okrutnych sportów nie byłaby zachwycona, ale jeśli człowiek wie, że go śledzą, może się solidnie poznęcać nad swoim prześladowcą. Nim dotarliśmy do zjazdu w Stag Hill, zgubiłem go, a przy okazji nieco rozładowałem dręczące mnie napięcie.

W milczeniu zjechałem z autostrady i prowadziłem nieskory do współpracy samochód przez ulice Cockfosters i Southgate. Tymczasem Carla zużyła trzy chusteczki i większość zawartości butelki.

Kiedy zjechałem na Aldermans Hill, była już mocno podchmielona. Zaparkowałem przed sklepem z kostiumami, zamkniętym w niedzielę, stawiając wóz na podwójnej ciągłej linii, bo w tym momencie za najważniejsze uznałem dostarczenie jej do domu cało i mniej więcej

zdrowo.

Do mieszkania na piętrze wiodły zewnętrzne, ostro skracające schody. Na framudze wisiało pół tuzina amuletów chroniących przed umarłymi - od gałązki srebrzystej brzozy obwiązanej białą nicią po niezgrabnie nakreślony magiczny krąg ze słowem *Ekpitem*, zapisanym greckimi literami. Można to przetłumaczyć jako „spieprzajcie stąd, póki was nie zaproszę, wy bezcielesne dranie”; greka to bardzo zwięzły język.

Carla grzebała w torebce, szukając kluczy; zauważyłem, że trzęsą jej się ręce. Teraz, kiedy spełniłem już swój obywatelski obowiązek, chciałem jedynie wynieść się stamtąd jak najszybciej. Zupełnie się nie sprawdzam w roli ramienia do wypłakiwania.

- Z pewnością już znalazł - powiedziałem nieporadnie i z dużym opóźnieniem. - To znaczy, spokój. John był dobrym człowiekiem, Carlo, na całym świecie nie miał ani jednego wroga. Wiesz, że nie wierzę w niebo, ale jeśli ktokolwiek zasłużył sobie...

Urwałem, bo patrzyła na mnie z miną, jaką zwykle rezerwuje się dla niebezpiecznych szaleńców.

- Nie - przerwała mi ostro. - John nie jest w niebie, Fix, ani gdziekolwiek indziej. Jest tutaj. Wciąż tu jest.

Przekręciła klucz i pchnięciem otworzyła drzwi, ale nawet nie próbowała wejść do środka. Wyminąłem ją i znalazłem się w ciasnym przedpokoju. Nozdrza wypełnił mi zastały zapach, jakby od paru dni nikogo nie było w domu.

Po trzech krokach znalazłem się w salonie i zastygłem niczym trup, jeśli wybaczyście mi to określenie. Przede mną roztaczał się obraz nędzy i rozpacz. Większość mebli leżała wywrócona na podłodze. Telewizor

spoczywał w kącie, niczym pobity pijak, patrzący ślepo w sufit: ekran strzaskały trzy mocne uderzenia, wokół których rozciągał się podobny rybiej łusce wzór drobnych pęknięć. Pod stopami chrzęściło stłuczone szkło.

I wtedy zdjęcie w ramach, przedstawiające uśmiechniętych, trzymających się za ręce Johna i Carlę, zeskoczyło z toaletki o połamanych nóżkach i wystrzeliło w powietrze, wirując niczym szuriken, by eksplodować w zderzeniu ze ścianą dziesięć centymetrów od mojej głowy.

Zmełłem w zębach przekleństwo i cofnąłem się do drzwi. Obróciłem się, patrząc na Carlę z niedowierzającym oszołomieniem. Raz jeden skinęła głową, jej twarz wyrażała rozpacz i gorycz.

Mimo swych wad, o większości których już wspomniałem, John w gruncie rzeczy był bardzo miłym, łagodnym facetem. A przynajmniej za życia.

Natomiast po śmierci najwyraźniej zgeistował.

Pewien apostoł, niesłyszany z taktu i uroku osobistego, poinformował kiedyś zasłuchaną publiczność nieopodal Morza Galilejskiego, że ubodzy zawsze pozostaną wśród nas. To samo mógł powiedzieć o umarłych. Oczywiście w czasach Jezusa żyło na świecie najwyżej sto milionów ludzi, ale nawet wtedy ta część rasy ludzkiej, która spoczęła już w ziemi, miała nad nimi przerażającą przewagę liczebną. Dokładne procenty zmieniają się wraz ze wzlotami i upadkami karuzeli demograficznej, jednakże w dzisiejszych czasach, kiedy postawi się dwadzieścia do jednego, raczej nie straci się kasy.

Dwudziestu z nich na jednego z nas. Dwadzieścia duchów na każdego mężczyznę, kobietę i dziecko żyjących na tej planecie. Jednakże dopiero pod koniec drugiego tysiąclecia liczby te przestały być pustą statystyką. Do tego czasu większość umarłych zostawała tam gdzie ich umieszczono: wedle słów wypisanych na milionach nagrobków „Jedynie spali”. A potem, niedawno temu, odezwał się budzik i zaczęli wstawać.

No dobrze, trochę przesadzam. Nawet teraz mnóstwo ludzi umiera i pozostaje martwymi - wyrusza w wędrowkę do nieodkrytej krainy, rozplywa się w powietrzu albo idzie usiąść po prawicy w bezgrzesznych białych piżamach czy czymś tam. Ale całkiem sporo tego nie robi: budzą się w ciemności własnej śmierci i zmierzają z powrotem ku światłu świata, który właśnie opuścili, bo to jedyny znany im kierunek. Zazwyczaj powracają jako wizualne echa swego dawnego ja, pozbawione substancji,

masy, ciężaru. Wtedy nazywamy ich duchami. Czasami wnikają we własne martwe ciało i każą mu się poruszać: wówczas nazywamy ich zombie. Od czasu do czasu wdzierają się w ciało zwierzęcia i swą przeważającą siłą poskramiają umysł gospodarza, odmieniając ciało i kość tak, by przypominały bardziej to, co kiedyś oglądali w lustrze. Wówczas zwiemy ich wilkołakami czy też *loup-garou*, i jeśli jesteśmy rozsądni, czym prędzej schodzimy im z drogi.

Oto jednak prawdziwy cud: mimo wszystkich postaci przyjmowanych przez powracających zmarłych istnieją też ludzie tacy jak ja, niosący sztandar żywych i dysponujący umiejętnościami oraz zdolnościami pozwalającymi ich pokonać. Egzorcyści. Zapewne my także zawsze tu byliśmy - jak powiedziałem Louise, uśpiona cecha w ludzkiej puli genowej, czekająca na swój dzień. Cokolwiek robimy, nie ma to nic wspólnego z boskością czy Pismem Świętym. To jedynie wewnętrzny talent, wyrażający się poprzez inne, których nabywamy za życia. Jeśli dobrze sobie radzisz ze słowami, krępujesz umarłych zaklęciem. Jeśli jesteś artystą, używasz szkiców i pieczęci. Jakiś czas temu poznałem hazardzistę, miłego gościa, Dennisa Peace'a, który w tym celu stosował karciane sztuczki. Ja natomiast posługuję się muzyką.

W dzieciństwie zawsze miałem dobry słuch, ale brakowało mi cierpliwości i siły woli, niezbędnych do przetrwania lekcji muzyki. Musicie zrozumieć, że działo się to w Walton w Liverpool - a choć wizja upiornej Północy, w którą wciąż wierzą mieszkańcy stolicy, jest dość karykaturalna, groźne ulice, którymi wędrowałem w dzieciństwie, byłyby niewątpliwie znacznie groźniejsze, gdybym maszerował po nich, dźwigając wiolonczelę.

Ostatecznie wybrałem flet prosty, bo odkryłem, że potrafię zagrać na nim melodię bez szczególnego przygotowania. Większość ubogiej wiedzy muzycznej, jaką dysponuję, gromadziłem powoli, albo grając z lepszymi od siebie, albo też nie wstydząc się zadawania głupich pytań, kiedy spotkałem się z kimś, kto potrafił na nie odpowiedzieć. Czytania nut nauczyłem się z programu telewizyjnego adresowanego do sześciolatek, starannie wykonując ćwiczenia wyznaczone przez uśmiechnięty, animowany klucz wiolinowy.

A gdzieś przy okazji, kiedy dokonałem gorzkiego odkrycia, że nie można grać na flecie w zespole rockowym, przypadkiem natknąłem się na jedno zastosowanie muzyki, jakie nigdy nie przyszło mi do głowy.

Podczas pierwszych egzorcyzmów nie użyłem żadnego instrumentu prócz własnego głosu. Miałem wówczas sześć lat, dopiero je skończyłem, a kiedy moja nieżyjąca siostra Katie wróciła z grobu i odwiedziła mnie po północy w sypialni, którą dzieliliśmy za jej życia, odprawiłem ją, wyśpiewując głupie drwiny, jakimi dzieciaki wzajemnie doprowadzają się do płaczu na podwórkach. Zrobiłem tak, bo to zadziałało. Znacznie później odkryłem, czemu zadziałało, czy raczej jak - i podobnie jak wielu innych poznanych w tym czasie, przekształciłem dziwny talent w jeszcze dziwniejszy zawód.

Im częściej to robiłem, tym stawało się łatwiejsze. Odkryłem, że dysponuję czymś w rodzaju dodatkowego zmysłu, bardziej przypominającego słuch niż cokolwiek innego. Kiedy dostatecznie długo przebywałem w pobliżu ducha, zaczynałem go wyczuwać, a to uczucie przekładało się łatwo na dźwięk i zazwyczaj na melodię, muzykę. A kiedy odgrywałem tę melodię na flecie, duch splatał się z dźwiękami, po czym,

gdy przestawałem grać, wraz z ostatnią nutą znikał, niczym oddech na lustrze. Potem żaden z nich już nie wrócił. To co robiłem, choć dziwaczne i niewytłumaczalne, było też najwyraźniej nieodwracalne. Teraz jednak, gdy spoglądam wstecz na ów okres mojego życia, dziwniejszy wydaje mi się fakt, że ani razu nie zadałem sobie pytania, dokąd odchodzą duchy, kiedy im zagram. Gdzie je posyłałem? Dokąd odesłałem Katie? Ku wiekuistej nagrodzie, światoduszy, a może w ostateczną nicość? Odpowiedzi prosimy przesyłać na kartkach pocztowych, tyle że w nieodkrytej krainie poczta jak dotąd nie działa.

Musiało się sporo wydarzyć, by w końcu wybudzić mnie z owego transu samozadowolenia. Ponad dziesięć lat pracowałem jako egzorcysta i zdążyłem odegrać co najmniej tysiąc melodii. Tymczasem świat wokół mnie się zmieniał i martwi powracali coraz częściej i częściej. Stawiali pierwsze nieśmiałe kroki, zmierzające do stworzenia własnej infrastruktury - zwłaszcza zombie, mający bardzo wyspecjalizowane potrzeby - a żywi, co łatwo przewidzieć, zareagowali podziałem na wojujące ze sobą obozy. Ruch Tchnienie Życia wzywał do uznania praw zmarłych, a grupy takie jak katolicka Anathemata głosiły nadejście apokalipsy i zaczynały gromadzić broń. Tymczasem fachowcy od przeganiań duchów coraz częściej wspominali o spotkaniach z innymi stworzeniami, takimi, które nigdy nie były ludźmi, ani też w ogóle nie żyły w ścisłym znaczeniu tego słowa: stworami pasującymi do portretów demonów, opisywanych w średniowiecznych grimoirach. Mnie też zdarzyło się spotkać kilka z nich i wciąż przeżywam te wspomnienia w koszmarnych snach; zapewne już nigdy mnie nie opuszczą.

W końcu musiało dojść do dwóch wydarzeń, bym pojął, że strategia

„Najpierw graj na flecie, potem zadawaj pytania” nie należy do najszcześniejszych. Po pierwsze, spierdoliłem czyjeś życie w stopniu uniemożliwiającym jakąkolwiek naprawę, a po drugie, moje własne ocalała i oddała mi na talerzu martwa kobieta, którą próbowałem egzorcyzmować. W dzisiejszych czasach nie zajmuję się już przepędzaniem duchów: znak nad drzwiami mojego biura informuje, że zapewniam USŁUGI DUCHOWE. Nie, ja też nie wiem, co to znaczy, i nie ściąga to do mnie zbyt wielu klientów. Ale pod wieloma względami to mi odpowiada: jeśli mam jakąś życiową filozofię, to taką, że aby żyć spokojnie zrobię wszystko, oprócz samej pracy.

Jakiej zatem usługi duchowej potrzebował mój stary znajomy John Gittings? Uskakując z drogi odłamanej nodze od krzesła, która pozostawiła w ścianie dziurę na wysokości mojego krocza, dokonywałem w myślach szybkiego przeglądu wszystkich możliwości - od humanitarnych po ekstremalne. W tym momencie żadna z nich nie wyglądała zachęcająco, prócz jednej: zatrzaskać za sobą drzwi i spieprzać stamtąd. Geist! Zupełnie jakbym nagle odkrył, że mój najlepszy przyjaciel to kanibal, i to po tym jak właśnie poczęstował mnie kanapką z kurczakiem.

No, może nie do końca - dokładnie rzecz biorąc, John nigdy nie był moim przyjacielem. Łącznie z pamiętnym starciem z wilkołakiem w zoo w Whipsnade - podczas którego zmienił w biegu nasz szkicowy plan bitwy, co o mało nie kosztowało mnie życia - w ciągu ostatnich trzech lat widziałem go może z pięć razy.

Nadal jednak był to szok i na razie nie potrafiłem go sobie przyswoić.

Jak wspominałem, większość duchów jest pasywna i nieszkodliwa, jedynie najbardziej udręczone dusze zamieniają się po śmierci w poltergeisty. Ich umęczona jaźń podlega wówczas straszliwej metamorfozie i zamienia się w nieumarły huragan gniewu i frustracji.

Ale John Gittings? By zacytować Denisa Healeya, to jakby zostać poturbowanym przez martwą owcę.

Obróciłem się do Carli, nagle pojmując, przez co przechodzi, dlaczego poprosiła, żebym wrócił z nią do domu, i co bez powodzenia usiłowała mi powiedzieć podczas jazdy.

Położyłem dłoń na jej ramieniu i pchnąłem stanowczo w stronę wyjścia. Po jej oczach widziałem, że zaraz znów się rozplacze, i bałem się, że tym razem nie zdoła przestać.

- Zaczekaj w wozie - poleciłem.

Spojrzała na mnie z mieszaniną przerażenia i nadziei, i wiedziałem, że co najmniej częściowo dotyczą tego samego.

- Co zamierzasz zrobić? - spytała.

- To, o co mnie prosiłaś. Zapewnić mu spokój.

- Ale nie...?

- Egzorcyzmuję go? Odeślę na zawsze? Nie, Carlo. Nie zrobię tego. Obiecuję. Zaczekaj w samochodzie. To powinno potrwać najwyżej dwadzieścia minut.

Jeszcze raz spojrzała nade mną w głąb pokoju, gdzie niewidzialna istota wlokła część siebie po stłuczonym szkle na dywanie, tak że odłamki poruszały się i stroszyły. Potem kiwnęła głową, cofnęła się za drzwi, cały czas tam patrząc, jakby odwrócenie się plecami uważała za zdradę. Zamknąłem je za nią łagodnie, a potem ukląknę i dobyłem fletu.

Trzymam go w kieszeni, którą sam wszyłem w podszewkę płaszcza, wysoko po lewej stronie. Pod tym względem szynel jest bardzo praktyczny - tak obszerny, że można pod nim nosić całą szufladę sztucców, samowar i karabin, nie psując linii. Ja zwykle zadowolam się fletem, srebrnym sztyletem, starym kielichem, z którego jak dotąd nigdy nie miałem okazji skorzystać, i flaszką trunku, z którym akurat flirtuję.

Najpierw zagrałem sekwencję przypadkowych nut, by się dostroić - tyle że nawet wtedy, z początku, nie była ona tak całkiem losowa. Krył się w niej element echolokacji: posyłania dźwięków, by sprawdzić, jak do mnie powrócą, przekonać się, które duch wchłonał, a które odbiły się od niego i pomknęły w eter. Rozumiecie chyba, że to tylko przenośnia, ale wszystko co robię jest rodzajem przenośni. Może to my wybieramy najlepsze narzędzia, a może one wybierają nas.

Czasami idzie mi ciężko i powoli, czasami łatwo i szybko. Ten duch był tak wielki i tak wściekły, że jego obecność wypełniała cały pokój: nuty wypływały mi z wnętrzości do piersi i płuc przez ustnik fletu, poza śmigające palce, i dalej, w powietrze, bez cienia namysłu z mojej strony. Narastały niczym fala i załamywały się jak fala, a istota, która kiedyś była Johnem Gittingsem zderzyła się z nimi w pełni przypiływu.

Na chwilę siła owego zderzenia mnie oszołomiła: zawahałem się w połowie frazy, zagrałem słabe, niezgrabne *staccato*, potem jednak znów poczułem prąd i po raz drugi rozpocząłem mozolne *crescendo*.

To była część więżąca ducha: skurcz, po którym zazwyczaj nieuchronnie następował rozkurcz - przegnanie. Ale nie tym razem. Na tym etapie życia miałem już spore doświadczenie z inną melodią, działającą w inny, bardziej podstępny sposób. Pozwoliłem teraz nowej

frazie zakraść się do gry w tonacji molowej. Opracowałem ją dla mojego najlepszego przyjaciela, Rafiego, po tym, jak dałem ciała i pozwoliłem, by jeden z najpotężniejszych piekielnych demonów złączył się z jego duszą. Tym, co teraz grałem, większość egzorcystów zwykle nie zawraca sobie głowy, bo większości nie opłaca się mieć tego w swoim repertuarze. To była kołysanka.

Stopniowo pozwalałem drugiej frazie narastać ponad pierwszą, przenikać ją, podbijać. Odegrałem melodię do końca, aż wreszcie pozostały trzy opadające nuty, każda trwająca dopóty, dopóki wystarczyło mi oddechu.

Cisza, jaka zapadła, brzmiała w mych uszach niczym gromkie oklaski. W zrujnowanym pokoju nic się nie poruszało. Duch wciąż tam był, ale jego przygniatający ciężar zniknął. Pozostało jedynie słabe, odległe echo, a nie ogłuszający dysonans, w który wkroczyłem wcześniej.

Zszedłem na dół, na ulicę. Carla opierała się o samochód i paliła papierosa, między jej stopami leżał rozdeptany niedopałek drugiego. Spojrzała na mnie, w jej oczach kryło się nieme pytanie.

- Nic mu nie jest - odparłem z braku lepszego określenia. - Uspiełem go, tak samo jak robię z Asmodeuszem, kiedy zanadto psoci. Carlo, od jak dawna to trwa?

Pokręciła głową i odwróciła wzrok.

- Od dnia śmierci Johna, Fix. Sześć dni. Zaczęło się niemal natychmiast, może dwie, trzy minuty po tym, jak usłyszałam strzał.

Głośno wypuściłem powietrze z płuc.

- Jezu!

- Stąd właśnie wiedziałam, że nie żyje. Zamknął się w łazience i nie

mogłam wejść. Waliłam w drzwi, wykrzykując jego imię. I wtedy coś... nie potrafię tego opisać... Coś zeszło po schodach za moimi plecami. Słyszałam każdy krok, skrzywienie desek na sam dół, jakby, cokolwiek to było, było bardzo ciężkie. I wtedy zrozumiałam. Pomyślałam: „To John. To mój mąż odchodzi ode mnie. Nie żyje”. Tyle że on nie odszedł. Został. Został i...

Jej ramiona zaczęły drżeć i pośpiesznie spuściłem wzrok.

- Trzeba było zadzwonić... - zacząłem. Ale do kogo? Do mnie? To o jeden most hipokryzji za daleko, bo przecież stałem tu i tylko marzyłem, żeby zniknąć. - Do kogoś z nas - dokończyłem.

- Nie wiedziałam co powiedzieć - odparła Carla zdławionym, ochryplym głosem. - Fix, co ja mam zrobić? Nie mogę tak żyć.

- Nie musisz. Nie mogłabyś się gdzieś zatrzymać?

Cofnęła się o krok, jakbym ją odepchnął. Gdy na mnie spojrzała, w jej oczach dostrzegłem wstrząs i ból.

- Miałabym zostawić go samego? Nie mogę mu tego zrobić.

Rozłożyłem szeroko ręce, szukając właściwych słów.

- Carlo, sama powiedziałaś, że przed śmiercią John nie był sobą. Że bałaś się, że traci zmysły. Myślę, że to się właśnie stało. Powinnaś myśleć o Johnie takim, jakiego znałaś kiedyś, a o tym czymś jak o...

- Nie. Nie, Fix... - Uniosła ręce, jakbym właśnie uczynił jej nieprzystojną propozycję. - To nadal on. Nawet jeśli sam tego nie wie, to wszystko, co po nim zostało. Nie zamierzam po prostu zamknąć drzwi, uciec i się ukryć. Zostanę z nim tutaj, cokolwiek się stanie.

Spojrzałem jej w oczy. Mówiła poważnie, z całą świadomością, nie pozostawiając miejsca na dyskusję.

- Dobra - mruknałem w końcu, przeklinając się, że brak mi jaj, by po prostu uścisnąć jej dłoń i odejść.

Nonszalancja i obojętność także wymagają odwagi, w przeciwnym razie bez ustanku dajemy się wciągać w gówno, które pozostawiają po sobie inni. Jednakże duch romantycznej przygody, do jakiej nigdy nie doszło, zaćmiewał mój osąd.

- Ekspres do kawy nadal działa?

Trochę trwało, nim przywróciliśmy pokój do stanu używalności. Ja podnosiłem ciężkie rzeczy, Carla szła za mną, ustawiając nieliczne ocalałe ozdoby na miejscach, zmiatając stłuczone szkło i wyrzucając to, czego nie dało się już naprawić albo bez czego mogła żyć.

Kiedy skończyliśmy, salon nadal wyglądał jak po huraganie, ale takim, który został dłużej na herbatkę i ciasteczka. W każdym razie widać było, że ktoś się postarał; na razie nie mogliśmy zrobić nic lepszego.

Ku swej ogromnej uldze odkryłem, że kuchnia pozostała nietknięta. Patrząc na stojak na noże, ucieszyłem się, że to nie z jego zawartością zetknąłem się po przekroczeniu progu. Z pewnością byłaby to pamiętna przygoda: jak coś z kreskówki o Tomie i Jerry, tylko że bez wesołego podkładu muzycznego.

- To znaczy, że trzyma się głównie salonu? - spytałem Carle. Właśnie wsypywała kawę do ekspresu „Cona”.

Wyskrobała łyżeczką resztki z dna opakowania. Kiedy skończyła, odebrałem je jej i wrzuciłem do kosza. Po drodze przypadkiem wywróciłem stojącą na podłodze czerwoną plastikową miskę. Na kafelki wysypała się sucha, zwierzęca karma.

- W salonie. Na schodach. W łazience - odpowiedziała z napięciem w głosie. Najwyraźniej za tą krótką listą krył się cały katalog grozy. - W sypialni jestem bezpieczna. A także w korytarzu przed sypialnią i tutaj. - Włączyła ekspres, odwróciła się ku mnie ze spiętą twarzą. - Źle powiedziałam. Bezpieczna. On nigdy nie zrobił mi krzywdy. Rzuca przedmiotami po pokoju, ale nigdy we mnie. To wciąż mój John, Fix. Boi się, a ponieważ się boi, jest zły. Ale nigdy nawet by mu się nie śniło, żeby mnie skrzywdzić.

Przez chwilę przetrawiałem jej słowa i nie znajdowałem odpowiedzi. Pocisk, przed którym uskokczyłem na wycieraczkę, z pewnością przeleciał dość blisko, by wzbudzić niepokój. Ale też John wiedział, czym jestem i co mogę z nim zrobić: miał poważny powód, by trzymać mnie na dystans. A jeśli Carla mieszkała z nim sześć dni i nie odniosła najmniejszych obrażeń, nawet zadrapania, trudno podważać jej wnioski. Geistom zdarzało się wywracać szafy ludziom na głowy i wypychać ich przez okna. Ewidentnie to, co zostało z Johna Gittingsa, powstrzymywało ciosy, przynajmniej wobec wdowy.

Zgarnąłem chrupki z powrotem do miski, wykorzystując ją, żeby zmienić temat.

- Zdawało mi się, że nie znosisz zwierząt.

- Bezpański kot - mruknęła Carla. Postukała paznokciem w ekspres, który zaczął już wydawać głośnie siorbnięcia. - Pewnego dnia wszedł przez okno, John nakarmił go tuńczykiem. Potem już ciągle przychodził. Prosiłam, żeby go nie zachęcał, ale John nie słuchał. Od paru dni go nie widziałam. Może to prawda, że zwierzaki czują, że się ich nie lubi.

Przy kawie wróciła do pytania o to, co może zrobić.

- Będę musiała im na to pozwolić, prawda? - spytała ponuro, wpatrując się w śmietankę rozplływającą się na powierzchni kawy w kubku. - Wykopać go i spalić?

Zastanowiłem się.

- Jeśli testament jest tak szczegółowy jak mówiłaś... Pozostaje tylko możliwość udowodnienia, że kiedy John go sporządzał, nie był przy zdrowych zmysłach.

W tym momencie zawahałem się, myśląc o tym, gdzie będę następnego ranka i jak bardzo pokręcony jest ów problem. Przy zdrowych zmysłach? Jasne. Ale czasami wszystko zależy od towarzystwa.

- Jak można dowieść czegoś takiego? - Carla jakby usłyszała moje myśli.

Pociągnąłem łyk kawy. Oba kubki hojnie doprawiłem tym, co jeszcze zostało z brandy, toteż przyjemnie paliła podniebienie. Ale gorycz też w niej pozostała i wniknęła w głąb gardła.

- Nie wiem - przyznałem. - Zazwyczaj trzeba się odwołać do opinii ekspertów. Według mojego doświadczenia, zawsze można znaleźć eksperta, który powie co tylko zechcesz, tyle że to kosztuje. A skoro John przed śmiercią w żaden sposób się nie leczył, trudniej będzie przekonać sąd... - Zawiesiłem głos, po czym bardzo ostrożnie zadałem pytanie: - Jak bardzo to dla ciebie ważne, by pozostał tam, gdzie jest?

Carla westchnęła i machnęła ręką, bezradnie, słabo.

- Sądziłam, że tego właśnie chciał. - Jej głos zniżył się do gardłowego pomruku. - Myślałam, że pod tym wszystkim... tym i tamtym, no wiesz, że to wszystko choroba, ale reszta to nadal on. Prawdziwy on. Nie mogłam uwierzyć, że nie chciał spocząć obok Hailey, bo mówił o tym tyle razy... -

Zająknęła się i zerknęła w stronę zrujnowanego salonu. - Ale teraz, przy tym wszystkim, sama nie wiem. Może źle to zrozumiałam, Fix. I może dlatego jest na mnie taki wściekły.

Myślałem tak samo, ale ulżyło mi, że Carla doszła do tego na własną rękę.

- Tak - mruknąłem. - To całkiem możliwe. Kiedy właściwie zmienił zdanie, no wiesz, co do pogrzebu?

- Już mówiłam. Pod koniec zeszłego roku. Gdzieś tak przed świętami, nie pamiętam dokładnie.

- Rozmawiał kiedyś z tobą o tym? Podał jakieś powody?

Pokręciła głową.

- Fix... - Urwała i zapadła długa cisza.

Dostrzegłem zarys tego, co zaraz usłyszę, i to pomogło mi zachować obojętną minę.

- Nie sądzę, bym zdołała się zmusić do rozmowy z tym człowiekiem, Toddem. Nie dam rady, zacznę na niego wrzeszczeć.

- Cóż, w kontaktach z prawnikami zawsze najpierw trzeba się upewnić, czy ostatecznie szczepiłaś się przeciw wściekliźnie.

Kolejna cisza. Przypuszczam, że Carla miała nadzieję, że pojmę aluzję i nie będzie musiała prosić; błaganie przyjaciół nieżyjącego męża o przysługi musi być trudne. Ale uważałem, że moje odruchy humanitarne i tak już zawiodły mnie za daleko. Wypiłem resztkę kawy, odstawiłem kubek i wstałem.

- No dobrze - powiedziałem. - Spróbuj sobie powtarzać, że facet robi tylko to, co do niego należy. Bo w gruncie rzeczy to prawda. Dzięki za kawę, Carlo. Jeśli zmienisz zdanie, zadzwoń do Pen. Ma wolny pokój i

ucieszy się z towarzystwa.

Carla skinęła głową, w jej oczach dostrzegłem jedynie lekki cień bólu.

- Mam coś dla ciebie - oznajmiła, blokując mój pożegnalny manewr w chwili, gdy się rozkręcał.

Ponieważ nie miałem wyboru, zatrzymałem się i zaczekałem. Ona tymczasem wstała z za stołu i zaczęła grzebać w szufladzie dużego kredensu za plecami. W końcu znalazła to, czego szukała, i przyniosła do stołu.

W dłoniach trzymała antyczny zegarek kieszonkowy, w stylu Savonnette, ze srebrną kopertą i łańcuszkiem, poczerniałym, lecz nadal pięknym. Kopertę zdobił delikatny filigran, a srebrny pręcik, służący do mocowania zegarka do kamizelki, nie był wcale pręcikiem, lecz maleńką figurką ukrzyżowanego Jezusa, którego wyciągnięte ręce zapewniały odpowiednią blokadę. Wspaniała robota. Kiedy odruchowo otworzyłem kopertę, odkryłem, że zegarek spoczywa w rozpołowionej łupinie jako oddzielny mechanizm. Musiał mieć co najmniej dwieście lat i był wart fortunę.

Spojrzałem na Carłę.

- Nie mogę tego przyjąć.

- Należał do jego ojca. Chciał, byś go dostał - odparła tonem nieznoszącym sprzeciwu. - To jedna z ostatnich rzeczy, jakie mi powiedział, nim... kiedy wciąż myślał jasno. „Jeśli cokolwiek mi się stanie, daj to Fiksowi”. To nie zależy ode mnie ani od ciebie. Jest twój.

Schowałem zegarek do jednej z wewnętrznych kieszeni szynela, ustępując przed nieuniknionym.

- Dzięki - rzekłem speszony. - Ja... będę myślał o Johnie za każdym razem, gdy na niego spojrzę.

W danej chwili była to wyjątkowo nieprzyjemna wizja.

- Dzięki, że odwiozłeś mnie do domu - powiedziała Carla.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

I w końcu cios.

- Fix, strasznie cię przepraszam, już tyle dla mnie zrobiłeś. Ale jeśli mają wykopać i spalić Johna, muszę wiedzieć gdzie i kiedy. A naprawdę nienawidzę tego człowieka. Więc jeśli to nie kłopot...

No proszę, dobry uczynek nigdy nie uniknie kary. Kiedy się nad tym zastanowić, pewnie większość ludzi napadniętych i pobitych na poboczu drogi to dobrzy samarytanie, którzy zatrzymali się jak idioci, bo zobaczyli kogoś, kto bezradnie w rozpaczycy załamywał ręce.

- No... - odparłem. - Tak, jasne, mogę sprawdzić u niego szczegóły. Dam ci znać.

Oto minimalne zobowiązanie, którego wymagała sytuacja. Starąłem się nie pokazywać po sobie, jak niechętnie składam obietnicę.

- Och, Fix, strasznie ci dziękuję. Jesteś naprawdę cudowny. Dzięki.

Pocałowała mnie w policzek, znów się uścisnęliśmy, jeszcze niezgrabniej niż wcześniej.

Kiedy odprowadzała mnie przez salon do drzwi, przystanąłem na moment, spojrzałem w przestrzeń i wyteżyłem zmysły, szukając ducha. Wciąż tam był, słaba, nieruchoma obecność, niczym plama w powietrzu. Uśpiony. Śniący.

- Muzyka powinna uciszyć Johna na co najmniej parę dni - poinformowałem Carlę. - Potem... sama zobaczysz jak będzie. Jeśli się

złości, bo nie wypełniłaś jego ostatniej woli, to może kiedy Todd już zrobi co musi...

- Dlaczego Pen ma wolny pokój? - spytała nagle Carla, zbijając mnie z tropu.

- Uch... Bo trochę się pokłóciliśmy - przyznałem.

- Wy dwoje? Co mogło sprawić, że się pożarliście?

- Rafi - wyjaśniłem i natychmiast zostawiła ten temat.

Wszyscy tak robią. Jeśli chodzi o rozmowy, to jedno słowo przebija wszystko niczym as.

Jeśli wyjdziecie ze stacji metra High Barnet i ruszycie wzdłuż Great North Road, po lewej miniecie sąd magistracki, wciśnięty między sklep ze sprzętem łazienkowym a biuro pośrednika w handlu nieruchomościami. Możecie też się tam zatrzymać i oszczędzić sobie wysiłku, bo Barnet nie ma do zaoferowania nic ciekawszego.

To był dzień po poprzedniej nocy, a poprzednia noc pływała we wszystkich jednostkach alkoholu, których nie zdążyłem spożyć przed pogrzebem. Z pulsującą głową i ciężkimi powiekami skręciłem z ulicy i znalazłem się w wyłożonym czerwonym dywanem holu. Rozciągnięte między słupkami liny odcinały część pomieszczenia i kierowały ludzi w inną. Wyglądało to jak w kinie, tyle że w pobliżu nie dostrzegłem nikogo sprzedającego popcorn.

Nikt mnie o nic nie pytał. Wejścia pilnował samotny portier, ale rozmawiał właśnie z udawaną cierpliwością z oburzonym chłopakiem w kurtce z kapturem, stojącym pod drzwiami sali numer jeden, i nawet się nie obejrzał, kiedy przeszedłem obok. Podążyłem za strzałkami do sali numer trzy, z tabliczką informującą, że rozprawie przewodniczy czcigodny Montague Runcie, i precyzyjnie przycisnąłem się cicho do tylnego rzędu. Wyglądało na to, że straciłem jedynie rozgrzewkę. Sędzia, gość przed sześćdziesiątką, o chudej, cierpkiej twarzy i trzech koncentrycznych pierścieniach zmarszczek na policzkach, zupełnie jakby jego oczy były studniami, do których ktoś właśnie wrzucił kamyk, nadal przeglądał papiery i prowadził

cichą rozmowę z urzędnikiem sądowym. Pen siedziała z przodu, zwrócona do mnie plecami; sądząc po ułożeniu ramion, spięta jak diabli. Ale jeszcze nie zaczęła krzyczeć, więc i tak było nieźle.

Zająłem puste miejsce w głębi sali. Było ich mnóstwo - choć sprawa z łatwością mogła zainteresować miejscowe gazety, na razie jednak najwidoczniej jej nie zwęszyły. W erze cyfrowej początkujący reporterzy nie obstawiają już sądów i komisariatów - drukują informacje prasowe przychodzące przez sieć, szybko zmywają się z pracy i mogą dłużej nadużywać najróżniejszych substancji.

W końcu sędzia uniósł głowę, powiódł wzrokiem po sali, jakby ktoś z tyłu się odezwał, a on próbował ustalić kto, by móc mu wymierzyć karę.

- Panna Bruckner? - zapytał.

Pen wstała z miejsca, zupełnie zbytecznie unosząc rękę. Burza czerwonozłotych włosów sprawia, że trudno ją przeoczyć, nawet kiedy siedzi. Jak zawsze, wydawała się znacznie wyższa niż jej mizerne sto pięćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu. Efekt ów jest jeszcze wyraźniejszy, kiedy stoi się naprzeciwko i patrzy wprost w przerażająco żywe, zielone oczy, ale jest widoczny nawet z tyłu. Pen może i jest drobna, ale to co w niej tkwi, zostało tak ciasno upakowane, że przez większość czasu pokrywka niebezpiecznie podryguje.

- I profesor Mulbridge?

Po drugiej stronie sali sądowej inna kobieta, dotąd pisząca coś z zajęciem w kołnotatniku, uniosła głowę, zamknęła notes i wstała. Była starsza od Pen i pod wieloma względami stanowiła jej przeciwieństwo. Matowoszare włosy - w tym samym odcieniu szarości co u matki Whistlera i na niemieckich hełmach - ostrzyżone starannie na pazia, szare

oczy z delikatnym odcieniem błękitu, surowa twarz o wąskich wargach, ale całkiem rumianych policzkach, sugerujących ciepły uśmiech ukryty pod maską powagi. Na sobie miała oficjalny, elegancki, granatowy kostium, w którym wyglądała jak kuratorka bądź posłanka konserwatystów.

Pen tymczasem ubrała się w barwne afrykańskie jedwabie. Pod dobrotliwym uśmiechem i uprzejmym skinieniem głowy wyraźnie wyczuwało się lodowate opanowanie starszej kobiety. A przynajmniej ja je wyczuwałem, ale też od bardzo dawna znam Jennę-Jane Mulbridge i wiem, gdzie pogrzebała większość swoich trupów. Do diabła, w paru przypadkach sam wykopałem groby. Ludzie, którzy nie znają jej tak dobrze, po pierwszym spotkaniu pozostają z lekkim wrażeniem surowego rodzicielskiego ciepła, i muszę uczciwie przyznać, że gdybym miał opisać Jennę-Jane komuś, kto jej nie zna, wśród użytych słów z pewnością znalazłoby się odwołanie do rodzicielstwa.

- Jestem, wysoki sędzie - powiedziała łagodnie Jenna-Jane.

Ton jej głosu mówił „zaufaj mi, jestem lekarzem”, i faktycznie nim jest. Pamiętajmy jednak, że lekarzami byli także Crippen i Mengele i w swoich czasach obaj wciskali ludziom swe leki. Sędzia postukał palcem w leżący przed nim stos papierów.

- Zakładam, że są też obecni doktor Smart i pan Prentice.

Odpowiedziało mu „tak, wysoki sędzie” i „jestem, wysoki sędzie” dochodzące gdzieś z mojej prawej. Sędzia odpowiedział szybkim skinieniem głowy.

- Dziękuję - powiedział sucho. - Wszyscy mogą usiąść. Z tego co rozumiem, chodzi o kwestię rozporządzenia losem pacjenta szpitala

psychiatrycznego, trzymanego tam wbrew własnej woli. Sprawa z paragrafu czterdzieści jeden, pana... Rafaela Ditko.

Ktoś wyglądający jak statysta w serialu sądowym, niewiarygodnie młody, śliski i odziany w ciemny garnitur, zerwał się jak na komendę po stronie Jenny-Jane. Sędzia zerknął na niego, ale ciągnął dalej, nie dając mu nawet szansy otwarcia ust.

- Czy odbyło się posiedzenie trybunału? - spytał, przeciągając słowo „trybunał”, jakby niezwykle mu zasmakowało.

- Wysoki sędzie. - Adwokat uniósł własny plik papierów, jakby chciał dowieść, że zasłużył na honorarium. - Michael Fenster, reprezentujący Wydział Zdrowia w Haringey. Owszem, trybunał odwoławczy spotkał się trzy tygodnie temu. Do dokumentów sądowych załączyliśmy dokładne sprawozdanie z owych obrad. Odbyły się w Domu Opieki Charlesa Stangera w Muswell Hill. Udział wzięli doktor Smart, pan Prentice i pański kolega, sędzia Lyle.

- A zalecenia? - Sędzia znów zaczął grzebać w dokumentach. Sprawiał wrażenie poirytowanego.

- Tematem było przeniesienie pana Ditko z ośrodka Stangera na odrębny, bezpieczny oddział pod kierownictwem profesor Mulbridge, do Kliniki Ontologii Metamorficznej w Saint Merris w Paddington.

- Dobrze wiem, jaki był temat tego spotkania, panie Fenster. Pytałem o zalecenia.

- Oczywiście, wysoki sędzie. Ale jak przedstawiono w dokumencie, trybunał w istocie nie zdołał zakończyć obrad. Panna Bruckner, która reprezentuje tu samą siebie - zerknął na Pen - także w nich uczestniczyła i twierdziła z wyraźnym naciskiem, że skład trybunału nie został

odpowiednio dobrany.

Czcigodny sędzia Runcie znalazł właściwe miejsca i zaciskając wargi, przebiegł wzrokiem stronicę.

- Tak - mruknął.

A potem, nieco później:

- O tak.

Po kolejnej półminucie czytania, podczas której reszta z nas oglądała paznokcie i farbę na ścianach, odłożył kartkę i spojrzał na Pen.

- Zakłóciła pani przesłuchanie, panno Bruckner - oznajmił z nieco zbolałym naciskiem. - W rezultacie postawiono pani zarzuty kryminalne.

Pen znów wstała.

- Musiałam, wysoki sędzie - odparła spokojnie. - Zamierzali złamać prawo. Musiałam ich powstrzymać.

Słuchałem uważnie jej słów, czy raczej tonu, próbując ocenić, jak mocno jest spięta. Oceniłem nacisk na około trzystu do czterystu funtów - nie tak źle na tym etapie rozprawy. Udało jej się nawet przemycić do swego tonu przeproszającą nutkę, a mówiąc, lekko skłoniła głowę, dyskretnie odgrywając wyrzuty sumienia.

Wiedziała, że dała ciała na przesłuchaniu u Stangera i próbowała naprawić poczynione wówczas szkody.

- Musiała ich pani powstrzymać - powtórzył sędzia Runcie. - Istotnie. Cóż, nie wątpię, że żywi pani w tej kwestii zdecydowane poglądy. Jednakże protokół sugeruje, że krzyczała pani, rozrzucała dokumenty i że oskarżono panią o grożenie doktorowi Webbowi, dyrektorowi ośrodka Stangera.

- Bardzo mi przykro z tego powodu - odparła miękko Pen. - To

znaczy: gróźb. Owszem, wszystko to powiedziałam, ale połowy nie mówiłam serio.

Przez chwilę obawiałem się już, że procedura skręci nagle, zajmując się szczegółowym ustalaniem, które groźby Pen traktowała serio: połamania Webbowi rąk i nóg czy też bardziej wyrafinowane, obejmujące różne przedmioty i otwory ciała? Ale adwokat wtrącił się gładko, by nie przeciągać sprawy.

- Ta sprawa jest w toku, wysoki sędzie, i zostanie rozstrzygnięta gdzie indziej. Tu rozmawiamy o tym, że panna Bruckner ogłosiła się samowolnie opiekunką prawną pana Rafaela Ditko, rozporządzającą jego sprawami i majątkiem, a także osobą.

- Na jakiej podstawie? - Sędzia nadal wpatrywał się w Pen, najwyraźniej próbując pogodzić przedstawiony przez nią obrazek pokornej, łagodnej owieczki, z pisemnym opisem ekscytujących przygód u Stangera. Zupełnie do siebie nie pasowały.

Pen odpowiedziała sama, ponownie z imponującym opanowaniem i uprzejmością.

- Na podstawie faktu, że to ja podpisałam dokumenty upoważniające ośrodek Stangera do przyjęcia Rafiego, wysoki sędzie. Płacę też jego rachunki, wraz z panem Feliksem Castorem. Doktor Webb przez dwa lata wzywał mnie do siebie co dwa tygodnie, kiedy potrzebował podpisu. Jedyne powód, dla którego nie chce, bym dłużej pełniła obowiązki opiekuna prawnego, to jego własna wygoda. Bo teraz Webb chce przekazać Rafiego tej kobiecie i nie życzy sobie, by ktokolwiek mógł powiedzieć „nie”.

Mówiąc „tej kobiecie”, zerknęła na Jenę-Jane Mulbridge. Na

moment potulna maska zniknęła i oczy Pen zwięzły się niebezpiecznie. Jenna-Jane w odpowiedzi skłoniła głowę, w jej oczach zamigotał ledwie dostrzegalny ironiczny błysk.

- Rozumiem - powiedział sędzia i odwrócił się do adwokata. - Jeśli to rzeczywiście sprawa z paragrafu czterdziestego pierwszego, główny czynnik rozstrzygający stanowi bezpieczeństwo publiczne. Zgoda może w ogóle nie odgrywać roli. Czy to jedyna istotna kwestia, panie Fenster?

- Nie, wysoki sędzie. - Adwokat znów pomachał plikiem papierów. - Panna Bruckner sugeruje także potajemne porozumienie pomiędzy doktorem Webbem, profesorem Mulbridge i doktorem Smartem, który jako członek trybunału z ramienia władz medycznych miał dokonać wstępnego zalecenia co do decyzji. Stąd moja obecność, ponieważ władze, które dokonały wyboru składu trybunału, uznały za stosowne odeprzeć te zarzuty.

- Zarzuty porozumienia?

- Zgadza się, wysoki sędzie.

Sędzia znów spojrzał na Pen, marszcząc brwi.

- Panno Bruckner - powiedział, starannie wymawiając każde słowo. - Czy mogę spytać na jakiej podstawie kwestionuje pani uprawnienie i wiarygodność - przebiegł wzrokiem wciąż trzymany w dłoni papier - sędziego, lekarza i wyszkolonego psychologa?

Uznałem, że czas już zdjąć trochę nacisku z Pen, zanim znów eksploduje. Wstałem i przyjaźnie pomachałem ręką.

- Czy ja mógłbym odpowiedzieć, wysoki sędzie? - spytałem.

Sędzia spojrzał na mnie z lekkim zdumieniem. Jenna-Jane także odwróciła głowę i z wynikającą z niskich pobudek przyjemnością

zauważyłem, że na mój widok jej wąskie wargi zacisnęły się jeszcze mocniej.

- A pan to...

- Felix Castor. Jak wspominała panna Bruckner, jestem drugą stroną monety, jeśli chodzi o opłacanie kosztów pobytu Rafiego u Stangera i podpisywanie comiesięcznych raportów.

- Rozumiem. A czym się pan zajmuje, panie Castor?

Uczciwą pracą, pomyślałem, co wyklucza większość twojej roboty.

- Jestem egzorcystą, wysoki sędzie.

- Eg...

- Egzorcystą. Duchołapem. Zapewniam - z lekkim wahaniem zmełłem w wargach eufemistyczną frazę - usługi duchowe.

Sędzia spojrział na mnie oczami wielkimi jak u puszczyka, teraz zmarszczki sięgały już prawie jego szyi.

- Rozumiem. I zgadza się pan ze stwierdzeniem panny Bruckner, że członkowie trybunału nie byli w pełni bezstronni?

Skinąłem głową.

- Tak - powiedziałem. - Zgadzam się. Doktor Smart pracował w KOM pod kierownictwem Jenny-Jane, profesor Mulbridge, przez pięć lat. Jediną praktykę nadal prowadzi na Praed Street. A ten gość, Prentice, zasiadający w trybunale jako członek z ramienia społecznego, jest może społecznikiem w sensie społecznych usług, ale to mój kolega po fachu, a profesor Mulbridge jest jego stałym pracodawcą. Nie może oficjalnie angażować egzorcystów, toteż zatrudnia ich jako ochronę i przepuszcza płace przez odrębny budżet. Prentice jest w Saint Mary's równie trwałym elementem wyposażenia jak grzyb za kiblem.

Prentice, patrzący na mnie wrogo od chwili, gdy wymówiłem jego nazwisko, zerwał się z miejsca i otworzył usta.

- Proszę wybaczyć mi to określenie - dodałem drobiazgowo. - Nie porównałem go do grzyba w sensie osobistym ani moralnym.

- Wysoki sędzie! - wykrztusił z oburzeniem Prentice.

Sędzia Runcie przerwał mu, surowo marszcząc czoło.

- Panie Castor, jeśli jeszcze raz usłyszę powtórkę tego zaczepnego tonu, potraktuję to jako obrazę sądu. I uważa pan ową znajomość za dowód porozumienia?

- Nie - przyznałem. - Nie automatycznie. Ale profesor Mulbridge rozpaczliwie pragnie dostać w swe ręce Rafiego, ponieważ - lepiej starannie dobierać tu słowa - jego stan jest bardzo rzadki i bardzo dokładnie pasuje do jej własnych badań. Sędzia musi sam przyznać, że sprawa nieco śmierdzi, jeśli instytucja próbująca wykraść Rafaela Ditko, zabrać go wbrew jego własnym życzeniom i woli jego najbliższych, potrafi wypełnić trybunał własnym personelem. Wygląda to trochę jak fałszowanie wyborów.

Jenna-Jane uniosła rękę i sędzia zwrócił ku niej wzrok.

- Wysoki sędzie - powiedziała, z ledwie wyczuwalną nutką wyrzutu - czy mogłabym coś zauważyć? Nie w celu odparcia zarzutów panny Bruckner i pana Castora, lecz wskazania istnienia problemu, z którym musi się zmierzyć trybunał?

Sędzia Runcie zezwolił jej gestem. Jenna-Jane w podzięcie skinęła głową.

- Ośrodek, którym kieruję w Saint Mary's - zaczęła, niczym czyjaś babcia wspominająca koronację królowej - służy badaniu, leczeniu i

lepszemu zrozumieniu osób cierpiących na bardzo szczególne dolegliwości. Wielu moich pacjentów święcie wierzy, że są opętani przez zmarłych, albo też, że są martwymi duszami zasilającymi zwierzęce ciała. Jak pan wie, nie dysponujemy zbyt bogatą wiedzą naukową w podobnych kwestiach. Próbując ją powiększyć, muszę sięgać po wielu ludzi dysponujących wiedzą natury bardziej empirycznej niż akademickiej.

Dobrze znałem gadkę Jenny-Jane i wiedziałem, do czego prowadzi, toteż słuchałem z obojętnym zainteresowaniem. Musiałem jej przyznać 5.9 za efekt artystyczny, ale jedynie 5.6 za wartość techniczną - dobrze dobrała pełen szacunku ton, ale przesadziła z oględnością.

- Proszę do rzeczy, profesor Mulbridge - upomniał ją sędzia.

- Bardzo przepraszam, wysoki sędzie. Chodzi o to, że Rafael Ditko twierdzi, że został opętany przez demona. Wstępna diagnoza doktora Webba zakładała schizofrenię paranoidalną, teraz jednak przyznaje, że istnieją pewne anomalie podające ją w wątpliwość. Chce przeniesienia Ditko zarówno dlatego, że stanowi on zagrożenie dla personelu ośrodka Stangera, jak i dlatego że nie dysponuje odpowiednimi środkami pozwalającymi leczyć pacjenta. Decyzja w sprawie pana Ditko wymaga zatem znajomości czynników nie tylko psychologicznych, ale też paranormalnych. A w całym Zjednoczonym Królestwie trudno znaleźć jakiegokolwiek specjalistę w tych dziedzinach, ściślej mówiąc egzorcystę, który w ciągu ostatnich dziesięciu lat w jakimś momencie ze mną nie pracował. Nawet sam pan Castor - odwróciła się ku mnie z tolerancyjnym uśmiechem, po raz drugi spojrzeliśmy sobie w oczy - jeszcze do względnie niedawna był bardzo cenionym współpracownikiem Kliniki Ontologii Metamorficznej.

Sędzia popatrzył na mnie z lekkim zdumieniem.

- Czy to prawda, panie Castor?

Cholera. Czasami, jeśli nie walczy się co dzień na noże z Jenna-Jane, człowiek zapomina, jak bezbłędnie trafia ona prosto w serce.

Nie było sensu stosować uników i zaprzeczeń.

- Owszem, to prawda - przyznałem. - Prawdą jest też, że wielu egzorcystów w przeszłości było związanych z KOM. To jednak co innego, niż pozostawanie nadal w stanie czynnej współpracy. Łatwo można też znaleźć psychiatrę, który nie siedzi w kieszeni Jenny-Jane.

- Psychiatrę zajmującego się behawioralnymi i psychologicznymi aspektami zmartwychwstania cielesnego? - wtrąciła Jenna-Jane, stukając kciukiem w notatnik.

- Nie macie monopolu na... - wtrąciła Pen.

- Proszę! - W głosie sędziego Runcie dźwięczała wyraźna nuta rozdrażnienia. - Muszę nalegać, by wszystkie uwagi kierowano do mnie, i prosić o odpowiadanie wyłącznie na moje bezpośrednie pytania. Proszę usiąść. Wszyscy usiądźcie. Nie prosiłem nikogo, by wstawał.

Posłuchaliśmy, ale sędzia już zdążył się zjeżyć i nie sprawiał wrażenia zadowolonego.

- Dziękuję. Wygląda na to, że mamy do czynienia z dwiema odrębnymi kwestiami, jedną dotyczącą domniemanej opieki prawnej panny Bruckner, drugą wiążącą się z właściwym doбором członków trybunału. Panie Fenster, czy istnieją inne aspekty tej sprawy, o których mnie pan nie poinformował?

- Nie, wysoki sędzie - odparł adwokat, przyjmując na klatę zawartą w tych słowach krytykę. - To dwie najważniejsze sprawy.

Sędzia zerknął na Pen.

- Zgadza się pani z tym podsumowaniem, panno Bruckner? Czy dość dokładnie określono charakter kwestii podstawy założonej sprawy?

Pen zawahała się, po czym przytaknęła.

- Tak, wysoki sędzie.

Zapadła cisza. Czcigodny sędzia Runcie nie wyglądał na uszczęśliwionego.

- A trybunał nie ma zajmować się warunkami przymusowego zamknięcia Rafaela Ditko, lecz jedynie jego przeniesieniem z jednego ośrodka do drugiego.

- Wysoki sędzie. - Adwokat przybrał przejmująco smutną minę. - W ciągu ostatniego roku pan Ditko brał udział w pięciu wypadkach w ośrodku Stangera, w wyniku których doszło do uszkodzeń ciała i napaści na personel. Obecnie, poza zwykłym, periodycznym zatwierdzeniem stanu faktycznego, nie ma planów zmiany jego statusu i leczenia. Nikt nie twierdzi, że można mu pozwolić bezpiecznie dołączyć do reszty społeczeństwa.

Runcie posłał Jennie-Jane wyjątkowo przeciągłe i twarde spojrzenie.

- Profesor Mulbridge, zakładam, że pani sama nie miała nic wspólnego z wyborem członków trybunału?

Jenna-Jane z rozmachem rozłożyła ręce.

- Wysoki sędzie, to zadanie miejscowych władz, w tym wypadku wydziału z Haringay. Jeśli chodzi o ich procedury wewnętrzne, nie pytam i nie dostaję odpowiedzi.

Sędzia przytaknął.

- Tak. Rozumiem. Ja jednak mam możliwość spytania i zapewne

otrzymam odpowiedź. Na razie jednak stwierdzam wstępnie, że istnieje możliwość wystąpienia konfliktu interesów. Zachowuję otwarty umysł, ale zamierzam zarządzić trzydniowe zawieszenie postępowania, podczas którego przyjrę się procedurom wyboru członków i upewnię, czy przestrzegano wszystkich stosownych przepisów. - Zastanowił się. - W kwestii opieki prawnej to problem wykraczający poza stan obecny. Nie mogę zadecydować, kierując się przyjętymi a priori założeniami. Nawet jeśli doktor Webb traktował pannę Bruckner i pana Castora jako posiadających odpowiednie uprawnienia, nie oznacza to, że je mają w oczach prawa. Uważam, panno Bruckner, że powinna pani zasięgnąć porady prawnika i może przemyśleć kwestię zatrudnienia adwokata. - Odruchowo pogładził grzbiet nosa. - Biorąc pod uwagę, że pan Ditko nie może legalnie udzielić świadomej zgody, póki pozostaje zamknięty z powodu choroby psychicznej, niemal na pewno będzie musiała się pani zwrócić do sądu wyższej instancji.

- Ale wysoki sędzie... - wtrąciła wzburzona Pen.

Sędzia uniósł dłoń.

- Doskonale rozumiem pani pozycję, panno Bruckner, i współczuję. Niewątpliwie wierzy pani, że postępuje zgodnie z najlepszymi interesami Rafaela Ditko. Jednakże opieka prawna dałaby pani szeroki zakres uprawnień dotyczących zarządzania jego majątkiem, a także wszystkimi przyszłymi decyzjami w kwestii leczenia. Zabezpieczenia muszą istnieć i należy ich przestrzegać. Przykro mi. Muszę jednak dodać, że ma pani mocne argumenty. Proszę znaleźć sobie dobrego pomocnika i przygotować pełną argumentację prawną. Ja tymczasem skupię się na składzie trybunału.

Wstał, całkowicie zaskakując urzędnika, tak że okrzyk „proszę wstać” zabrzmiał nieco panicznie. Sędzia zebrał papiery.

- Ogłaszam przerwę trwającą trzy dni - oświadczył. - Następne posiedzenie odbędzie się w czwartek na sesji popołudniowej. Zechce pan zapisać, panie Farrier?

Wymaszerował z sali, nie oglądając się za siebie.

Jenna-Jane włożyła zakiet. Pen tylko stała, wyglądając jakby zgubiła pieniądze i zamiast nich znalazła wrzody dżumy. Wiedziałem, co jej chodzi po głowie: po przestawieniu wątku opieki prawnej na boczny tor musieliśmy wyeliminować pomagierów Jenny-Jane z trybunału, albo klepnąć wszystko bez mrugnięcia powieką. Z drugiej strony, czcigodny sędzia Runcie - choć niewątpliwie pompatyczny i głęboko zadowolony z siebie - nie wydawał się głupi. Nadal uważałem, że mamy szansę.

Z sądu prowadziły dwa wyjścia, toteż Jenna-Jane musiała z rozmysłem wybrać dłuższą drogę, by móc przystanąć przed Pen.

- Tak mi przykro, Pameló - powiedziała z oblesnie szczerą miną. - Chcę żebyś wiedziała, że jeśli Rafi trafi pod moją opiekę, oddam do jego dyspozycji wszystkie środki, jakimi dysponuje mój oddział. Jeśli da się przywrócić mu zdrowie, zrobimy to.

Pen przez chwilę przyglądała się jej oszołomiona, w milczeniu. Potem gwałtownym gestem cofnęła rękę i zacisnęła pięść. Ja ruszyłem do akcji, nim zdążyła wyprostować łokieć. Wśliznąłem się między nie, zwrócony plecami do Pen. Felix Castor. Żywa tarcza.

- Jenno-Jane - powiedziałem - wciąż umiesz zawrócić mi w głowie. Choć, może ujmę to inaczej, na twój widok robi mi się niedobrze. Mam przy sobie dyktafon, więc może przestaniesz się mieszać w nie swoje

sprawy i pójdziesz się pobawić w elektrowstrząsy?

- Felix. - Jenna-Jane pokręciła głową z udaną desperacją. - Zdecydowałeś się mnie nienawidzić, ale ja darzę cię wyłącznie szacunkiem i uznaniem. Mam nadzieję przyjąć cię któregoś dnia z powrotem. Czeka nas wojna i chcę cię mieć u boku. Bardzo mi na tym zależy. Może twój przyjaciel Rafi stanie się mostem, który nas połączy.

- Chcesz powiedzieć, że zamierzasz położyć go na ziemi i po nim deptać? - spytałem. - Powtórz to sądowi.

Uniosła ręce w geście poddania i odeszła. Odwróciłem się do Pen, dygoczącej jak trącony kamerton.

- No cóż, poszło tak, jak mogliśmy przewidzieć.

- Odwal się, Felix. - Oczy Pen wezbrały łzami, które płynęły po policzkach. - Odwal się i nigdy więcej nie odzywaj się do mnie.

Odwróciła się na pięcie i ruszyła wzdłuż pustych krzeseł, potykając się o czyjaś aktówkę i odrzucając ją na bok kopniakiem. Nie było to może dramatyczne wyjście, ale zadziało.

Jak brzmi ten stary cytat z Groucho Marksa? Zresztą nieważne: mam wielu wrogów. Ale jeśli kiedykolwiek zacznie ich brakować, większość moich przyjaciół czeka za kulisami, gotowa spróbować.

„Czeka nas wojna i chcę cię mieć u boku”. Jenna-Jane Mulbridge naprawdę wierzy w te pierdoły, i nie tylko ona.

Ich teoria głosi, że martwi powstałi jedynie po to, by przygotować nadejście demonów, które teraz zaczęły się pojawiać same. W ścianach stworzenia otwarła się dziura; piekło posłało w nią swoje legiony, a nasza strona jak dotąd nie tylko nie dysponowała armią, ale nawet plakatem z

chwytliwym hasłem.

Pierwszy i największy z egzorcystów, Peckham Steiner, także w to wierzył, i pod koniec życia poświęcił cały osobisty majątek tworzeniu ochrony dającej żywym szansę w wojnie, kiedy w końcu wybuchnie: stworzył Kolektyw z Tamizy, koszary dla ducholapów na płynącej wodzie, której nie mogli przekroczyć martwi i potępieni, bezpieczne kryjówki, otoczone wałami wody, ziemi i powietrza. Uważałem, że to miejska legenda, dopóki sam jednej nie obejrzałem i nie odgadłem jak działa; a także dziesiątki innych, szalonych pomysłów przyprawionych całą gamą obłąkańczych wizji. Klasyczne objawy paranoi, na tym etapie życia, jednak znacznie trudniej mi było wyśmiać je wszystkie.

Jeśli faktycznie nadciągała wojna, to Rafi Ditko był już terenem podbitym. Zabawiając się czarną magią, otworzył drzwi do piekła wewnątrz własnej duszy, i wielkie, paskudne, wredne coś, nazywające siebie Asmodeuszem, przekroczyło ich próg. Teraz Rafi siedział zamknięty w celi trzy na trzy w szpitalu dla wariatów, bo prawo nie zdążyło jeszcze uznać nowych faktów i jedyną diagnozą pasującą do jego objawów pozostawała schizofrenia. A cele wyłożono srebrem, bo, niezależnie od prawa, trzeba było robić to, co działa. Srebro osłabiało Asmodeusza i nie pozwalało mu przejąć pełnej władzy nad Rafim - przez większość czasu. Melodie, które mu grałem, miały ten sam skutek, spychały demona głębiej w tyłomózgowie Rafiego, dając świadomości właściciela nieco więcej pola manewru. Niestety, fakt, że Asmodeusz w nim utkwiał, był także częściowo moją winą. Przybywszy na wezwanie spanikowanej dziewczyny Rafiego, Ginny, znalazłem go zżeranego gorączką. Zrobiłem co mogłem, by ją powstrzymać, ale pierwszy raz miałem do czynienia z

demonem i, mówiąc brutalnie, spieprzyłem sprawę. W istocie spieprzyłem ją tak dogłębnie, że Rafi i Asmodeusz złączyli się ze sobą w sposób, którego jak dotąd nikt nie zdołał zrozumieć, a co dopiero odwrócić.

A potem, parę miesięcy temu, kiedy miałem szansę na zawsze przerwać łączącą ich więź, wycofałem się, bo cena - wypuszczenie Asmodeusza na Ziemię - wydała mi się zbyt wysoka. Nadal uważam, że miałem rację, ale nie potrafiłem tego wytłumaczyć tak, by Pen zrozumiała: w istocie nigdy nie zdołałem powiedzieć do niej więcej niż dwóch słów, zanim albo mi przywaliła, albo odeszła.

Pen - Pamela Elisa Bruckner - to była kochanka Rafiego i moja była gospodyni, była przyjaciółka - oraz była wobec wielu innych spraw. A nasze i tak już napięte stosunki pogarszało jeszcze to, że przez problemy ze Stangerem wciąż musieliśmy się spotykać. Od czasu gdy pół roku wcześniej demon uwolnił się i o mało nie zabił dwóch członków personelu Stangera, Webb, próbował się pozbyć Rafiego. Teraz zawiązał złowieszcze przymierze z Jenna-Jane, zamierzając przekazać go w prezencie KOM w Paddington. A KOM była obozem koncentracyjnym dla nieumarłych. Jenna-Jane dużo gadała o opiece klinicznej i obowiązkach lekarskich, jednocześnie przeprowadzając na swych bezradnych pacjentach eksperymenty coraz bardziej sadystycznej i ekstremalnej natury. Rozpaczliwie pragnęła dopaść Rafiego, bo w jej menażerii - pełnej duchów, zombie, wilkołaków, był nawet jeden biedak uważający się za wampira - jak dotąd brakowało demona. Musieliśmy więc pracować z Pen razem, by zablokować jej machinacje, czy nam się to podoba czy nie.

Tymczasem wojna - jeśli w ogóle była to wojna - wciąż pozostawała w fazie „zimnej” - zresztą trudno się spodziewać czegoś innego, skoro

wrogiem są umarli.

Tego dnia miałem już powyżej uszu prawników, ale obietnica to obietnica. Nawet jeśli składamy ją w obawie, że złamią nam rękę. Mogłem po prostu zadzwonić, ale i tak musiałem odebrać amalgamat srebra od sprzedawcy materiałów dentystycznych z Manor Hause.

Okazało się, że biura kancelarii Ruthven, Todd i Clay mieszczą się w zaadaptowanej do tego celu wiktoriańskiej czynszówce z czekoladowobrązowej cegły, na końcu lekko zapuszczonego rzędu szeregowców z późniejszej epoki. Po obu stronach drzwi wisiały pomalowane na jaskrawoniebiesko skrzynki, wypełniała je tylko goła ziemia. To nie pora roku na kwiaty.

Drzwi frontowe także były puste - żadnych amuletów, pieczęci, czarów blokujących i ochronnych. Może źli umarli unikają prawników z zawodowej uprzejmości, jak podobno czynią to rekiny. Zszedłem z ulicy i znalazłem się w niewielkiej recepcji, która, sądząc po skromnych rozmiarach, pierwotnie musiała być wejściowym holem domu. Dobrą połowę dostępnej przestrzeni zajmowały szerokie kręte schody, resztę zagarnęła wielka, czcigodnie staroświecka fotokopiarka. Ktoś zdjął osłony z maszyny i oparł je o ścianę: niewiarygodnie gruby i blady łysy mężczyzna klęczał przed nią, jedną rękę wpychając po łokieć w mechaniczne wnętrze. Wyglądał jak weterynarz starający się pomóc przy trudnym porodzie. Kiedy wszedłem, zerknął na mnie i patrzył dalej, jakby próbował umiejscowić moją twarz. Czoło pokrywała mu lśniąca warstewka potu, kąciki półotwartych ust wyginały się w dół, niczym miękki zegar z obrazu Salvadora Dalego. Młoda brunetka, siedząca za

biurkiem pod schodami, z zainteresowaniem obserwowała jego pracę. Nie przypuszczałem, że zepsuta kopiarka zasługuje na taką uwagę. Może nie mieli akurat zbyt wielu klientów?

- Chciałbym porozmawiać z panem Toddem - poinformowałem, gdy oderwała wzrok od pokazu mechanicznego położnictwa. - Dzwoniłem wcześniej. Felix Castor.

Dziewczyna przesunęła palcem po bardzo pełnej kolumnie szerokiego rejestru spotkań.

- Felix Castor - potwierdziła. - Tak. Proszę usiąść.

Miałem do wyboru kilka krzeseł, wybrałem zatem stojące najdalej od pana złotej rączki, podniosłem wczorajszego „Timesa” i zacząłem go przeglądać. Tymczasem recepcjonistka zadzwoniła na górę. Raz jeden zerknąłem na tłuszciocha kątem oka: nadal klęczał na ziemi i wciąż na mnie patrzył, choć kiedy go na tym przyłapałem, z lekkim grymasem wbił wzrok w ziemię i wrócił do przerwanej pracy.

- I co, Leonardzie? - spytała recepcjonistka.

Facet ponuro pokręcił głową.

- To nie jest zwykła blokada - odpowiedział głosem wyższym niż oczekiwałem i lekko piskliwym, zupełnie jakby połknął małe urządzonekko zamieniające słowa dorosłego w piskliwy skrzek lalki. - Chyba jedna z rolek spadła z mocowań.

Pochylił się i sięgnął w głąb maszyny - tym razem obiema rękami. Kopiarka poruszyła się w posadach i zatrzeszczała złowieszczo.

- Panie Castor...

Uniosłem wzrok. Todd schodził ze schodów z wyciągniętą ręką. Był ubrany w inny garnitur - niebieski zamiast szarego, w subtelny rzucik.

Może miał po jednym na każdy dzień tygodnia. Wstałem i uścisnęliśmy sobie ręce.

Ten gest to dla mnie zawsze drobny skok w nieznaną. Ta sama upiorna wrażliwość, która pozwala mi wyczuwać obecność umarłych, czasami umożliwia także odbieranie płytkich wrażeń psychicznych poprzez kontakt z czyjąś skórą. Tym razem nie wyczułem nic, a przynajmniej nic ciekawego: Maynard Todd promieniował jedynie chłodną aurą opanowania i fachowości, równie nieskazitelną jak robota jego krawca.

- Dziękuję, że pan przyszedł - powiedział, a potem spojrzał ponad moim ramieniem i jego czoło zmarszczyło się w lekkim zdumieniu. - Uch, Leonardzie, na pewno wiesz, co robisz?

- Tak - mruknął nerwowo Leonard.

Widziałem, że Todd zastanawia się nad dalszym zgłębianiem tematu, i zobaczyłem też, jak się poddaje. Odwrócił się do recepcjonistki.

- Carol - polecił - wezwij pomoc techniczną.

- Tak, panie Todd.

- Mogę to naprawić. - Leonard nie patrzył na nas.

- Proszę na górę - rzekł Todd, nie zwracając na niego uwagi. - Napije się pan może kawy albo herbaty?

- Nie, dziękuję - odparłem i podążyłem za nim szerokimi schodami.

Kiedy skręciliśmy wraz z nimi, Leonard nadal klęczał na ziemi, skupiony na obowiązkach weterynaryjnych.

- John Gittings. - Todd obejrzał się na mnie, nie zwalniając. - To w jego sprawie pan dzwonił, prawda?

- Zgadza się - przytaknąłem.

- I widziałem pana na pogrzebie.

- Znów się zgadza.

- Tak też sądziłem. To pan wkroczył, kiedy tubylcy zaczęli się niepokoić. Dziękuję za to.

Nie odpowiedziałem. Trochę niezręcznie zabrzmiałoby wyjaśnienie, że bardziej martwiło mnie możliwe oskarżenie Reggiego i Grega o napaść, niż dobre samopoczucie Todda.

Schody ciągnęły się w górę i ciągnęły, i straciłem rachubę zakrętów, nim dotarliśmy do biura Todda. Okazało się zaskakująco małe, ale też czynszówki to najtańsze wiktoriańskie domy robotnicze i ich twórcy wydzielali przestrzeń jak złoto. Todd wskazał ręką krzesło, po czym okrążył biurko i uniósł rolety w oknach, wychodzących na przypominające studnię podwórko. Ów gest nie poprawił zbytnio wpadającego do środka szarego światła. Wyglądało na to, że w tym pokoju nawet w południe w środku lata trzeba zapalać lampę.

Siadając, mój gospodarz otworzył zieloną teczkę, czekającą już na biurku; wewnątrz tkwił gruby plik papierów. Zająłem miejsce naprzeciwko.

- John Gittings - powtórzył, przeglądając dokumenty na wierzchu teczki szybkimi, wyćwiczonymi ruchami. - Sporo myślałem o tej sprawie.

- Czyżby? - spytałem z uprzejmości.

Przytaknął.

- A ściślej, o odczuciach pani Gittings - wyjaśnił. - Jak mówiłem, zamierzam zdobyć nakaz ekshumacji, wykopać Johna i zabrać do Mount Grace, gdzie zostanie skremowany. Nie mam w tej kwestii wyboru.

- Z pewnością.

Musiał wyłapać ironiczny ton mego głosu, bo spojrzał na mnie z lekką urazą.

- Naprawdę. Sądzi pan, że z przyjemnością zjawiłem się na pogrzebie, odgrywając czarny charakter z niemego filmu, strasząc wdowę, przeszkadzając w uroczystości? Bynajmniej. Zupełnie mi się to nie podobało. Ale mój klient bardzo jasno wyraził swe życzenia.

Nie odpowiedziałem natychmiast. Przyszedłem tylko po to, by potwierdzić daty, skoro jednak sam zaczął, uznałem, że głupio byłoby przynajmniej trochę nie pogrzebać.

- Carla uważa, że John cierpiał na rodzaj demencji.

Todd skrzywił się boleśnie.

- Pani Gittings ma ten luksus, ja nie. Chyba że dowiedzie tego w sądzie. W przeciwnym razie muszę zakładać, że John wyrażał swe życzenia, będąc przy zdrowych zmysłach, i odpowiednio do tego postępować.

- Jest jeszcze coś, co powinien pan wiedzieć - oświadczyłem. - Panią Gittings nawiedza duch jej męża.

Umilkłem, patrząc mu w twarz. Jak mówiłem, prawo potrzebuje czasu, by doścignąć zmieniający się świat, a wielu ludzi obdarzonych racjonalnymi umysłami w jakiś sposób przechodzi przez życie, nie widując niczego, co mogłoby podważyć przyjęte przez nich zasady. Całkiem możliwe, że Todd był jednym z nich: Pen nazywała ich westalkami. Kimś, kto nigdy nie widział ducha ani innej postaci wskrzeszonych umarłych i nie potrafił zmusić się do dokonania skoku w nieznane bez wcześniejszego poznania dowodów.

On jednak mnie zaskoczył.

- Przykro mi to słyszeć - rzekł.

Wyglądał tak, jakby to była prawda.

- Jest jeszcze gorzej. Nie wiem czy John w chwili śmierci był zdrow na umyśle, ale teraz z całą pewnością już nie jest. Duch się niepokoi i okazuje to. Gwałtownie. On...

- Zgeistował - dokończył Todd, a ja przytaknąłem. Zaimponował mi znajomością technicznego określenia. Wydał policzki. - Cholera - mruknął, a potem długi czas wbijał wzrok w podłogę, przesuając z roztargnieniem kciukiem po krawędzi blatu. - Cóż, to... tak, to bardzo niepokojące. Musi jej być bardzo ciężko. Ujrzeć kogoś, kogo się kochało, i pewnie nadal kocha...

Zapadła długa cisza. W końcu Todd spojrzał na mnie i pokiwał głową, jakbym przedstawił mu jakiś nieodparty argument.

- Chcę jej oszczędzić możliwie jak najwięcej stresów - oznajmił. - Zwłaszcza po tym, co mi pan powiedział. Proponuję zatem czuwanie.

Wydało mi się, że źle usłyszałem.

- Czuwanie? - Powtórzyłem. - To znaczy przyjęcie?

Todd krótko pokręcił głową.

- Nie, nie przyjęcie. Jedną noc, gdy trumna wróci do domu, a pani Gittings będzie mogła przy niej posiedzieć. Być może wówczas duch Johna pogodzi się ze swoją... gwałtowną śmiercią. Sądzi pan, że to dobry pomysł?

Przez chwilę przetrawiałem jego słowa i musiałem przyznać - przynajmniej przed sobą samym - że owszem. Nie wiedziałem, czy pozwoli to Carli zamknąć pewien etap życia, ale kiedy duch Johna zobaczy, że jego ostatnie życzenie zostało wypełnione co do joty, powinien

zaznać spokoju. W teorii powinno to zakończyć nawiedzenie. Jeśli da się zmarłym to, czego pragną, nie potrzeba egzorcyzmów.

Zamiast tego powiedziałem jednak:

- Moje zdanie tak naprawdę nie ma znaczenia. Porozmawiam o tym z Carla. Zobaczymy co powie.

Todd wsunął papiery z powrotem do teczki, zamknął ją i wstał.

- Proszę tak zrobić - rzekł. - Jeśli istnieje sposób załatwienia sprawy pozwalający oszczędzić jej uczucia, ten właśnie sposób wybierzemy. Dziękuję, że pan przyszedł, panie Castor. Cieszę się, że mi pan powiedział.

- Kremacja - przypomniałem. - Kiedy ma się odbyć?

- Najpewniej we środę. Ale wszystko zależy od tego, jak szybko zdołamy dokonać ekshumacji. Możliwe, że w czwartek. Proszę pomówić z panią Gittings i dać mi znać, co zdecyduje. Och, i gdyby pan mógł zostawić Carol swój numer... Sądzę, że w tych okolicznościach pani Gittings wolałaby, żebym do niej nie dzwonił. Toteż jeśli zechce pan nadal służyć za pośrednika...

- Chętnie - powiedziałem pogodnie. - Dzięki, że mnie pan wysłuchał.

Wróciłem na dół i podałem mój adres oraz numery telefonów znudzonej brunetce. Fotokopiarka była jeszcze bardziej rozmontowana. Leonard zniknął bez śladu.

Wyszedłem na ulicę. Dochodziła piąta i choć wiszące nisko na niebie leniwe słońce dawało jeszcze nieco światła, skłębiony wał szarych chmur połykał je całe, niczym pyton morską świnkę.

Chodnikiem zbliżał się ku mnie chudy jak szkielet staruszek, pokryty brudem lat spędzonych na ulicy i odziany w długi, powłóczysty płaszcz, tak brudny i wystrzępiony, że nie dało się odgadnąć nie tylko jego

pierwotnej barwy, ale nawet kroju. Odruchowo odsunąłem się na bok, ale jednocześnie nim zarzuciło i wpadł prosto na mnie. Jego szalone, mętnotną oczy spojrzały w moje.

- Przy wodopoju - rzekł suchym, ochryłym, raniącym gardło szeptem. - Z całą resztą za tobą. Popychają. Popychają. Nie ma dokąd iść.

Zaśmiał się głośno, zachwycony nagłym objawieniem, i smród jego oddechu uderzył mnie w twarz jak policzek.

Skrzywiłem się i odchyliłem, uciekając przed palącym odorem, on jednak już się oddalał - teraz śpiewał, tym samym ostrym, zbolałym tonem.

- Diabeł zdołał wyprzedzić Pana, czas już, byśmy wszystko naprawili...

Nie rozpoznałem melodii, ale tak czy inaczej, ów ochryły głos zamieniał ją w strzępy.

Wstrząsnął mną nagły, mimowolny dreszcz, a wraz z nim poczułem dręczące ukłucie gdzieś na skraju świadomości - drobne wrażenie nacisku, które zwykle pojawia się, kiedy patrzy na mnie jeden z powstałych umarłych. Rozejrzałem się i nie dostrzegłem nikogo, prócz rozkładającego się włóczgi, który oddalał się zwrócony do mnie plecami, i kobiety po drugiej stronie ulicy, wiozącej dziecko w wózku. Może ostatnie wydarzenia sprawiły, że stałem się przewrażliwiony: wsunąłem dłoń pod płaszcz, sprawdzając, czy flet tkwi na miejscu, i zapomniałem o psychicznym ostrzeżeniu. Pewnie to nic, ale jeżeli jednak, miałem przy sobie wszystko, czego potrzebuję.

Skierowałem się na północny zachód, zamierzając złapać pociąg na stacji Finsbury Park. To dawało mi wybór - albo potężne nadłożenie drogi

przez Stanford Hill i Seven Sisters Road, albo boczne uliczki. Zdecydowałem się na te drugie, skręciłem z głównej trasy i zagłębiłem się w labirynt czynszowych zaułków i wąskich alejek. Poczucie, że jestem obserwowany - obserwowany i śledzony - narastało i słabło. Nigdy wcześniej nie zdarzyło mi się nic podobnego i zastanawiałem się nawet, czy to może nie spóźniony efekt spotkania z duchem Johna Gittingsa. Wszystkie duchy poruszają mój zmysł śmierci, lecz geisty mają wyjątkowo intensywną, namacalną obecność, z której trudno się potem otrząsnąć. Może od tamtego dnia przyczała się gdzieś w zakątku pola mojej percepcji.

Skręciłem w kolejną ulicę, kolejną alejkę, kierując się na zmianę na północ i zachód, tak by w końcu wyjść na Seven Sisters Road, gdzieś za zbiornikiem. Tymczasem ciemność ściekała z nieba, pokrywając ziemię, a mrowienie w głębi umysłu zamieniło się w swędzenie, wkrótce przyprawione pieczeniem, jak na skórze zbyt długo wystawionej na słońce.

Znów skręciłem, podążając uliczką wiodącą między dwoma podwórkami rzędu szeregowców i wysoką, ślepa ścianą, za którą zapewne mieścił się zbiornik. Postąpiłem dziesięć kroków naprzód, po czym obróciłem się na pięcie i czekałem, patrząc w stronę, z której przyszedłem. Teraz, gdy się nie poruszałem, powinienem usłyszeć kroki każdego, kto zbliżałby się do pokonanego właśnie winkła. Lecz wokół panowała absolutna cisza.

Przede mną rozciągała się rozległa plama cienia, tak gęstego, że gdyby coś umarłego bądź nieumarłego wynurzyło się zza zakrętu, mógłbym stracić inicjatywę, bo nie zdołałbym się przyjrzeć i stwierdzić co

to. Niecierpliwie cofnąłem się kilka kroków i moja stopa natrafiła na coś ruchomego. Obok ze świstem powietrza przemknęła czarna sylwetka; poczułem powiew na twarzy, gdy krzyknąłem i odskoczyłem w bok. Chwilę później mych uszu dobiegło oburzone miauknięcie.

Kocur, wielki i tłusty, wałęsający się po dworze.

Ze stłumionym przekleństwem pobiegłem na róg, skręciłem i wróciłem na ulicę. W pobliżu nie widziałem nikogo ani niczego. Zdumiałbym się, gdyby było inaczej po ostrzeżeniu, jakim ich poczęstowałem. W kategorii zasadzek tę ostatnią dzieliło wiele klas od Little Big Horn. Jakby na potwierdzenie bezużyteczności mych wysiłków, ponadzmysłowe mrowienie znów osłabło i zniknęło.

Co, biorąc pod uwagę, że od początku było jedynie śladowe i ledwo dostrzegalne, nie wymagało zbyt dużo.

Miałem właśnie powiedzieć, że wróciłem do domu. Ale kiedy używam tego słowa, nadal myślę o zapuszczonej chałupie Pen przy Turnpike Lane, wraz z jej Arką Noego, pełną szczurów i kruków i Moebiusową architekturą. (Wbudowano ją w zbocze wzgórza, toteż parter od frontu, z tyłu jest piwnicą).

Obecnie jednak - od kilku tygodni czy może miesiąca - zajmowałem mieszkanie w wysokościowcu przy Wood Green High Road - mieściło się tak wysoko, że z okna widziałem wieżę Centre Point, pokazującą mi palec z drugiej strony Londynu.

Mieszkanie należało do kumpla kumpla - gościa nazwiskiem Ronald „Ropey” Doyle, który wrócił do Republiki Irlandii z powodu niecierpiących zwłoki spraw rodzinnych i nie chciał stracić mieszkania

komunalnego podczas nieobecności. Potrzebował lokatora, kogoś, kto w razie potrzeby mógłby go udawać, a ja potrzebowałem miejsca, gdzie mógłbym zostawić rzeczy, dopóki nie przyjdzie mi do głowy coś lepszego. Wszystko wyglądało pięknie. Stało się nieco mniej piękne, kiedy zgasły światła i odkryłem, że wszystkie media są podłączone do licznika na monety, a zupełnie zbrzydło, gdy za pierwszym razem zepsuła się winda. Samo mieszkanie śmierdziało gotowanymi jarzynami, a kiedy padał deszcz, ściany płakały odbarwionymi łzami, pozostawiającymi na farbie ślady w brązowych obwódkach. Wnętrze urządzone w czarnej skórze i grubych, pomarańczowych dywanach. Ale przynajmniej miało cztery ściany i dach nad głową. Zebracy nie mogą grymasić.

Dziś jednak, maszerując Lordship Lane ze stacji metra Wood Green, czułem przemożną potrzebę, żeby znaleźć się gdzie indziej. Uczucie to jedynie wzrosło, kiedy skręciłem w Vincent Road i przekonałem się, co parkuje przed blokiem: wysoka, niebieska furgonetka z widocznym na szybie odwróconym napisem „Usługi porządkowe Bowyer”.

Sukinsyny! Byłem pewien jak złoto, że zgubiłem Życiowców na M25. Wyglądało jednak na to, że nie tylko towarzyszyli mi przez całą drogę do Southgate, ale wciąż mnie śledzili, kiedy wyszedłem od Carli i wracałem do domu metrem. Wiedzieli, gdzie mieszkam. W połączeniu z opowieścią Louise Beddows o zasadzkach i pobiciach nie była to zachęcająca myśl. Przede wszystkim jednak porządnie się zawstydziłem. Jak mogłem dać się nabrać bandzie amatorów? Zwykle mój instynkt sprawdza się lepiej.

W fotelu kierowcy furgonetki siedział facet. Rozproszony sodowy blask latarni odbijał się od krzywizny szyby, widziałem zatem jedynie

zarys sylwetki, nieruchomy, złowieszczy. Nie potrafiłem powiedzieć, czy na mnie patrzy, czy nie. Zwalczyłem pragnienie szarpnięcia drzwi i załatwienia sprawy tu i teraz - z tyłu furgonetki czyhała pewnie banda jego koleś.

A jeszcze milsza niespodzianka czekała na mnie, kiedy wróciłem do mieszkania. Ktoś wymalował na drzwiach grubymi krechami wciąż kapiącej czarnej farby słowa „egzorcysta = chory = trup”. Przez pół minuty przyglądałem się napisowi w martwym milczeniu, zastanawiając się co robić. Oczywiście nie były to moje drzwi frontowe, należały do Ropeya, ale jednak mieszkałem za nimi i to mój tyłek Ropey zechce skopać, kiedy w końcu wróci. Czy jednak warto za coś takiego podkładać głowę pod bejsbola? Po namyśle chyba jednak nie. Zaczekam, aż będę miał nieco większe szanse, a potem popracuję trochę nad tymi pierdzielcami.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłem po wejściu, był telefon do Carli. Poinformowałem ją o pomysle Todda ze stypą. Z początku miała wątpliwości, ale potem się przekonała. Oznajmiłem, że zadzwonię do niego i powtórzę, że może działać.

Po drugiej stronie zapadła ciężka cisza, którą podkreślił jeszcze samotny, zduszony szloch.

- Fix?

- Tak.

- Czy mógłbyś... Czy mógłbyś przyjść i być tu ze mną? No wiesz, kiedy przyniosą ciało Johna?

Zastanawiałem się nad odpowiedzią całe dwie sekundy.

- Chętnie bym to zrobił, Carlo - skłamałem - ale nie mogę. Mam teraz

zbyt wiele pracy. Zabiorę jednak komórkę i gdyby geist, to znaczy, gdyby John zbyt się podniecił, zadzwoń, a wpadnę i znów zagram mu do snu.

Rozłączyłem się, nim zdążyła podjąć kolejną próbę ataku. Drugi telefon, do biura Todda, połączył mnie z automatyczną sekretarką. Zostawiłem wiadomość. To powinno uwolnić mnie od poczucia winy i obowiązku i polepszyć mi nastrój.

Ale tak się nie stało. Włóczyłem się z pokoju do pokoju, poirytowany, niespokojny. Miałem ochotę wdać się w bójkę, którą mógłbym wygrać, ale żadna nie przychodziła mi do głowy. Wciąż wiał silny wiatr, i głos, jaki wydawał, załamując się na północno-wschodnim narożniku bloku, przypominał skowyt bólu zsampłowany i odegrany przez wietrzny syntetyzator. Słyszając go, znów pomyślałem o świętej pamięci Johnie Gittingsie, niewidzialnym i krążącym po własnym salonie, niczym schwytane w potrzask zwierzę. Co gorsza, parka za ścianą oddawała się właśnie głośniejszej namiętności, co oznaczało, że najdalej za godzinę zaczną się przeklinać i rzucać w siebie przedmiotami.

Czułem zew krwi, włożyłem zatem płaszcz i poszedłem do Lorda Nelsona. Niech sobie Życiowcy leżą tam za mną i oby weszli do środka, to wówczas wylecą przez pierdzielone okno.

No dobra, zew krwi to pojęcie względne, bo mowa tu o pubie w Wood Green. Ale jak nie zachwycić się knajpą pomalowaną jak wóz strażacki, nawet jeśli podają gówniane piwo? A alternatywą była winiarnia Yatesa, która u kogoś urodzonego w Liverpoolu budzi głęboki atawistyczny lęk i podejrzliwość.

Tego wieczoru nie grali meczu, toteż w pubie panował spokój i tego właśnie łaknęły teraz moje skołatane nerwy. W kącie grupka studentów

grała w bilard o kufle, a w szafie grającej Mike Skinner opowiadał o swych kolejnych miłościach. Zaczekałem przy barze, aż Paul podłączy nową beczkę, a potem, kiedy podszedł, wskazałem głową kranik z jasnym *ale*.

- To co zwykle - rzuciłem.

- Ktoś chce się z tobą spotkać, Fix - oznajmił, nalewając.

- Jaki ktoś?

- Kobieta.

- Młoda? Stara? Zakonnica? Policjantka?

- Sam zobacz.

Wręczając mi szklanę, ledwie dostrzegalnie skinął głową w prawo. Podałem mu piąta, pociągnąłem łyk piwa, po czym od niechcienia zerknąłem w tamtą stronę.

Przy stoliku niedaleko drzwi siedziała samotna kobieta, ubrana w elegancko skrojoną marynarkę, koszulę i spodnie, wszystko w odcieniach rdzawej czerwieni i czerni. Coś w niej skojarzyło mi się z Carlą: nienamacalna sugestia wdowiej żałoby, dziwna i niepokojąca, bo na oko nieznajoma miała najwyżej trzydziestkę. Ciemnokasztanowe włosy, skrecone po mocnej trwałości, pokryte brązowym cieniem powieki i metaliczny błyszczek na wargach. Wbijiała wzrok w ścianę, ale byłem niemal pewien, że jej nie widzi. Nawet nie tknęła stojącego przed nią dżinu z tonikiem.

Mogłem odgrywać nieśmiałego, ale byłem ciekaw, jak mnie tu znalazła i czego chce. I może rzuciłem się na szansę oderwania się od myśli ciężących mi w tej chwili w głowie. Podszedłem do stolika, pozdrowiłem ją skinieniem, kiedy na mnie spojrzała.

- Paul mówił, że pytała pani o mnie - oznajmiłem. Wyprostowała się

gwałtownie, wyrwana z zamyślenia.

- Felix Castor?

- To ja.

- Jestem Janine. Jan. Jan Hunter. - Wyciągnęła rękę, a ja ją uścisnąłem. - Dostałam pańskie nazwisko od Cheryl Telemaque. Mówiła, że jest pan dobry. Chciałabym pana wynająć.

- Mogę usiąść? - spytałem, a ona zabrała torebkę ze stołu, robiąc mi miejsce na szklanke.

Starannie unikałem pytania, co takiego zachwalała we mnie Cheryl - zważywszy, jak zakończył się nasz związek, uznałem, że lepiej nie poruszać tego tematu.

Zająłem miejsce naprzeciw Janine Hunter, która obróciła się ku mnie.

- Co się dzieje? - spytałem. To było standardowe otwarcie lekarzy, mechaników i duchołapów.

- To mój mąż - zaczęła, po czym zawahała się wyraźnie. - On...

Cisza przeciągała się. Jakkolwiek miało brzmieć następne słowo, nie mogła go wykrztusić. Spróbowałem pomóc.

- Umarł? - podsunąłem.

Zamrugła zdumiona.

- Nie! Jest w areszcie w Pentonville. - Kolejna długa pauza. - Za napaść seksualną i morderstwo.

- Rozumiem. - Czekałem na resztę.

- Ale on tego nie zrobił, panie Castor. Doug wygląda na twardziela, ale nie skrzywdziłby nawet muchy. To znaczy, muszę znaleźć prawdziwego zabójcę. Chcę, żeby powiedziała wszystkim, co zrobiła. Żeby wypuścili Douga.

W przelocie zauważyłem rodzaj żeński. Z każdą sekundą sprawa stawała się dziwniejsza, a także oddalała się zgrabnie od mojej podstawowej specjalizacji.

- Jestem egzorcystą, pani Hunter - przypomniałem najłagodniej jak umiałem. - Mógłbym znaleźć zabójczynię tylko, gdyby ona...

I nim zdążyłem dokończyć, Jan Hunter odebrała mi nieuniknioną pointę.

- Bo tak jest, panie Castor. Ona nie żyje. Nie żyje od czterdziestu lat.

Przez chwilę wpatrywałem się w Jan Hunter, przyswajając tę myśl.

- No dobra - mruknąłem w końcu. - Przyjmijmy wstępnie to założenie. Wstępnie. Proszę lepiej opowiedzieć mi całą historię. A potem powiem, czy mogę jakoś pomóc.

Zamiast odpowiedzieć, Jan pogrzebała w torebce i wyciągnęła zdjęcie, które następnie mi wręczyła. Przedstawiało mężczyznę - w tym samym wieku co ona, no, może parę lat starszego - o gładko przylizanych włosach i nieco za dużych oczach, patrzącego z niemądrym uśmiechem wprost w obiektyw i unoszącego na haczyku dwie ryby. Tło stanowiły akcesoria wędkarskie, brzeg rzeki, brezentowe krzeselko i siatka. Mężczyzna miał na sobie kraciatą, flanelową koszulę, na palcu obrączkę i tyle potrafię wam powiedzieć z pamięci. Nie była to twarz pozostająca w niej na trwałe.

- Doug - rzekłem.

- Proszę spojrzeć na jego twarz. - Głos Jan zadrżał lekko. - Wyobraża pan sobie, by kogokolwiek skrzywdził? A co dopiero zabił?

- Zabił te dwie ryby - spróbowałem przywołać ją nieco do rzeczywistości.

Posłała mi zbolale spojrzenie, a ja przepaszająco wzruszyłem ramionami.

- Może po prostu opowie mi pani, co się stało.

Raz jeszcze spojrzała na zdjęcie, głośno wciągając powietrze. Umysł

zwyciężył nad materia: zobaczyłem, jak odpycha gdzieś głęboko targające nią emocje i zamyka je. Kiedy znów na mnie popatrzyła, była niemal klinicznie spokojna.

- Tylko fakty, pszę pani? - spytała, zapewne naśladowując raczej Dana Ackroyda niż Jacka Webba.

- Na początek.

No i mi opowiedziała. I należały do najpaskudniejszych, jakie zdarzyło mi się usłyszeć.

Dwudziestego szóstego stycznia, kilka minut po czwartej po południu, niejaki Alastair Barnard, czterdzieści dziewięć lat, wynajął pokój w hotelu w King's Cross, wraz z drugim, młodszym mężczyzną - opisano go jako krótko ostrzyżonego szatyna o piwnych oczach, ubranego w czarną roboczą kurtkę, poplamioną zieloną farbą na lewym rękawie. Wzmiankowany hotel to Paragon: wynajmuje pokoje na godziny, bo jego klienci to głównie prostytutki pracujące w bocznych uliczkach przy Goods Way i Battlebridge Road.

Recepcjonista, niejaki Christopher Merrill, wręczył im klucz - pokój siedemnaście, z pięknym widokiem na stację przeładunkową. Zakładał, że młodszy mężczyzna to chłopak do wynajęcia sprowadzający frajera z ulicy. Ale nie zadawał pytań ani ich nie zagadywał, bo lepiej nie przeszkadzać w pracy najważniejszym klientom.

Zwykle widywał klientów z powrotem pół godziny później, kiedy to wychodzili razem i potem każdy szedł w swoją stronę. W tym przypadku tak się nie stało, ale recepcjonista nie dostrzegł w tym nic niezwykłego, bo całkiem o nich zapomniał. Był piątkowy wieczór, w hotelu co chwila

zjawiali się inni ludzie - to i tak było nic w porównaniu z godzinami wieczornymi, ale nadal miał sporo pracy.

Kiedy jednak minęła dziewiąta i popyt na pokoje zaczął wzrastać, Merrill zauważył, że wciąż nie ma klucza. Pięć godzin? Nawet przy podwójnej dawce viagry i kuflu azotanu amylu nikomu nie stoi tak długo. W dodatku byli mu winni pieniądze, bo zapłacili tylko za godzinę. Dręczony przykrym podejrzeniem, że faceci przedupczyli się i uciekli, wezwał sprzątacza, Josepha Ogunetę, prócz niego jedyne go członka personelu Paragonu na dziennej zmianie. Razem zabrali na pierwsze piętro klucz uniwersalny i otworzyli drzwi.

- Barnard leżał na podłodze - oznajmiła Jan, marszcząc lekko brwi, jakby recytowała z pamięci. - Spadł z łóżka, ściągając ze sobą pościel i kapę. Był w nie zaplątany, toteż widzieli go tylko od pasa w górę. Głowę miał strzaskaną na miazgę.

Recepcjonista zaczął krzyczeć, co zwabiło ludzi z sąsiednich pokoi. Większości wystarczyło jedno spojrzenie i rzucili się do ucieczki. Od tej pory żaden się nie zgłosił. To sprzątacze wezwał policję, wyjaśniając mocno akcentowanym angielskim, że doszło do jakiegoś wypadku i nie żyje człowiek.

Policjanci odrzucili hipotezę wypadku, gdy tylko przekroczyli próg. Barnarda uderzono ponad dwadzieścia razy czymś twardym i ciężkim, w dodatku z potężną siłą. Zrobiono mu też inne rzeczy - okrutniejsze i obrzydliwsze - zapewne przed śmiercią. Umarł, czołgając się po podłodze i próbując dotrzeć do drzwi.

Stwierdzono dwa rodzaje uszkodzeń czaszki i ran. Część zadano czymś tępym i zaokrąglonym, a część była węższa i przebiła kość, zamiast

ją zgnieść. Wyprzedzając kryminalistyków, którzy jeszcze nie przybyli, jeden z mundurowych - jedyny dość odporny, by obejrzeć wszystko z bliska - natychmiast i z absolutną pewnością oznajmił, że kiedy znajdą narzędzie, którym zabito pana Barnarda, okaże się nim młotek ciesielski, rozwidlony na jednym końcu.

- Miał rację? - wtrąciłem.

Jan przerwała recytację, która znów brzmiała obojętnie, niemal automatycznie.

- Jeszcze go nie znaleźli - odparła. - A czemu?

- Jeżeli bronią był młotek - powiedziałem, starannie dobierając słowa - to mowa tu o pewnym stopniu premedytacji. Nie mogła to być... zbrodnia w afekcie, bez wcześniejszych przygotowań. Zabójca przyniósł ze sobą broń.

Byłem świadom, że użyłem rodzaju męskiego, nie żeńskiego. Ale o ile czegoś nie przeoczyłem, jak dotąd w sprawie nie pojawiła się kobieta. W istocie, jeśli dobrze pamiętałem...

- Wspominała pani o wykorzystaniu seksualnym - rzekłem. - Wykorzystaniu seksualnym i morderstwie.

Jan przytaknęła.

- Ten człowiek, Barnard, odbył, jak to nazywają, „bierny stosunek analny”. Bardzo brutalny.

- Dość brutalny, by uznać go za wymuszony?

- Dość brutalny, by mieć wątpliwości. Doszło do uszkodzeń...

Nadeszła pora na najważniejsze pytanie.

- Gdzie w tym wszystkim miejsce dla Douga?

Jan wbiła wzrok w blat stołu, na którym wciąż leżało zdjęcie męża.

- Nie odszedł nawet sto metrów - powiedziała niemal obojętnie. - Nadal był umazany krwią, toteż ludzie gapili się na niego i schodzili mu z drogi. Ktoś wezwał policję, a centrala przekazała wezwanie do jednego z radiowozów wysłanych do Paragona. Kiedy wóz skręcił w Cheney Road, nie musieli nawet pytać - ludzie widzieli jak idzie, pokazali im drogę. Znaleźli Douga siedzącego na skraju chodnika, przecznicę od dworca. Siedział tam i wpatrywał się w swoje dłonie, jakby nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Natychmiast go aresztowali. Potem dopasowali DNA i oskarżyli go.

- Dopasowali DNA? - powtórzyłem. - Ale...

Nie wzdrygnęła się. W tych okolicznościach uznałem to za naprawdę imponujące.

- Tak. To nasienie mego męża znaleźli wewnątrz Alaistara Barnarda.

Kilka razy obróciłem w myślach frazę „sprawa zamknięta”, sprawdzając, czy nie kryje w sobie żadnego podwójnego znaczenia, które nie pozwoliłoby mi jej użyć. Nim jednak zdążyłem cokolwiek powiedzieć, Jan podjęła pośpiesznie.

- Temu akurat nie da się zaprzeczyć. Doug uprawiał seks z tym człowiekiem. Przypuszczam, że poszedł tam, do hotelu, specjalnie po to. Ale nie wierzę, by kogokolwiek zabił, panie Castor. Nie wierzę, żeby był do tego zdolny. Od trzech lat jesteśmy małżeństwem i Doug, mimo tego jak wygląda, mimo swego wychowania, to najłagodniejszy mężczyzna jakiego znam. Naprawdę. Ma metr dziewięćdziesiąt pięć, pracuje jako murarz i kiedyś się boksował. Ale tak naprawdę, jeśli się złości, zwraca wszystko ku sobie. Nigdy nawet nie krzyczy. Doug nie mógłby nikogo zabić, nie byłby do tego zdolny, tak jak pan czy ja.

Nie podjąłem rzuconej przynęty. To prawda, że nigdy nie wycelowałem do nikogo z broni i nie nacisnąłem spustu. Nie rozwaliłem też nikomu głowy młotkiem, ale robiłem rzeczy, które doprowadziły do śmierci innych. Robiłem je z otwartymi oczami. To wystarczyło, bym z pewnym niepokojem słuchał, jak Jan Hunter próbuje mnie przekonać o niewinności męża na podstawie faktu, że zawsze był dla niej miły.

- Wiedziała pani, że jest bi? - spytałem.

Jan gwałtownie pokręciła głową.

- Nie. Nie, nie wiedziałam. Ale przez ostatnie miesiące zdawałam sobie sprawę, że go nie zadowalam. Prawie ze sobą nie sypialiśmy, nie chciał mnie dotknąć, choć nadal... nadal sprawiał wrażenie, że mnie kocha. Czułam, że jest coś, czego nie może mi powiedzieć. Czasami budziłam się w środku nocy i słyszałam jak płacze w ciemności. Czasami zasypiałam i znów się budziłam, kilka godzin później, lecz nadal słyszałam te same dźwięki. Płakał całymi nocami. Coś zżerało go od środka. Coś, czym nie mógł się ze mną podzielić. Zaczęłam myśleć, że spotyka się z kimś innym. Było to jedyne wyjaśnienie, które wyglądało sensownie. Pracował na wielkiej budowie we wschodnim Londynie - wznoszą tam jedno z nowych superkasyn - i coraz później wracał do domu. Nadgodziny, mówił, ale zimą na budowach rzadko się one zdarzają. Po ciemku nie można mieszać cementu. A potem, przed morderstwem, przez tydzień nie wracał do domu. W ogóle go nie widziałam. Nie zadzwonił ani... - Jan załamał się głos, spojrzała na mnie nieobecny wzrokiem. - Czekałam na złe wieści... ale nie takie.

Siedząc twarzą w twarz z jej cierpieniem i bólem, otwierałem już usta, by powiedzieć, że raczej nie zdołam jej pomóc. Że nie przychodzi mi

do głowy nic, co mogłoby oczyścić jej męża z tak dobrze uzasadnionych zarzutów. Dostrzegła wyraz mojej twarzy i mnie wyprzedziła.

- Mam dowody - powiedziała szybko. - Musi mnie pan wysłuchać, panie Castor. Proszę nie odmawiać, dopóki mnie pan nie wysłucha.

- Jakie dowody? - spytałem, czując, jak ogarnia mnie coraz większa niechęć.

Nim odpowiedziała, wzięła ze stołu szklanę z dżinem z tonikiem i wychyliła jednym haustem. Skrzywiła się, gdy mocny drink spłynął jej do gardła.

- No dobrze - rzekła i jej ton stwardniał, brzmiał teraz gniewnie, uparcie. Studenci grający w bilard obejrzeli się, zapewne brzmiało to jak klasyczna kłótnia małżeńska. - Coś mnie spotkało. Jakies dwa tygodnie po aresztowaniu Douga siedziałam w domu. Szczerze mówiąc, mimo wczesnego popołudnia byłam dość pijana. Po prostu... - zaskoczył mnie jej szybki gest - rozsypywałam się. Miałam nerwy w strzępach. W ogóle nie mogłam myśleć. Tak wiele musiałam zrobić. Nie tylko rozmawiać z prawnikami, ale jeszcze... rachunki, listy. Zawsze Doug zajmował się tym wszystkim, a teraz go nie było. Nie radziłam sobie. Nawet nie próbowałam. Siedziałam tam tylko i użalałam się nad sobą.

Według mnie brzmiało to całkiem rozsądnie, ale twarz Jan wykrzywił niesmak.

- Siedziałam tam i czekałam aż coś się wydarzy. Jakby, no wie pan, z nieba miała spłynąć jasność i jakiś głos powiedziałby mi co mam robić. Żałosne. I wtedy zadzwonił telefon. To był Amerykanin. Podał mi swoje nazwisko, ale go nie usłyszałam. Myślałam, że jest kolegą Douga, że może dzwoni z budowy. Jakiś majster czy coś. Ale on oświadczył, że chce

rozmawiać ze mną o sprawie Douga. „Pani mąż tego nie zrobił”, rzekł. „Jest niewinny. Może nawet zdoła to pani udowodnić”. Teraz słuchałam uważnie, ale nadal myślałam, że może to, no wie pan, jakiś świr. Jak ten wariat od telefonów od Rozpruwacza. Jeden z tych ludzi, których kręci bliskość soczystego morderstwa, nawet z drugiej bądź z trzeciej ręki. Spytałam kim jest i ponownie podał mi nazwisko. Brzmiało Paul Sumner. Paul Sumner Junior.

Pamiętałem, że słyszałem gdzieś to nazwisko, ale nie potrafiłem go umiejscowić, dopóki Jan nie podjęła.

- On pisze książki. Dokumentalne, o zbrodniach. Napisał historię mafii, tę, którą przerobili na serial. I biografię Johna Wayne'a Gacy'ego. Tego typu rzeczy. Żadnej z nich nie czytałam, ale orientowałam się kim jest. Powiedział, że przeczytał o sprawie Douga w sieci. Ma w komputerze programy wyłapujące informacje o dziwnych zbrodniach na całym świecie, bo dzięki temu zarabia na życie. Przeczytał o sprawie Douga i natychmiast zapiszczał mu radar. Oznajmił, że czekał na coś podobnego i gdy tylko usłyszał wieści, pojął co się święci. Pamięta pan Myriam Seaforth Kale? Kobieta gangster z lat sześćdziesiątych. Coś jak Bonnie Parker z lat trzydziestych.

Uniosłem brwi. Oczywiście, że o niej słyszałem: była jedną ze złych dziewczynek, takich jak Belle Starr czy Beulah Baird, które trafiły do kultury popularnej dzięki więzom łączącym je z gwałtownymi mężczyznami albo ponieważ same zrobiły coś, co tamci robią co dzień. Byłem niemal pewien, że pojawiła się w jednym z kiepskich filmów reżyserowanych przez Rogera Cormana bądź kogoś mu podobnego. Córy krwi? Dzieci krwi? Krwawa rodzinka?

- Mafia z Chicago - powiedziałem. - Była zdaje się dziewczyną Jackiego Cerone, a on dawał jej zlecenia.

Jan pokiwała energicznie głową.

- Zgadza się. Całkowicie się zgadza. Przyjechała z miasteczka na głębokim Południu, Brokenshire w stanie Alabama. Ale zabójczynią została, nim jeszcze dotarła do Chicago. Pierwszy mężczyzna, którego zabiła, zatrzymał się i zabrał ją z drogi, kiedy uciekła z domu. Podobno próbował ją zgwałcić, a ona zabiła go kluczem do opon. Później, kiedy pracowała dla mafii, zabijała wyłącznie mężczyzn. To była jedna z jej zasad. Najwyraźniej też, tak samo jak zabijać, lubiła ich poniżać. Miała własny rytuał.

Fragmenty tej historii zaczynały powracać do mnie, mieniać się jaskrawymi barwami. Myriam Kale: porządna wiejska dziewczyna, która przyjechała autostopem do Illinois i zgubiła się w wielkim mieście, tylko po to, by znów wypłynąć na powierzchnię jako jedna z zaledwie kilku kobiet, które zostały kontraktowymi zabójcami mafii. Prawdziwa femme fatale, będąca natchnieniem setki wykastrowanych imitacji filmowych. Zabiła dziewięciu ludzi, nim FBI osaczyło ją w chicagowskim hotelu Salisbury i wyprowadziło żywą, by móc ją osądzić, skazać i posłać na krzesło elektryczne. A może zaaplikować śmiertelny zastrzyk? Nie do końca pamiętam szczegóły.

Zaczynałem mieć cień podejrzenia, do czego zmierzamy.

- Kale zmarła w latach sześćdziesiątych - oznajmiłem. - Ponad czterdzieści lat temu. Po drugiej stronie świata.

Wiedziałem, że nie był to absolutny sprzeciw, jedynie zakładka, coś, do czego będziemy musieli wrócić. *Ale to było w innym kraju, a poza tym*

dziewka nie żyje.

- Wspominałam, że Barnarda torturowano przed śmiercią. - Tym razem Jan bez ogródek użyła niewypowiedzianego wcześniej słowa.

- Proszę mówić dalej.

- Kiedy wpłynął raport z sekcji, okazało się, że tylko jedno z obrażeń powstało później niż pozostałe. Pośmiertnie. To było oparzenie od papierosa, na twarzy, tuż pod okiem. To był jej znak, panie Castor, jej podpis. Robiła to wszystkim ludziom, których zabiła. Pierwszego, tego, który ją podwiózł, oparzyła zapalniczką z samochodu. Wszystkich pozostałych przypalała papierosem. Robiła to na końcu, zawsze kiedy już nie żyli. Jakby... podpisywała zabójstwo.

Starałem się nie napotkać pełnego napięcia spojrzenia Jan.

- Wszelkie tego typu rzeczy - rzekłem ostrożnie - wszelkie szczegóły kojarzące się ze stylem danego mordercy, chętnie przejmują naśladowcy i oczywiście także wykorzystują.

Jan znów przytaknęła. Przewidziała ten sprzeciw i zupełnie jej nie wzruszył.

- To już trzeci raz Kale zabiła po swej śmierci. I wszystkie trzy morderstwa nastąpiły tutaj, w Anglii, nie w Stanach. Paul Sumner ją śledził - dlatego właśnie zrozumiał co się stało, gdy tylko przeczytał o sprawie Douga. Za pierwszym razem zrobiła to w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym, w Edynburgu. Za drugim, w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim, w Newcastle. A teraz to. Za każdym razem ofiara to mężczyzna w średnim wieku, wybrany z ulicy i zaprowadzony gdzieś, by uprawiać seks. Cała trójka została torturowana, zabita, a potem przypalona. Czy zabójcy naśladowcy odpoczywają między występami

ponad dziesięć lat, panie Castor?

- Nigdy żadnego nie znałem - przyznałem. - Może działają w cyklach, jak szarańcza.

- Jest coś jeszcze. - Jan miała minę kogoś, kto właśnie odwraca kartę z dołka i pokazuje mocnego asa. - Sprzątacze z hotelu Paragon, Joseph Oguneta, zeznał na policji, że około piątej przechodził koło pokoju numer siedemnaście. Było to godzinę po tym, jak do środka weszli Doug i Barnard. Oguneta usłyszał głosy - sprzeczekających się ludzi, dwóch mężczyzn i kobietę. Z całą pewnością były to trzy głosy, bo jeden z mężczyzn miał wyraźny, elegancki akcent BBC - to Barnard - a drugi mocny akcent, którego sprzątacze nie rozumiał.

- Doug był... - wtrąciłem.

- Był z Birmingham i nigdy nie stracił akcentu. Kiedy się rozkręcał, ja sama nie mogłam go zrozumieć. Kiedyś bywało mi z tego powodu okropnie głupio. A trzeci głos, głos kobiety, także przemawiał z akcentem. „Jak w telewizji albo kinie” powiedział pan Oguneta. Myślę, że to oznacza akcent amerykański. To była Myriam Kale, panie Castor. To była Myriam Seaforth Kale i cokolwiek innego zrobił mój mąż, nie może trafić do więzienia za morderstwo dokonane przez pieprzonego ducha.

Założyłem, że Jan, mówiąc „cokolwiek innego”, ma na myśli czyny lubieżne i sodomię. Czyli zdołała jakoś znieść to, że jej mąż krążył po londyńskich ulicach, szukając anonimowego seksu z innymi mężczyznami. Byłem rozdarty między podziwem dla jej wiary i zastanawianiem się, jakie niewiarygodne piekło musiałby jej zgotować Doug, nim w końcu by uznała, że ich statek zaczyna tonąć.

Nie powiedziałem nic. Spytałem tylko, czy wspomniała o swej teorii

policji. Parsknęła z pogardą.

- O tak. Oczywiście, że wspomniałam. Detektyw prowadzący śledztwo - Coldwood - nawet mnie nie wysłuchał. Już wcześniej podjął decyzję i nie obchodziło go, co mam do powiedzenia, nie zamierzał...

- Coldwood? - przerwałem, upewniając się, czy dobrze usłyszałem.

- Tak. Coldwood. To sierżant. - Zauważyła wyraz mojej twarzy. - Zna go pan?

- Kilkakrotnie pracowaliśmy razem. Kiedyś, gdy nie miałem zbyt wielu zleceń, parę razy robiłem konsultacje dla policji.

To lekko wstrząsnęło Jan.

- Policja używa egzorcyistów?

Skinąłem głową.

- Czasami możemy namierzyć, jak bądź gdzie, ktoś zginął. Czasami potwierdzamy, że zaginiona osoba nadal żyje. Obecnie to standardowa praktyka, choć nie możemy składać zeznań w sądzie. Większość sędziów nienawidzi nas jak morowej zarazy, bez żadnych szczególnych powodów. Większość gliniarzy też, gdy się nad tym zastanowić. Ale zawsze nieźle się dogadywałem z Garym Coldwoodem.

Tu lekko przesadziłem. Łączące nas stosunki stały się lekko napięte, kiedy oskarżono mnie o zamordowanie trzynastolatki, choć w istocie poznałem ją dopiero po jej śmierci. Obecnie moje związki z policją nie istniały i od czterech miesięcy nie widziałem Coldwooda. Ale rozstaliśmy się w zgodzie - mniej więcej - i co najmniej raz nadstawił za mnie karku, choć łatwiej byłoby mu zostawić mnie dyndającego na wietrze. Jak na gliniarza miał umysł bardziej otwarty niż większość jego kolegów.

Wszystko to popychało mnie w stronę decyzji. Skoro Coldwood brał

w tym udział, mogłem przynajmniej z nim porozmawiać, zyskać ogólny ogłąd sprawy, jeśli takowy istniał.

- Jeśli zgodzę się na tę pracę - powiedziałem do Jan - będzie to kosztowało tysiąc, z tego co najmniej trzysta z góry. To jakiś problem?

- Ależ nie. - Znów sięgnęła po torebkę. - Spodziewałam się, że zażąda pan zaliczki. Przyniosłam tylko dwieście pięćdziesiąt, ale...

- Dwieście pięćdziesiąt wystarczy - przerwałem jej. - I zwrócę, jeśli zmienię zdanie.

Zamarła z ręką w torebce, wyciągając właśnie portmonetkę.

- Jeśli...?

- Jeśli przyjrę się sprawie i okaże się, że nic nie mogę zrobić. Wówczas oddam pani pieniądze.

Przyjrzała mi się twardo.

- A co, jeśli pogada pan ze starym kumplem ze Scotland Yardu i uzna, że lepiej w tym nie mieszać?

- Victoria Street - poprawiłem. Zupełnie ją zaskoczyłem.

- Słucham?

- Główna komenda jest teraz przy Victoria Street. Przeniosła się tam mniej więcej w tym czasie, w którym Myriam Kale zabijała gangsterów w hotelu. Ludzie używają starej nazwy wyłącznie z nostalgii. - Uniosłem szklanekę, by pociągnąć ostatni łyk piwa, ale zmieniłem zdanie, czując, jak bardzo zbliżyło się do temperatury pokojowej. - Powiedziałem, że znam Coldwooda. To nie znaczy, że w wolnych chwilach razem wybieramy zaślony.

Niechętnie skinęła głową, bez wątpienia wspominając osobistą rekomendację Cheryl Telemaque. Może lepiej, że nie wiedziała, jak się

zachowywaliśmy w czasach, kiedy skrzyżowały się nasze drogi. Ów okres nie należy do moich szczytowych osiągnięć W dziedzinie etyki zawodowej. 123

Wymieniliśmy kontakty, Jan odliczyła mi do ręki pieniądze, większość w banknotach dziesięciofuntowych. Kiedy schowałem je do kolejnej kieszeni zawsze gotowego szynela, przyjrzała mi się przenikliwie.

- Zamierzał pan odmówić - rzekła. - Widziałam to w pana oczach. Dlaczego zmienił pan zdanie?

Sam musiałem się zastanowić.

- Z dwóch powodów - odparłem w końcu. - Jednym jest Coldwood. W takiej pracy dobrze jest poznać przynajmniej część faktów, a wiem, że Coldwood będzie ze mną szczery, jeśli tylko będzie mógł. A poza tym... - Zawiesiłem głos, zastanawiając się, jak to ująć najlepiej.

- A poza tym?

- Jest jeszcze młotek. Z tego, co pani powiedziała, zakładam, że Doug nie miał go przy sobie, kiedy go aresztowano? Pokręciła głową, nieco szerzej otwierając oczy.

- Nie. I założę się, że chłopcy w niebieskich ubrankach przeczesali każdy centymetr kwadratowy Battlebridge Road, czyli całe King's Cross. Gdyby tam był, znaleźliby go. - Wstałem, kierując się do wyjścia. - Zatem nie znaleźli go przy Dougu ani na ulicy. Co oznacza, że zabrał go ktoś inny, zapewne z pokoju.

- Pan mi wierzy. - Głos Jan zadrżał.

Skrzywiłem się lekko. Naprawdę nie zamierzałem jej podpuszczać, wiedziałem jeszcze za mało o tym, w co się pakuję.

- Jestem gotów uwierzyć, przynajmniej na razie, że w tamtym pokoju

był ktoś jeszcze. - Opróżniłem szklanę, zbrojąc się przed starciem z nocnym chłodem. - A jeśli ów „ktoś jeszcze” okaże się duchem amerykańskiej seryjnej zabójczynie, to jesteśmy w domu.

Maszerując do domu, znów poczułem znajome mrowienie: poczucie, że jestem obserwowany, które prześladowało mnie całą drogę ze Stoke Newington. Lecz tym razem znajdowałem się na dworze, na ruchliwej ulicy. Obok przechodziło mnóstwo ludzi, drogą jechały samochody. Poczucie zdawało się dziwnie pozbawione kierunku, w żaden sposób nie mogłem niczego zauważyć. Niechętnie zrezygnowałem. Będę musiał wybrać lepszy czas i lepsze miejsce.

Furgonetka Życiowców wciąż parkowała w tym samym miejscu: teraz siedziało w niej dwóch ludzi, z daleka widocznych jedynie jako ciemne, niewyraźne sylwetki. Nie poczułem najsłabszego ukłucia, nie odezwał się mój zmysł pajaka. Cokolwiek to było, ktokolwiek mnie obserwował, nie miał nic wspólnego z tymi fajfusami. Mijając ich, pomachałem, a oni ze stoickim spokojem zignorowali mój gest. Niemal pożałowałem, że nie spróbowali wysiąść i rzucić się na mnie - z prawdziwą rozkoszą rozładowałbym napięcie.

Już w mieszkaniu rzuciłem płaszcz na oparcie fotela, nalałem sobie whisky i zostawiłem ją, zajęty odgrywaniem bluesowych akordów na flecie.

Para zza ściany już się nie pieprzyła - dobre wieści. Lecz choć przeoczyłem kulminację, to nie epilog, który jak zwykle przybrał formę otwartej kłótni. Seks i przemoc, zawsze w tej samej kolejności: najwyraźniej preferowali styl życia sprowadzony do podstaw.

Po jakichś dziesięciu minutach odpuściłem sobie ćwiczenie muzyki, bo wywrzaskiwane przekleństwa i brzęk tłuczonych naczyń wybijały mnie z rytmu. Zamiast tego nastawiłem jedną z death-metalowych płyt Ropeya, nie dlatego, że lubię Krwotok Wewnętrzny - małymi bądź wielkimi literami - lecz z czystej samoobrony.

Lecz odgłosy zniszczenia skojarzyły mi się z duchem Johna Gittingsa i mój nastrój znów zaczął się pogarszać. A potem myśli o Johnie przypomniały mi zegarek kieszonkowy. Wróciłem do płaszcza, wyłowilem go z kieszeni, sprawdzając, czy nic mu się nie stało. Był naprawdę przepiękny: nawet przez warstwę czarnego nalotu widziałem, że filigranowe ozdoby w srebrze - motyw kwiatu lili - wykonano niezwykle misternie. Naturalnym skojarzeniem postanowiłem go nakręcić i sprawdzić, czy wciąż działa. To oznaczało wyjęcie z zewnętrznej koperty, bo w zegarkach Savonnette, dopóki czasomierz tkwi w podwójnej osłonce, nie zawsze da się zbyt mocno uchwycić trzpień, by nakręcić mechanizm.

Kiedy wyjąłem zegarek, ze środka wypadł mały kawałek papieru. Podniosłem go i obróciłem w dłoni. To był bardzo cienki i lekki, błękitny papier, na którym zwykle pisano listy lotnicze w czasach, nim powstało coś takiego jak e-mail. Pokrywało go pochyłe, zgrabne pismo i złożono go kilka razy.

Zacząłem rozwijać: trzy zgięcia, cztery, pięć. Kiedy doszedłem do końca, odkryłem, że to cała strona listu - środka listu, bo nie było nagłówka, a tekst zaczynał się w połowie zdania. Zacząłem czytać, z narastającą, lekko niepokojącą fascynacją:

...mógł załatwić nieco szybciej, ale stanowczo nie warto ryzykować. Gdyby połapali się, że się orientujesz, co naprawdę

robią, załatwiliby cię, tak czy inaczej.

Będziesz miał tylko jedną szansę, to musi się stać w noc INSKRYPCJI, żeby dało się dopaść wszystkich razem. Weź wsparcie: weź solidne wsparcie. I ostrzeż, że gdy tylko tamci poznają nazwiska, staną się celem. Skończy się twoją śmiercią albo ich, to jedyny sposób.

Nie popełnij błędu i nie próbuj zwiadów: ściana to nie ściana, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Nie do końca. Mogą sięgnąć znacznie dalej i zaatakować cię nawet, gdy jesteś daleko i sądzisz, że w pobliżu nie ma nikogo. Jeśli wejdiesz przez budynek, spodziewaj się silnej ochrony. Możesz uznać, że to najmniejszy z twoich problemów, ale nie lekceważ go. Pamiętaj, że nadal możesz im zagrozić. To znaczy fizycznie. Jeśli zamachniesz się do kopniaka, przeciwnik zasłoni jaja. Wiem, że to brzmi wulgarnie, ale jeśli przyjrzyysz się sprawie pod tym kątem, to...

I to już wszystko - albo prawie wszystko. Na marginesie, obok zdania „weź wsparcie”, ktoś nabazgrał jeszcze dwa słowa czerwonym długopisem:

Felix Castor

Nadal wpatrywałem się w nie tępo, kiedy zadzwonił telefon. Czy raczej uświadomiłem sobie, że dzwoni: sam dźwięk już od jakiegoś czasu czaił się gdzieś pod bezlitosnym basem Krwotoku Wewnętrznego i równie nieustępliwymi odgłosami czynionymi przez sąsiadów rozwalających mieszkanie na kawałki. Nie moja komórka: telefon Ropeya. Odruchowo

odebrałem, choć nie pamiętałem, bym komukolwiek podawał numer.

- Halo? - rzuciłem.

- Pan Castor? - Głos męski, lekko zdyszany i słaby, nie znałem go.

- Tak.

- Firma kurierska Inter-Urban. Mógłby pan zejść i podpisać odbiór przesyłki?

- Przesyłki? - powtórzyłem nieco zbity z tropu. - Od kogo?

Krótką chwilą ciszy.

- Adres to E14, ale nie ma nazwiska.

Jedynym gościem, jakiego znałem w tamtych okolicach, był Nicky Heath: spec od danych, którego czasem zatrudniam do wyszukiwania pewnych informacji, ale chwilowo nad niczym dla mnie nie pracował, a poza tym i tak nie skorzystałby ze zwykłej firmy kurierskiej. Jako paranoik, w dodatku nieżywy, ma własne, osobliwe metody pracy.

- Panie Castor?

- Tak, dobrze, zaraz zejść.

Wstałem, otworzyłem drzwi frontowe mieszkania i wyszedłem na korytarz. Parę kroków doprowadziło mnie do wind: zacząłem naciskać guziki, aż w końcu znalazłem jedną działającą - w mieszkaniach komunalnych to ichnia wersja gry w trzy karty. Była na piątym piętrze, tylko trzy pode mną, ale zamiast ruszyć w górę, zjechała w dół. Ktoś inny musiał ją wezwać w tym samym momencie.

Czekając, aż statecznie wzniesie się szybem, słuchałem - nie mając zbyt wiele wyboru - krzyków i przekleństw dochodzących z drugiego końca korytarza. Zdumiewało mnie, że inni mieszkańcy piętra nie wystawiają za próg głów i nie dodają własnych okrzyków protestu do

szalejącej kłótni; sądząc po ich żywym zainteresowaniu moimi poczynaniami, z pewnością nie wynikało to z przesadnego poszanowania prywatności innych.

W końcu coś we mnie pękło, zawróciłem w głąb korytarza i z irytacją kopnąłem w drzwi moich psychopatycznych sąsiadów.

- Na miłość boską, ciszej! - wrzasnąłem. - Jeśli chcecie się pozabijać, to użyjcie trucizny czy czegoś w tym stylu.

Za moimi plecami otwarły się drzwi. Obróciwszy się, ujrzałem kobietę spod osiemdziesiątki trójki, patrzącą na mnie gniewnie.

- To przez ten hałas - oznajmiłem w ramach wyjaśnienia. Nadal patrzyła wrogo. - Przepraszam - dodałem.

Zatrzasnęła mi drzwi przed nosem. Wciąż wpatrywałem się w tabliczkę z napisem „Nie wrzucać ulotek”, gdy usłyszałem dzwonek dobiegający od strony, z której przyszedłem, a potem stłumiony zgrzyt: sygnał ostrzegawczy windy i odgłos otwieranych drzwi.

Pobiegłem z powrotem korytarzem, zdecydowany złapać ją, nim zmieni zdanie. Wszedłem do środka, przekonałem się, że jest pusta, i nacisnąłem P. I wtedy, w chwili gdy zaczęła się zamykać, przez zwązającą się szczelinę zauważyłem, że drzwi mieszkania Ropeya stoją otworem. W ciągu pięciu minut, jakie spędzę na dole, sąsiedzi zdążyliby zwinąć telewizor, wieżę i komplet wypoczynkowy. Rozdrażniony, nacisnąłem wolną ręką guzik otwierania drzwi, które zamarły, szarpnęły się, zamarły, pozostawiając prześwit szeroki na jakieś trzydzieści centymetrów.

Nim jednak zdążyły się zdecydować, czy się zamknąć, czy otworzyć, całą windą szarpnęło, podłoga nachyliła się gwałtownie. Zaskoczony, poleciałem na bok i o mało nie upadłem. Z góry dobiegł mnie odgłos

rozdzieranego metalu.

Miałem pół sekundy na reakcję. W chwili, gdy winda zadrzała i znów szarpnęła, ocierając się z mdlącym, przeszywającym uszy zgrzytem o ściany szybu, ja, walcząc z siłą odśrodkową i ledwie trzymając się na nogach, rzuciłem się przez uchylone drzwi z powrotem na korytarz. Tuż za mną podążyła gwałtowna fala powietrza. Obejrzałem się błyskawicznie za siebie i zobaczyłem windę spadającą w głąb szybu niczym tona cegieł. Jakiś ukryty instynkt przetrwania kazał mi cofnąć prawą nogę w chwili, gdy tuż obok przemknął jej dach, jak ostrze gilotyny, całkowicie odrywając podeszwę i wykręcając mi kostkę tak boleśnie, że przez moment obawiałem się, że straciłem stopę. Nie krzyknąłem, no, niedokładnie, lecz mój ryk bólu narastał szybko, więc to chyba wyłącznie kwestia semantyki.

Tym razem wszystkie drzwi w korytarzu otworzyły się i wszyscy na całym piętrze wybiegli, patrząc co się dzieje. Wszyscy oprócz dwóch osób. Moi sąsiedzi zostali za własnymi, zamkniętymi drzwiami i nadal wrzeszcząc w niebogłosy, obrzucali się najgorszymi, wulgarnymi wyzwiskami. Pewnie musieli wyrobić jakąś normę.

I kiedy tak siedziałem, patrząc w ciemność szybu, w głowie dźwięczała mi jedna uporczywa, oczywista myśl: kurwa, niewiele brakowało. Po niej jednak pojawiła się następna, zupełnie inna w tonie.

No dobra, skurwiele, sami zaczęliście. Zatańczmy.

Zbiegałem po schodach, przeskakując trzy stopnie naraz i tylko lekko kulejąc, aż do pierwszego piętra, które pokonałem kilkoma szaleńczymi, króliczymi skokami.

W przedsionku, tuż po prawej stronie drzwi, wisiała duża czerwona gaśnica. Czerwień oznacza wodę i to cholerstwo ważyło chyba ze dwadzieścia kilo. Dźwignąłem ją oburącz, kopniakiem otworzyłem drzwi i wyszedłem na ulicę.

Niebieska furgonetka wciąż tam stała. Podbiegłem od przodu i zajrzałem do środka. Światło latarni odbijało się od szyby, toteż ujrzałem jedynie dwie ciemne, mniej więcej ludzkie sylwetki w środku. Lecz jedna z nich, ta w fotelu kierowcy, wyraźnie wzdrygnęła się na widok mojej osoby dźwigającej gaśnicę. Może w ciemności facet wziął ją za jaskrawoczerwony granatnik polowy.

I sekundę później właśnie się nim stała, kiedy cisnąłem nią w szybę furgonetki.

Nie przebiła jej - nie do końca - ale usłyszałem huk, jakby olbrzymie jajo wylądowało na betonie i cała szyba stała się nieprzejrzysta, gdy nietłukące szkło wyzionęło ducha i zapadło się w głąb, zmienione w mozaikę z miliona kawałków wielkości paznokcia.

Drzwi kierowcy i pasażera trzasnęły jednocześnie, dwaj mężczyźni, wrzeszcząc z wściekłości, wyprysnęli na ulicę. Byli młodzi i szybcy, ale najwyraźniej poważnie zaniedbali naukę bójek. Pierwszy, który do mnie

dobiegł, ten od strony pasażera, wymierzył cios, który równie dobrze mógł nadać zwykłym listem. Uskoczyłem i kopnąłem go w krocze. Zgiął się wpół, a jego wszechświat skurczył się do paru centymetrów kwadratowych intymnego cierpienia.

Tymczasem dołączył do nas jegomość od strony kierowcy. Nim zdążył się zasłonić, oberwał moim łokciem w twarz. Potem wpadłem na niego i wywróciłem, lądując na nim ciężko, z kolanem na piersi, na wypadek gdyby wciąż jeszcze pragnął walki.

Ale nie pragnął. Wydał z siebie odgłos przypominający świst resztki powietrza uchodzącego z balonika, a potem kilka razy otworzył i zamknął usta, nie mogąc wydusić ani słowa.

Uniosłem pięść, by załatwić sprawę - dzięki pomocy chodnika mogłem być pewny wyniku - ale się zawahałem. Faceci padli tak łatwo, że niemal czułem się głupio. Oczami duszy widziałem wymachujących bejsbolami bandziorów z opowieści Lou Beddows i dlatego właśnie zaatakowałem tak twardo i tak szybko. Dopiero teraz zacząłem się zastanawiać, czy tym razem przypadkiem bejsbol nie tkwił w innej ręce.

Sięgnąłem pod sztruksową marynarkę faceta i przeszukałem wewnętrzne kieszenie, od razu trafiając na portfel. Otworzyłem go i znalazłem legitymację studencką na nazwisko Stephen Bass z londyńskiego University College. Wilki w owczej skórze? Jak trudno byłoby podrobić legitymację? Obejrzawszy się przez ramię, stwierdziłem, że pierwszy koleś - ten, którego aktywność seksualna przez następne kilka tygodni pozostanie czysto teoretyczna - jeszcze nie wstał. Ten, na którym klęczałem, znów próbował coś powiedzieć, ale udało mu się wykrztusić tylko pierwszą sylabę.

- Wóz-wóz-wóz - jęczał, chwytając powietrze.

Cofnąłem kolano i wstałem. Facet przeturlał się na bok i głośno wciągnął powietrze.

- Wóz-mojego-brata! - Wydyszał. - Ty... eeeuugh! Ty draniu! Wóz...
mojego...

- Myślisz, że obchodzi mnie wasza furgonetka? - warknąłem. -
Próbowaliście mnie zabić, wy popierdolone świry! Macie szczęście, że nie
podpaliłem jej z wami w środku!

Spróbowałem usiąść - bez powodzenia. Spróbowałem ponownie, wciąż
jednak nie był w stanie zmusić poobijanych mięśni brzucha, by
dostatecznie się wyprostowały. Patrzył na mnie ze zgrozą, teraz zaczął
kręcić szybko głową, trząsł się cały.

- Nie! - Jęknął. - My nie... nie...

Wciąż napędzał mnie święty gniew, ale z każdą sekundą tracił na sile.

- A graffiti? - naciskałem. - Egzorcysta równa się trup! Zostawiliście
mi, kurwa, wizytówkę! Chcieliście, żebym wiedział, kto to zorganizował.

Facet w końcu zdołał usiąść względnie prosto. Spojrzał na swego
towarzysza, wciąż zwiniętego w ciasny kłębek niczym martwa stonoga.

- Mówiłem ci, Martin! - zaskowyczał. - Mówiłem, że będziemy mieć
kłopoty.

I to w zasadzie rozstrzygnęło sprawę. Zimni jak gład mordercy po
prostu się tak nie zachowują.

Poczułem zawód zalewający mnie mdlącą falą. Ktokolwiek uszkodził
windę, zdążył już uciec daleko, a ja skopałem właśnie dwóch studentów
maminsynków, zapewne winnych jedynie wypisania paru słów farbą. Z
lekką drżącymi kolanami podszedłem sprawdzić stan drugiego klienta.

Powoli zaczynał dostrzegać świat zewnętrzny. Pomogłem mu wstać. Tymczasem kierowca - Stephen Bass, esq., jeśli wierzyć legitymacji studenckiej - skupił uwagę na furgonetce i usiłował wyciągnąć gaśnicę, nie rozwalając jednocześnie do końca przebitej szyby. Szybko zrezygnował, bo każda próba ruszenia jej wywoływała krótki deszcz tłuczonego szkła.

- On mnie zabije - jęczał. - On mnie zabije. - Potem odwrócił się i ze łzami w oczach wycelował we mnie palcem. - Dzwonię na policję, sukinsynu. To ci nie ujdzie płazem.

Wzruszyłem ramionami.

- Przykro mi, koleś. Kiedy grozisz komuś śmiercią, możesz wywrzeć niewłaściwe wrażenie. A zważywszy na okoliczności, wątpię, by policja okazała wam wyrozumiałość.

Usiadł na stopniu furgonetki, zbolały i nieszczęśliwy.

- Mój brat potrzebuje tego wozu do pracy - wykrztusił zdławionym głosem. - Pozwala mi go pożyczać tylko kiedy mój nie działa. Nie ma nawet auto casco.

Te żalosne uzalania się zdusiły w zarodku moje wszelkie odruchy współczucia. Frajerzy, którzy bawią się w prześladowców w czasie, gdy powinni pisać prace semestralne, nie mają prawa się skarżyć, gdy ich świat wywraca się do góry nogami. Chciałem tylko zyskać absolutną pewność, że to nie ci idioci właśnie próbowali mnie zabić - potem bardzo chętnie pozwolę im samotnie opłakiwać wszystko, co stracili.

Rzuciłem portfel Bassa na ziemię, by zwrócić jego uwagę.

- Czemu w ogóle mnie śledziliście? - spytałem ostro.

- No jasne, bo niby nie wiesz - prychnął Bass, unosząc głowę i patrząc na mnie oskarżycielsko. - Wiemy o tobie wszystko i wiemy co

planujesz.

- Co planuję? - powtórzyłem, wbrew wszystkiemu zaciekawiony. - To znaczy, co dokładnie?

- Masowe egzorcyzmy w całym Londynie - odparł zza moich pleców drugi koleś słabym, trzęsącym się głosem. - Duchowe oczyszczenie - jednocześnie pozbycie się wszystkich zmarłych. To ty wszystkim kręcisz, prawda? Felix Castor.

- To jakiś żart? - Poczulem się tak, jakbym nagle trafił do świata równoległego, w którym Frank Spencer jest bogiem, a windy jeżdżą tylko w dół. - Owszem, jestem Castor, ale niczym nie kręcę ani nikt mną nie kręci. Kto wam nakładł do głowy tych bzdur?

- Porucznik... - zaczął tamten, lecz Bass uciszył go szybkim gestem.

- Mieliśmy spotkanie - oznajmił. - Może nie wiesz, ale Technienie Życia obserwuje cię od wieków. Na tamtym pogrzebie też mieliśmy swoją agentkę, jest z naszego tajnego oddziału specjalnego. Potem nawiązała kontakt i poleciła nam cię pilnować. To właśnie robiliśmy. Gdziekolwiek się udasz, będziemy z tobą. Z kimkolwiek się spotkasz, my też ich zobaczymy, opiszemy dokładnie i prześlemy opis wszystkim członkom ruchu. Jesteś nasz, Castor, i możemy cię załatwić kiedy tylko zechcemy.

Tajna agentka? Życiówka działająca w ukryciu wśród londyńskich duchołapów? Obróciłem ten obraz w myślach, potem przekręciłem do góry nogami i odkryłem, że tak pasuje znacznie lepiej.

Dana McClennan. Dana McClennan, która, wychodząc z cmentarza po pogrzebie Johna Gittingsa, zatrzymała się, żeby pomówić z członkami pikiety. „Widzicie tamtego człowieka? Tak naprawdę to nie człowiek. To okropnie zły wilk”.

- Ty kretynie - powiedziałem surowo. - Ta tajna agentka, słodka, seksowna, złotowłosa, jakże szczerą i wiarogodną, która zdradziła wam wielką tajemnicę i dzięki której poczuliście się tacy ważni, nazywa się Dana McClennan i nawet nie należy do waszej pierdzielonej organizacji. Po prostu was wykorzystała, żeby załatwić mnie.

Bass spojrział na mnie z litością.

- Nie nabierzesz mnie. Nie wyciągniesz ode mnie podstępem nazwisk naszych ludzi. Jesteście skończeni, Castor, ty i tobie podobni. Po prostu jeszcze o tym nie wiecie.

Ruszyłem ku niemu. Wzdrygnął się, ale ja miałem już dosyć walki. Minałem go, chwyciłem rączkę gaśnicy i wyszarpnąłem z resztek szyby, której odłamki posypały się na przednie siedzenia jak ryż na ślubie. Bass jęknął rozpaczliwie. Oparłem gaśnicę na ramieniu i odwróciłem się ku niemu i jego kumplowi o sinych jajach.

- Stephen Bass. UCL, prawda? Nie wiem, który wydział, ale raczej nietrudno cię będzie znaleźć. Jeśli zobaczę gdzieś jeszcze twoją parszywą gębę, wpadnę z kumplami do akademika i razem wygnamy twoją duszę z ciała. Będziesz jak zombie, tylko bardziej bezwolny.

Bass o mało nie połknął języka.

- Nie odważyłbyś się! - rzucił z mniejszym przekonaniem niż Bart Simpson, mówiący: „Już tak było, kiedy przyszedłem”.

- Sprawdź mnie - zasugerowałem. - Posłuchaj, siedzieliście tu i obserwowaliście budynek. Widziałeś, jak ktoś wchodził do środka?

Bass się zawahał, wyraźnie rozdarty między pragnieniem odgrywania twardziela, który nikogo się nie boi, a niechęcią do wkurzania faceta, który mniej więcej wie gdzie go szukać.

- Był tu taki jeden. Wielki, gruby gość.

- A widziałeś może, jak wychodził?

- Co? - Bass wyraźnie odpadał w przedbiegach.

- Czy widziałeś, jak wychodził? - powtórzyłem powoli. - Widziałeś, jak wyszedł z powrotem na ulicę?

- Nie.

Ciekawe. Bardzo.

- Dobra, dzięki za poświęcony mi czas. - Bass podskoczył, gdy upuściłem mu u stóp gaśnicę. - Jeśli odczuwasz palące pragnienie rozmowy z policjantami, to właśnie zamierzam ich wezwać. Wystarczy tylko chwilę poczekać. Zaraz tu będą.

Wchodząc do domu, usłyszałem trzaśnięcie drzwi furgonetki. Nim dotarłem do schodów, odezwał się silnik.

Wróciłem do mieszkania i zadzwoniłem na 999. Policja zajęła jakąś godzinę później: najwyraźniej przysłali jednostkę szybkiego reagowania. Na oczach zachwyconej publiczności w osobach moich sąsiadów sprawdzili mechanizm windy i spisali moje zeznanie. W końcu, zgodnie z moimi oczekiwaniami, uznali całe wydarzenie za wypadek. Liny się zerwały, oświadczył sympatyczny konstabl, co wykluczało manipulacje piłami czy cęgami. Zapewne zmęczenie materiału.

Dwie rzeczy sprawiły, że ta diagnoza nie przekonała mnie w stu procentach. Po pierwsze, dwie pozostałe windy, mimo zawieszonych na nich tabliczek z napisem „Uszkodzona”, okazały się doskonale sprawne. Po drugie, czekając na niebieskich chłopców, sprawdziłem nazwę firmy kurierskiej - Inter-Urban - i okazało się, że taka nie istnieje. Ale też nie spodziewałem się niczego innego - by zacytować papugę Jagona, o mało

nie dostałem zawału z braku zaskoczenia. Całą akcję przygotowano zbyt sprawnie, zbyt dobrze wyliczono czas.

Po odjeździe policji odczekałem pół godziny, by ostatni gapie odeszli do przerwanych wieczornych zajęć, a potem zszedłem do piwnicy, żeby obejrzeć szczątki dźwigu. Rąbnął w dno szybu z dostateczną siłą, by kompletnie zniszczyć osłonę silników, a ich resztki nie pozwoliły się zamknąć drzwiom. Nie zważając na taśmę policyjną i znaki ostrzegawcze, wszedłem do środka i obejrzałem widoczną część dachu - okazało się to łatwe, bo właz techniczny w chwili, gdy metal wygiął się od uderzenia, wyskoczył z obramowania.

Kable faktycznie się zerwały, jak mówił tamten gość. Lecz te, które pozostawały przyłączone do dachu windy, nie zdradzały oznak korozji. Rzecz jasna zmęczenia materiału nie da się wykryć gołym okiem. Ale ślady stóp, owszem. W czarnym smarze w kącie dachu zachował się jeden, na oko jedenasty numer buta, doskonale odbity. Gdyby chłopcy z policji go znaleźli, pewnie uznaliby za ślad technika, ale w blokach komunalnych windy sprawdza się co drugiego świętego nigdy.

Fakt, że wszystko zdarzyło się tuż po tym, jak odczytałem ukryty w zegarku list, wstrząsnął mną bardziej niż odrobinę, „...Ostrzeż, że gdy tylko tamci poznają nazwiska, staną się celem”. I moje nazwisko nabazgrane na marginesie. Czy zatem ktoś jeszcze oprócz mnie odczytał te słowa? Czy to dlatego o mało nie zginałem, zatłuczony siłą przyciągania?

Najpewniej nie. Carla mówiła, że John na długo przed śmiercią zaczął tracić rozum, jedną z oznak był dziwaczny nawyk ukrywania liścików do samego siebie w całym mieszkaniu. Całkiem możliwe, że ten list napisał również do siebie - nie znałem charakteru jego pisma dość

dobrze, by to stwierdzić.

Lecz tak czy inaczej, ktoś pragnął mojej śmierci. I nie miał nawet dość przyzwoitości, by wbić mi nóż w plecy, jak zwykli ludzie - zapewne dlatego że chciał, by mój tragiczny zgon, zamiast za morderstwo, został uznany za argument na rzecz dogłębnego odnowienia miasta.

A mnie coraz bardziej ciekawiło, nad czym właściwie pracował John, kiedy zginął. Może jednak zjawię się na czuwaniu. Pewnie zepsuję nastrój, ale cóż poradzić.

Detektyw sierżant Gary Coldwood miał na rękach krew, i to nie własną. Nie tylko krew: z jego palców i klingi złowieszczo cienkiego noża do filetowania, trzymanego w prawej dłoni, zwisały strzępki czerwono-czarnej tkanki, w lewej ręce trzymał serce, które już nigdy nie zabije.

- Licznik stuka - rzucił.

Coldwood lubi takie powiedzonka, bo pasują do jego wymyślnego obrazu twardego, bezwzględnego gliny, tropiącego złoczyńców w kanionach i nad rzekami miejskiej pustyni. Jego twarz pasowała do tego obrazu - kanciasty podbródek, przesadnie bujne brwi - i wykrzywił ją teraz, patrząc na mnie.

- Nie jestem ci nic winien, Castor. I nie powiem ci nic, czego nie napisali już w gazetach, więc nie pytaj.

- Bo fanga w nos może stać się kamieniem obrazu - dokończyłem za niego.

- Właśnie.

- To czemu spotykamy się tutaj, a nie na glinowie?

„Tutaj” oznaczało kuchnię w jego mieszkaniu w East Sheen. Było popołudnie następnego dnia, a biorąc pod uwagę stylizację Coldwooda na Wiktora Frankensteina, bardzo cieszyły mnie elementy normalności, takie jak zlew pełen brudnych naczyń, magnesy z Homerem Simpsonem do ubierania i kalendarz Maxima na ścianie.

Zamiast odpowiedzi, Coldwood włożył serce - sądząc po rozmiarach

należące do owcy - z powrotem do miski i otarł wolną rękę o i tak już ohydnie brudny fartuch. Potem wziął ołówek i w skupieniu, marszcząc brwi, zapatrzył się w żalony, częściowo rozkrojony kawał truchła.

- Spotykamy się tutaj, bo obawiam się, że nie potrafisz się zamknąć w sytuacji, w której siedzenie cicho to jedyne rozsądne wyjście - warknął.

Przyłożył rysik do kartki otwartego notatnika A4 i zaczął szkicować serce, z wielką starannością, lecz bez szczególnego talentu. Kiedy jego przegub przesunął się, ciągnął za sobą po papierze - niczym odkosy - parę różowych, rozmazanych plam.

- Pytasz o rzeczy, o które nie powinieneś pytać, rzucasz durne domysły, próbując wywnioskować coś z moich reakcji, i ogólnie kompromitujesz mnie w oczach ludzi, na opinii których mi zależy.

Nie było sensu zaprzeczać, toteż nawet nie próbowałem. Uznałem jednak, że na wszelki wypadek spróbuję zagrać kartą współczucia. W końcu nigdy nic nie wiadomo.

- Basquiat wciąż trzyma cię za jaja?

Coldwood roześmiał się bez cienia rozbawienia.

- Kiedy usłyszeliśmy o sprawie hotelu Paragon, detektyw sierżant Basquiat przebywała w środkowej Anglii, przedstawiając całej sali miejscowych buraków zalety wykorzystania modeli behawioralnych w pracy detektywa. Mogę zatem z pełną stanowczością stwierdzić, że jeśli ktoś kogoś trzyma tu za jaja... - Urwał, świadom, że przenośnia nagle się wyczerpała: Ruth Basquiat jest twarda jak gwoździe z tungstenowymi końcówkami, ale jej jaja - chyba że lubi je sobie z kogoś robić - to czysta teoria.

Na dowód tego, że przychodzę w dobrej wierze, nie wykorzystałem

sposobności do żartu.

- I tak nie pytam o żadne tajemnice służbowe - poinformowałem Coldwooda, gładko wypowiadając to stuprocentowe kłamstwo, bo następne zdanie i tak je demaskowało. - Chcę tylko wiedzieć, jak mocne są dowody przeciw Dougowi Hunterowi.

- A dlaczego chcesz wiedzieć, Castor?

- Przykro mi, Gary. Tajemnica klienta.

Pokręcił głową.

- Gadasz bzdury, i to w całej gamie wzorów i kolorów.

- Poważnie - upierałem się. - Potrzebne mi tylko podstawy, nic, co choć odrobinę naraziłoby twoją pozycję służbową. - Wskazałem jedną żyłę sterczącą z serca. - Przeoczyłeś to - dodałem usłużnie.

- Nie przeoczyłem - wymamrotał Coldwood. - Po prostu jeszcze do tego nie doszedłem. Chcesz, żebym ci opisał całą sprawę? Poważnie? I nie sądzisz, że to mogłoby mi zaszkodzić? - Nie musiał nawet kłaść na ostatnie słowo tak sarkastycznego nacisku, bo wiedziałem, że źle do niego podszedłem.

- No dobra, Gary - powiedziałem. - W takim razie spotkajmy się w pół drogi. Wiesz, że tego chcesz. W głębi duszy wciąż czujesz się winny, bo pozwoliłeś mnie aresztować za morderstwo, a potem stałeś i patrzyłeś, jak Basquiat daje mi wycisk.

- Nie - odparł, rysując dodatkowy element sercowej hydrauliki. - Wcale nie czuję się winny, bo cała ta sprawa z Abbie Torlington to była wyłącznie twoja wina. A jeśli dobrze pamiętam, bardzo szybko wydostałeś się z tego aresztu. Przejeżdżając karetką przez ścianę frontową szpitala Wittingtona. Zgadza się?

- Nie ja prowadziłem.

- Mimo wszystko.

Coldwood wyprostował się i krytycznie przyjrzał swemu rysunkowi - najwyraźniej uznał, że jest wystarczająco dobry, bo odłożył ołówek. Zdawało mi się, że widzę jeszcze parę kawałków oślizłej anatomii, których nie uwzględnił na szybkim szkicu, ale może z punktu widzenia policji nie miało to znaczenia.

Wieczorowe zajęcia Coldwooda z kryminalistyki sądowej to kolejna próba wyprzedzenia reszty rozszczekanego stada z Albany Street i awansowania na inspektora, dopóki jest dość młody, by jeszcze się tym cieszyć. Przez dwa wieczory w tygodniu chodzi do Keighley College, co dwa tygodnie dostaje dzień wolnego, by w teorii za dwa lata dostać dyplom, którym z radością będzie mógł pomachać przed nosem wspomnianej już detektyw sierżant Basquiat - zwiewnej blondynki, łobuzersko lekceważącej protokół przesłuchań. Tymczasem w wolnym czasie rozkrawa organy wewnętrzne, które - przynajmniej pod względem anatomicznym - nie należą do niego.

- Nie macie narzędzia zbrodni - oświadczyłem, decydując się na atak bezpośredni. Czasami istnieje coś takiego jak zbytnia subtelność.

- Znajdziemy je. Wciąż uważamy, że Hunter je wyrzucił w czasie pomiędzy wyjściem z Paragonu i zgarnięciem go.

- Wyrzucił? Gdzie? Na ulicę?

- Owszem, może. Albo do bagażnika samochodu. Albo kontenera za sklepem. To zakrwawiony młotek z końcówką do wyciągania gwoździ, Fix, i sześciocentymetrową główką. Łatwo go poznamy, kiedy już znajdziemy.

- A jeśli nie znajdziecie? Czy jesteście gotów przyznać, że w pokoju hotelowym mógł być ktoś jeszcze?

Coldwood wywrócił oczami i pokręcił głową, jakby z niesmakiem. Uniósł miskę i przechylił, pozwalając sercu wysliznąć się i wylądować w kubie.

- Jakiś tyś ktoś - parsknął. - Wiesz przecież, o jakim lokalu mowa. Obrotowe drzwi, kurwy do wyboru, do koloru. Krążą tam bez końca, jak pieprzony Tom i Jerry. Z samej ramy łóżka zdjęliśmy ze trzy tuziny zestawów odcisków.

- Mówię o kimś, kto mógł nie zostawić odcisków - rzekłem cicho.

To go wreszcie zainteresowało. Pogroził mi palcem i pokiwał głową na znak, że zrozumiał.

- A, jasne. To teoria Janine Hunter o mściwym duchu, tak? - spytał z pogardą. - Myriam Kale powraca z martwych. Jak się dostała do Anglii? Liniami telefonicznymi?

- Przyznasz jednak - naciskałem, nie zważając na jego ton - że bez broni większość waszych dowodów to tylko poszlaki.

- Poszlaki? - powtórzył z niedowierzaniem Coldwood. - Ślady DNA z gwałtu analnego?

- Gwałt to kwestia interpretacji, zwłaszcza jeśli ludzie wynajmują pokój w kurwidołku i zamykają za sobą drzwi. Tu mowa o morderstwie, nie seksie,

- Przejrzyj raport z sekcji i powiedz mi, że to tylko interpretacja - zaproponował Coldwood. - Barnard został pobity, poparzony, zerżnięty i zniewolony. A potem zmięczony pierdzielonym młotkiem. Nieważne, czy przyszedł tam szukając seksu. Możemy raczej bezpiecznie założyć, że to,

co go spotkało, nie było częścią programu.

Walczyłem z silną reakcją obronną, ale nie zamierzałem się jeszcze poddać.

- Poparzony? - powtórzyłem. - Chcesz powiedzieć na twarzy? Według Jan Hunter to się zdarzyło po śmierci, nie...

Coldwood lekceważąco machnął ręką.

- Nie próbuj mnie łapać w semantyczne pułapki, Fix. Nie jesteśmy w sądzie. Posłuchaj, możemy tam umiejscowić Huntera. Możemy go umiejscowić w pokoju. Możemy go umiejscowić - wybacz określenie - w dupie Barnarda. Czego jeszcze chcesz?

Odwrócił się do mnie plecami, ściągnął z rolki na ścianie spory kawał papierowego ręcznika i wytarł zakrwawioną rękę.

- Odrobiliśmy zadanie domowe - podjął. - Między innymi rozmawialiśmy z chłopcami do wynajęcia z okolic St. Pancras. Mówili, że Hunter przez ostatnie trzy miesiące bywał tam regularnie. Nienawidzą takich jak on - dajków, tak ich nazywają. Gejów, którzy przychodzą i łapią frajerów, ale nie biorą kasy. Raz wdał się w bójkę z jednym z chłopców i paskudnie go pokiereszował. A zaatakował twarz, tak że tamten nie mógł pracować. Potem dali mu spokój. Tylko przeklinali go i z daleka pokazywali palcami.

Coldwood wytarł rękę z krwi i poszedł je umyć pod kranem, po czym osuszył ściereczką. Otworzył lodówkę, wyjął dwie puszki piwa „Asda” i jedną podał mnie. Wziąłem ją na znak solidarności.

- A poza tym - dodał i w jego głosie usłyszałem lekką, ledwie wyczuwalną, obronną nutkę - ściągnęliśmy kogoś, kto odczytał dla nas scenę zbrodni.

- Kogoś? - Nieco zaskoczony pstryknąłem dyngsem, nie otwierając puszek. - Jakiego kogoś? Chcesz powiedzieć egzorcystę?

- Ta - przytaknął. - Dokładnie. Takiego kogoś.

Sukinsyn. Rzuciłem puszkę Coldwoodowi. Nagle straciłem ochotę na jego dalszą gościnność.

- Powiedziałeś, że wciągniesz mnie z powrotem, gdy tylko smród minie!

- To nie takie łatwe, Castor. Stawiłeś opór podczas aresztowania.

- Niesłusznego aresztowania - odparłem. - Wycofaliście zarzuty.

- Owszem, ale pozostają jeszcze uszkodzenia u Wittingtona, warte osiemdziesiąt tysięcy funtów. A kiedy wychodziłeś, zostawiłeś za sobą dwóch rannych policjantów.

- Kiedy mnie wyniesiono...

- Fix, co mam ci powiedzieć? Smród jeszcze nie minął. W oczach szefostwa wciąż jesteś symbolem syfu i malarii. Szczerze mówiąc, pewnie chętniej zatrudniliby Osamę bin Ladena niż ciebie. On przynajmniej spełniałby wymagania co do mniejszości etnicznych. Poza tym to ktoś, kogo znasz. Twoja stara kumpela. Sam możesz ją spytać i powie ci chuj więcej niż ja.

Ona? Moja znajoma? Nagle gdzieś wewnątrz mnie, zrodziło się podejrzenie, zajmujące miejsce żołądka, który ścisnął się gwałtownie.

- Czy to...?

- Poznałem ją w zeszłym roku, kiedy przesłuchiwałem Sue Book, zakrystiankę z kościoła Świętego Michała. No wiesz, po tym, jak podpaliła go banda amerykańskich satanistów. Piękna kobieta. Niewiarygodna. Zatkąło mnie, kiedy usłyszałem, że ona i Book...

- Mówisz o Juliet Salazar - dokończyłem ponuro, przerywając, nim zdążył mnie poinformować jaka to strata, że Juliet jest lesbijką, albo co gorsza, zacząć rozważać, co mogłoby sprawić, by zmieniła orientację.

- Salazar - powtórzył z roztargnieniem, patrząc gdzieś w dal w sposób świadczący wyraźnie, że nadal widział ją w osobistym teatrze swego płata czołowego. - Tak. Zgadłeś bezbłędnie.

Zaczekałem cierpliwie, aż Coldwood otrząśnie się z radosnego zamyślenia. Kosztowało go to trochę wysiłku.

- No dobra - rzekł. - Mówiłeś, że chcesz ze mną porozmawiać w dwóch sprawach. Jaka jest ta druga?

- Ktoś próbuje mnie zabić.

- Ach tak?

- Ach tak.

Opowiedziałem mu o spadającej windzie i odcisku buta w smarze i syfie na dachu. Zainteresowało go to, ale nie chciał tego po sobie okazać.

- Nie znoszę, kiedy się bawisz w młodszego detektywa, Castor - rzekł z wyrzutem. - W końcu zawsze obrywa za to jakiś inny biedak.

- Chyba każdy ma prawo do zasięgnięcia porady, Gary. Zmęczenie materiału? Co za pierdoły.

- No cóż, jeśli ktoś majstrował przy kablach, łatwo da się to sprawdzić - przyznał Gary. - Wyślę tam ekipę, żeby zabezpieczyła odcisk stopy. Pewnie zdejmą też coś z kabla, jeśli gość nie nosił rękawiczek. Orientujesz się, kto to mógł być? Komu tym razem grasz na nerwach?

Wolałem nie wspominać o liście Johna, bo za bardzo przypominał paranoiczne fantazje Nicky'ego Heatha. Jedyne wzruszyłem ramionami.

- Twoi Życiowcy wspomnieli o wielkim tłuściochu. Wkurzyłeś

ostatnio jakiegoś grubasa?

- Żaden mi nie przychodzi do głowy.

- A poznałeś jakiegoś?

- No owszem, jednego - rzekłem z wahaniem.

- Mów dalej.

- Gość ma na imię Leonard. Nie znam nazwiska. Pracuje w kancelarii prawnej w Stoke Nevington. Ruthven, Todd i Clay. Widziałem go w sumie przez pięć minut, czekając na rozmowę z jednym ze współników. Ale ciągle się na mnie gapił.

- To prawnik?

- Nie przypuszczam. Może jakiś urzędnik. Naprawiał fotokopiarkę.

- Dobra. - Coldwood przyjrzał mi się z namysłem. - Ruthven, Todd i Clay. Sprawdzę to. Powiem ci, jeśli cokolwiek znajdę.

- Oficjalnie czy nieoficjalnie?

- To drugie. Pamiętaj, że zajmuję się zabójstwami, Fix. Nie zmęczeniem materiału.

Jest coś, co powinniście wiedzieć o Juliet, po to, by - w odróżnieniu od choćby detektywa sierżanta Coldwooda - od początku mieć w głowie właściwy obraz. Och, nie zrozumcie mnie źle: jest faktycznie tak zabójczo piękna jak mówił. Tyle, że w przypadku Juliet „zabójczo” to coś więcej, niż zwykłe podkreślenie.

Juliet jest sukubem: seks-demonem. Naprawdę nazywa się Ajulutsikael, więc rozumiecie chyba, dlaczego nie używa już pełnej formy imienia. Karmi się, podkrecając męskie żądze do punktu, w którym człowiek zaczyna tak bardzo się ślinić, że grozi mu utonięcie, a potem pożera jego ciało i duszę. Próbowала mi kiedyś wytłumaczyć, dlaczego pożądanie jest niezbędnym składnikiem: służy za przewodnik, psychiczną słomkę, przez którą może wyssać ducha, niczym ciepły jak krew mleczny koktajl.

Przez pewien czas, gdy stawiała pierwsze kroki w biznesie, pracowaliśmy razem przy wielu sprawach. Można powiedzieć, że pokazałem jej, czym to się je, a przynajmniej nauczyłem trzymać nowe sztuce. Ale szczerze mówiąc, tak naprawdę przede wszystkim starałem się oswoić wielkiego, przerażającego drapieżnika, tak by zachowywał się jak domowy kotek. Był to burzliwy proces i po drodze zdarzyło nam się sporo pamiętnych wpadek.

A jeszcze wcześniej, pewnego razu Juliet próbowała pożreć także mnie, ale zatrzymała się w pół drogi. I w pewnym sensie od tej pory tam

właśnie zostałem: nie potrafiłem nawet zdecydować, czy to, że nie dokończyła dzieła, przyjąłem z ulgą, czy raczej z frustracją. Tak czy inaczej, dziwnie trudno jest mi znieść fakt, że obecnie mieszka z kimś innym - kimś, kto (ponieważ to kobieta, a Juliet jest nastrojona wyłącznie na męskie hormony) może zabawiać się z nią cielesnie, nie pobudzając innych apetytów.

Wszystko to częściowo tłumaczy, dlaczego nie posłuchałem rady Gary'ego Coldwooda i natychmiast po wyjściu z jego mieszkania nie poszedłem pogadać z Juliet. Ciało jest w stanie znieść tylko ograniczoną dawkę męczarni, a poza tym miałem coś do załatwienia. Stchórzyłem, wmawiając sobie, że ważniejsze są moje zobowiązania wobec niespokojnego ducha Johna Gittingsa: no, one i ciekawość co do tego, o co chodziło w ukrytym w zegarku liście. Uznałem, że jeśli ma to cokolwiek wspólnego z moją niedoszłą wycieczką windą do piwnicy Ropeya Doyle'a, to lepiej, żebym o tym wiedział.

Wchodziłem właśnie po schodach do mieszkania Carli, gdy zobaczyłem schodzącego z góry Todda. Za jego plecami maszerowało czterech mężczyzn, w identycznych, pogrzebowniczych garniturach, z imponująco beznamiętnymi minami. Sam Todd wystroił się w jasnoszary prążek.

- Rozumiem, że właśnie dostarczyliście zwłoki - powiedziałem.

Prawnik powiódł z łagodnym zdumieniem wzrokiem od mojej twarzy ku zwiniętemu śpiworowi, który niosłem na ramieniu.

- Tak - rzekł. - Trumna stoi w salonie. Zamierza pan zanocować, panie Castor?

- Owszem, panie Todd.

Tamten kiwnął głową.

- To dobrze - rzekł. - Pani Gittings chyba nie powinna dziś być sama.

- Ruszył naprzód, próbując mnie minąć.

- Jedno szybkie pytanie - rzuciłem. - Kiedy John przyszedł do pana, by zmienić testament, jak wyglądał?

Todd odwrócił się, patrząc na mnie. Jego twarz stężała, znów był zimnym profesjonalistą.

- W jakim sensie?

Miałem nadzieję uniknąć szczegółów, szukając przypadkowych strzępów i fragmentów informacji, lecz najwyraźniej prawnicy mają wbudowany radar wykrywający podobne manewry.

- No - machnąłem niedbale ręką - w sensie... Czy wydawał się panu w pełni przytomny? Rozsądny? A może nieco zdezorientowany?

Todd odpowiedział bez nawet mikrosekundy wahania.

- Myślał jasno. Całkowicie przytomnie, by użyć pańskiego określenia. W przeciwnym razie nie mógłbym przyjąć od niego instrukcji prawnych. Sprawiał wrażenie zmęczonego. Zestresowanego. Kogoś, kto ma za dużo na głowie. Ale jeśli jego samobójstwo było skutkiem... choroby umysłowej, to kiedy z nim rozmawiałem, jeszcze się nie ujawniła. A przynajmniej nie w tym, jak mówił i jak się zachowywał. Powiedziałbym, że był równie normalny jak pan czy ja.

- Czyli nie wspominał o planach włamania? O kopaniu ludzi w krocze?

- Oczywiście. A czemu? Jest jakiś powód, dla którego sądzi pan, że powinien?

Nie musiałem odpowiadać, ale w jakiś dziwnie niesprecyzowany

sposób czułem, że jestem coś winien Toddowi. Szczerość to zapewne jedyna zapłata, na jaką mógł liczyć z mojej strony.

- Coś takiego pojawiło się w jego korespondencji. Myślę... że może to mieć związek z tym, co go gryzło, kiedy przyszedł się z panem zobaczyć. Pracował nad czymś i zaczynał mieć na tym punkcie obsesję. Bardzo chciałbym wiedzieć, co to było.

- Dlaczego? - spytał ponownie Todd. Przyglądał mi się z nieufnością, jaką zazwyczaj okazujemy świrom w autobusach.

Wzruszyłem ramionami.

- Powiedział Carli, że to ważne. Może... to zawodowe zobowiązanie, które powinni uwzględnić jego spadkobiercy.

Dość wykrętna odpowiedź, ale najlepsza, jakiej mogłem udzielić Toddowi, nie mówiąc o wypadku z windą i nie zapuszczając się dalej niż chwilowo miałem w planach. Na szczęście wyraźnie był skłonny uznać, że to coś, o czym nie chce słyszeć nic więcej. Pożegnał się ze mną z niemal nieprzyzwoitym pośpiechem i poprowadził swój czteroosobowy orszak w stronę wielkiego karawanu parkującego na zewnątrz. Ja ruszyłem na górę schodami.

Carla zamknęła drzwi na klucz i zaryglowała je u góry i dołu, toteż chwilę potrwało, nim mnie wpuściła. Na mój widok jej twarz się rozpromieniła: pewnie sądziła, że to Todd wrócił po jakiś zapomniany drobiazg.

- Fix! - wykrzyknęła. - Zmieniłeś zdanie!

Objęła mnie mocno i poczułem się jak cyniczny, samolubny skurwiel, bo powody, dla jakich się tu znalazłem, nie miały nic wspólnego z jej osobą, tylko z moim otarciem się o śmierć.

Trumna stała na dwóch koziołkach pośrodku salonu, wyczyszczona i wypolerowana jak nowa. Wyglądała, jakby brakowało jej tylko zawieszanej na środku tabliczki z napisem: „Droga zamknięta”. W pokoju było cicho jak w grobie - a może bardziej, jeśli wierzyć memu doświadczeniu. Urok, który rzuciłem dzień wcześniej na Johna, nadal działał, choć na samym skraju mojego radaru wewnętrznego wyczuwałem od czasu do czasu lekkie poruszenie, niczym robaka w fasolce, który sprawia, że ziarnko lekko podskakuje.

Zaproponowałem, że zaparzę kawę, ale okazało się, że żadnej już nie ma: paczka, którą opróżniliśmy poprzedniej niedzieli, była jedyną w domu. Carla wyraźnie ostatnio nie miała głowy do zakupów.

- Chciałabyś wyskoczyć i coś przekąsić? - zaproponowałem.

- Przepraszam, Fix. - Pokręciła głową. Jej wzrok na moment powędrował ku trumnie i z powrotem wrócił na neutralne terytorium mojej twarzy. - Nie mogę go tu zostawić samego.

- No tak, rozumiem - przyznałem. - Jezu, Carlo, nie musisz przeproszać. To człowiek, z którym spędziłaś dwadzieścia lat życia. Myślę jednak, że stanowczo powinnaś coś przekąsić. Przegryziesz coś na wynos?

Uśmiechnęła się słabo.

- Przegryzanie niszczy zęby, ale mogłabym coś zjeść.

Zająłem się tym. Wyskoczyłem do Romna Gate na Southgate Circus, a po drodze uzupełniłem zapasy w minimarkecie.

Nad gosht kata marsala i keema naan Carla wyraźnie się rozpromieniła. Popiła szklanką wysokoprocentowego belgijskiego piwa. Jedliśmy w kuchni, gdzie choć na parę minut można było zapomnieć o złowieszczej obecności trumny. Przynajmniej teoretycznie, bo z

niewiadomych przyczyn nasza rozmowa ani na chwilę nie zbacziała zbyt daleko od Johna.

Powiedziałem Carli o liście w kopercie zegarka, ale nie o windzie. Przytaknęła z rezygnacją.

- O tym właśnie mówiłam - rzekła. - Chował różne rzeczy, potem je gubił, znajdował i znów chował. Znosiłam to od miesięcy, Fix. Sądziłam, że poznałam większość jego kryjówek, ale to coś nowego.

Zawahałem się. Wszystko, co wiedziałem na temat śmierci Johna, usłyszałem od Burbona Bryanta - nagie fakty, że pewnego niedzielnego wieczoru John wstał, podczas gdy Carla oglądała kompletną edycję Eastenders, zamknął się w łazience i ozdobił ściany zawartością własnej głowy. Po przeczytaniu listu odkryłem, że chcę się dowiedzieć czegoś więcej. Nie miałem natomiast ochoty przywoływać u Carli wspomnień, do których wolałaby nie wracać.

- Czy przetrwały może jakieś jego notatki? - spytałem. - Liściki, które pisał do siebie?

Zastanawiała się chwilę.

- Nie - rzekła wreszcie. - Jestem niemal pewna, że nie. Jak mówiłam, co rusz zmieniał zdanie. Cały dzień bazgrał na kawałkach papieru i kopertach, a potem palił je wszystkie, darł na strzępki, by następnego dnia zacząć od nowa.

- A kryjówki, o których mówiłaś? Sprawdzałaś je może po śmierci Johna?

Spojrzała na mnie nierozumiejącym wzrokiem.

- Po co miałabym to robić?

- Nie wiem. Bo może kryje się w nich coś, co powiedziałyby nam,

czym się zajmował. „Numer do podręczników historii”, pamiętasz? Może naprawdę było to coś tak wielkiego. Może istnieje powód, dla którego okazało się zbyt ciężkie do strawienia.

Carla odłożyła widelec i odsunęła talerz. Zamrugła kilka razy, szybko, jakby do oczu napływały jej łzy, których wołała nie wypuszczać na zewnątrz.

- Przepraszam. - Uniosłem ręce w geście poddania. - Zapomnij, że o to prosiłem, Carlo. I bez tego masz dość na głowie.

- Nie - rzekła. - Wszystko w porządku, Fix. Po prostu to nagle powróciło.

- No właśnie. Już się zamykam.

- Nie musisz. - Wstała. - Przecież i tak przed tym nie ucieknę. Jest kilka miejsc, które możemy sprawdzić, jeśli chcesz.

Weszła do salonu, a potem ruszyła krótkim korytarzykiem, prowadzącym do sypialni. Podążyłem za nią nieco niespokojnie, w duchu przepraszając bezdźwięcznie uśpiony cień Johna.

Pościel na łóżku była z czerwonej satyny, na kołdrze widniał króliczek Playboya; dwie poduszki, dla niego i dla niej - dla niej z aureolą, dla niego z rogami. Myślmy, że dobrze znamy ludzi, ale to tylko złudzenie. Carla wyciągnęła spod łóżka z „jego” strony pudełko po butach, pogrzebała w środku, ale znalazła jedynie zestaw czcigodnie zestarzałych odcinków czeków.

Następnym celem okazał się sejf na ścianie, za obrazem przedstawiającym jednorożca z nagą kobietą na grzbiecie. Sejf miał zamek cyfrowy. Carla otworzyła go, sześć razy naciskając jedynekę.

- Ustawienie fabryczne - wyjaśniła, zerkając na mnie i wywracając

oczami. - Nawet nie chciało mu się go zmienić.

Po kolejnym zawodzie przeszła do żaluzjowego biurka obok okna. Miało jedną pustą szufladę, lecz Carla nawet do niej nie zajrzała - wyciągnęła ją tylko, położyła na łóżku, a potem uklękła i wsunęła rękę w dziurę po niej.

Ciche trzaski i stuknięcia świadczyły o tym, że maca w pustym miejscu w głębi biurka. Nagle znieruchomiała, jej brwi powędrowały w górę.

- Bingo - mruknęła.

Z pewnym trudem wyciągnęła reklamówkę od Sainsbury'ego, okręconą wielokrotnie brązową taśmą klejącą. Podała mi, a ja ją wziąłem i zważyłem w dłoni. Nie wyglądało na to, by w środku mogło kryć się zbyt wiele.

Zacząłem odklejać taśmę, lecz Carla położyła mi dłoń na rękę, powstrzymując mnie. Potem, jakby nagle uświadomiła sobie gdzie jesteśmy i jak dwuznaczne może być nawet chwilowe dotknięcie u stóp podwójnego łóżka z wystrojonym w muszkę królikołakiem Hugh Hefnera, patrzącym na nas jednym okiem, cofnęła rękę.

- Otwórz to gdzie indziej - poprosiła. - Albo... jutro. Nie teraz. W tej chwili byłoby to chyba dla mnie zbyt wiele do zniesienia.

Kiwnąłem głową i opuściłem dłoń z paczuszką. Nadal staliśmy zbyt blisko siebie. Uznałem, że muszę wykonać jakiś gest, by rozładować napięcie.

- Napijesz się jeszcze piwa? - spytałem. - Ma około ośmiu procent, jak „Tennants Extra”, ale dodatkowo smakuje. Dzięki niemu łatwiej zaśniesz.

- Nie sędę, żebym pospała dziś zbyt długo. - Carla odwróciła się i podeszła do łóżka. Jednym wyćwiczonym ruchem ściągnęła pościel i kołdrę. - Fix, położę się w salonie, obok... to znaczy z Johnem. Ty możesz spać w łóżku. Na górnej półce szafy znajdziesz pościel i powłoczki, a w szufladzie z boku zapasową kołdrę. - Wskazała ręką.

- Przyniosłem śpiwór - odparłem. - Rozłożę go po prostu na materacu. Chyba że chcesz też materac.

Pokręciła głową, patrząc na mnie z wyrazem rezygnacji na twarzy.

- Wystarczy mi kołdra - odparła. - Złożę ją jak kanapkę i będę spać w środku.

Nagle, jakby podjęła decyzję, upuściła pościel i wróciła do mnie.

- Dziękuję, że przyszedłeś tu dzisiaj - powiedziała. - I że wszystko załatwiłeś. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

Pocałowała mnie w policzek i tym razem w tym geście nie było ani śladu niezręczności i napięcia, przynajmniej ze strony Carli. Muszę przyznać, że jej podziękowania w tej chwili mocno mi ciążyły, zważywszy, że znalazłem się w tym mieszkaniu głównie dlatego, że sądziłem, że dzięki temu może odgadnę, kto próbuje mnie zabić.

- To część naszej usługi podstawowej - zapewniłem lekko. - Wersja luksusowa obejmuje pielęgnację trawnika.

- Ja nie mam trawnika.

- Czyli wersja podstawowa powinna ci wystarczyć.

Pomogłem jej zanieść pościel i wróciłem na dół po resztę rzeczy, które przywiozłem. Było już ciemno - ale też ciemnoszare, skłębione góry cumulonimbusów przez cały dzień nie dopuszczały do nas światła. Wiatr zdążył już przegnać większość chmur na zachód, a sierp księżycy, wąski i

ostrzy niczym klinga, rozcinał resztę na poszarpane strzępy. Jutrzejszy dzień będzie ładny i zimny jak miłosierdzie.

Zostałem tam chwilę, bo wschodni wiatr, niosący technienie niezrodzonego mrozu, miał w sobie coś czystego, odświeżającego. Zadzwoiłem do Juliet, ale odebrała Susan Book. Spytałem, czy mogłaby przekazać wiadomość: muszę porozmawiać z Juliet o robocie, jaką wykonała dla policji. Susan odparła, że powie jej, gdy tylko Juliet wróci.

- W ogóle ostatnio cię nie widzimy, Fix - upomniała mnie. - Gdzie właściwie teraz pracujesz? W straszliwej głuszy na skraju cywilizacji?

- W Southgate - odparłem. - Najbliższa cywilizacja to chyba centrum handlowe Wood Green.

- Wielkie nieba, to tylko dwadzieścia minut jazdy od nas! Musisz wpaść do nas na obiad. Juliet ucieszy się na twój widok.

- Dobrze, przyjdę.

- Jutro.

Miała mnie.

- Dobra, jutro.

- Po namyśle, może lepiej w czwartek? Jutro wieczorem mam spotkanie modlitewne.

- A zatem w czwartek. Dzięki, Sue. Do zobaczenia.

Rozłączyłem się, znów zadziwiony tajemnicami ludzkiego ducha. Z pozoru to zupełnie niepojęte, że ktoś żyjący w grzechu z sukubem - dorosłym i pełnoletnim demonem tej samej płci - może nadal pozostawać bardzo aktywny na łonie Kościoła i nie dostrzegać żadnej wewnętrznej sprzeczności w tym wszystkim. Susan Book była wyjątkowa. Zaczynałem ją lubić, choć ukradła mi moją kobietę.

Nie śpieszyłem się. Schowałem telefon, pozbierałem rzeczy i znów ruszyłem na górę.

Kiedy wróciłem, wyczułem różnicę, nim jeszcze zobaczyłem Carłę, zastygniętą na podłodze w pozycji obronnej. Na dywanie, pomiędzy nią a trumną rozlewała się plama piwa w kształcie wydłużonej łyzy, w największym miejscu spoczywały rozprysnięte szczątki stłuczonej butelki. Najwyraźniej w ciągu owych paru minut, które spędziłem na dworze, John się obudził, i to w wybitnie kwaśnym nastroju.

Carla płakała. Podszedłem do niej, ukląknęłem i objąłem ręką jej ramiona. Wtuliła się we mnie, a głośne szlochy wstrząsały całym jej ciałem.

- Ja tylko... - zdołała wykrztusić - powiedziałam mu... dobranoc.

Niezbyt dobrze sobie radzę w podobnych sytuacjach. Wiem, co powinno się mówić, ale ludziom, którzy mnie znają i orientują się, jak zarabiam na życie, trudno czerpać ode mnie pociechę. To jakby dodawał ci otuchy zawodowy kat. Mimo wszystko spróbowałem.

- Carlo... - zacząłem. - John jest tak przerażony i wściekły, ponieważ w tej chwili strach i gniew to jedyne co ma. Stracił ciało - spoczywa w trumnie, tutaj. Jego pociąg się wykoleił. W tej chwili został z niego tylko kłębek emocji, tak silnych, że nie pozostawiają nawet miejsca na wspomnienia. To dlatego tak wiele duchów raz po raz odtwarza moment własnej śmierci: tkwią w pętli czasowej, odtwarzając te same wydarzenia, bo wiąże się z nimi tak wiele strachu i bólu. John nie próbuje cię zranić. Sama mówiłaś, że żaden z przedmiotów, którymi rzucał, nigdy cię nie dotknął. Wścieka się, bo nie rozumie, co go spotkało, i nie wie, jak się uwolnić. Ale jeśli cisnął butelką, kiedy dotknęłaś ścianki trumny - tuląc mi

głowę do piersi próbowała przytaknąć i bardziej poczułem niż ujrzałem jej reakcję - to dobry znak. Oznacza, że rozpoznaje ciało jako należące do siebie i chce je chronić. To znaczy, że pamięta dość przeszłości, by je rozpoznać. Na jakimś poziomie wie, kim jest. Kim nadal jest. Słusznie zatem postąpiłaś, zgadzając się na to. Myślę, że mu pomogłaś.

Carla musiała się wyplakać, ale moje słowa chyba do niej dotarły, bo powoli się uspokajała. Po jakiejś minucie puściłem ją i wyjąłem z kieszeni flet.

- Zagram mu coś jeszcze - oznajmiłem.

To znów ją wystraszyło. Wynurzyła się z lekko wilgotnych objęć moich kłap z przerażoną miną.

- Fix, jeśli teraz go odeślesz...

- Za pierwszym razem go nie odesłałem - przypomniałem. - Jedyne nieco... uspiłem. To melodie, które stosuję u Rafiego, toteż miałem mnóstwo czasu, by je udoskonalić. Tym razem nie chcę nawet, by zasnął, tylko się uspokoił, żebyś nie musiała kłaść się do łóżka w pełnej zbroi.

Czekałem aż odpowie. W końcu niemal niedostrzegalnie skinęła głową, jakby nie ufała własnemu głosowi.

Zagrałem melodię stanowiącą bardzo dowolną wariację na temat „Lady Pilot” Neko Case, chyba głównie z powodu fragmentu tekstu o niebaniu się śmierci. W podobnych przypadkach często wyjściowa piosenka nie ma zbyt dużego znaczenia - kiedy wypuszczam ją na swobodę, zaczyna się rozrastać i zmieniać, jakby wibracje muzyki stanowiły niematerialne przedłużenie mojego własnego układu nerwowego. Staje się czymś, za pomocą czego dotykam świata - niewidzialnego świata, który trwa obok naszego na biegu jałowym, zatrzymany na międzywymiarowym

czerwonym świetle - a także wpływam na rzeczy, które w nim widzę i wyczuwam.

Tym razem nieco szerzej otworzyłem umysł i ruszyłem wprost na spotkanie ducha, czekającego w ciemności. Natychmiast uderzyła mnie potęga jego furii: była niczym wrząca woda wypełniająca pokój, do tej pory niewidzialna i niewyczuwalna. Jej siła - siła kryjącej się za nią woli - kompletnie mnie zaskoczyła. Po wszystkich kontaktach z Johnem nigdy nie podejrzewałbym, że mógłby być zdolny do takiej gwałtowności. Dopasowując się do niej, dźwięk w dźwięk, ton w ton, pozwoliłem, by muzyka wniknęła w nią niczym rozrastający się lodowiec i powoli, stopniowo odebrała jej moc ranienia kogokolwiek.

Kiedy robię takie rzeczy, tracę poczucie czasu. A może uczciwiej byłoby rzec, że czas staje się jednym z wymiarów muzyki i postrzegam go wyłącznie jako coś, co porusza się w mojej piersi i pod palcami, wypływa z wzoru, który tworzę. Tak czy inaczej, gdy w końcu się ocknąłem, odkryłem, że Carla śpi obok mnie.

Geist nie spał, ale się uciszył - przez jakiś czas nie będzie już rzucał butelkami. Znów zrobiło mi się nieprzyjemnie na myśl o kontraście pomiędzy niepozornym i w gruncie rzeczy życzliwym człowiekiem, którego znałem przez ostatnie piętnaście lat, i tym wściekłym kłębkim nienawiści i gniewu. Śmierć nas zmienia - w niektórych przypadkach wydobywa z nas wszystko co najgorsze - ale ta świadomość wcale mi nie pomagała. Zwłaszcza że zastanawiałem się, czy John Gittings przypadkiem nadal by nie żył, gdybym odebrał jego telefony.

W tym momencie zadziały moje obwody logiczne. Nie można uratować kogoś przed samobójstwem, jeśli podchodzi do sprawy

poważnie. John pragnął i zamierzał umrzeć: musiało tak być. Nawet w Nowym Jorku, gdzie ponoć w kanałach żyją olbrzymie aligatory, ludzie zazwyczaj nie biorą ze sobą do kibla naładowanej dubeltówki.

A jeśli to było morderstwo upozorowane na samobójstwo...? Naprawdę brzmiało to, jakby złożyła mi wizytę Pani Paranoja.

Na papierze, w teorii, w zimnym blasku dnia, nie miałem nic, co powinienem sobie wyrzucać. Ale to była ciemna noc duszy Johna Gittingsa; nie tak łatwo mogłem sobie odpuścić.

Zgarnąłem swoje rzeczy i poszedłem do sypialni, gdzie rozłożyłem na łóżku śpiwór. Nagi materac ma w sobie coś zimnego i nieprzyjemnego: starałem się na niego nie patrzeć, rozpakowując resztę sprzętu z obszarpanej i sfatygowanej torby, kiedyś należącej do Rafiego.

Potem zsunąłem buty, usiadłem na łóżku, podwijając nogi, i w końcu zacząłem zdierać warstwy taśmy klejącej okręcone wokół reklamówki z Sainsbury'ego, którą John tak starannie zachomikował. Folia się darła i nim skończyłem odwijanie, ze środka wypadło parę drobnych przedmiotów: mały klucz na zasupłanej sznurówce i oddarty kawałek książeczki zapalek z baru „Reflections Cafe”. W środku pozostał tylko jeden większy, prostokątny przedmiot.

Z tego, co mówiła Carla, nie spodziewałem się zbyt wiele. Lecz duży przedmiot z torby okazał się tak niewiarygodnie banalny, że mimo wszystko w chwili, gdy ściągnąłem folię i ujrzałem okładkę, poczułem gwałtowny zawód i zniechęcenie. To było „Londyńskie A do Z” - plan miasta, jeden z większych, ze spiralnym grzbietem.

Pstryknięciem uniosłem okładkę i zacząłem przewracać strony. Niemal na każdej odnajdowałem zapiski zrobione czarnym flamastrem -

naszkirowane kreski i kółka, a także dodatkowe notatki, tak że w większości nie było widać miejsc, które pierwotnie podkreślały. Co najmniej jedno z nich było kościołem.

I to już wszystko. Na pierwszy rzut oka niewiele: nic z tego nie wskazywało, co mógł mieć na myśli John, mówiąc, że ta sprawa trafi do podręczników, chyba że chodziło mu o podręczniki londyńskiej geografii.

Po uważniejszym przyjrzeniu się odkryłem jednak, że korzystał też z „A do Z” jako z notesu. Wewnętrzne okładki i puste miejsca na stronie tytułowej i copyrightowej wypełniały gęste, długie listy. Wyglądały na spisy nazwisk. Ten z przodu obejmował sporo osób, które znałem - było tam moje nazwisko, a także Juliet, Carla, Burbon Bryant, Reggie Tang. Część odhaczono, inne nie. Jeszcze inne odhaczono, przekreślono haczyki i znów odptaszkowano.

Inne nazwiska, zapisane w kolejnej kolumnie, stanowiły dla mnie nowość albo też poruszały w moim umyśle słabe echa, których znaczenia nie potrafiłem przyszpilić. *Silver. Cornell. Moulson. Lathwell. Richardson. Lambrianou. Hart.*

Na tylnej okładce widniała lista miejsc, nie ludzi: Abney Park, Eastcote Lane, St. Andrews Old, St. Andrews Gardens, Stray Field. Ciągnęły się w pięciu kolumnach, zapisane drobnym, ciasnym pismem, niektóre zaznaczone symbolami, inne zakreślone różnokolorowymi tuszami, jeszcze inne skreślone i znów zabazgrane. Przypomniałem sobie Carłę, opowiadającą, jak John pisał liściki do samego siebie, a potem je darł - wyglądało na to, że tu robił mniej więcej to samo.

Przeskakiwałem tam i z powrotem pomiędzy listami. Mój wzrok odruchowo przyciągały najczytelniejsze miejsca. Innych, tak gęsto

pokreślonych i pobazgranych, że nie dawało się odczytać pierwotnych zapisków, podświadomie unikałem. W końcu litery zaczęły pływać mi przed oczami i się poddałem.

Sięgnąłem zatem po klucz, zawieszony na zaimprovizowanym breloczku ze sznurowadła, i przyjrzałem mu się z pewnym zawodowym zainteresowaniem, ponieważ w różnych okresach mojego życia włamania stanowiły dla mnie ulubione hobby. Był mały, z pustym trzonkiem i liczbą 167 wytrawioną na główce w kształcie rombu. To był Lycett, bardzo charakterystyczny produkt firmy ślusarskiej ze środkowej Anglii, choć brakowało nazwy producenta. Ciekawe, w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych Lycett miał mnóstwo zleceń, głównie z fabryk i biur, ale bardzo nieliczne w Londynie. Ktoś dysponujący kupą czasu i obdarzony niezdrową ciekawością prawdopodobnie mógłby znaleźć zamek, do którego pasował ten klucz. Ale po co się wysilać, jeśli miałyby się okazać, że w środku kryłyby się kolejne, nabazgrane, niemal nieczytelne palimpsesty, podobne do tych, które właśnie obejrzałem?

Schowałem trzy przedmioty do wypatroszonej torby, myśląc, że musi istnieć łatwiejszy sposób rozwiązania zagadki Johna Gittingsa. Dopiero teraz zauważyłem, że na spodzie zapalek wypisano czerwonym długopisem serię liczb. Numer karty kredytowej? Nie, tylko jedenaście cyfr, karta wymagałaby szesnastu. Numer zaczynał się od 832, więc nie wyglądał na telefon - ale na wszelki wypadek, choć było już sporo po północy, dodałem zero na początku i wybrałem. Odpowiedział jedynie piskliwy, ciągły sygnał oznaczający brak połączenia.

Jeszcze chwilę wpatrywałem się w cyfry, zastanawiając się, czy przypadkiem nie umyka mi coś oczywistego. Ale gęsta mgła, wypełniająca

mój umysł, sprawiała, że nie mogłem się skupić - długi dzień, mocne piwo. To będzie musiało zaczekać do rana.

Wybrałem jeszcze jeden numer, przyjaciela, Nicky'ego Heatha. Jego nazwisko także figurowało w „A do Z” Johna, ale nie dlatego zadzwoniłem - Nicky jest jak łasica, wyszkolona w wyszukiwaniu cyfrowych informacji. Jeśli ktokolwiek mógł zrozumieć zapiski Johna Gittingsa, to właśnie on. A poza tym, ponieważ sam zaliczał się do grona umarłych - podgrupy zombie - może potrafiłby wczuć się w obecną sytuację Johna.

Załatwiwszy to, rozebrałem się do bokserek, zamiast piżamy naciągnąłem T-shirt i wpełzłem do śpiwora.

Spodziewałem się, że zasnę natychmiast, ale atmosfera tego miejsca nie pozwalała uwolnić się od napięcia całego dnia. Po mojej grze w pokoju pozostała strefa ciszy, podczas gdy zazwyczaj otacza mnie ciche, psychiczne brzęczenie nieuformowanych energii. Przypominało to chwile, kiedy siedzimy w kuchni i lodówka nagle przestaje mrużyć, wypełniając nam zmysły nieobecnością dźwięku, w dziwny sposób głośniejszą niż on sam.

Myślałem o żalosnej śmierci Alastaira Barnarda i absolutnym przekonaniu Jan Hunter, że jej mąż jest niewierny. Gdzie był młotek? Dlaczego uznano, że warto zabrać go z miejsca zbrodni, mimo że dowody przeciwko Dougowi Hunterowi były i tak bardzo mocne? Może dlatego że nie pasował do reszty? Może zostały na nim niewłaściwe odciski palców? W takim przypadku wyniósł go prawdziwy zabójca albo też zjawiał się jeszcze ktoś i podwędził go po tym, jak znaleziono ciało, ale nim na miejsce dotarła policja. Bardzo wąskie okienko.

Tak czy inaczej, Coldwood zdecydowanie nie miał racji, mówiąc, że zabrał go Hunter. Wędrując ulicami miasta w zakrwawionym ubraniu, wzbudził wśród ludzi zainteresowanie dostatecznie wielkie, by zatrzymywali się i odprowadzali go wzrokiem, a potem wskazali policji. Niemożliwe, by cały czas niósł w ręce młotek i nikt nie zauważył, gdzie i kiedy go upuścił.

W końcu osunąłem się w niespokojny, płytki sen, w którym na pewnym poziomie zdajemy sobie sprawę, że czas płynie, i to bardzo wolno.

Nawiedzały mnie niewyraźne, męczące wizje. Wędrowałem długimi ulicami, których nie znałem, szukając dworca kolejowego, bo musiałem gdzieś pojechać i kończył mi się czas. Zapadała noc. Gdybym spóźnił się na pociąg, ugrzązłbym tam, a we śnie wydawało mi się to wyjątkowo złym rozwiązaniem. Losowo wybierałem zakręty, pewien, że w końcu zobaczę dworzec z daleka, ale za każdym razem trafiałem w ślepy zaułek, albo też na ulicę ciągnącą się w dal, bez śladu stacji.

A potem minąłem mężczyznę siedzącego na poboczu - w takim samym stanie jak Doug Hunter, kiedy gliniarze znaleźli go i zgarnęli. Tyle że to nie był Doug Hunter, którego jeszcze nie znałem: był to John Gittings.

Usiadłem obok niego. Nieuprzejmie byłoby po prostu go wyminąć.

Spojrzał na mnie oczami pełnymi bardziej smutku niż wściekłości, co przyjąłem z lekką ulgą, biorąc pod uwagę skłonność do przemocy, jaką okazywał na poziomie duchowym. Miał na sobie znoszoną brązową kurtkę i płowe spodnie, te same, co owego dnia w zoo w Whipsnade rok wcześniej, kiedy podczas dwuosobowych egzorcyzmów na moment

spuścił z oka cel, który o mały włos nie odgryzł mi głowy. Wówczas po raz ostatni widziałem go żywego.

Pokazał mi ręce umazane krwią. Moja podświadomość bez wątpienia sięgnęła do historii Douga Huntera, w poszukiwaniu wskazówek.

- Niewiele ze mnie zostało, Fix - rzekł ze smutkiem. Psycholodzy twierdzą, że w snach tak naprawdę nie słyszymy głosów, ale ten brzmiał jak John, którego pamiętałem: podobny ton nieco komicznego użalania się nad sobą, jak u Morrisseya, tyle że John, przeganiając duchy, grał na perkusji, a żaden zespół, do którego się przytulił, nie przetrwał zbyt długo, toteż pod wieloma względami bardziej przypominał Johnny'ego Marra.

- Nie, brachu - zgodziłem się. - Z całą pewnością bywało lepiej.

Ponieważ to był mój sen, sprawdziłem kieszenie w poszukiwaniu wódki. Nie znalazłem niczego, oprócz gałązki srebrnej brzozy.

No dobra, to amulet zawieszony na drzwiach Johna, by nie dopuszczać niespokojnych zmarłych. Niemal się zawstydzilem: jak na sen, ten za bardzo przypominał urlop spędzony w pracy.

Podąłem Johnowi gałązkę: była już nieco sfatygowana, a oplatająca ją biała nitka zaczynała się zsuwać, on jednak najwyraźniej nic nie zauważył. Pokręcił głową i wpatrywał się ponuro w rynsztok, którym teraz płynęła strużka czarnej wody, okrążając noski jego butów.

- Nikt nie chce wiedzieć, prawda Fix?

- Wiedzieć czego, John?

- Jak ci skurwiele mnie zabili.

Schowałem gałązkę do kieszeni.

- Uhm... Ty sam się zabiłeś, John - rzekłem, starając się, by zabrzmiało to taktownie. - I nie ryzykowałeś, że ci się nie uda. Wsadziłeś

sobie w usta lufę dubeltówki i nacisnąłeś spust. Carla przez dwa dni zmywała twój mózg ze ścian.

John spojrział na mnie z lekkim wyrzutem.

- Może nie musiałbym tego robić - rzekł - gdybyś odebrał tamten telefon.

Spodziewałem się tego: nie trzeba Freuda, by zgadnąć, czemu śniłem o Johnie Gittingsie, śpiąc w jego łóżku, obok pokoju, w którym spoczywało jego martwe ciało.

- Tak, bardzo mi przykro - odparłem. - Naprawdę. Z drugiej strony, mogłeś zostawić wiadomość mającą choćby cień sensu. Nie uprzedziłeś mnie, o co toczy się gra, John. Nie próbowałeś wyjść mi naprzeciw.

John zaczął grzebać w kieszeniach, poklepywać się po kurtce, krzywiąc się z roztargnieniem.

- Sądziłem, że sam sobie poradzę - przyznał. - A kiedy uznałem, że muszę kogoś ściągnąć, tkwiłem już w tym za głęboko. Zawsze byłem aroganckim bucem, Fix. Niemal tak okropnym jak ty. Chyba miałem coś ci dać.

- List? Dostałem go.

- Nie, nie list. Zapis. Ostatni zapis, nim zadzwieczał gwizdek.

- Gwizdek?

- Albo bębny. Zapomniałem. To jak szkielet, Fix. Szkielet melodii.

- No cóż, dzięki, że o mnie pomyślałeś, John. Chyba będę musiał przeżyć bez niego. A tak w ogóle, co to jest noc inskrypcji? Brzmi jak impreza w miejscowym kółku brydżowym.

John westchnął i wstał, bardzo powoli, z wielką niechęcią. Plusnęło, gdy poruszył wodę w rynsztoku, rozchodzące się po powierzchni koła

przetrwały dłużej, niżbym się spodziewał. Spojrzałem prosto w jego błagalną, żalną twarz.

- Muszę już iść - powiedział. - To będzie musiało poczekać do następnego razu. Nie pozwolisz im mnie dopaść, prawda, Fix? Przynajmniej w tej sprawie mogę na tobie polegać? Jeśli będziesz musiał, zdmuchnij mnie. Zagraj mi i zdmuchnij jak świecę. To mi nie wadzi. Nie pozwól tylko, by mnie dostali.

Ja też wstałem, bo ulica zaczęła zapełniać się wodą. Strumyczek w rynsztoku nagle zamienił się w potop i woda sięgała nam już do kolan. Była zimna i mętna - jak wzbierający przyływ tuszu.

- Kto, John? - spytałem. - Kto chce cię dopaść?

- Ci sami co przedtem - odparł, wzruszając ramionami. Patrzył mi w oczy, zaciskając zęby. - Zawsze ci sami, raz po raz, bez końca. W tym właśnie rzecz. Zabij mnie, jeśli będziesz musiał, Fix. Bóg jeden wie, lepiej ty niż oni.

Odszedł kilka kroków na jezdnię, a potem zatrzymał się, spojrzał w prawo i w lewo, jakby nie wiedział dokąd ma pójść - albo jakby sprawdzał, czy nic nie nadjeżdża. Przechodząc przez ulicę w Londynie, trzeba bardzo uważać - zupełnie jakby chciał podkreślić te słowa, potknął się i upadł, znikając w wodzie niemal do ramion. Pośrodku ulicy otwierała się dziura. Może roboty drogowe?

Dobrze wiedziałem, że nie.

Wszedłem do wciąż wzbierającej wody, czując rwący prąd, próbujący zbić mnie z nóg. Ruszyłem naprzód, ostrożnie stawiając kroki, macając palcami w poszukiwaniu niewidzialnych pułapek. Droga zamieniła się w cmentarz, woda skrywała otwarte groby tak, że człowiek

nie widział ich, dopóki w jakiś nie wpadł.

Kto kopie groby pośrodku drogi? Może to tak jak z mieszkaniami - najważniejsza jest lokalizacja - i nieboszczyk mający na głowie ważne sprawy mógłby zechcieć, by go pochowano gdzieś w pobliżu sklepów i metra.

Obszedłem jeden z grobów i o mało nie wpadłem do kolejnego. Woda sięgała już Johnowi po szyję, rozglądał się na wszystkie strony oczami wytrzeszczonymi ze zgrozy.

Nim się do niego zbliżyłem, coś go wciągnęło. Jęknął przeraźliwie i ów dźwięk urwał się gwałtownie, gdy jego głowa zniknęła pod powierzchnią.

Kiedy dotarłem w to miejsce, nie pozostało już nic prócz cienkiego strumyczka bąbelków, wypływającego z czarnego jak noc strumienia miejskiej rzeki.

Coś otarło mi się o nogi pod powierzchnią - coś wystarczająco dużego, by mnie odepchnąć, kiedy przepływało obok. Odskoczyłem, widząc pozostawiony przez nie ślad wzburzonej wody.

To coś zakręciło leniwie i skierowało się z powrotem ku mnie. Cofnąłem się o krok, potem drugi, przy trzecim moja stopa natrafiła na pustkę. Ześliznąłem się z krawędzi podwodnego grobu i zanurzyłem, zaciskając usta.

Ocknąłem się, głośno chwytając powietrze, jakbym naprawdę o mało nie utonął. Niczym bohater filmu usiadłem na łóżku, zlany już stygnącym potem. Zacząłem macać w poszukiwaniu lampki, znalazłem jedną i po paru sekundach wysiłku zdołałem zapalić.

Wielki, pręgowany kot siedzący w nogach łóżka zamiauczał w

proteście. Zeskoczył na podłogę i podbiegł do drzwi. Wychodząc, obdarzył mnie spojrzeniem pełnym chłodnej dezaprobaty. Niewątpliwie był to przybłęda, o którym wspominała Carla.

Cholera! To był najgorszy koszmar, jaki nawiedził mnie od lat. Lekko trzęsącymi się rękami odpiąłem śpiwór i opuściłem nogi na podłogę. Nie ma mowy, żebym znów zasnął, dopóki serce nie zwolni mi do normalnego tempa.

Podszedłem do drzwi, pomaszerowałem krótkim korytarzem i zajrzałem do salonu. Zapaliwszy światło, odzwyczaiałem oczy od ciemności, toteż nie widziałem zbyt wielu szczegółów: słyszałem jednak miarowy oddech Carli i widziałem ciemniejszy kształt jej sylwetki.

Trumna stała niewzruszona na koziołkach. Kot podszedł do niej, potarł policzkiem o nogi bliższego kozła i ruszył dalej z istic królewską obojętnością.

Parę ostrożnych kroków w mrok doprowadziło mnie do stóp trumny. Położyłem dłoń na jej wieku, pod palcami poczułem gładkie, zimne drewno.

No dobra, brachu, powiedziałem w duchu. Nic oficjalnego, żadnych obietnic, bo kiedy się nad tym zastanowić, niczego nie jestem ci winny.

Ale zrobię co w mojej mocy.

Todd poczynił także wszystkie przygotowania do kremacji. Poinformował Carlę, że karawan zajedzie o dziesiątej rano, lecz on sam zjawił się o wpół do dziesiątej, by wszystkiego dopilnować. Carla brała prysznic, więc ja otworzyłem mu drzwi. Czuję się jak dywan zwinięty na mokro i tak wysuszony.

Musiałem też marnie wyglądać, bo wchodząc do środka, Todd obdarzył mnie niemal wyniosłym spojrzeniem.

- Dobrze pan spał? - spytał beznamiętnie.

Podniosłem kubek z kawą, który, żeby otworzyć drzwi, odstawiłem na wieko trumny, i nim odpowiedziałem, pociągnąłem głęboki łyk gorzkiego espresso Carli.

- Jak trup.

Todd autentycznie się skrzywił. Powiadają, że jeśli ktoś potrafi zmusić prawnika do rumieńca, dostaje przepustkę do nieba; zastanawiałem się, czy ta reakcja nie zasłużyła na co najmniej całodniową wycieczkę do czyścica.

Opisał mi trasę, choć tym razem mieliśmy podróżować jednym z wynajętych samochodów, toteż nie było sensu uczyć się jej na pamięć.

- Krematorium Mount Grace mieści się w Bow Common, za szpitalem Świętego Clementa. Pojedziemy do Primrose Hill, okrążając Okręg Zewnętrzny, a potem na wschód, aż do końca. Czy pani Gittings jest już gotowa?

Słyszał szum prysznicza równie wyraźnie jak ja, toteż udzieliłem jedynej odpowiedzi, na jaką zasługiwało to pytanie.

- Prawie.

Tak czy inaczej nie słuchał. Krążył po pokoju, przyglądając się szkodom poczynionym przez ducha, które rzecz jasna widział po raz pierwszy. Oceniał je profesjonalnym okiem, jakby szacował, ile mogą być warte jako element procesu. Dokończyłem kawę i obserwowałem go w milczeniu. Sprawiał wrażenie podenerwowanego, jakby miał ochotę już z tym skończyć i pewnie tak właśnie się czuł. Nie miałem pojęcia, ile sobie śpiewał za egzekucję testamentu, ale poważnie wątpiłem, by John zapłacił mu dość za pokrycie dwóch wizyt w Waltham Abbey i próbę przerwania pogrzebu na East Endzie. A może nie doceniałem siły determinacji Johna i pragnienia, by spełniono jego ostatnie życzenie? Może wypłacił Toddowi dość hojną zaliczkę, by pokryła wszystkie ewentualności?

W końcu trasa wokół pokoju doprowadziła prawnika z powrotem do drzwi. Nadal stały otworem, bo nie zamknął ich za sobą. Przyjrzał się starym amuletom Johna z tym samym klinicznym zainteresowaniem, po czym zerknął na mnie.

- Powinno się to zdjąć - oznajmił. - Zanim wyniesiemy ciało.

Ze wstydem przyznam, że o tym nie pomyślałem. Oczywiście możliwe, że właśnie amulety sprawiły, że duch Johna odłączył się od ciała i pozostał w mieszkaniu. Martwym trudno jest przekroczyć magiczne bariery, jeśli właściwie je przygotowano - a choć zazwyczaj służą do niedopuszczania duchów i zombie w miejsca, w których nie są mile widziane, równie skutecznie mogą też je więzić. Pogodnie sadystyczne eksperymenty Jenny-Jane w KOM w Paddington dowiodły tego setki razy.

Wziąłem gałązkę brzozy i przywołała mi ona na myśl obrazy ze snu, wyraźniejsze niż mi się to podobało.

„Niewiele ze mnie zostało...”.

Todd starł dłonią wypisane słowo *ekipteim*, a ja położyłem na ziemi mezuzę. Wspólnie w niecałą minutę oczyściliśmy wyjście. Todd taktownie nie zauważył, że jako jedyny obecny egzorcysta powinienem był to zrobić sam, nim wszedłem do środka.

Carla nadal się nie pojawiała, a samochody jeszcze nie podjechały, toteż wróciłem do kuchni i zaparzyłem świeżą porcję kawy - kupiłem paczkę poprzedniego wieczoru, w czasie tej samej wyprawy, która zaowocowała przyniesieniem do domu curry i piwa. Todd przyjął kawę - czarną, bez cukru - i zostawił do ostygnięcia. Jeszcze chwilę krążył po pokoju.

- Czy John wspominał kiedyś, czemu tak bardzo zależało mu na kremacji akurat w Mount Grace? Czy to miejsce ma w sobie coś szczególnego? - zapytałem.

Todd odwrócił się, patrząc na mnie z lekkim zdumieniem.

- No cóż, może miałem w tym pewien udział - przyznał. - Zdawało mi się, że już wspominałem, ale może w rozmowie z kimś innym. Mount Grace to pewna osobliwość. Właściciele - rodzina Palance - są naszymi klientami. Odkupili krematorium od hrabstwa w latach dwudziestych i choć ustanowili odrębny fundusz, zabezpieczający jego bieżące potrzeby, traktują je jak zabytek. W dzisiejszych czasach rzadko korzysta się z niego do pierwotnych celów, prócz nielicznych przypadków - głównie rodziny i przyjaciół. Kiedy John zjawił się u mnie w biurze, miałem akurat na biurku papiery. Wspomniał o kremacji, a ja opowiedziałem mu o Mount

Grace. Idea krematorium stanowiącego coś w rodzaju klubu dla wybrańców najwyraźniej mu się spodobała.

A zatem Johnowi nie zależało na względach geograficznych. Obchodziło go, co się stanie z ciałem, a nie gdzie się tego dokona i co spotka jego szczątki. Spalenie, nie pogrzeb. Dlaczego? Żeby zamknąć drzwi i nie dopuścić do powrotu? Ale to tak nie działa. Choć sporo duchów trzyma się w pobliżu swych doczesnych szczątków, znacznie więcej pozostaje w miejscu śmierci, podobnie jak sam John. Kremacja wykluczała jedynie powrót w postaci zombie - nie powrót jako taki.

- Czy miał pan jakiś powód, by zaproponować mu akurat Mount Grace? - naciskałem dla zachowania pozorów. - Może John prosił o jakiś szczególny sposób pozbycia się ciała?

Todd stanowczo pokręcił głową. Wyglądał na znudzonego i nieco poirytowanego moimi pytaniami.

- Nic z tych rzeczy. Po prostu chciał załatwić wszystko jak najszybciej. Z powodu powiązań mojej firmy z Palance'am i mogłem zaaranżować wszystko w Mount Grace jednym telefonem. Pod innymi względami krematorium także spełniało wymagania Johna. Koszt jest symboliczny, bo jak mówiłem, fundusz traktuje Mount Grace głównie jako zabytek, a zapis testamentowy pokrywa w pełni wszelkie koszty bieżące. Mają tam też ogród pamięci, w którym spoczną popioły pana Gittingsa, i jest bardzo piękny. A raczej był i z pewnością znów będzie, kiedy zakończy się budowa na parceli obok. Krematorium ma także własne ogrody, zaprojektowane chyba przez Inigo Jonesa. Właśnie dlatego Palance'owie w ogóle je kupili: budynki i teren są niezwyklej urody, a w mieście mówiło się o tym, by je zburzyć i zbudować tam domy. Michael

Palance, obecnie już nieżyjący, próbował przekonać National Trust, w owych czasach raczkujący, by zajął się Mount Grace, a kiedy mu się nie udało, sam je kupił.

W tym momencie do pokoju weszła Carla, wyglądająca oszałamiająco w żałobnym stroju. Wyraźnie nie zachwyciła jej obecność Maynarda Todda w salonie, ale niemal w tym samym momencie ktoś zastukał do drzwi - to czterej grabarze zgłosili się na służbę. Dźwignęli trumnę i niemal natychmiast ruszyliśmy w drogę, unikając tym samym nieprzyjemnej sceny. Paru sąsiadów patrzyło zza lekko falujących firanek, jak John rozpoczyna następny etap pośmiertnej wędrówki. Carla maszerowała po schodach godnie jak królowa, nie zaszczycając ich nawet zerknięciem.

Ponieważ cała nasza trójka jechała razem w karawanie, zamieniliśmy jedynie kilka wymuszonych słów. Dzięki temu miałem sporo czasu, by rozmyślać nad zmianą testamentu Johna i ścigać własne teorie po malejących spiralach, aż w końcu miałem ich powyżej uszu. Kremacja. Czemu Johnowi zależało na niej tak bardzo, że przygotował nowy testament i poszedł do nowych prawników, byle tylko dopilnowali wypełnienia jego instrukcji, nieważne jak bardzo uraziłoby to Carłę?

Nicky Heath, który jako zombie podchodzi do takich kwestii z żywym (sic) zainteresowaniem, powiedział mi kiedyś, że we wczesnych cywilizacjach kremacja była skutkiem patriarchatu. „Jeśli chcesz, możesz traktować dym jak widmowego fallusa”, rzekł. „Ostatni bastion nieboszczyka, coś w tym stylu. Albo też, jeśli uważasz to za nieco przegięte, zawsze pozostaje ci oficjalny symbolizm. Widzisz duszę wstępującą do nieba, by zasiąść po prawicy boga. Matriarchy nie

przejmowały się zbytnio niebem - preferowały pogrzeb, bo oznacza on powrót do łona Matki Ziemi. Zamknięcie kręgu życia. Nie możesz narodzić się na nowo, jeśli wcześniej nie wrócisz”. Nie muszę chyba dodawać, że w tej materii Nicky opowiada się po stronie matek. Każdy, kto zbliżyłby się do niego z bańką nafty, najpewniej wróciłby do Matki Ziemi w mnóstwie odrębnych kawałków.

Ale John był stuprocentowym, urodzonym ducholąpem: bardzo niewielu spośród nas wyznaje jakąkolwiek religię. Kiedy latami zajmujecie się samą mechaniką życia i śmierci, eleganckie teorie przestają wyglądać pociągająco. Może zatem Carla miała rację: może John faktycznie tracił rozum, i to wyjaśniało zarówno jego osobliwe zachowanie w ostatnich tygodniach życia, jak i przerażającą przemianę po śmierci.

A może działo się tu coś zupełnie innego - choć nie bardzo potrafiłem sobie wyobrazić, co to mogło być, jeśli wymagało spalenia ciała po śmierci, jakby zawierało ono w sobie tajną wiadomość. Przez chwilę jakaś myśl poruszyła się w mglistych głębinach mojej głowy, lecz znów się zanurzyła, nim zdążyłem po nią sięgnąć.

Todd wyrwał mnie z zamyślenia, pochylając się i każąc kierowcy skręcić w lewo: nieoczekiwany dźwięk sprawił, że Carla zeszywniała. I właśnie ta chwila dowiodła, jak bardzo napięta była wcześniejsza cisza panująca w wozie. Todd, uznawszy najwyraźniej, że lody zostały przełamane, obrócił się ku Carli i uśmiechnął przyjaźnie.

- Nie poczyniłem żadnych szczegółowych przygotowań co do ceremonii, pani Gittings - rzekł. - Ale z tego, co mi wiadomo, na miejscu będzie obecny duchowny. Jeśli zatem chciałaby pani, by odmówił nad

trumną modlitwę albo zaśpiewał hymn... - Nie dokończył, bez wątpienia uświadamiając sobie, jak żałośnie zabrzmielibyśmy, intonując we trójkę refren „Prowadź mnie, mój Zbawicielu”.

- Chcę po prostu mieć to już z głowy - odparła Carla niskim, stanowczym tonem, niepozostawiającym miejsca na dalsze gładkie słówka.

Nasza trasa wiodła przez część Londynu należącą do moich ulubionych: Mile End to dzielnica zanurzona w historii pełnej wydarzeń tragicznych i tragikomicznych, jak marynowana świńska raciczka w occie. To tutaj na miasto posypał się pierwszy deszcz latających bomb Hitlera. To tutaj, podczas wybitnie spieprzonego wodowania HMS „Albion”, zginęły dziesiątki miejscowych dzieciaków, które urwały się ze szkoły, by zobaczyć, jak statek zsuwa się do wody; to tutaj rezurekcjoniści handlowali trupami, a Bishop i Williams zabili Włoskiego Chłopca. Wskrzeszanie umarłych to względnie nowa sprawa, lecz w Mile End każdy kamień jest przesiąknięty duchami.

Przejechaliśmy przez Stepney do Bow Common i tuż za dworcem Mile End, omijając kształtne tyły Świętego Clementa, skręciliśmy z głównej drogi wprost w bramę krematorium Mount Grace. Nie mieliśmy zresztą szczególnego wyboru, bo koniec Ropery Street był zablokowany: budowa, o której wspominał Todd, obejmowała obie strony jezdni i za ogrodzeniem ze sklejki gigantyczne spychacze krążyły tam i z powrotem, niczym nakręcane dinozaury z mechanicznej wersji „Parku Jurajskiego”.

Mount Grace od strony ulicy wydawało się niewielkie, lecz za bramą rozciągał się zaskakująco duży teren. Kiedy skręciliśmy na podjeździe, obsadzonym po obu stronach wysokimi cisami, otworzył się przed nami

widok na budynek i ogrody po lewej - ładne, lecz nieco ponure, zdominowane przez pogrzebowe cyprysy i ciężkie, surowe, kamienne balustrady. Dwie masywne kamienne urny czuwały przy sklepionej bramie, z obu stron porośniętej pnączami męczennicy i stanowiącej wejście do ogrodu pamięci. Dziwny dobór roślin, pomyślałem odruchowo, potem jednak przypomniałem sobie, że ktoś wspominał mi, że ta nazwa odwołuje się do Męki Pańskiej. Wyglądało zatem na to, że jednak wszystko pasuje do schematu. Śmierć i zmartwychwstanie: płac teraz, żyj później.

Krematorium okazało się cholernie imponujące. Wzniesiony z kremowego kamienia gmach wysuwał się naprzód, na spotkanie podjazdu, podczas gdy dwa skrzydła sięgały ku tylnej części ogrodów. Masyw wieńczyły blanki, tworzące zamiast linii prostych łagodne łuki - dawało to taki efekt, jakby budynek złożono z kawałków układanki.

Zachwycąłem się nim dopóki mogłem. Gdy się zbliżyłem, poczułem obecność umarłych - najpierw jako nacisk, potem coś w stylu ciągłego, basowego pulsowania na samym skraju percepcji. Chyba wspominałem już wcześniej, że nienawidzę cmentarzy. Krematoria nie są lepsze ani gorsze: to miejsca, w których mój zmysł śmierci budzi się niczym wrażliwy nerw w zębie.

Procesja zajęła na żwirowy podjazd, sam karawan zajął czołowe miejsce przed ciężkimi dębowymi drzwiami krematorium. Z bliska mogłem lepiej przyjrzeć się detalom architektonicznym. Okna wieńczyły misterne rzeźbione korony, a w narożnikach dostrzegłem pozostałości bardzo zwietrzałych płaskorzeźb - pozbawione twarzy kariatydy, podtrzymujące narożniki na zgiętych plecach, poczerniałe i pobrużdżone

przez dziesięciolecia deszczów do stanu, w którym nie dało się nawet zgadnąć, kogo miały przedstawiać. Cztery wiatry? Cztery żywioły? Cztery asy?

Nasi tragarze jechali samochodem za nami. Wyszli pierwsi, otworzyli tylne drzwi karawanu i wsunęli podpórki, gotowi do działania na sygnał Todda. W tym samym czasie mężczyzna stojący na frontowych stopniach krematorium zszedł, by nas powitać. Z jego wyglądu domyśliłem się, że to nie duchowny, o którym wspominał Todd: na oko miał koło trzydziestki, włosy tak jasne, że niemal białe, i przystojną, flegmatyczną twarz o ostrych rysach. Z figury przypominał napastnika rugby, lecz na jego obliczu malował się poważny, spokojny wyraz i zastanawiałem się nawet, czy moje pierwsze wrażenie nie było aby błędne. Może faktycznie przyjął święcenia gdzieś na wzgórzach Beverly Hills?

Jasnoszary płócienny garnitur dorównywał klasą strojowi Todda, a może nawet go przewyższał. Ten, który miałem na sobie, pochodził od Burtona. Zazwyczaj kupuję na wyprzedażach, kiedy dorzucają dodatkową parę spodni, rozumiecie zatem, że mam spore braki w krawieckim wykształceniu: po przekroczeniu poziomu tysiąca funtów moje oczy nie potrafią już rozpoznać drobnych różnic.

Wyszliśmy z karawanu. Todd i nowy przybysz przyglądali się sobie z otwartą wrogością - gorzką, głęboką wrogością, wyciekającą z każdego skrawka ich skóry, mimo powagi sytuacji.

- Maynard. - Jasnowłosa wyciągnął rękę.

Todd przez chwilę przyglądał się jej zaskoczony. Potem, przyparty do muru, ujął ją z nieszczęśliwą miną, uściskał raz i puścił.

- Panie Covington - odparł. - Nie spodziewałem się tu pana zobaczyć.

To bardzo miłe, że pan przyszedł. - Mówił to wszystko lekko zdławionym głosem, najwyraźniej wypowiedzenie tych słów sporo go kosztowało.

Blondyn lekko wzruszył ramionami.

- Byłem w sąsiedztwie - rzekł. - Uznałem, że niemądrze byłoby oddawać klucze Fenwickowi bądź Digby'emu, skoro sam mogłem przyjść i otworzyć.

Zapadła krótka cisza.

- Tak - mruknął Todd. - Rozumiem. To jest pani Gittings, to Felix Castor, a to, uhm... - odwrócił się do nas - to jest Peter Covington.

Covington pozdrowił mnie niemal niedostrzegalnym skinieniem głowy i skupił uwagę na Carli. Widziałem, że zrobił na niej wrażenie. Nawet z miejsca, w którym stałem, poczułem nagłe ciepło, przypływ pogodnej siły, od której powietrze wokół nas zafalowało jakby w powiewie wirtualnego gorąca.

- Przykro mi z powodu pani straty - powiedział, a ona chyba mu uwierzyła. Z całą pewnością pozwoliła, by ujął rękę Carli i uścisnął.

Spojrzał jej głęboko w oczy i przez długą chwilę patrzyła na niego bez słowa. Jak mówiłem, Carla zazwyczaj leci na starszych facetów, ale kiedy w końcu odzyskała dłoń, wydało mi się, że przynajmniej z jej strony dostrzegłem lekki zawód.

Miałem nadzieję, że Blondas powita mnie tak samo. Kierowała mną czysta ciekawość - jak na gościa dziesięć lat młodszego ode mnie był bardzo pewny siebie i chętnie bym go odczytał, ale on tylko się cofnął i gestem przypominającym niemal ukłon wskazał drzwi.

- Zakładam, że w środku wszystko jest już gotowe - oznajmił. - Nie zdążyłem sprawdzić, mam mnóstwo spraw do załatwienia i już jestem

spóźniony. W żadnym też razie nie pozwoliłbym sobie na wzięcie udziału w samej ceremonii. Życzę wam jednak wszystkiego co najlepsze, zwłaszcza pani, pani Gittings. Jeśli mógłbym jakoś pomóc, proszę nie wahać się i zadzwonić.

Wyjął z kieszeni wizytówkę i wręczył Carli z eleganckim ukłonem. Wzięła kartonik, nawet na niego nie patrząc. - Dziękuję - wymamrotała gardłowo.

Sympatyczny młodzieniec omiótł nas wszystkich szczerym spojrzeniem błękitnych oczu, po czym, rzuciwszy krótkie pożegnanie pod adresem Todda, ruszył w stronę niewielkiego czarnego sportowego wozu zaparkowanego na drugim końcu podjazdu. Todd odprowadził go wzrokiem, skupiony tak bardzo, że nie dostrzegął niczego innego.

- Właściciel? - spytałem, gdy grabarze ze zgrzytem wsunęli trumnę Johna na podpórki i wyrwali adwokata z zamyślenia.

Todd przez moment patrzył na mnie ze zdumieniem, po czym roześmiał się nieco dziwnym tonem.

- Nie, panie Castor. Właściciel nazywa się Lionel Palance. Mieszka daleko stąd, w Chingford Hatch i ostatnio prawie nie opuszcza domu. To był Peter Covington, którego pan Palance zatrudnia jako kogoś w rodzaju osobistego asystenta. - Wyrecytował te fakty z prawniczą precyzją, jakby zależało mu, bym dokładnie wszystko zrozumiał. Potem najwyraźniej otrząsnął się i jego głos przybrał bardziej oficjalny, poważny ton. - Pani Gittings, wejdziemy do środka?

Przeszliśmy przez podjazd, podążając za grabarzami. Carla nadal trzymała w palcach wizytówkę Covingtona, bo torebkę zostawiła w wozie.

- Fix - szepnęła - mógłbyś...?

Wziąłem wizytówkę i schowałem do sfatygowanego, skórzanego portfela, w którym trzymam najbardziej bezużyteczne karty kredytowe.

Drzwi frontowe krematorium otwarły się i ujrzałem wąski hol, niemal tak długi, że można go było uznać za korytarz. Ciemne drewniane boazerie i sklepiony sufit potwierdzały wrażenie starości, jakie ogarnęło mnie już na zewnątrz. Nad pomieszczeniem dominowały cztery wielkie intarsjowane panele, po dwa po obu stronach drzwi: lew i orzeł po lewej, wół i anioł w długiej szacie po prawej. Symbole czterech ewangelistów. Na ciemnogramatowej wykładzinie setki stóp pozostawiły miejscami jasnoniebieskie przetarcia.

Przed nami czekały kolejne drzwi. Po obu stronach stali mężczyźni w czarnych garniturach, zapewne także wynajęci przez Todda. Ukłonili nam się z szacunkiem, kiedy podeszliśmy. Wyglądali jak bramkarze z nocnego klubu.

Znaleźliśmy się w pomieszczeniu o wysokim sklepieniu. Wszystko tu wyglądało jak w kościele, oprócz drzwiczek na dalszym końcu i nieco złowieszczonego postumentu umieszczonego przed nimi: postumentu o powierzchni z prostych plastikowych rolek. Źle reaguję na paleniska, pewnie dlatego, że kiedy ojciec pracował przy piecach w piekarni, parę razy musiałem zanosić mu drugie śniadanie. Podobne miejsca zawsze kojarzą mi się z szatnią samego Szatana.

Grabarze umieścili trumnę na postumencie i cofnęli się. W tym samym momencie z ukrytych za zasłoną drzwi z boku wyłonił się bardzo niski mężczyzna w czarnej sutannie. Todd ruszył naprzód i zniżonym głosem zamienił z nim parę słów, pewnie coś w stylu: „To powtórka, ale dajmy sobie spokój z odtwarzaniem w zwolnionym tempie i załatwmy to

jak najszybciej”. Tamten skinął głową. Miał pociągłą twarz o bardzo długim, ostrym nosie kojarzącym się z lisem albo wilkiem. Kiedyś widziałem japońską figurkę z kości słoniowej - mały posążek, niewiele większy od górnego członu mojego kciuka - przedstawiający lisa przebranego za kapłana, w długiej szacie, z laską i pobożną miną: może to niesprawiedliwe, bo nos sam w sobie musiał stanowić dla niego ciężkie brzemie, lecz ów młody duchowny natychmiast skojarzył mi się z tamtą figurką.

Todd zapewne uprzedził go, że Carla nie życzy sobie żadnych modlitw, lecz tamten najwyraźniej nie miał ochoty przepuścić okazji do choćby krótkich rozważań nad śmiertelnością. Siła przyzwyczajenia, pomyślałem, choć na silnego akurat nie wyglądał.

- W samym środku życia - zaczął - dopada nas śmierć.

Hip, hip, hurra dla mądrości czerpanych z brewiarza. Siedząc w pierwszym rzędzie, z Carlą po lewej i Toddem po prawej, pozwoliłem myślom wędrować. Niestety, powędrowały w stronę drzwi pieca, gdzie nie znalazły otuchy, i szybko umknęły na bok.

Nadal czułem się słaby i zmęczony - było jeszcze gorzej niż rano. Chłód pomieszczenia wnikał we mnie, pół kwiatowy, pół chemiczny zapach budził mdłości. Fakt, że za ścianami gromadziły się tłumy martwych dusz, których głosy moje nadwrażliwe zmysły odbierały niczym brzęk roju pustynnej szarańczy, nie polepszał sprawy.

Była tu też inna dusza: silniejsza, a w każdym razie bliższa. Unosiła się nad naszymi głowami niczym niewidzialna chmura. Światło w sali wydało mi się nagle odrobinę ciemniejsze. Lecz chmura sugeruje coś mglistego, rozproszonego, ta obecność zaś była skupiona. Mój wzrok

wędrujący bez celu po sali dotarł do trumny i zatrzymał się, jakby zamieniła się w czarną dziurę, wsysającą światło, materię i wszystko inne.

Głos księdza zabrzmiał nagle głucho niczym echo. Gdzieś w jego głębi dźwięczała arytmiczna wibracja, pulsująca i tańcząca na powierzchni mojej skóry, atakująca falami, jakby chciała przedostać się do środka.

Ani Carla, ani Todd najwyraźniej niczego nie zauważali: oboje obserwowali księdza, którego wargi wciąż się poruszały, choć teraz nie słyszałem już ani słowa. Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie wyobrażam sobie tego wszystkiego - czy to nie efekt nocnych koszmarów i potwornego niewyspania - ale potem ów ogólny, wszechogarniający nacisk zwęził się i skupił z przodu mojej czaszki, przeradzając się w ostry ból.

Todd wsunął mi coś do ręki. Odkryłem, że patrzę tępo na piersiówkę, nieco podobną do mojej, tyle że smuklejszą i obszytą czarną skórą. Odruchowo uniosłem ją do ust i pociągnąłem łyk. Trunek był bardzo mocny i bardzo gorzki, z dużym wysiłkiem powstrzymałem odruch wymiotny. Oddałem piersiówkę Toddowi, a on wsunął ją w zakamarek garnituru tak, że ani odrobinę nie skaziła jego idealnej linii.

Ksiądz nacisnął przycisk na katafalku i trumna ruszyła naprzód na rollkach. Fale nacisku w mojej czaszce narastały do nowego *crescendo*, w miarę jak ciało Johna Gittingsa przesuwało się ku podwójnym drzwiom, niczym króciutki pociąg jadący przez czarną, plastikową prerię. Drzwi rozsunęły się na boki, odsłaniając gościnne palenisko.

Ból był tak potężny, że sapnąłem w głos. Zupełnie jakby John, próbując utrzymać się na tym świecie, wyrzucił niewidzialny hak, i jeden jego koniec wbił mi się w czaszkę.

Carla obejrzała się na mnie zdumiona. Położyła mi dłoń na ramieniu, ale ją odtrąciłem. Musiałem się stamtąd wydostać. Możliwie najdyskretniej dźwignąłem się na nogi i wyszedłem na środek. Zmierzałem w stronę drzwi, ale nagle poczułem, że nie jestem pewien nawet tego, gdzie się znajdują. Odruchowo oddalałem się od siły, która tak mocno mnie przyciągała: byle dalej od trumny. Czułem się jakbym ją włókł za sobą niczym kotwicę, bo wrażenie ciężaru i oporu było niezwykle namacalne.

W moim polu widzenia ukazały się drzwi, postąpiłem kolejny krok. Carla zerwała się już z miejsca i podbiegła do mnie, podobnie Todd. Gorące powietrze, które musiałem sobie wyobrazić, omiatało mi plecy. Hak wbił się głębiej i nie mogłem już się ruszyć, nie mogłem nawet drgnąć, nie mogłem się zmusić do postawienia kroku dalej, bo siła, nieubłagana niczym grawitacja, ściągała mnie ku rozpalonej paszczy z tyłu - ciągnęła w głąb, w mrok.

Ktoś wykrzyknął imię - pojedynczą sylabę. Moje imię? Możliwe. W tym momencie wołałem nie wypowiadać się kategorycznie, bo ja sam nie miałem już imienia, jedynie niewyraźne poczucie przestrzeni będącej mną i przestrzeni będącej wszystkim innym. A palące gorąco paleniska sprawiało, że przestrzeń będąca mną kurczyła się, niczym warstewka wilgoci, którą oddech pozostawia na szybie.

I wtedy nagle drzwi przede mną otwarły się szeroko i ujrzałem coś niewiarygodnie, cudownie pięknego. To była Juliet. Pełna życia, nieopisana, nieograniczona Juliet, zakładka w nudnym, monotonnym scenariuszu świata, która zawsze pozwala ci odnaleźć swoje miejsce. Padłem jej w ramiona niczym tonący, nawet poprzez rozsadzający ból w

czasem świadom jej siły, niewiarygodnej łatwości, z jaką przyjęła mój ciężar. Ostatnią rzeczą, jaką ujrzałem, nim przed oczami zapłonęło mi czerwone palenisko, była jej twarz. Juliet patrzyła na mnie z lekkim zdumieniem.

Wypowiedziała coś zbyt długiego i skomplikowanego, bym to zrozumiał. Ale byłem niemal pewien, że gdzieś w tym kryło się moje nazwisko.

Castor. Tak, oczywiście: wiedziałem.

Gdzieś spoza fraktalnego krajobrazu pulsujących wszystkimi zmysłami cieni dobiegły mnie glosy. Podniesione, jak podczas kłótni.

Todd mówił Juliet, że to prywatna uroczystość i że nie może tak sobie wchodzić z ulicy i przeszkadzać w ceremonii.

Juliet odpowiadała spokojnym, obojętnym tonem, że jeśli Todd się nie cofnie i nie da jej spokoju, zaraz straci jakiś niezbędny organ wewnętrzny. Todd nie odzywał się już więcej.

Ksiądz o lisiej twarzy prosił, żeby wszyscy zechcieli usiąść, by mógł kontynuować kremację. Juliet odpowiadała, że może sobie palić, kogo tylko zechce - nie przyszła tu, by to oglądać.

Carla pytała Juliet, kim, do diabła jest, a Juliet odpowiadała, że to zabawne pytanie.

Byłem nieprzytomny najwyżej dziesięć sekund. Ale dziesięć sekund to aż nadto czasu, jeśli Juliet jest w kiepskim nastroju. Na szczęście dla nas wszystkich - a głównie dla Todda - tego ranka wstała z łóżka Susan Book prawą nogą.

Leżałem na ziemi - zły znak. Jeśli Juliet mnie odłożyła, by uwolnić

ręce, lada moment mogło dojść do eskalacji. Próbowałem usiąść, żołądek ścisnął mi się lekko, gdy siła ciężenia zafalowała wokół niczym stygnąca zupa.

- Fix, nic ci nie jest? - Carla uklękła obok i podtrzymała mnie, gdy spróbowałem unieść do pionu górną połowę ciała.

- Wszystko w porządku, Carlo - odparłem.

I rzeczywiście, krwistoczerwona mgiełka odpływała już w kącki moich oczu. Znów mogłem myśleć, nie czując się przy tym, jakby mózg miał eksplodować mi uszami niczym balonik.

Niewątpliwie mogłem myśleć. I to właśnie robiłem: myślałem o nogach Juliet, znajdujących się dokładnie na poziomie mojej twarzy. Nogi Juliet są długie i zgrabne i zasługują na dużo poważnych myśli - zwłaszcza kiedy, tak jak teraz, okrywają je obcisłe spodnie z czarnej skóry i kozaki na szpilkach. Lecz powadze sytuacji niewątpliwie zaszkodziłoby, gdybym zaczął wyć jak wilk.

Wstałem, jedynie kątem oka dostrzegając resztę jej stroju. Więcej czerni - to jej ulubiony kolor, we wszystkich możliwych odcieniach. Ręce i ramiona miała gołe, jej koszula tak naprawdę była zaledwie kamizelką, uszytą z czegoś prześwitującego, co pozwalało dostrzec kształty ukrytego pod nią ciała. Czasami u Juliet nawet kąt oka to zbyt wiele.

Todd jednak przyjął ją spokojnie - imponujący wyczyn. Groźba wyprucia flaków uciszyła go, ale wciąż patrzył na nią z zimnym opanowaniem, na jakie mnie nie udało się dotąd zdobyć. Może prawnicy są unerwieni inaczej niż zwykli śmiertelnicy.

- Panie Castor - spytał - to pańska znajoma?

- Tak - odparłem. - Juliet, to jest Carla Gittings, wdowa po Johnie. I

Maynard Todd, adwokat Johna. To Juliet Salazar, moja dawna współpracownica.

Juliet zaszczyciła ich oboje spojrzeniem, które zasługuje jedynie na nazwę minimalnego.

- Zostawiłeś Sue wiadomość - powiedziała do mnie. - Chciałeś mnie o coś spytać.

- Tak, ale...

Już miałem zapytać, jak mnie znalazła, ale w ostatniej chwili uświadomiłem sobie, że to tak, jakby pytać psa, jak odszukał kość, którą niegdyś zakopał, Juliet była drapieżnikiem i знаła mój zapach. Mogła mnie znaleźć zawsze i wszędzie, nie potrzebując do tego numeru, adresu ani mojej zgody.

- To znaczy... potem - dokończyłem niezgrabnie, świadom faktu, że niski ksiądz przygląda mi się z rosnącą niechęcią. - Mogłabyś zaczekać na zewnątrz? To potrwa najwyżej dziesięć minut, nie więcej.

Juliet zastanowiła się, po czym skinęła głową.

- Dziesięć minut - odparła, odwróciła się i odeszła bez słowa.

I znów, odchodząca Juliet to coś, co pozostaje w myślach bardzo, bardzo długo. Ale nie chciałbym, żebyście odnieśli wrażenie, że mam na jej punkcie jakąkolwiek obsesję: to efekt uboczny tego czym jest, nic więcej. Oderwałem od niej wzrok, przeprosiłem Carlę i odkryłem z cierpkim rozbawieniem, że ona także wpatruje się w oddalające się plecy Juliet.

Oblubienica ślubu swego zapomina,

I oblubieniec także, gdy przechodzę mimo.

To jednak nie był ślub, tylko pogrzeb, a ja dostatecznie już go zakłóciłem. Wróciliśmy na swoje miejsca. Spojrzałem na trumnę i zacząłem nasłuchiwać na częstotliwościach, z których żywi zazwyczaj nie korzystają. Nic. Umarli nadal ćwierkali i brzęczeli w ogrodzie pamięci, lecz sam John nawet nie pisnął. Przynajmniej znałem już odpowiedź: mściwy duch Johna ponownie związał się z ciałem i towarzyszył nam w ostatniej drodze. Jednakże moja nadzieja, że wypełnienie jego planów dotyczących wiecznego spoczynku złagodzi jego temperament, najwyraźniej zawiodła.

Ów ostatni atak, jeśli w ogóle był to atak, miał też jednak pewien plus: wyczerpał go - kiedy ksiądz znów nacisnął guzik, John Gittings w solidnej mahoniowej trumnie bez pożegnania przekroczył drzwi paleniska wiodące do wieczności. To, co się miało stać dalej, było połączeniem banału z niewiadomym. Jego ciało spłonie: reszta rozpocznie inną podróż, w której nie przydadzą się mapy ani drogowskazy. W pewnym sensie było mi przykro, że moje ostatnie pożegnanie przybrało formę psychicznych zapasów. Jeszcze bardziej żałowałem faktu, że posłał mnie na deski.

Kiedy drzwi pieca się zamknęły, spytałem Carłę, czy poradzi sobie dalej beze mnie. Odpuściła mi, bo już wcześniej zdecydowała się urwać i wezwać taksówkę. Uznała, że krótkie spotkanie z Toddem wystarczy jej na długo, a fakt, że adwokat usilnie starał się z nią zaprzyjaźnić, tylko pogarszał sprawę. Z jej punktu widzenia nadal odgrywał ważną rolę w koszmarze ostatnich kilku dni i - nieważne co robił - miał u niej przechłapanie.

Uścisnąłem ją, obiecałem, że odezwę się jutro i sprawdzę co u niej, po czym ruszyłem do drzwi. Todd przechwycił mnie i zatrzymałem się, bo

w przeciwnym razie musiałbym go zdeptać. Mocno uściskał mi rękę, patrząc na mnie twardo, przenikliwie.

- Dziękuję za pomoc, panie Castor - rzekł.
- Cała przyjemność po mojej stronie.
- Czuje się pan lepiej?
- Nic mi nie jest.
- Reakcja nerwowa?
- Coś w tym stylu.

Przecisnąłem się obok. Nawet lubiłem gościa, ale w tym momencie nie miałem ochoty o tym rozmawiać.

Juliet opierała się o ścianę pomiędzy lwem Świętego Marka i orłem Świętego Jana. Wyglądała jak kruk wśród gołębi. Kiedy się zjawilem, znacząco zerknęła na zegarek.

Słodkie - Juliet nie obchodzi czas mierzony dniami, godzinami i minutami. Ale to dokładnie ludzki manieryzm z rodzaju tych, jakie ją fascynują - i patrzenie, jak go odtwarza, przypomina nieco słuchanie, jak ktoś przemawia z seksownym, cudzoziemskim akcentem.

- Śpieszysz się? - spytałem.

- Owszem, muszę jeszcze zajrzeć w parę miejsc - potwierdziła, odpychając się od ściany i stając obok mnie. - Przyjechałam aż tutaj, bo Sue mówiła, że wydałeś jej się niespokojny. Pomyślała, że to może coś pilnego. Jeśli nie, po prostu powiedz; wrócę tam gdzie moje miejsce, a ty możesz przysłać mi list.

- Tam gdzie twoje miejsce? - Uniosłem brwi. - To dość dwuznaczne stwierdzenie w ustach uwięzionego na ziemi demona.

- Wiesz co mam na myśli.

Zeszliśmy po stopniach i znaleźliśmy się w jasnym, zimowym słońcu: kiedy byliśmy w środku, chmury odpłynęły i pogoda zupełnie się zmieniła. Przywitałem tę zmianę niemal z ulgą.

- Chodzi o miejsce zbrodni, które odczytałaś dla Gary'ego Coldwooda - powiedziałem, maszerując podjazdem w stronę ulicy. W ogrodach panowała cisza: umarli zwarli szeregi, być może witali w nich nowego przybysza.

- Alastair Barnard - domyśliła się Juliet.

- Zgadłaś.

- Gary dzwonił. Powiedział, że interesuje cię ta sprawa, i przypomniał, że kiedy zawarłam umowę z policją, podpisałam klauzulę tajności.

- Dobrze płacą?

- Robiłeś to trzy lata, Castor. Zakładam, że to retoryczne pytanie.

- Czyli zabronił ci ze mną rozmawiać?

- Nie dosłownie. Ale bardzo mu zależy, by robić wszystko zgodnie z przepisami. Kiedyś z tobą współpracował, a teraz przyjąłeś zlecenie od kogoś - żony oskarżonego? - komu bardzo zależy na podważeniu oskarżenia. Nie chce ci utrudniać życia, ale też niespecjalnie ci ufa.

Słyszając to, roześmiałem się.

- I ma rację - przyznałem. - Ale podobają mi się delikatne niuanse. Mówi, że gdyby chciał, mógłby utrudnić mi życie? Juliet wzruszyła ramionami.

- To policjant.

- Powiedz: gliniarz - poradziłem.

- Czemu?

- Po prostu to zrób. Dla mnie.
- No dobra. To gliniarz.
- Lepiej. To jak patrzenie na zegarek, kiedy mówisz, że się śpieszysz.

Brzmi autentyczniej.

Posłała mi rozbawione spojrzenie.

- Dziękuję, Castor.
- Cała przyjemność po mojej stronie.

Wyszliśmy przez bramę na ulicę i przez kilka chwil hałasy dobiegające z budowy uniemożliwiły nam dalszą rozmowę. Kiedy skręciliśmy w prawo, w stronę drogi głównej, dokładnie między nami przeszedł bardzo wysoki i bardzo chudy mężczyzna w długim brązowym ortalionowym płaszczu. Juliet maszerowała naprzód, ja jednak skręciłem, by uniknąć zderzenia, i moje nozdrza zaatakował ostry smród, dziwnie niepasujący do wyglądu i chodu tego gościa.

Przeszedłem jeszcze parę kroków, po czym zatrzymałem się jak wryty. Coś w owym smrodzie i okolicznościach wywołało niewielką lawinę pamięci. Włóczęga, który zaczepił mnie na ulicy przed biurem Todda. Wyglądał zupełnie inaczej, ale otaczała go chmura identycznego ostrego odoru potu i choroby. Na świecie nie mogły istnieć dwa takie same: musiałyby spotkać się i walczyć na śmierć i życie.

Odwróciłem się i obejrzałem, lecz facet już zniknął - ciekawe, bo oznaczało to, że mógł jedynie skręcić w bramę krematorium. Podczas gdy Juliet patrzyła na mnie zdumiona, pobiegłem z powrotem w stronę, z której przyszliśmy, wychyliłem się zza słupka i wyjrzałem na długi podjazd. Nikogo nie zobaczyłem.

- Zapomniałeś czegoś? - spytała.

Pokręciłem głową, wracając do niej.

- Nic, czego bym potrzebował - odparłem. - To może poczekać. No dobra, udawałaś już, że zależy ci na czasie. Chcesz też poudawać, że musisz coś zjeść?

Skinęła głową.

- Jasne.

Wsunęła dłoń do kieszeni, a kiedy ją wyjęła, między palcami migotało jej coś małego i ciemnego. Nacisnęła to kciukiem i samochód stojący obok na chodniku - mały, jaskrawożółty model, smukły i wydłużony z przodu w sposób sugerujący potężne stado koni mechanicznych ukrytych dyskretnie pod maską - zaświergotał radośnie. Juliet otworzyła drzwi.

- Wsiadaj - poleciła.

Z niedowierzaniem zagapiłem się na jej środek transportu. Nie jestem fetyszystą samochodów, ale wiem, że coś wykracza poza mój zasięg, kiedy to zobaczę. Tabliczkę na masce ozdabiał charakterystyczny trójząb maserati - uroczy symbol dla wozu demona. Samochód miał niskie zawieszenie, wał metalu pod przednim błotnikiem niemal dotykał drogi. Wyglądał jak wóz, w którego nazwie można znaleźć słówko „Gran Sport”, a może nawet „Spyder”.

- Coś nie tak, Castor? - spytała Juliet z lekkim zniecierpliwieniem.

- Nie - zapewniłem. - Nic mi nie jest, tylko... ty umiesz prowadzić?

- Oczywiście. Od ponad roku żyję wśród istot ludzkich, Castor. Nie onieśmiela mnie wasza technika.

- Jeździsz tym?

- To prezent - odparła z prostotą Juliet, wślizgując się za kierownicę z

gibką gracją kota układającego się do snu. Nie pytałem. Ale nie myślcie, że nie chciałem wiedzieć.

Strojenie sobie żartów z diety Juliet to nie najlepszy pomysł, biorąc pod uwagę, że raz o mały włos nie stałem się jej częścią. A moja uwaga o udawaniu, że musi jeść, nie była do końca ścisła, ponieważ Juliet potrafi czerpać odrobinę energii i nawet przyjemności z rzeczy, które wy czy ja nazwalibyśmy jedzeniem. Po prostu, kiedy odrzucić wszystkie ozdobniki i przejść do rzeczy, składnikami paliwa, które napędza ją najlepiej - tym, do którego ją stworzono - są ciało, krew i dusze seksualnie podnieconych mężczyzn. Jej oszałamiająca uroda to przystosowanie podobne do słodkiej wydzieliny w kielichu dzbanecznika, kuszącego swym zapachem pszczoły i osy, po czym trawiącego je, kiedy wpadną w pułapkę.

Oczywiście świadomość tego nie sprawia bynajmniej, że pragnę jej mniej. Przez większość czasu trudno nie myśleć, że pożarcie w trakcie stosunku to cena warta zapłacenia za chwilę całkowitej uwagi Juliet. Ale nic z tego. Mężczyźni budzą w niej wyjątkowo niebezpieczny głód i teraz, gdy odkryła sposób rozdzielenia zaspokojenia seksualnego i potrzeb odżywczych, twierdzi, że zamierza się go trzymać.

- Co u Susan? - spytałem, rozdrapując ranę (rzecz jasna swoją, nie jej), gdy rozkroiła na pół ćwierćkilowy stek i wsunęła do ust jedną połowę.

Jazda była ostra - Juliet prowadziła ze skupioną agresją, w porównaniu z którą większość przypadków wściekłości na drogach wygląda niczym niewinne igraszki, i maltretowała smukły, potężny samochódzik, jakby wyrządził jej straszną krzywdę - w żaden sposób

jednak nie zaszkodziło to jej apetytowi. Miałem wrażenie, że nie zmierzamy do określonego celu, cały czas jednak kierowaliśmy się na zachód, aż w końcu przekroczyliśmy zygzakowate granice King's Cross i zatrzymaliśmy się w bistro noszącym nazwę „Fontaine” czy „Fontanelle”, czy coś w podobnie eurogastrycznym stylu. Zdecydowałem się na makaron. Juliet jak zwykle interesowała się jedynie wielkie kawały mięsa.

Przełknęła całość bez gryzienia, po czym starannie otarła usta serwetką.

- Przepracowana - odparła. - W bibliotece przydzielili jej nadzór nad imprezami dla dzieci, ale bez dodatkowego budżetu. Cały dzień wisi na telefonie, próbując znaleźć autorów, którzy zechcą wystąpić za darmo. A co wieczór wymyśla konkursy z nagrodami, które kupuje za własną pensję. Powtarzam jej, żeby to rzuciła. Potrafię zarobić dość dla nas obu.

- Nikt nie chce być utrzymanką - zauważyłem taktownie. - To powoduje wiele napięć w związku.

- Podobnie jak bycie zbyt zmęczoną na seks - warknęła Juliet.

- Wróćmy do rzeczy - zaproponowałem nieco sztucznie pogodnym tonem. - Alastair Barnard. Młotki. Chcesz pogadać, czy wolisz się trzymać wielkiej księgi policyjnej etykiety Gary'ego Coldwooda?

Juliet wzruszyła ramionami i przebiła widelcem drugą połówkę steku.

- Nie interesuje mnie polityka. Coldwood to przyjaciel, ale ty także. Nie stawiaj mnie w sytuacji, w której musiałabym wybierać, a wszystko będzie dobrze.

- Mnie to pasuje - odparłem. - Zamówić ci jeszcze jeden?

Zadziałalem impulsywnie. Nadal miałem w kieszeni resztki kasy Jan

Hunter, przepalając w niej dziurę, ale zważywszy, że była chwilowo moją jedyną klientką, lepiej byłoby przyoszczędzić.

Juliet jednak i tak pokręciła głową.

- Mam się ograniczać - oznajmiła. - Susan zupełnie przeszła na wegetarianizm, nie lubi zapachu mięsa w moim oddechu.

Zagapiłem się na nią.

- I... co? Będziesz jadła sałatki?

- I tłuste ryby. Tak naprawdę to nie ma znaczenia, Castor. Mięsa, które faktycznie chciałabym zjeść, już nie jadam. Zobowiązałam się do tego jedenaście miesięcy i dziewięć dni temu i w gruncie rzeczy radzę sobie nieźle.

- Ale nadal liczysz.

Obdarzyła mnie, gdzie niedawno jeszcze leżał stek, bardzo długim, bardzo poważnym spojrzeniem.

- Tak - odparła z prostotą. - Nadal liczę.

- Jak myślisz, co się stało z młotkiem?

Nawet nie mrugnęła okiem na zmianę tematu, ale też według mojego ograniczonego doświadczenia, mózg demona przypomina trochę huragan zamknięty w pudełku. Złudzenie spokoju da się zachować tylko z całych sił przytrzymując pokrywkę.

- Najprawdopodobniej ukrył go gdzieś Hunter. - Zjadła kawałek brokuła podany razem ze stekiem, lecz według mnie temu gestowi brakowało przekonania.

- Gdzieś w hotelu czy gdzieś na ulicy?

- Czemu?

- Po prostu chciałbym wiedzieć, co myślisz.

Juliet przyjrzała mi się z namysłem.

- Mało prawdopodobne, by wyniósł go na ulicę - przyznała. - Ktoś by zobaczył i do tej pory policja już by go znalazła.

Kiwnąłem głową.

- A gdyby ukrył go w hotelu, policjanci znaleźliby go w ciągu dziesięciu minut.

Juliet odłożyła widelec, rezygnując z brokułów.

- Ciekawa obserwacja, Castor - przyznała. - Jednakże w równym stopniu dotyczy każdego, kto mógł zabić Barnarda. Nie świadczy zatem o niewinności Douglasa Huntera.

- Wiem - mruknąłem. - Nie twierdzę, że Hunter jest niewinny. Tyle że w tej historii może się kryć coś więcej, niż dostrzega Coldwood. Miałem nadzieję, że opowiesz mi, co odczytałaś w tamtym pokoju. To mogłoby mi dać lepsze pojęcie, czy przypadkiem nie tracę czasu.

Juliet postukała w kły czubkiem idealnie wymanikiowanego paznokcia.

- Myślę, że owszem - odparła. - Tracisz czas. Ale tak, mogę to zrobić.

- Dzięki. Kiedy znajdziesz trochę czasu?

- Teraz. - Zdecydowanym ruchem odepchnęła pełen jarzyn talerz i wstała. - Mam czas teraz. To dlatego nas tu przywiozłam. Paragon jest tuż za rogiem.

Hotel Paragon wypełniał z nawiązką wszystkie moje oczekiwania - czy raczej ich brak. Podobnie jak wiele okazów wczesnodwudziestowiecznej, londyńskiej architektury, wygląda tak, jakby go zaprojektowano z myślą o wykorzystaniu negatywnej przestrzeni;

innymi słowy wpasował się w miejsce pomiędzy starszymi budynkami, które ktoś postanowił wykorzystać, choć brakowało mu rozsądnego kształtu. Zrozumiałem, czego mogę się spodziewać, gdy tylko skręciliśmy w Battle Bridge Road i ujrzałem przed sobą front budynku: wąskie pasmo poczerńiałych od sadzy, brudnomorwowych cegieł, elegancko wciśniętych pomiędzy przysadzisty magazyn i większy hotel, który starał się wyglądać szacownie - trudne zadanie, kiedy Paragon uczepił mu się nogi niczym roznamiętniony pies.

Wnętrzu udało się zachować pozory jednocześnie ciasnoty i przestronności. Hol, wciąż długi, był idiotycznie wąski i skręcał ostro, a biurko recepcji wbijało się w wysoko sklepienie pomieszczenie, nie szersze niż korytarz i jakby odsuwające się od niego nerwowo. Wiem, to naiwna antropomorfizacja, ale kiedy na co dzień ma się do czynienia ze zmartwychwstałymi duszami, człowiek zaczyna dostrzegać życie niemal we wszystkim. I śmierć także. To chyba podstawowa wada.

Słyszając nas, recepcjonista uniósł wzrok znad monitora, jego spojrzenie powędrowało od Juliet do mnie i z powrotem ku niej. Pośpiesznie nacisnął jakiś klawisz. Możliwe, że ukrywał jedynie pasjansa, ale coś w jego wystudiowanie obojętnej minie kazało mi sądzić, że okno, które zamknął, kryło coś nieco bardziej kompromitującego. Z drugiej strony, byliśmy w kurwidołku, a kiedy ostatnio widział Juliet, należała do wędrownego cyrku detektywa sierżanta Coldwooda. Miał dobre powody do ostrożności.

Przeczesał dłonią rzednące ciemnoblonde włosy - które widziałem we wspaniałej perspektywie dzięki wiszącemu za jego plecami wielkiemu lustru. Miał chyba problemy z tarczycą, a w każdym razie

charakterystycznie wybałuszone oczy, czasami towarzyszące jej nadczynności. Wielki, haczykowany nos i gwałtowne mruganie skojarzyły mi się natychmiast z nieżyjącym komikiem, Martym Feldmanem. Na ramieniu prążkowanej marynarki leżała oderwana nitka, uczepiona materiału niczym lont.

- Mogę w czymś pomóc? - spytał nas nieco nosowym głosem.

- Współpracuję z policją - oznajmiła Juliet; ot drobne kłamstewko. - Badamy sprawę Barnarda. Pamięta pan? Byłam tu tydzień temu, żeby odczytać pokój.

Recepcjonista skinął głową. Oczywiście, że pamiętał. Nikt, kto widział Juliet, ot tak jej nie zapomina.

- Musimy go sprawdzić jeszcze raz - oświadczyła. - Zakładam, że nadal jest zamknięty.

- O tak. - Recepcjonista już sięgał po klucz. Wszystkie leżały za jego plecami w przegródkach, każdy z przyczepioną grubą, drewnianą gałką.

- Jeśli spotkacie po drodze innych naszych gości - powiedział, wręczając z lekką nieśmiałością Juliet klucz - mam nadzieję, że będziecie dyskretni. Ostatnie dni były dla nas bardzo ciężkie i współpracowaliśmy na wszelkie możliwe sposoby. Bardzo chcielibyśmy zostawić to już za sobą.

- Z pewnością - odparła Juliet.

Gdy skręcaliśmy za róg do schodów, recepcjonista odprowadził nas nieszczęśliwym spojrzeniem. Znów przeczesał palcami włosy.

Nie było windy, ale też Paragon miał tylko trzy piętra, a celem jego istnienia było zapewnienie ludziom zdrowych ćwiczeń aerobowych. Pokonaliśmy jedno i znaleźliśmy się w korytarzu nieco szerszym niż hol

wejściowy. Gruba wykładzina w odcieniach ciemnej czerwieni tworzyła właściwą, zmysłową atmosferę. Lecz nagie ściany pokryte zielonym, szpitalnym tynkiem psuły to wrażenie. Wokół panowała cisza, po drodze nie spotkaliśmy nikogo.

Juliet wiedziała, gdzie znaleźć pokój numer siedemnaście, więc szła pierwsza.

- Czy to był Merrill? - spytałem, maszerując za nią i przywołując nazwisko z relacji Jan Hunter. - Gość, który wezwał policję w dniu morderstwa?

- To był Merrill - potwierdziła Juliet. - Ale to nie on zadzwonił, tylko sprzątac, Joseph Oguneta.

- No tak, przepraszam, masz rację. Chętnie bym z nim porozmawiał. Muszę spytać, czy tu jest.

Juliet zatrzymała się przed drzwiami na gwałt potrzebującymi odmalowania - albo może chirurgicznej skrobanki. Ich ciemnobrązową powierzchnię pokrywała rozmazana, obłaząca farba, wyglądająca, jakby nałożono ją zbyt grubo i pociekła przed zaschnięciem.

- Zdaje się, że obaj są tu codziennie - powiedziała. - We dwóch kierują całym biznesem. Właściciel mieszka gdzieś w Belgii i zjawia się tylko co kwartał, żeby sprawdzić księgi.

Przekręciła w zamku klucz i pchnęła. Na spotkanie wypłynęła nam chmura kwaśnego, ciężkiego zapachu. Zawahałem się, nim przekroczyłem próg, niepewny jak wiele dowodów fizycznych pozostawiono *in situ*.

Juliet po prostu weszła do środka i kiedy szerzej otworzyła drzwi, przekonałem się, że pokój jest niemal pusty. Pod jedną ze ścian stała rama łóżka, zajmująca większość dostępnej przestrzeni. Brakowało materaca,

pościeli i poduszek, pozostały jedynie dwie prostokątne dziury w tapczanie, niegdyś mieszczące w sobie szuflady, a obecnie patrzące na nas niczym puste oczodoły w czaszce. Na jasnobeżowej wykładzinie widniały ciemne, rozległe plamy: wycięto w nich kwadratowe okienka, przez które wyglądały nagie deski w miejscach, gdzie ekipa kryminalistyków zabrała fragmenty do badań. Wokół tapczanu rozlewały się identyczne, rdzawobrazowe plamy. Alastair Barnard może i odszedł, lecz „odszedł” to pojęcie względne.

Powietrze wibrowało bezdźwięcznie jego cierpieniem i strachem - emocjonalnymi wyziewami przypominającymi ducha potężnej migreny.

- A zatem tu się to stało? - spytałem niepotrzebnie, głównie po to, by zagłuszyć owe milczące echa.

Juliet skinęła głową w stronę zabrudzonego tapczanu.

- Trafiony, zatopiony - powiedziała chłodno.

- Kiedy odczytałaś pokój dla Coldwooda - spytałem, rozglądając się po zimnym, klaustrofobicznym pomieszczeniu - czy tak właśnie wyglądał? Czy leżało w nim jeszcze ciało?

- Leżało - odparła Juliet tym samym, obojętnym tonem. - Niczego nie tknięto. Chciał, bym odczytała wszystko, dopóki jest świeże.

- Opowiedz mi, co widziałaś.

Spojrzała na mnie, szukając potwierdzenia.

- Którymi oczami, Castor?

Machnąłem szeroko ręką.

- Wszystkimi. Co było tu fizycznie, przed tobą, i co zobaczyłaś.

Juliet zapatrzyła się w podłogę. Zastanawiała się parę chwil, po czym wskazała miejsce niemal u moich stóp - w połowie drogi między drzwiami

i łóżkiem.

- Kiedy weszłam, Barnard leżał tutaj - oznajmiła. - A raczej to, co z niego zostało. Jego ciało pokrywały bardzo rozległe rany. Rozpoznałam, że to mężczyzna, głównie po zapachu. Z jego głowy zostało za mało, by określić, jak wyglądał za życia. Ale kiedy spojrzałam wstecz, w przeszłość, ujrzałam go wyraźnie.

Ton jej głosu zmienił się, sprawił, że oderwałem wzrok od misternej, organicznej geografii wykładziny i popatrzyłem Juliet w twarz. Wyłapałem nieco nienaturalny nacisk położony na jedno ze słów.

- Czy było tam coś jeszcze, czego nie widziałaś? - spytałem ostro.

Juliet jakby nie usłyszała. Patrzyła przeze mnie na drzwi i widziałem jasno, że ogląda nie mnie, lecz wydarzenie z dwudziestego szóstego stycznia. Mrużąc oczy, wpatrywała się w dal, w głąb wymiaru nieistniejącego dla członków mojego gatunku.

- Wchodzą razem - powiedziała powoli. - Barnard jest oczywiście starszy, ma na sobie garnitur. Poczzerwieniał z wysiłku, wchodząc po schodach. Hunter to ten wysoki, mocno zbudowany, porusza się jak fajter.

- W młodości boksował - podsunąłem.

- Tak. Wie, gdzie ma środek ciężkości: stoi mocno w rozkroku, jakby się bał, że ktoś skoczy na niego i spróbuje wywrócić. Podchodzi do łóżka, kładzie torbę, którą przyniósł - długą, z zielonego brezentu, wygląda jak na narzędzia - obraca się i mówi coś do Barnarda. Uśmiecha się przy tym szeroko. Jedno ze słów to „już”. Barnard jest zdenerwowany, ale to zdenerwowanie wynikające z podniecenia. Zamyka drzwi, jakiś czas majstruje przy zamku. Wyraźnie nie chce, by im przeszkadzano. Hunter zdejmuje już ubranie. Barnard podchodzi do łóżka, też zaczyna się

rozbierać, lecz Hunter go powstrzymuje. Popycha Barnarda na kolana...

- Myślę, że następną część możemy uznać za odczytaną - przerwałem.

Juliet pokiwała głową.

- Kopulują - potwierdziła. - Bardzo, bardzo długo. Hunter przyjmuje rolę dominującą i to bardzo agresywnie. Przemoc stanowi część seksu. Barnardowi to nie przeszkadza. Jeszcze nie. Jest podniecony. Rozkoszuje się tym. A potem...

Jej głos umilkł, teraz wpatrywała się w łóżko zwięzionymi oczami.

- A potem?

- Potem zaczyna boleć.

Okrążyła łóżko, nadal wbijając w nie wzrok, namierzając przeszłość swymi cudownymi, przywykłymi do ciemności oczami.

- To, co robi teraz Hunter, zostawi ślady. Barnard tego nie chce. Zaczyna odczuwać strach, a wraz z nim oburzenie. Mówi coś, próbuje usiąść. Hunter uderza go mocno w bok głowy. Barnard znów pada. Jest oszołomiony. Krwawi mu warga, nie w miejscu uderzenia, lecz tam, gdzie ją przygryzł w chwili upadku. Znów próbuje. Hunter dosiada go, przyciska całym swym ciężarem. Tłucze Barnarda zaciśniętymi pięściami i w tej samej chwili znów w niego wchodzi. Bije go i gwałci jednocześnie.

Otworzyłem usta, by się odezwać, może poprosić Juliet, aby znów skoczyła naprzód i oszczędziła mi co krwawszych szczegółów. Lecz właśnie je musiałem poznać: nie było sensu przychodzić do tego pokoju, jeśli nie przyjrzę się bardzo uważnie temu, co tu się stało. Jednocześnie słowa Juliet wyostrzyły me własne reakcje na to miejsce. Nie widziałem jego historii tak jak ona, ale wyczuwałem emocjonalne pokłosie wydarzeń

ze straszliwą wyrazistością - i wszystko co mówiła wskakiwało na miejsce z głuchą, ciężką oczywistością, przygważdżając emocje, nadając im kształt.

- Wykręca prawą rękę Barnarda za plecami, w górę i w tył, aż do oporu. Kładzie się na niej całym ciężarem. Wciąż go gwałci. A potem...

Zapadła długa cisza. Nie zdawałem sobie sprawy, że wstrzymuję oddech, dopóki nie wypuściłem ustami powietrza.

- ...a potem wyciąga z torby młotek i rozwała Barnardowi czaszkę - dokończyłem.

Lecz twarz Juliet miała osobliwy, nieprzenikniony wyraz. Czekałem, opierając się pokusie zarzucenia jej pytaniami. Wciąż wpatrywała się w przeszłość, z głęboką, niemal wściekłą koncentracją.

- Nie widzę tego - powiedziała w końcu.

- Nie widzisz...

- Końca tortur, opadającego młotka. Chwili śmierci. Coś przesuwa się przez pokój. Coś bardzo dużego. Było tu cały czas, ale stało nieruchomo. Widzę to tylko, gdy się porusza.

- Jakie coś? - Słowa zabrzmiały banalnie, ale musiałem spytać, bo brakowało mi punktu odniesienia do tego, co opisywała. - Słoń udający lampę pokojową? Krążownik niezgrabnie wypływający z łazienki?

- Nie wiem - przyznała niechętnie Juliet. - Nie jest to nic materialnego, fizycznie go tam nie ma. Ciemność. Ciemność pozbawiona ciała. Nie wiem, czy sprowadzili ją ze sobą, czy też czekała na nich. Ale nie przerywa tego co się dzieje. Kilka minut wisi tak, niemal wypełniając pokój. Widzę przez nią, ale przypomina to nieco patrzenie przez gęstą mgłę. Dwaj mężczyźni nadal tam są. Wciąż leżą na łóżku i poruszają się

razem, a Hunter jest na górze. Potem rozłączają się i znów łączą. Robi się ciemniej. Coraz słabiej widać. Kiedy cień znika, Huntera nie ma. Barnard leży tam - wskazała ręką - na podłodze, nie na łóżku. Z jego głowy została tylko krwawa miazga.

- A młotek?

- Tam.

Znów wskazała miejsce tuż pod oknem. Drobne skupisko starych krwawych plam doskonale oznaczyło to miejsce, znajdujące się w pobliżu łóżka, po przeciwnej stronie niż ta, w którą poczołgał się Barnard w ostatniej, żalostnej próbie ucieczki przed brutalną, nagłą śmiercią.

Umilkliśmy oboje. Juliet wodziła wzrokiem od łóżka do okna i drzwi, odmierzając odległości i kąty z abstrakcyjnym zainteresowaniem zawodowca.

- Co potem stało się z młotkiem? - naciskałem. - Możesz go dalej obserwować?

- Nie. - Pokręciła głową. - To intensywność uczuć pozwala mi wejrzeć w przeszłość. Po śmierci Barnarda i odejściu Huntera intensywność słabnie bardzo szybko. Można powiedzieć, że się wyciemnia.

Zastanowiłem się nad tym, co właśnie powiedziała.

- Możliwe zatem - podsumowałem - że kiedy to wszystko się działo, w pokoju był obecny ktoś jeszcze? Możliwe, że ktoś wszedł w stosownej chwili, wziął młotek i posłużył się nim, podczas gdy Doug... robił co innego?

Juliet patrzyła na mnie długo, w końcu pokręciła głową.

- Nie. Nie sądzę.

- Ale ten cień...

- Już mówiłam, to nie była istota materialna. Raczej przypadkowe ukształtowanie terenu.

- Nie rozumiem, do czego zmierzasz, Juliet.

Zmarszczyła brwi.

- Próbuję opisać to co niewidzialne, Castor. Większość tego co mówię to metafory.

- Jesteś absolutnie pewna, że nie było nikogo innego? - naciskałem z uporem. - Sama powiedziałaś, że coś zablokowało twoją... percepcję. Coś weszło ci w drogę, materialne czy nie, i nagle, jeśli zostaniemy przy tej przenośni, ujrzałaś wszystko jak przez ciemne zwierciadło. Za tą mgłą mogło się dziać cokolwiek.

- Gdyby tam był ktoś jeszcze, na jakimś poziomie bym go wyczuła - oznajmiła chłodno Juliet.

- A nie czujesz? - Znalazłem się w ślepych zaułku. Stałem naprzeciw niej, wytrzymałem jej ciemniejsze niż czerń spojrzenie. Nie przyszło mi to łatwo: przypominało stanie pośród wichury, która zamiast odpychać, zasysa nas ku sobie. - Nie czujesz nic więcej? Czegokolwiek, co sprawia, że choć przez ułamek sekundy zwątpisz, czy Coldwood dopadł właściwego człowieka? Barnard i Hunter mieli tu być sami, lecz sprzątac, Onugeta, mijając drzwi, usłyszał głos kobiety. Trzy głosy, oznajmił, dwóch mężczyzn i kobiety. Czy się mylił, czy naprawdę tu była? Czy w pokoju pozostał emocjonalny ślad, którego nie potrafisz wyjaśnić obecnością dwóch mężczyzn, przychodzących na ostre pieprzenie, od którego paruje mózg?

Gdy tylko wypowiedziałem te słowa, przypomniałem sobie

strzaskaną czaszkę Alastaira Barnarda i nagle zapragnąłem cofnąć je i wyszorować środkiem odkażającym. Ale Juliet nie zniżyła się nawet do dodania upiornej pointy. Ani nie zaprzeczyła.

- W tym pokoju było wiele kobiet - powiedziała powoli. - Bardzo, bardzo wiele, w większości smutnych. Większość nienawidziła tego, co im tu robiono, albo mężczyzn, którzy to robili. Może tym właśnie był ów cień: śladem pozostawionym przez ich smutek.

Pierwszy odwróciłem wzrok: ostatecznie jestem tylko człowiekiem. Ale to Juliet robiła uniki i nie musiałem jej o tym przypominać. Czekałem tylko, aż doda brakujące elementy, wbijając wzrok w okno wychodzące na rampy rozładunkowe King's Cross, póki moje tętno nie powróciło do zwykłego tempa.

- Jest coś jeszcze - przyznała w końcu. - Bardzo silny, bardzo wyraźny ślad. Może to faktycznie kobieta. Zapachy fizyczne pozostawiło dwóch mężczyzn, ale może... Kobięce uczucia. Gniewne, negatywne. Niesmak, strach, wyzwanie - wszystkie podsycające gniew.

- Czy to coś już tu było? - spytałem. - Czy też zjawilo się razem z Hunterem i Barnardem? Może ich śledziło? Odeszło wraz z nimi? Może jeden z nich był nawiedzony przez ten... ślad?

Zerknąłem na Juliet, wymawiając ostatnie słowo. Wymownie wzruszyła ramionami, jej piersi poruszyły się pod kusząco przejrzystym materiałem koszuli.

- Nie wiem - przyznała z wyraźną niechęcią.

Nie mogłem się oprzeć pokusie wykorzystania przewagi.

- Chcę odwiedzić Douga Huntera w więzieniu - oznajmiłem - i wysłuchać jego wersji wydarzeń. Pójdiesz ze mną?

Spojrzała na mnie dziwnie.

- Po co?

- A spotkałaś go kiedyś?

- Nie.

- Nie chciałabyś go poznać, skoro twoje zeznanie ma go posłać do pierdła na dwadzieścia, trzydzieści lat?

- Nie.

Jej odmowa zdumiała mnie i nieco sfrustrowała.

- Nie jesteś ani trochę ciekawa?

- Ani trochę - potwierdziła pogodnie Juliet. - Ale przyznam jedno. Ewentualność, że mogłam popełnić błąd, niepokoi mnie. Bardzo poważnie traktuję swoją reputację.

- A zatem to oznacza zgodę? Pójdiesz ze mną?

Po ułamku sekundy Juliet przytaknęła.

- Tak. Zgoda. Ale nie dziś. Dziś mam inne plany.

- Tak czy inaczej, muszę najpierw zaaranżować to z Jan Hunter. Zadzwoń.

- Dobrze. Jeśli nie będzie mnie w domu, zostaw wiadomość Sue.

Odwróciła się na pięcie i bez słowa wyszła z pokoju. U ludzkiej kobiety uznałbym to za wyjątkowo bezceremonialne, ale w kontaktach z przyjaciółmi z otchłani trzeba brać poprawkę na odmienne zwyczaje - ostatecznie Juliet żyła na ziemi zaledwie nieco ponad rok i trzeba założyć, że w piekle mnóstwo zasad rządzących zwykłymi rozmowami nie obowiązuje w znany nam sposób. Na przykład urwanie komuś głowy i splunięcie na kikut szyi znaczy tam pewnie coś zupełnie innego.

Zostałem w pokoju jeszcze parę minut, szukając z zamkniętymi

oczami. Lecz zewsząd dobiegał mnie szum strachu i okrucieństwa. Przypominało to próby echolokacji na paradzie w deszczu konfetti. W końcu poddałem się, wyszedłem i zamknąłem drzwi. Miały zamek zatraskowy, a Juliet zabrała ze sobą klucz, toteż skończyłem już badać miejsce zbrodni: w żaden sposób nie mogłem tam wrócić.

Kiedy znalazłem się w holu, recepcjonista Merrill stał odwrócony do mnie plecami, bo właśnie odkładał klucze do przegródek - łącznie, jak zauważyłem, z numerem siedemnaście. Zaczekałem, aż zauważy moją obecność. Kiedy się odwrócił, spytałem:

- Mógłbym pogadać z Josephem Onugetą? Chciałbym sprawdzić parę szczegółów z jego zeznań.

- Dziś go nie ma - oświadczył Merrill.

- Zdawało mi się, że pracuje co dzień.

- Zadzwoił, że jest chory.

- To mogę wrócić jutro i z nim porozmawiać?

- Mnie to nie wadzi. Zmianę zaczyna o szóstej.

Postanowiłem zaryzykować.

- Czy w dniu morderstwa zameldowała się tu jakaś samotna kobieta?

Merrill wyglądał na zaskoczonego i przez chwilę obawiałem się, że uraziłem jego dumę zawodową.

- Przyjmujemy pary - odparł krótko.

- Tak. Wiem. Po prostu się zastanawiałem, czy...

- W tym pokoju nie było żadnej kobiety. Nie obchodzi mnie, co ponoć usłyszał Joseph.

Poczułem ciężar niewypowiedzianych słów.

- Ale? - Nacisnąłem.

Merrill przez parę chwil wpatrywał się we mnie w milczeniu.

- Przyszedł ktoś sam, ale mężczyzna - przyznał w końcu. - Byłem na zapleczu i zobaczyłem, jak przechodzi obok recepcji. Pomyślałem, że może to taksówkarz, który przyjechał po kogoś. Ale potem, dziesięć minut później wyszedł. Sam. Jeśli więc był to taksówkarz, to przyjechał w niewłaściwe miejsce.

- Kiedy to się działo? - spytałem. - Przed przybyciem Barnarda i Huntera czy po?

- Chyba po. Ale na pewno, nim tam poszliśmy i otworzyliśmy pokój, bo później zjawiała się policja i na całą resztę dnia zamknęli budę.

- Jak ten człowiek wyglądał?

Merrill zastanawiał się chwilę.

- Był dość stary - powiedział w końcu. - To wszystko co pamiętam. Nie przyjrzałem mu się z bliska.

Podrzuciłem mu jeszcze kilka pytań, ale nie dorzucił żadnych konkretnych informacji. Nie żartował, że wyłączył mu się mózg - więcej ubocznych szczegółów wyciągnąłbym z sześciolatka. Z drugiej strony każdy radzi sobie ze stresem na swój własny sposób, a Merrill wyglądał mi na gościa, który łatwo się stresuje.

Zostawiłem mu swój numer i poprosiłem, by zadzwonił, gdyby przyszło mu do głowy coś jeszcze. Aby nieco zmniejszyć nieprawdopodobieństwo takiego wydarzenia, podsunąłem mu parę dziesiątek: w ten sposób dowiodłem jasno - jeśli w ogóle potrzebował potwierdzenia - że cokolwiek łączyło mnie z Juliet, z całą pewnością nie jestem gliną. Z drugiej strony, to raczej zaleta niż wada, zwłaszcza w oczach gościa, który pracował na najgorszym zadupiu przemysłu

seksualnego. Wątpiłem, by od Londynu po jedwabną Samarkandę dało się znaleźć większe zadupie niż hotel Paragon.

Przed powrotem do Wood Green zjrzałem na Charing Cross Road i pogrzebałem w kilku tamtejszych księgarniach, aż w końcu znalazłem biografię Myriam Seaforth Kale pióra Paula Sumnera. Nakład miała wyczerpany, toteż w Borders i Foyles nie mogli mi pomóc. W końcu znalazłem jeden egzemplarz w antykwariacie w głębi ulicy, za Cambridge Circus. Była to edycja amerykańska. Kiepsko sklezione strony oderwały się od okładki, więc sprzedano mi ją za okazijną cenę: siedem pięćdziesiąt.

Przed wejściem do bloku Ropeya nie czekała niebieska furgonetka. Niestety, dwie windy, których nie użyto niedawno do próby morderstwa, w ciągu dnia przestały działać. Dowlokłem się na ósme piętro, zamknąłem drzwi, odcinając się od świata, i nastawiłem kojącą muzykę - tym razem był to chyba „Primordial” Rudry, opisany na okładce jako „wybitne dzieło wedyckiego thrash metalu”. A potem położyłem się na łóżku, otworzyłem rozpadający się tom i zagłębiłem się w ostatnich śmiertelnych drgawkach amerykańskich mafii.

Sumner pisał oszczędnym, niemal surowym stylem, używając przymiotników tylko w miejscach, gdzie stanowiły czysty banał i tym samym nie przekazywały żadnych informacji. Farma w Alabamie, na której Kale - wówczas jedynie Myriam Seaforth - przyszła na świat i spędziła wczesne lata życia, była „skromna”, a bieda, w jakiej żyła rodzina, „dotkliwa”. Ją samą natomiast opisał jako „świeżą” i „atrakcyjną”. Zgoda, nad lewym okiem miała bliznę po ospie wietrznej i niektórzy uważali ją za szpecącą, nadal jednak pozostawała posagową,

rudowłosą kobietą, bardzo wysoką i o bardzo pełnych kształtach - większość relacji zgadza się, że zasłużyła na miano stuprocentowej seksbomby. „Wyfrunęła z rodzinnego gniazda” w wieku piętnastu lat, poślubiając (w Arizonie to legalne od czternastego roku) Tuckera Kale'a, zamożnego właściciela sklepu z paszą z sąsiedniego Ryland.

Następne siedem lat jej życia nie zostało zbyt dobrze udokumentowane i Sumner załatwił je na kilku stronach. Tucker Kale zginął w wypadku samochodowym, kiedy Myriam miała dwadzieścia dwa lata. Wówczas ruszyła na północ, aby zakosztować innego życia w wielkim mieście. Po drodze zajrzała tylko do rodzinnego domu, by pożegnać się czule z bliskimi.

Wybrany przez nią wielkim miastem było Chicago, leżące niemal siedemset mil dalej - długa podróż, nawet z pieniędzmi w kieszeni i czekającym noclegiem. Myriam Kale nie miała ani jednego, ani drugiego. Pewnego dnia spakowała po prostu walizkę i rzuciła się na głęboką wodę, jadąc autostopem autostradą 65 bez pojęcia dokąd zmierza i co zrobi, gdy już tam dotrze.

Po drodze doszło do całkiem niezłe udokumentowanego spotkania Myriam z niejakim Lukiem Paulsonem, którego Sumner opisał jako komiwojażera, i do jednej z dwóch rzeczy. Albo, jak sama Kale opowiadała później przyjaciółom z mafii, Paulson próbował ją zgwałcić i zasłużył na krótkie, owocne i śmiertelne bliskie spotkanie z łyżką do opon. Albo też Kale skusiła go propozycją seksu, od początku z zamiarem zabicia i okradzenia, gdy tylko znajdą się na otwartej drodze.

Tak czy inaczej, starannie i entuzjastycznie zatłukła Paulsona na śmierć i ukradła mu samochód. Lecz nim odjechała, rozgrzała

samochodową zapalniczkę i przypaliła policzek mężczyzny, niczym właściciel rancza znakujący bydło. Od tej pory każdy zabity przez nią mężczyzna nosił podobne piętno, zazwyczaj, odkąd zaczęła palić, robione końcówką zapalanej cygaretki „Padre Gigli”. Przez ostatni rok przed śmiercią zyskała w chicagowskim podziemiu przydomek Gorącej Marchewy. Częściowo stanowiło to ukłon pod adresem jej uroku fizycznego, ale też żartobliwą sugestię, że ci, którzy po nią sięgną, mogą zostać poparzeni.

Po dotarciu do Chicago, Kale porzuciła samochód Paulsona i wyszła na ulicę - dosłownie. Parę lat pracowała jako prostytutka na Pigalaku South State Street. Krótki czas pozostawała pod ochroną alfonsa, Laudera Cappa, potem wybrała karierę solową (Capp ponoć przysiągł poderżnąć jej gardło za nielojalność). Potem, w klubie „Czerwone Pióro” poznała Jackiego Cerone i zabrała go do pokoju hotelowego, nieróżniącego się zapewne zbyt od tego w Paragonie, na noc namiętności, która stała się początkiem nowej kariery.

Kale wiedziała, kim jest Cerone. Widziała jego zdjęcia w gazetach i skojarzyła. Mężczyzna, który zatrudnił ją na całą noc, był ważnym graczem w Organizacji, obecnie na fali, odkąd Sam Giancana uciekł za granicę, pozostawiając Battagli (mianowanemu przez Cerone'a) zadanie pozbierania szczątków, jakie pozostały po chicagowskich gangach.

Według Sumnera, związek Kale z Ceronem stał się punktem zwrotnym w jej życiu. Zaimponowała mu swym entuzjazmem i duchem przedsiębiorczości i po dwóch następnych płatnych randkach zatrudnił ją w innym charakterze - jako przynętę dla jednego z ostatnich poruczników Giancamy, zajmującego wysoką pozycję na jego czarnej liście.

W książce zamieszczono jej zdjęcie mniej więcej z tego okresu i odniosłem mętne wrażenie, że już je widziałem: niewyraźną, czarno-białą fotkę zrobioną w zatłoczonym nocnym klubie, ukazującą Kale wiszącą na ramieniu Jackiego Cerone. Oboje szczyrzyli się do kamery, z butelkami szampana w dłoniach. Kale miała otwarte usta, wyraźnie się śmiała, głośno, tubalnie. Lecz nie zamknęła ani nie zmrużyła oczu z rozbawienia: szeroko otwarte patrzyły czujnie przed siebie. Skojarzyły mi się z oczami dzikiego zwierzęcia, wyglądającego na świat zza zarośli jej własnej twarzy, gdzie ukrywała się albo szukała ofiary. Trzecia widoczna na zdjęciu osoba, jasnowłosa mężczyzna o ciele kulturysty obleczonym w garnitur z podwójnymi klapami, krzyczący wszem wobec „gangster”, spoglądał na nią z zachłannym podziwem.

Wkrótce, jak zapewnił czytelników Sumner, ta autentyczna femme fatale sama zaczęła zabijać na zlecenie - Jackie dostarczył jej broń i zapewnił niezbędne szkolenie. Przez następne pięć lat Kale zyskała sobie w kręgach mafii sporą sławę, nie zwracając na siebie uwagi policji. Miała na koncie co najmniej dziewięć ofiar (Sumner z zapałem argumentował za wyższą i przez to bardziej atrakcyjną liczbą trzynastu) i zarabiała za nie sumy sięgające osiemdziesięciu tysięcy dolarów. W pewnym momencie Phil Alderisio podobno płacił jej stałą pensję.

Tymczasem motyw oparzeń papierosem stał się legendą tabloidów i nieskazitelnym szefem policji, Art Bilek, publicznie zobowiązał się aresztować „zabójcę mafii, który w tak ohydny sposób podpisuje swoje dzieła”. W 1968 roku dopadł ją w kolejnym pokoju hotelowym, na górnym piętrze Salisbury'ego: tym razem w otoczeniu bogatym, nie obskurnym. Kale była właśnie gościem Tony'ego Accardo. Lecz ani ekskluzywny wystrój, ani

czcigodny opiekun nie ocaliły jej, kiedy ludzie Bileka otoczyli budynek i weszli, by ją aresztować.

Kiedy policjanci wyważyli drzwi apartamentu i wpadli do środka, Kale dodała do listy ofiar jeszcze jedną. Według gazet była naga - świeżo po kąpieli, wymanikiurowana, pachnąca „Madame Rochas”. Zastrzeliła pierwszego człowieka, który przekroczył próg, dwudziestodwuletniego konstabla Dermota Callistera. Strzeliła mu prosto w twarz, zabijając na miejscu, by w ciągu następnych sekund zarobić siedem kulek (później pociski usunięto, przeliczono, ponumerowano, skradziono i sprzedano jako pamiątki), lecz zdołała jeszcze zranić kolejnych trzech funkcjonariuszy, nim w końcu ujeli ją żywcem. Jej wola życia musiała być doprawdy zdumiewająca, bo, jak zauważył Sumner, jeden z pocisków uszkodził jej wątrobę, a drugi przebił lewe płuco. To cud, że przetrwała dość długo, by trafić do sądu, dość długo, by spędzić trzy lata w celi śmierci, dość długo, by w końcu zginąć w czasie i miejscu wybranym przez władze stanowe.

Oto ogólny zarys historii opowiedzianej przez Sumnera, który jednak ozdobił ją po drodze bardzo dokładnymi rekonstrukcjami seksualnych przygód Kale z co ważniejszymi aktorami chicagowskiej sceny mafijnej. Zastanawiałem się, z jakich źródeł czerpał co barwniejsze detale: może Kale prowadziła dziennik. „Drogi dzienniczku, nigdy nie zgadniesz z jakim budzącym powszechną grozę, psychopatycznym szefem gangu odbyłam dziś szybki numerek w windzie u Nordstroma - i czym chciał, żebym go łaskotała”.

Jedynie przerzucałem kartki, ale i tak zacząłem się nudzić na długo przed końcem. Nie dlatego, że zaliczałem się do grona pruderyjnych świętoszków czy nawet ludzi cnotliwych, ale pornografia zapisana jako

seria pozycji seksualnych i zamiast przecinka posługująca się słówkiem „nabrzmiały”, szybko zaczyna mnie męczyć.

Zajrzałem do ostatniego rozdziału, który okazał się opisem dwóch ostatnich zabójstw - tych dokonanych już ponoć zza grobu. W 1980 mężczyzna mieszkający przy George Street w Edynburgu został zamordowany we własnej łazience. Zabezpieczone ślady sugerowały, że zabito go tuż po stosunku seksualnym. Policzek i skroń miał pokryte pośmiertnymi oparzeniami końcówką papierosa.

W 1993 sytuacja się powtórzyła: handlowiec w średnim wieku wyszedł z pracy w Newcastle, oznajmiając wszem wobec, że ma zamiar „podupczyć, popić i położyć się wcześniej”. Znalaziono go następnego dnia w pralni hotelu przy Callerton Lane, wepchniętego w jeden z koszy. I znów, twarz miał poparzoną, znaleziono też dowody na to, że przed gwałtowną śmiercią odbył stosunek seksualny.

Przyczyną śmierci w obu przypadkach były urazy zadane tępym narzędziem, którego nigdy nie odnaleziono. Sumner nie próbował nawet wyjaśnić, dlaczego Kale wybrała akurat Wyspy Brytyjskie na miejsce pośmiertnych przygód: przedstawił tylko fakty, skromnie i dokładnie, wnioski pozostawiając czytelnikom.

Żeby chwilę odetchnąć, wyciągnąłem torbę drobiazgów, które Carla znalazła za szufladą biurka Johna. Znów przerzuciłem kartki „A do Z”, położywszy obok na łóżku mój własny, dużo-formatowy plan Londynu w twardych okładkach. Tym razem udało mi się znaleźć coś więcej. Lista nazw miejsc - Abney Park, Eastcote Lane, St. Andrews Old, St. Andrews Gardens, Stray Field i reszta - była listą londyńskich cmentarzy. I to bardzo wyczerpującą, bo obejmującą dobrze ponad sto lokalizacji.

Większość albo przekreślono jedną szybką kreską, albo też obok w linii narysowano duży krzyżyk. Czegokolwiek szukał John, wyglądało na to, że miał bardzo wyraźne wymagania.

Na dole strony, oddzielone od reszty listy kilkoma centymetrami rażąco pustej kartki, widniało jedno słowo: SMASHNA. Nie zostało przekreślone, ale John kilka razy zakreślił wokół niego kółko czerwonym długopisem. Potem dodał trzy zielone znaki zapytania. Mocne podkreślenie, tyle że dla mnie kompletnie nic nie znaczyło.

Pozostałe listy - te złożone z nazwisk ludzi - okazały się jeszcze bardziej tajemnicze. Sprawdziałem pierwsze litery imion i nazwisk, ostatnie litery i kilka innych rzeczy, upewniając się, czy nie ukrywa się w nich wiadomość zaszyfrowana akrostychem. Ale były to tylko nazwiska: kilku przyjaciół, kilku przeciwników przyjaciół, większości nieznanym. Pozostawały klucz i zapalki. Podniosłem je i raz jeszcze przyjrzałem się liczbie. I tym razem, może dlatego, że tuż przedtem zajmowałem się różnymi szyframi, natychmiast zrozumiałem co widzę.

Rzuciły mi się w oczy ostatnie cyfry: 76970. To rzeczywiście mógł być numer telefonu - jeśli to była komórka i jeżeli napisano go od tyłu. Wystukałem sekwencję na mojej własnej komórce, zaskoczyła. Przez moment niemal zakręciło mi się w głowie, jakbym w ataku lęku wysokości spojrzął w dół pionowego urwiska umysłu poddanego niewiarygodnym stresom. Przed kim John ukrywał swoje sekrety? Co sprawiło, że zachowywał się z tak obsesyjną ostrożnością.

Nicky Heath, który wie o tym najlepiej, powiedział mi kiedyś, że paranoja to nie tylko stan kliniczny, ale i cecha umożliwiająca przetrwanie. W przypadku Johna się nie sprawdziła, wyglądało jednak na to, że ze

wszystkich sił starał się uchronić to, nad czym pracował, przed wpadnięciem w niepowołane ręce. Czy w ogóle w jakiegokolwiek obce ręce.

Sygnał zabrzmiał trzy razy, a potem ktoś odebrał.

- Halo? - Męski głos, pogodny, energiczny. - Co jest?

- Cześć - odparłem. - Jestem przyjacielem Johna Gittingsa... Z drugiej strony usłyszałem tylko ciche „kurwa!”, a potem połączenie zostało przerwane z cichym szcęknięciem. Ciekawe. Spróbowałem ponownie, tym razem telefon po drugiej stronie dzwonił sześć, siedem, osiem razy, nim podniesiono słuchawkę. Nikt się nie odezwał, usłyszałem tylko ciszę.

- Naprawdę jestem przyjacielem Johna - oznajmiłem, starając się, by zabrzmiało to spokojnie, pewnie i wręcz promieniowało szczerością. - Nazywam się Felix Castor. Parę razy pracowałem z Johnem, jakiś czas temu. Wdowa po nim, Carla, oddała mi część jego rzeczy i wśród nich znalazłem pana numer. Zadzwoiłem, bo próbuję się dowiedzieć, nad czym pracował przed śmiercią.

Uznałem, że to wystarczy na początek, i czekałem na ponowne przerwanie połączenia. Zamiast tego ten sam męski głos zadał krótkie pytanie:

- Po co? - Tym razem nie brzmiał pogodnie, był raczej spięty, kryło się w nim wyzwanie.

Właściwie musiałem przyznać, że to doskonałe pytanie.

- Ponieważ najwyraźniej sądził, że to coś bardzo ważnego - odparłem powoli, starannie dobierając słowa, na wypadek gdyby któreś niosło ze sobą ukryte znaczenie. - Ale nie powiedział nikomu, co to było. Pomyślałem, że może dokończenie dzieła pozwoliłoby mu spocząć w spokoju. Bo w tej chwili w ogóle nie spoczywa.

Odpowiedziała mi długa, ciężka cisza.

- Nie dzisiaj - rzekł w końcu mężczyzna. - Jutro. O dwunastej - W zwykłym miejscu.

Rozłączył się, nim zdążyłem zadać oczywiste pytanie, i tym razem, kiedy wybrałem numer, telefon dzwonił i dzwonił, aż odezwała się poczta głosowa. Spróbowałem jeszcze dwa razy, z tym samym skutkiem. Z jakichś przyczyn - być może mną także kierowała paranoja - wolałem nie zostawiać wiadomości. Lecz tak czy inaczej, zdawało mi się, że wiem, co to za zwykłe miejsce: musiał istnieć powód, dla którego John zapisał ten numer na zapalkach z baru „Reflections Cafe”, i na szczęście, kiedy oddzierał kawałek pudełka, pozostawił na nim kod pocztowy. To plus książka telefoniczna, powinno wystarczyć, by mnie tam doprowadzić. Mogłem mieć jednak problemy z czasem: o drugiej musiałem się znaleźć w sądzie w Barnet, na popołudniowym posiedzeniu w sprawie Rafiego.

Będę musiał się postarać szybko odbębnić to spotkanie.

Sto pięćdziesiąt lat temu królewskie więzienie Pentonville uważano za model pierdła doskonałego. Politycy wygłaszali na jego cześć pełne peanów przemówienia - specjaliści od więziennictwa zjeżdżali się z całej Europy, by cmoktać nad nim z podziwu, i bez wątpienia wielu starych frajerów popełniło wymyślone zbrodnie tylko po to, by dać się w nim wydymać.

Było to pierwsze angielskie więzienie zbudowane według amerykańskiego systemu zwanego separacyjnym. Stanowił on udoskonalenie wiktoriańskich panoptikonów, w których przebiegłe sztuczki architektoniczne pozwalały na obserwowanie więźniów w każdej sekundzie każdego dnia, nieważne gdzie się schowali.

W systemie separacyjnym okrucieństwo było jednak bardziej wyrafinowane. Projektanci nadal bardzo pilnowali zachowania widoczności i pamiętali o rozmieszczonych wysoko platformach strażniczych. Lecz główny nacisk kładziono na pozbawienie więźniów woli walki poprzez odmówienie im jakiegokolwiek kontaktu z ludźmi. Nie tylko całe więzienie podzielono na serie rozmaitych skrzydeł, niemających ze sobą łączności, ale też tę samą separację narzucano podczas posiłków, w kaplicy, a nawet na podwórzu. Wewnątrz ściany dzieliły pomieszczenia na plastry miniaturowych cel, tak że nawet wtedy, kiedy tuż obok przebywało tysiąc ludzi, człowiek pozostawał sam. Na zewnątrz więźniowie nosili specjalnie zaprojektowane czapki z długimi,

opuszczonymi daszkami, ukrywającymi twarze. Nikt nigdy nie używał ich nazwisk. Podobnie jak Jean Valjean i Patrick McGoochan, stawali się tylko numerami. Jeśli nie odpowiedzieli na wywołany numer, zarabiali tydzień w karcerze. Ujawnienie nazwiska innemu więźniowi oznaczało dodanie kolejnego roku odsiadki.

Cały system odniósł niewiarygodny sukces, przynajmniej jeśli chodzi o uspokojenie więźniów: po paru miesiącach podobnego traktowania większość zachowywała się potulnie jak jagnięta po lobotomii. No dobra, kilku - może więcej niż kilku - zanurzyło się nieco głębiej pod powierzchnię normalności i ich pasywność zamieniała się w apatię, a potem w wycofanie psychiczne bądź katatonię. Ale niektórych nigdy nie da się zadowolić, nieważne jak wiele dla nich robimy.

Po słynnej sprawie wytoczonej przez rodzinę niejakiego Williama Balla, który trafił do Pentonville zdrów na umyśle, a wyszedł jako obłąkany maniak, władze zaczęły łagodzić reżim i cała idea kontroli poprzez odczłowieczanie straciła w Anglii na popularności, aż do otwarcia Belmarsh w 1991. Dziś Pentonville nie jest nawet takie złe, zwłaszcza w porównaniu z Brixton czy Scrubs. Ma nawet własny pokój bilardowy i wielką, pustą salę, w której można wyświetlać filmy, a jego oślepiająco biała fasada jest tak nieskazitelna, że powoduje regularne stłuczki - kiedy kierowcy jadący Caledonian Road nieostrożnie zerkają na nią w chwili, gdy słońce wyłania się zza chmur.

Mimo wszystko jednak, gdy następnego ranka przechodziliśmy z Juliet kolejno przez brzęczące bramki i trzaskające drzwi, nie wyglądało na najweselsze miejsce na ziemi. Akustyka więzienna różni się od normalnej: każde echo brzmi jak drwina bądź oskarżenie, a zawsze otacza

nas mnóstwo ech. Fakt, że niebo na zewnątrz było sinoszare i zaczynały spadać pierwsze krople deszczu, nie polepszał sprawy. Podobnie procedury bezpieczeństwa, stosowane nawet w przypadku odwiedzin u aresztantów, za bardzo przypominają protokół odkażania: zupełnie jakby goście przynosili ze sobą świat zewnętrzny, a strażnicy nie życzyli sobie, by nawet jego drobina dotarła do więźniów.

Wytypowano nas do przypadkowego przeszukania osobistego, lecz biorąc pod uwagę to, jak Juliet działa na ludzi wszystkich płci i orientacji, wątpię w całkowitą przypadkowość owego wyboru. Policjantki, które ją przeszukiwały, wyraźnie się nie śpieszyły i musiałem czekać przed pokojem strażników długo po tym, jak ich koledzy skonfiskowali mi piersiówkę i ceremonialny sztylet i wręczyli pokwitowanie.

Kiedy drzwi się otworzyły i ze środka wymaszerowała Juliet z dłońmi nonszalancko wsuniętymi do kieszeni, stąpające za nią strażniczki sprawiały wrażenie nieco oszołomionych i poruszonych. To była zwykła rewizja, bez rozbierania, ale kiedy zerkasz w otchłań, otchłań zerka także w ciebie.

Znów razem, przeprowadzono nas przez kolejne drzwi - do wtóru trzasków, huków i zgrzytów kojarzących się z początkiem filmu z więzieniem w roli głównej - i w końcu znaleźliśmy się w sali spotkań.

Aresztanci mieli własny pokój widzeń, i choć nadal z boku czuwał strażnik, traktowano ich nieco swobodniej niż innych. Zamiast ujrzeć szklaną ścianę i telefony, znaleźliśmy się w pokoju przypominającym szkolną świetlicę: nagie ściany ożywione kilkoma żółknącymi plakatami reklamującymi dawno już zakończone publiczne kampanie informacyjne, niezbyt wygodne krzesła ustawione wokół niskich stołów i automat z

kawą.

Pokój był pusty. Spojrzałem pytająco na strażnika, który z wyraźnym wysiłkiem oderwał wzrok od Juliet.

- Już tu idzie, proszę pana - oznajmił. - To nie potrwa dłużej niż minutę, dwie.

Juliet podeszła do grupki krzeseł i usiadła. Nim do niej dołączyłem, kupiłem sobie kawę. Obserwowała mnie z lekkim zainteresowaniem.

- Trochę sztywno chodzisz - skomentowała, gdy usiadłem. - Zauważyłam to już wczoraj, ale zapomniałam spytać.

- Parę dni temu ktoś próbował zrzucić mnie do szybu windy. Nic się nie stało. Uskoczyłem.

Podobne teksty zupełnie nie wzruszają Juliet. Zauważyła moją niechęć do rozmowy na ten temat i nie pytała więcej. Po prawdzie, cały incydent z uszkodzoną windą wciąż nie dawał mi spokoju. Jeśli ktoś próbuje zabić prywatnego detektywa, to niemal oznaka szacunku: znaczy, że dotarł on blisko czegoś i przeciwnik traktuje go poważnie. Kiedy jednak ktoś próbuje zabić zawodowego egzorcystę, a rzeczony egzorcysta nie ma bladego pojęcia dlaczego, tak jak ja wtedy, to zapewne jedynie oznaka skazy na charakterze.

A może dotarłem blisko czegoś, ale byłem zbyt tępy, by dostrzec to, co mam pod nosem? Ta myśl otrzeźwiła mnie i nadal rozmyślałem nad nią trzeźwo, kiedy do pokoju wszedł mężczyzna. Niewątpliwie nie był to Doug Hunter: po pierwsze, za stary, po drugie, w ogóle nie pasował do opisu, jaki podała mi Jan - chudy i wąły, niemal całkiem łysy i bardzo blady. Miał na sobie nieciekawą, jasnoszary garnitur, który wydawał się równie wyblakły jak jego skóra. Lecz ze szczupłej twarzy, wyrażającej

pełne irytacji zniecierpliwienie, spoglądały ciemniejsze, zimne szare oczy powiększone przez szkła mocnych okularów.

- Pan Castor? - spytał.

Spodziewałem się, że na widok Juliet zareaguje jak niemal każdy facet, czyli komicznym wzdrygnięciem, ale najwyraźniej z miejsca, w którym stał, musiał jej nie dostrzec.

- To ja - odparłem.

- Nazywam się Maxwell. Doktor Maxwell. Jestem jednym z członków tutejszego personelu medycznego. Douglas Hunter to mój pacjent i muszę z panem pomówić, nim go pan zobaczy. Ma pan chwilkę?

Skinąłem głową, ale gość przyjął moją zgodę za oczywistą i już mówił dalej.

- Stan Douglasa wciąż się pogarsza. Choćby w ciągu ostatnich kilku dni zaszła wyraźna zmiana, i to nie na lepsze.

Moje zdumienie musiało się odbić na twarzy.

- Jest chory? - spytałem. - Nie zdawałem sobie sprawy.

Maxwell uniósł ręce dłońmi do góry, w geście oznaczającym: „proszę nie wkładać mi w usta czegoś, czego nie powiedziałem”.

- Sytuację medyczną dodatkowo komplikuje sytuacja prawna - oświadczył. - Choć tutaj akurat to dość częste. Postawiłem diagnozę, wybaczy pan jednak, że jej panu nie ujawnię. Chodzi o to, że podajemy Douglasowi bardzo silne leki. Arypriprazol, jeśli to coś panu mówi.

- Nie mówi - przyznałem.

Maxwell bardzo znacząco uniósł brwi.

- Ale będzie wiele mówił obronie, wspomni pan moje słowa. Chodzi o to, że ponieważ to pańska pierwsza wizyta, z pewnością przekona się

pan, że trochę dziwnie się z nim rozmawia. Jest senny i milczący, lecz jednocześnie widać po nim niepokój i dyskomfort. To efekty uboczne leku, nie jego stanu.

- A jego stan to...? - naciskałem.

Maxwell powtórzył ten sam gest.

- W tej chwili nie mogę o tym z panem rozmawiać - oświadczył - choć omówiłem to dokładnie z panią Hunter. Mam też drugi powód, dla którego zdecydowałem się przyjść tu i uprzedzić pana: radzę bardzo stanowczo, by w żaden sposób nie podniecał pan ani nie denerwował Douglasa. To może mieć negatywny wpływ na jego stan, a także być bardzo nieprzyjemne - fizycznie nieprzyjemne - dla pana. Dyrektor bardzo nalegał, by pan dobrze zrozumiał te warunki. Chętnie dałby panu do podpisania oświadczenie, ale zdaje sobie sprawę, że wszystko, co tu mówię, zawiera niuanse, mogące odgrywać ważną rolę w sądzie.

Pokręciłem głową, kompletnie oszołomiony. Odniosłem nieprzyjemne, nietypowe wrażenie, że prawdziwe znaczenie jego słów przelatuje mi gdzieś swobodnie nad głową.

- Chce pan powiedzieć, że jest chory psychicznie? - spytałem, macając na oślep w ciemności.

- Dyrektor? Nie, jest bardzo zrównoważony, nawet biorąc pod uwagę jego wrodzoną skłonność do popadania w depresję.

- Doug Hunter.

- To podlega pod tajemnicę lekarską - oświadczył z nieprzeniknioną miną Maxwell.

W tym momencie u mojego boku zjawiała się Juliet i Maxwell zbladł. Imponujący wyczyn, biorąc pod uwagę jego wcześniejszą błądź.

- Co to dokładnie jest aryprirazol, doktorze? - zamruczała gardłowo.
- Zawsze się zastanawiałam.

Maxwell wyglądał jak ogłuszona ryba - jednocześnie wyrzucona z wody i złapana na haczyk.

- Tę informację można znaleźć w powszechnie dostępnych źródłach - migał się. - Mogą to państwo łatwo sprawdzić.

- A jeśli to zrobimy? - naciskała bezlitośnie Juliet. - Co znajdziemy?

- To częściowy... częściowy agonista receptora D2. Modulator dopaminergiczny w układzie mezo limbicznym...

- A po angielsku?

- Lek przeciwpsychotyczny! - wypalił Maxwell. - Naprawdę muszę...
To podpada pod...

- Tajemnicę lekarską - dokończyła Juliet. - Oczywiście. Dziękuję, doktorze.

Odrobinę skłoniła głowę i Maxwell jakby przebudził się z transu. Pożegnał się najbardziej bezsensowną zbitką sylab, jaką kiedykolwiek słyszałem, i uciekł za drzwi, którymi przyszedł.

- Mogłaś mu trochę odpuścić - upomniałem Juliet. - Starał się robić co do niego należy.

- Prosiłam jedynie o wyjaśnienie, Castor.

- Tak, jasne.

- I bardzo szanuję fakt, że trzymał się standardów zawodowych. Podziwiam ludzi o wysokich walorach intelektualnych i moralnych. Naprawdę mnie to podnieca.

Spojrzałem na nią, próbując sprawdzić, czy się ze mnie nabija, ona jednak skromnie pochyliła głowę i usiadła, tak bym nie mógł przyjrzeć się

jej twarzy.

W tym momencie drzwi znów się otwarły i na progu stanął Doug Hunter, kroczący między dwoma roslymi strażnikami.

Nawet w więziennych ciuchach wywierał silne wrażenie. Jan uprzedziła mnie już, że jest wysoki i umięśniony: zakładałem też, że przystojny, bo twarz miał symetryczną, o kwadratowej szczęce i jaskrawobłękitnych oczach, a to dwie najczęściej wymieniane cechy. A może trzy, jeśli liczyć każde oko z osobna. Jego włosy wyglądały jakby pierwotnie były ciemniejsze, lecz wypłówiały po latach pracy na świeżym powietrzu, tak że wyglądały teraz jak mieszanka lnu i słomy. Poruszał się nieco sztywno, nogi trzymał złączone, niemal jakby stał na baczność.

Lecz wzrok miał mętny, pusty, jakby kryjący się za nim silnik działał na biegu jałowym. Uniósł rękę i podrapał się po skroni, tuż nad okiem. Paznokcie pozostawiły na bladej skórze wyraźny ślad: trzy równoległe linie, podobne do gorączkowych skreśleń w „A do Z” Johna Gittingsa.

- Panie Hunter.

Wstałem i wyciągnąłem dłoń, kiedy ruszył ku nam przez pokój. Towarzyszący mu strażnik odszedł na bok, lecz trzymał się blisko, nie spuszczać zeń wzroku. Drugi, czekający z nami, zajął pozycję naprzeciwko, w tej samej odległości. Aresztant nie aresztant, wiedzieli o co oskarżają Douga - pewnie znali też diagnozę doktora Maxwella - i nie zamierzali ryzykować.

Doug zignorował moją dłoń. Jego wzrok przeskoczył ze mnie na Juliet i pozostał tam długą chwilę. Oczywiście nie było w tym nic dziwnego, ale może w jego przypadku warto to podkreślić. Nieważne jaki rodzaj seksu zazwyczaj preferował, najwyraźniej na jakimś poziomie

reagował na urok Juliet. Zapamiętałem ten fakt na przyszłość.

- Wie pan, dlaczego tu jesteśmy? - spytałem.

Powoli skinął głową, obracając się i znów patrząc na mnie lekko rozszerzonymi oczami, jakby zdążył już zapomnieć o mojej obecności.

- Jesteście tutaj - rzekł z prostotą.

Głos miał zupełnie inny niż oczekiwałem. Czy Jan nie wspominała o akcencie z Birmingham? W tym głosie nie dźwięczał żaden wyraźny akcent, brzmiał też bardzo płasko, niemal jak należący do robota. Tyle że w dzisiejszych czasach większość robotów używa sampli z wypowiedzi ludzi, toteż brzmią żywiej i znacznie cieplej niż Doug Hunter.

W tym momencie niemal uwierzyłem w hipotezę o psychopacie seksualnym, stawianą przez Coldwooda. Doug sprawiał wrażenie człowieka, którego mózg działa na minimalnym biegu, przechodząc generalny remont. Ale z drugiej strony, ile w tym było człowieka, a ile leków?

- Właśnie. Zgadza się. Jesteśmy tu, by z panem pomówić. Zechce pan usiąść? Powiem czego się dotąd dowiedziałem, czyli niewiele, i zaczniemy od tego miejsca.

Nie przyjął zaproszenia i obaj staliśmy dalej naprzeciw siebie. Ja czułem się nieco niezgrabnie, Hunter przyjmował wszystko z tępą obojętnością. Juliet jak dotąd nie podniosła się z miejsca ani nie odezwała. Obserwowała czujnie Huntera, ani razu nie mrugnawszy.

- Tego miejsca - powtórzył Hunter. Przez sekundę uznałem, że jest tak naćpany lekami przeciwpsychotycznymi, że mogę po nim oczekiwać wyłącznie echolalii. Potem jednak lekko pokręcił głową, w lewo, w prawo i znów w lewo. - Nigdy nie wyjdę z tego miejsca - skomentował, bez

cienia smutku, lecz raczej zaskoczony, że w ogóle poruszyłem ten temat. - Nie teraz. Nie po tym... wszystkim. Wszystkim innym. Będzie mi tego brakowało. Zostały już tylko trzy dni. Do nowiu. Powiedzieli mi, że nie mogę się zgubić. Nie mogę tego przeoczyć. Nie będą zadowoleni.

Zmarszczył brwi i powoli z ponurą dezaprobatą pokręcił głową.

- No cóż - odparłem, jakby jego słowa miały dla mnie jakikolwiek sens. - Wie pan, po co zatrudniła mnie Jan. Nie wierzy, że zabił pan Barnarda, i uważa, że najlepszą próbą obrony podczas procesu będzie ustalenie, że w pokoju prócz was dwóch był ktoś jeszcze. Ktoś martwy, dlatego właśnie zwróciła się do mnie. Lecz oczywiście bardzo chciałbym usłyszeć pańską wersję wydarzeń.

- Moją wersję. - Hunter na moment spojrzał na swoje ręce, przekreścone dłońmi do góry, jakby sprawdzał, czy są czyste. - Nic - wymamrotał najwyraźniej do siebie. - Nic.

Widziałem już, że rozmowa coraz szybciej zmierza donikąd. Usiadłem obok Juliet, z nadzieją że Hunter zechce mnie naśladować, ale on nawet na mnie nie spojrzał. Wbijał wzrok w sufit.

- Moja wersja jest starsza - wymamrotał tak cicho, że ledwie go usłyszałem.

- Czy był tam ktoś jeszcze, Doug? - spróbowałem ponownie. - Czy ktoś jeszcze przyszedł z wami do tego pokoju? Albo zjawił się potem? Jak zginął Barnard?

Doug powoli opuścił głowę i pod koniec owego długiego, powolnego łuku niemal przypadkiem spojrzał mi w oczy.

- Młotek - powiedział. - Czy nie tego użyła? Sam już nie jestem pewien, ale to pamiętam. Jego głowa była bardzo... mogę ją spytać. Jeśli

chcecie.

- A zatem był tam ktoś jeszcze? - powtórzyłem.

Niesamowite rozdwojenie, jakiego byliśmy świadkami, wisiało w powietrzu jak coś, czym można odetchnąć i się zarazić. Musiałem zwalczyć pragnienie odsunięcia krzesła i zmusić się do normalnego oddychania, a nie płytkiego sączenia skażonej atmosfery.

Hunter pokręcił głową.

- Tylko ja - wymamrotał. - Tylko ja i ona. Nikt inny. Może jeszcze nieboszczyk. Może ludzie, którzy nie żyli. Nikt inny. - Po jego twarzy przebiegła zmarszczka, niczym fala po mętnej wodzie. - Chyba mnie ssał. Mojego kutasa. Ale nie pamiętam już czemu. To naprawdę obrzydliwe. - Westchnął, przeciągle, głęboko i w końcu usiadł naprzeciw mnie. - Skręciłem nogę w kostce - oznajmił z lekkim smutkiem. - I zabrali mnie obok. Do kościoła. Gdyby mieli apteczkę... ale to robota na czarno, kasa do ręki, żadnych zabezpieczeń. Nikt nie pilnował przepisów. Pomyślałem, że może mają coś przeciwbólowego albo bandaż elastyczny. Kretyn.

Zapadła długa cisza, nie próbowałem jej zapełnić. Miałem wrażenie, że jeśli pozwolę mu na swobodne skojarzenia, doprowadzi mnie do czegoś istotnego. Lecz po minucie czy dwóch zorientowałem się, że wycofał się z powrotem do własnej głowy i nie wyjdzie bez zachęty.

- Kiedy to było, Doug? - spytałem. - Gdy pracowałeś na budowie?

Mrugnął - raz, drugi, trzeci.

- Dali mi... szklankę wody - rzekł. - Wezwali karetkę. Kazali czekać. Ale było już za późno. Bo wtedy przyszła ona, rozumiesz? Po to to było. Coś w wodzie. Tak myślę. Coś w wodzie.

Nagle jego oczy jakby pojaśniały, otworzyły się tak szeroko, że

musiały zboleć: teraz przyglądał mi się z intensywnym uczuciem, którego nie potrafiłem odczytać. Czekałem aż znów zamruga, ale nie.

- Nic nie wiesz - powiedział z bolesną goryczą w głosie.

- Nie - zgodziłem się, czując coraz większy niepokój. Nie podobał mi się kierunek, w jakim zmierzaliśmy. - Nie wiem. Ale próbuję się dowiedzieć. Jestem egzorzystą. Twoja żona zatrudniła mnie, żebym sprawdził, czy to możliwe, że duch Myriam Kale miał coś wspólnego ze śmiercią Alastaira Barnarda. Wierzy, że jeśli zdołamy znaleźć dowody na to, że duch Kale przebywał w pokoju w czasie morderstwa, to może wzbudzimy uzasadnione wątpliwości co do twojej winy. Masz na ten temat jakieś zdanie?

Zakładałem, że większość tego w ogóle nie dotrze do Huntera, lecz ku memu zdumieniu zareagował dość rozsądnie. Wciąż czułem na twarzy drażniące spojrzenie jego błękitnych oczu, teraz jednak się zwięzły i przyznam, że przyjąłem to z ulgą.

- To chyba byłoby niezłe - rzekł. - Gdyby komuś się udało. Ale nie w pokoju. Nie kiedy tam leżał. Gdybyś widział jak to było, kiedy nad nim pracowała, nie pytałbyś. Nie chciałbyś wiedzieć. Ona nie jest duchem. Nigdy nie była duchem.

- A zatem czym jest? - spytałem, walcząc z pragnieniem odepchnięcia krzesła i odsunięcia się od tych umęczonych, nieustępliwych oczu.

Ku memu zdumieniu Hunter roześmiał się. Nie zabrzmiało to przyjemnie.

- Mówi, że jest czymś, czego nigdy nie chcieli. Bo dla niej to nie jest gra. To nie jest praca. Nie może przestać. Chcą ją zmusić, żeby przestała, ale nie wiedzą jak. I ona też nie wie. Pracuje więc i pracuje, i pracuje nad

każdym kolejno. Użyła młotka, wydaje mi się, że jednego z moich. Ale na całym cholernym świecie nie ma dość młotków, by...

Nagle zmarszczył brwi, zupełnie jakby światło pod jego twarzą zgasło.

- Egzorcystą? - zapytał ostro i uświadomiłem sobie, że powtarza moje słowa sprzed jakiejś minuty.

- Tak - potwierdziłem. - Jestem egzorcystą.

Hunter z bolesnym zdumieniem pokręcił głową.

- To się nie uda. - W jego głosie dźwięczały gniew i zniecierpliwienie. - Gdyby to było takie proste, załatwiliby ich wiele lat temu. Ale i tak im się to nie spodoba. Na twoim miejscu, a wierz mi, że wolałbym być na miejscu łajna na twoim bucie, zacząłbym już uciekać. Wsiadłbym w pociąg jadący gdzieś bardzo daleko i zmienił nazwisko na... pieprzony Smith czy jakoś tak. Ty idioto. Jak myślisz, co możesz zrobić? Niczego nie możesz.

- Nadal zamierzam spróbować - odparłem, żeby coś powiedzieć.

- Jan cię przysłała, prawda? - Głos Huntera unosił się i opadał w dziwnej modulacji, podkreślając niewłaściwe słowa tak, że walczyły z zawartym w nich sensem. - Nie może mi już pomóc. Wy... po prostu idźcie. Odejdźcie stąd. I powtórz jej... powtórz, żeby o nim zapomniała. Nie prosił nikogo z was, żebyście się angażowali - zawahał się, mrugając bardzo szybko - w moje życie, w to co się ze mną dzieje. Przeciwnie, zabraniam wam. Nie macie prawa.

Strażnicy podeszli czujnie bliżej, dostrzegłszy zmianę w tonie głosu Huntera. On jednak nawet nie drgnął. Wyglądał jakby prócz gniewu trawił go ból.

- Przykro mi z powodu Jan - oznajmił i lekkie załamanie jego głosu, gdy wymówił to imię, jasno dowodziło, że mówił szczerze. - Naprawdę bardzo przykro. Wiem... jak bardzo będzie za mną tęsknić. Ale on nie wróci. Nie po tym, co się stało. Nic już nie mogę poradzić. Nie mogę nawet zrobić inskrypcji. Powinna sobie znaleźć kogoś innego. Musi.

Słowo inskrypcja sprawiło, że zerwałem się z miejsca, ale Hunter znów się odezwał nim zdążyłem cokolwiek rzec. Kopnął piętą krzesło, mięśnie jego szerokiego karku napięły się, gdy zazgrzytał zębami.

- On nie wróci - powtórzył. - Załatwię to bez pomocy i na swój własny sposób. Nie próbujcie mnie ratować. Ona zabiła człowieka. Nie zasługuje na ratunek i go nie chce.

Otworzyłem usta, żeby coś powiedzieć, lecz Juliet wstała bardzo szybko, okrążyła stół i podeszła do Huntera, tak że jej twarz znalazła się zaledwie o centymetr od jego. Patrzyli sobie w oczy w niemej próbie sił. Na moment zamarł, potem wstrząsnął nim dreszcz. Widziałem wszystko dokładnie z dołu, toteż dostrzegłem jak zaciska pięść. Strażnicy także to zauważyli i zareagowali jednocześnie. Ja jednak byłem bliżej, więc dopadłem go pierwszy. Złapałem pięść oburącz w chwili gdy uniosła się w tył i wykorzystałem siłę rozpędu, by wybić Huntera z równowagi, tak że zachwiał się i musiał przenieść ciężar ciała naprzód, by nie upaść. Próbował wyrwać mi rękę, ale zdołał jedynie podnieść mnie na równe nogi. Jak najdłużej utrzymywałem oburęczny uścisk, a potem strażnicy złapali Huntera za ramiona i przedramiona i odciągnęli poza mój zasięg. Nawet wtedy przeszedłem za nimi parę kroków, puszczając w ostatniej chwili, kiedy tamci na wpół wypchnęli, na wpół wynieśli go z pokoju.

- Zostaw mnie! - krzyknął do mnie. - Nie zbliżaj się! Więcej już tego

nie zrobię! Mam dosyć! Pozwól mi odejść! Pozwól...

Drzwi trzasnęły nieubłaganie, zagłuszając resztę słów.

Usiadłem znowu, bardzo gwałtownie. Czulem się jak marionetka, której ktoś przeciął sznurki. Juliet patrzyła na mnie z lekkim zaciekawieniem.

- Poczuleś to - rzekła.

To nie było pytanie. Przytaknąłem. Kiedy jednak otworzyła usta, by znów przemówić, uniosłem rękę.

- Na zewnątrz - powiedziałem. - Nie tutaj.

Tak naprawdę nie chciałem oblekać tego w słowa. Nie chciałem jeszcze na to patrzeć, choć, siedząc tam i dopijając zimną kawę, zrozumiałem, że nie będę mógł odwrócić wzroku. Juliet czekała w milczeniu, nie próbując ukrywać zniecierpliwienia.

Strażnik - jeden z dwóch, którzy przyszedli z Hunterem - zjawił się w końcu i wypuścił nas drzwiami dla gości.

- Wszystko z nim w porządku? - spytałem.

- Nie do końca, proszę pana - wysapał strażnik. - Ale już się trochę uspokoił. Niedługo przyjdzie doktor Maxwell i da mu kolejny zastrzyk.

Tak, pomyślałem. Założę się.

Przebyliśmy krętą drogę, pokonując drzwi, bramki i przejścia, odebraliśmy nasze rzeczy przy frontowej ladzie i uciekliśmy na szeroki, wielki świat, gdzie okowy są jedynie przenośnią i łatwiej sobie z nimi radzić.

- Co teraz zrobisz? - spytała Juliet, kiedy szliśmy w stronę stacji metra w lodowatej, mrożącej duszę mżawce.

- Nie wiem. Jeśli Hunter traci rozum, znaczna część sprawy staje się

akademicka. Nawet gdyby udało mu się uniknąć wyroku za morderstwo, trafi do bezpiecznego szpitala psychiatrycznego i nie wyjdzie stamtąd bardzo długo.

- Ale czy naprawdę traci rozum? - naciskała Juliet.

- Mówię tylko o tym, co pomyśli ława przysięgłych - rzekłem. - Nikt, kto go usłyszy, nie uwierzy, że ma wszystko po kolei.

Juliet zatrzymała się, ja też musiałem przystanąć. Patrzyliśmy na siebie i nie cieszyło mnie to tak jak zazwyczaj.

- No dobrze - przyznałem. Czuję się dziwnie oderwany, jakby ktoś inny wymawiał te słowa. - Kale jest tam z nim. On jest opętany.

Juliet szybko pokiwała głową.

- Choć oboje wiemy, że to niemożliwe - dodałem, czując potrzebę choćby nominalnego wystąpienia w obronie zdrowego rozsądku.

- Dla takich jak ja to możliwe. Dla takich jak ja to łatwe.

- Owszem, ale nie dla ludzkich duchów - przypomniałem. - Wiesz, czym są *loup-garous*, Juliet, i czemu są tacy. A także zombie. Gdyby ludzkie duchy umiały opętać żywe ciała, nie trzymałyby się własnych zwłok albo nie eksmitowały dotychczasowych lokatorów z ciał zwierzęcej hałasty. Demon walczący z ludzką duszą to jedno, ale dusza z duszą - to zupełnie inna sprawa i zawsze wygrywa ten, kto gra na własnym boisku. Nie znam ani jednego potwierdzonego przypadku czegoś... takiego. Martwej duszy wypędzającej żywą. Juliet przelała w swoje słowa wielką dawkę sarkazmu.

- Przykro mi, Castor, ty tu jesteś ekspertem. Ale sam powiedziałeś, że sytuacja jest bardziej skomplikowana. Ona go nie wypędziła, jedynie zamieszkała razem z nim. Jak mówiłeś, dzielą się tym ciałem. Czasami

mówił jako Hunter, czasami jako Kale. Zapewne bez wielkiego wysiłku zdołałbyś ją wyrzucić.

Ta lekka, brutalna uwaga kompletnie mnie zaskoczyła.

- Miałbym ją egzorcyzmować? Jasne, mógłbym to zrobić. Ale musiałbym zbliżyć się do Huntera i zostać tam całkiem długo, dopóki nie wyczułbym Kale dość dobrze, by ją przepędzić. Nie pozwoliłby mi na to, prawda?

- Albo ona by nie pozwoliła.

Skrzywiłem się i ruszyłem naprzód. Juliet porusza się zupełnie bezdźwięcznie, chyba że zechce inaczej, toteż musiałem zerkać kątem oka, by się upewnić, że nadal mi towarzyszy.

Jakiś czas szliśmy w milczeniu, a potem odbiłem do niej jej własne pytanie.

- A co ty zamierzasz zrobić? Bo chyba nic nie musisz. Wskazałaś Huntera Gary'emu Coldwoodowi i teraz wiemy oboje, że Hunter faktycznie to zrobił. A przynajmniej ciało Huntera. A jeśli Kale wciąż w nim mieszka, to wskazałaś właściwego faceta. Kobieta. Nieważne.

I nagle znów zaczęło dręczyć mnie coś, co na moment przyszło mi do głowy, kiedy słuchałem Huntera. Co się stało z zaginionym młotkiem? Moja hipoteza, że ktoś go zabrał, by chronić prawdziwego zabójcę, wyglądała kiepsko, skoro prawdziwym zabójcą był człowiek, na którego wskazywała reszta dowodów. Równie dobrze można by ukraść poduszkę z łóżka albo ręcznik z łazienki. Chyba że...

- Uważam, że powinniśmy dowiedzieć się więcej - oznajmiła otwarcie Juliet, przeplaszając kryjącą mi się w głowie myśl.

- O Hunterze? - spytałem ostro. - Czy o Kale?

- Zapewne o obojgu. Coldwood zatrudnił mnie, żebym mu powiedziała, co się stało w pokoju numer siedemnaście hotelu Paragon. Zdawało mi się, że to zrobiłam, ale teraz muszę tam wrócić i powiedzieć, że się myliłam. Że oprócz żywego mordercy zgarnął też martwego. Kiedy to zrobię, chcę móc odpowiedzieć na wszelkie pytania, jakie mi zada.

- I to wszystko?

Z emfazą pokręciła głową.

- Nie, nie wszystko. Duchów nie łapie się tak jak kataru, Castor. Jeśli Kale tkwi wewnątrz Huntera, istnieje wyjaśnienie, jak się tam dostała i powinniśmy je poznać. Musimy je poznać. Ponieważ to zmienia zasady gry dla nas wszystkich. Wszystkich duchołapów. Każdego, kto zarabia na życie, krępując martwych i nieumarłych.

Ulżyło mi, że Juliet chce mi pomagać, bo nie mogłem jeszcze się poddać. Poza wszystkim innym, oznaczałoby to, że musiałbym oglądać się przez ramię za każdym razem, kiedy wsiadałbym do pieprzonej windy. Poza tym Hunter - czy też stwór przemawiający ustami Huntera - użył tego słowa. Inskrypcja. To samo słowo pojawiło się na kartce z notatnika, ukrytej w zegarku kieszonkowym Johna Gittingsa. A także, co pewnie mniej znaczące, w moim śnie.

- Możemy odtworzyć ruchy Huntera - zaproponowałem. - Sprawdzić, czy uda nam się ustalić, gdzie i kiedy zdobył pasażerkę.

- Rozmawiając z jego żoną?

- Na początek, owszem. I jest jeszcze coś, czego możemy spróbować. Coś nieco bardziej radykalnego, ale wymaga czasu do przygotowania.

- Mów dalej.

- Możemy wywołać ducha Myriam Kale.

Juliet spojrzała na mnie i roześmiała się - płynnie, melodyjnie.

- Wywołać? Nie uważasz, że sama mogła zejść nieco dalej?

- Mam na myśli przyciągnięcie, zamiast odepchnięcia - warknąłem.

Chłodne rozbawienie Juliet uraziło mnie zapewne mocniej niż zamierzała.

- To inna droga wiodąca do tego samego celu. Jeśli znajdziemy coś, co należało do niej za życia - coś, z czym łączyła ją dostatecznie silna więź - nie będzie potrzeby zbliżania się do Huntera. Będziemy mogli wezwać ją z daleka. Wywabić z niego i kazać przyjść do nas. Dwie pieczenie przy jednym ogniu: uwalniamy Huntera i zyskujemy szansę poznania całej historii z ust samej Kale.

- To niewątpliwy powrót do źródła - zauważyła cierpko Juliet. - Podoba mi się. Ale pozostaje jeszcze oczywiste pytanie: myślisz, że dasz radę zdobyć coś, co kiedyś do niej należało?

W rozmowie z Juliet można bezkarnie używać sztampy i banału, bo większość owych banałów w dziewiątym kręgu piekła nie jest aż tak banalna.

- Nie - przyznałem nonszalancko. - Ale znam kogoś, kto da.

Zgodziłem się spotkać z Nickym Heathem w St. James's Parku - to był jego pomysł i biorąc pod uwagę autora, wyglądał bardzo dziwnie.

Nicky mieszka w opuszczonym budynku kina w Walthamstow i stara się jak może unikać słonecznego światła. Nie boi się go, ale zaciekle pilnuje temperatury ciała, starając się utrzymać jak najniższą. To oznacza siedzenie w ciemności kiedy tylko można, używanie ekologicznych żarówek, bo wydzielają mniej ciepła niż zwyczajne, spędzanie części każdego dnia w wielkiej zamrażarce ze spuszczonego wiekiem i nie

zbliżanie się do nikogo, kto żyje i oddycha.

Dla Nicky'ego śmierć to styl życia.

Kiedy spotkałem go po raz pierwszy, był znakomitym analitykiem danych i sprzedawał tajną historię przyszłości zachłannym prezesom korporacji, którzy nie mogli wyjść z podziwu dla jego zdolności przewidywania cen akcji wyłącznie na podstawie przepływu informacji na cyfrowych giełdach. Był też aroganckim sukinsynem i dla czystej rozrywki potwornie wkurzał ludzi, przy każdej okazji bezsensownie popisując się swoją fachowością. Po tym jak przyjaciel przedstawił nas sobie na imprezie, parę razy skorzystałem z jego usług do zdobycia informacji, których oficjalnie nie miałem prawa poznać: nie mogłem mu zapłacić nawet jednej dziesiątej tego, ile był wart, ale i tak to dla mnie robił, bo stanowiło przyjemną odmianę od jego codziennej pracy.

Zmarł młodo na atak serca, co nikogo nie zaskoczyło.

A potem wrócił, co zaskoczyło wielu.

W owym czasie po świecie krążyło już sporo zombie, toteż nie sam fakt, że Nicky wykopał się z grobu, zdumiewał najbardziej, lecz to, jak zręcznie poradził sobie z zaistniałą sytuacją.

Zmarli, mimo niekończących się debat parlamentarnych i kilku osieroconych projektów ustaw, wciąż nie mają żadnych praw. Teoretycznie, żyjący brat i siostra Nicky'ego mogli zgarnąć wszystkie jego doczesne dobra i zostawić go stygnącego w rynsztoku. Tyle że tego nie zrobili, bo tak znakomicie ukrył swoje pieniądze, że prócz paru tysięcy na rachunku bieżącym, żaden prawnik nigdy nie zdołał odnaleźć choćby pensa. A podczas gdy próbowali, Nicky ustanawiał gąszcz ślepych funduszy powierniczych i firm w rajach podatkowych, dający mu pełną

kontrolę nad tym, co się stanie z pieniędzmi, nie przekazując przy tym żadnych niezbędnych praw własności.

A potem zaprzął do działania swój umysł zdobywcy faktów, zajmując się tylko jedną kwestią: przetrwaniem. Zombie mają sporą przewagę nad duchami: cielesna powłoka umożliwia im interakcje ze światem niemal identyczne, jak za życia. Wciąż czują smak, zapach i tak dalej. Natomiast wada jest taka, że ciało, z którym są związani, to w gruncie rzeczy kawał gnijącego mięsa. Stawiają żagle na tonącym statku i większość czeka jedynie krótka podróż - choć zapewne to raczej siła woli, niż impulsy nerwowe, porusza ich nerwami, rozkład i gnicie stopniowo sprowadzają ciało do stanu, w którym dosłownie zaczyna się rozpadać. Zamieszkujący je duch może nadal trzymać się kurczowo coraz bardziej cuchnącego truchła, albo też porzucić nierówną walkę i samotnie wyruszyć w dalszą drogę. Tak czy inaczej, na tym etapie statek tkwi już na mieliźnie: nie da się poruszać nogami, które rozpadły się w stawach, ani patrzeć przez oczy, które zamknęły się niczym martwe kwiaty.

Nicky'emu niezwykle zależało, by nie osiągnąć tego etapu, i szybko uświadomił sobie, że sekretem długotrwałego przetrwania jest dowiedzenie się jak najwięcej na temat własnej mechaniki wewnętrznej. Zgromadził zatem stertę podręczników biologii i przerobił fragmenty traktujące o anatomii człowieka, uzupełniając swą wiedzę pytaniami zadawanymi na forach medycznych i niemiłosiernie długimi rozmowami z prawdziwymi lekarzami - najczęściej nieżyjącymi.

Wkrótce stał się ekspertem w dziedzinie wszelkich odmian rozkładu - suchego, wilgotnego, masłowego. A potem wyruszył z nimi na wojnę, z determinacją, której za życia nigdy nie doświadczył. Przestał jeść i pić,

rezygnując z rozrywki uprawianej przez wiele zombie, z powodów nostalgii i emocjonalnej tęsknoty - po śmierci układ trawienny nie rozkłada już pożywienia, które jedynie gnije w brzuchu, tworząc kolejny czynnik infekcji. Zamiast tego zaczął zażywać - głównie wstrzykiwać - całą gamę gwałtownych trucizn. Zamarynował swoje ciało: nie w formalinie, lecz w składnikach środków do balsamowania, które przygotowywał sam z przepisów znalezionych w Internecie. Nasącał swe komórki tak mocnym koktajlem związków nieorganicznych, że w pewnym momencie zaczął się pocić trucizną, zabijającą samym dotykiem.

Wiedziałem, że kryje się w tym coś jeszcze. Nicky nawiązał ściśle kontakty z Imeldą Probert, znaną ogólnie pod ksywką Lodownia - uzdrowicielką oferującą swe usługi żywym trupom - i odwiedza ją parę razy w miesiącu, dokonując przeglądów mistyczno-religijnych. Opanował techniki medytacji i twierdzi, że potrafi odwiedzać różne części swego ciała na poziomie komórkowym, naprawiając zastane uszkodzenia cementem niezłomnej wiary w swe zdolności. No i, jak już wspominałem, nie wychodzi na słońce, żeby nie zaśmiardnąć.

Dziś jednak siedział pod gołym niebem na ławce w parku, po stronie Pall Mall. Ręce rozłożył szeroko na oparciu, skrzyżowane nogi wyciągnął przed siebie odprężony. No dobrze, niebo zasnuwała gruba warstwa chmur i wiał mroźny wiatr, ale mimo to widok Nicky'ego w blasku dnia naprawdę mną wstrząsnął.

Usiadłem obok niego na skraju ławki, bo nawet się nie ruszył, żeby zrobić mi miejsce. Jego spojrzenie umknęło w bok, ku mnie, potem jednak powróciło ku bezlistnym gałęziom i widocznym między nimi ciemnoszarym ciężarnym chmurom. Miał na sobie czarne dżinsy i

jaskrawą czerwoną koszulkę. Strój ten jeszcze bardziej podkreślał jego niezwykłą bladość i pewnie właśnie o to chodziło. Zważywszy na porę roku i nieprzyjemną pogodę, podkreślał także fakt, iż Nicky nie ma układu krążenia.

Odchyliłem głowę, podążając za jego wzrokiem. Nie było czego oglądać, jedynie czarną koronkę gałęzi na tle nieba - żebra potwora czekającego na dzień odrodzenia.

- Czyż nie cudownie być synem Matki Natury? - zauważyłem.

Nicky prychnął sucho. Oczywiście wszystko robi sucho, bo w jego ciele nie krążą już płyny.

- Castor - mruknął - jedynym synem w okolicy jesteś ty. Nie próbuj luźnych gadek i mnie nie wkurzaj, bo nie jestem w nastroju.

- Dobra, nie będę. Nie zamierzam psuć ci nastroju, Nicky.

- To co, chcesz czegoś czy nie? Nie przyjechałem aż tutaj po to, by słuchać zwykłych bzdetów.

- Proponowałem, że przyjadę do ciebie - przypomniałem. - Sprawdziłeś mnie, przebiłeś, a ja spasowałem. I muszę przyznać, że to zupełnie nowy ty.

Spojrzał na mnie ponownie, tym razem sekundę czy dwie dłużej i wzruszył ramionami, odwracając głowę.

- Przeprowadzam u siebie drobny remont - oznajmił z prostotą.

Miał w ten sposób zamiar mnie uciszyć i udało mu się. Od dnia swojej śmierci Nicky zamieszkał w opuszczonym kinie w Walthamstow: całkiem niedawno zostało zniszczone przez bandę szalonych amerykańskich satanistów, którzy dowiedzieli się o istnieniu Nicky'ego poprzez jego kontakty ze mną. Udało mu się wyciągnąć mnóstwo kasy od

firmy ubezpieczeniowej i poinformował mnie, że ma w związku z tym wielkie plany, ale nie dał się przyszpilić co do szczegółów.

Całe to wydarzenie odmieniło go subtelnie - czy może nawet nie tak subtelnie. Powoli zmieniał się w stworzenie, którego dom stanowi część ciała, jak ślimak albo żółw: teraz jednak najwyraźniej rozpoczął nową fazę życia po życiu.

Aby zmienić temat - i przejść do rzeczy - wręczyłem mu klucz i „A do Z”, które nosiłem przy sobie cały dzień. Klucz schował bez słowa. Nie musiał pytać, by wiedzieć, że chciałbym dopasować go do serii i jeśli się da, określić położenie zamka. Całą uwagę skupił na książce. Obrócił ją w rękach, jakby sprawdzał, czy nie ma robaków, a potem otworzył na pierwszej stronie i zaczął przebiegać wzrokiem spis nazwisk na wyklejce.

- Należały do Johna Gittingsa - oświadczyłem. - Jesteś w środkowej kolumnie. Masz jakiś pomysł dlaczego?

Nicky z wyraźnym znudzeniem odczytywał nazwiska.

- Git-John był jednym z moich stałych klientów - oświadczył.

- Szukałeś dla niego danych?

- Od czasu do czasu.

- Ostatnio?

- Nie.

- Ale widziałeś go niedawno?

- Za kogo ty się masz, Castor, za mojego spowiednika? Tak, widziałem się z nim.

- Służbowo?

- Tak. I nim zapytasz, nie, nie powiem ci, o co chodziło. To jego sprawa, a teraz moja. Wpadłbyś w szal, gdybyś usłyszał, że rozpowiadam

o twoich biznesach na prawo i lewo każdemu, kto pomacha mi pod nosem pięćdziesiątką.

Pokiwałem głową. Racja, miał mnie.

- Dobra - mruknąłem. - Szanuję twój kodeks zawodowy. Ale mógłbyś przejrzeć resztę tych zapisków i sprawdzić, czy mają jakikolwiek sens? Ostatnie kilka tygodni przed śmiercią John spisywał te nazwiska i miejsca wiele razy, więc musiały coś dla niego znaczyć. A może tkwi w tym jakiś szyfr, którego nie zauważyłem. Tak czy inaczej, będę wdzięczny za twoją opinię.

Nicky przeskoczył na tył planu i przyjrzał się tamtejszemu spisowi. Ostatnie słowo SMASHNA patrzyło na nas ze środka gniazda zawijasów.

- Smashna - powiedziałem na głos. Nie brzmiało to jak prawdziwe słowo. Może jakiś skrót.

- To po rosyjsku - wyjaśnił Nicky. - Rosyjski slang. Znaczą: świetnie, super, wspaniale.

Zamknął książkę i pochylił się lekko ku mnie, tak by móc schować ją do kieszeni dżinsów. Nozdrza wypełnił mi ostry zapach wody po goleniu połączony z jeszcze ostrzejszą, lecz słabszą wonią chemiczną, której nie potrafiłbym określić, nawet gdybym tego chciał.

- Jak zamierzałeś mi to wynagrodzić?

- Na razie pozostawmy kwestię otwartą - odparowałem - bo potrzebuję czegoś jeszcze. To duża sprawa.

- Tak? - Lekki ton Nicky'ego sugerował, że na całym świecie nie ma zbyt wielu zadań, które byłyby dla niego zbyt wielkie. - Co takiego?

- Zastanawiałem się, czy zdołasz mi coś zorganizować - oświadczyłem. - Coś z rodzaju rzeczy, które rzadko zmieniają właściciela.

- Mów dalej.

- Pamiątkę.

- Związaną z...?

- Kimś z kręgów gangsterskich. Ten ktoś już nie żyje. Od bardzo dawna.

Głowa Nicky'ego obróciła się błyskawicznie i kilka chwil wpatrywał się we mnie w martwej, zdumionej ciszy. Jego reakcja wydała mi się dość przesadzona: no dobra, może zabrzmiało to nieco obleśnie, ale znałem go dość długo, by wiedzieć, że nie miał żadnych oporów moralnych. Coś jednak poruszyło nim tak bardzo, że nie zdołał tego ukryć.

- Zdawało mi się, że umówiliśmy się na koniec z pierdołami, Castor - powiedział nieprzeniknionym tonem.

- Uważasz, że to pierdoły, Nicky?

- A nie? Dajesz mi książkę Gittingsa, próbujesz wyciągnąć ze mnie, co dla niego robiłem, a teraz... - Zawahał się i wzruszył ramionami, jakbym sam miał połączyć wszystkie elementy.

- Tu nie chodzi o Johna. To zupełnie inna sprawa.

Wyciągnąłem ku niemu rękę dłonią do góry, w geście otuchy, ale go nie dotknąłem. Nienawidzi, kiedy dotykają go żywi, bo ich skóra to fabryka zarazków, w której taśmy montażowe pracują bez chwili przerwy. A że nie znosi zadawać się z innymi zombie z przyczyn estetycznych, już od dawna nikt nie naruszył jego przestrzeni osobistej.

- Wyluzuj, Nicky. Przysięgam, nie próbuję cię zmusić do złamania etyki zawodowej, choć aż do dziś nie wiedziałem, że jakkolwiek masz.

Nie odpowiedział, ale nadal gapił się na mnie jak ryba, toteż podjąłem bez chwili przerwy:

- Możliwe zresztą, że i tak nie zdołasz mi pomóc. W latach sześćdziesiątych wśród gangsterów działała niejaka Myriam Seaforth Kale. Nie wiem, czy kiedykolwiek o niej słyszałeś. Zabiła z tuzin ludzi, samych facetów, a potem FBI otoczyło hotel, żeby ją złapać i posłać na krzesło.

- Amerykańskich gangsterów. - Nicky podkreślił pierwsze słowo.

- Tak. Przepraszam, zdawało mi się, że wspominałem. W każdym razie wiesz, jak to działa, pewnie lepiej ode mnie. Zawsze istniał rynek na pamiątki po sławach. I wygląda jak góra lodowa - drobny fragment nad powierzchnią, cała reszta pod.

- Jasne. - Nicky sprawiał wrażenie uspokojonego.

Cokolwiek tak nim poruszyło, to albo już się otrząsnął, albo też zostawił sobie na później. Nadal nie miałem pojęcia, co tak bardzo go ukłuło, ale uznałem, że na razie lepiej będzie nie pytać.

- To co? - zakończyłem, osłaniając oczy, bo zza chmur nagle wyszło słońce. - Myślisz, że zdołasz coś dla mnie znaleźć?

Parę razy pokiwał głową, nie w odpowiedzi na pytanie, lecz uznając, że to ciekawe wyzwanie.

- Zabawne - rzekł, znów zerkając na mnie spod zmrużonych powiek, jakby ostrzegał przed złośliwymi komentarzami. - Ale mam pewne kontakty w tych kręgach.

- Powaga?

- Powaga. - Nicky przesunął się na ławce, opuszczając płamę słońca. Może i polubił światło dnia, ale najwyraźniej podchodził bardzo selektywnie do jego źródła. - Niczego nie mogę obiecać, bo takie rzeczy rzadko trafiają na rynek, a kiedy trafiają, osiągają zawrotne ceny. Popyt i

poaż. Na świecie żyje cała kupa zboków, a martwych seryjnych morderców nie ma aż tak wielu. Możesz nie zechcieć zapłacić żądanej ceny.

- Tak - zgodziłem się. - Dlatego właśnie zaproponowałem, żebyśmy na razie pozostawili kwestię zapłaty otwartą. Chcemy dostać tę rzecz na najwyżej dzień. Może moglibyśmy ją wynająć?

- Albo kupić i znów sprzedać - zastanawiał się głośno Nicky. Najwyraźniej perspektywa wydała mu się obiecująca: dwie szybkie transakcje, podwójne honorarium. - Tak, może. A przy okazji, co to za my i po co wam ten bibelocik?

Wstałem.

- Zadzwoń do mnie, jeśli coś wynajdziesz - poprosiłem. - Albo jeśli połapiesz się, co, do kurwy nędzy, znaczą te bazgroły. Im szybciej, tym lepiej, Nicky. W obu sprawach mam nóż na gardle.

- Takie życie - zauważył Nicky.

W ustach umarlaka te słowa oznaczają, że to nie jego problem.

Czasami zbieżność bywa naszym przyjacielem. Wszystko zlewa się razem i coś, czego szukamy, nagle znajduje się w pierwszym miejscu, na które natrafią nasze chciwe palce. Choć zwykle uskarżam się na mojego pecha, nawet mnie przytrafiają się podobne chwile. Ale ten dzień na taki nie wyglądał.

O dwunastej byłem umówiony w „Reflections Cafe”, która, sądząc po kodzie pocztowym, mieściła się gdzieś w okolicy dworca Victoria. Nie miałem pojęcia, z kim się tam spotkam i czy ów ktoś rzuci jakiegokolwiek światło na dziwne notatki Johna Gittingsa, ale wolałem się nie spóźnić. Tymczasem jednak zostało mi trochę wolnego czasu. Ruszyłem zatem spacerkiem na Trafalgar Square, z czystej radości życia mojej i polujących na gołębie sokołów. Po drodze zadzwoniłem do Jan Hunter, by opowiedzieć o spotkaniu z Dougiem. Nie próbowałem wyjaśniać roli Juliet, powiedziałem jedynie, że zabrałem ze sobą koleżankę, by uzyskać drugą opinię. Nie wspominałem też o Kale, nie z początku - bałem się dać Jan choćby cień nadziei, bo byłem niemal pewien, że cokolwiek znajdę, nadal nie uchroni Douga przed oskarżeniem o morderstwo. Zamiast zatem oznajmić, że jej mąż ma w sobie pasażerkę, spytałem, czemu nie wspomniała o diagnozie lekarza więziennego, że Doug cierpi na psychozę. Na moment w słuchawce zapadła cisza.

- Początki psychozy - poprawiła w końcu Jan. - Nie w pełni rozwiniętą chorobę. - Wyraźnie się broniła, lecz za nic nie przeproszała. -

Pomyślałam po prostu, że gdybym powiedziała, że Doug traci rozum, mógłby pan nie zgodzić się mi pomóc. A poza tym to nie ma znaczenia - nie dla sprawy. Wszystko zaczęło się dopiero po aresztowaniu. Chodziło o to miejsce. I stres związany ze wszystkim, co się stało. Wcześniej był całkiem zdrów.

- Zdawało mi się, że wspominałaś, że stawał się coraz odleglejszy i trudniejszy do rozszyfrowania - przypominałem. - I że zniknął na tydzień, nawet nie dzwoniąc.

- Ale nadal był sobą. - W jej głosie słyszałem zapowiedź płaczu. - Przynajmniej przez większość czasu. A kiedy nie był sobą, wciąż nie sprawiał wrażenia szaleńca. Po prostu... jakby chciał się znaleźć gdzie indziej. Nie wierzę, że tydzień wystarczył, by zamienić go w mordercę. Nie wierzę, żeby wystarczyło całe życie!

- Może i nie - przyznałem. - Tak czy inaczej, uważam, że doktor Maxwell się myli. Cokolwiek spotkało Douga, wątpię, by to była choroba psychiczna.

- Naprawdę? - Pośród łez zalśniły nadzieja i ulga, niczym błyszcząca krawędź pięćdziesięciopensówki w mulistej, brudnej wodzie ścieku. Kurwa. Powinienem uważać co mówię. - A zatem co to? Co się z nim dzieje?

- Nie jestem pewien - kręciłem. - I, Jan, przykro mi to mówić, ale to może niczego nie zmienić w jego sprawie. Przynajmniej w kwestii wyroku sądu. Kryje się w tym jednak znacznie więcej, niż zdołała dostrzec policja, i bez względu na to, czy to pomoże, czy nie, znajdę odpowiedzi. Mamy okienko, potrwa pewnie co najmniej kilka tygodni, może więcej. Z tego co mówił Gary - detektyw sierżant Coldwood - nie wyznaczono jeszcze daty

procesu. Policjanci wciąż szukają narzędzia zbrodni i nie idzie im zbyt dobrze, toteż nikt nie nalega na szybką rozprawę. Jeśli znajdę coś namacalnego... - Słowo to zabrzmiało nieco osobliwie wobec mych niewyraźnych, zwiewnych podejrzeń. - Jeśli cokolwiek się pojawi - dokończyłem niezgrabnie - przekażę ci to, a ty sama ustalisz, co z tym zrobić.

- Uważa pan zatem, że Doug jest niewinny, panie Castor?

Skrzywiłem się. Wolałbym w tym momencie nie opowiadać się jednoznacznie, bo, prawdę mówiąc, nie miałem bladego pojęcia.

- Wierzę, że Myriam Kale była w tym pokoju hotelowym - oświadczyłem. - Ale niezmiernie pragnąłbym się dowiedzieć jak i dlaczego, a przynajmniej zorientować się...

- Dlaczego nie jest ważne - przerwała mi z wyraźnym gniewem Jan. - Już za życia zabiła dziesiątki mężczyzn. Nie wiadomo dokładnie ilu. I nadal to robi. Nie potrzebujemy też wiedzieć, jak się tam dostała. Jeśli jest duchem, może dotrzeć gdzie zechce. Nie musi stukać do drzwi, jeździć pociągiem, taksówką, latać samolotem. Może przenikać ściany i zniknąć nim przybędzie policja. Nawet kamery jej nie zarejestrują.

- I diablo ciężko byłoby jej uderzyć kogoś młotkiem.

Nagła cisza po drugiej stronie. Czekałem, aż Jan zada oczywiste pytanie, na które musiałbym udzielić oczywistej odpowiedzi. Dusza twojego męża uciekła z inną kobietą... Tymczasem mój wzrok wędrował po placu, zupełnie jakbym podświadomie szukał drogi ucieczki od tej rozmowy. Japoński turysta, parę kroków dalej, rozwijał mapę Londynu tak wielką, że jej brzeg upadł na ziemię. Wielki, bezdomny kot, czarny z brudnobiałymi plamami na grzbiecie, obserwował gołębie przefruwające z

jednego konnego pomnika na drugi. Jego ogon zataczał ciasne łuki, niczym przecięty kabel wysokiego napięcia, z którego wylewa się tysiąc voltów. Studentka sztuki, albo może jedynie hobbystka, szkicowała pastelami Karola I. Siedziała ze skrzyżowanymi nogami na kamieniach, a obok niej stała butelka piwa „Red Stripe”.

Lecz Jan jakby ujrzała otchłań otwierającą się przed nią i instynktownie skręciła.

- Nic z tego nie rozumiem - powiedziała. - Cokolwiek pan znajdzie, panie Castor... Cokolwiek mi pan powie...

Mogłem skorzystać z tego zaproszenia, lecz ja także skręciłem jak tchórz. Z zaśmieczonego biurka mej pamięci wyciągnąłem pytanie i pomachałem nim jak Chamberlain słynnym autografem Adolfa Hitlera.

- Doug wspominał, że skręcił nogę w kostce. Czy to się zdarzyło naprawdę?

- Tak. - W głosie Jan zabrzmiało zdumienie. - Kilka miesięcy temu. Schodził z drabiny i ześliznęła mu się noga. Potwornie go bolało. Debile kierujący budową nie mieli nawet apteczki, a to znaczyło, że nie pozwolą wezwać karetki, bo wtedy ktoś mógłby się zorientować, że nie przestrzegają przepisów. Doug musiał pokuśtykać za róg - dwóch kumpli niosło go większą część drogi - żeby zadzwonić skądinąd i nie narobić im kłopotów. Pieprzeni kowboje. Zawsze pracował dla pieprzonych kowbojów!

Zerknąłem na zegarek. Było wpół do dwunastej, naprawdę musiałem już ruszać. Powiedziałem Jan bardzo szybko, co zamierzamy z Juliet, i dodałem, że poinformuję o ewentualnych wynikach. Potem rozłączyłem się i zszedłem pod ziemię.

Okazało się, że bar „Reflections Cafe” mieści się przy Wilton Road, dokładnie naprzeciwko głównego wejścia dworca Victoria i z jego okien rozciąga się wspaniały widok na dworzec autobusowy.

Nazwa zapowiadała coś eklektycznego i kosmopolitycznego. W istocie ujrzałem wąskie, szklane akwarium wysunięte na chodnik i zawierające w sobie ekspres do kawy, lodówkę pełną piwa „Carling Black Label”, ladę i sześć krzeseł. Nastolatka w mundurku pokojówki, wyglądającym jak zamówiony ze sklepu dla fetyszystów, z uśmiechem przyjęła moje zamówienie na podwójne espresso i usiadłem. Oprócz przysadzistego, łysiejącego faceta w kiepskim brązowym garniturze była jedyną żywą istotą w barze. Zlany potem facet pochylał się nad sudoku z „Timesa”, zupełnie jakby było ono ekscytującą, zakazaną rozrywką.

Usiadłem w polu jego widzenia, ale nie zareagował, jakby w ogóle mnie nie widział. Było pięć po dwunastej, istniała zatem możliwość, że mój człowiek zjawił się już i odszedł. Kiedy dostałem kawę, a jego wciąż nie było, wydało mi się to jeszcze bardziej prawdopodobne. Pociągnąwszy łyk letniego płynu, wyjrzałem przez okno na przystanek po drugiej stronie, z roztargnieniem oglądając twarze osób czekających na siedemdziesiątkę trójkę. Nikt z nich nawet nie zerknął w stronę baru, nikt nie wyglądał, jakby próbował zebrać się na odwagę, żeby wejść do środka.

Kelnerkę całkowicie pochłonęło misterium czyszczenia tacy ekspresu. Łysy nadal rozwiązywał sudoku. Nikt nawet nie próbował nawiązywać ze mną kontaktu. Mogłem spokojnie postawić krzyżyk na tym spotkaniu, ale uznałem, że najpierw dokończę kawę.

I, popijając powoli, znów przebiegłem wzrokiem po twarzach ludzi

na przystanku. Większość była nowa, lecz jeden facet stał tam cały czas, choć zdążyło już przyjechać kilka autobusów. Chudzielec, na oko przed trzydziestką, w podkoszulku z LL Cool J, czarnej kurtce i dżinsach. Jego nos miał kształt i rozmiar steru, w zestawieniu z nim reszta twarzy wyglądała jak ułożona wokół w nieco zbyt wąskiej przestrzeni. Miał żółtawą, niezdrową cerę, a z jego uszu zwisały kable słuchawek. Pokryta ciasnymi lokami głowa kołysała się łagodnie w tempie na cztery, gdy tak chłonał wibracje tego, co akurat odtwarzał na iPodzie. Nadal na mnie nie patrzył - a może patrzył, ale tego nie zauważyłem.

W zwykłym miejscu. Może wysnułem wnioski zbyt pochopnie? Może świętej pamięci John Gittings znów okazał się lepszym paranoikiem. Zostaw pudełko zapalek i numer telefonu, ale nie łącz wszystkich elementów, bo wówczas inni dostrzegą kształt tego, co chcesz narysować. Może zwykłe miejsce to miejsce, z którego widać „Reflections”?

Dokończyłem kawę, zapłaciłem przy ladzie i wyszedłem na ulicę. W tym samym momencie facet na przystanku ruszył naprzód; z tego co widziałem, wciąż nie patrzył na mnie. Podążyłem za nim średnio szybkim krokiem, przecinając ulicę, podczas gdy on maszerował na południe w stronę Bridge Place.

Teraz znajdowaliśmy się w labiryncie podjazdów autobusowych i słupków przed dworcem Victoria. Myślałem już, że skręci w prawo i wejdzie do środka, ale nie, nie oglądał się też za siebie.

Po prostu szedł naprzód, nadal lekko kiwając głową w rytm osobistej ścieżki dźwiękowej. Dotrzymywałem mu kroku, maszerując zaledwie trzy metry za nim. Sięgnąłem za pazuchę, znalazłem komórkę i wyjąłem. Zauważyłem, że prawie się rozładowała, wskaźnik już pokazywał pustą

baterię, ale na to powinno jeszcze wystarczyć. Nacisnąłem guzik ostatnich rozmów i znalazłem numer, który wybrałem poprzedniej nocy - zapisany przez Johna na pudełku zapalek. Podświetliłem go i wybrałem.

Sekunda. Dwie. A potem dokładnie sprzede mnie dobiegły metaliczne, żwawe, potwornie irytujące dźwięki „Crazy Frog”.

Głowa chudzielca uniosła się gwałtownie, reagując z lekkim opóźnieniem. Jego dłoń zniknęła w kieszeni dżinsów, żeby wyłączyć telefon. Odwrócił się i spojrzał na mnie, po raz pierwszy patrząc mi w oczy. Musiał nastawić telefon także na wibracje, albo może w jego słuchawkach od początku nie grała żadna muzyka.

I nagle, bez cienia ostrzeżenia, zaczął uciekać.

Pobiegłem za nim, odruchowo skręcając w prawo, żeby przeciąć mu drogę, jeśli skieruje się w stronę dworca - gdyby dostał się do środka, mając choćby parę sekund przewagi, nigdy bym już go nie znalazł. Ale on nawet nie próbował - pędził prosto przed siebie przez Bridge Place, o mało nie wpadając pod autobus, który kosztował mnie parę sekund, gdy zwolniłem, przepuszczając go. A potem zniknął w bocznej uliczce.

Teraz dzieliło mnie od niego prawie dziesięć metrów i nim dotarłem na róg, zniknął mi z oczu. Biegłem dalej, rozglądając się na wszystkie strony i szukając wskazówek, gdzie mógł się podziać. Tylko jeden skręt, w lewo. Pobiegłem tam i zdążyłem jeszcze zobaczyć, jak chudzielec znika za kolejnym zakrętem.

Może nie ćwiczę tak dużo jak powinienem. Wiem, że spece od fitnessu zalecają pół godziny dziennie: ćwiczyłem raz tyle w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym, ale potem trochę się zaniedbałem. To przez podniecenie towarzyszące nadejściu nowego millenium i różne

takie. Dotarłszy na róg, już się zdyszałem. Tymczasem gość, którego goniłem, jeszcze przyśpieszał.

Potem jednak dopisało mi szczęście. Tuż przed nim otworzyły się drzwi i na ulicę wyszła kobieta, prowadząca za ręce dwoje dzieci. Skręcili ku nam, tworząc barierę blokującą cały chodnik i dając mu wybór: mógł albo ich zdeptać, albo wyminąć. Zatrzymał się w poślizgu, niemal wpadając na zdumioną kobietę, a potem skręcił na ulicę, wymijając kontener pełen czyichś starych mebli z salonu i umknął w kolejną uliczkę.

Ja pobiegłem po przekątnej i zyskałem dość czasu, by przebiegając obok śmietnika, wyciągnąć z niego podstawę standardowej lampy. Aeodynamicznie była do dupy, ale nie miałem czasu na wybrzydzenie. Ostatnim desperackim zrywem przyśpieszyłem, wyciągnąłem przed siebie lampę niczym tyczkę do skoku, a potem cisnąłem nią jak oszczepem.

Brakowało jej wyważenia oszczepu i ciężka końcówka natychmiast zaczęła opadać ku ziemi. Jeszcze metr i wylądowałaby nieszkodliwie na chodniku, turlając się na bok. Ja jednak pochwyciłem szczęście i nie dawałem mu umknąć - trzonek trafił dokładnie między rozpędzone stopy chudzielca, który potknął się, lądując ciężko na kamiennych płytach chodnika.

Był zdyszany, zdołał jednak się dźwignąć i pokuśtykać jeszcze parę kroków. Do tego czasu jednak zdążyłem go doścignąć. Rąbnąłem ramieniem i znów go przewróciłem, po czym skoczyłem nań, wbijając mu kolano w krzyż i przyszpilając do ziemi. Szarpnął się, próbując wstać, ale miałem przewagę masy i pozycji.

- Co, do kurwy nędzy! - wykrztusił. - Puszczaj mnie! Popierdoliło cię?

- Jeszcze się nie poznaliśmy - wydyszałem. Serce waliło mi w piersi, oddech wyrywał się z ust chrapliwą czkawką. - No, tylko przez telefon. Ale mam nadzieję, że się zaprzyjaźnimy. Jestem Castor, a ty?

- Zacznę krzyczeć - warknął chudzielec, wciąż się nie poddając. Obrócił głowę, patrząc na mnie wściekle. Jego nos wyglądał jak dziób drapieżnego ptaka. - Myślisz, że możesz napadać ludzi na oczach wszystkich? Na środku ulicy?

- Myślę - odparłem nadal dysząc - że chciałeś... przyjrzeć mi się bez... zwracania na siebie uwagi. I z jakiegoś powodu stchórzyłeś. Już ci mówiłem, nie chcę cię skrzywdzić. Jestem tylko przyjacielem Johna.

- To mnie puść. Puściłem.

Wyglądał, jakby nadawał się do dalszej gonitwy jeszcze mniej niż ja, a poza tym widziałem już, że uliczka kończy się ślepo: nie miał dokąd uciec. Wstałem i cofnąłem się, pozwalając mu powoli się podnieść.

- Jak się nazywasz? - spytałem ponownie. - I gadaj prawdę, do cholery. Już kiedy tu przyszedłem byłem w kiepskim nastroju i jakoś mi się nie poprawił.

Potarł kolano i obdarzył mnie szyderczym uśmiechem.

- Czemu mnie to nie dziwi - zadrwił. - Siedziałeś tam w kafejce, jakbyś czekał na randkę w ciemno. Brakowało ci tylko białego kwiatka w... Chesney - dodał pośpiesznie, gdy postąpiłem krok ku niemu. - Vincent. Vincent Chesney. - Uniósł ręce w obronnym geście.

Ku jego zdumieniu złapałem go za prawą i uściśniłem mocno. Zapewne wyglądało to absurdalnie oficjalnie, zważywszy, że właśnie goniłem go jak ogar zająca, ale zupełnie się tym nie przejmowałem. Przyszedłem, żeby zdobyć informacje, i odpowiadał mi każdy sposób.

Czasami wrażenia, jakie odbieram po dotknięciu czyjeś skóry, są ulotne i niewyraźne. Ale czasem bywają ostre i błyskawiczne jak film z dźwiękiem w dolby. Vincent Chesney nie miał żadnych znaczących barier psychicznych i jego emocje pojawiły się w mojej głowie bez wysiłku, niemal boleśnie wyraźne.

Uśmiech był tylko przykrywką, pod spodem Chesney się bał. Przede wszystkim mnie. Ale nie tylko tego, co mógłbym mu zrobić fizycznie. W głębi jego umysłu kryło się coś jeszcze - coś zupełnie innego.

Wypuściłem jego dłoń, a on cofnął ją szybko, podejrzliwy i nieco oburzony.

- No dobra - mruknął. - Tak, chciałem najpierw ci się przyjrzeć. Co w tym złego, stary? Zadzwoiłeś do mnie w nocy; to mógł być, kurna, każdy. Muszę bardzo uważać. Moja pozycja jest dość delikatna.

- Naprawdę? - spytałem uprzejmie. - A czemuż to, Vincencie?

- Vince.

- Ponawiam pytanie.

- No dobra - powtórzył niechętnie, z nieszczęśliwą miną. - Przyszedłeś po rzeczy, tak? - Położył na to słowo ten sam ciężki, aluzyjny nacisk, jak kasjer w aptece mówiący „coś na weekend”.

- Rzeczy, który zostawił u ciebie John? - zaryzykowałem.

Chesney przytaknął z jeszcze bardziej ponurą miną.

- To jeden z powodów, dla których przyszedłem - skłamałem.

- No dobra. Tak. Tak też myślałem. To jest tuż za rogiem. Zmiana z liczby mnogiej na pojedynczą zaskoczyła mnie.

- Co takiego? - spytałem.

- Miejsce, w którym pracuję. Dam ci te rzeczy, jasne? To tuż za

rogiem. Ale będziesz musiał zaczekać, aż... - Urwał, bo z mojej miny jasno odczytał, że tego nie kupuję. - No, dobra, jeśli pójdziesz ze mną - warknął nadąsany - będziesz robił to co ja, jasne? Cokolwiek powiem, potwierdzisz. I tak nie będzie to wyglądało najlepiej. Nie chcę stracić podzielonej roboty, kumasz?

- Będę cię słuchał - obiecałem.

Odsunąłem się, wypuszczając go na ulicę, a potem poszedłem za nim - nie w stronę Bridge Place, lecz dalej na południe. Powoli mój oddech zwalniał, a Chesney odzyskiwał część zadziornej pewności siebie, którą usłyszałem w jego głosie, kiedy za pierwszym razem odebrał telefon.

- Kim właściwie jesteś? - spytał po drodze. - Mówiłeś, że pracowałeś z Gittingsem. Czy to znaczy, że też jesteś ducholapem? Precz maro i te rzeczy? Ja tam nic do was nie mam, trochę to macho, trochę paternalistyczne. Nie moja broszka, ale ktoś musi to robić. Ten ktoś to ty?

- Tak - potwierdziłem, kiedy w końcu rozszyfrowałem co mówi. - Ten ktoś to ja.

- No dobra. I dorabiasz sobie, czytając w herbacianych fusach. Kumam. Z początku to brzmiało jak wariactwo. Ale potem człowiek przegląda dowody i myśli sobie: o kurwa, to straszne. Te same schematy w trzecim i czwartym pokoleniu i tak dalej. A potem umarł i zacząłem się zastanawiać.

- Zastanawiać nad czym? - spytałem beznadziejnie, nie licząc na choć jedno spójne zdanie.

- Czy może nie zanadto zbliżył się do ognia - rozwinął, gestykulując niewyraźnie i pokazując lejącą ćmę. - No wiesz, jeśli dalej w tym węszył i dotarł do źródła, ktoś mógł potraktować to osobiście. Tego właśnie się

bałem. To dlatego, kiedy zadzwoniłeś, rozłączyłem się. Bo przecież nie wiedziałem, mogłeś być każdym. Mogłeś być jednym z tych zimnych, starych drani, mających najwięcej do stracenia. Nagle zjawia się ktoś i chce kupić coś z twoimi odciskami palców. Co sobie pomyślisz? Może po prostu wyjmiesz spluwę i bum. Może zaczniesz obserwować fora, nasłuchiwać wieści. Co za koleś grzebie w moich rzeczach? Czego chce? Sprowadźcie tu jego ciało. Najpewniej nie, ale hej, chwytasz co mówię?

Skinąłem głową, ale tylko z uprzejmości. Gość albo zakładał, że wiem znacznie więcej niż wiedziałem, albo też zawsze tak gadał - a w takim przypadku uznałem, że będę musiał pobić go na śmierć jego własnym iPodem.

Zatrzymaliśmy się przed anonimowym budynkiem z początku wieku, niegdyś czyimś domem, obecnie mieszczącym trzy różne biura. Mówię trzy, bo na ścianie obok drzwi wisiały trzy niewielkie tabliczki: „Klinika Patologii Weterynaryjnej Nexus”, „Wydawnictwo Edukacyjne Deacon Lloyd”, „Vitastar Films”.

Drzwi nie były zamknięte na klucz, ale prowadziły jedynie do małego westybulu. Drzwi wewnętrzne wyposażono w zamek na kartę, jedna z nich dyndała na łańcuszku u pasa Chesneya. Przesunął ją przez czytnik i pokazał dwa palce zamontowanej na framudze kamerze ochrony.

- Nikogo tam nie ma - rzekł lekceważąco. Faktycznie, stanowisko ochrony w holu było puste. - Nocami przychodzi strażnik, ale nigdy nie sprawdza materiału z kamer. To tylko *pour encourager les cretins*. Jak większość tego syfu. Gdybym chciał oszukać ten zamek, mógłbym to zrobić starą kartą autobusową.

Wspinaliśmy się na schody, Chesney prowadził.

Na pierwszym piętrze mieściły się Vitastar Pictures, ale my szliśmy dalej.

- Porno - oświadczył Chesney, najwyraźniej przyjmując na siebie rolę przewodnika. - W każdy poniedziałek rano czeka tu jedna dziewczyna i dziesięciu facetów. Mam wrażenie, że kręcą tu mnóstwo tytułów bukkake.

Słowo bukkake wymówił jak „bukke”, dzięki czemu zabrzmiało jakby przyzwoiciej. Przez moment pomyślałem o Muminkach. Potem bardzo szybko przegnałem tę wizję.

Na drugim piętrze mieściła się Klinika Patologii Weterynaryjnej Nexus. Drzwi były otwarte, Chesney wszedł do środka. W dużym otwartym pomieszczeniu pozbawionym recepcji unosił się w powietrzu nieprzyjemny chemiczny odór. Kilka krzeseł ustawionych w najbliższym kącie stanowiło ukłon w stronę idei poczekalni, resztę przestrzeni zajmowały szafki: ze szklanymi drzwiami, stalowe i zamykane, oraz typowe biurowe, oliwkowo-zielone. Pod ścianą po lewej stały trzy biurka różnej wielkości, jak miski owsianki z bajki o Złotowłosej. Mosięzna tabliczka na największym głosiła: „John J. Moreton, dr wet.”.

Po drugiej stronie pomieszczenia młoda Azjatka w białym fartuchu lekarskim, siedząc w kucki, ustawiała butelki na niższych półkach jednej z szafek. Z tak daleka nie widziałem napisów na etykietach, lecz znaczek zagrożenia chemicznego na skrzynce wystarczył aż nadto. Obok niej ujrzałem zamknięte drzwi, pokryte matowoszarym metalem z napisem: OSOBOM NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY.

Kiedy weszliśmy, obejrzała się i obdarzyła Chesneya surowym spojrzeniem.

- Dzięki, Vince - rzuciła z typowym akcentem z Luton i Dunstable. -

Załatwiłeś mi połowę pieprzonej przerwy na lunch. Skąd to błoto na twoich kolanach?

- Przepraszam, Smeet - odparł Chesney. - Coś mnie zatrzymało.

Dziewczyna przeniosła wzrok na mnie, jakby się spodziewała powitania bądź wyjaśnienia.

- Pan Farnsworth - rzekł Chesney po nieco zbyt długiej pauzie. - W zeszłym roku przyniósł tu pudła, tak? Nim jeszcze się tu zatrudniłem. A teraz inny, z tego samego miotu, ma podobnego raka, albo może innego, i potrzebna mu kopia raportu dla firmy ubezpieczeniowej, bo w polisie jest klauzula dotycząca skłonności genetycznych. Obiecałem, że mu go znajdę.

Smeet przytaknęła, straciła już zainteresowanie - chyba gdzieś w okolicach słowa Farnsworth. Chesney świetnie się spisał - nawet mnie samego o mało nie zanudził na śmierć. Wskazała skrzynkę, wciąż do połowy wypełnioną butelkami.

- Możesz to dokończyć - poleciła. - Ja nie powinnam nawet ich dotykać, póki nie dostanę uprawnień.

- Jasne, nie ma sprawy. - Chesney rzucił kurtkę na jedną z szafek. - Możesz już iść. Jeśli chcesz, weź sobie całą godzinę. Morpork nie wróci przecież do czwartej, nie? Jest na balandze RSPCA.

Podszedł do jednej z szafek, otworzył górną szufladę i bez zbytniego przekonania zaczął w niej grzebać. Nie był najlepszym aktorem, a Smeet nie śpieszyła się do wyjścia - zdjęła biały fartuch, powiesiła na wieszaku za jednym z biurek, a potem zaczęła wkładać do torebki liczne przedmioty z biurka.

- Dużo pracy? - spytałem, żeby odciągnąć jej uwagę od Chesneya.

- Dużo pracy? - powtórzyła. - O tak. Zazwyczaj pracujemy do

dziesiątej wieczór. W tym momencie najczęściej zarabiamy na ptasiej grypie. Odkąd wprowadzili paszporty dla zwierząt wścieklizna zamieniła się w niszowy rynek i ptasia grypa doskonale ją zastąpiła. Sprzedaje się nawet lepiej niż psia trombocytoza. Powiedziałabym, że przeciętnie Vince co drugi dzień odgrywa skecz o papudze Monty Pythona.

Do tej pory skończyła już pakować torebkę i zmyła się, nie patrząc na nikogo, po drodze ściągając z wieszaka brązową zamszową kurtkę i wkładając ją w biegu. Chesney, uciszając mnie gestem, przez chwilę słuchał oddalających się kroków na schodach.

- Suka - powiedział, kiedy dwa piętra niżej trzasnęły drzwi.

Z przesadną siłą zamknął szufladę, zamiast tego otworzył najniższą i ostrożnie wyciągnął z niej pudełko rozmiarów pudełka po butach, tyle że zrobione z drewna i wyposażone w wieczko na zawiasach. Pomalowano je na zielono-złoto, tak że wyglądało jak większa wersja puszek na tytoń „Golden Virginia”.

- Zakablowałaby mnie bez sekundy wahania, wiesz? Wszystko muszę robić po cichu. Chodź, to dam ci te rzeczy. Szczerze mówiąc, pozbędę się ich z radością.

Otworzył drzwi, za które nie miały wstępu osoby nieupoważnione, i wszedł do środka. Podążwszy za nim, znalazłem się w pomieszczeniu idealnie pasującym do moich wyobrażeń o prosektorium. Pośrodku stał wielki stół operacyjny, z zestawem oświetleniowym na podwójnie łamanym, metalowym wysięgniku. Podłogę i ściany pokrywały białe kafelki, z boku stały oślepiająco białe, porcelanowe zlewy, wbudowane w białe powierzchnie robocze, na których ustawiono sterty stalowych naczyń w kształcie nerki. Zawsze się zastanawiałem, czemu cieszą się one tak

wielką popularnością w kręgach medycznych, biorąc pod uwagę fakt, że jedynym organem wewnętrznym w kształcie nerki jest właśnie nerka. Tu woń chemiczna była znacznie silniejsza, niemal łzawiły od niej oczy. Ale Chesney jakby tego nie zauważył.

Zamknął za nami drzwi i zaciągnął zasuwę. Uznałem to za przegięcie, zważywszy że byliśmy sami.

- Dobra - rzucił.

Postawił drewniane pudełko na stole operacyjnym, lewą ręką odsuwając wysięgnik z lampami. Potem posłał mi znaczące spojrzenie, ale zepsuł efekt, znów otwierając usta.

- Kontrolujemy transmisję - oświadczył z udawanym, mocnym amerykańskim akcentem. - Prosimy nie regulować odbiorników. Strefa zmierzchu, jasne? Tam właśnie miejsce tego wszystkiego.

Tak naprawdę Chesney cytował wstęp z „Po tamtej stronie”, ale uznałem, że to nie najlepszy moment na rozdzielanie włosa na czworo. Otworzył skrzynkę i zaczął wypakowywać zawartość. Na górze stosiku leżała płyta - CD+RW z nabazgranym czarnym markerem jednym słowem: OSTAT. Pod nią dostrzegłem co najmniej tuzin plastikowych torebek z zatraskami, identycznych jak te, których policja używa do pakowania dowodów. W środku tkwił nieco surrealistyczny zestaw przedmiotów: wypatrzyłem scyzoryk; samochodzik „Matchbox”; wielką pamiątkową monetę z zapomnianego królewskiego święta, kartę do gry - asa pik - którą ktoś podpisał nieczytelnie; wieczne pióro; obciążki; szklany przycisk do papierów; spinkę do krawata i dziwnie niepasujący do reszty niewinnego towarzystwa pocisk.

- Nie jestem paranoikiem - zapewnił Chesney, jakby bardzo zależało

mu na zaprzeczeniu krążącym pogłoskom. - Schowałem to tylko dlatego, że wiedziałem, że gdyby Smeet cokolwiek znalazła, od razu by doniosła. Bo widzisz, nie wolno mi wykorzystywać sprzętu laboratoryjnego do celów prywatnych. Jasne? Można za to wylecieć, a w tej chwili mój szef nie potrzebowałby dodatkowych powodów.

Przejrzałem dziwną kolekcję w torebkach i odkryłem jeszcze kilka niespodzianek - żołnierzyka, który wyglądał bardzo staro: pod obłazącą farbą ujrzałem metal i paczkę papierosów „Woodbine”, podpisaną podobnie jak karta. Tym razem nazwiskiem Jimmy Rick czy może Pick, które nic dla mnie nie znaczyło.

- I to wszystko należało do Johna? - spytałem, upewniając się, że dobrze zrozumiałem.

- Tak - przytaknął Chesney. Przyglądał mi się bardzo uważnie, próbując odczytać moje reakcje. - Jest też sporo warte - zauważył z lekkim żalem.

I to wyjaśniło mi aż za dobrze jego dziwną reakcję przez telefon i późniejszą płochliwość. Kiedy usłyszał o śmierci Johna, uznał pewnie, że w tym roku Gwiazdka przysłała dwa miesiące później.

- Tak, pewnie tak - zgodziłem się. - Wyobrażam sobie sporo ludzi, którzy rzuciliby się na to.

Chesney przytaknął z zapalem.

- Tak, a ja mógłbym to dla ciebie spuścić. John w sumie obiecał mi, że dostanę towar kiedy z nim skończy. Zawsze powtarzał, że jemu chodzi o dane. Jasne? Nie o przedmioty. Nie był zbokiem ani trupojadem, ani niczym takim. Po prostu miał takie hobby - swoje własne Idaho, coś w tym stylu. Nie przypuszczałem nawet, że ktoś mógłby się zjawić po te rzeczy.

- Są cenne z powodu tego, do kogo wcześniej należały? - spytałem, upewniając się, że właściwie rozumiem tę coraz bardziej śmierdzącą sytuację.

Chesney przez moment gapił się na mnie tępo. Myślę, że do tej pory nie przyszło mu nawet do głowy, że mógłbym działać na oślep, ale teraz było już za późno na uniki.

- No tak - rzekł. - Oczywiście. To, no wiesz... - Zawahał się, najwyraźniej szukając łagodnego określenia.

- Pamiątki po mordercach - dokończyłem.

To słowa zboczeniec i trupojad w tym samym zdaniu ostatecznie otworzyły mi oczy. No, one i fakt, że właśnie prosiłem Nicky'ego, by znalazł mi dokładnie coś takiego: banalny przedmiot, któremu magii i wartości dodał fakt, że kiedyś znajdował się w rękach zabójcy. Wielki odłot. Ja sam znajdowałem się w rękach zabójców tyle razy, że już nawet mnie to nie bawiło, a jakoś nikt nie próbował sprzedać mnie na eBayu. Właściwie to może błogosławieństwo: lepiej chyba nie znać dokładnie swej wartości rynkowej.

Chesney sprawiał wrażenie mocno podłamanego, bo po mojej minie widział jasno, że nigdy wcześniej nie oglądałem żadnego z przedmiotów ukrytych w jego skarbczyku. Liczył teraz w myślach straconą kasę. Współczułbym mu, ale czas to pieniądz, a w tej chwili zależało mi wyłącznie na zysku.

- Tak - odparł ponurym tonem. - As pikowy jest z talii, którą Ronnie Kray grał w pokera w swojej celi w Parkhurst. Drobnny złodziejaszek, Alan Starky, poprosił, żeby go podpisał, i zabrał zamiast wygranej. Jest wart fortunę. Les Lathwell wystrzelił ten pocisk podczas napadu na bank - to

jeden z nielicznych, które chybiły. George Cornell użył przycisku w bójce - rozwalił nim głowę jakiegoś kolesia - a tym piórem Tony Lambrianou podpisał swoje przyznanie się do winy. Nadal jest na nim krew, ponoć dlatego, że policjanci, nim pozwolili mu złożyć podpis, strasznie go pobili. Koronówka należała do Aarona Silvera...

Gadał dalej, kolejno opisując zawartość torebek, ale ja słuchałem jednym uchem, bo wymienione wcześniej nazwiska sprawiły, że przeciążone półki mojej pamięci niebezpiecznie zatrzeszczały. Cornell. Lambrianou. Lathwell. Silver. Wszystkie bez wyjątku pojawiały się w spisach z notatnika Johna Gittingsa. Gdyby Kray też tam był, sam bym skojarzył. Nagle przyszło mi do głowy pytanie: skąd do diabła John brał forszę? Skoro te rzeczy były tak cenne, jak mówił Chesney, zapewne pozostawały poza zasięgiem finansowym kogoś zarabiającego na życie jako egzorcysta.

- I co? - spytałem, z wysiłkiem powracając myślami do chwili obecnej. - John skupował te rzeczy na fanowskim rynku?

- Miał dealera. Jakiegoś zombie.

Tak, oczywiście. Nicky, ty fiucie, pomyślałem. Muszę zamienić z tobą parę ostrych słów.

- Jasne. I przekazywał ci je, żebyś...? - Mój język wyprzedził umysł, lecz Chesney wspominał coś o danych, a fakt, że znajdowaliśmy się w prosektorium - choć większość rozcinanych tu trupów miała na imię Burek - stanowił poważną wskazówkę. - Żebyś je badał? - dokończyłem niezgrabnie. - O jakie dokładnie badania chodziło, Vince?

- Komplecik - odparł Chesney z lekką, zawodową dumą. Spróbował odebrać mi pudełko, ale nie oczekiwał powodzenia, a ja tego

dopilnowałem, opierając cały ciężar ciała na prawej dłoni spoczywającej na wieczku. Wyprostował się szybko, udając, że nic nie zauważył. - Odciski palców. Od chuja innych rzeczy. Hematografia, kiedy zdołał dopaść coś ze śladami krwi. I DNA. Umiem przeprowadzać testy DNA. Jasne, teraz pracuję z psami, ale to tylko staż. Uczono mnie patologii ludzkiej i gdy tylko skończę robotę w tej dziurze, zatrudnię się w laboratorium kryminalistycznym. Dziewiętnastowieczna teoria Johna, że kryminaliści to goryle, to totalna bzdura, ale z mojego punktu widzenia stanowiła świetną praktykę.

- I nieźle na niej zarabiałeś - odgadłem.

Chesney się zjeżył.

- Hej, słuchaj, to on do mnie przyszedł. Robiłem mu...

- Przysługę. Jasne. Czemu mówisz o fizjonomice kryminalistycznej, Vince? To o to chodziło Johnowi? Teorię rozpoznawania? Nie widzę, by to miało ręce i nogi.

- Ja też nie. - Chesney wciąż przemawiał z urażoną, zawodową dumą; najwyraźniej trafiłem go w punkt, w którym etyka zawodowa krępowała go najmocniej. - Ale klient ma zawsze rację, a John miał swojego konika.

- Jakiego konika?

- Konika z rodzaju antropometrycznej taksonomii kryminalistycznej Cesare Lombroso.

- Mów dalej.

Zerknął tęsknie w stronę skrzynki i przybrał żalobną minę.

- Pracował nad wielką bazą danych - oznajmił. - Przestępców. Chwytasz? Zwłaszcza zabójców. Chciał ich zmierzyć na wszystkie możliwe sposoby. A ja przeprowadzałem badania i przekazywałem mu

wyniki, nic więcej. Nie musiałem klaskać w dłonie i wierzyć we wróżki.

- Wróżki w tym przypadku to...?

- O Chryste, sam przecież wiesz. Idea, że istnieje typ przestępcy. Że gromadząc dane tysiąca ludzi, którzy dokonali już złych rzeczy, można przewidzieć, kim będzie następny gwałciciel bądź seryjny morderca, nim jeszcze zacznie działać. To nie tylko bzdury, ale bzdury wyrzucone na śmietnik sto lat temu.

Postukałem palcem w pudełko.

- Nie brzmi to przekonująco - zgodziłem się. - Ta płyta to wszystkie dane, które zebrałeś dla Johna przed jego śmiercią?

Chesney kiwnął głową, teraz chciał już tylko się mnie pozbyć. Skinienie głowy nie wystarczyło.

- Wszystkie? - naciskałem. - Wszystkie wyniki dotyczące tych rzeczy?

- Jest tam wszystko - odparł z oburzeniem. Widział, że jego skarbczyk zaraz zniknie za progiem i zdawał sobie sprawę, że nic nie zdoła na to poradzić.

Wyprostowałem się.

- No cóż, dzięki za pomoc, Vince - rzekłem. - Jeśli na płycie znajdę coś, czego laik nie zrozumie, wolisz, żebym zadzwonił tutaj czy gdzie indziej?

- W ogóle nie dzwoń - odparł nadąsany Chesney. - Nic ci nie jestem winien, koleś. Nie musiałem nawet dawać ci płyty. To moja własność intelektualna.

- Faktycznie - przyznałem. - Ale ujmijmy to inaczej. Jeśli dotrę do miejsca wymagającego interpretacji i będę potrzebował wskazówek, mam

przyjść do ciebie czy do twojego szefa?

- Kurwa mać! - Chesney szaleńczo zamachał rękami. - Żałuję, że w ogóle dałem się wciągnąć w to wszystko. Wcale tak dobrze nie płacił.

Odpuściłem mu trochę, bo zwykle łatwiej poprowadzić konia do wodopoju, niż przytrzymać go pod wodą tak długo, aż utonie.

- Możliwe, że w pewnym momencie pojawi się trochę gotówki - rzekłem. - Zobaczą, co da się zrobić.

- Możesz do mnie zadzwonić na komórkę - odparł nieco pocieszony.

- Na numer, który dostałeś od Johna, jasne? Odezwę się, kiedy nikt nie będzie podsłuchiwał.

- Dobra. - Dźwignąłem skrzynkę. - Dzięki za pomoc, Vince. Jeśli to cię pocieszy, John uśmiecha się do ciebie z nieba.

Sam znalazłem wyjście, Chesney tymczasem przeklinał mnie pod nosem.

Kiedy schodziłem, Smeet właśnie wracała po schodach. Spojrzała z zaciekawieniem na skrzynkę.

- Martwy pies - wyjaśniłem, nie zwalniając kroku.

Własne Idaho Johna, powiedział Chesney. Może i tak, ale wolałbym, żeby nie przypominał mi tej piosenki: pogodny numer 052S o straszliwej niespodziance w bezdennym jeziorze aż za dobrze pasował do snu, który nawiedził mnie poprzedniej nocy.

Miałem wrażenie, że podążam szlakiem, który doprowadził Johna do ostatniego spotkania z lufą dubeltówki. I po raz pierwszy zastanowiłem się, skąd właściwie ją wziął.

Może to kolejna pamiątka.

Nicky'ego zaskoczyła moja szybka wizyta, a mnie, kiedy przekroczyłem próg dawnej pustej skorupy starego kina Gaumont, zaskoczył widok grupy sześciu robotników tynkujących ściany i montujących z powrotem siedzenia. Nicky nadzorował wszystko głośno i wyniośle, nie zważając na pył gipsowy w powietrzu, bo nie musiał go wdychać. Obrócił się, zobaczył mnie i gdy się zbliżyłem, uniósł ręce, jakbym miał go przeszukać.

- Czego? - rzucił. - Castor, do kurwy nędzy, minęły dopiero cztery godziny. Nie zdążyłem jeszcze nawet przyjrzeć się twoim rzeczom. Zadzwoń, kiedy będę mógł rzucić ci jakąś kość.

Zamiast odpowiedzi uniosłem wieczko drewnianej skrzynki, którą wciąż trzymałem pod pachą jak głowę Henryka VIII i zademonstrowałem mu zawartość. Nie zbladł - zombie są z natury tak blade, że przy nich albinosi wyglądają jak fanatycy solariów, ale wyraźnie zrobiło mu się słabo.

- Może kilka pogryziemy razem? - zaproponowałem.

Nicky powoli skinął głową, wyciągnął rękę do wieczka i pchnął je tak, że ukryło przed naszym wzrokiem zawartość pudełka. Obrócił się, patrząc przez ramię na swoją drużynę.

- Resztę siedzeń załóżcie tam, panowie - polecił, wskazując ręką. - Jeśli zabraknie z fioletowym pluszem, zamontujcie na zmianę fioletowe i niebieskie. Albo może ułóżcie je w gwiazdę czy coś. Tylko gustownie, nie chcę mieć tu czegoś, co wygląda jak nędzna prowizorka.

Ruszyliśmy do kabiny operatora, nasze kroki dźwięczały na nagim betonie. To było sanktuarium Nicky'ego, serce jego świątyni, zasłane tym, na punkcie czego miał akurat obsesję, a także bogatymi, różnorodnymi pozostałościami poprzednich zainteresowań. Zwykle trudno się tam było ruszyć, lecz dziś wyglądało jeszcze gorzej, bo przeniósł tu sporo rzeczy z dołu, by nie przeszkadzały budowlańcom. Kiedy znaleźliśmy się w środku, zamknął stalowe drzwi przypominające wrota skarbcza i odwrócił się do mnie, wyniosły i wkurzony: zapewne uznał, że najlepszą obroną jest atak.

- Muszę utrzymywać kontakty zawodowe z tymi ludźmi - oznajmił, wskazując podłogę. - Pracują dla mnie. I bardzo trudno mi pokonać ich wzruszająco naiwną wiarę, że zombie to zwykli debile, których można totalnie, bezkarnie naciągać. Kiedy więc znowu będziesz miał do mnie sprawę, Castor, to załatw to na osobności. Jasne? *Entre, kurwa, nous.* A teraz o co chodzi? I, tak dla porządku, zanim zaczniesz, nic do mnie nie masz. Nie okłamałem cię. Po prostu nie wspomniałem ci o sprawach innych ludzi.

W tym momencie mógłbym odpowiedzieć złośliwą uwagą - w istocie w zwykłych okolicznościach czułbym się zobowiązany - ale patrzyłem ponad ramieniem Nicky'ego i na moment moją uwagę przykuł kolosalny, siedemdziesięciomilimetrowy projektor, zamontowany w miejscu, gdzie wcześniej tkwiły śmierdzące zbiorniki hydroponiczne.

- Zamierzasz znów otworzyć kino? - spytałem ze zdumieniem.

- Jasne, czemu nie?

- To podchwytliwe pytanie, Nicky? Może dlatego, że nienawidzisz ludzi.

Nicky wzruszył ramionami.

- No tak, to prawda. Żywi są zbyt ciepli, a martwi zazwyczaj się sypią i ociekają samoużalaniem. Pierdolić ich wszystkich, oto moje motto.

- Kiedy więc otworzysz kino, to jakbyś sam wzywał do siebie wszystkie swoje lęki, nie sądzisz?

Nicky spojrzał na mnie z irytacją.

- Nie powiedziałem, że się ich boję, Castor. Po prostu ich nienawidzę. Nie mówiłem też, że kiedy otworzymy to cudo, ktokolwiek inny przekroczy jego próg. To będzie kino dla jednoosobowej widowni. Cinema paradiso. Tylko ja, ciemność i czarno-biała maszyna snów.

Nadal nie mogłem ogarnąć tej wizji i na moment odłożyłem na boczną półkę opierdół, jaki szykowałem dla Nicky'ego.

- A co z zostawianiem śladów? - spytałem. - Będziesz musiał zamawiać kopie filmów. Trafisz do baz danych dystrybutorów. Będziesz użerał się z dostawcami.

Jeszcze przed śmiercią Nicky zawsze starał się nie rzucać nikomu w oczy. Był to jego najwyższy priorytet: często powtarzał, że świat jest jak sieć i za każdym razem, gdy dotykasz jednego z pasemek, informujesz pająki, gdzie mogą cię znaleźć. Kiedy wchodził do Internetu, robił to przez serię serwerów proxy, długą niczym wielki chiński mur, i podobnie jak Chiny, traktował informacje jak jednocześnie broń i tarczę. Nicky'ego nie da się namierzyć, nie znajdzie go żadna wyszukiwarka. Nawet elektryczność czerpał ręcznie z głębokich studni artezyjskich, a nie ze zwykłej, ogólnokrajowej sieci. Był najbliższym znanym mi odpowiednikiem niewidzialnego człowieka, a jego paranoja imponowała i przerażała swoją potęgą, głębią i czystością.

A zatem to nie mógł być prawdziwy Nicky, lecz coś w rodzaju żywej

- czy raczej martwej kopii.

- Nadal zależy mi na pozostawieniu jak najmniejszych śladów - odparł niemal lekceważąco. - Ale zastanów się chwilę, Castor. Od lat to robiłem, ale Franke i jego pierdzieleni sataniści i tak rozwalili mój dom na strzępy. Teraz więc pracuję nad nową strategią.

- Jaką?

- To już moja sprawa. Kiedy stanie się twoja, opowiem ci o niej.

- Dobra.

Poddałem się. Z tego co widziałem, najprawdopodobniej wyrwanie ze skorupy przez bandę świrów sprawiło, że psychoza Nicky'ego zmutowała, przybierając nową postać. Poza tym miał rację. W pewnym momencie wszystkiego się dowiem, nie było zatem sensu przejmować się tym teraz.

Rzuciłem skrzynkę na mebel przypominający stolik do przewijania niemowląt i mijając Nicky'ego, wszedłem w głąb pomieszczenia. Nicky przesunął się, dotrzymując mi kroku i cały czas zagrządzając mi drogę do nowego, błyszczącego projektora. Najwyraźniej mogłem patrzeć, ale nie dotykać.

- Przejdźmy do rzeczy - zaproponowałem. - Spytałem, co robiłeś dla Johna Gittingsa, a ty zasłoniłeś się pierdołami o tajemnicy zawodowej. Potem poprosiłem, żebyś znalazł mi pamiątkę należącą do martwej zabójczyni, i o mało nie wyskoczyłeś ze swej wygarbowanej skóry. Zauważyłem to, owszem, ale nie wiedziałem, co dokładnie znaczyło. Teraz wiem. To dlatego, że John prosił cię o to samo, tyle że na większą skalę. Hurtowa dostawa pamiątek po mordercach - i sądziłeś, że pogrywam sobie z tobą, próbuję zmusić cię, żebyś się zdradził.

Nicky rozłożył ręce w geście: no dobra, masz mnie.

- I zupełnie nie wiem, co w naszych wcześniejszych kontaktach mogło sprawić, że tak słabo ci ufałem - dodał sardonicznie.

- Tu nie chodzi o zaufanie. - Położyłem dłoń na zakrzywionym obiektywie projektora. Nicky odtrącił ją szybko. - Chodzi o to, żebym nie uganiał się w kółko za własnym ogonem, bo życie i tak jest dość krótkie. Czy istniał jakiś powód, dla którego nie zdradziłeś mi, na czym polegało hobby Johna? Ktoś, czym interesom zaszkodziłoby ujawnienie prawdy?

- Nie moja sprawa - odparował swobodnie Nicky, przecierając obiektyw mankietem w miejscu, gdzie skaziła go moja dłoń. - Może wdowa po nim? Jego dzieci? Skąd mam, kurwa, wiedzieć? Po pierwsze, nie szkodzić, oto moje motto.

- Od kiedy, Nicky?

- Od tej chwili.

- Jasne. A może wpadłeś na ten sam pomysł co Chesney, że jeśli nikt się nie dowie o tym towarze, w swoim czasie urządzisz wyprzedaż i sam zgarniesz zyski?

- Chesney?

- Nieważne.

Przyglądałem się projektorowi. Nie znałem się na tym sprzęcie aż tak, by wiedzieć, czy jest superdrogi i bajerancki, czy raczej kiepski. Patrzyłem tylko, jak potencjalny klient w komisie samochodowym. Teraz przeniosłem wzrok na Nicky'ego.

- Usiądź - powiedziałem.

- Wolę postać.

- Nie - wyjaśniłem cierpliwie. - To nie jest „usiądź sobie wygodnie i

rozgość się”. To „usiadź, albo posadzę cię siłą i wtedy możesz coś sobie złamać”.

W zasięgu mojej wyciągniętej ręki stało biurowe krzesło na kółkach; złapałem je i przeciągnąłem do niego. Potrzebował chwili namysłu, ale kiedy postąpiłem krok naprzód, usiadł pośpiesznie.

- Przestań się wydurniać, Castor - rzucił gniewnie. - Komuś żywemu nie wycinałbyś takich numerów.

Podturlałem krzesło do przewijaka, na którym zostawiłem skrzynkę Johna. Ponownie uniosłem wieczko, wyjąłem płytę Vince'a Chesneya i wcisnąłem mu w rękę.

- Przejrzysz to dla mnie - powiedziałem.

- Ach tak? A niby dlaczego?

- Bo cię proszę. Jak dotąd grzecznie.

Nicky obrócił w palcach płytę, oglądając ją z demonstracyjnie znudzoną miną.

- Cesare Lombroso. Znasz to nazwisko? - spytałem.

- Jasne. Grywam z nim w golfa.

- To dziewiętnastowieczny antropolog.

- Tak - przytaknął Nicky. - To ten sam. Zaczyna już mocno śmierdzieć. A kiedy bierze zamach, wyskakuje mu łokieć.

- Lombroso wymyślił teorię fizjonomiki kryminalnej - powiedziałem.

- Nazwał ją antropometrią i dzięki niej stał się pionierem wczesnej eugeniki.

Nicky wrzucił płytę do pudełka.

- Eugeniki? To Annie Lennox i Dave...

Bardzo szybko zatrzasnąłem wieczko, przygniatając rękę Nicky'ego.

Wrzasnął, choć nie z bólu - jego nerwy już dawno ogłosiły upadłość i ból nie wchodził w grę. Ale to właśnie sprawiło, że dostał obsesji na punkcie uszkodzeń organicznych, widział bowiem, że brak mu systemu wczesnego ostrzegania, który żywi uważają za coś oczywistego. Nie miał też systemów samonaprawczych: białych krwinek, płytek krwi, podziału komórkowego. Tak więc, podczas gdy ktoś żywy próbowałby wyrwać dłoń z pudełka, Nicky zastygł w bezruchu niczym spłoszony opos.

- Castor, skończ z tym pierdzielonym gówniarskim zachowaniem! - wrzasnął.

Krzyk oznacza całkowite wypełnienie płuc powietrzem i ich opróżnienie - niełatwe zadanie dla truposza - i wiąże się z kilkoma chwilami absolutnego milczenia po fakcie.

- Antropometria - podjąłem, jakby w ogóle mi nie przerwał - to zarzucony koncept, ale brzmiał całkiem seksownie, dopóki Darwin nie przegonił przez niego stada zięb i żółwi z Galapagos.

- O czym ty, kurwa...?

- Idea jest taka, Nicky... - Napałem nieco mocniej na wieczko i jego wolna dłoń zacisnęła się, jakby miał zamiar rąbnąć mnie pięścią. Ale to dobry sposób na złamanie kostki, toteż wiedziałem, że tego nie zrobi. - Płód w łonie przechodzi przez wszystkie wcześniejsze etapy ewolucyjne, nim w końcu osiągnie postać w pełni ludzką. Zupełnie jakby Matka Natura musiała przejrzeć wszystkie wcześniejsze wzorce, nim dotrze do ludzkiego, jako najbardziej rozwiniętego. Jak mówiłem, to bzdury, ale na razie chwytasz co mówię?

- Do kurwy nędzy, puść moją pieprzoną rękę, Castor!

- Lecz Lombroso uważał, że w tym programie trafiają się błędy.

Czasami dzieci zatrzymują się na jednym z wcześniejszych, bardziej prymitywnych etapów i zamiast przyjść na świat jako stuprocentowi ludzie, rodzą się z cechami małpimi, należącymi do wcześniejszych modeli. Bo widzisz, rozejrzał się uważnie i zauważył, że wielu najgorszych przestępców ma wypukłe, nisko osadzone łuki brwiowe, jak orangutany, albo nietypowo długie palce, jak goryle, i wtedy go olśniło. Przestępcy są tacy, bo zatrzymali się na etapie rozwoju naszych niehumanoidalnych przodków. A kiedy już to wiadomo, można od razu ich wyszukać i przechwycić. Nie trzeba nawet czekać, aż popełnią jakąś zbrodnię. - Skinieniem głowy wskazałem skrzynkę. - Kiedy ktoś pytał, John wyjaśniał, że do tego właśnie potrzebuje tych rzeczy. Ale to była tylko przykrywka i mam nadzieję, że orientujesz się, co ukrywała. Bo widzisz, wiem, że tu nie chodzi o twoją przysięgę Hipokratesa, Nicky. Chodzi o ochronę źródła dochodów. Dlatego właśnie nie chcesz ujawniać za darmo jakichkolwiek informacji, za które później mógłbym zapłacić. Skoro zatem chcesz pieniędzy, dobra, podaj mi cenę wyjściową i możemy się potargować. Ale czas to pieniądz, a w tej chwili jestem mocno przewrażliwiony na punkcie ludzi marnujących mój czas - bo poprzedniej nocy ktoś próbował mnie zabić, zrzucając w głąb szybu windy. To sprawa osobista i jest na pierwszym miejscu mojej listy rzeczy do załatwienia. Zrozumiano?

- Tak!

- Co tak?

- Tak, kurwa, zrozumiałem. Otwórz pudełko, ty pierdzielony fiucie!

Zabrałem rękę z wieczka i Nicky cofnął dłoń, sprawdzając w lodowatej ciszy, czy niczego nie uszkodziłem. Ale nie, byłem bardzo

ostrożny.

- Zaczął je zbierać gdzieś pod koniec października - wymamrotał niechętnie. - Szastał kasą na prawo i lewo, jakby zbliżała się data jej ważności. Nie tylko u mnie - zatrudnił całą dużą grupę pracującą na procencie i kupującą wszystko, co wpadło nam w ręce.

- Wszystko co należało do zabójców?

- Widzisz tę paczkę papierosów? To jedno z moich najfajniejszych znalezisk. Jimmy Pick torturował policyjnego kabla Deggy'ego Wheatona zapaloną fajką z tej właśnie paczki, po tym, jak Wheaton wskazał glinom Lesa Lathwella jako odpowiedzialnego za masakrę w banku Barclays. To świadek historii. Kosztowała trzy tysiące, jeśli dobrze pamiętam.

- Ciebie czy Johna? - spytałem dla jasności.

- Handlarz zażądał dwóch i pół - ustąpił Nicky. - Dodałem moją działkę. To było oczywiste. Hej, zwykle nie robię takich rzeczy, ale zgodziłem się w ramach osobistej przysługi dla Johna, bo wolał działać przez pośredników.

- Prawdziwy z ciebie przyjaciel w biedzie, Nicky.

- To dobrzy samarytanie, Castor. Ja pracuję dla zysku.

- Tony Lambrianou. Ronnie Kray. George Cornell. Les Lathwell. Aaron Silver - odliczałem na palcach nazwiska. - Wszyscy są w notatniku Johna. Co jeszcze ich łączy, Nicky?

Skrzywił się, jakby z trudem przełknął to pytanie.

- Jeszcze nie ustaliliśmy ceny - przypomniał.

- Odłóż to na razie.

- Mówiłeś co innego. Powiedziałaś, że mogę podać... Uniosłem wieczko pudełka i zawiasy zaskrzypiały - bardzo znacząco i przekonująco.

- Wszyscy są z East Endu. - Nicky uniósł ręce jakby się poddawał. A może po to, by trzymać je jak najdalej od skrzynki? - Takie były założenia, jasne? Lambrianou i Lathwell należeli do gangu Krayów. Cornell pracował dla Charliego Richardsona, został zamordowany przez Krayów. To pozostawia Aarona Silvera, tylko on nie pasował.

- Czemu?

- Bo jest o parę pokoleń starszy. Jeszcze sprzed wojny. To był szalony i wredny żydowski imigrant, który przyjechał z Polski i próbował zarabiać na życie jako krawiec. Ale kiepsko radził sobie z igłą i nie mógł się zaczepić. Pewnego dnia ruszył głową i zaczął odwiedzać innych krawców, przyjmując dobrowolne składki na straż ogniową z Brick Lane. Jeśli zapłacisz z góry, nie spalą ci domu.

- Inna liga niż Krayowie.

- Mylisz się. Był proto-Krayem. Krayem przed Krayami, wielkim prekursorem. Ochrona stanowiła tylko początek, dzięki niej wszedł do gry. Wkrótce zajmował się już prostytutką, hazardem, maczał palce w handlu opium, wszystkim o czym zamarzysz. A tak w ogóle, naprawdę nie nazywał się Silver. Urodził się jako Aaron Berg, ale przezwał się Silver, by nie przynieść hańby rodzinie. Miły chłopak. Kochał swoją matkę.

Kiwnąłem głową, obracając w myślach owe zakurzone, stare fakty. Od spotkania z Chesneyem zastanawiałem się, czy cokolwiek z tego może w jakikolwiek sposób łączyć się z teorią Jan o mściwym duchu Myriam Kale, krążącym po Londynie czterdzieści lat po jej śmierci. Ale najwyraźniej nie. Amerykańska zawodowa zabójczyni raczej nie pasowała do bandy gangsterów z East Endu.

- Widzę, że się przyłożyłeś - powiedziałem do Nicky'ego.

Spojrzał na mnie, czubkiem środkowego palca odciągnął dolną powiekę - u zombie ten gest daje dość nieprzyjemny efekt, bo oczy mają wysuszone i niezbyt mocno tkwiące w oczodołach.

- Żeby nie dać się oszukać, trzeba znać się na rzeczy - wyjaśnił - Git-Johnowi zależało na wszystkim, co miało związek ze złymi chłopcami z East Endu. Płacił duże premie za rzeczy, które niezbyt często zmieniały właścicieli, a także należące do nich w dzieciństwie.

To wyjaśniało ołowianego żołnierzyka i samochodzik. Ale nadal nie miałem nawet cienia pojęcia, czego właściwie szukał John. Wiedziałem tylko - z absolutną pewnością - że gadanina o Lombroso stanowiła zasłone dymną. John rzucił studia przed zrobieniem magisterki, tak samo jak ja - o ile jednak ja studiowałem anglistykę, on specjalizował się w biologii. Wszystko, co wiedziałem o Lombroso, pochodziło z jednego nocnego picia, podczas którego John bardzo długo tłumaczył mi, jakim tamten był palantem.

- Czego zatem szukał? - spytałem Nicky'ego.

- Może ty mi powiesz? - W tych słowach kryła się drwina.

Nicky odepchnął skrzynkę i wstał.

- Zatrudnił zwierzęcego patologa, który przeprowadzał badania tych przedmiotów. Szukał odcisków palców, krwi, DNA w przypadkach kiedy było to możliwe. Pewnie także mnóstwa innych rzeczy.

- Zatem przypuszczam, że szukał korelacji. Prawidłowości w danych.

- Na przykład?

- Na przykład, będę musiał sam przejrzeć tę płytę i dać ci znać. Już najwyższa pora na ustalenie ceny, Castor.

- No to ustalaj.

- Pięćset. I zatrzymam wszystko, co masz w tym pudełku.

- Jezu. - Staralem się, by w moim głosie zabrzmiało szczere oburzenie. - Właśnie mi powiedziałeś, że zaledwie jeden przedmiot jest wart trzy tysiące, Nicky. Czemu do diabła miałbym ci pozwolić na zgarnięcie całej sumy?

Wyrzucił ręce w powietrze.

- Bo to cię nic nie kosztuje.

- Pięćset, owszem. Sam nie dam rady tyle wyłożyć. Carla mi nie płaci, a sprawa z Myriam Kale jest na razie w zawieszeniu.

- No dobra, powiedzmy dwie stówy - ustąpił dobrodusznie. - I towar z pudełka.

- Zgoda na dwie stówy. Co do pudełka, sprzedasz wszystko i podzielisz się zyskami pół na pół z Carłą Gittings.

- Stoi.

- Ale wszystko zostanie tutaj, dopóki nie powiem ci, że możesz zacząć sprzedawać. Nadal nie wiem, dokąd z tym wszystkim zmierzamy. Wolałbym nie wrócić tu, szukając czegoś szczególnego tylko po to, by odkryć, że spylileś to już na eBayu.

- No dobra - ustąpił Nicky. - To uczciwy układ. Bardziej niż uczciwy. Mimo numeru, który mi wyciąłeś, Castor, przyjmuję tę sprawę. I, aby pokazać ci, że działam w dobrej wierze, zdradzę ci coś za darmo.

- Tak? - spytałem. - Co takiego, Nicky?

- Nabrali cię. W tym pudełku powinno być jeszcze co najmniej trzydzieści, czterdzieści innych rzeczy.

Zamrugalem.

- Jesteś pewien?

- Czy jestem pewien? Jeśli chcesz, mogę ci podać pełną, pierdzieloną listę. W dodatku brak najlepszych okazów - głównie pamiątek związanych z Krayami. Łącznie z parą szpilek, która kiedyś należała do Barbary Windsor. Kupiłem ją od księdza we Flitwick w Bedfordshire. To długa, surrealistyczna historia. A to wyłącznie rzeczy, które ja kupiłem dla Johna. Sporo zdobył przez innych pośredników albo wyszukał sam.

Sukinsyn. Zatem to dlatego Vince Chesney ustąpił tak szybko - dał mi taniochę, a śmietankę zatrzymał dla siebie.

- Resztę też ci dostarczę - obiecałem. - Tymczasem przejrzyj cokolwiek, kurwa, znajdziesz na tej płycie i przedstaw mi wyciąg. Wszystko, co może wydawać się interesujące. W tej sprawie błędę w absolutnej ciemności, Nicky. Przyda mi się nawet jedna świeca.

- Jasne, jasne.

Popchnął mnie w stronę drzwi. Teraz, kiedy uzgodniliśmy warunki, nie mógł się już doczekać kiedy sobie pójdę. Ale kiedy byłem w połowie schodów, zawołał do mnie. Zatrzymałem się, a on podszedł, grzebiąc w kieszeni dzinsów.

- Masz - powiedział, wręczając mi klucz. Zapomniałem nawet, że mu go dałem. - O mało nie zapomniałem. Skrytki bagażowe, dworzec Victoria.

Kilometr od miejsca, w którym spotykali się John Gittings i Vince Chesney. Owszem, pasowało.

- Dzięki - rzuciłem.

- Bardzo proszę. Czekam na pokorne przeprosiny.

- Doczekasz się - odparłem. - Wcześniej czy później. To może sprawić, że wcześniej. - Schowałem klucz do jednej z wielu ukrytych

kieszeni mojego płaszcza. - Co puścisz na swój pierwszy seans, Nicky?

- Ten film Friedkina. - Pstryknął palcami, udając, że szuka w pamięci.

- Ten, w którym egzorcysta wylatuje przez okno i wykrwawia się na śmierć na chodniku. Połączę to z „Dniem żywych trupów”. Znasz mnie. Uwielbiam szczęśliwe zakończenia.

- Zadzwoń - przypomniałem. Kiwnął głową.

- Jedna świeca. Jasne. Pamiętaj tylko, żeby nie odkręcać gazu, Castor.

Igranie z ogniem bywa niebezpieczne. Hej, wyłączyłeś może komórkę?

- Nie - odparłem odruchowo, nie sprawdzając. - A czemu?

- Bo powoli zaczynam zamieniać się w twoją pierdzieloną automatyczną sekretarkę. Ten twój kumpel, gliniarz, dzwonił i powiedział, że za parę dni może mieć dla ciebie soczysty kąsek. I wcale mi się nie podoba, że podałeś mu mój numer.

- I?

- I od naszego dzisiejszego spotkania już trzy razy dzwoniła Pen Bruckner. Chciała wiedzieć, gdzie jesteś. Mówiła, że miała się zjawić w sądzie, czy coś takiego.

Z Walthamstow do Barnet nie jest daleko, przynajmniej lotem ptaka. Jednakże taksówka wlokąca się po zatłoczonej Obwodnicy Północnej potrzebuje sporo czasu, by pokonać tę odległość. Z czystej desperacji zaproponowałem kierowcy dodatkową dwudziestkę, jeśli zdoła skrócić drogę i w odpowiedzi zjechał w boczne uliczki, w których co prawda poruszaliśmy się szybciej, ale chyba też pokonywaliśmy krótszy dystans.

Miałem rację co do telefonu: nadal był włączony, ale bateria, stara i wymagająca wymiany, kompletnie zdechła, toteż niczego to nie zmieniało.

Czasami mogę wycisnąć z niej jeszcze minutę czy dwie, wyjmując ją i wkładając z powrotem. Ale tym razem padła na amen.

Kiedy dotarłem do sądu, musiała dochodzić już czwarta. Miałem nadzieję, że sprawa zacznie się później, ale gdy tylko ujrzałem Pen siedzącą na zewnętrznych schodach pojąłem, że nie ma się już po co śpieszyć. Po jej minie zorientowałem się też, jak poszło.

Usiadłem obok niej. Nie obejrzała się, zupełnie jakby mnie nie zauważyła.

- Co się stało? - spytałem ostro. Nie odpowiedziała, więc powtórzyłem: - Pen, co się stało?

- Powiedział, że przyjrzał się składowi trybunału - odparła powoli Pen, jakby odczytywała kolejne słowa ze słabo zadrukowanej kartki. - I że nie był właściwy. Mieli dopilnować, by trybunał był całkowicie niezależny, bez możliwych konfliktów interesów i niczego takiego, ale tego nie zrobili. Toteż wszelkie podjęte przez niego decyzje nie są wiążące.

Zamrugalem. Na razie wszystko brzmiało dobrze.

- W takim razie...

- Ale powiedział też, że przemyślał kwestię opieki prawnej i zmienił zdanie co do tego, że nie podlega jego jurysdykcji. - Spojrzała na mnie, blada, wyczerpana. - Oświadczył, że ktoś musi dbać o Rafiego, i to ktoś działający wyłącznie w jego najlepszym interesie. Ktoś, kto rozumie kwestie medyczne, wie co wchodzi w grę i nie kieruje się emocjami i uprzedzeniami. Ktoś o niezależnym umyśle, fachowiec znający się na rzeczy.

Przewidziałem pointę, ale mój rozsądek zbuntował się przeciw niej.

Podobnie mój żołądek.

- Nie chcesz mi, kurwa, powiedzieć...? - zaprotestowałem.

Pokiwała głową.

- Przyznał ją Jennie-Jane Mulbridge. Teraz to ona jest opiekunką prawną Rafiego i podpisała już wszystkie wymagane formularze. Przyniosła je ze sobą, Fix. Wiedziała, co się stanie. Potem Runcie pozwolił im kontynuować obrady na miejscu, bo cały skład był obecny. Raz, dwa, trzy załatwili wszystko. - Zamrugła, walcząc z łzami. - Sądziłam, że ma na względzie dobro Rafiego, ale po prostu nas wykiwał. Ta krowa jutro zabiera Rafiego do KOM. A tam będzie mogła z nim robić, co tylko zechce.

- Po moim trupie - przyrzekłem.

Była to jednak instynktowna reakcja, na którą lepiej uważać. Potrzebowałem zaledwie paru chwil spokojnego namysłu, by ją zmienić.

- Albo lepiej - poprawiłem - po jej trupie.

Doskonale wiedziałem, że czeka mnie kolejna długa noc. Miałem jeszcze przed sobą ostateczną torturę w postaci kolacji z Juliet i uroczą panią Julietową. Ale najpierw musiałem załatwić kilka spraw.

Do Paragona dotarłem koło szóstej. Według recepcjonisty, Merrilla, wtedy właśnie zaczynała się zmiana Josepha Onugety. Kiedy wszedłem, Merrill siedział za biurkiem, czytając „Evening Standard”. Machnął kciukiem, wskazując za plecy.

- Jest w schowku - oznajmił i wrócił do przerwanej lektury.

Schówek okazał się pomieszczeniem na parterze, tej samej wielkości co sypialnie - a przynajmniej ta, którą oglądałem - wypełnionym regałami i stosami pudeł ze środkami czyszczącymi. Kiedy zapukałem i wszedłem, Joseph Onugeta przebierał się właśnie w kombinezon roboczy. Wcześniej sądziłem, że Onugeta to nazwisko wschodnioafrykańskie, ale skórę miał w odcieniu ciemnej, niemal fioletowej czerni kast nietykalnych z Indii wschodnich. Głowę porastały mu szare jak popiół włosy, tak mocno skręcone, że wydawały się niemal przejrzyste, tworzące wysokie zakola nad błyszczącymi, niemal czarnymi oczami o grubych powiekach. Wargi zaciskały się w ponurym grymasie kogoś, kto widział już wiele syfu i spodziewa się zobaczyć jeszcze więcej. Często tak działałam na ludzi.

Przedstawiłem się i poinformowałem, po co przychodzę: że interesuje mnie to, co widział i słyszał w dniu morderstwa. Słuchał z ponurą obojętnością; kąciki ust opadły mu, jakby moje słowa go

zasmuciły.

- Powiedziałem już policji - zauważył.

- Wiem o tym - zgodziłem się. - Ja tylko sprawdzam szczegóły, zwłaszcza ten o głosie kobiety, dobiegającym z pokoju.

Na słowo kobieta zaszła w nim wyraźna zmiana, ciałem wstrząsnął dreszcz. Onugeta powstrzymał go z trudem, zaciskając dłonie w pięści.

- Może mi pan powiedzieć o niej coś więcej? - poprosiłem. - Nie widział pan, jak wchodziła do pokoju?

Bez słowa pokręcił głową.

- Pamięta pan, co mówiła?

Kolejny ruch głowy uznałem za przeczący, ale nim zdążyłem zaatakować następnym pytaniem, Onugeta przemówił napiętym, monotonnym głosem.

- Nienawidzę was - wymamrotał. - Nienawidzę was, kurwa, wszystkich. Gdyby tylko dało się zabić was wszystkich, skurwysyny, jednego za drugim, po kolei, zrobiłabym to.

Potrzebowałem sekundy, żeby pojąć, że nie mówi do mnie, ale cytuje z pamięci.

- Chcę, żeby cię, kurwa, bolało, i to bardzo. Chcę widzieć w twoich oczach, jak bardzo cię boli. A kiedy zdechniesz, chciałabym móc cię ożywić i zadać jeszcze więcej bólu.

Umilkł, odwrócił się do mnie plecami i zdjął z jednej z półek parę słonecznie żółtych rękawic.

- Coś takiego. Raz po raz, bez końca. Jeden mężczyzna powtarzał: „Nie mówisz serio, nie mówisz serio”. Bał się, bardzo się bał. A potem drugi powiedział: „Zrób coś, żeby przestała”.

Musiałem bardzo uważać z następnym pytaniem. Uważać, by nie zabrzmiało oskarżycielsko.

- Nie pomyślał pan, żeby tam zajrzeć?

Joseph obdarzył mnie pełnym goryczy spojrzeniem.

- Co dzień słyszę tu gorsze rzeczy - oznajmił. - Znacznie gorsze. Kocham cię, nienawidzę cię, zerżnę cię. Wszyscy tutaj to mówią. Albo myślą. A ja po prostu idę dalej. To nie moja sprawa. Ja tylko opróżniam kosze na śmieci. Jest w nich dość koszmarów dla każdego. Ale kiedy przekręciliśmy klucz i zajrzeliśmy do pokoju... - Teraz patrzył w pustkę, jego twarz stężała, zapomniane rękawice dyndały w dłoni. - To nie miłość do tego doprowadziła - mruknął. - Miłość potrafi zmienić się w różne rzeczy, ale na jego ciele nie został nawet kawałek, którego by nie... - Nie dokończył, potrząsając głową, jak pies próbujący się wysuszyć. - Trzeba mnóstwa nienawiści, by zrobić coś takiego. By nienawidzić kogoś nawet po śmierci.

Nagle przypomniał sobie o tkwiących w ręce rękawicach, nałożył je i naciągnął kolejno na palce z mechaniczną, wyćwiczoną precyzją. Jego oczy zniknęły pod powiekami, wargi drgnęły lekko, jakby z bólu. I wtedy dostrzegłem prawdę, dostrzegłem to, co sprawiło, że poczuł się tak źle, że musiał wziąć wolne. On mówił o chorobie duszy.

- Josephie - powiedziałem, choć nade wszystko pragnąłem skończyć z tym i wydostać się na świeże powietrze. - Nie widziałeś jej? Nawet kątem oka, jak wchodziła bądź wychodziła z pokoju? - Już wcześniej zadałem to pytanie, ale biorąc pod uwagę stan jego umysłu, warto było raz jeszcze rzucić kośćmi. Ponieważ nie mógł uwolnić się od tych wspomnień, może jeśli będę krążył wokół nich, doczekam się jakiegokolwiek

wskazówki, oświecenia.

- Poznam ją, jeśli zobaczę. - Joseph postukał palcem w rękawicze w prawą skroń. - Tamtej nocy śniłem o niej. Śnię o niej prawie codziennie. Mój tato miał dar, ja też go mam, czy tego chcę, czy nie. Ale to nie jest kobieta. Nie prawdziwa kobieta. Wiem, że to brzmi głupio, ale mnie to nie obchodzi. I tak powiem. Ma diabelską twarz. Długie rude włosy. Wysoka jak mężczyzna, silna jak mężczyzna. A tu, nad okiem, ma kółko jak krater. Jakby trafiła ją mała bomba i zostawiła lej. Albo jakby ją ktoś postrzelił i kula się odbiła.

Słuchając go, poczułem, jak włosy jeżą mi się na karku. Opisywał Myriam Kale: widział nawet bliznę po ospie. Jednakże wyraz jego twarzy świadczył, że kontynuowanie tej linii dochodzenia doprowadzi do paskudnego wybuchu, którego zdecydowanie wolałem uniknąć.

- Josephie - powiedziałem, zmieniając temat - twój szef, Merrill, wspomniał mi o czymś, co nie znalazło się w raportach policyjnych. Mówił, że niedługo po Barnardzie i Hunterze do hotelu wszedł inny mężczyzna. Starszy człowiek. Zupełnie sam. Przypominasz coś sobie?

- Tak. Wpadłem na niego na korytarzu. Wychodziłem właśnie z pokoju z naręczem pościeli i nim się obejrzałem, poleciałem do tyłu zamiast naprzód. Wpadłem na niego i odbiłem się. - Podniósł plastikowy kubeł, powiesił na nim dwie szmaty. - Ale wcale nie był stary. Nie wiem, skąd panu Merrilowi wziął się ten pomysł. Nie przyjrzałem mu się, ale był bardzo mocny. Silny. I chodził, no wie pan, jak rosły, silny mężczyzna. Rozkołysany. To nie był starzec.

Na te słowa coś poruszyło się w moim umyśle, ale nie próbowałem wyciągnąć tej myśli do światła. Jeszcze nie. Wiedziałem, że jeśli po nią nie

sięgnę, w stosownej chwili sama się wynurzy. Podziękowałem Josephowi za jego czas i zaproponowałem dwudziestkę z malejącego zapasu. Wziął ją, nawet na nią nie patrząc. Tam, gdzie w tej chwili przebywał, pieniądze nie dawały pociechy.

Teraz musiałem dostać się do Kingsbury, bo byłem umówiony na kolację z Juliet i Sue Book. Najłatwiej byłoby mi dojechać do Baker Street i przesiąść się na linię Jubilee. Przysięgam na Boga, że to właśnie miałem zamiar zrobić, ale klucz Johna tkwił w mojej kieszeni, przepalając ją na wylot. Ile czasu trzeba, żeby otworzyć skrytkę i zabrać zawartość? Góra pięć minut. Nadal mógłbym to załatwić i luźnym sikiem zdążyć do Juliet. Odkryłem zatem, że kieruję się na południe, choć nie przypomniałem sobie, bym świadomie podjął taką decyzję.

Skrytki na bagaż na dworcu Victoria są rozrzucone przypadkowo po całej stacji, lecz największe ich skupisko mieści się obok Prêt à Manger, na południowym końcu głównego przejścia. Najpierw sprawdziłem tam, ale nie znalazłem skrytki numer 167. Zawróciłem zatem zygzakiem w stronę ruchomych schodów prowadzących do metra, przeglądając kolejne rzędy skrytek i w czwartym czy piątym w końcu trafiłem. Tyle że „trafiłem” to określenie względne, bo kiedy otworzyłem skrytkę 167, okazała się pusta.

Poczułem nagłe ukłucie zawodu; przepełniające mnie podniecenie ulatywało niczym powietrze z przebitego balonu - ale tylko przez moment. Potem przypomniałem sobie, jak John rozgrywał wcześniejsze posunięcia w tej grze. Najpierw foliowa torba, przyklejona za szufladą biurka. Potem zapisany od tyłu numer telefonu na pudełku zapalek baru, który okazał się nie miejscem kontaktowym, lecz takim, z którego dobrze je widać. Zawsze

ten dodatkowy akcent paranoi, wynalazki umysłu zdecydowanego przechytrzyć nie tylko innych, ale i samego siebie.

Opadłem zatem na czworaki i, przeznaczywszy w duchu spodnie na śmietnik historii, przyjrzałem się bliżej wnętrzu skrytki. Nadal niczego nie widziałem, ale kiedy wetknąłem do środka ręce i obmacałem wszystkie powierzchnie, coś wyczułem - coś przyczepionego do górnej ścianki, co ustąpiło lekko pod moim dotykiem i co różniło się fakturą od metalu.

Zdołałem złapać narożnik tego czegoś i oderwać. To była duża gruba koperta, przylepiona do ściany skrytki taśmą klejącą.

Szukałem nadal, wołałem zyskać absolutną pewność, że niczego nie przeoczyłem, ale nie odkryłem żadnych innych skarbów.

Zostawiłem klucz w zamku i zaniósłem moje znalezisko do baru dworcowego. Tam zamówiłem whisky z wodą i otworzyłem kopertę, czekając na drinka.

Po „A do Z”, pudełku zapalek i kluczu spodziewałem się kolejnego przedmiotu rodem z tanich powieści sensacyjnych. Lecz kopertę wypełniała muzyka. A raczej gruby plik papieru nutowego - zapiski na owym papierze na moje oko nie miały cienia sensu. Sekwencje nut - jeśli nimi były - zapisano jedynie pionowymi kreskami markera, bez informacji o tym, jak długo należy je utrzymać. Odbijały się rykoszetami po całej skali, bez cienia sensu ani rytmu. Jeśli przypominały cokolwiek, to to, jak mówi ptaszek Woodstock w komiksie „Fistaszki”. Z całą pewnością nie była to muzyka. A w gąszczu pionowych linii dostrzegłem także litery alfabetu, gwiazdki i poziome kreski.

Zrozumiałem ze znużeniem, że musi to być kolejny szyfr. Następna tajna wiadomość od Johna dla niego samego, która po odszyfrowaniu

wskaże najpewniej położenie kolejnej tajnej wiadomości i tak dalej, aż do szczelin zagłady.

Dostałem swoją whisky i popijając, przeglądałem kartki, próbując ustalić, czy można ułożyć je na sobie albo odczytać pod kątem tak, by otrzymać całe słowa. Nic z tego: jedynymi literami były D, T i K, rozrzucone najwyraźniej przypadkowo na kolejnych stronach. Z tego co widziałem, nic się tu nie kryło: co oznaczało, że brakuje mi jeszcze zbyt wielu elementów układanki, by odgadnąć, co przedstawia obrazek.

Brakujące elementy. O tak, było ich mnóstwo. Choćby reszta pamiętek po mordercach: te, które Chesney zwędził dla siebie, kiedy usłyszał o śmierci Johna, nim jeszcze śmiertelnie go wystraszyłem moim telefonem. Nagle w mojej głowie znikąd zrodził się pomysł. Sięgałem już po telefon, kiedy uświadomiłem sobie, że jeszcze nie zdołałem doładować draństwa. Zamiast tego pogrzebałem w kieszeni, wyłowiłem resztki drobnych, znalazłem właściwą monetę. Z pewnością dość na miejscową rozmowę telefoniczną, a ta była bardzo miejscowa.

Podszedłem do aparatów. Było kretyńsko późno, ale czy koleżanka Chesneya - Smeet - nie wspominała, że pracują do dziesiątej? Istniała szansa, że zastanę go w laboratorium. W każdym razie warto spróbować.

Wybrałem numer komórki Chesneya - ten z pudełka zapalek Johna. Odebrał po trzecim dzwonku.

- Tu Vince - rzucił wesoło. - Co się urodziło?
- Zabawne, że pytasz - odparłem.
- Castor! - Nagle cała radość zniknęła z jego głosu.
- Cześć, Vince. Pracujesz do późna?
- Tak. - Teraz mówił kwaśnym tonem, ostrożnie. - A co?

- A to, że zastanawiałem się, kiedy najlepiej będzie podejść i odebrać resztę rzeczy Johna.

- Jaką resztę? Dałem ci wszystko co miałem.

- Proszę, Vince. - Bardzo się starałem przemawiać z wyniosłym znużeniem. - Nie każ mi czytać ci pierdzielonej listy. Po pierwsze, byłyby na niej szpilki Barbary Windsor, a nie chcę, by jakiś przechodzień pomyślał sobie, że jestem zboczeńcem. Zakładam, że zatrzymałeś rzeczy, które uznałeś za najcenniejsze. Zakładam też - bo cię lubię i nie chciałbym podrywać ci ani połamać kawałków ciała - że wciąż je masz. Jeśli oba te założenia są trafne, następnym słowem, jakie wypowiesz, będzie „tak”.

Długa cisza, podczas której musiałem nakarmić automat żalonymi resztkami moich drobniaków.

- Tak - powiedział w końcu Vince z głuchą rezygnacją.

- Świetnie. Dziękuję. A oto kolejne pytanie. - Próbowałem mówić lekkim tonem, lecz to właśnie był ważny, natchniony pomysł, który przyszedł mi do głowy, kiedy popijałem whisky. Prawdziwy powód, dla którego dzwoniłem do Chesneya teraz, a nie jutro rano. Zdecydowałem się na blef, bo instynkt podpowiadał mi, że powinienem dać mu możliwie jak najmniej pola do manewru. - Czy wyciągnąłeś coś użytecznego z pamiętki po Myriam Kale?

Cisza po drugiej stronie linii ciągnęła się nieznośnie. Odczekałem, ile tylko mogłem, lecz w końcu musiałem nacisnąć.

- No?

- Właśnie sprawdzam - warknął nadąsanym głosem Chesney. - Oddałem ci przecież płytę, pamiętasz? Zostały mi tylko pliki zapasowe i w ogóle ich nie zindeksowałem. Och. Dobra. Tak, mam. Tylko odcisk palca.

Ta plama to nie była krew, tylko szminka czy coś w tym stylu. Wosk, karnauba, lanolina, wazelina... Tak, zwykła szminka. Odcisk jest wyraźny, ale policja ma je przecież w aktach. A co?

Nie odpowiedziałem, bo znaczenie jego słów na moment oślepiło mnie i ogłuszyło. Strzał w dziesiątkę. Teraz nie tylko mieliśmy przedmiot Kale, niezbędny do przywołania ducha, ale także brakujące ogniwo dowodzące tego, co wydawało mi się coraz bardziej prawdopodobne, odkąd Doug Hunter wymówił słowo inskrypcja, gdy odwiedziliśmy go w Pentonville. Martwi zabójcy Johna i odrodzona Myriam Kale. Nie dwie sprawy, lecz jedna. Trudno sobie wyobrazić, jak nieprawdopodobny łańcuch wydarzeń bądź przypadków mógł powiązać grupę twardzieli z East Endu z lat sześćdziesiątych i wcześniejszych z nieżyjącą panią amerykańskich gangsterów, pojawiającą się w pokoju hotelowym w King's Cross, by raz jeszcze zakosztować rozkoszy cielesnych. Istniał tu jednak potężny, podziemny łańcuch skutków i przyczyn, musiał istnieć, tyle że jeszcze go nie widziałem. Czułem się jakbym spacerował brzegami Loch Ness i moje zdumione oczy dostrzegły właśnie niewielki fragment splotów ukrytego w jeziorze potwora.

- Castor? Jesteś tam jeszcze? - Głos Chesneya wyrwał mnie z transu.

- Pytałem, czemu chcesz wiedzieć?

Sprawdziłem godzinę. No dobra, będzie ciasno. Nawet jeszcze ciasniej - dotrę do Juliet spóźniony, a Sue Book spojrzy na mnie ze łzami wyrzutu w oczach i spaloną zapiekanką w okrytych rękawicami kuchennymi dłoniach. A potem Juliet wypruje mi flaki za to, że doprowadziłem Sue do płaczu.

- Bo potrzebuję tego natychmiast - oznajmiłem. - Przygotuj to dla

mnie, jasne? Jestem na Victorii, powinienem dotrzeć na miejsce za góra dziesięć minut.

- Nie! - zaprotestował. - Nie jestem tu sam, Smeet przeprowadza właśnie sekcję. To nie najlepsza pora.

- Chesney, ni cholery mnie to nie obchodzi. Zaraz będę.

- Kurwa! Dobra, zaczekam na schodach. Przed studiem porno, jasne? Na pierwszym piętrze?

- Dobra. Do zobaczenia.

Rozłączyłem się i ruszyłem do wyjścia. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że powinienem także zadzwonić do Juliet, zawiadomić ją, że się spóźnię. Ale mogłem to zrobić, wracając - a przynajmniej wówczas mógłbym jej powiedzieć z ręką na sercu, że już jadę. A może zdobycz, którą przywiozę, osłabi nieco jej demoniczny atak złości?

Wyszedłem z dworca na drugą stronę ulicy, odruchowo oglądając się za siebie. Nikt mnie nie śledził i niczego nie wyczuwałem, żadnego złowieszczonego mrowienia na karku czy w głębi umysłu. Jeśli nawet w ciągu ostatnich kilku dni coś martwego kręciło się w pobliżu, to już zniknęło.

Skreśliłem w wąski zaułek, w którym rzuciła kotwicę Klinika Patologii Weterynaryjnej Nexus: z drugiego końca ulicy widziałem, że drzwi stoją otworem. Pewnie dlatego, że Vince zszedł już na dół i uchylił je dla mnie.

Ale czy nie wspominał, że nocami pracuje tam strażnik? Pusty hol za drzwiami był jasno oświetlony i wyglądał na pusty.

Ostrożnie podszedłem do drzwi i przekroczyłem próg. Hojnie szafuję

groźbami, ale tak naprawdę nie chciałem, żeby Vince dostał naganę bądź wyleciał z pracy. O ile niczego bym przez to nie zyskał.

Stanowisko ochrony było puste, lecz włączony monitor za ladą pokazywał kawałek klatki schodowej. Może strażnik właśnie robił obchód. A może nie. Mijając ladę w drodze do schodów, dostrzegłem za nią coś ciemnego, tuż przy ziemi. Skłębiona masa mokrych włosów na ludzkiej głowie. Zatrzymałem się i nachyliłem, patrząc w dół. Strażnik leżał na podłodze, oparty o tylną ściankę swego ciasnego królestwa. Trudno było dostrzec jego twarz, bo opuszczona głowa spoczywała na piersi, lecz sądząc po ilości krwi ściekającej na korpus i rozlewającej się wokół po podłodze, z jego twarzy nie pozostało zbyt wiele.

Krew wciąż kapała. Wciąż się rozlewała.

Pragnienie ucieczki przed niebezpieczeństwem to jeden z filarów trzeźwego umysłu, a sam lubię myśleć, że jestem równie trzeźwy jak inni - choć w Londynie nie znaczy to wiele. Istniały dwa powody, dla których pobiegłem na górę, zamiast umknąć na ulicę: po pierwsze, przekonanie - może nierozsądne - że ktokolwiek to zrobił, wcześniej próbował zrzucić mnie w głąb szybu windy. I po drugie, pragnąłem odpowiedzi, a wsadzenie głowy w paszczę lwa wydawało się jedynym sposobem zdobycia ich.

Myśl, że Vince i Smeet może wciąż jeszcze żyją, przysłała mi do głowy, gdy dotarłem na pierwsze piętro, nie mogę więc twierdzić, że była częścią pierwotnego impulsu, który mnie tam posłał. Może jednak dodawała mi siłę, gdy pokonałem biegiem następne schody, pędząc w stronę drzwi weterynarza, nie tyle otwartych, ile wyrwanych z zawiasów.

Zwolniłem na progu, bo w nozdrza uderzyła mnie fala smrodu - ostrych, gorących, zwierzęcych feromonów, tak mocnych, że zgęstniało od

nich powietrze. *Loup-garou*, to musiało być to. Nic naturalnego tak nie pachnie. Sięgnąłem za pazuchę po flet i przekroczyłem próg, obracając się powoli, by zminimalizować możliwość ataku z tyłu. Cokolwiek to było, działało szybko, bezlitośnie: strażnik na dole zginął na posterunku i padł na miejscu, bez śladów walki ani próby ucieczki.

Tu, na górze, ujrzałem mnóstwo śladów walki. Pomieszczenie zdemolowano z imponującą dokładnością i przemocą: przewrócone biurka i szafki leżały na podłodze, z połamanych półek wylewały się na ziemię krwotoki książek i akt. Pod moimi stopami zachrząściło stłuczone szkło.

Najpierw zobaczyłem Vince'a. Czy, dokładniej mówiąc, jego głowę, patrzącą na mnie ślepo z wieszaka, na który ją nabito. Strużka krwi nakreśliła prostą linię, schodzącą od kącika ust na brodę, a twarz wyrażała łagodne zdumienie i konsternację. Reszta ciała leżała jakiś metr dalej, pod rozerwanym kaloryferem, odrzuconym na bok z nonszalancką siłą.

Po sekundzie zobaczyłem Smeet: kucąca pod jedynym nadal stojącym biurkiem, dłonie zaciśnięte w pięści przyciskała do ust. W jej niewiarygodnie wytrzeszczonych oczach odmalowywał się szok. Dopiero po chwili zorientowałem się, że wciąż żyje.

- Już dobrze - powiedziałem bezmyślnie.

Nim jednak zdążyłem wykombinować coś jeszcze głupszego, światła zgasły, pograżając pokój w nieprzeniknionej ciemności.

W mroku, metr ode mnie, usłyszałem dźwięk. Syk? Tak, nazwijmy go sykiem. Pewnie natychmiast pomyśleliście o węzach, ale to nie był głos węża, lecz syk, jaki wielki drapieżnik - powiedzmy tygrys - wydaje instynktownie, otwierając paszczę jak najszerzej.

W tym momencie dźwięk ów bynajmniej nie dodał mi otuchy.

Ewangelia według Castora, rozdział I, wiersz I: w razie wątpliwości uskakuj.

Rzuciłem się naprzód na rumowisko i coś przeleciało mi nad głową tak szybko, że poczułem towarzyszącą mu falę powierza.

Wylądowałem ciężko na strzaskanym drewnie i stłuczonym szkłe, kalecząc dłonie, gdy wyciągnąłem przed siebie ręce, by powstrzymać upadek. Pokojem wstrząsnął ogłuszający hurgot, gdy napastnik nieplanowo wylądował gdzieś po prawej. Potem przeturlałem się i ukląknąłem na kolanie, unosząc do ust flet i wyrzucając z niego rozdzierającą dysharmonię.

Tak naprawdę stanowiła jedynie wstępny znacznik, nic więcej - nie znałem tego zmiennokształtnego dość dobrze, by zagrać melodię specjalnie dla niego. Są jednak pod jednym względem wrażliwsze od duchów i demonów, dokładnie z powodu swej dwoistej natury: ludzkich dusz, zakładających zwierzęcym ciałom niematerialnego podwójnego nelsona. Aby je osłabić, wystarczy wbić łom pomiędzy człowieka i zwierzę i zacząć naciskać.

Oczywiście zakładając, że będą siedzieć spokojnie i pozwolą nam to zrobić.

Niewidoczny stwór, z którym walczyłem, ryknął głębokim basem i podłoga zadygotała: a może to tylko ja?

Potem rozległ się szum, usłyszałem chrobot pazurów na drewnianej

podłódze.

Zamierzałem znów uskoczyć, ale nie dotarłem tak daleko - coś bardzo twardego uderzyło mnie w lewe ramię, posyłając na ziemię i wytrącając z dłoni flet, który poleciał w ciemność.

Wykorzystałbym siłę rozpędu, by się odturlać, oddalić od stwora, ale tuż za sobą miałem wywrócony mebel. Uderzyłem w niego mocno, wywinąłem koziołka i wylądowałem głową naprzód po drugiej stronie. Kąt mojego upadku i siła uderzenia sprawiły, że nie zdołałem ochronić głowy, która rąbnęła o ziemię. Przed oczami zatańczyły mi światełka, z rozpaczliwą desperacją walczyłem z nadchodzącym omdleniem - bo gdybym nawet na sekundę stracił przytomność, byłby to koniec.

Macałem w ciemności w poszukiwaniu broni, wiedząc, że nie znajdę tej, która działa najlepiej; wiedząc, że potrzebuję szczęścia, światła i wsparcia, żeby choć trochę dopiec napastnikowi, a mało prawdopodobne, bym mógł liczyć na choć jedno z nich.

Lecz moja ręka na coś natrafiła, coś zaokrąglonego, o fakturze drewna: prawdopodobnie była to noga od krzesła albo biurka. Tak czy inaczej, miałem tylko ją, a kiepski to robotnik, który sprzecza się ze swoimi narzędziami. Znów usłyszałem chrobot dochodzący dokładnie z przodu: to niewidzialny napastnik wspinał się na to, przez co przeleciałem. Przez jedną, morderczą sekundę zmusiłem się do czekania, a potem z całych sił, jakie mi jeszcze zostały, oburącz zamachnąłem się zaimprovizowaną pałką, modląc się w duchu, by stwór skakał właśnie na mnie, kiedy ta opadnie. Jego własny rozpęd i waga nadałyby ciosowi znacznie więcej mocy, niż moje obolałe mięśnie.

Siła zderzenia wstrząsnęła moimi rękami aż do ramion. Coś

chrupnęło i stwór ryknął z bólu, spadając na mnie. Poczulem szpony przebijające mi ramię. Ja także wrzasnąłem, kopiąc i przekręcając się, próbując wydostać się spod niego, nim otrząśnie się z bólu i szoku.

Nic z tego. Zdołałem unieść tułów parę centymetrów nad ziemię, potem jednak szpony zacisnęły się, posyłając błyskawice męki w głąb mego uwięzzonego ciała, a gorący, cuchnący oddech omiótł mi twarz niczym podmuch żaru z palnika. Odchyliłem głowę, nie przejmując się już możliwym wstrząsem mózgu, i szczęki kłapnęły nade mną dość blisko, bym usłyszał ów dźwięk. Na twarz pociekło mi coś ciepłego i mokrego - ale przynajmniej nie były to kawałki mnie.

Kierując się czystym instynktem, bez cienia jakiegokolwiek planu, wbiłem kołek w miejsce, w którym musiała znajdować się paszcza. Nagrodził mnie kolejny, gwałtowny wstrząs. Tym razem stwór nie ryknął z wściekłości: trudno wydawać z siebie mordercze wrzaski z trzydziestocentymetrową wykałaczką wbitą w paszczę. Kopnąłem, szarpnąłem się i uwolniłem spod niego, wyrywając się z zaciśniętych szponów i próbując nie myśleć, jak wiele własnej, cennej skóry w nich zostawiam.

Wiedziałem aż za dobrze, że to jeszcze nie koniec. Zraniłem go i dałem mu trochę do myślenia, przynajmniej nie tylko na mój temat, ale w tej walce nie mogłem zwyciężyć - nie bez fletu i czasu dłuższego niż parę sekund, który zapewne mi został.

Moje oczy zaczynały przywykać do ciemności, przynajmniej odrobinę, i dostrzegłem przed sobą krzywy czworobok wyrwanych drzwi. Pół biegnąc, pół potykając się, rzuciłem się ku nim - przynajmniej jeśli skurwiel poleci za mną, odciągnę go od Smeet i dam jej choćby cień

szansy.

Dotarłem na zewnątrz, lecz w głowie wciąż jeszcze kręciło mi się od wcześniejszego wstrząsu i omal nie poleciałem w głąb klatki, nim zatrzymałem się w poślizgu i rozejrzałem. Góra czy dół? Zero wahania. Gdybym pobiegł na górę, znalazłbym się w potrzasku w chwili, gdy zabrakłoby mi schodów. Na dole czekała ulica i niewielka, lecz realna szansa, że jakoś się z tego wykaraskam.

To, co się stało potem, mogłem uznać za błogosławieństwo w przebraniu. *Loup-garou* wypadł z drzwi tuż za mną i całym ciężarem uderzył mnie w sam środek pleców tak, że runąłem po schodach, koziółkując szaleńczo. Oznaczało to, że dotarłem tam, gdzie chciałem, znacznie szybciej: niestety, znaczyło też, że znalazłem się na ziemi, poobijany, z boleśnie wykręconą ręką. Przy drugim czy trzecim odbiciu od stopni straciłem oddech, mogłem zatem tylko leżeć bez ruchu, wciągając w płuca powietrze głośnymi, chrapliwymi haustami.

Szczyśliwy traf sprawił, że wylądowałem na wznak, patrząc w miejsce, z którego przybyłem, i w świetle padającym z ulicy po raz pierwszy ujrzałem stwora, który miał zaraz mnie zabić. Mimo imponujących rozmiarów, *loup-garou* zbiegał po stopniach z zupełnie niepasującą doń lekkością i wdziękiem, najpierw powoli, potem przyśpieszając, bo strome schody zbudowano z myślą o dwóch, nie czterech nogach. Był smukły i czarny - albo może tak ciemny, że w słabym świetle wydawał się czarny - a z kształtu przypominał panterę: ramiona i przednie łapy masywniejsze niż tylne, szpony długie jak ostrza scyzoryka, środek ciężkości blisko ziemi. Głowa natomiast wyglądała nieco bardziej eklektycznie: pysk zbyt szeroki i wypełniony zbyt zróżnicowanymi

rodzajami zębów, by móc udatnie naśladować kota. Nad nim wznosiło się wysokie, niemal ludzkie czoło, mętne wspomnienie ludzkiej twarzy ukrytej pod obliczem bestii.

I przez sekundę w mroku ta twarz skojarzyła mi się z już kiedyś widzianą.

Pokonawszy połowę schodów, stwór wyprysnął w powietrze pełnym gracji, leniwym skokiem, który miał go doprowadzić wprost do mnie. Niezdolny przywołać dość sił, by się ruszyć, spałem się cały, bezsensownie zaciskając pięści do walki, do której i tak nie miało dojść. Jeśli nie zabije mnie siła zderzenia, zrobią to szpony - i, tak czy inaczej, nie zdołam wyrazić swej opinii w tej sprawie.

Lecz skok *loup-garou* zakończył się przedwcześnie, bo z nocy śmignęło coś innego, wyskakując i zderzając się z nim w powietrzu.

To nowe coś było znacznie mniejsze: zmiennokształtny musiał ważyć około dwustu kilogramów, a w dodatku na jego korzyść przemawiała siła ciężenia. Logicznie rzecz biorąc, powinien dalej opadać, a intruz uderzyć w niego nieszkodliwie i dać się ponieść w dół większej masie i rozpędowi.

Zamiast tego obaj przez moment jakby zawisli w powietrzu, gdy niesamowita przeciwwaga zrównoważyła energię skoku potwora, a potem przelecieli razem przez delikatną balustradę i wylądowali na ziemi pośród syków i warkotów, pięć metrów ode mnie.

Intruz okazał się człowiekiem: długonogim, długorękim, chudym jak szkielet i ubranym w długi płaszcz, który rozpostarł się na moment niczym skrzydła. Szpony *loup-garou* chlasnęły, rozcinając ubranie i białą skórę oraz ukryte pod nią czerwone mięso. Lecz przybysz nie zwracał na nie uwagi. Jego własne ciosy posypały się na stwora, ciężkie i mocne jak

uderzenia młota. Słyszałem jak trafiają, a zmiennokształtny parsknął i warknął, szamocząc się pod nim.

Tak powiedziałem: pod nim. Nieznajomy jakimś cudem zdołał wylądować na górze i w pełni wykorzystywał tę przewagę. Zakrzywiony szpon rozciął mu gardło, on jednak tylko się roześmiał, wesoło, gulgotliwie, gdy krew trysnęła z rany. A jego pięści wciąż unosiły się i opadały, jak tłoki, grzmocąc ciało *loup-garou*, miażdżąc i łamiąc, wdzierając się nielegalnie do środka.

I pod tym bezlitosnym deszczem zdarzyło się coś groteskowego i nieoczekiwanego. *Loup-garou* zaczął się dzielić i rozpadać, jego ciało zapadało się i rozłączało, ludzka postać znikła. Głowa sturlała się z ramion, wypuściła nogi i umknęła, cudownie przemieniona w wielkiego, czarnego kocura. Koty odrywały się od jego rosłych ramion, rozrzuconych nóg, złamanego grzbietu i rozbiegały na wszystkie strony. Ponownie poczułem dreszcz *déjà vu*.

Chudy jak szkielet mężczyzna złapał kilka umykających kotów i z wyraźną radością wykręcił je w dłoniach tak mocno, że ich kręgosłupy pękły, a one same zalały się krwią. Przytrzymał je nad głową tak, że krew ściekała mu do ust. Wciąż się śmiał, odchylając głowę z maniakalną radością. Większość kotów uciekła, lecz pół tuzina zakończyło życie w strzępach, w owych niewiarygodnie silnych dłoniach o smukłych palcach.

I nagle wszystko się skończyło. Mężczyzna rzucił na ziemię ostatnie martwe zwierzę, patrząc na nie z wyrazem bliskim żalu, i w szkieletowatym grymasie odsłonił długie brązowe zęby.

To był włóczęga, czy raczej człowiek, którego wziąłem za włóczęgę podczas spotkania przed biurem Maynarda Todda, a potem przed

krematorium Mount Grace, gdzie wystąpił w nieco elegantszym stroju. Teraz nie przypominał bezdomnego. Jego płaszcz połyskiwał czarną skórą, a chuda twarz miała surowe, patrycjuszowskie rysy. Wydatny nos i wielkie mięsiste usta sprawiały, że wyglądał jak bezrobotny aktor szekspirowski. Ubranie i skóra wisiały na nim w strzępach, w miejscach gdzie dosięgły go szpony *loup-garou*. Ale najwyraźniej mu to nie przeszkadzało.

- Kurwa! - wykrzyknąłem słabo.

Zerknął na mnie, jakby sobie przypominał o moim istnieniu.

- Porozmawiamy - rzekł suchym, boleśnie ochrypłym głosem, identycznie takim samym, jaki usłyszałem podczas pierwszego spotkania, gdy zaśpiewał obłąkańczą piosenkę o niebie i piekle. - Ale nie teraz. Jeszcze nie. Dopóki nie dowiesz się, o czym mowa. Nie lubię tracić czasu.

- Ki... kim...? - wybełkotałem niewyraźnie, próbując usiąść i zarazem nie czyniąc zbytnich postępów w tym kierunku.

Lanca rozżarzonego do białości bólu przeszła mi plecy od ramienia aż po kość ogonową, zatrzymując mnie w miejscu: szlag by to, możliwe, że złamałem kręgosłup.

- Przyjacielem - odparł chudzielec i zaśmiał się szyderczo. - Ponieważ to los zsyła nam przyjaciół, prawda, Castor? A z całą pewnością jestem wrogiem twojego wroga.

Podszedł do mnie i spojrzał z góry z zimnym, klinicznym zainteresowaniem.

- Trochę już podłapałeś - wymamrotał. - Musiałeś, bo nie jesteś głupcem. A tylko głupiec odmówiłby przyjęcia oczywistego jedynie dlatego, że wydaje się niemożliwe. Ale musisz sięgnąć do źródła. W przeciwnym razie zabiją cię, nim ty będziesz w stanie zabić ich. -

Zmarszczył brwi. - Sekwencja. Kadencja. Rytm.

Wszystko musi pasować. Nazywam się Moloch, możesz przekazać moje najlepsze życzenia - z ironicznym podtekstem - siostrze Bafometa.

- Komu?

- Twojej sojuszniczce. Pani. Mamy wspólną... przeszłość.

Przeszedł nade mną i zniknął w mroku, a ja nie byłem w stanie go powstrzymać.

Z najwyższym trudem dźwignąłem się na nogi - kręgosłup okazał się cały, jedynie potwornie poobijany - i wykuśtykałem stamtąd, nim w oddali zawyły syreny. Obejrzałem się tęsknie na górę, gdzie wciąż mogła leżeć reszta notatek i zdobyczy Chesneya, bez wątpienia z jego własną krwią uzupełniającą patynę historycznej przemocy, dzięki której tak wielu ich pożałowało. Teraz jednak nic mi po nich - nawet gdyby nie po nie przysłano *loup-garou*, a byłem niemal pewien, że jednak one stanowiły jego cel - nie mogłem sobie pozwolić na to, by tu zostać i ich poszukać. Mimo niechętniej pomocy Gary'ego Coldwooda, tego akurat miejsca zbrodni wolałbym nie odczytywać dla policji, jeśli tylko zdołam coś na to poradzić.

Dzwonek Susan Book odegrał cztery pierwsze takty „Jerusalem” - z jakichś przyczyn ich dźwięk tak mnie rozbawił, że zaśmiałem się głośno, choć w tym momencie śmiech bardzo bolał.

Drzwi otworzyła Juliet. Przez chwilę stała nieruchomo w progu, przyglądając mi się bez słowa i rejestrując wszystkie szczegóły - sińce na mojej twarzy, rozwaloną wargę, krew na koszuli. Powoli skinęła głową, jakby w uznaniu, że pewnie miałem ważny powód. Mimo to...

- Spóźniłeś się półtorej godziny, Castor - oznajmiła surowym tonem.
- Wiem - odparłem. - I bardzo mi przykro. Coś mnie zatrzymało.
- Pod bronią?
- Pod szponem. Mogę wejść, zanim upadnę?

Zastanawiała się jeszcze chwilę.

- Tak - rzekła. - No dobrze. Ale zjadłyśmy bez ciebie.

Przytrzymała przede mną drzwi, a ja wkuśtykałem do środka, zostawiając za sobą noc. Susan Book wypadła z kuchni ubrana w kwiecisty fartuch - widniała na nim nazwa i wizerunek passiflory - i otworzyła usta, by coś powiedzieć, potem jednak zmieniła zdanie, zaciskając wargi. Patrzyła na mnie tylko, mrugnawszy kilka razy, jakby chciała przegnać zasnuwającą jej oczy mgłę.

- Naprawdę mi przykro, Sue - powiedziałem. - Mam nadzieję, że nie zepsułem wam wieczoru. Właśnie tu szedłem, kiedy coś mi wypadło.

- Napijesz się czegoś? - spytała Juliet, która zna mnie całkiem dobrze.

Kiwnąłem głową.

- W takim razie chodź do salonu - dodała. Wymówiła te słowa z ostrożnym naciskiem, jakby nadal brzmiały dla niej obco. Niektóre koncepcje trudniej jej przyjąć niż inne.

- Myślę - wtrąciła pośpiesznie Susan - że najpierw powinniśmy zabrać Feliksa do łazienki

Juliet spojrzała na nią, zaskoczona. Sue wskazała ręką zaschniętą krew na moim ramieniu, w miejscu gdzie szpony *loup-garou* przebiły szynel i wniknęły głęboko w ukryte pod nim ciało.

- Ach - mruknęła Juliet. Rany to kolejna rzecz, o której trzeba jej

przypominać. Głównie dlatego, że jej ciało (jeśli można je nazwać ciałem) w rzadkich przypadkach, kiedy coś je uszkodzi, po prostu staje się płynne jak woda, naprawiając wszelkie ubytki. - Tak, oczywiście. Mamy jakieś środki dezynfekujące i bandaże?

Okazało się, że miały jedno i drugie. Susan świetnie się spisała, oczyszczając moje rany, choć na ich widok gwałtownie wciągnęła powietrze, a jej oczy się rozszerzyły. Przyglądając się sobie z obrzydliwą fascynacją w łazienkowym lustrze, doskonale zrozumiałem jej reakcję: wyglądało to jakby olbrzymi, drapieżny ptak chwycił mnie za ramię, próbując unieść w górę, a potem - sądząc po sińcach pokrywających cały tułów - zrezygnował i zrzucił mnie z wysokości na skały.

- To był jeden ze zmiennokształtnych - oznajmiła Juliet. Nie musiała pytać.

- Tak - oznajmiłem. - Pamiętasz Scruba?

Zmarszczyła brwi, sięgając do zasobów pamięci.

- Szczurołaka, który pracował dla Lucasza Damjohna - odparła, nie zdradzając żadnych emocji, choć nienawidziła Damjohna tak mocno, że przedłużyła jego konanie, uzupełniając je o kilka artystycznych dodatków.

- Zabiłeś go w porcie w Chelsea.

- Przygwoździłem go w porcie w Chelsea - poprawiłem. - Trafiłem sekwencją akordów dość mocną, by przegnać go z ciała, w którym się ukrywał. Ale wiesz, jak to jest z łakami. To zwykle stare dusze, twarde jak diabli. Większość przywykła do przenoszenia się w nowych nosicieli, kiedy starzy umierają. - Skrzywiłem się, gdy Susan nieco zbyt entuzjastycznie posmarowała jodyną wrażliwe, rozdarte miejsce.

- Chcesz powiedzieć, że to był Scrub? - spytała ostro Juliet.

Wzruszyłem ramionami i zacisnąłem zęby, bo ów ruch sprawił, że jodyna głębiej wniknęła w rany.

- Nie wiem. Przez sekundę wyglądał trochę jak Scrub. A potem jak ktoś inny. Ale Scrub to jedyny znany mi *loup-garou* będący kolonią. Zbudował sobie ciało ze szczurów, nie z jednego szczura. Stwór, którego dziś spotkałem, był w ten sam sposób zrobiony z kotów.

Na to wspomnienie musiałem powstrzymać fizyczny dreszcz - na poły niesmaku, na poły strachu. Nagle oczami duszy ujrzałem całą paradę kotów, przybłądę kręcącego się po mieszkaniu Gittingsów, kocura, na którego o mało nie nadepnałem, wracając do domu z biura adwokata w Stoke Nevington; dzikusa na Trafalgar Square, spotkanego, gdy rozmawiałem przez telefon z Jan Hunter. Założyłbym się o co chcecie, że pod skrytkami bagażowymi na dworcu Victoria też czaił się kot, że podsłuchiwał moją rozmowę z Chesneyem i w jakiś sposób zdołał dotrzeć tam pierwszy. Skazałem Chesneya na śmierć, dzwoniąc do niego. Juliet uniosła brew.

- Jeśli jeden zmiennokształtny dokonał przejścia od monady po gestalt, to można założyć, że inne też na to wpadły.

- Można założyć. Większość... au! Większość jednak tego nie robi. Bardzo chciałbym wiedzieć na pewno, bo jeśli to faktycznie Scrub, pewnie zdołam przypomnieć sobie melodię, za pomocą której go poskromiłem.

- Przepraszam, jeśli boli - wtrąciła Susan, odrywając wzrok od pracy.

- Ale masz paskudne, poszarpane rany. Łatwo mogłyby się zakazić.

Skinałem głową. Już to przerabiałem i mało prawdopodobne, bym zapomniał. Przynajmniej jednak tym razem miałem aktualne szczepienia przeciwężcowe.

- Nie przejmuj się, Sue - wymamrotałem, usilnie starając się przegnać z myśli widmo Larry'ego Tallowhilla.

Podczas gdy Susan przeszła od odkażania ran do ich opatrywania, opowiedziałem im obu, co się stało w Neksusie. Kiedy skończyłem, zbladła jak ściana. Juliet też wyglądała na poruszoną, chociaż w inny sposób.

- Moloch - powiedziała, a potem splunęła na podłogę.

Susan Book wzięła bez słowa kawałek papieru toaletowego i wytarła plamę.

- Tak. Mówił mi, że cię zna. Prosił, żebym przekazał ci najlepsze życzenia, z wyraźną sugestią, że nie są szczere.

- Bo nie są. - Juliet wyszczerzyła zęby. Zazwyczaj w obecności Susan, którą łatwo wystraszyć, potrafi panować nad sobą. Lecz najwyraźniej wzmianka o Molochu ruszyła ją na poziomie niższym niż udawane opanowanie. - Kiedyś, dawno, dawno temu, pozostawiłam na nim moje piętno. Ale to sięga głębiej. Jego gatunek i mój - byliśmy starymi wrogami nawet przed wielkim projektem.

- Przed czym?

Najwyraźniej przypomniła sobie, gdzie jest.

- Przed niczym - ucięła nieco zbyt szybko. - Wspominałam rzeczy dziejące się przed twoim urodzeniem. Powiedzmy po prostu, że jego gatunek to koty, a mój psy. Albo odwrotnie. Tam gdzie sukuby i inkuby osiadają i budują domy, shedim żyć nie mogą. Chętnie by mnie zranił, gdyby sądził, że zdoła. Ale co robi na Reth Adoma?

- Wiesz - poskarżyłem się - jeśli nadal będziesz tak gadać, poproszę o tłumacza symultanicznego. Co robi gdzie?

- Na Ziemi. Wśród żywych. Nie ma tu niczego, co mógłby jeść. Jeśli zostanie zbyt długo, umrze z głodu.

- Wyglądał, jakby już był tego bliski - zgodziłem się. - A przynajmniej wtedy, gdy spotkałem go po raz pierwszy, parę dni temu. Dziś wydawał się nieco zaokrąglony. I miał dość sił, by przegonić *loup-garou*.

Juliet zmarszczyła brwi, jej oczy zamglily się lekko, gdy podążała tokiem myślenia, którego nie chciała wypowiedzieć. Szczerze mówiąc, wolałem by tak zostało: trudno jest myśleć o piekle jak o rzeczywistym miejscu, a jeszcze trudniej wyobrażać sobie ją w nim. Miało to posmak kiepskich opowieści biblijnych i nieprzetrawionych metafor.

- To sprawa większa niż sądziliśmy - oznajmiła Juliet, znów na mnie patrząc. - Być może w grę wchodzi coś... coś ważnego. Coś wywiodło go poza bramy i sprawiło, że został tak długo, by utkać sobie ciało. Chyba...

- Co? - nacisnąłem. - Chyba co?

Wzruszyła ramionami.

- Nic. Sądzisz zatem, że Kale odegrała jakąś rolę w śmierci Johna Gittingsa?

- Nie wiem - przyznałem. - Na pewno nie bezpośrednio. Zabił się sam. Ale ta wielka sprawa, nad którą pracował - ta, która, jak powtarzał, miała trafić do podręczników - miała coś wspólnego z martwymi zabójcami. A teraz wiemy, że wśród nich znajdowała się także Kale.

Juliet zastanowiła się.

- A problem z Kale polega na tym, że nie jest dość martwa - dokończyła, wypowiadając moje myśli. - Czy istnieją jakiegokolwiek legendy o wielkich gangsterach z East Endu, powracających zza grobu?

- Nigdy żadnej nie słyszałem. Może to coś w rodzaju wymiany zagranicznej? Kale działa w Londynie, a Krayowie w Chicago?

Juliet kiwnęła głową.

- Możliwe - zastanawiała się głośno. - Ale sprzeciwia się wszystkiemu, co nam wiadomo o umarłych. I rodzi znacznie więcej pytań niż odpowiedzi.

- Tylko żartowałem - wtrąciłem.

- W takim razie trzeba się było uśmiechnąć.

- Skończyłam. - Susan wstała i z wyraźnym, głębokim powątpiewaniem obejrzała swoje dzieło. - Ale powinieneś jak najszybciej zgłosić się do szpitala, Feliksie, i pokazać to lekarzowi.

- Tak zrobię - skłamałem. - Dzięki, Sue, jesteś aniołem miłosierdzia.

Żyjącym z demonem seksu, dodałem w myślach. Życie czasami zabawnie się toczy.

- Zostawiłam ci trochę *ratatouille* - oznajmiła zakłopotana Susan. - Jeśli chcesz, możesz ją zjeść na tacy.

Na dole w salonie zjadłem, napiłem się i zacząłem czuć się nieco mniej jak ciskany wiatrem śmieć. Pokój bardzo się zmienił od mej ostatniej wizyty. Wówczas wypełniały go jeszcze drobiazgi nieżyjącej matki Susan: bibeloty, kapy na meble, oprawione w szkło hafty, nadające mu wygląd wystawy w muzeum wiktoriańskiej sztuki użytkowej. Obecnie wystrój był minimalistyczny, z czerwonymi chińskimi kaligrafiami wiszącymi na białych ścianach. Wiedziałem dość o guście Juliet, by go rozpoznać. Zastanawiałem się, co myśli Susan na temat zmiany wystroju. Wyglądało na to, że czuła się z tym dobrze.

- Jak tam praca? - spytałem. - Juliet mówi, że jesteś zarobiona.

Kiedy Susan spotkała Juliet, była zakrystianką w kościele w zachodnim Londynie. Rzuciła to jednak, gdy zamieszkały razem, i wróciła do dawnego zawodu bibliotekarki. Kierowały nią wyłącznie zasady, mające więcej wspólnego z tym, że weszła w związek z osobą tej samej płci, niż z faktem, że ta osoba to demon. Współczesny Kościół anglikański uważa piekło za stan umysłu i oficjalnie nie wierzy w demony (w odróżnieniu od katolików, którzy polują na nie za pomocą pobłogosławionych przez papieża miotaczy ognia), ale nadal ma problemy z otwarciem homoseksualnymi przedstawicielami Kościoła. Jako ateista z pretensjami muszę przyznać, że strasznie mnie to cieszy.

Uśmiechnęła się teraz, szczerze zadowolona z tego, że spytałem.

- Nie, naprawdę wszystko w porządku - odparła. - Świetnie się bawię. Czasami bywa trudno, bo próbuję przepchnąć sporo ambitnych projektów bez żadnych pieniędzy. Ale cudownie jest pracować z dziećmi. Są takie otwarte, spontaniczne. I zdziwiłbyś się, jak wielu autorów książek dla dzieci zgadza się wystąpić z czystej przyjemności. W zeszłym tygodniu odwiedził nas Antony Johnston. Napisał komiksową wersję *Alexa Ridera*. Był cudowny. Bardzo zabawny i... jakie jest przeciwieństwo wyniosłego? Bardzo prozaicznie podchodzi do tego co robi. Jak dotąd przyciągnął najwięcej gości.

- *Alex Rider* to...? - Nacisnąłem, czując się nieco zagubiony.

- Jedna z najlepiej sprzedających się książek dziecięcych ostatniej dekady, Feliksie - skarciła mnie Susan z miną nauczycielki.

- Ach, ten *Alex Rider* - zablefowałem.

- Na jego podstawie nakręcili film.

- Nie sięga książce do pięt.

- Nie musisz pracować - rzekła Juliet do Susan, wbijając kij w szprychy mojej towarzyskiej pogawędki.

Zapadła niezręczna cisza.

- Lubię pracować, Jules - odparła Susan.

Juliet zareagowała chłodnym, obojętnym „czemu?”.

Susan nie spodobało się to pytanie - zazwyczaj wszystko, co mogło kojarzyć się z kłótnią na horyzoncie, sprawiało, że podwijała ogon pod siebie i uciekała. Ale tym razem nie ustąpiła.

- Bo to część tego, kim jestem. Gdybym jedynie gotowała ci posiłki, sprzątała dom i ogrzewała łóżko, wówczas... stałabym się kimś bardzo nudnym. A wtedy ty chciałabyś spotykać się z innymi i byś mnie rzuciła. A ja bym się zabiła.

Juliet zastanowiła się.

- Tak - mruknęła w końcu. - Dostrzegam w tym logikę. Nigdy dotąd nie byłam w nikim romantycznie zadurzona, toteż trudno mi przyjąć, że moje uczucia do ciebie mogłyby się zmienić. Dysponuję jednak mnóstwem dowodów z innych związków ludzi, więc zapewne masz rację. Mów dalej.

Ale Susan nie była w stanie. Zapomniała, co wcześniej powiedziała, próbowała znów zacząć, zająknęła się i umilkła. Po raz pierwszy od wielu, wielu miesięcy pożałowałem jej tak bardzo, że zapomniałem, jak jej zazdrościć. Na siłę zmieniłem temat, powracając do zagadnień zawodowych, i w końcu uraczyłem je kilkoma z moich ulubionych historii o duchach, z których większość spotkała innych ludzi, nie mnie, ale dla lepszego efektu nagiąłem nieco prawdę. Chwila minęła. Łzy, które ujrzałem w oczach Sue Book, nie popłynęły.

- Moloch mówił, że powinienem sięgnąć do źródła - powiedziałem do Juliet, w połowie czwartej szklanki szkockiego zajzajeru.

- Naprawdę? - Głos Juliet zabrzmiał ostro i zimno.

Kiedy jednak Susan jej dołąła, Juliet na moment dotknęła dłoni towarzyszki: bardzo delikatnie, wyrażając jednocześnie uczucie i coś jak prawo własności. Po tym, co się zdarzyło wcześniej, ów dotyk miał moc uzdrawiającą. No, prawie.

- Wyjaśnił co przez to rozumie?

Pokręciłem głową.

- Nie - przyznałem. - Nie wyjaśnił. Ale mam kilka własnych pomysłów. Jesteś zajęta jutro po południu?

- Nie. A dlaczego?

- Rano w Muswell Hill stanie się coś, przy czym chciałbym być obecny. Ale potem będę wolny i zastanawiałem się, czy nie miałabyś ochoty nacisnąć na kilka osób, gdy będę im zadawał mnóstwo ważnych pytań.

- Jakich osób?

- Powiem ci, kiedy je zobaczę - odparłem wymijająco.

Juliet wywróciła oczami.

- Gdzie? - spytała. - Gdzie mieszkają te osoby?

Zakręciłem szklanką, patrząc na wirującą whisky i starannie unikając jej wzroku.

- W Alabamie.

Możliwe, że nieco naruszy to mój obraz twardziela macho, ale następnego ranka czułem się fatalnie. Zostałem u Juliet dość długo, by zaplanować, co zrobimy i z kim się spotkamy, a potem wykonałem parę telefonów, nim zmieniła zdanie: jeden do agenta, by zarezerwować dwa tanie bilety do Birmingham w stanie Alabama, i kolejny do Nicky'ego, by poinformować go o najnowszych wydarzeniach i spytać, czy mógłby opracować nam plan zajęć. Odrzekł, że chciałby ze mną pogadać przed wyjazdem, ale nie dodał nic więcej.

Trzeci telefon, do Gary'ego Coldwooda, połączył mnie z automatyczną sekretarką.

- Co to znaczy smaczny kąsek? - spytałem i rozłączyłem się.

Miałem do załatwienia jeszcze jedną sprawę, nim będę mógł pokuśtykać do domu. I zdołałem to zrobić minimalnym wysiłkiem, choć wymagało to sporego szantażu - zarówno emocjonalnego, jak i takiego, za który można beknąć w sądzie.

Kiedy budzik zadzwonił o siódmej, czułem się, jakby mózg mi się rozplątał, przeciekł przez pipetkę i stał w szalce Petriego mojej czaszki tak długo, aż znów zgęstniał. Jediną rzeczą, jaka mogła zmusić mnie do wstania, była myśl o tym, co się dziś stanie u Stangera, i świadomość, że muszę się tam znaleźć, by dopilnować, by wszystko potoczyło się po mojemu, nie tak jak zechce Jenna-Jane.

Ośrodek opieki Charlesa Stangera w Muswell Hill nie został

zaprojektowany do obecnych zastosowań. Pierwotnie stanowił kompleks robotniczych domków wiktoriańskich, który następnie przerobiono na zamknięty ośrodek dla niebezpiecznych szaleńców, po tym, jak dawny właściciel - Charles Stanger, którego nazwiskiem go ochrzczono, sam także pełen entuzjazmu psychopata - przekazał je Koronie. Wnętrza wyopatroszono i zastąpiono brzydkimi, funkcjonalnymi celami, a w miarę rosnącego popytu dobudowano znacznie większy aneks - wygląda na to, że wariaci, podobnie jak duchy, to jedna z najszybciej rosnących gałęzi przemysłu na początku XXI wieku.

Lecz Rafael Ditko nie jest wariatem, jedynie kimś, komu system sądowniczy i psychiatryczny nie potrafią przydzielić lepszej etykiety. No i ostatecznie faktycznie słyszy głos w swojej głowie, mówiący mu, co robić: głos demona Asmodeusza, który zamieszkał tam jakieś cztery lata temu i - w znacznym stopniu dzięki mnie - nie wrócił już do domu.

Dochodziła ósma, kiedy dotarłem do Stangera - miałem nadzieję, że zdołam wyprzedzić ekipę Jenny-Jane. Skinieniem głowy pozdrowiłem pielęgniarkę siedzącą w recepcji, z ulgą stwierdziwszy, że to Lily - znała mnie i Webba dość długo, by nie mieć złudzeń co do sprawy, i przepuściła, nie żądając, abym wpisał się do księgi gości.

Jeden z pielęgniarzy, Paul, który wiedział, że się zjawię (kolejny wieczorny telefon) czekał na mnie przed celą Rafiego. Spoglądając nań z pytającą miną, uniosłem i opuściłem kciuk. W odpowiedzi wzruszył potężnymi ramionami.

- Jest spokojny - rzekł. - Mniej więcej. Miał ciężką noc, teraz chyba odpoczywa. Ale nadal jest przytomny. - Mówiąc, otwierał już drzwi, zamarł jednak z ręką na klamce i spojrzał mi prosto w oczy. - Nie spodoba

ci się to, co mu zrobili - ostrzegł. - Spróbuj zachować spokój, dobrze?

- Dobrze.

Paul otworzył szeroko drzwi i wszedłem do środka, zapowiadając przybycie głośnym łomotem, bo podłogę celi Rafiego zrobiono z nagiego metalu: głównie stali, ale ze sporym dodatkiem srebra. Wiem, bo sam zapłaciłem za jej instalację - kosztowała majątek, ale było warto, bo przynajmniej czasami powstrzymuje pasażera Rafiego przed zbytnim brykaniem.

W tej chwili jednak brykanie nie stanowiło problemu, bo, przygotowując się do przekazania pacjenta, Webb kazał związać Rafiego mocniej niż świątecznego indyka.

Zbudowali - albo może zadziałała tu Jenna-Jane - ciężką, stalową ramę wysoką na około dwa i pół metra i szeroką na półtora, stojącą na trzech parach kółek, niczym ruchomy wieszak na ubrania. Na tym nie kończyło się podobieństwo: Rafi wisiał wewnątrz tej konstrukcji w obejmującym całe ciało kaftanie bezpieczeństwa, wyposażonym w tuzin stalowych kółek, do których doczepiono kawałki elastycznych kabli. Niczym pająk zaplątany we własnej sieci, dyndał pośrodku ramy pod lekkim kątem. Jediną widoczną częścią jego ciała pozostawała twarz. Spodziewałem się, że ujrzę na niej wyraz demonicznej furii. Zamiast tego jednak była niemal całkowicie obojętna, a oczy - same źrenice bez śladu białek - patrzyły na mnie i przeze mnie.

- OPG? - spytałem Paula.

- Tak.

- Gaz czy zastrzyk?

- Oba.

- Skurwiele.

Teraz czułem w powietrzu znajomy zapach, choć nie był to sam gaz, a jedynie nośniki - OPG jest zbyt niestabilny, by pozostać dłużej niż sekundę czy dwie po użyciu. Stworzono go jako broń - neurotoksynę, pochodną słabszego tabunu - ale już kilkadziesiąt lat temu zakazano stosowania go w wojsku. Nadal jednak można go używać wobec chorych psychicznie, dzięki uroczej luce prawnej - dowiedziono, że w niewielkich, niemal homeopatycznych dawkach, potrafi spowolnić postępy choroby Alzheimera i działa uspokajająco na pacjentów w fazie maniakalnej. Mogłem się jednak założyć, że dawki zastosowane tutaj podlegają raczej pod kategorię hurtowych.

- Zostawię cię samego - powiedział Paul. - A jeśli ktoś spyta, skłamię i powiem, że cię nie widziałem. Przykro mi, Castor. Owszem, to dranie, ale chwilowo nadal tu pracuję. Za parę minut mamy go stąd wywieźć, więc lepiej się streszczaj. - Przekroczył próg i przymknął za sobą drzwi.

- Cześć, Castor - rzekł Rafi. Mimo nieprzytomnego spojrzenia głos miał normalny.

- Cześć, Rafi - odparłem. Dopóki nie miałem pewności, że jest inaczej, zakładałem, że rozmawiam właśnie z nim. Podeszedłem nieco bliżej, ale niezbyt, nie wiedziałem bowiem, jak bardzo naciągają się elastyczne pasy. - Jest tam może Asmodeusz?

- Owszem, jest tutaj. I w tej chwili niezbyt cię lubi.

- Nie dziwię się. Mogę zamienić słówko?

Zapadła długa cisza. Czekałem, wiedząc z doświadczenia, że nie da się tego przyśpieszyć. Asmodeusz wynurzał się i znikał o własnych siłach, we własnym rytmie, a potężna dawka OPG, losowo przełączająca obwody

układu nerwowego Rafiego, nie ułatwiała sprawy. Powoli jednak po twarzy Rafiego przepływały zmarszczki i każda odmieniała ją odrobinę. Efekt był tak powolny, że można było sobie wmówić, że to złudzenie optyczne. Ale nieważne jak to tłumaczy - minęło pół minuty i patrzyłem już w inną twarz.

Nowa, odziana w rysy Rafiego niczym ironiczną maskę, spojrzała na mnie z kwaśnym grymasem unoszącym kącik ust.

- Nie słyszę kawalerii - powiedział Asmodeusz. Brzmiało to jakby zgryzał garść szklanego pyłu.

- Nadjeżdża - odparłem z większą pewnością niż czułem. - A tymczasem chciałem cię prosić o przysługę.

- Uwielbiam ci robić przysługi, Castor. Podejdz trochę bliżej. Pocałuj mnie w usta.

- Chcę, żebyś ukrył się możliwie jak najgłębiej. Jeśli zdołasz, postaraj się zasnąć. Zagram dla ciebie, posłuchaj muzyki, zamiast starać się jej unikać. Pozwól jej działać poprzez siebie i wykorzystaj do jak największego oddalenia się od Rafiego.

Asmodeusz uśmiechnął się uprzejmie.

- A czemu właściwie miałbym to zrobić?

- Bo ktoś, kto wygląda jak członek mojego gatunku, lecz zachowuje się jak ktoś z twojego, zjawi się po ciebie. A potem rozbierze cię na kawałki pęsetami, ułoży na szkiełkach i opisze każdy fragment. Wiesz, że to prawda.

Przez chwilę w celi panowała cisza, zakłócana tylko sykiem oddechu Asmodeusza, głośniejszym jak powietrze ulatujące z przebitej opony.

- Ta suka - rzekł w końcu bez śladu emocji. - Suka z wędką i

wielkimi ambicjami. Kiedy rąbnie o ścianę, zabrzmie to słodko.

- Może - przyznałem. - Może nie. To cwana graczyka, Asmodeuszu, i kurewsko mocna. W tej chwili za mocna dla ciebie.

- Dla ciebie też, Castor.

- To oczywiste.

Wiedząc, czym jest Asmodeusz, czułem się z tym wszystkim bardzo źle: zupełnie jak, jeśli to określenie w ogóle coś znaczy, zdrajca własnego rodzaju. Rozmawiałem o taktyce z demonem, próbując uchronić go przed stworzonym przez ludzką rasę najbliższym odpowiednikiem drapieżcy żerującego na demonach. Do tego właśnie pchnęła mnie Jenna-Jane Mulbridge i w tym momencie nienawidziłem jej za to.

- Ludzie na zewnątrz muszą zobaczyć Rafiego - oznajmiłem, wyjmując z kieszeni flet, nowy nabytek, jeszcze się z nim nie oswoiłem. - Nie powinni zobaczyć ciebie. Jeśli zobaczą ciebie, pomyślą, że ona ma rację. Rozumiesz?

- Ludzie nie umieją myśleć, Castor. Jedynie myślą, że myślą.

- To i tak niczego nie zmienia. Może zobaczymy się później, ale w żadnym razie nie chcę cię, kurwa, widzieć teraz. I powiedziałem już wszystko, co miałem do powiedzenia.

Przestałem gadać i zagrałem. Zacząłem od znanej melodii, która wkrótce zamieniła się w szaleńczą mieszaninę, najpierw szybką, stopniowo zwalniającą, z żalobnym napięciem opadającą w dół skali. Asmodeusz kiwał głową w rytm, z senną miną, pokazując, że dotrzymuje mi kroku. Śpiewał zaimprovizowane słowa głuchym głosem, który nigdy nie powinien wydostać się z ludzkiej krtani. I miałem nadzieję, że nie spotkam nikogo, kto mógłby mi je przetłumaczyć.

Lecz jego powieki opadały, a głos się załamywał. Ruchy głowy przestały dotrzymywać kroku muzyce, potem w ogóle ustały.

Kiedy drzwi za moimi plecami w końcu się otwarły, wisiał bez ruchu.

- Musimy zabrać pacjenta - oznajmił szorstko Paul.

Odwróciłem się, chowając flet do kieszeni. Nie był sam, po obu jego bokach stali Walińczyk imieniem Kenneth i trzeci pracownik Stangera, którego nie znałem. Za ich plecami ujrzałem doktora Webba, dyrektora ośrodka, dyrygującego ruchem wraz z łysym, surowym chudzielcem w ciemnoszarym garniturze. Twarz Paula nie wyrażała niczego, ledwie na mnie spojrzał. Webba natomiast najwyraźniej oburzył mój widok.

- Castor! - ryknął, wypluwając moje imię jak kot kłębek włosów. - Kto go tu wpuścił? On nie ma wstępu! Zabierzcie go!

- Przepraszam. - Z determinacją zagroziłem drogę trójce, która posłusznie ruszyła naprzód. - Gdzie dokładnie musicie przenieść pacjenta? Z czyjego polecenia? O czym wy mówicie? Jestem najbliższym krewnym pacjenta, czemu nic mi o tym nie wiadomo?

- Nie jesteś jego najbliższym krewnym! - warknął Webb. Pstryknął palcami pod nosem Kennetha i pokazał na mnie władczo. Kenneth położył mi dłoń na piersi i popchnął mocno na bok, pozwalając Paulowi i drugiemu pielęgniarzowi przejść i chwycić ramę z obu stron. Obrócili ją tak, że mogła przejechać przez drzwi. Ale ja jeszcze nie skończyłem. Zanurkowałem pod łokciem Kennetha, podbiegłem do drzwi i zatrzaskałem je. Zamek zaskoczył, co oznaczało, że Paul będzie musiał puścić ramę, wyciągnąć klucze i znów go otworzyć. A wcześniej przejść przeze mnie.

Webb łaskawie zyskał mi kolejne kilka sekund. Z twarzą w

gustownym odcieniu ciemnego fioletu ruszył w moją stronę i stanął tuż przy mnie, zaciskając pięści, tak boleśnie sparaliżowany wizją nadciągającego, nieuniknionego konfliktu, że nie mogłem od niego oderwać oczu. Chciał mnie uderzyć. Wiedział, że są świadkowie. Ale chciał mnie uderzyć. Ale ci cholerni świadkowie...

- Przykro mi - powiedziałem - ale dokonuję obywatelskiego aresztowania.

Kenneth ze zboląłą miną znów ruszył ku mnie, omijając poczciwego doktora.

- Czego dokonujesz, mój śliczny? - spytał.

- Obywatelskiego aresztowania. Aresztuję całą waszą piątkę za próbę porwania umysłowo chorego pacjenta wbrew jego...

Kenneth zacisnął potężną łapę na moich klapach. Odtrąciłem ją energicznie. Wrócił z obiema i choć znów odparowałem, tym razem zdołał złapać mocniej i utrzymać chwyt.

Ważył co najmniej dwadzieścia kilo więcej ode mnie - mógłbym go pokonać, ale tylko grając nieczysto, a na tym etapie gry nie mogłem sobie pozwolić na ryzyko aresztowania za napaść. Pozwoliłem mu się odciągnąć i przyszpilić w kącie celi. Paul tymczasem otworzył drzwi i wraz z kolegami przepchnęli przez nie metalową ramę. Niepotrzebne instrukcje i ciągła obecność Webba bardziej im w tym przeszkadzały, niż pomagały.

- W prawo, Paul. Nie w lewo...

- Uwaga na nogi, doktorze Webb - zagrzemiał Paul, a potem usłyszałem wrzask bólu, który wyrwał się z ust doktora i ucieszył moje serce. W końcu jednak wyszli na korytarz i nabierali rozpędu: moja opóźniająca taktyka zawiodła.

- No dobra, chłoptasiu, lepiej tu zostań - warknął Kenneth, grożąc mi palcem.

Kiedy się odwrócił, by pójść za pozostałymi, przepchnąłem się obok i pierwszy dotarłem do drzwi.

Dreptaliśmy korytarzem, tworząc dziwny, niezgrabny pochód: Paul i drugi pielęgniarz popychali ramę tuż za doktorem Webbem, najbrzydszą majoretką w dziejach. Z jednej strony miał kieszonkowego prawnika Jenny-Jane, a z drugiej mnie. Procesję zamykał Kenneth.

Kiedy dotarliśmy do recepcji, zatrzymali się gwałtownie, wyglądając przez podwójne drzwi na niewielki, betonowy placyk podjazdu. Wiedziałem, że teoretycznie powinna tam czekać furgonetka z otwartymi tylnymi drzwiami i przygotowaną rampą oraz wesołą gromadką stażystów psychiatrycznych i roślących opiekunów, gotowych przyjąć Rafiego na podkład i powieźć ku nowemu życiu w Paddington.

Tyle że furgonetki tam nie było. Zapewne wciąż tu jechała albo też utknęła w bramie Stangera. Podjazd tymczasem skolonizowały trzy, cztery setki młodych mężczyzn i kobiet śpiewających: „nie zabijecie ducha” z energią i zapałem, jakby naprawdę wiedzieli o czym mówią. Większość nosiła codzienne stroje, wśród których przeważały czarne podkoszulki, na wielu z nich zdołałem odczytać slogan „Śmierć to nie koniec”.

- Ja pierdolę - wymamrotał Paul.

- Co się...? - rzucił ostro Webb. Na moment zabrakło mu słów. - Co to za ludzie?

- W większości miejscowy oddział Technienia Życia - poinformowałem usłużnie; ulżyło mi odkrycie, że dotarli na czas. - Poznałem kilku z nich parę dni temu. Naprawdę mili goście, kiedy już

przeszliśmy przez etap głodnych gadek i wzajemnego strachu i wstępu. Słuchali zafascynowani, gdy im opowiedziałem co planujecie z J-J.

Nie wspomniałem o naciskach, jakie wywarłem na Stephen Bassa, o tym, jak zagroziłem, że poinformuję opiekunów naukowych i policję o jego hobby obejmującym wandalizm, prześladowanie i wykroczenia kryminalne, zanim w końcu zgodził się to zorganizować. Uznałem, że podpada to pod tajemnicę zawodową.

- A tamci goście - podjąłem - są z krajowej sieci telewizyjnej. Widzicie litery z boku kamery? Oznaczają Bezwolne, Bezmóźnie Ciamajdy i odnoszą się do was.

Webb posłał mi spojrzenie pełne przerażenia i niedowierzania. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz potomność straciła szansę wysłuchania jego słów, bo w tym momencie podwójne drzwi Stangera otwarły się i do środka wmaszerowała Pen, idealnie wybrawszy moment.

- Gdzie jest mój mąż?! - zawołała, grając cudownie wprost do kamer i stając w drzwiach tak, że bezradnie próbowały się zasunąć i cofały raz po raz. - Co zrobiliście z moim mężem, dranie? Chcę go odzyskać!

Webb zamrugał, opadła mu szczeka. Odwrócił się jak osaczony ku Pen i postąpił krok naprzód, potem jednak zastygł, bo na podjeździe błysnęły flesze - jeden, drugi, w końcu cała seria. Paparazzi zajmowali miejsca po obu stronach drzwi, by móc uwiecznić każdego, kto z nich wyjdzie, pod wszystkimi możliwymi, fotogenicznymi kątami.

- Panno Bruckner! - Z trudem wykrztusił przez zaciśnięte zęby te uprzejme słowa. - Nie wiem, o czym pani mówi! Nie jesteście z Ditko małżeństwem. Nie jesteście nawet...

- De facto jest moim mężem! - zawołała Pen. - Jesteśmy poślubieni w

oczach Boga! I nie pozwolę wam zamknąć go w obozie koncentracyjnym!

Webb z najwyższym trudem wydawał z siebie jakieś dźwięki, jego twarz z każdą sekundą niepokojąco ciemniała.

- Ale... Ale KOM w Paddingtonie... nie...

- Och, spójrzcie, co z nim zrobili! - zawodziła Pen, wskazując ramę i ponurą, bezwładną postać Rafiego dyndającą pośrodku. - On nie jest przestępcą! Nie jest potworem! Dlaczego go torturują?!

- Prawa dla zmarłych i nieumarłych! - ryknął Stephen Bass z pierwszego szeregu Życiowców. - Dusza i ciało to przyjaciele! Dusza i ciało złączą się! Śmierć nie jest końcem!

Jego niezdyscyplinowani, lecz entuzjastyczni pomagierzy podjęli zaśpiew. Według mnie te słowa nic nie znaczyły, ale brzmiały świetnie.

- Twój ruch - mruknąłem do Webba, wykorzystując chwilę ciszy pomiędzy dwudziestą pierwszą a dwudziestą drugą powtórką. - Moja rada to...

- Nie potrzebuję twoich rad, Castor! - wybulgotał Webb, kilka fazy przelękając gwałtownie. - A to... To niczego nie zmieni.

- Cóż, to nie do końca prawda - odparłem skromnie, lekko wzruszając ramionami.

Paul spojrzał na mnie i mrugnął uroczyście ponad ramieniem Webba.

- Myślę, że zmieni to wiele przez najbliższe powiedzmy cztery, pięć dni, może nawet tydzień. Zależy, jak zimno zrobi się nocą i jak wiele zapалу mają te dzieciaki. Są młodzi, nastawieni idealistycznie, więc zdziwiłbym się, gdyby nie wytrwali do weekendu. A potem będę musiał wymyślić inny sposób, by uprzykrzyć ci życie.

Odszedłem, nim zdołał odpowiedzieć. W drzwiach minąłem Pen.

- Dasz sobie radę dalej? - mruknąłem. - Utrzymasz ich w stanie wrzenia? Dopilnujesz, żeby nie wywieźli Rafiego za te drzwi?

- Zaufaj mi - warknęła Pen.

W jej wpatrzonych w metalową ramę oczach dostrzegłem niebezpieczny blask. Nie udawała. Naprawdę była wściekła.

- Ale rozgrywaj wszystko na zimno - ostrzegłem z lekką obawą. - Już raz oskarżyli cię o napaść. Bądź ofiarą, niech to Webb będzie potworem.

- Poradzę sobie - ucięła Pen. - A dokąd się tak w ogóle wybierasz?

- Do Stanów Zjednoczonych. Do Alabamy.

- Zmiana scenerii?

- Szukam martwej kobiety.

- Ściągnij tu Jennę-Jane Mulbridge, a dostarczę ci jedną.

Położyłem jej dłoń na ramieniu i uściśnąłem, ale tylko na moment: nie chciałem przedobrzyć.

Miałem nadzieję, że tłum rozstąpi się przede mną, ale daleko mi do Mojżesza. Przepychałem się zatem przez zwarte szeregi Życiowców, starając się nie nadepnąć nikomu na palce i nie patrzeć w oczy. Tworzyli bardzo zapalczywy tłumek, niechaj Bóg błogosławi ich małe, wściekłe serca.

Samolot, na który zarezerwowałem bilety, startował z Heathrow parę minut po dwunastej. Odprawiłem się z bagażem ręcznym po dziesiątej i poszedłem zaczekać na Juliet w barze nazwanym groteskowo „Kran i Czop”.

Już tam była i czekała na mnie. Podobnie Nicky, od stóp do głów odziany w czerń i noszący ciemne okulary jak kandydat na wampira. Na

mój widok pomachał z drwiącą miną. Na stole przed nim stał kieliszek czerwonego wina, przed Juliet ujrzałem identyczny, tyle że pusty. W dłoniach trzymała brytyjski paszport. Ulżyło mi - Nicky nie był pewien, czy zdoła w tak krótkim czasie załatwić coś, co nie wzbudziłoby zastrzeżeń służb celnych.

- Jeszcze jeden? - spytałem Juliet, wskazując pusty kieliszek.

Pokręciła głową.

- Trochę kojarzy mi się z krwią - oznajmiła.

- To źle?

- Mam właśnie spędzić dziesięć godzin w zamkniętej przestrzeni z trzema setkami ludzi, Castor. Sam mi powiedz.

Odpuściłem i zamówiłem sobie whisky z wodą. Zaniósłem ją do stolika i usiadłem między nimi. Nicky skinieniem głowy wskazał złożoną kartkę, leżącą na blacie.

- Lista nazwisk i adresy - oświadczył. - Juliet też taką ma, na wypadek gdybyście się rozdzielili.

Rozłożyłem kartkę.

- Bardzo słusznie. Kto tu jest?

Machnął lekceważąco.

- Każdy, kogo znalazłem, a kto mógł pamiętać Myriam Kale albo mieć coś ciekawego do powiedzenia na jej temat. Macie tam adres farmy Seeforthów - na której żyła, dopóki nie wyszła za mąż - ale nie znalazłem numeru telefonu, więc podejrzewam, że nikt tam nie mieszka. Miała też wuja ze strony matki - Billy'ego Myersa. Tu jest jego ostatni adres. Zadzwoń też do miejscowej gazety, „Brockenshire Picayune”.

- Jak? - Skrzywiłem się, skosztowawszy kiepsko zmieszanej whisky.

- Picayune. To znaczy błahy, codzienny. Świetna nazwa dla gazety, co? „Nie ma to żadnego znaczenia, ale i tak przeczytaliście o tym u nas”. W każdym razie redaguje ją gość nazwiskiem Gale Mallisham. Powiedziałem mu, że szukacie informacji na temat Kale i może macie coś w zamian.

- A on co na to?

- „Kurwa. Jeszcze jedni? Czemu nie pozwolicie jej leżeć spokojnie w pierdolonym grobie?”.

- Dzięki, że go dla nas przygotowałeś, Nicky.

- Nie ma sprawy.

Przysunął kieliszek do nosa i zamykając oczy, wciągnął głęboko powietrze. Od dnia śmierci to najbardziej zmysłowa przyjemność, na jaką sobie pozwala, toteż dałem mu się nią rozkoszować tak długo jak chciał. Juliet obserwowała wszystko z obojętną, niemal znudzoną miną, ale wiedziałem, że dostrzega każdy szczegół. Nie dożywa się jej wieku zbyt łatwo się rozpraszając.

Kiedy Nicky odstawił kieliszek, spojrzałem na niego wyczekująco. W odpowiedzi rozsiadł się wygodniej na krześle.

- Przedmioty z pudełka - nacisnąłem.

- Jasne. - Wciąż mu się nie śpieszyło. - Zauważyłem, że mały pomocniczek Johnny'ego nie żyje.

- Mówisz o Chesneyu? - Zmarszczyłem brwi. - Owszem, to prawda. Skąd wiesz?

Nicky sprawiał wrażenie głęboko zadowolonego z siebie.

- Dwa do dwóch, Castor. Torebeczki, w które zapakowano pamiątki Gittingsa, miały nadrukowaną nazwę: Pracownia Patologii Zwierzęcej

Nexus. A dziś rano Nexus znalazł się we wszystkich dziennikach, bo zeszłej nocy stracił jednego z pracowników, w tajemniczej, krwawej napaści na ich siedzibę w Victorii. Pilnujący budynku strażnik także dołączył do chórów anielskich. Żadnych świadków ani tropów, przynajmniej w czasie, kiedy o czwartej rano włamałem się do sieci policyjnej. Juliet mówi, że tam byłeś.

- Tak, byłem tam. - Zerknąłem na Juliet, która wzruszyła ramionami. Nie uprzedzałem jej, że to tajemnica, ale nadal wolałbym mieć prawo weta, nim powiadomi o tym Nicky'ego.

- To był *loup-garou*, tak?

- Tak. Nicky, masz coś dla mnie czy nie? Bo dwadzieścia pytań to nie moja specjalność.

Uśmiechnął się rozmarzony, z uporem odmawiając przejścia do rzeczy.

- Wiem jaka jest twoja specjalność, Castor. Ślepy blef.

Otworzyłem usta, żeby zakląć, a on uniósł rękę, uciszając mnie.

- No dobra, nie zaczynaj, jestem po prostu w przyjemnym nastroju. Lubię dni, kiedy rzucam pytanie i natychmiast otrzymuję odpowiedź.

- Mówisz zatem...

- Przejrzałem materiały z płyty i sam je sprawdziłem w paru miejscach. Większość to bzdury: twój człowiek zmierzył wszystko, do czego mógł przyłożyć linijkę, nieważne, z sensem czy nie, ale jeśli szukasz dymiącej spluwy, to chyba mam ją dla ciebie.

- Mów dalej.

Po uśmiešku na jego twarzy widziałem, że Nicky ma dla mnie prawdziwą bombę albo przynajmniej tak sądzi.

Sięgnął do kieszeni i wręczył mi małą torebkę na dowody. Doskonale pamiętałem tkwiący w niej przedmiot, bo wyróżniał się spośród większości niewinnych rzeczy w skarbczyku Chesneya, niczym wibrator w szafce zakonnicy.

- Kula - powiedziałem z rezygnacją, przyjmując rolę szczerego głupka.

- Ściślej mówiąc: łuska. Pochodzi z pocisku dziesięciomilimetrowego i według od niedawna nieżyjącego psiego patologa została wystrzelona ze Smith & Wessona 1096. Jest na niej piękny, wyraźny odcisk palca - Lesa Lathwella. No wiesz, gangstera z East Endu. Tego, którego nazywano następcą Krayów.

- Szczerze mówiąc - przyznałem - niezbyt dobrze znam się na najnowszej historii. Słyszałem nazwisko, ale...

- Coś w rodzaju biznesmena działającego w branży przemocy i zastraszania. Pojechał do Ameryki, by uczyć się od najlepszych. Potem wrócił do domu i stworzył swą własną mafię przy Mile End Road. Powinieneś o tym poczytać, to bardzo budujące. Tak czy inaczej, wszedłem do sieci i trochę pogrzebałem - dlatego właśnie włamałem się do krajowej sieci policyjnej. Odcisk zgadza się z ich bazą danych. Nie jestem fachowcem, ale mam wrażenie, że dane balistyczne także. I tu właśnie robi się ciekawie.

- Ach tak? A czemu?

- Lathwell zmarł w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym. Pociski dziesięciomilimetrowe wprowadzono na rynek w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim - w szwedzkim pistolecie, który kopał jak niezabezpieczona armata i łamał ludziom ręce, jeśli się na to nie

nastawili. Nie zyskał sobie popularności - a słowa tego używam w cudzysłowie - dopóki FBI nie zainteresowało się nim w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym. Innymi słowy Lathwell nie mógł wystrzelić tej kuli, ani naładować pistoletu, bo zmarł, nim zaczęto go produkować. Oto twoja pointa. Powodzenia.

Nicky pozwolił sobie na kolejne głębokie zachłyśnięcie się zapachem wina, przeciągając je dla zwiększenia efektu dramatycznego. Właściwie to dobrze, bo ja tymczasem starałem się dopasować ten dziwny fakt do tego, co już wiedziałem - i udało mi się tylko dlatego, że wiedziałem gówno. Kiedy jednak spojrzałem na to pod innym kątem, nabrało nieprzyjemnego sensu.

- Sądysz, że Lathwell zmartwychwstał we własnym ciele? - spytała Juliet, wypowiadając na głos moje myśli. - Jako zombie?

Nicky odstawił kieliszek, napawając się naszą pełną uwagą.

- Możliwe. A może ktoś po prostu zdarł mu skórę z palców i założył dla zabawy. W zapiskach na płycie znalazłem jeszcze kilka podobnych drobiazgów. No wiecie, anachronizmów. Mój ulubiony to list Tony'ego Lambrianou do jego brata Chrisa. Wiecie, że karawan, który powiózł na cmentarz ciało Lambrianou, ozdobiono wieńcem wielkości centrum handlowego z wiadomością od Chrisa? Brzmiała ona: „Do zobaczenia po drugiej stronie”. List jest datowany pół roku później i liczy sobie dokładnie trzy słowa: „Udało mi się”. Chory dowcip czy mistyczne objawienie? Sami zdecydujcie.

Pochylił się, nagle bardziej ożywiony.

- No dobra, to jest na dysku, czyli właśnie to twój nieżyjący kumpel Chesney powiedział twojemu nieżyjącemu kumpłowi Johny'emu G. Ale

dam ci coś jeszcze, za darmo, w ramach usługi Nicky'ego Heatha. Dostajesz to, bo jestem obsesyjnie dokładny i martwy. Innymi słowy: bo jestem upartym draniem, który nie musi sypiać, jeśli coś go dręczy. Popatrz na to. I na to.

Spodziewałem się, że da mi kolejne torebki z dowodami, ale zamiast tego uniósł dwie kiepsko odbite karty z odciskami palców - kopie kopii kopii. Przyjrzałem im się najuważniej jak mogłem, starając się je porównać, mimo plam.

Juliet patrzyła mi przez ramię, a jej zdolności rozpoznawania wzorów najwyraźniej znacznie przewyższały moje.

- Są takie same - oznajmiła. - Czy niemal takie same. Różnice są nieliczne i bardzo drobne. W tym właśnie rzecz?

- Tak, w tym rzecz. Chcecie poznać pointę? Ten po prawej to znów Les Lathwell. Ten po lewej, różniący się zaledwie trzema liniami i jedną drobną pętlą, to Aaron Silver, prapradziadek wszystkich psychopatów z East Endu. Dzieli je od siebie około osiemdziesięciu lat i podobno to dwaj różni goście. Tyle że nie. To ten sam facet.

Zagwizdałem cicho, przeciągle. Nicky miał rację - oto prawdziwa dymiąca spluwa, a nawet więcej, cała sala pełna dymiących karabinów maszynowych. Nagle przypomniałem sobie coś, co powiedział mi John w owym koszmarnym śnie.

- *Kto chce cię dopaść?*

- *Ci sami co przedtem. Zawsze ci sami, raz po raz, bez końca.*

- Oni wracają - podsumowałem. - Wszyscy chłopcy z East Endu, największy dranie.

- Ale jak wracają? - spytała Juliet, z powrotem podtykając mi pod nos

niezaprzeczalne fakty i wciskając w nie twarz. - Duchy potrafią opętać zwierzęta, ale płacą za to. Z czasem tracą swoje człowieczeństwo, coraz bardziej przypominając ciało, które zamieszkują. W końcu ludzka świadomość całkowicie zanurza się w zwierzęciu i rozplywa tak, że tak naprawdę już nie istnieje. Co do żywych trupów - zombie - ich ciała rzadko są w stanie przetrwać dłużej niż rok, najwyżej dwa. A utrata funkcji jest postępująca. Nieunikniona. Kiedy zaczynają się sypać, nic nie może tego odwrócić.

Cisza, która zapadła po jej słowach, była nieco napięta. Juliet spojrzała na Nicky'ego i zobaczyła, że wpatruje się w nią z ponurą miną.

- Przepraszam, jeśli zachowałam się nietaktownie - dodała. - Mówiłam ogólnikowo.

- Jasne - odparł głucho Nicky. - Doceniam to. Pomijając tu obecnych, tak?

Juliet uniosła doskonałą brew.

- Nie, oczywiście ty także temu podlegasz.

- Zamknij się, do kurwy nędzy, proszę. - Głos Nicky'ego zamienił się w groźny warkot. Tuż przedtem wciągnął w płuca spory haust powietrza, wyłącznie w tym celu. - Przekazuję wam informacje, a nie proszę o prognozę. Po prostu... nic nie mów, dobrze? Nie mów o rzeczach, o których gównem wiesz.

Jego poza twardziela nagle wydała się dość fałszywa. Istnieją dwie kwestie, na których Juliet na się doskonale: seks i śmierć - ich deklinacje, koniugacje i nieubłagana metafizyka, która nimi rządzi. Bardzo taktownie jednak nie odpowiedziała.

Spróbowałam skierować rozmowę ku mniej kontrowersyjnym

tematom.

- Nadal mają własne odciski palców - powiedziałem, odpowiadając na pytanie Juliet. - Więc w jakiś sposób to musi być ich własne ciało. Jeśli Les Lathwell był Aaronem Silverem, to znaczy, że urodził się przed końcem dziewiętnastego wieku. Zmarł w...

- Tysiąc dziewięćset ósmym - podpowiedział nadąsany Nicky.

- Tysiąc dziewięćset ósmym. Jeżeli więc zostawiał odciski palców w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, jego ciało musiałoby zostać niewiarygodnie dobrze zakonserwowane.

Juliet pokręciła głową.

- Tak czy inaczej, to nie pasuje - oznajmiła. - Ten drugi człowiek, Les Lathwell, miał przyjaciół? Rodzinę?

- Dwóch braci, obaj już nie żyją - podpowiedział Nicky. - Siostrę, nadal żyjącą.

- I istnieją dokumenty z czasu jego dorastania? Nicky skinął powoli głową, widząc, dokąd zmierza.

- Jasne. Mnóstwo. Szkolne zdjęcia. Domowe filmy. I tym podobne śmieci.

- Zatem jak - i kiedy - Aaron Silver wcisnął się na miejsce Lathwella?

Było to więcej niż rozsądne pytanie. Coś mnie dręczyło - coś, co mogło stanowić część odpowiedzi - ale nie potrafiłem wyciągnąć tego na światło dzienne.

- Nie dzięki chirurgii plastycznej - powiedział Nicky. - Dziś mogliby to zrobić, łącznie z odciskami. Ale w latach sześćdziesiątych nie dysponowali tak zaawansowaną techniką. Chyba że w „Mission: Impossible”. No wiecie, z gościem w różnych maskach.

- Ciało samo w sobie jest dość plastyczne - zauważyła Juliet i o mało nie zrozumiałem.

Wówczas jednak Nicky znów się odezwał i straciłem skojarzenie, które próbowała podpowiedzieć mi podświadomość.

- Nie zdołałem znaleźć żadnych pamiątek po Myriam Kale. Okazuje się, że gangsterzy z East Endu to łatwizna w porównaniu z seksownymi amerykańskimi zabójczyniami do wynajęcia. Natrafiłem na parę drobiazgów, ale wyglądały mi na fałszywki. Wciąż szukam. Ponieważ jednak jedziecie tam, gdzie mieszkała, może po drodze sami coś znajdziecie. W takim przypadku rzućcie to mi, kiedy już skończycie, a ja znajdę im nowy dom.

Zatem okaz Chesneya pochodził z innego źródła. Uznałem, że nie wspomnę o tym - Nicky był już dość przewrażliwiony, nie musiał wiedzieć, że ktoś inny zdołał go przebić.

- Tak zrobię, Nicky - odparłem obojętnie. - A tymczasem mógłbyś sprawdzić dla mnie coś jeszcze?

- Zawsze jestem do twojej dyspozycji, bo najwyraźniej nie mam, kurwa, własnego życia - zauważył cierpko Nicky, posyłając lodowate spojrzenie Juliet.

- Mógłbyś się dowiedzieć, gdzie są pochowani ci wszyscy faceci?

- No pewnie, to łatwizna. A co, chcesz im położyć kwiaty na grobach?

- Chcę się dowiedzieć, czy istnieje jakieś powiązanie z listą cmentarzy zrobioną przez Johna Gittingsa. Jeśli kryje się w tym jakiś wzór... jeżeli wszyscy trafili w to samo miejsce...

- Tak, jasne, rozumiem, Castor. Ta gadka o kwiatkach to był żart. Czy

twoja komórka jest trójpasma?

- Nie mam bladego pojęcia. Ale tak czy inaczej, zdechła bateria.

Nicky wstał i z niezadowoloną miną odsunął na bok nietknięte wino.

- Nazbieraj zatem garść dziesięciocentówek i zadzwoń do mnie.

Wiem, że rzadko podróżujesz, więc dodam dla jasności, że dziesięciocentówki to amerykańska waluta. Życzę wam miłego lotu. Zobaczymy się, kiedy się zobaczymy. - Już miał odejść, ale jeszcze się odwrócił i uniósł rękę dłonią do góry. O mało jej nie uścisnąłem, źle rozumiejąc ów gest, on jednak zaklaskał niecierpliwie językiem. - Łuska. Jeśli spróbujesz przejść z nią przez wykrywacz metalu, może dojść do serii zabawnych nieporozumień.

Oddałem mu ją.

- Dzięki za wszystko, Nicky.

- Bardzo proszę. - W jego tonie i twarzy kryło się coś, czego nie potrafiłem rozszyfrować. - Jeśli chcesz mi się odplacić, to mnie informuj. Chcę się dowiedzieć, jak to się skończy. A tak przy okazji, ktoś jeszcze wie, że przylatujesz.

Rzucił mi tę informację ze starannie wystudiowaną lekkością, licząc na gwałtowną reakcję.

- Co takiego? Co masz na myśli, Nicky?

- Kiedy przepuściłem wasze nazwiska przez lotniskowy system komputerowy, znalazłem nastawiony potykacz. Zobaczyłem go, bo wszedłem z poziomów kodów maszynowych.

- Potykacz?

- Tak, coś jakby przekaźnik. Jeśli na liście pasażerów pojawia się twoje nazwisko, ktoś dostaje wiadomość.

- Moje? Czy Juliet?

- Tylko twoje, Castor. Kiedy ktoś zechce poznać miejsce pobytu demona, wystarczy, że powęszy na wietrze.

Odszedł, nie czekając na odpowiedź.

- Uraziłam go? - spytała Juliet.

Nie czuła pokory, pytała jedynie z ciekawości: kolejne informacje uzupełniające bazę danych na temat ludzkich słabostek.

- Rzuciłaś mu w twarz jego własną śmiertelność - odparłem. - Nikt tego nie lubi.

- On już nie żyje.

- I wcale nie jest mu łatwiej się z tym pogodzić.

Parę chwil później głośnik poinformował nas, że pasażerowie naszego lotu proszeni są do odprawy przy bramce numer siedemnaście. Akurat wystarczyło mi czasu na dokończenie whisky; wino Nicky'ego pozostało na stole nietknięte.

W poczekalni odlotów Juliet stanęła przy drzwiach, przyglądając się startującym samolotom. Sprawiała wrażenie zafascynowanej, a zarazem nieświadomej pożądlivych spojrzeń pasażerów płci męskiej, siedzących wokół. Wcześniej nawet o tym nie pomyślałem, ale miał to być jej pierwszy lot.

Dołączywszy do niej przy oknie, opowiedziałem o niektórych efektach ubocznych, jakich mogła się spodziewać. Nie przejęła się zmianami ciśnienia i tym, co mogą zrobić jej z uszami.

- Przystosuję się - odparła jedynie.

Wyraźnie nie mogła się już doczekać.

Wsiedliśmy jako jedni z ostatnich, bo Juliet wolala jak najpóźniej znaleźć się w ciasnej kabinie. Mieliśmy miejsca tuż przed toaletami, na samym końcu, tam gdzie kiedyś wyznaczano część dla palących - a wyjaśnienie Juliet idei miejsc dla palących trwało akurat tyle, co cały wykład stewardesy o bezpieczeństwie. Bardzo bawiły ją ogrodzenia i barykady, które ludzie wznosili wokół swych przyjemności. Ale też sama idea opóźnionej gratyfikacji niezmiernie ją śmieszyła. „Demony”, powiedziała, „zazwyczaj preferują strategię: sięgaj i łap”.

Jako że jestem dżentelmenem, nie dodałem: „No, kiedy tylko poczują ochotę”.

Z niemal dziecięcym zainteresowaniem śledziła start, zamieniła się nawet ze mną na miejsca, by móc wyrzeć przez okno i obserwować wszystko z głęboką fascynacją.

Kiedy jednak znaleźliśmy się w powietrzu, jej nastrój uległ gwałtownej zmianie. Jakby wycofała się wewnątrz siebie, twarz miała stężałą i obojętną. Sprawdziłem dostępne filmy - żaden nie wyglądał szczególnie pasjonująco - i znów się rozejrzałem: Juliet siedziała z pochyloną głową i zamkniętymi oczami, dłonie zaciskała - sądząc na oko, bardzo mocno - na kolanach.

- Dobrze się czujesz? - mruknąłem.

- Nic mi nie będzie - odparła z napięciem.

Zostawiłem ją w spokoju, do czasu, gdy stewardesy zaczęły rozwozić darmowe napoje. Zamówiłem kawę, świadom ryzyka zakrzepicy, ale pozwoliłem sobie na prośbę o doprowadzenie jej koniakiem. Kiedy stewardesa spytała, czy napiłaby się czegoś, Juliet jedynie pokręciła głową, nawet nie uniosła wzroku. Czy było jej niedobrze? Czy demony

mogą cierpieć na chorobę lokomocyjną?

Zaczekałem jeszcze trochę, sprawdzając, czy sama nie dojdzie do siebie. Nie chciałem jej drażnić zbytnim zainteresowaniem. Ale po półgodzinie w powietrzu jej twarz zamieniła się w sztywną maskę skrywanego cierpienia. Juliet nie potrafi zblednąć, bo sama z siebie jest tak blada, że przy niej większość albinosów wydaje się zdrowo rumiana. Lecz coś się działo także z jej cerą: zupełnie jakby promienna biel skóry traciła swą intensywność, definicję.

Możliwie najbardziej taktownie i neutralnie pokazałem jej torebki na wymiociny i wyjaśniłem, do czego służą.

- Nie jest mi niedobrze - odparła cicho, ale ostrym tonem.

- No dobrze - ustąpiłem. - Ale nie jesteś też wesołą, promienną sobą.

Co się dzieje?

Pokręciła głową, zaledwie pół centymetra w obie strony, tak że ledwo to zauważyłem.

- Nie wiem.

Nie zamierzałem naciskać dalej, wiedząc, jak gwałtownie Juliet broni swej prywatności, lecz po niemal minucie znów się odezwała.

- Czuję się... rozciągnięta - wymamrotała. - Napięta, jakby... część mnie wciąż przebywała tam w dole. Na ziemi.

Słyszałem napięcie w jej głosie i widziałem w układzie ramion. Całe jej ciało napinało się jak pięść, paznokcie splecionych palców wbiła w grzbiety dłoni.

- Może to choroba lokomocyjna, na którą cierpią wyłącznie demony - zasugerowałem z wahaniem. - Jeśli tak, pewnie wkrótce ci przejdzie. To tylko ciało przywykające do dziwnej sytuacji - napięcia w kabinie, ruchu

samolotu.

- Tak - warknęła Juliet. - Najprawdopodobniej.

Ale nie polepszyło jej się, tylko pogorszyło. Po dwóch godzinach ujrzałem na jej czole krople potu, słyszałem jak oddycha. Oba te objawy mocno mnie zaniepokoiły, bo mimo swej przerażającej seksowności, Juliet nosi ludzkie ciało swobodnie i zawadiacko. Nie jest człowiekiem, dla niej ciało to tylko przebranie, sprytnie przygotowana przynęta, jak światełko ryby głębinowej. Jeśli nie chce, nie musi oddychać ani się pocić. Oczywiście istnieją chwile, gdy pragnie jednego i drugiego - to jednak wydawało się mimowolne.

Jakiś czas później, gdy znów spojrzałem na nią kątem oka, starając się nie okazać po sobie zdenerwowania, odkryłem, że albo zasnęła, albo zemdląła. Tak czy inaczej, leżała krzywo w fotelu, z głową tak przechyloną, że niemal spoczęła mi na ramieniu. Potem na moich oczach opadła jeszcze niżej, gładko, nieubłaganie.

Kiedy wyszeptałem jej imię, Juliet nie zareagowała, a jej ostry, słodki zapach - woń, która przede wszystkim określała ją w moim umyśle - zniknął. Teraz pachniała jedynie czymś słabym, cierpkim, nieorganicznym, niemal chemicznym.

Co się z nią działo? Zacząłem analizować w głowie możliwości. Może działo się tak dlatego, że demony są mocami chtonicznymi, powiązаныmi z samą ziemią - zupełnie jakby oprócz biosfery, o której wiedzą wszyscy, istniała też druga, metabiosfera, obejmująca faunę piekła. Może demony są jak dzieci Gai z greckiej mitologii, niezwyciężone, dopóki stoją na *terra firma*, ale słabe jak kociaki, jeśli zdoła się je oderwać od ziemi.

A może chodziło o coś zupełnie innego: zaklęcie antydemoniczne, w które wlecieliśmy, podobne do uroków ochronnych i przeganiających, jakie ludzie zawieszali nad drzwiami, by nie pozwolić zmarłym na przekroczenie swego progu. Może całe Stany Zjednoczone otaczały zaklęcia, działające już nawet z takiej odległości.

Być może mogłem coś na to poradzić. Zacząłem gwizdać cichutko, tak słabo i cicho, że dźwięk nie docierał poza nasz rząd siedzeń. Gwizdałem melodię Juliet: sekwencję dźwięków i kadencji opisującą ją w moim umyśle. Nie było to przywołanie ani uwięzienie, z całą pewnością nie przegnanie - jedynie sam nagi opis. Liczyłem na to, że zadziała, jak antyegzorcyzmy: nieco wzmocni jej układ odpornościowy i pomoże walczyć z tym, co się z nią działo.

Juliet przespała cały lot. Kiedy stewardesa rozdała posiłki, zjadłem jedną ręką, żeby jej nie przeszkadzać. Było to dziwne, niepokojące doświadczenie. Zazwyczaj jakikolwiek kontakt cielesny z Juliet, choćby śladowy dotyk, byłby tak boleśnie podniecający, że nie potrafiłbym myśleć o niczym innym. Po paru sekundach trząsłbym się cały. Teraz jednak wyglądało to jakby coś wewnątrz niej się wyłączyło: jakby stała się jedynie modelem Juliet wielkości naturalnej, a gdybym w nią postukał, zadźwięczałaby głucho.

Podczas drugiej połowy lotu ja także drzemałem - niespokojnie i lekko, budząc się co chwila i sprawdzając ekranik z opisem postępów lotu na oparciu fotela przede mną, tylko po to, by odkryć, że pokonaliśmy kolejne kilkaset mil. Juliet nawet nie drgnęła, lecz jej pierś unosiła się nierytmicznie i opadała. Zostawiłem ją w spokoju, uznawszy, że lepiej pozwolić jej spać. Nawet zmiany ciśnienia, gdy zaczęliśmy schodzić do

lądowania, jej nie obudziły.

Lecz gdy tylko siedliśmy na pasie w Birmingham jej powieki się uniosły. A potem pochyliła się w fotelu i bardzo długo wymiotowała.

Birmingham w Alabamie wzięło swą nazwę od angielskiego miasta. Lecz gdy tylko wyszliśmy z terminalu w gęste, wilgotne jak zupa, dławiące powietrze, zrozumiałem, że wszelkie porównania to jedynie żarty.

Nicky, z typową dla siebie, niemal mistyczną dokładnością, załatwił wynajem samochodu. Wystarczyło tylko, żebym zgłosił się do biura Hertza i pomachał im przed nosem paszportem. Nasz wóz, mały Chevrolet cobalt w twarzowym odcieniu czerwieni, parkował zaledwie kilometr od wejścia na lotnisko. Przez większość owego kilometra Juliet opierała się całym ciężarem na moim ramieniu, stąpając niczym krucha osiemdziesięciolatka. Mnie także nieco kręciło się w głowie. Było wczesne popołudnie i w gorącym powietrzu wisiała codzienna porcja potu i łez.

W samochodzie Juliet klapnęła ciężko na fotel pasażera i znów zamknęła oczy.

- Mogę coś zrobić? - spytałem.

- Nie - odparła słabo. - Gdy tylko znaleźliśmy się na ziemi, poczułam się lepiej, ale potrzebuję czasu, by odzyskać siły.

- Uważasz zatem, że ma to coś wspólnego z lataniem?

Powoli skinęła głową.

- Musi. Nigdy wcześniej nie słyszałam o czymś takim. Ale też wasz gatunek bardzo niedawno oderwał się od ziemi, i możliwe, że jestem pierwszą z mocy, która tego spróbowała.

- A demony o wielkich, skórzastych, nietoperzych skrzydłach?

Uśmiechnęła się i był to najmniej przekonujący uśmiech, jaki kiedykolwiek oglądałem.

- One latają nisko - wymamrotała.

- Chcesz poszukać motelu i położyć się na trochę? To przynajmniej wywołało lekką reakcję.

- Cóż za świetny pomysł. A ty będziesz czuwał nad moim łóżkiem?

- Jak matka kwoka.

- Jedź, Castor. Nic mi nie będzie.

Brokenshire leży na południowy zachód od Birmingham, w stronę Tuscaloosa. Pokonaliśmy labirynt krzyżujących się ulic i dotarliśmy na autostradę międzystanową 59, przecinającą serce miasta. Po lewej widziałem wieżowce dzielnicy finansowej Birmingham, okolone woalem rozedrganej od upału mgiełki niedostępne wieże odległego Camelotu. My tymczasem przejeżdżaliśmy między zrujnowanymi fabrykami o ślepych oczach okien i bezkresnych płaszczyznach parkingów porośniętych chaszczami wyższymi od najroślejszych ludzi. Większość miast ma co najmniej dwa oblicza: ja widziałem jednocześnie Czarodziejskie Miasto i popioły, z których od czasu do czasu się odradza. Byłem świadom, że żaden z owych obrazów nie odpowiada w stu procentach prawdzie, ale wiedziałem też, że innej nie zdążę odkryć.

Na południe od Birmingham leży Bessemer, ale nie zorientowałem się nawet, kiedy jedno się skończyło i zaczęło drugie. Po paru godzinach jazdy z Juliet, świadomą lecz milczącą i nieruchomą w fotelu, skręciliśmy z międzystanówki, a potem ze zwykłej autostrady w boczne drogi. Miejskie krajobrazy zastąpiło coś bardziej wiejskiego i przytulnego.

Domy, które teraz mijaliśmy, zbudowano z drewna i miały wielkie frontowe werandy. Niektóre były bardzo eleganckie, wysokie na dwa piętra; wypolerowane do połysku balustrady połyskiwały w promieniach niewzruszonego popołudniowego słońca. Inne kojarzyły się raczej z ciasnymi bungalowami, których werandy służyły tym samym celom co garaże w Anglii, wypełnione po dach rumowiskiem życia, rzeczami, których nigdy się nie używa ani nie wyrzuca. Na jakimś podwórku wielki czarny pies, uwiązany do słupka, obszczał nas, uganiając się szaleńczo w kółko. Mężczyzna wyglądający jak męska część obrazu Granta Wooda „Amerykański gotyk” zatrzymał się z sekatorem w dłoniach i - choć panował nad sobą znacznie lepiej niż pies - także obserwował nas czujnie, dopóki nie rozplątał się w dali we wstecznym lusterku.

Jechaliśmy przez małe osady i rozległe pola, od czasu do czasu przetykane kawałkami lasów. Tu na drogach panował znacznie mniejszy ruch, toteż mogłem rozpędzić cobalta. Mogłem też ostatecznie zidentyfikować samochód, który nas śledził. Już zmieniając pasy w Birmingham, byłem pewien, że ktoś nam towarzyszy - z całą pewnością ktoś z tyłu skręcał w lewo, gdy my skręcaliśmy w lewo, i w prawo, gdy kierowaliśmy się w prawo. Ale miejski ruch i konieczność pełnego skupienia na drodze w obcym mieście i samochodzie oznaczały, że nie zdołałem mu się przyjrzeć. Teraz widziałem, że to wielka ciemnoszara furgonetka z paskudnym matowocarnym zderzakiem. Kierowca i pasażerowie kryli się przed naszymi oczami za przyciemnionymi szybami.

Była za nami, gdy jechaliśmy na południe i zachód. A choć trzymała się daleko, mogła sobie na to pozwolić: oprócz nas, tu na drogach nie było nikogo, a zjazdy dzieliło od siebie co najmniej pięć mil.

Brokenshire to miasto liczące dwadzieścia osiem tysięcy mieszkańców, położone w dolinie niedaleko linii kolejowej, obsługującej obecnie zamkniętą kopalnię miedzi. Dosłownie i w przenośni to koniec trasy. Podczas gdy w Birmingham entropia i bogactwo mieszają się w mniej więcej równych proporcjach, Brokenshire wygląda jakby spokojnie przeżyło swą datę przydatności do spożycia - tak cicho i niepozornie, że nikt nawet tego nie zauważył. Na mapie przepływa przez nie niewielki strumień, ale gdy jechaliśmy ku centralnemu placowi, mijając powojenne domy, małe jak pudełka jajek, często mieniające się różnymi odcieniami srebra i czerwieni na wpół przerdzewiałych, aluminiowych sidingów, nie dostrzegłem ani śladu rzeki. Może i dobrze: przeprawa przez płynącą wodę stanowiłaby problem logistyczny dla Juliet. Przy obecnym osłabieniu najpewniej nie udałoby jej się tego dokonać.

Zaparkowaliśmy na placu przed wyniosłym, granitowym budynkiem sądu, wyglądającym jak żywcem przeniesiony z „Przeminęło z wiatrem” i wysiedliśmy, żeby się rozejrzeć. Samochód przyciągał wzrok przechodniów, podobnie my sami. Juliet zaczynała powoli odzyskiwać siły, co oznaczało, że mało subtelna aura seksualnej obietnicy spowiła ją znów niczym niewidzialna suknia ślubna. Nie zważając na wygłodniałe spojrzenia, wolnym krokiem przespacerowaliśmy się po centrum. Zabrało nam to całe pół godziny.

Nie zdziwiłem się, odkrywszy, że Myriam Kale stała się czymś w rodzaju miejscowego przemysłu. Miejska księgarnia całą wystawę poświęciła książkom na temat wielkich amerykańskich gangsterów, pośród których królowała najpewniej pochodząca z drugiej ręki biografia pióra

Paula Sumnera, w tym samym wydaniu co moje - być może istniało tylko jedno. Obok stała reprodukcja zdjęcia, przedstawiającego Kale i Jackiego Cerone w nocnym klubie, który Sumner umieścił w książce. Ponownie uświadomiłem sobie, jak niewiele znamy faktów i obrazów związanych z Kale.

Plakat na wystawie księgarni reklamował mapy wycieczki Szlakiem Kale, obejmujące ulicę, gdzie wciąż stał pierwszy dom, w którym zamieszkała po ślubie, szkołę podstawową w pobliskim Gantts Quarry i starą farmę Seaforthów, gdzie się wychowała. Znaleźliśmy też lokalne muzeum: dziewięćdziesiąt procent Kale, dziesięć procent nagradzanych na wystawach świń. Nic ciekawego: te same znajome zdjęcia, ta sama znajoma, okrojona historia.

- Chyba jesteśmy gotowi na coś mocniejszego, nie sądzisz? - spytałem Juliet.

- Chodzi ci o mocniejsze informacje, Castor? - spytała łagodnie, przyglądając się zdjęciom ze zmrużonymi oczami. - Czy mocniejszy alkohol?

- Ani to, ani to - ruszyłem do drzwi. - To tylko aluzja seksualna. Ale miły facet w kasie mówi, że przecznicę stąd znajdziemy redakcję „Picayune”. Skoro zaś tam nas oczekują...

Po pokonaniu zaledwie pół kilometra dotarliśmy do skromnego, dwupiętrowego ceglanego budynku, nad którego drzwiami widniał szyld z napisem „Picayune”, ułożonym z pseudogotyckich liter. Wyglądało to na redakcję gazety, w której młodziutki Mark Twain mógł pracować jako chłopiec na posyłki. Pusty hol pachniał kurzem i bardzo słabo rybami: okazało się, że to z powodu biurowego kota, chudego i pasiastego. Na jego

widok wzdrygnąłem się odruchowo, bo w głowie ożyły mi niedawne wspomnienia. Kot uniósł się z poduszki leżącej obok otwartych drzwi wiodących do newsroomu. Wyraźnie niezrażony otarł mi się o nogę, po czym spojrzął na Juliet i wydał z siebie przeciągły, głośny miauk. Juliet zamiauczała w odpowiedzi, a kot odwrócił się i uciekł.

- Rozmawiasz z kotami?

- Tylko kiedy zagadują pierwsze - odparła krótko.

Poprowadziła mnie do newsroomu. Okazał się małym pomieszczeniem z zaledwie dwoma biurkami i mnóstwem regałów i szafek. Regały wypełniały segregatory, biurka jęczały pod ciężarem papierów i gotów byłem się założyć, że szafki także pękają w szwach. Najwyraźniej idea biura bez papierów nie dotarła jeszcze do Brokenshire.

Mieli jednak także komputery i jedyna obecna w pomieszczeniu osoba, wyglądająca na dziennikarza, tłukła w klawiaturę ze zdecydowanie przesadną siłą. Był to mocno zbudowany czarnoskóry facet o rzednących szpakowatych włosach. Kiedy uniósł głowę, żeby na nas spojrzeć, ujrzałem twarz pofałdowaną jak u buldoga.

- Co mogę dla was zrobić? - warknął, jakby wcale nie chciał wiedzieć, ale odtwarzał z góry narzucony scenariusz. Przemawiał ze znacznie słabszym akcentem niż gość z muzeum. Zastanawiałem się, czy to dlatego, że pochodził skądinąd i nie przywykł jeszcze do miejscowego dialektu, czy też to pamiątka ze studiów odebranych w innym stanie.

- Nazywam się Castor - oznajmiłem. - A to jest Juliet Salazar. Nicky Heath skontaktował się chyba z panem i spytał, czy możemy złożyć wizytę.

Zmarszczył brwi, próbując zlokalizować to nazwisko.

- Nicky Heath. - I wtedy go oświeciło, jego twarz jakby się rozprostowała, część bruzd zniknęła, gdy brwi uniosły się i opadły z powrotem. - A, tak, jedną chwilkę. Truposz z końcówką co.uk?

- Tak, to właśnie on.

Mężczyzna wstał i wyciągnął rękę.

- Przepraszam za to - rzekł. - Gale Mallisham, miło mi was poznać.

Przychodzi tu mnóstwo ludzi, w błędnym przekonaniu, że ich życie kwalifikuje się do gazety. Już dawno odkryłem, że nie należy dawać im najmniejszego pola do manewru.

Ująłem dłoń i uściśniłem ją, odbierając zwykły, błyskawiczny przekaz na temat jego nastroju - spokojnego, jedynie lekko zabarwionego

ciekawością. Przy okazji zmiażdżył mi palce, bo miał mocny uchwyt.

Gestem pokazał, żebyśmy usiedli, uświadomił sobie, że po naszej stronie biurka stoi tylko jedno krzesło, i poszedł ukraść drugie sprzed sąsiedniego, pustego.

- Truposz mówił, że możecie dać mi coś w zamian. Ale wyraźnie wołał nie wdawać się w szczegóły.

- No cóż - odparłem ostrożnie. - Pewnie uprzedził, że szukamy informacji na temat Myriam Kale. I owszem, mamy coś na wymianę. Bardzo świeże informacje, jeśli rozumie pan, co mam na myśli. Coś, co nadaje się na niezłą historię.

Gale Mallisham podsunął do nas drugie krzesło; Juliet usiadła z uśmiechem i skinieniem głowy. Przyjął jej pełny uśmiech na twarz i nawet się nie zachwiał, wyraźnie zatem widziałem, że Juliet nie odzyskała jeszcze pełnej mocy - lecz wracając na swoją stronę biurka, wciąż nie odrywał od niej oczu. Nawet bez śmiertelnie uzależniających feromonów jest dość piękna, by ludzie w jej obecności wpadali na meble, nie czując najmniejszego bólu.

- Coś, co nadaje się na niezłą historię - powtórzył, przenosząc wzrok na mnie. - Czy przypadkiem to nie historia Paula Sumnera?

- To znaczy?

- Proszę mi wyjść naprzeciw, panie Castor. Nie będę się krygował, jeśli potraktujecie mnie szczerze i otwarcie.

Westchnąłem i pokiwałem głową.

- Tak - przyznałem. - To tego rodzaju historia. Kale sięga zza grobu po kolejną ofiarę.

Mallisham usiadł, oparł ręce na brzuchu, splatając palce.

- Nie publikujemy podobnych historii - oznajmił. - Przynajmniej zazwyczaj. Owszem, macie teraz pod górkę, ale słucham.

Opowiedziałem mu skrótowo o morderstwie Alastaira Barnarda i wydarzeniach ostatnich kilku dni - wspominając nie tylko zeznanie Josepha Onugety, ale także dziwną kolekcję gangsterskich pamiątek Johna Gittingsa i to, co Nicky z niej wydobył.

Mallisham słuchał w milczeniu, odzywając się tylko, kiedy chciał, bym powtórzył bądź rozwinął jakiś detal. Mniej więcej w połowie, w bałaganie panującym na biurku znalazł notatnik formatu A5 i ołówek. Spojrzał na mnie, czekając na zgodę i machając ołówkiem w powietrzu. Przytaknąłem, nie zająknąwszy się nawet. Potem cały czas bazgrał, słuchając mojej opowieści.

Kiedy skończyłem, odłożył ołówek i pomasaował przegub.

- Starzeję się i stenografowanie coraz bardziej boli - mruknął. Spojrzał na swoje zapiski, odczytując je bezdźwięcznie: jego wargi poruszały się, jakby recytował pod nosem moją opowieść.

- Niezła historia - rzekł.

- To tylko połowa historii - odparłem. - Teraz szukam drugiej połowy.

- Żeby uchronić przed więzieniem tego gościa, Huntera?

Poruszyłem się niezręcznie na krześle. Wolałbym nie określać na razie powodów, które mną kierowały.

- Myślę, że Doug Hunter tak czy inaczej trafi do więzienia - odparłem ostrożnie. - Nawet jeśli zdobędziemy dowody, że Myriam Kale była w tym pokoju - ciałem bądź duchem - istnieje duża szansa, że sędzia ich nie przyjmie. Poza tym jest niemal pewne, że to ręka Huntera trzymała młotek, niezależnie do tego, kto siedział za kierownicą.

- Czy zatem warto było lecieć na drugą stronę Atlantyku?

- Tak, bo jeśli coś łączy Myriam Kale i gangsterów z East Endu, którymi zajmował się mój nieżyjący przyjaciel John, to ona tam nie pasuje. A niepasujący element stanowi często najkrótszą drogę do rozwiązania łamigłówki

Mallisham przyglądał mi się z namysłem. Może usłyszał lekkie wahanie w moim głosie, gdy określałem Johna Gittingsa mianem przyjaciela. Może zastanawiał się, jak wiele z tego to przygotowane wcześniej bzdety, mające jedynie otworzyć mu usta i szafki z aktami. Ale kiedy się odezwał, to po to, by znów wszystko podsumować.

- Macie tam wielu nieboszczyków, i to złych nieboszczyków, którzy znów ożywają - oznajmił. - A przynajmniej jednego czy dwóch. A pański przyjaciel trącał wielu więcej kijem, żeby sprawdzić, czy się przypadkiem nie poruszają. Zgadza się? Ale wszyscy pochodzą z waszej części stawu. Myriam to jedyna kobieta, jedyna Amerykanka.

- Tak. Właśnie.

- A zatem tu chodzi o pańskiego przyjaciela i jego... niedokończone sprawy. - Mallisham zdjął okulary i pomasażował pozostawione przez nie odciski na grzbiecie nosa. - Czy miałbym rację, mówiąc, że dokończenie owych spraw może zwiększyć prawdopodobieństwo, że ów przyjaciel spocznie w spokoju, zamiast nękać swych najbliższych?

- Tak - powtórzyłem.

Pomyślałem o Carli i uświadomiłem sobie, że nie zadzwoniłem do niej przed wyjazdem. Nie wiedziałem nawet czy potwornie nieszczęśliwy duch Johna powrócił po kremacji. Musiałem przyznać, że kierowały mną inne powody, prócz czystego altruizmu. Choćby taki, że kiedy ktoś próbuje mnie zabić, by nie pozwolić dokończyć zadania, trąca sięgającą głęboko, upartą strunę.

- W porządku. - Mallisham z powrotem założył okulary, zmrużył oczy i skrzywił się, poprawiając je. - Na razie to kupuję. Jedno z was dwojga ma uczciwą twarz: w dzisiejszych czasach to wynik dużo przewyższający średnią.

- Jedno z nas dwojga? - spytała obojętnie Juliet.

Mallisham obdarzył ją twardym spojrzeniem.

- Cóż, ty, panienko, z całą pewnością nie jesteś tym, na co wyglądasz - powiedział. - Nie jestem pewien, czy nie żyjesz, czy też jesteś czymś, co nigdy się nie narodziło. Ale to ciało, które tak świetnie wygląda, to nie ty naprawdę. Mam rację?

Zapadła cisza. Nie śpieszyłem się, by ją wypełnić; to było pytanie do Juliet i uznałem, że sama musi sobie z nim poradzić.

- Nie - mruknęła w końcu, spuszczając wzrok. - To nie ja. I nawet nie ciało.

- Tylko coś, co wyszykowałaś sobie na tę okazję. - Brwi Mallishama poruszyły się szybko. - Cóż, w pewnym sensie nawet mnie pocieszyłaś. Czym właściwie jesteś? *Kore aperigrapta*? Może sukubem?

Juliet uniosła gwałtownie głowę i spojrzała mu prosto w oczy. Zamrugła.

- Chcesz odgadnąć mój rodowód? - rzuciła wyzywająco. Jej głos zabrzmiał niebezpiecznie. Nie zrozumiałem starożytnej greki, ale wyraźnie słowa Mallishama trafiły w czuły punkt.

Dziennikarz roześmiał się i pokręcił głową.

- Nie, nie. Nie mam wcale zamiaru grać z tobą w dwadzieścia pytań.

Kiedyś, w młodości, dorabiałem na boku egzorcyzmami: stąd wiedziałem czym jesteś. Rzuciłem to dawno temu, bo tak naprawdę chciałem zostać dziennikarzem. Mój tato powtarzał często, że Bóg włożył mi w ręce miecz

do karania nieprawych, ale istnieje wiele sposobów, by tego dokonać. -
Znów pokręcił głową, tym razem z lekkim żalem. - No, no. Sukub. Ale nie
polujesz?

- Nie. Nie poluję.

- Udajesz człowieka.

Juliet wzruszyła ramionami.

- Jesteś drugim mi znanym, który wybrał tę drogę. - Mallisham przyglądał
się jej z głęboką, bezwstydną, ciekawością. - Zastanawiam się... Mam
nadzieję, że cię nie urażę, ale zastanawiam się, czy w otwartym starciu
miałbym z tobą jakieś szanse.

- W tej chwili nie jestem w najlepszej formie - odparła z zimnym
uśmiechem Juliet.

Mallisham uśmiechnął się rozbijająco.

- Trudno w to uwierzyć. No dobrze, Myriam Kale. Czego dokładnie
chcieliście się dowiedzieć?

Przejąłem pałeczkę.

- Wszystkiego, czego brak w oficjalnej historii - oznajmiłem. - Może zna
pan cokolwiek, co łączy ją z Anglią? Jakiś element mogący wyjaśnić,
dlaczego, żywa czy martwa, zjawiała się w Londynie. To byłoby super. Ale
tak naprawdę chcemy po prostu zrozumieć ją lepiej jako człowieka, nie
legendę.

- To bardzo szczytny cel - zastanawiał się Mallisham. - Ale raczej niełatwy
do zrealizowania po czterdziestu latach dezinformacji. Zakładam, że
czytaliście Sumnera... niektórzy nazywają to książką.

- *Wewnątrz Myriam Kale*? Tak - odparłem. - Czytałem.

- Teraz zatem najlepiej będzie, jeśli wszystko pan zapomni - zagrzmiął
Mallisham, krzywiąc się. - Nie lubię mówić źle o zmarłych, ale ten facet
zarabiał na życie, opowiadając kłamstwa, od których nos Pinokia
zamieniłby się w pieprzony pomnik narodowy. Gdyby go posłuchać,
można by sądzić, że Myriam Kale była w dwóch trzecich nimfomanką, w
jednej trzeciej zabójczynią mafii.

- A to niedokładny opis - zaryzykowałem.

Łysiejący mężczyzna prychnął z rozbawieniem i oburzeniem.

- Nie, proszę pana - odparł krótko. - Bardzo niedokładny. W ogóle nie
uwzględnia tego, co sprawiło, że stała się taka, jaka się stała, i nie bierze
też pod uwagę sposobu, w jaki zabijała, i powodu, dlaczego to robiła. Paul
Sumner zakłada z błogą naiwnością, że większość zabójstw
przypisywanych Myriam Kale została zamówiona i opłacona wyłącznie
dlatego, że mężczyźni, będący ofiarami, byli znani w kręgach mafijnych.

Ale po tym, jak poderwał ją Jackie Cerone, większość spotykanych przez nią mężczyzn należała do mafii. To raczej niereprezentatywna próbka.

- Skoro nie chodziło o pieniądze - spytała Juliet - to o co?

Mallisham znów pomasażował grzbiet nosa, tym razem pozostawiając okulary *in situ*.

- Cóż - rzekł, przyglądając się bałaganowi na biurku. - Nie twierdzę, że jestem ekspertem, ale kiedy przyjrzymy się początkowi tej historii, możemy wyciągnąć zupełnie inne wnioski. Albo w ogóle się od nich powstrzymać. Zamierza pan notować, panie Castor?

- Nie - odparłem. - Nie zamierzam.

- Nagrywać?

- Nie.

- To dobrze. Wolałbym, by wszystko pozostało między nami. Oczywiście możecie użyć tych informacji, ale nie moich słów. A jeśli przypadkiem mnie okłamaliście i należycie do zawodu, który wykonuję, zaprzeczę wszystkiemu, co włożycie mi w usta, i zaskarżę was.

- Zgoda.

- Dobra. - Usadowił się na krześle, jakby szykował się do długiej przemowy. - Po pierwsze, powinniście wiedzieć, że Myriam Seaforth - jak się wtedy nazywała - była niemal na pewno molestowana przez ojca i jednego bądź kilku braci. Nie mogę niczego dowiedzieć, ale z całą pewnością tak było. Spotkało to jej siostrę Ruth i ją samą. Oczywiście, wszyscy mężczyźni Seaforthów już nie żyją, toteż nie ma nikogo, kto mógłby zarzucić mi kłamstwa, ale miejscowi bardzo sobie cenią dobre imię. Nic z tego nie trafi nigdy na pierwszą stronę „Picayune”. Nawet dodatku niedzielного.

- Skąd ta pewność, że była molestowana? - wtrąciła Juliet.

Wyczuwałem u niej niepokojący bezruch - niemal groźną intensywność skupienia. Jest bardzo wrażliwa na punkcie dręczonych kobiet. To kwestia sentymentów.

- Skąd mam pewność? - powtórzył Mallisham. - Powiedzmy, że znam kilka osób w szpitalu okręgowym w Sprott, a także ludzi z biura szeryfa. Kiedyś przywieziono tam Myriam, na założenie szwów w miejscu, w którym ciało nie powinno zostać rozerwane, a innym razem Ruth powiedziała w szkole coś, czego dwunastolatka nie miała prawa wiedzieć. Mnóstwo ludzi dysponowało fragmentami informacji i nigdy nie próbowało dowiedzieć się więcej. Ja jednak przede wszystkim jestem reporterem. Zbieram owe fragmenty, szukając historii. Lecz dobrze wiem, że niektórych nie mogę opowiedzieć.

- To znaczy - powiedziała niebezpiecznie spokojnie Juliet - że wiedział pan, że ktoś robił krzywdę tym dziewczynkom, i nie próbował go powstrzymać?

- Nie. - W głosie Mallishama nie zadźwięczał nawet ślad gniewu czy obronnej nuty. - Dowiedziałem się później, kiedy już dorosły, że ktoś skrzywdził je w dzieciństwie. Nie osądzaj tak szybko, panienko. Nie siedziałbym cicho, gdyby wszczęcie alarmu cokolwiek dało. Ale jak mówiłem, ród Seaforthów wygasł. Lucas Seaforth zmarł trzydzieści lat temu, a bracia zginęli w różnych wypadkach i pijackich bójkach. Pokolenie Myriam było ostatnim.

- Ruth nie wyszła za mąż? - wtrąciłem.

Mallisham zacisnął wargi.

- Nie - rzekł. - Wciąż mieszka na ich farmie. Jedyna, która pozostała z Seaforthów. A że ma siedemdziesiąt lat, trochę już za późno myśleć o założeniu rodziny. Ale też, kiedy przyjrzeć się małżeństwu Myriam, można zrozumieć, że podchodziła z mocną rezerwą do wizji zadzierzgnięcia więzów. Tucker Kale był pijakiem, i to niebezpiecznym pijakiem. Niektórzy mówią, że kupił Myriam od Lucasa Seafortha za gotówkę. Wątpię, by wyglądało to tak prosto, ale Lucas był farmerem, a Kale prowadził sklep z karmą, toteż przypuszczam, że w grę nie wchodziła miłość, ale czysta wymiana handlowa. Całkiem nieźle go znałem - mój dom stoi zaledwie pół mili od dawnego sklepu - i osobiście nie dałbym mu nawet kociaka, gdyby moja kotka urodziła ich dziesięć. Bez wątpienia bił Myriam, lubił też chwalić się nią przed innymi. Był wielowymiarowym sadystą, czerpał przyjemność z dręczenia nie tylko fizycznego, ale i intelektualnego. Toteż stał się kolejną cegłą w murze, jeśli mogę tak rzec. Ale Myriam była już nieodwracalnie skażona, gdy dostał ją w swoje łapy. Jej własna rodzina zadała jej więcej bólu, niż ktokolwiek powinien znosić. Mówił to wszystko ze znużeniem i smutkiem i poczułem nagły wstyd, że moje własne zainteresowanie Myriam jest jedynie uboczne.

- Jak długo byli małżeństwem? - spytałem, świadom groźnego milczenia Juliet.

- Mniej więcej siedem lat.

- A potem zginął w wypadku samochodowym.

Mallisham wzruszył ramionami.

- Jeśli chcecie.

- Jeśli chcemy?

- Wspominałem już, że tutejsi bardzo poważnie podchodzą do czyjegóż dobrego imienia.

Wstał, odepchnął krzesło i podszedł do jednej z szafek. Zaczął przeglądać segregatory, przysuwając do nich twarz, unosząc okulary, a następnie mrużąc oczy i odczytując napisy na grzbietach.

- Powiadali, że tak właśnie zginął. I faktycznie, znaleziono go martwego w samochodzie, który przypominał niezły wrak. Ale też przypominał wrak, kiedy go kupił i jeździł nim po mieście. Nie zadawałem pytań, bo w tamtym czasie nie widziałem powodów, by wątpić w oficjalną wersję wydarzeń. Ale dużo później, po tym, jak Myriam zyskała sobie sławę, postanowiłem obejrzeć raport z sekcji. Jestem niemal pewien, że gdzieś go tu mam.

Mallisham przez sekundę stukał palcem w segregator, jakby jego dotyk miał mu pomóc przypomnieć sobie, co jest w środku. Ale potem wyjął zupełnie inny, z niższej półki. Przyniósł na biurko i otworzył.

- Jeśli stary Tucker upił się i wjechał do rowu, jak twierdziła policja, to niektóre obrażenia jego głowy budzą pewne wątpliwości. Według mnie wygląda to, jakby się cofał i kilka razy wjeżdżał do rowu, dopóki nie trafił jak należy, bo głowę miał powgniataną w wielu różnych miejscach. -

Uniósł bardzo stary wydruk na błyszczącym papierze, którego używały wczesne modele fotokopiarek. - Tak, jest tutaj, jeśli chcecie, możecie obejrzeć sami, ale wolałbym, żebyście go nie kopiowali. Można po nim trafić do mnie, a jak mówiłem, nie zamierzam niczego potwierdzać oficjalnie.

- Proszę po prostu streścić - zaproponowała Juliet.

Mallisham kiwnął głową.

- Były też obrażenia odbytu. Nie wspomniano o nich nawet, gdy koroner wydał orzeczenie, ale mam wszystko czarno na białym. Tuckera Kale'a zgwałcono analnie po śmierci.

- Zgwałcono? - powtórzyłem.

Przed moimi oczami mignęły nieproszone i niechciane obrazy Alastaira Barnarda, którego zwłok na szczęście nigdy nie oglądałem.

- Zgwałcono jakimś przedmiotem - poprawił Mallisham. - Zwykle nie wspominałbym o tym w obecności damy, ale ty jesteś... tym czym jesteś, więc to dla ciebie nic nowego. Przypuszczam, że nic, co jedno ciało może zrobić drugiemu, nie jest dla ciebie nowiną. Coś w niego wsadzono. Z dużą siłą. I to coś zrobionego z drewna, bo lekarze znaleźli drzazgę.

Rączkę młotka? Słupek z ogrodzenia? Nie wiem, ale założyłbym się, że czymkolwiek Myriam go zabiła, później wykorzystwała to w inny sposób. Ale ostatecznie przekonał mnie ślad po oparzeniu na czole Tuckera.

- Podpis Myriam - wymamrotałem.

Mallisham lekceważąco machnął ręką.

- Nie o to mi chodziło - uciał. - Owszem, potem stał się częścią jej *modus operandi*, ale myślę, że wtedy po raz pierwszy zabiła człowieka. I stawiam wszystko co mam, że nie uczyniła tego z zimną krwią, nie ćwiczyła wcześniej, nie planowała. Nie miała w tej kwestii żadnego wyboru. To było coś, co przyszło z jej wnętrza i musiało się wydostać. „Uzasadniony bunt jej duszy”, jak to ujął pewien poeta z waszej strony stawu. Nie uważałem zatem tego za dowód, że to Myriam zabiła starego Tuckera Kale'a. Wiedziałem o tym od czasu, gdy w latach sześćdziesiątych opisałem jej historię - dla tej gazety, gdzie siedem tygodni wcześniej zaczynałem jako reporter. Ale musiałem trochę pożyć na tym świecie i poznać ludzi z ich najgorszej strony, by zrozumieć, co właściwie robiła Myriam. - Mallisham wzruszył szerokimi ramionami. - Może to tylko głupie domysły. Ale sądzę, że chciała coś sobie udowodnić. Robiła to dla własnej satysfakcji. Wielu mężczyzn wykorzystywało ją seksualnie i chyba podobało jej się, że tym razem znalazła się po przeciwnej stronie. Gwałt analny to część tego. Oparzenie także. Przypaliła go papierosem. Zapaliła papierosa i zgasiła mu na czole. Czy to wam coś sugeruje? Sam bym się domyślił, ale Juliet, dla której rytuały seksualne stanowią drugą naturę, zgadła pierwsza.

- Papieros po - rzekła i Mallisham skinął głową.

- Papieros po. Tak. Według mnie to czysty symbol. A symbolizował seks. Zły seks. Seks, podczas którego nie szanuje się drugiej osoby, jedynie wykorzystuje wedle woli, a potem wstaje i odchodzi.

Zapadła cisza, kiedy przetrawialiśmy jego słowa. To Mallisham naruszył ją pierwszy.

- Wydaje mi się jasne - zauważył bardziej rzeczowym tonem, chowając kartkę papieru z powrotem do segregatora i zamykając go - że Luke Paulson, mężczyzna, którego Myriam spotkała i zamordowała na autostradzie, nie był jej pierwszą ofiarą, lecz drugą. Schemat utrwalił się, kiedy zabiła swego męża. I powtarzała go przy każdym kolejnym zabójstwie.

- Jezu - mruknąłem odruchowo, po czym dodałem: - Przepraszam, Juliet. Nie znosi, kiedy ludzie posługują się takim językiem.

- Jezus nie stanowi części tej układanki, panie Castor.

- Zapewne nie. Ale mówi pan, że Myriam Kale do zabójstw pchnęły jej przeżycia z dzieciństwa i jej pochodzenie. Że po tym, jak przybyła do Chicago, stała się seryjną zabójczynią, tak jak Aileen Wuornos, a nie cynglem mafii? Czy może historie z Chicago to jedynie część legendy?

- Nie, ta część jest prawdziwa - potwierdził Mallisham. - Faktycznie pojechała do Chicago i parę lat pracowała jako prostytutka. Myślę, że zabiła paru klientów, ale oficjalna lista ofiar ich nie obejmuje i teraz nie da się już tego sprawdzić. Mówię wyłącznie na podstawie dokumentów sądowych koronera z Chicago, opisujących zwłoki z pośmiertnymi oparzeniami. Wierzę jednak, że porównanie z Aileen Wuornos jest bardzo trafne. Myriam Kale nie była gangsterką, tylko psychopatką, która zabijała, bo musiała. Ponieważ ból, którego doświadczała całe życie, uszkodził jej umysł tak bardzo, że nie знаła niczego poza nim. Nie istnieje nawet cień dowodu, że Cerone płacił jej za zabójstwa. Moim skromnym zdaniem zabijała bandytów, bo zadawała się z bandytami. A w jednym czy dwóch przypadkach zabiła ludzi, których Sumner uważa za gangsterów, ponieważ Kale ich zabiła. To trochę opaczne wnioskowanie, ale tak właśnie wygląda. Fakty są takie, że zabiła większość mężczyzn, z którymi spała. Tylko kobietom, które zaciągała do łóżka, się upiekło.

- Była biseksualna? - spytała Juliet.

Mallisham spojrział na nią z niemal komicznym zdumieniem.

- Dobry Boże, nie. Była lesbijką. Myślę, że nawet wtedy, kiedy mieszkała z Tuckerem Kale'em, choć zapewne nic w tej mierze nie zrobiła, dopóki go nie zabiła i nie wyjechała na północ. Mężczyźni czasami wymuszali u niej seks, a ona używała ich czasami do zdobycia tego, czego pragnęła. Seks z mężczyznami nigdy nie sprawiał jej przyjemności, chyba że dawało jej ją gwałcenie ich różnymi narzędziami. Kiedy sama wybierała sobie partnerów, zawsze były to kobiety. A teraz, jeśli nie macie dalszych pytań, muszę wracać do pracy. Mam do przepisania parę artykułów i muszę też sprzedać jeszcze trochę powierzchni reklamowej. Jak pewnie zgadliście, w dzisiejszych czasach praktycznie sam wydaję „Brokenshire Picayune”. To, czego nie kupuję z agencji, piszę własnoręcznie, a miałem długi dzień.

Wstałem, Juliet poszła w moje ślady. Wyciągnąłem rękę, Mallisham znów ją ujął i niemal zmiądzzył w uścisku. Jego wcześniejszy pogodny spokój jakby się ulotnił - powrót na stare śmieci nieco popsuł mu nastrój.

Podziękowałem, że znalazł dla nas czas, on jednak machnął lekceważąco ręką. Juliet także podała mu dłoń. Po chwili wahania pokręcił głową.

- Wolałbym nie - rzekł. - Bez urazy. To tylko wrodzona ostrożność.

Na moment spałem się, zastanawiając się, jak Juliet to przyjmie. Jej jednak najwyraźniej zaimponował zdrowy rozsądek Mallishama. Pokiwała głową.

- Rozumiem - mruknęła. - Gdybym to ja była na twoim miejscu, też nie chciałabym, by jedna z sióstr Bafometa poczuła na swych dłoniach mój

pot.

Mallisham wzdrygnął się wyraźnie, po czym z lekkim żalem skinął głową, dziękując za niespodziewane informacje.

- Tę teorię sprawdziłbym jako drugą - przyznał. - Ale oczywiście, gdybyśmy spotkali się w polu, nie miałbym czasu na sprawdzanie teorii. Mam zatem szczęście, że się nie spotkaliśmy, prawda? Miłej reszty dnia. Ruszyliśmy do drzwi, lecz tuż przed wyjściem przypomniałem sobie coś, o czym wspomniał, a co chciałem wyjaśnić. Odwróciłem się na progu, zupełnie jak Columbo, i spojrzałem na niego. Siedział już przy klawiaturze, ale zamarł z uniesionymi palcami, czekając, aż się odezwę.

- Panie Mallisham - powiedziałem. - Kiedy wspominał pan o Paulu Sumnerze, dodał pan, że nie chce źle mówić o zmarłych. Jak dawno temu umarł?

- Z tego co mi wiadomo - odparł Mallisham - parę lat temu. A czemu? Miał pan zamiar skorzystać z okazji i zajrzeć do niego?

- Istniała taka możliwość - rzekłem. - Teraz już nie.

I rzeczywiście, ale myślałem raczej o innej niemożliwości. Jan Hunter mówiła, że Sumner zadzwonił do niej w styczniu, niecałe dwa miesiące wcześniej i że to właśnie z powodu owej rozmowy zaczęła zadawać pytania o Myriam Kale. Zwróciła się do mnie i zapewniła moją pomoc w owych niezwykłych poszukiwaniach.

Jeszcze jeden otwarty grób do kompletu? A może coś innego?

Kiedy wyszliśmy na słońce, w duszne powietrze, wyobraziłem sobie sznurki opadające z nieba i przyczepione do moich rąk i nóg. Jeśli dowiem się kiedyś, kto za nie pociąga, okręcę mu je wokół gardła w miłosnym węźle i zaciągnę mocno.

Farma Seaforthów leżała siedemnaście mil za miastem, ale były to wiejskie mile, a mnie ogarniało coraz większe zmęczenie. Podskakując na wyboistych drogach, mierząc postępy liczbą dziur i grubych korzeni, zastanawiałem się nad tym, co powiedział Mallisham. Z jednej strony, jeśli Myriam Kale faktycznie była psychopatyczną, seryjną zabójczynią, a nie płatną morderczynią, zarabiającą na życie rzezonymi zabójstwami, to mogło tłumaczyć straszliwą siłę i zdecydowanie, potrzebne, by powstrzymać ją przed odpłynięciem z prądem wieczności, do przywołania jej z za grobu czterdzieści lat po śmierci, by mogła nadal kontynuować mordercze dzieło. Lecz z drugiej osłabiało to więzy łączące Kale z chicagowską mafią i tym samym wyróżniało jeszcze bardziej, niczym śledzia w sałatce owocowej Johna Gittingsa.

- Czegoś tu nie rozumiem - wyznałem Juliet, która całą drogę milczała. - Jest jeszcze coś, czego nie dostrzegamy i musi to być coś wielkiego.

- Kolejne śmierci - zastanawiała się głośno.

- Słucham?

- Kolejne śmierci - powtórzyła. - Ojciec Myriam Kale. Jej bracia. Paul Sumner. Wszyscy, którzy ją dobrze znali i mogli nam o niej opowiedzieć.

- Nie wszyscy - zauważyłem. - Została jeszcze Ruth.

- Tak - przyznała Juliet. - Jest jeszcze Ruth. Może powinniśmy spytać

czemu...

- Nie wiem, jakie miało być następne słowo, bo w tym momencie coś rąbnęło nas mocno od tyłu. Cobalt wierzgnął i podskoczył jak spłoszony koń, metal zazgrzytał mocno o metal.

- Kurwa! - wybuchnąłem, walcząc z samochodem i próbując nad nim zapanować, bo tylne koła usiłowały zjechać z drogi.

Mój wzrok pomknął ku wstecznemu lusterku. Rosła w nim szara furgonetka, co oznaczało, że już przyśpieszała, szykując się do drugiego uderzenia. Na wąskiej trasie brakowało miejsca, żeby skręcić, a gdybyśmy zjechali na bok i spróbowali szczęścia między drzewami, na pewno byśmy się rozbili: zbyt wiele grubych, splątanych korzeni, zbyt wiele ukrytych pod liśćmi dziur i rowów.

Zrobiłem jedyną rzecz, jaka mi została - wcisnąłem gaz do dechy i oderwałem się od furgonetki, nabierając prędkości. Ale tamci już zmniejszali dzielący nas dystans, a na potężnych, czarnych zderzakach nie dostrzegłem nawet zadrapania po pierwszym uderzeniu. Mieli nad nami przewagę masy, rozpędu i pozycji: mogli zepchnąć nas z drogi i nawet tego nie poczuć. Przyciemnione szyby furgonetki nie pozwalały mi stwierdzić, kto siedział za kierownicą, lecz ktokolwiek to był, przekląłem jego imię i ray-bany.

Juliet także oglądała się przez ramię.

- Powinniśmy stanąć i rozprawić się z nimi - zauważyła ze zdumiewającym spokojem.

- Super - warknąłem, rzucając wozem z boku na bok, w nadziei na stanie się nieco trudniejszym celem. - Jedyne problem jest taki, że jeśli się teraz zatrzymamy, wprasują nas w drzewo i złożymy się jak akordeon.

Juliet spojrzała na mnie pytająco.

- Jak co?

- Akordeon. Instrument muzyczny. Wydaje dźwięk, wciągając powietrze przez miechy i wypuszczając je przez... Kurde, mógłbym wyjaśnić później?

- Tak - powiedziała Juliet w chwili, gdy furgonetka znów nas doścignęła.

Poczułem kolejne potężne szarpnięcie i nasz tył na moment uniósł się w powietrze, po czym wylądował tak ciężko, że zagrzechotały mi zęby. Jechałem dalej, nieco sprawniej niż za pierwszym razem, ponieważ wiedziałem, co nas czeka. Ale nozdrza wypełnił mi smród palonej gumy. Nie miałem pojęcia, co to znaczy: przypuszczałem, że wylądowaliśmy z taką siłą, że zawieszenie na moment nie zadziałało i opony otarły się o tarcze kół, pocierając o nie parę tysięcy obrotów na minutę. Jeśli miałem rację, kolejne podobne uderzenie prawdopodobnie rozwali co najmniej jedną.

Ale Juliet opuszczała już szybę ze swojej strony, nie śpiesząc się, jakby chciała wypluć gumę do zucia. Zdażyła już rozpiąć pas, dobiegło mnie ledwie słyszalne westchnienie materiału trącego o metal, gdy wsunął się z powrotem w uchwyt.

- Jedź dalej - poleciła lakonicznie.

A potem wyśliznęła się za okno i na dach samochodu, poza moje pole widzenia, zgrabnie, jakbyśmy nie jechali wąską polną drogą z prędkością dziewięćdziesięciu pięciu mil na godzinę.

Skok oglądałem w bocznym lusterku. Było na co popatrzeć: w tym momencie furgonetka jechała dziesięć metrów za nami, lecz Juliet

pokonała tę odległość jednym, mrozącym serce baletowym susem, który zakończył się na zderzakach. Wylądowała tak gładko, że nie uderzyła nawet o przednią szybę. Zamiast tego wybiła w niej pięścią dziurę. Potem sięgnęła do środka i przez poszarpany otwór w nietłukącym szkle wywlokła kierowcę, jakby przyjmowała poród przerośniętego dziecka.

Rzuciła go pod koła furgonetki, która podskoczyła i przejechała po nim, a on zamachał i załopotał rękami; wyglądał jak koszula susząca się na sznurze. Zginał, nie wiedząc nawet co go spotkało. Furgonetka zaczęła skręcać w lewo, tracąc szybkość, bo nikt nie naciskał już na pedał gazu. Nadal jednak sunęła siłą rozpędu i nie miała gdzie jej wylądować.

Usłyszałem grzmot, powtórzony jeszcze dwukrotnie - Juliet obróciła się, gdy ktoś poruszył się wewnątrz furgonetki, unosząc pistolet do kolejnego strzału. Jeśli nawet ją trafił, nie pokazała tego po sobie. Bok furgonetki otarł się ze zgrzytem o gruby pień starego drzewa i pojazd odskoczył na drugą stronę wąskiej drogi, ślizgając się coraz mocniej i przechylając na bok pod coraz ostrzejszym kątem. Juliet wspięła się na dach, przez chwilę balansowała tam z instynktowną gracją i już zeskakiwała, w chwili gdy ciężarówka rąbnęła bokiem w ziemię i zaczęła koziółkować.

Nacisnąłem hamulec, świadom, że powinienem był obserwować drogę przede mną, a nie to, co działo się z tyłu. W pobliżu nie dostrzegłem żadnych samochodów, ale stanowczo zbyt ostro wszedłem w szeroki zakręt i zatrzymałem się w poślizgu pośrodku drogi. Samochód obrócił się gwałtownie. Wyglądałoby to elegancko i fachowo, gdyby przy okazji nie strzeliły obie opony z lewej strony.

Wszystko działo się tak szybko, że kiedy wyskoczyłem z samochodu,

echa dachowania furgonetki jeszcze nie ucichły. Drzewa przez parę sekund zasłaniały ją przed moimi oczami i nim z powrotem pokonałem zakręt, akcja nieco się posunęła.

Juliet stała na drodze, ocaleli pasażerowie furgonetki wyczołgiwali się oknami i drzwiami. Jeden z nich - sądząc po broni w ręku, pewnie ten, który strzelał do Juliet - uniósł rękę, by wypalić jej prosto w twarz. Zanurkowała i zawirowała w piruecie tak szybkim, że rozmazała się przed moimi oczami: potężny kopniak, który trafił go wysoko w pierś, musiał połamać połowę żeber. Facet zgiął się wpół, runął na ziemię i już się nie poruszył.

Zostało troje: dwóch mężczyzn i kobieta. Zobaczyłem ją teraz po raz pierwszy - drobna, wymoczkowata, ubrana w beże, tu i tam poplamione jaskrawą czerwienią, bo właśnie przecisnęła się przez stłuczone okno i wstała z ziemi akurat w chwili, gdy Juliet zaledwie metr dalej załatwiła jej kolegę. Zdumiewające, ale była boso - może to powinno mnie ostrzec.

Dwaj mężczyźni byli ubrani z klasyczną mafijną elegancją, lecz czarne garnitury i ciemne okulary w obecnej sytuacji wyglądały znacznie mniej groźnie. Jeden z nich odpełzał na czworakach od furgonetki w stronę poszycia, poruszając się w rozpaczliwym, niestrudżonym zwolnionym tempie. Drugi stał niepewnie naprzeciw Juliet, zaciskając pięści, lecz wyraźnie nie wiedząc, co robić. Postąpiła krok ku niemu, rozkładając szeroko ręce, jakby chciała chwycić go w objęcia. Odskoczył chwiejnie, zbyt późno sięgając do pasa w poszukiwaniu noszonej tam broni.

I wtedy kobieta zaatakowała. Czekwała tylko, aż Juliet zwróci się ku niej: teraz wkroczyła do akcji, poruszając się błyskawicznie. Podstawą

jednej dłoni uderzyła Juliet w lewą skroń, a kiedy tamta spojrzała na nią, chlasnęła na odlew drugą. Głowa Juliet odskoczyła na bok, w nieruchome, rozświetlone powietrze wleciała krwista mgiełka.

Kobieta już się zmieniała - czy raczej zmieniła. Bardziej przypominało to ostrze wyskakujące z pochwy, niż powolne, fotogeniczne metamorfozy rodem z horrorów. Stała się wyższa, bo jej tułów zwęził się i wydłużył, jednocześnie łokcie i kolana ugięły się i przybrały nowe konfiguracje, których człowiek nie zdołałby odtworzyć, nie wrywając ze stawów co najmniej tuzina kości. Z ciała wystrzeliły włosy, grube jak kolce jeżozwierz, zjeżone jak u kota, który, sycząc i prychnając, szykuje się do ostatniej walki.

Juliet uderzyła *loup-garou*, lecz oślepiła ją własna krew i gibki potwór przeskoczył ponad rozpedzoną ręką, lądując jej na ramionach. Jego łapy, długie, chude, zakończone dwoma zjeżonymi gąszczami nieprawdopodobnie długich szponów, śmignęły w górę, rozdzierając twarz Juliet. Kolejny skok i stwór umknął, nim przeciwniczka zdołała go chwycić. Juliet zachwiała się jak pijana. *Loup-garou* wylądował na czterech łapach, wzbijając pył, i obrócił się do kolejnego ataku.

Ja tymczasem biegłem już ku nim jakby ścigały mnie wszystkie ogary piekieł. Nie miałem czasu do namysłu. Wyciągnąłem rękę, chwyciłem z krzaków po lewej garść czegoś i oderwałem, nie zwalniając kroku.

- *Benedicite, domine meus* - wydyszałem pod nosem. - *Hunc florem, et noli oblivisci...*

W moich ustach to były czyste bzdury, ale musiały wystarczyć.

Tym razem *loup-garou* skoczył nisko, nurkując pod machającymi na

oślepił rękami Juliet i potężnym kopnięciem tylnej łapy rozszarpując jej brzuch. Ale ja dotarłem już niemal do celu, musiałem tylko dotknąć naładowaną rośliną stworza, nim ten zawróci i mnie zobaczy.

Ostatni stojący facet, o którego istnieniu kompletnie zapomniałem, skoczył na mnie z boku i wywrócił, lądując na górze. Siła zderzenia pozbawiła mnie tchu i poczułem palce zaciskające się na gardle. Jego spocona, czerwona twarz była zwrócona ku mojej, rozchylone wargi ukazywały zaciśnięte zęby. Nie mogłem unieść prawej ręki, by poluzować palce - rana na ramieniu zanadto ją osłabiła i usztywniła, bym cokolwiek zdziałał. Ale lewa - ta wciąż pełna zieleniny - działała w pełni sprawnie. A że łaskawie tak bardzo się zbliżył, zarzuciłem mu ją na kark, przyciągnąłem bliżej i rąbnąłem głową prosto w gębę, zgniatając nos. Facet oklapł. Przeturlałem się, tak że znalazł się pode mną, po drodze waląc go kolanem w jaja, żeby mieć pewność, że zbyt szybko nie wstanie. Podniosłem się i zdołałem wyprostować, pozostawiając go skulonego, sam na sam z bólem.

Juliet klęczała na jednym kolanie, z twarzą zalaną krwią. Lecz mimo potwornych obrażeń, wciąż się osłaniała; *loup-garou* tańczył wokół niej, szukając jakiegoś otwarcia. Podtańczył tak wprost w moje otwarte ramiona i dźgnąłem go kwitnącą gałęzią prosto w pysk.

- *Hoc fugere* - warknąłem.

Bestia złożyła się wpół, jej głowa odskoczyła, szeroko rozwarte oczy patrzyły ślepo przed siebie. Ciałem wstrząsnęła fala bólu, przez parę sekund nogi nie wytrzymały ciężaru ciała, gdy porażone mięśnie szarpały się konwulsyjnie w ataku bolesnych drgawek. Wykorzystałem te cenne sekundy, by rozstawić szerzej nogi i rąbnąć ją obiema pięściami w gardło.

Mimo swej żylastej siły nie ważyła aż tak dużo i efekt był całkiem zadowalający. Uderzyła mocno o ziemię pod dziwnym kątem, przeturlała się w chmurze pyłu przez całą szerokość drogi. Moje poczucie tryumfu nie trwało jednak długo, bo bestia wylądowała na czterech łapach jak kot i znów śmignęła w moją stronę, zupełnie jakbym nawet jej nie tknął. Wiedziałem, że cios nic jej nie zrobi, ale liczyłem na więcej ze strony zaimprovizowanego amuletu. Pewnie jego nieskuteczność miała coś wspólnego z moim brakiem wiary: chrześcijańskie błogosławieństwo w ustach ateisty nie podziała tak mocno, jak wymówione przez arcybiskupa cholera wie czego.

Loup-garou skoczył w powietrze z miaukotem, który przyszpilił mnie do ziemi. Ujrzałem wzniesione do cięcia szpony. Gdyby wylądował tam gdzie zamierzał, pewnie jednym zlanym krwią ruchem wydłubałby ze mnie połowę narządów wewnętrznych. Ale Juliet złapała go w powietrzu i wykorzystując jego własny rozpęd, ponownie cisnęła mocno o ziemię. Naprawdę mocno: tym razem zobaczył gwiazdy i potrzebował kilku sekund, by znów się poruszyć. Lecz Juliet zdołała już ukłęknać obok, chwyciła *loup-garou* w mocne objęcia w chwili, gdy próbował się podnieść, i powoli, niemal czule zaczęła wyginać go w tył, dopóki nie pękł mu kręgosłup. Bestia osunęła się na ziemię, jej głowa drżała słabo, ciało znieruchomiało. Juliet uniosła stopę w bucie na szpilce i szybko odwróciłem wzrok. Pożałowałem tylko, że nie przyszło mi do głowy, by zatkać też uszy, bo dźwięk pękającej pod naporem czaszki trudno zapomnieć, gdy już raz się go usłyszało.

- Suka mnie zaskoczyła - warknęła Juliet, ścierając krew z oczu, czy raczej z oka, bo drugi oczodół miała pusty. Na jej wargach pienila się

krew, krwawiła też wszędzie indziej. Prawą rękę miała rozplataną do kości. Podeszła na skraj drogi i powoli usiadła na pniaku.

- Niezła sztuczka z zaklęciem przeganiającym - wymamrotała.

Spojrzałem na obsmyczone szczątki gałązki, nadal ściskane w lewej dłoni. Rozprostowałem palce, wypuszczając ją.

- Poszcęściło mi się - przyznałem. - Ogólna zasada głosi, że nadaje się wszystko co kwitnie, ale wiesz, że niektóre rośliny działają lepiej niż inne. Nigdy nie mogłem się połapać w sekretach magii sympatycznej.

Przyciskając dłoń do pustego oczodołu, Juliet zerknęła znacząco na jedyne z naszych przeciwników, który wciąż był obecny, żywy i przytomny - faceta, któremu zламаłem nos.

- Z kim właściwie walczyliśmy? - spytała.

Podszedłem do gościa, usiadłem na nim okrakiem, schyliłem się, złapałem go za kłapy i dźwignąłem. Bardzo cierpiał i potrzebował kilku sekund, by skupić na mnie wzrok.

- Dwa słowa - warknąłem. - Kto? Dlaczego? I lepiej, żeby zabrzmiały przekonująco, albo nakarmię tobą sukuba.

- Am... Ame... - wykrztusił. - Amer...

- Nie rozumiem. Postaraj się lepiej.

- Amerykański Kościół... Sa... satanistyczny.

- Kurwa! - Puściłem go i uderzył ciężko o ziemię. - Jaja sobie robisz!
Juliet, ci goście to...

- Słyszałam. - W jej głosie dźwięczało napięcie. - Nie oglądaj się, Castor. Przemieniam się.

Kiedy to powiedziała, musiałem zwalczyć pragnienie zerknięcia ukradkiem. Podczas dachowania boczne lusterko furgonetki odpadło i

leżało na ziemi u moich stóp. Wystarczyło tylko pochylić się i spojrzeć. Ale w głowie wciąż dźwięczał mi niestrawny odgłos pękającej czaszki. Uznałem, że wolę, by nie towarzyszyły mu inne niestrawne obrazy.

Amerykański Kościół Satanistyczny. A zatem ci goście nie mieli nic wspólnego z Myriam Kale i naszą obecną misją rozpoznawczą. To chłopcy i dziewczęta Antona Fankego: kolejny oddział tej samej armii dupków, z którą rok wcześniej stałem się w zachodnim Londynie, kiedy szukałem ducha Abbie Torlington. Musieli nas śledzić od lotniska. Ale wcześniej?

Pochyliłem się i znów potrząsałem facetem, nad którym stałem.

- Śledziliście mój paszport? - spytałem ostro. - To stąd wiedzieliście, że przyjeżdżam?

Szarpnął się. Wyglądało na to, że ów ruch zapoczątkowała próba pokręcenia głową.

- Powiedział nam - wybełkotał.

Jego oczy krążyły po różnych orbitach, był zapewne w jeszcze gorszym stanie, niż na to wyglądał.

- Kto wam powiedział?

- Przyjaciel. Zainteresowany przyjaciel. Powiedział, kiedy. Gdzie.

- Podaj nazwisko - zażądałem.

- Nie... znam.

- Podaj nazwisko, albo rzucę cię sukubowi i będę patrzył, jak cię wykańcza.

Jęknął żałośnie.

- A-Ash! Mówił, że nazywa się... Ash!

- Korzystaliście z jego usług wcześniej?

Przeczący ruch głowy.

- Po prostu zadzwonił znikąd? Żeby przekazać wieści?

Skinienie.

- Możesz się już odwrócić - powiedziała cicho Juliet tuż za moimi plecami.

Znów upuściłem faceta, który skulił się ze zgrozy na sam dźwięk jej głosu - był jednak za słaby, by odpełznąć.

Przyjrzałem się jej od stóp do głów. Spojrzała wyzywająco, więc zagryzłem wargę, tłumiąc przekleństwo, które pchało mi się na usta.

Dobrze się spisała, ale wyraźnie nie przyszło jej to łatwo. Oko z powrotem tkwiło w oczodole, a przez rozdartą koszulę widziałem, że ramię ma całe; nie dostrzegłem znajomego błysku nagiej kości. Ale trzymała się sztywno, co sugerowało, że nadal czuje ból. Nie wyleczyła też rozdarć ubrania i nie usunęła krwawych plam, a poczucie blaknięcia, jakie odniosłem, patrząc na nią w samolocie, powróciło jeszcze mocniej - wyglądała jak akwarelowy portret samej siebie, który wystawiono na deszcz. Nie miała jeszcze dość sił, by spokojnie przyjąć to, co przed chwilą zrobiła.

- To co, ruszamy? - wymamrotała.

- Jasne - odparłem. - Daj mi tylko chwilkę.

Ukląknę obok Pana Nochala i zacząłem przetrząsać mu kieszenie. Był leciwie przytomny i w żaden sposób nie mógł stawić oporu. W spodniach znalazłem komórkę, rzuciłem na ziemię i rozdeptałem na kawałki.

- Łatwiej byłoby po prostu go zabić - zauważyła Juliet.

- Ale po co, skoro nie ma potrzeby - odparowałem. - Nie ma wozu ani telefonu i właśnie spieprzył standardowe zlecenie. Zapewne zechce

zniknąć z widoku, chyba że sataniści wuja Sama są znacznie bardziej wyrozumiali niż ich rodzimy odpowiednik. Tak czy inaczej, nim pozbiera się do kupy, nas już dawno tu nie będzie.

Ruszyłem naprzód, zmuszając się, by nie patrzeć za siebie. Napinałem się wewnętrznie w obawie przed złowieszczo wilgotnym chrzęstem miażdżonej czaszki. Lecz Juliet albo przekonało moje rozumowanie, albo też uznała, że nie ma ochoty się kłócić. Chwilę później zjawiała się u mego boku i minęła mnie szybkim krokiem.

- Jesteś zbyt sentymentalny - warknęła przez ramię.

- Wiem. Kocham szczeniaczki i perfumowane listy.

Wróciliśmy do naszego okulałego samochodu; z trudem go obróciłem. Ciężko się prowadził z dwoma kapciami, a zgrzyt, który słyszałem, prawdopodobnie wydawała przednia oś, robiąca coś czego nie powinna. Wciąż jednak trzymał się drogi, a zresztą, do diabła z tym, był przecież ubezpieczony.

Zgrzytając i podskakując, dotarliśmy do maleńkiej wioski Caldwell i ruszyliśmy dalej drogą, w porównaniu z którą poprzednia wyglądała jak superautostrada.

- Ktoś uprzedził tych gości, że się zjawimy - poinformowałem Juliet.

- Wiem.

- Ten sam ktoś, kto założył czujki na numer mojego paszportu.

Wystawili nas. Nie tutaj. W Anglii.

Skinęła głową. Z odległą, chłodną miną spoglądała na przepływające obok pola.

Z początku farmę Seaforthów trudno było odróżnić od otaczających ją lasów i zarośli, bo pola porastała gęsta płatanina chaszczy i młodych

drzewek, spomiędzy których wynurzał się stary, spłowiały i sfatygowany strach na wróble, z głową zrobioną z wyblakłego worka. Wyglądał jak rozbitek, który za chwilę po raz trzeci zatonie wśród fal. Dostrzegłszy fragment domu między roślinami, zmusiłem niechętny do współpracy samochód do zjazdu z drogi i zaparkowałem parę metrów od żelaznej bramki dla bydła. Pokrywająca ją biała farba w dwóch trzecich oblażała.

- To musi być tutaj - oznajmiłem. - A przynajmniej nie ma tu niczego innego. Chcesz się rozejrzeć?

Juliet zerknęła na mnie. Wyraz jej twarzy sugerował, że to pytanie nie wymaga odpowiedzi. Wysiedliśmy i podeszliśmy do bramki. Ciężki łańcuch i zardzewiała kłódka świadczyły wyraźnie, że nie używa jej się co dzień. Juliet bez żadnych wstępów wdrapała się na bramkę, ja powoli poszedłem w jej ślady. Pochyliłem się nad zapuszczonym żywopłotem, by lepiej przyjrzeć się domowi.

Był w równie kiepskim stanie jak brama. Deski wypaczyły się i rozeschły, pokryty dachówkami dach zapadł się, tworząc krzywą, wklęsłą misę. Na poręczy werandy niczym rzygający pijak wisiał stary materac. Obok ujrzałem drewnianą huśtawkę, wyglądającą jakby przetrwała tu stulecia. Trudno uwierzyć, że ktoś mógłby tutaj mieszkać.

Z trudem przedzierałem się przez sięgające ramion chaszczki: gdzieś musiała być inna brama i prawdziwy podjazd, lecz Juliet wyprzedziła mnie, toteż szedłem za nią, pozwalając, by oczyściła mi ścieżkę. W teorii był to dobry pomysł, tyle że Juliet okrążała kolczaste jeżyny i lepkie diabloszpony, zamiast przez nie przechodzić, przeciskała się przez szczeliny wyjątkowo wąskie jak dla dorosłej kobiety. Nadal zatem musiałem się sporo nabiedzić. Nim dotarliśmy na werandę, byłem cały

podrapany, potargany i solidnie wkurzony.

Nie znaleźliśmy dzwonka ani kołatki, zabębniłem zatem w siatkowe drzwi. Tymczasem Juliet obróciła się dokoła osi, oglądając otaczające nas ruiny. Z tego miejsca nie było widać żadnej innej budowli stworzonej rękami człowieka. Równie dobrze mogliśmy spaść z nieba wraz z domem do wesołej krainy Oz.

Ponownie zastukałem, tym razem mocniej. Nikt nie odpowiedział. Echa łoskotów brzmiały głucho, sugerując pustkę. Już miałem zawrócić, ale z lewej strony dostrzegłem ruch i obróciłem się.

Okazało się, że weranda okrążała dom. Na jej końcu, zza rogu wyłoniła się bardzo stara kobieta w białej sukience o rąbku poplamionym ziemią. Twarz miała niemal tak bladą jak Juliet, ale tylko to jedno je łączyło. Między rzadkimi, srebrzystosiwymi włosami przeświecała naga czaszka. Ręce zwisały bezwładnie niczym kawałki sznurka z supłami w miejscu łokci. Stopy także miała gołe i zauważyłem, że jedną stawia pod dziwnym kątem, opierając ją na zewnętrznej krawędzi. W rękach trzymała pomarańczową plastikową miskę. Twarz kobiety znaczyły głębokie bruzdy.

- Kim jesteście? - spytała. W głosie kobiety dźwięczał najmocniejszy południowy akcent, jaki słyszałem od chwili lądowania, brzmiał jednak tak cicho i słabo, że stracił wiele ze swego efektu. Przypominał raczej westchnienie.

- Panna Seaforth? - spytałem, podchodząc możliwie najwolniej, i wyciągnąłem rękę. - Nazywam się Felix Castor, to jest Juliet Salazar. Przepraszam, że wpadliśmy tak bez zapowiedzi, ale mieliśmy nadzieję, że zechce pani pomówić z nami o swojej siostrze...

Urwałem. Ruth Seaforth patrzyła na mnie wielkimi, okrągłymi oczami. Nagle usiadła na huśtawce, która poruszyła się i zatrzeszczała.

- O Boże - jęknęła, patrząc na mnie jak na telegram przynoszący całą litanię uprzejmie zaszyfrowanych złych wieści. - Och... - Zabrakło jej słów, choć wargi nadal się poruszały, formując bezdźwięczne sylaby.

Juliet podeszła i usiadła obok niej.

- Nie chcieliśmy pani przestraszyć - powiedziała.

Stara kobieta wciąż wpatrywała się we mnie i owe puste, oszołomione spojrzenie królika schwytanego w reflektory zaczynało mnie niepokoić.

Juliet położyła dłoń na rękę Ruth i poklepała ją lekko, dzięki czemu staruszka przynajmniej oderwała ode mnie wzrok.

- Przyjechaliśmy z Londynu. Zamordowano tam człowieka w sposób, w jaki wcześniej zabijała pani siostra, Myriam. To dlatego przyszliśmy.

Brutalna szczerłość zadziałała. Ruth wyraźnie się pozbierała, pokiwała drżącą głową i z delikatną pomocą Juliet stanęła na nogach. Zamrugła trzy, cztery razy... zapewne nie przeganiała łez, ale tak to właśnie wyglądało.

- Nie widziałam siostry, odkąd umarła - oznajmiła. W innych okolicznościach może zabrzmiałoby to dziwnie, ale teraz byłem wdzięczny za wyjaśnienie.

- Ale my tak - odparła Juliet. - Widzieliśmy ją i rozmawialiśmy z nią zaledwie parę dni temu.

Nadal trzymała staruszkę za rękę, i dobrze, bo, słysząc to, Ruth zachwiała się i o mało nie upadła. Juliet musiała objąć ją drugą ręką i podtrzymać.

- Widzieliście ją?

- Tak - potwierdziłem. - Widzieliśmy. Wyglądała... zupełnie inaczej niż za życia, ale to jednak była ona.

Ruth Seaforth powiodła wzrokiem ode mnie do Juliet i z powrotem.

- Macie może ochotę na ciasteczka i lemoniadę? - spytała po długiej, niezręcznej ciszy.

Salon na farmie Seaforthów był bardzo przestronny i bardzo niski - dziwne połączenie, które wraz z faktem, że większość okien przesłaniały okiennice, sprawiało, że poczułem się jak w piwnicy. Spodziewałem się ujrzeć podobną ruinę jak na zewnątrz, lecz pokój był bardzo czysty i panował w nim porządek: choć deski podłogi spaczyły się i rozeschły tak samo jak te na werandzie, brzoskwiniowy dywan całkiem skutecznie to ukrywał, oprócz kątów, do których nie sięgał. Na dywanie stał stolik kawowy, jedynie na brzegach poznaczony kółkami pozostawionymi kiedyś przez kubki, a także trzyczęściowy komplet wypoczynkowy i pianino. Trzy papużki nierozłączki plotkowały cicho w klatce przyczepionej do solidnego metalowego wieszaka. Na pianinie stało stare, oprawne w ramki zdjęcie rodziny - zapewne Seaforthów - pozującej niezręcznie przed fotografem, którego nie znali i który nawet nie próbował ich upozować.

- Usiądźcie, proszę - powiedziała Ruth Seaforth i zniknęła za kolejnymi drzwiami.

Zamiast tego podszedłem do zdjęcia i przyjrzałem mu się. Jeśli przedstawiało Seaforthów, to musiało pochodzić z połowy lat pięćdziesiątych. Ojciec i matka z tyłu, trzymający się za ręce bez cienia prawdziwej czułości - mężczyzna się uśmiechał, choć jego oczy patrzyły z

powagę, surowo.

Dalej trzech nastoletni chłopcy, tworzący środkowy szereg: podobni do siebie, postawni, pyszni, pewni siebie. Wyglądali jakby uchwycono ich w rzadkiej chwili bezruchu i równowagi.

I wreszcie Ruth i Myriam, patrzące z powagą ze swych krzeseł w pierwszym rzędzie. Zapewne tylko to sobie wyobrażałem, ale nie wyglądały na szczęśliwe. Zwłaszcza wyraz twarzy dziewczynki po lewej przypominał list ukryty w butelce: „Ratunku, siedzę na bezludnej wyspie i potrzebuję pomocy”. Miały na sobie identyczne, błękitne krynoliny: najlepsze odświętne stroje. Wyglądały jak lalki i bardzo nie spodobało mi się to porównanie. Juliet usiadła na kanapie od kompletu, podszedłem i dołączyłem do niej.

- Lepiej się czujesz? - spytałem. Zerknęła na mnie kwaśno.

- Castor, następnym razem, gdy spytasz mnie, jak się czuję, złamię ci mały palec prawej ręki.

- Jestem leworęczny - przypomniałem.

- Muszę mieć pole do eskalacji w przypadku recydywy.

Ruth Seaforth wróciła, dźwigając tacę z trzema szklankami, dzbankiem, talerzem ciasteczek i stosikiem starannie złożonych serwetek. Postawiła to wszystko na stole przed nami, nalała lemoniady i usiadła w jednym z foteli.

- Częstujcie się - powiedziała, wskazując przysmaki lekko drżącą dłonią.

Sięgnąłem po ciastko i ugryzłem - smakowało mniej więcej jak zeschnięty kit - po czym popiłem łykiem lemoniady, lodowato zimnej, odświeżającej i tak kwaśnej, że wciągnęło mi wargi aż do gardła. Juliet

zignorowała zarówno jedzenie, jak i napój.

- To musiało być straszne - rzekła - kiedy stracili Myriam.

Wzdrygnąłem się na te brutalne słowa, lecz Ruth przyjęła je po męsku. Pokiwała głową.

- Najgorzej zniósł to ojciec - oznajmiła. - Co dzień musiał spotykać się z ludźmi i miał wrażenie, jakby wszyscy patrzyli na niego inaczej - jakby rozmawiając z nim widzieli Myriam. Mówił... - Zawahała się i pokręciła głową, jakby zaprzeczając tym słowom w chwili, gdy je wypowiedziała. - Mówił, że lepiej by było, gdyby nigdy się nie urodziła.

- To straszne słowa w ustach ojca - zauważyła Juliet.

Zakonotowałem w myślach, by w swobodniejszej chwili spytać, czy sama w ogóle miała jakiegoś ojca - ostatecznie, jeśli była czyjąś siostrą, to zapewne także córką. Maleńka Juliet: cóż za przerażająca wizja.

- Tak. - Ruth nadal przemawiała spokojnie, niemal obojętnie. - To były straszne słowa. Ale bardzo w jego stylu. Mój ojciec był niezwykle zimnym człowiekiem.

Uznałem, że czas się wtrącić.

- Niektórzy są zimni wobec obcych, lecz zupełnie inni dla rodziny.

Ruth uśmiechnęła się ze zboląłą miną i sięgnęła po ciastko, lecz ani na moment nie oderwała wzroku od mojej twarzy.

- Mój ojciec bardzo serdecznie traktował obcych - oświadczyła. - To dla żony i dzieci był... surowy.

- Czy rozmowa o tym sprawia pani przykrość? - spytała Juliet, jak zawsze bezpośrednio.

Ruth pokręciła głową.

- Już nie - oznajmiła. - Nie. Kiedyś bolało, gdy on i moi bracia wciąż

żyli. Teraz, kiedy zostałam sama i wiem, że to wszystko umrze wraz ze mną, nie ma to już takiego znaczenia. Ale bardzo chciałabym wiedzieć, po co pytacie mnie o te sprawy. I chciałabym wiedzieć, gdzie widzieliście Myriam.

Opowiedziałem jej o Dougu i Janine Hunter, a przynajmniej to, co nadawało się do druku. Bardzo pobieżnie wspomniałem szczegóły kryminalistyczne. Słuchając, Ruth Seaforth wzdychała raz po raz i znów, kiedy skończyłem.

- Rzeczywiście to wygląda jak ona - oznajmiła, zupełnie jakby wieści o powrocie siostry zza grobu wcale jej nie zaskoczyły. - To znaczy... ta przemoc. Musi pan zrozumieć, panie... Przepraszam, nie zapamiętałam nazwiska...

- Castor. Felix Castor.

- Panie Castor. Nie wierzę, że przemoc to coś, z czym się urodziła. Myślę, że był to dar mojego ojca dla niej. - Po chwili dodała: - Dla nas wszystkich.

- Nie sprawia pani na mnie wrażenia gwałtownej kobiety, pani Seaforth - powiedziałem nieśmiało.

- Nie? - Ruth wytarła usta koronkowym rąbkiem serwetki. - No, może i nie. Ale pewnie to dlatego, że jestem stara, prawda? Starzy ludzie zawsze wydają się nieszkodliwi. Chyba to dlatego, że poruszają się wolno i czasami sprawiają wrażenie nieco otepiałych. Nie oznacza to wcale, że ogień w ich wnętrzu płonie słabiej. Po prostu nie dają tego po sobie poznać. - W jej głosie dźwięczała gorycz, która mnie zaskoczyła.

Spróbowałem powrócić do interesującego nas tematu.

- Czy zatem można powiedzieć, że pani i Myriam miałyście

nieszczęśliwe dzieciństwo? To znaczy, czy sądzi pani, że...

Juliet przebiła się przez moje miękkie, oględne słowa.

- Czy pani ojciec was molestował?

Ruth z przesadną starannością trzy razy złożyła serwetkę i odłożyła na talerzyk.

- Tak - powiedziała. - Molestował.

- Seksualnie? Czy po prostu was bił?

- Jedno przechodziło w drugie. Ucieszyłam się, kiedy umarł, bo był źródłem przemocy w tym domu. Cała wypływała z niego. Do naszych braci, Zacka, Paula i Tylera. Do Myriam. I do mnie.

- Jak umarł? - spytałem.

Ruth sięgnęła w głąb pamięci - a przynajmniej chwilę milczała, wpatrując się w szklanekę z lemoniadą.

- No cóż - rzekła w końcu niemal z rozmarzeniem. - Pośliznął się i spadł z dachu stodoły, kiedy szykował ją na zimę. Napisałam do Myriam, żeby przekazać jej wiadomość; odpisała, że wiedziała wcześniej. Pisała, że ucieszyło ją, że nie zmarł w łóżku, ale żałuje, że nie cierpiał bardziej.

- A pani bracia? - spytała Juliet.

Kolejna chwila ciszy.

- Tyler odszedł pierwszy. Jacyś ludzie spoza miasta odwiedzili bar samochodowy w Caldwell. Podobno było ich trzech, w tym blondyn w białym garniturze. Sprowokowali go do bójki i wyciągnęli na dwór. Pobili go na śmierć, choć parę dni przeżył w szpitalu pod aparatami. Zack utonął w błocie nad rzeką Caldwell Creek. Jest tam jezioro, bardzo głębokie. Wpadł do niego i już nie wyszedł. Możliwe, że był pijany. Na trzeźwo łatwo się stamtąd wydostać. A Paul zmarł po przedawkowaniu heroiny.

Zapewne wyobrażacie sobie, jaki to był skandal. W tamtych czasach nikt nawet nie wiedział, że można tu gdzieś kupić heroinę. Lekarz stwierdził, że Paul musiał spróbować jej po raz pierwszy, bo na ciele nie znaleziono żadnych innych nakłuć. Przypuszczam zatem, że nie wiedział, jak silną bierze dawkę, i wstrzyknął sobie więcej, niż mógł znieść. Podobno to się często zdarza.

Kiedy Ruth zakończyła recytację litanii nieszczęść, przez chwilę nikt się nie odzywał.

- Kiedy dokładnie to się stało? - spytałem, przerywając pełną napięcia ciszę.

- Dawno temu - rzekła.

Spojrzała mi w oczy i odwróciłem wzrok.

- Myriam wtedy jeszcze żyła?

- Tak. Tak dawno temu.

- Możliwe zatem...? - Moje pytanie zawisło w powietrzu.

Ruth odstawiła ciężko szklankę na tacę, uderzając w bok dzbanka. Brzęk szkła przez moment wibrował wokół nas. Napięła mięśnie, jakby chciała wstać, lecz ów odruch wyładował się w dreszczu, który nią wstrząsnął. Nadal jednak nie unikała naszych oczu, najwyraźniej na pewnym etapie życia podjęła decyzję, by przed niczym się nie uchylać.

- Bóg działa czasem w niezbadany sposób - powiedziała bardzo cicho. - Tak przynajmniej mówią. Ale On nie ma na to monopolu, prawda, panie Castor? To było okropne. Oczywiście. Ale mnie uratowało. Wszystkie te śmierci... uratowały mnie. Miałam dwadzieścia lat, liczyłam, że ucieknę z tego domu poprzez małżeństwo. Lecz ojciec by mi nie pozwolił. Nie dopuszczał też do mnie żadnych chłopców. Mówił, że jedna

córka mu się rozbrykała i drugiej na to nie pozwoli. Toteż zostałam tu z nim. I z moimi braćmi. Byłam tu całe dnie i całe noce. - Przyjrzała się swoim dłoniom, powoli rozcapierzając palce, jakby szukała niedoskonałości i blizn. - Ktoś musiał przyjść i mnie uratować. I ktoś to zrobił.

Ruth zawiesiła głos. Po paru minutach podjęła wątek innym tonem, łagodniejszym, przesyconym smutkiem.

- Odwiedziła mnie tylko parę razy i zawsze w sekrecie, bo bała się, że ją aresztują za zabójstwo Tuckera. Ale pisała do mnie. O Chicago. O rzeczach, które tam robiła. Listy były pełne kłamstw - ale miłych kłamstw. Kłamstw, które miały mnie ucieszyć. I cieszyły, tak jak myśl, że uciekła z tego miejsca.

- A właściwie dlaczego pani tu została? - spytała Juliet.

Jej głos nie sugerował żadnych emocji, rozpoznałem jednak wyraz twarzy. Lucas Seaforth i jego trzech synowie mieli szczęście, że już nie żyli.

Brwi Ruth uniosły się i znów opadły.

- To mój dom - rzekła. - Jedyne miejsce, jakie znam. Jedyne miejsce, w którym mogła mnie odnaleźć, gdyby zechciała tu wrócić. Poza tym jestem już za stara, by zaczynać wszystko od nowa. Gdybym chciała, mogłabym się przeprowadzić. Dostaliśmy sporą sumę z ubezpieczenia po śmierci ojca, a kiedy pozostali odeszli, wszystko przypadło mnie. Ale tak naprawdę niepotrzebne mi pieniądze. Niepotrzebne mi podróże. Jestem szczęśliwa tu, gdzie jestem.

Ostatniemu stwierdzeniu zadały kłam łzy, które wezbrały w jej oczach i nagle popłynęły po policzkach. Woda na pustyni: Ruth zamrugła, niemal gniewnie, one jednak płynęły dalej.

- Będziecie musieli już pójść - powiedziała wyraźnym, dźwięcznym głosem, mimo deszczu łez.

- Bardzo mi przykro, panno Seaforth - odparłem szczerze. - Nie chcieliśmy pani niepokoić. Ale skoro już tu jesteśmy, bardzo pragnęlibyśmy zrobić jeszcze jedno. Gdyby zechciała nam pani wskazać miejsce, gdzie pochowano Myriam, za pani pozwoleniem odwiedzilibyśmy je przed wyjazdem.

Ruch wstała i z wrogością splotła na piersi ręce.

- Nie.

- Nie?

- Nie. Nie macie mojego zezwolenia. Jak mówiłam, musicie już iść. Przykro mi. To nie dlatego, że mnie uraziliście. Jestem po prostu bardzo zmęczona i muszę się zdrzemnąć. Mam nadzieję, że uszanujecie mój wiek i zrobicie to, o co proszę.

- Oczywiście. - Wstałem. Juliet poszła w moje ślady. - Dziękujemy pani za pomoc, panno Seaforth. I bardzo mi przykro, że tak tu wtargnęliśmy. Sami znajdziemy drogę do wyjścia.

Ruth odprowadziła nas wzrokiem do drzwi, nie poruszając się nawet o centymetr. Otworzyłem je i przepuściłem Juliet, ona jednak machnęła ręką, kładąc mi iść samemu.

- Zaraz do ciebie dołączę - rzekła.

Obróciłem się, patrząc na nią.

- Co?

- Zaraz do ciebie dołączę, Castor. Zaczekaj na werandzie.

- Ujęła klamkę i zatrzasnęła mi drzwi przed nosem.

Myślę, że to wzmianki o molestujących kobiety mężczyznach tak

bardzo ją poirytowały - a że upokorzenie było czysto symboliczne i nadal stałem o własnych siłach, przyjąłem je spokojnie. Usiadłem na huśtawce, czekając, aż Juliet zakończy to, co robiła z Ruth bez mojej obecności.

Pojawiła się kwadrans później. W przelocie posłała mi spojrzenie i zeszła po stopniach w gęste, splątane poszycie. Zerwałem się z miejsca i dogoniłem ją.

- To tędy? - spytałem, zrównując się z nią.

Nie spojrzała w moją stronę, nawet nie zwolniła.

- Co tędy? - spytała.

- Do grobu Myriam.

- Nie.

- A zatem...?

- Opowiem ci w samochodzie.

W milczeniu odtworzyliśmy naszą trasę i wróciliśmy do zakrwawionego, przekrzywionego cobalta. Otworzyłem drzwi kluczykiem. W środku siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu, potem, ponieważ Juliet wciąż się nie odzywała, uruchomiłem silnik i wyjechałem na drogę. Nie było mowy, żebyśmy dotarli do Birmingham tym truposzem, ale mogliśmy dojechać do Brokenshire i stamtąd zadzwonić, sprawdzić, gdzie możemy go podrzucić i wynająć kolejny, na ostatni etap podróży. Pomyślałem jednak, że lepiej będzie wybrać inną drogę: ta, którą przyjechaliśmy, z pewnością wciąż jeszcze była zablokowana.

Kelnerce w Golden Coffee House najwyraźniej spodobała się Juliet - talerze kurczaka, które nam przyniosła, były wielkie, nawet wedle standardów amerykańskich, co oznaczało, że dla Brytola tak wrażliwego i delikatnego jak ja, niemal równały się samobójstwu. Dziubałem powoli swe danie, pozwalając Juliet mówić.

- Blondyn spoza miasta - zaczęła. - Ten, który zabił Tylera Seafortha, pierwszego brata.

- Tak. - Odtworzyłem w pamięci rozmowę i znalazłem odpowiedni fragment. - Facet w białym garniturze. Co z nim?

- Był nie tylko spoza miasta. Pochodził z Anglii, a ściślej z Londynu. Dlatego właśnie Ruth o mało nie dostała zawału, słysząc twój akcent.

Teraz, gdy się nad tym zastanowiłem, nabrało to sensu. W owym czasie sądziłem, że to wzmianka o Myriam sprawiła, że pod Ruth ugięły się kolana. Ale zapewne nie istniało wiele powodów oprócz Myriam, dla których mogli ją odwiedzić nieznajomi, toteż coś tu nie pasowało. Jednak wersja z akcentem także miała swoje wady.

- Kiedy opowiedziała nam tę historię - próbowałem ułożyć wszystko logicznie - nie odniosłem wrażenia, że była na miejscu, kiedy zginął Tyler. Jestem niemal pewien, że wspomniała, iż usłyszała o wszystkim po fakcie.

Juliet przegryzła kurze udko, mięso i kość, i zaczęła przeżuwać. Przytaknęła z pełnymi ustami, ale na rozwinięcie musiałem poczekać, aż przełknie.

- Nie było jej tam - rzekła. - Lecz spotkała tego człowieka później. To oczywiste, że Myriam przysłała go, by zabił Tylera. Zapewne zaaranżował też pozostałe śmierci - Lucasa i dwóch kolejnych braci. Ruth zawsze wiedziała, że ma anioła stróża i wiedziała kim on jest. Nie istniał jednak powód, dla którego Myriam nie mogłaby działać przez pośredników. Mężczyzna zjawił się na farmie w dniu egzekucji Myriam i się przedstawił. Zważywszy okoliczności, których z pewnością nie muszę ci opisywać, fakt, że pomógł pobić na śmierć Tylera Seafortha, nie stanowił przeszkody w uprzejmej rozmowie. Ruth była znacznie bardziej skłonna ucałować mu rękę, niż wezwać policję.

- Jak się nazywał? - wtrąciłem.

- Nazwisko, które jej podał, brzmiało Bergson.

O mało nie wybuchnąłem śmiechem.

- Cóż za wyrafinowana gra słów - mruknąłem. - Bergson był francuskim filozofem z lat trzydziestych. Zastanawiał się nad istnieniem wszechświata czystego ducha. Coś jak Platon, tylko z mocniejszym akcentem.

- Ruth nie wierzyła, że to jego prawdziwe nazwisko. Ale rzecz w tym, że jej powiedział - i zdołał dowieść prawdziwości swoich słów - iż pracował dla Myriam, czy też w przeszłości robił jej różne przysługi. I że wciąż dla niej pracuje. Upierał się przy tych słowach: cały czas chodziło o dobro Myriam.

Podał Ruth adres i telefon więzienia stanowego Illinois i wyjaśnił dokładnie jak ma zażądać wydania zwłok Myriam. Dodał, że miała do tego pełne prawo, wystarczyło z niego skorzystać. Ciało powinno trafić na farmę, a ona ma odmówić wszelkiej pomocy przy pogrzebie. Gdyby ktoś

pytał, miała oznajmić, że już wszystko załatwione. A kiedy tylko zostanie sama - gdy tylko cyrk gliniarzy, dziennikarzy i miłośników trupów wyniesie się z farmy - miała zadzwonić do niego pod numer, który jej podał.

Ruth wciąż dręczyły wątpliwości, ale też miała dobre powody, by zaufać owemu człowiekowi. Długo spierała się sama ze sobą, lecz w końcu zrobiła to, co jej kazał. Zadzwoniła i powiedziała, że może bezpiecznie przyjechać.

Zjawił się w ciężarówce z naczepą i z dwoma pomocnikami. Załadowali trumnę na ciężarówkę i przywiązali. Potem pokryli brezentem.

Już mieli odjeżdżać, kiedy Ruth zebrała się na odwagę i spytała blondyna, dokąd zabierają jej zmarłą siostrę. Nie chciał odpowiedzieć, ale wybuchnęła płaczem i zaczęła go błagać. Powiedziała, że zostanie zupełnie sama, bardziej samotna niż kiedykolwiek przedtem. Zupełnie nie tęskniła za ojcem czy braćmi, ale teraz odeszła Myriam i nikt już jej nie został. Mógłby przynajmniej jej powiedzieć, dokąd zabiera jej siostrę.

I w końcu odpowiedział. „Do nowego życia”.

Porcja puree ziemniaczanego spadła mi z widelca na potężną górę, z której ją oderwałem.

- Kurwa - mruknąłem głucho. Może to nie Oskar Wilde, ale świetnie wyraziło moje uczucia. - O czym my w ogóle mówimy? O gangsterach wskrzeszających gangsterów? Po co? Z zawodowej uprzejmości? I jak mógł jej to przyrzec, jeśli wcześniej nie próbował? Wygląda to jak pierdolona taśma montażowa rezurekcyjistów. Umarli wyciągający się z grobów za sznurówki...

- Może nieco przesadzasz ze skalą - przerwała mi chłodno Juliet. - Na

razie wiemy na pewno o dwóch przypadkach, Kale i mężczyzny będącego zarówno Aaronem Silverem, jak i Lesem Lathwellem.

Miała rację, ale wcale nie poczułem się przez to lepiej.

- Najbardziej przerażający jest odcisk palca - wymamrotałem, odsuwając wciąż niemal pełny talerz. - Jeśli znaleźli sposób, żeby oszukać śmierć, Juliet - ukraść ciała żywym, tak samo jak robią to twoi bracia i siostry - jeśli mogą to robić na zawołanie raz za razem...

- Dwa wielkie jeśli - zauważyła Juliet.

Ja jednak ledwie jej słuchałem. *Ci sami co przedtem*, powiedział do mnie John, kiedy spotkałem go we śnie. *Zawsze ci sami, raz po raz, bez końca.*

Odpychając tę nieprzyjemną myśl, znalazłem inną, która nie dawała mi spokoju.

- Czy pan X wyjaśnił, czemu to robi? - spytałem. - No wiesz, ze wszystkich dostępnych dowodów wynika jasno, że nie sypiał z Myriam, boby się nie obudził. Dlaczego zatem próbował ją zrekrutować? Był jej winien przysługę? O co mu chodziło?

Juliet przygwoździła mnie lodowatym spojrzeniem.

- Ruth uważa, że on ją kochał. Namiętnie.

- To dlaczego wciąż żył?

- Może nigdy jej nie zgwałcił.

- Alastair Barnard też jej nie zgwałcił - przypomniałem. - Można rzec, że wręcz przeciwnie, a jednak nie żyje. I nie dlatego, że molestował kobiety. Był pierdzielonym gejem.

- Żonatym gejem.

- Juliet, tu nie chodzi o seksualną etykietę. Chodzi o recydywę. Kale

jest najgorszym rodzajem recydywisty: takim, którego nie powstrzyma nawet przepuszczenie przez niego dwunastu tysięcy voltów.

- I nadal to właśnie chcesz zrobić, Castor? Powstrzymać ją?

Zamrugalem.

- To ma być podchwytliwe pytanie? Tak, oczywiście, że tak.

- Egzorcyzmując ją?

- Jeśli będzie trzeba. Wiem, że to większa sprawa, ale jej egzorcyzmy wciąż stanowią część programu.

- Nie dla mnie.

Nagła cisza, która zapadła w barze, nie miała nic wspólnego ze słowami Juliet: był to jeden z owych statystycznych wybryków, jednoczesnych przerw w kilkunastu rozmowach. Ale nadał jej słowom dodatkowej mocy, gdy rąbnęły mnie zniecka w żołądek. Sprawiał też, że sam zniżyłem głos, jakby słuchali nas wszyscy w pomieszczeniu.

- Co takiego?

Juliet wzruszyła ramionami w przerażająco obojętnym geście.

- Opowieść Mallishama o życiu Kale sprawiła, że ujrzałam to, co robi, w innym świetle. Morduje wyłącznie mężczyzn. Mężczyźni ją zniszczyli, więc teraz odpłaca im bólem. Dobrze to rozumiem, co więcej, dostrzegam w tym pewną elegancję.

Pokręciłem głową.

- Ale ja nie - rzekłem. - Gdzie masz elegancję w przypadkowych morderstwach, obejmujących pół wieku? Zemsta na ludziach, którzy cię dręczyli, to jedno, a zarzynanie całej męskiej połówki ludzkości to coś zupełnie innego.

Z wyrazu twarzy Juliet widziałem jasno, że moja przemowa odbiła

się od niej, nie czyniąc najmniejszego wrażenia. Z niebezpiecznym szarpnięciem w żołądku, jak podczas jazdy windą, zobaczyłem, do czego to zmierza. Jeśli Juliet przystąpi do krucjaty Myriam Kale, zrobi się bardzo niebezpiecznie. Tak niebezpiecznie, że wolałem o tym nie myśleć.

- A co z twoją reputacją? - spróbowałem podejść od innej strony. - Mówiłaś, że bardzo ci zależy na dotrzymany obietnicy. Doug Hunter nie zabił Barnarda. Teraz to wiemy. Był opętany.

- To jego dłoń trzymała młotek.

- Ale nie jego umysł nią kierował. Jak powiedziałaś, zapłacono ci za odkrycie prawdy o tym, co się zdarzyło w tamtym pokoju hotelowym. Czy teraz zatrzymasz się w pół drogi, bo nagle zaczęłaś kibicować prawdziwej morderczyni? A co z innymi, panem X i jego przyjaciółmi? Całą bandą rozrywkowych bandziorów, pogrzebanych w trumnach z obrotowymi drzwiami? Oprócz Myriam to sami mężczyźni. Możliwe, że wykorzystali ją we własnej grze. Z całą pewnością pozwolili, by odpowiedzialność za te nowe zbrodnie spadła wyłącznie na nią.

Juliet wróciła do przerwane go posiłku. Słuchała mnie, ale nie trafiałem do niej. Wstrząsnęła mną obojętność jej nieruchomej jak maska twarzy. Zazwyczaj Juliet nie przejmuje się ukrywaniem uczuć, bo wypływają z niej niczym woda pod ciśnieniem z węża. W tym momencie jednak niczego nie potrafiłem odczytać. A w moim magazynku został tylko jeden pocisk.

- Myślisz, że jest szczęśliwa? - spytałem.

Juliet odłożyła końcówkę kości, jedyne co pozostało z kurzego udka. Przygwoździła mnie wzrokiem.

- Co?

- Kale. Myślisz, że jest szczęśliwa? Bo na mnie nie sprawiała wrażenia szczęśliwej, kiedy patrzyła na nas z twarzy Douga Huntera. Jedno więzienie w drugim, tak to odebrałem. Wyglądała jak ktoś, kto utknął w koszmarnym śnie i nie może się obudzić. A Jan mówiła, że słyszała, jak Doug całymi godzinami płakał w nocy.

- No dobra - ucięła chłodno Juliet. - I co z tego?

- Tylko jedno: dalej pracuj ze mną. Dowiedzmy się przynajmniej, co się, kurwa, naprawdę dzieje i skąd ona się w tym wzięła. Może zdołamy odkryć, czego naprawdę chce. Co sprawia, że wciąż chodzi po ziemi, zabija i gwałci, czterdzieści lat po tym jak ją usmażyli. Wtedy zdecydujesz, co zamierzasz zrobić.

Uniosłem wzrok i ujrzałem kelnerkę stojącą tuż przy mnie z kartami dań. Przyglądała mi się wielkimi, zdumionymi oczami - bez wątpienia usłyszała większą część mojej przemowy.

- Uhm... może podać kawę i deser? - bąknęła. - Czy mam po prostu...

- Gestem pokazała, jak zawraca i odchodzi.

- Chyba niczego już nie potrzebujemy. Dzięki. Tylko rachunek.

Kelnerka uciekła, Juliet wstała. W jej ruchach dostrzegłem lekką sztywność, sugerującą, że nadal nie do końca doszła do siebie po wcześniejszym wybebeszeniu.

- Raczej nie - odparła. - Ale przyjmuję twój punkt widzenia. Może istotnie nie jest szczęśliwa. I może choćby częściowo ja za to odpowiadam, bo dostarczyłam dowodów, które pozwoliły Coldwoodowi ją aresztować.

Zerwałem się z miejsca i złapałem ją za przegub.

- Juliet, nie! - rzuciłem wstrząśnięty. - Wiem, co sobie myślisz i Kale

nie tego potrzebuje. Jest uwięziona w pętli powtarzających się wydarzeń. Nadal mści się za coś, co jej zrobiono pół wieku temu. Myślisz o niej jak o jednym z demonów, ale ona nim nie jest. Nie jest taka jak ty. Żywa czy umarła, pozostaje człowiekiem. A wśród ludzi obowiązuje jedno prawo: każdej akcji odpowiada reakcja. To, co robisz, zostaje z tobą i staje się częścią ciebie. Im więcej zabija, tym bardziej jest zagubiona i pochrzaniona.

- Puść moją rękę, Castor.

- Nie, dopóki nie powiesz, że nie wyciągniesz Douga Huntera z więzienia.

- Zrobię, co uznam za stosowne.

Juliet nadal wpatrywała się we mnie. Postarałem się przygwoździć owe czarne jak noc oczy, nie wpadając w nie i nie osuwając się bezwładnie na podłogę.

- Nie mogę ci na to pozwolić - rzekłem z prostotą. - Posłuchaj, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, kiedy mnie uwiodłaś i o mało nie połknęłaś w całości, zostałem... uwarunkowany. Usłyszałem cię jako melodię. I nie mogę jej zapomnieć, bo słyszę ją każdego pierdzielonego dnia, czy jesteś ze mną, czy nie. Jeśli uwolnisz Myriam Kale, zginie więcej ludzi - w ten sam sposób co Barnard, a to ohydna, straszliwa śmierć. Nie mogę na to pozwolić. Wypędzę cię, Juliet. Zrobię to. Egzorcyzmuję cię.

Nie odpowiedziała. Przez chwilę staliśmy jak dwa posągi, moja dłoń trzymała jej przegub nad stołem.

A potem Juliet wyrwała rękę, uniosła, zamachnęła się szybciej, niż były w stanie zarejestrować oczy, i spoliczkowała mnie mocno. Ściślej mówiąc, „mocno” to dalece niewystarczające słowo. Najpierw poczułem

wstrząs, a potem usłyszałem dźwięk. Wstrząs przypominał przelecenie przez przednią szybę samochodu przy prędkości osiemdziesięciu kilometrów na godzinę i rąbniecie o ceglana ścianę - tyle że to ściana, nie ja, się poruszała. Koziółkując, poleciałem do tyłu. Dźwięk zabrzmiał jak wystrzał - ostry, wyraźny i bardzo, bardzo głośny.

Nic innego jednak nie dorównywało mu wyrazistością. Nagle, bez żadnych rozsądnych przyczyn, jakie mógł podać mój oszołomiony umysł, leżałem na plecach pośród szczątków czyjegoś stolika, odłamków drewna i porcelany, wciąż wirujących w zwolnionym tempie w nieruchomym powietrzu. W uszach dzwoniło mi, jakby milion Manczkinów świętowało śmierć Złej Czarownicy.

A potem, równie nagle, zostałem dźwignięty z ziemi. Juliet trzymała mnie jedną ręką tuż przy swym gibkim, niewzruszonym ciele. Często marzyłem, by znaleźć się tak blisko, lecz rozdzierający ból pleców, ramion i palce zaciskające się niczym imadło wokół gardła, odbierały tej chwili większą część uroku.

- Najpierw musiałbyś mnie skrępować - warknęła. - Przekonajmy się, kto jest szybszy, Castor. Bo jeśli usłyszę pierwszy dźwięk tej melodii, nieważne jak będziesz daleko, kiedy go zagrasz, rozszarpie ci gardło, nim zdążysz wygwizdać drugi.

Tym razem cisza, która zapadła wokół nas, była prawdziwa - wszyscy zastygli w nienaturalnych, dziwacznych pozach, jakby w obawie przed zwróceniem na siebie uwagi Juliet jakimkolwiek ruchem czy odgłosem. Z trudem otworzyłem usta i zdołałem wykrztusić kilka słów.

- Płacimy... dziś... po połowie?

Skrzywiła się i puściła mnie. Nogi mnie nie utrzymały, więc runąłem

na ziemię. Oczami przekrzywionymi o dziewięćdziesiąt stopni wobec pionu zobaczyłem jak Juliet odwraca się i wychodzi z baru. Potem, po paru sekundach napawania się czystym luksusem oddychania, przekręciłem się na czworaki i podniosłem. Przez sekundę zdawało mi się, że zaraz zemdleję: rana ramienia, zadana przez *loup-garou* w laboratorium Nexus paliła, jakby otwarła się po upadku. Cały mój prawy bok trawił ogień.

Nikt nawet do mnie nie podszedł - wszyscy tylko patrzyli wyczekująco, z głęboką fascynacją ludzi, którzy właśnie wezwali gliny i nie mogą się doczekać tego, co będzie, kiedy się zjawią. Rzuciłem na stół parę dwudziestek, skinieniem głowy podziękowałem kelnerce i kuśtykając, wyszedłem.

Cobalt jakimś cudem dotarł do Birmingham, przez ostatnie dziesięć mil krzesząc iskry z asfaltu. Zdumiało mnie, że po drodze nikt mnie nie zatrzymał. I dopiero wysiadając z wozu na lotniskowym parkingu, uświadomiłem sobie powód. Juliet ściąga na siebie spojrzenia ludzi i przytrzymuje je tak dokładnie, że nikt w Golden Coffee House w ogóle nie zarejestrował mojej obecności. Kiedy gliniarze w końcu się zjawili i spisali zeznania, założyłem się, że większość opisów obejmowała warianty frazy: „Jakiś facet”.

W wypożyczalni musiałem wypełnić kilka formularzy, ale konsekwencje okazały się zaskakująco znośne. Wymyśliłem historyjkę o zderzeniu z betoniarką: urzędnik za ladą spisał je wiernie i podsunął mi do podpisu. Zażądał studolarowej nawiązki, którą zapłaciłem bez słowa sprzeciwu. Uznałem, że przynajmniej tyle mogę zrobić.

Potem znów siedziałem w sali odlotów, czekając na następny samolot

na Heathrow, a tymczasem wielki siniec na moim prawym policzku rozlewał się i ciemniał. Zastanawiałem się, jak Juliet zamierza wrócić - byłem pewien, że tym razem nie opuści ziemi, ale nie miałem pojęcia, co właściwie zrobi. Ani czy będzie to szybsze, czy wolniejsze niż lot transatlantycki.

Nim wylądowałem na Heathrow, przejaśniło mi się w głowie, toteż pierwszą rzeczą, jaką zrobiłem, było znalezienie automatu i wykonanie telefonu, który powinienem był załatwić jeszcze w Stanach. Niewiele to jednak dało - w Pentonville najwyższą osiągalną w hierarchii osobą był nocny oficer dyżurny i coś w jego głosie mówiło, że nie traktuje mnie poważnie.

- Kobieta? - powtarzał za każdym razem, gdy pozwoliłem mu wtrącić choć słowo.

- Nie - rzekłem ponownie, z kruchą, napiętą cierpliwością, którą zazwyczaj rezerwujemy dla debili i świadków Jehowy. - Tylko wygląda jak kobieta. Ale tak naprawdę to demon. Sukub.

- Demon. Jasne. - W jego głosie także słyszałem tę samą wymuszoną cierpliwość i zupełnie mi się nie podobała. - I kogo zamierza odwiedzić?

- Douga Huntera. Tyle że jeśli przyjdzie, to nie z wizytą. Zamierza go uwolnić.

- Cóż, proszę pana, bardzo dziękuję za informację. Z pewnością będziemy na nią uważać.

- Musicie przygotować amulety ochronne - nalegałem bez większej nadziei. - Na drzwiach i na murach, bo ona wcale nie musi korzystać z drzwi. Dobrze też byłoby mieć pod ręką księdza, jeśli pracuje u was taki.

Mógłby nakreślić wodą święconą linie wokół cel albo je pobłogosławić.

- Będziemy na nią uważać - powtórzył oficer dyżurny i się rozłączył.

Zakląłem gorzko pod adresem niewinnej, trzymanej w ręku słuchawki.

- Dobrą miałeś podróż, Castor?

Obróciłem się akurat w chwili, gdy w moje objęcia - i na brzuch - wpadła ciężka aktówka. Zachłysnąłem się, patrząc w zimne, twarde oczy Nicky'ego Heatha: złapałem aktówkę, a on ją puścił. Nicky z czymś bliskim satysfakcji przyjrzał się mojej spuchniętej, posiniaczonej twarzy. W dłoni trzymał zrolowaną gazetę i właśnie nią wskazał stłuczony policzek.

- Nie - rzekł. - Widzę, że nie była dobra. Świetnie! Jakże się cieszę, że krąg cierpienia się rozszerza. Gdzie striptizerka z piekła rodem?

- Wraca o własnych siłach. A co? Masz coś dla nas, Nicky? Spojrzenie, jakie mi posłał, graniczyło z histerią.

- Tak, Castor, pierdolone wieści. Znów mi to zrobiłeś, skurwielu. Wciągnąłeś mnie w swoje durne, gówniane gierki i ludzie zaczęli stukać do moich drzwi, bo chcą się dobrać do ciebie. Tu zatem się rozstajemy. Przyszedłem, żeby wycofać się z tej roboty i powiedzieć, żebyś nie próbował, kurwa, pisać.

Przyglądałem mu się jak ogłuszony. Leciałem już na oparach, a nie chciałem próbować własnej interpretacji.

- Ktoś próbował na ciebie naciskać? - spytałem.

- Ktoś próbował mnie spalić. Ten ktoś jest teraz karmą dla piesków, ale wiedzą gdzie mieszkam, więc zakładam, że przyślą kogoś innego, by dokończył dzieła.

Cała ta scena miała w sobie coś surrealistycznego. Nicky przemawiał spokojnym, lekkim tonem, by ludzie nie oglądali się i nie próbowali podsłuchać naszej rozmowy, lecz jednocześnie szczyrzył zęby, a jego blada, woskowa twarz wyglądała jak maska wściekłego ducha w Teatrze Noh.

- Dobra - mruknąłem. - Wygląda na to, że przeciwnik jest nieco lepiej zorganizowany niż oczekiwałem. Przykro mi. Naprawdę mi przykro.

- Tak? - Nicky uśmiechnął się ponuro. - No to zachowaj tę przykrość, aż usłyszysz resztę historii, Castor. Znajdź nam taksówkę. Pojadę z tobą do miasta i powiem ci wszystko, co mam. A potem, kurwa, zostaniesz sam.

Najechałem bankomat, wyskrobując resztki z dziury będącej moim kontem. Dochodziła północ, lecz na zewnątrz czekało kilka taksówek. Jedna z nich podpełzła ku nam, gdy wyszliśmy z terminalu na podjazd. Nicky, mrużąc oczy, przyjrzał się kierowcy i stuknął mnie w pierś, gdy wystąpiłem naprzód.

- Nie tę.

- Co? Dlaczego?

Taksówkarz, potężny facet o stanowczo zbyt włochatych przedramionach, patrzył na nas wyczekująco.

- Zmywaj się, bucu - rzucił Nicky.

Twarc taksiarza najpierw stężała ze zdumienia, a potem poczerwieniała.

- Ty skurwysy...

Zaczął otwierać drzwi, lecz z wyjścia tuż za nami wyłoniła się parka w średnim wieku, minęła nas i wsiadła do taksówki. Drzwi się zatrzasnęły i samochód odjechał. Gdy kierowca się obejrzał, jego wzrok ociekał

jadem.

- Nicky - powiedziałem - jeśli zamierzasz wdawać się w bójki z facetami większymi ode mnie, mógłbyś przynajmniej uprzedzić.

- Pierwsza taksówka mogła być podstawiona - powiedział. - Druga też.

Mówiąc to, szedł już w stronę następnej taryfy. Otworzył szeroko drzwi trzeciej.

- Musicie panowie zacząć z przodu kole... - zaczął kierowca.

- Jedź, koleś - warknął Nicky. - Nie płacę ci, kurwa, za gadanie.

Wsunął się do środka, a ja usiadłem obok, stawiając aktówkę między stopami. Ten taksówkarz był na szczęście starszy i mniej masywnie zbudowany niż poprzedni. Łysiejąca głowa, kępki cieniutkich włosów sterczące za uszami i bulwiasty nos nadawały mu wygląd dorabiającego po godzinach kłowna. Spojrzał z powagą najpierw na Nicky'ego, potem na mnie, dokonując wyboru między godnością a zarobkiem, i zdecydował się na łatwiejszą opcję. Ruszyliśmy, nie zważając na trąbienie pierwszej taksówki w daremnym proteście.

- Dokąd? - spytał nasz kierowca.

- Walthamstow - odparł Nicky. - Na końcu Hoe Street. I proszę włączyć radio.

Taksówkarz pochylił się i kabinę wypełniła brzęcząca muzyka country.

- Głośniej - warknął Nicky. - Do oporu.

Po latach nauczyłem się dość dobrze rozpoznawać jego nastroje, toteż paranoja mnie nie zaskoczyła. Fakt, że wyszedł mi na spotkanie, mimo że uważał mnie za źródło swych kłopotów, był bardziej znaczący -

trzeba czegoś naprawdę mocnego, by zrównoważyć jego niewiarygodnie rozwinięty instynkt przetrwania. Jediną znaną mi rzeczą było jego niewiarygodnie rozwinięte ego. Chciał - bardzo chciał - mi powiedzieć, co znalazł.

- No to chodź - zaprosiłem, czując w uszach echo gitarowych brzdęków.

- Mam ci uprzyjemnić dzień?

- Jeśli sądzisz, że potrafisz, Nicky. Jasne, uprzyjemnij mi dzień. Ale uprzedzam, łatwo nie będzie.

- Co powiesz na taki początek?

Rzucił mi na kolana gazetę, która, kiedy zabrał rękę, zaczęła się rozwijać. Przyglądałem ją i przeczytałem nagłówek. „Pierwszoligowy trener, zamieszany w aferę łapówkarską”. Nie, to dział sportowy. Odwróciłem gazetę. „Dwie ofiary piekła na M1”.

I zdjęcie. Stare zdjęcie, przystojniejsze o jakieś piętnaście kilogramów, przedstawiające Gary'ego Coldwooda.

- O Chryste - mruknąłem.

- Gość był twoim przyjacielem, prawda, Castor? I chyba zaledwie wczoraj obiecywał ci „soczysty kasek”. Zakładam, że wiązało się to z pracą, a nie z dziwacznymi wybrykami miłosnymi.

A potem o pierwszej w nocy przebił barierkę na północnym odcinku M1 i wpadł na wóz jadący z naprzeciwka. Zderzenie z prędkością dwustu kilometrów na godzinę. Bum. Dymiące świece poleciały pół mili dalej. W drugim wozie jechały dwie osoby, matka i córka. Obie zginęły na miejscu. Coldwooda wyciągnęli z wraku z połamanymi nogami, na kilometr śmierdział wódą. Zabawne, jak to się ułożyło.

Nie byłem w stanie odpowiedzieć. Nadal gapiłem się na zdjęcie. Coldwood miał na nim minę, którą widywałem co najmniej ze sto razy: uśmiezek twardziela, skopiowany z filmów Johna Woo, ale niezbyt przekonujący. Naprawdę pragnął być postrachem złoczyńców. Gdyby tylko pozwolili mu w pracy wkładać pelerynę i maskę, z pewnością by to robił.

Nicky wciąż mówił.

- Rozumiesz chyba, że potem wszystko sprawdziłem. Kiedy już włamali się do mnie w środku pierdolonej nocy. Dwaj goście, obaj z bronią bez numerów seryjnych. Żadnych dokumentów, niczego, co mogłoby pomóc ich zidentyfikować. Jednego załatwiła pułapka, drugi zginął, kiedy podłączyłem prąd z sieci do zamka, który próbował otworzyć, by się do mnie dostać. Przypadek? - spytałem sam siebie. Starzy przyjaciele za mną zatęsknili? Moja popierdzielona, nienormalna rodzinka znów postanowiła spróbować? Ale nie. Po pięciu minutach w sieci znalazłem tekst o Coldwoodzie i zrozumiałem, że to ty.

- Nicky... - Nie wiedziałem nawet, co zamierzam rzec.

Czułem w piersi mocny, narastający tępy ucisk, sięgający coraz wyżej. To była moja wina. Johna Gittingsa i Vince'a Chesneya można uznać za ofiary poprzez zaniedbanie, ale to było gorsze. Wypchnąłem Gary'ego na linię ognia, a sam uskoczyłem.

- Teraz poważnie się zainteresowałem - mówił Nicky. - Hej, koleś, możesz zgłosić radio? Tu z tyłu nic nie słyszymy.

Zacząłem szukać prawidłowości i wkrótce znalazłem pierwszą. Tej nocy Coldwood nie był jedynym upartym sukinsynem, którego zmiotli jak śmiecia.

- Ktoś jeszcze siedział z nim w wozie?

- Nikt. Ale tej nocy zginęli inni gliniarze, jego kumple. Detektyw konstabl i spec od kryminalistyki, Marchioness. Co to w ogóle za nazwisko dla faceta? Jeden wyskoczył przez okno, drugiego wepchnięto pod pociąg. Zeszłej nocy kostucha miała sporo roboty, i to w najgorszych godzinach. Powinna pogadać z szefem swojego związku.

Odwróciłem się do Nicky'ego, żeby kazać mu przejść, kurwa, do rzeczy. Ale suche czarne kamyki jego oczu spojrzały na mnie z nieprzeniknionym spokojem.

- Jeszcze jedno i skończę. Słyszałeś kiedyś o facecie nazwiskiem Stuart Langley?

- Oczywiście - odparłem. - To duchołap. Pracuje w dokach.

Nagle przypomniałem sobie historię, którą opowiedziała mi Lou Beddows w dniu pogrzebu Johna: nocny telefon, zasadzka, pobicie. „Przeżył jeszcze tydzień, potem lekarze odłączyli respirator...”.

- Pracował z Johnem - dodałem. - Prawda?

- Nie wiem, Castor. JG stukał do wszystkich drzwi w poszukiwaniu partnera do swej wielkiej sprawy, więc jasne, możliwe, że Stu Langley się zgodził. To mogłoby wyjaśnić kolejny dziwny zbieg okoliczności.

- Jaki dziwny...

- Matkę i córkę. W samochodzie, z którym zderzył się Coldwood. Elsperh Langley i mała Niamh Langley. Nie masz wrażenia, że wyłania się tu pewien wzór? Wiem, że mam tendencję do dostrzegania wzorów, nawet kiedy ich nie ma: na tym właśnie polega paranoja. Ale w tym przypadku przygotowałem chyba grunt pod największą rewelację, którą mam dla ciebie.

- Tak. - Ucisk dotarł już do gardła. - Przygotowałeś.

- Świetnie. Prosiłeś, żebym wycisnął jakiś sens z zapisków w „A do Z” Johnny'ego.

Nie tego się spodziewałem.

- To już dawne dzieje - przypominałem krótko. - Ostatnie, o co cię prosiłem, to sprawdzenie, gdzie pogrzebano ciała.

Nicky przytaknął, lekko zniecierpliwiony.

- Owszem i wypuściłem czułki. Z początku niczego nie znalazłem. Mnóstwo niczego, bo wypuściłem mnóstwo czulek. Wróciłem zatem do punktu wyjścia.

- List w notatniku Johna.

- Właśnie. Ale tym razem zastosowałem logikę rozmytą. Bo uznałem, że kluczowe słowo to to na samym końcu. Ostatecznie na nim właśnie skończył Gittings. Jeśli próbował rozwiązać łamigłówkę, istnieje spora szansa, że ostatnie słowo stanowi odpowiedź: całość złożoną ze wszystkich popieprzonych składowych.

Wróciłem myślami do list w „A do Z”: całych stronich gęstych bazgrołów, uzupełnianych i podkreślanych tak, że niemal osiągnęły masę krytyczną.

- Ostatnie słowo brzmiało „smashna” - rzekłem.

- Tak - odparł Nicky. - Tyle że nie. John nawet po angielsku miał chujową ortografię, a to nie była angielszczyzna. Przepuściłem je zatem przez sieciowe programy tłumaczące i znalazłem słowo, o które naprawdę mu chodziło. - Spojrzał na mnie na znak, że zbliża się pointa i że kiedy ją usłyszę, nie chce przeoczyć żadnego szczegółu mojej reakcji. - To nie było smashna - świetnie, super, wspaniale, bombowo, tylko *smashana* - po

hindusku miejsca całopalenia.

Oczywiste. Kurwa, oczywiste. Nie słowo, którego nigdy wcześniej nie słyszałem, ale sens. Nie chodziło o cmentarz: sprawdził cmentarze i wykreślał je jeden po drugim, póki nie dotarł do prawdy. Klepnałem się w czoło. Kiepski pomysł, bo natychmiast poczułem ukłucie morderczego bólu, rozchodzące się po potłuczonych twarzy i szyi.

- I tak uzbrojony - Nicky promieniował ponurym samozadowoleniem
- zawęziłem pole poszukiwań i uzyskałem znacznie lepsze rezultaty.
Wszyscy, prócz kilku drogich zmarłych łobuzów z listy Gittingsa...

- Zostali skremowani - dokończyłem.

Nicky przebił mojego asa.

- Skremowani w tym samym, pieprzonym miejscu. Mount Grace. To prywatne krematorium we wschodnim Londynie. Ale już to wiesz, prawda, Fix? Bo tam właśnie zabrano Git-Johna, kiedy Carla postanowiła ustąpić w cmentarnym starciu.

Mount Grace. Owszem, wszystko pasowało - przynajmniej do pewnego stopnia.

- Ale w takim razie, czemu John...? - spytałem i pozwoliłem, by ostatnie słowa rozplynęły się w ciszy.

To właściwie nie było pytanie. Mieliśmy co najmniej dwie osoby, które z całą pewnością powstały z martwych. Odciski palców Lesa Lathwella na łusce sugerowały, że powrócił we własnym ciele, bo nadal miał swoje palce. Lecz Myriam Kale opętała ciało kogoś innego, choć teoretycznie to przecież niemożliwe. Może Johnem także zawładnięto? Może dziwne rzeczy, które robił w ostatnich tygodniach życia, stanowiły jedynie przygotowanie, by, kiedy w końcu nadejdzie pora samobójstwa,

uznano je za naturalne?

A może byłem zbyt subtelny? Może John zakończył śledztwo, przechodząc na drugą stronę - zmieniając konie w samym środku rzeki Styks. Zgadywałem nawet, jak mogło do tego dojść. Gdyby przy Mile End Road istniała brama do nieśmiertelności i gdybym wiedział dokładnie gdzie się mieści, sam mógłbym poczuć pokusę, by stanąć w kolejce i zaryzykować.

Ponieważ to co mieli, czy zdawało się, że mają Lathwell i jego przyjaciele, było znacznie lepsze niż inne możliwości. Duchy spijają tylko wino z oddechów; zombie, takie jak Nicky, muszą z fanatyczną ostrożnością walczyć z podstępym rozkładem albo dosłownie rozpadną się na kawałki. A *loup-garous* toczą beznadziejną wojnę, próbując pozostać ludźmi żyjącymi w skórze zwierząt. Na dłuższą metę wszystkie w niej przegrywają.

Powrócić w swojej osobie - w żywym ludzkim ciele - to naprawdę coś. A powracanie raz po raz (bo odciski palców Lesa Lathwella były identyczne z odciskami Aarona Silvera) to prawdziwa wisienka na torcie wieczności.

Tak czy inaczej, Mount Grace stanowiło klucz. To tam trafiali zabójcy. Tam trafił John, po tym jak zatrudnił Todda do zmiany testamentu. I byłem gotów postawić rupie przeciwko skumulowanej wygranej w totka, że tam zabrano Myriam Kale, po tym jak Ruth przekazała doczesne szczątki siostry panu Bergsonowi, czarującemu zabójcy o platynowych włosach.

- Dzięki, Nicky - mruknąłem. - Jestem twoim dłużnikiem.

- Owszem, jesteś. I to większym, niż myślisz. Ta aktówka jest pełna

drobiazgów Gita. Nie ma mowy, żebym teraz próbował je sprzedać: schodzę pod ziemię, a je zbyt łatwo wytropić. Zatrzymaj je zatem na pamiątkę po mnie.

- Schodzisz pod ziemię? - Próbowałem odczytać wyraz jego twarzy. - Chcesz powiedzieć dosłownie czy...?

- Nie zadawaj pytań, Castor, a nie usłyszysz, kurwa, kłamstw.

Wyrząłem przez okno. Miałem wrażenie, że zegary tykają, a wydarzenia przyśpieszają, wymijając mnie w szaleńczym pędzie. Założyłem, że pojedziemy Obwodnicą Północną, tak że po drodze do nory Nicky'ego w Walthamstow będę mógł wyskoczyć w Wood Green. Ale taksówkarz zjechał na M25 i jechaliśmy drogą A10, przez Enfield i Ponders End. Nagle w mojej głowie przebudziło się wspomnienie.

Zerknąłem na zegarek. Było bardzo późno, ale co tam. Jeśli nikogo nie zastanę, zawsze będę mógł wrócić innym razem.

To więcej niż przypadek, że przejeżdżałem tak blisko tuż po tym, jak Nicky przekazał mi swoją bombę. Z drugiej strony przypadki zawsze tak właśnie wyglądają. Ale najpierw najważniejsze. Miałem na głowie zbyt wiele niedokończonych spraw - jeśli pozbędę się choć części bagażu, poczuję się lżej.

- Mógłbyś przekazać komuś wiadomość? - poprosiłem Nicky'ego. - Po drodze tam, dokąd się wybierasz?

- Może - powiedział ostrożnie. - Jakiemu komuś?

- Dyrektorowi Pentonville.

Zaśmiał się sardonicznie.

- Jasne. Co mam mu przekazać? Że go jednak kochasz?

- Że w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin zapewne zjawi

się u niego demon z piekła rodem i spróbuje wypuścić na ulicę seryjnego zabójcę. Faceta w bloku dla aresztantów, Douglasa Huntera.

Nicky zapatrzył się na mnie.

- Demon z piekła rodem?

- Tak. W ludzkim ciele. Odpowiada opisowi mokrego snu nastolatka.

- Juliet?

- Oczywiście.

- Wystawiasz im Juliet?

- Akurat. Posłuchaj, nie sędzę, by mieli tam kogokolwiek, kto ma dość jaj i umiejętności, by ją egzorcyzmować. Chcę po prostu, żeby jej nie wpuścili. W przeciwnym razie główniana sytuacja podpłynie jeszcze większym gównem.

Nicky się zastanowił.

- Mogę przesłać mu mejla przez ślepe proxy. To ci wystarczy?

- Idealnie, Nicky. Dzięki.

- Bardzo proszę. Tam, dokąd się udaję, nawet ona mnie nie znajdzie, więc co mi, kurwa, zależy?

- Hej! - zawołałem do taksówkarza. - Mógłby pan skrócić w lewo przy Nags Head Road?

- I tak zamierzałem - mruknął.

- Super. Może mnie pan wysadzić po drugiej stronie zbiornika. To Chingford Hatch, zgadza się?

- Chingford Green. Chingford Hatch jest trochę dalej.

- Wystarczy mi - mruknałem. - Dzięki.

- Kogo znasz w tamtej okolicy? - zdziwił się Nicky, autentycznie ciekawy.

Wszystko go ciekawi, bo gdzieś w głębi ducha wie, że wielki, globalny spisek, w którym wszyscy uczestniczymy, opiera się na nawet najdrobniejszych detalach. Mam wrażenie, że wierzy, że być może jeden z owych detali stanie się wskazówką, która pozwoli mu wszystko zrozumieć.

- Gościa zarządzającego krematorium - odparłem.

Taksówka odtoczyła się w noc, pozostawiając mnie samotnego na błyszczącym od deszczu chodniku, pośrodku dziwnie krzywej ulicy. Przed sobą miałem nieciekawą szereg bliźniaków o białych fasadach - z tyłu rozciągał się zbiornik Lea Valley, szeroka szrama czarnej jak noc nicości, ledwie zamknięta za siatkowym ogrodzeniem.

Na północ leżało King's Head Hill, na południe większa część Chingford. Korzystając ze światła ulicznej latarni, wyłowilem z kieszeni portfel i zacząłem w nim grzebać, dopóki nie znalazłem tego, czego szukałem: wizytówki, którą Peter Covington wręczył Carli w dniu kremacji jej męża, a którą Carla przekazała mnie, bo nie miała jej gdzie schować w swych odświętnych, pogrzebowych szatkach. Adres przy New Road, w Chingford Hatch, bez numeru, jedynie z nazwą: „Słodownia”. Niecałą milę ode mnie, nawet jeśli było to na drugim końcu ulicy, przy torze golfowym. Ruszyłem naprzód. Po drodze obracałem w głowie wszystko, co wiedziałem i czego nie wiedziałem. Krematorium stanowiło ośrodek biznesu reinkarnacyjnego, którego implikacji jak dotąd nie ogarniałem. John Gittings badał je tuż przed śmiercią i wiedział, co się dzieje, na długo przed tym, nim odkrył gdzie. Przez wiele dni i tygodni sprawdzał wszystkie pieprzone cmentarze w Londynie, wykreślając je starannie ze swej listy, aż w końcu dokonał wielkiego odkrycia, że w ogóle nie szuka cmentarza. *Smashna*. Nagły przebłysk.

A co zrobił potem? Dwie rzeczy, o których wiedziałem i które

zupełnie do siebie nie pasowały. Zmienił testament, nalegając, by po śmierci spalić go w Mount Grace, a nie pogrzebać w Waltham Cross. Zrobił to, choć zapewne wiedział już - być może od początku - że impreza w Mount Grace była wyłącznie na zaproszenia, a większość klienteli tworzyli bandyci, mordercy i byli gangsterzy.

W tym samym czasie zaplanował inwazję. List, który znalazłem w kopercie zegarka, gdzie go ukrył ze starannością paranoika, nie dopuszczał innej interpretacji: *Będziesz miał tylko jedną szansę, to musi się stać w noc INSKRYPCJI, tak żeby dało się dopaść wszystkich razem. Weź wsparcie: weź solidne wsparcie.*

Czy zatem dokonał owej próby? Najpewniej nie. Zamiast tego się zabił i powierzył czulej pieczy odrodzonych zabójców, których śledził. Nie dostrzegałem w tym cienia logiki. Nawet u człowieka, którego umysł rozpadał się niczym zamek z piasku podczas przyływu, za żadne skarby nie pojmowałem, co chciał osiągnąć.

Jedno jednak widziałem: cokolwiek się działo, Maynard Todd był w samym centrum. Powiedział, że zajmuje się większością spraw Lionela Palance'a, co oznaczało, że de facto zarządzał krematorium, jeśli Palance nie zadawał zbyt wielu pytań. Powiedział też, że to on zasugerował Johnowi Gittingsowi Mount Grace, kiedy ten zdecydował się na kremację, a potem poruszył niebo i ziemię, by do tego doprowadzić, uciszając lęki Carli i zachęcając ją do współpracy z taktem i wrażliwością, które w moim osobistym słowniku zupełnie nie pasowały do słowa „prawnik”. A Gary Coldwood miał wypadek - ironiczną emfazę można przyjąć za oczywistą - po tym, jak wskazałem mu biuro Todda.

No dobra, czyli Ruthven, Todd i Clay stanowili następny punkt

programu. Ale na razie musiałem się skupić na najbliższym zadaniu.

Kiedy dotarłem do frontowej bramy, zrozumiałem, że Słodownia to nie zwykły dom, tylko rezydencja, cofnięta daleko od ulicy, za gęstą barykadą dojrzałych, rozrośniętych cisów. Bramki otwierano elektronicznie - poznałem to po grubych ramionach hydraulicznych, zamontowanych na wysokości pasa, w poprzek obu. Był tam też przycisk dzwonka i kratka domofonu, ale chwilowo je zignorowałem. Miałem mnóstwo znacznie ciekawszych obiektów zainteresowania.

Po drodze przyszło mi do głowy, że tylko tracę czas: że zastanę cichy, ciemny dom, w którym wszyscy leżą w łóżkach i śpią snem mniej więcej sprawiedliwych. Nie musiałem się martwić. Wszystkie światła płonęły, a po trawniku za cisowym żywopłotem krążyły bez przerwy nawołujące się postaci. Nie słyszałem co mówią, ale w tonie ich głosu dźwięczał niepokój.

Nacisnąłem dzwonek, odczekałem chwilę, znów nacisnąłem, nikt nie odpowiedział. Kryzys w domu, czy raczej na terenie otaczającym dom, nie pozostawił nikogo, kto mógłby przyjąć nocnego gościa. Gdzie się podziało dobre wychowanie?

Posłuszny impulsowi, który więcej niż raz stawiał mnie przed obliczem mało wyrozumiałych sędziów, schowałem torby za kępą krzaków i wspiałem się na bramę. Już wcześniej przyjrzałem się i oceniłem, że powinno pójść łatwo, a na górze nie zastałem żadnych nieprzyjemnych niespodzianek, jakie czasem stosują właściciele: drutu kolczastego czy lepu na ptaki; po najwyżej siedmiu sekundach zeskakiwałem już po drugiej stronie, na skraj wyłożonego kamiennymi płytami podjazdu, który ciągnął się przede mną i powoli przechodził w

szeroki taras przed odległym, bajerancko oświetlonym domem.

Ludzie krążący po wielkim trawniku wydawali się zajęci czymś w rodzaju nocnych poszukiwań. Niektórzy potrząsali krzakami, czy raczej przeczesywali je, jakby mieli nadzieję znaleźć nieśmiałe leśne stworzonka, przycupnięte wśród korzeni. Inni patrolowali wyznaczone odcinki trawnika, od czasu do czasu świecąc innym w oczy latarkami i wykrzykując przeprosiny.

Wkrótce znalazłem się wśród nich. Być może miałem nadzieję, że spotkam Petera Covingtona i wyjaśnię, co właściwie tu, do diabła, robię, po części po prostu byłem ciekaw, czego właściwie szukają. Nikt mnie nie zaczepił, nikt w ogóle mnie nie zauważał. Raz jeden na moją twarz padł promień latarki, szybko jednak umknął w bok, gdy właściciel odkrył, że nie jestem tym, za kogo mnie wziął.

- Przepraszam - dobiegło z ciemności.

- Nic się nie stało - odparłem.

Teren wokół domu okazał się jeszcze większy, niż sądziłem. Zauważyłem ozdobny staw, letni domek i plamę ciemności - zapewne w miejscu altanki pośrodku trawnika. Wokół wszystkich trzech krążyły ulotne postaci.

Trzy szerokie, płytkie kamienne stopnie wiodły do frontowych drzwi domu, otwartych na oścież. Wszedłem do środka i zatrzymałem się w holu, u stóp schodów, które na pierwszym piętrze rozszczepiały się, skracając w prawo i w lewo niczym architektoniczny odpowiednik bomby odłamkowej.

- Jest tu kto?! - zawołałem. - Covington?!

Brak odpowiedzi.

Dla zabicia czasu zacząłem się rozglądać, grając w myślach w „kto może mieszkać w takim domu?”. Ktoś, kto ma kurewsko dużo forsy, to na bank. Hol był większy niż salon Ropeya, zewsząd otaczał mnie wypolerowany do połysku mahoń. Nad głową wisiał potężny kandelabr - nowoczesny, asymetryczny i brzydki jak kupa. Cóż, miłość można kupić po cenie rynkowej, ale z dobrym gustem trzeba się urodzić. Zacząłem zliczać moje błogosławieństwa i prawie doszedłem do jednego.

Gdzieś w pobliżu rozległ się dźwięk, raz. Potem ponownie. Stłumione szuranie, jakby szczurów za listwami. Podążyłem jego tropem i dotarłem do szafy pod schodami, z drzwiczkami wielkości trzech czwartych zwykłych drzwi. W podmiejskim bliźniaku w takim miejscu chowa się odkurzacz i śmietniczkę. W tym wyniosłym dworzyszczu pewnie mieściły się tu kwatery służby.

Kolejne szurania. Otworzyłem drzwi i zajrzałem do środka. Przez chwilę widziałem tylko pionową kolumnę szafek z bezpiecznikami i składane krzesła. W powietrzu unosił się ostry odór moczu. Nagle, wstrząśnięty, uświadomiłem sobie, że zza krzesel wygląda para ludzkich oczu: szafa była głębsza niż sądziłem i w ciemności ktoś w niej siedział. Stary człowiek o lekko oszołomionej i bardziej niż lekko sennej twarzy.

Nie przestraszył się tym, że go znalazłem. Jedyne zamrugał i osłonił oczy, gdy jego kryjówkę zalało światło.

- Chowaj się - powiedział. Głos miał wysoki i słaby, z lekko przeciągłą intonacją, brzmiącą nieco błagalnie.

- Jasne - zgodziłem się.

I wtedy pomarszczona twarz wygładziła się w niepokojącym uśmiechu, który wyglądał na niej zupełnie nie na miejscu.

- W chowanego.

Wstrząsnął mną dreszcz, ale bardziej wywołały go wspomnienia - ostatnie dni Johna Gittingsa w relacji Carli - niż szalona zabawa tego nieszkodliwego staruszka. On przynajmniej zapewniał swemu aż nazbyt licznemu personelowi jakieś zajęcie.

- Może powinieneś stąd wyjść? - zasugerowałem możliwie łagodnym głosem. - Potrzebujesz pomocy?

Staruszek wyraźnie potrzebował długiej chwili, by to przemyśleć, ale w końcu się odezwał.

- Ta-a-ak - rzekł, przeciągając sylabę w przenikliwe beczenie.

Odsunąłem krzesła i pomogłem mu wstać, uważając, by nie zmusić go do ruchów szybszych, niż mu to odpowiadało. Był tak kruchy, że zdawało się, że lada moment może rozpaść się na kawałki. Miał na sobie jedwabną piżamę, odrobinę za dużą. Na nogawkach i wokół krocza rozlewała się wielka, ciemna plama, co wyjaśniało smród jak z pisuaru.

Cofnąłem się o krok, potem kolejny, pochylając głowę, gdy przechodziłem pod framugą. Staruszek wyszedł za mną, szurając nogami. Sam nie musiał się schylać, był bowiem bardzo drobny i zgarbiony.

Kiedy zamykałem drzwi szafki, usłyszałem dobiegające z tyłu kroki. Z trudem obróciłem głowę - bo staruszek wciąż trzymał mnie mocno za rękę - żeby sprawdzić, kto się zbliża. Znienacka zjawiła się jedna z ekip poszukiwawczych, na jej czele ujrzałem znajomą twarz, okoloną znajomą burzą białych jak śnieg włosów.

- Drzwi były otwarte, panie Covington - oznajmiłem - więc pozwoliłem sobie wejść. Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciw temu.

Popatrzył na mnie, potem na staruszkę wspartego o moje ramię i

znów na mnie.

- Drzwi były otwarte - zgodził się. - Ale z tego co pamiętam, zamknęliśmy bramę. Wciąż jest zamknięta. Czy ja pana znam? Pana twarz wygląda jakby znajomo.

- Felix Castor. Poznaliśmy się w Mount Grace. W środę, podczas uroczystości kremacji Johna Gittingsa.

Do tej pory dwójka poszukiwaczy - mężczyzna w nieskazitelnie białej koszuli i szarych spodniach od garnituru i kobieta, bez wątplenia pielęgniarzka - zdążyła łagodnie i ostrożnie odgiąć palce staruszka ściskające moje przedramię. Teraz wyprowadzali go, a kobieta mruczała mu pocieszająco do ucha, że zaraz go umyją i podadzą pyszną herbatkę. Odprowadziłem ich wzrokiem, po czym odwróciłem się do Covingtona.

Ten powoli skinął głową, nadal z czujną miną.

- Faktycznie. Tak. Pamiętam pana. Ale co pan tutaj robi?

- Miałem nadzieję pomówić z panem Palance'em - oznajmiłem i przewidziałem ripostę pełną sekundę przed tym, nim padła.

- No cóż. - Covington skinieniem głowy wskazał drzwi, za którymi zniknął stary mężczyzna. - Wygląda na to, że już się poznaliście.

- Pan Palance - Lionel - jakieś dziesięć lat temu miał wylew. Covington poprowadził mnie korytarzem, w który śmiało można było wjechać ciężarówką. Zniszczyłaby jednak perski dywan i pewnie straciła jedną czy dwie olbrzymie lampy od Tiffany'ego, osadzone w uchwytych z kutego żelaza.

- Ciężki? - spytałem.

- Nie. - Pokręcił głową. Jego twarz, a przynajmniej ta część, którą

widziałem, była jak maska, nieprzenikniona. - Nie taki ciężki. Niespecjalnie. Nie stracił władzy w nogach, a po trzech miesiącach jego mowa wróciła do normy. Ale towarzyszyły temu różne inne problemy. Większość, dodam, natury psychologicznej. Załamanie nerwowe w wieku pięćdziesięciu dwóch lat, po którym nigdy do końca nie doszedł do siebie, i coraz częstsze ataki demencji. Do tego czasu wiódł bardzo szczęśliwe - niemal błogosławione - życie, ale wtedy wszystko zaczęło się sypać. Wówczas mnie zatrudnił, żebym zajął się codziennym zarządzaniem majątkiem.

- Przed załamaniem? - wtrąciłem. - Czy po?

Blondyn obejrzał się na mnie przez ramię, jego oczy zwięzły się lekko.

- Przed - wyjaśnił. - Nieco ponad rok. Wciąż byłem dość nowy, kiedy do tego doszło. A czemu pan pyta?

Sam nie wiedziałem.

- Po prostu zastanawiałem się nad sytuacją prawną - odrzekłem gładko, przypominając sobie Alzheimera Johna Gittingsa i wątpliwości, jakie mógł zasiać w kwestii zmienionego testamentu. - Gdyby zaangażował pana, będąc nie w pełni władz umysłowych...

Covington wzruszył ramionami.

- Jest jeszcze fundusz powierniczy. Jeśli chodzi o inwestycje Lionela, to oni podejmują decyzje. Ja jestem tylko administratorem. I czymś w rodzaju osobistego asystenta. Zajmuję się prowadzeniem domu, przeglądam i odpowiadam na listy, pośredniczę w kontaktach z personelem medycznym. Tego typu rzeczy. Członkowie funduszu zarządzają portfelem inwestycyjnym i wypłacają mi pensję.

- A kto zarządza krematorium?

Covington otworzył dębowe drzwi; wszedłem przez nie do najwyraźniej jednego z pokojów rodzinnych. Natychmiast poczułem zapach dyskretnego luksusu - skóry, świeżych kwiatów i bardzo starego drewna. Pod jedną ze ścian stał sześćdziesięciocalowy telewizor, próbujący bezskutecznie zdominować pokój. Dywan pod moimi stopami pochłaniał odgłos kroków. Zastony ozdobiono wzorem z kwiatów lili, a na kanapie obitej czarną skórą można by rozegrać niewielki mecz piłkarski. Był tam też bar: w pełni wyposażony, z lustrami i neonami na ścianach i błyszczącym, chromowanym kranikiem.

- Napije się pan czegoś? - spytał Covington, na moment zbaczając z tematu. - Whisky? Brandy?

- Whisky. Dziękuję.

- Czystą czy z lodem?

- Czystą.

Przeszedł za bar i przygotował drinki, poruszając się niespiesznie, z wyciszoną fachowością, jakby jego specjalność stanowiło podawanie w pubie, nie zarządzanie majątkiem. Whisky okazała się Springbank Local Barley, rocznik 1966, co zupełnie mnie nie zaskoczyło, ale sprawiło, że serce zabiło mi szybciej. Covington nalał dwie hojne porcje, jedną szklanek przesunął do mnie po ladzie na złożonej serwetce.

Uniosłem ją i obróciłem w dłoni. Bogaty aromat wzniósł się i przez chwilę napawałem się węchowym odpowiednikiem pocałunku z języczkiem.

- Krematorium - przypomniałem.

- Tak. - Covington pociągnął łyk, przytrzymał parę sekund na języku

i przełknął. - Czemu właściwie pan pyta, panie Castor?

Dopóki można, mów prawdę, oto zawsze sprawdzające się motto z galaktycznych przewodników dla dziewcząt.

- Z powodu Johna - wyjaśniłem. - Zaledwie miesiąc przed śmiercią zmienił testament; wdowa po nim, Carla, nie wie dlaczego. Pomyślałem, że łatwiej jej będzie pogodzić się ze śmiercią Johna, jeśli zrozumie, czemu zmienił zdanie.

Covington wyszedł z baru, po drodze odstawiając drinka, jakby już go zmęczył.

- A jak to się przekłada na pańskie przybycie tutaj? - spytał ostro.

Minął mnie i usiadł na kanapie, wskazując mi miejsce naprzeciwko, nadające się jedynie na trzyosobową rozgrywkę. Zająłem je, bo dało mi to parę chwil na przemyślenie odpowiedzi,

- Po prostu zastanawiałem się, czy samo to miejsce ma w sobie coś wyjątkowego, unikalnego. Coś, co mogło go zainteresować. Leży daleko od miejsca zamieszkania Johna. Gdyby po prostu chciał, żeby go spalić, zamiast pogrzebać, krematorium w Marylebone jest znacznie bliżej.

Covington przytaknął, ale patrzył na mnie pytająco.

- To pierdoły - rzekł w końcu.

Jego rozbijająca bezpośredniość zaskoczyła mnie.

- W jakim znaczeniu tego słowa? - spytałem śmiało, lecz niezbyt przekonująco.

- To słowo ma tylko jedno znaczenie, panie Castor. Pierdoły to pierdoły. Proszę mi powiedzieć, o co naprawdę panu chodzi.

Przez chwilę, wygnany z kryjówki, rozważyłem możliwe skutki zrobienia dokładnie tego. Trudno było odczytać tego człowieka. Mimo

ostrego języka, nie wyglądał na rozgniewanego: był spokojny i może lekko zniecierpliwiony tym, że go bajeruję. A to mogło znaczyć, że wiedział już o całej sytuacji więcej niż zakładałem. Może nawet więcej niż ja sam: mimo śledztwa, które przeprowadziłem na obu kontynentach, nie byłoby to zbyt trudne.

Wahałem się dość długo, by zauważyć, najwyraźniej jednak mu się nie śpieszyło: czekał w milczeniu, aż podejmę decyzję.

- No dobrze - rzekłem w końcu, próbując sformułować najważniejsze punkty tak, by nie zabrzmiały śmiesznie i melodramatycznie. - Tam coś się dzieje. Coś naprawdę dziwnego i naprawdę niebezpiecznego. Może także nielegalnego, ale prawo tak naprawdę nie obejmuje podobnych kwestii, ponieważ większość ludzi uważa je za niemożliwe. Lecz wszyscy, którzy zbliżają się do sedna, giną.

Uznałem, że to wystarczy na początek. Rzuciłem mu *quid*, zobaczmy czy poczęstuje mnie *quo*.

Covington skinął głową i jakby odprężył się odrobinę.

- Świetnie - rzekł. - A zatem pan wie. Nie potrafiłbym tego wyjaśnić, ale pańska wiedza wiele ułatwia. Tak, ma pan rację. W Mount Grace rzeczywiście coś się dzieje. I sądzę, że pański nieżyjący przyjaciel, Gittings, badał to przed swoją śmiercią. W istocie uważam, że dlatego właśnie zginął. - Spojrzał na mnie przenikliwie.

- John popełnił samobójstwo - przypomniałem, odgrywając pierwszego naiwnego i zastanawiając się, czy owe słowa protestu Covingtonowi wydały się równie błahe jak mnie samemu.

Wzruszył ramionami.

- Tak - zgodził się. - Istotnie.

- W zamkniętym pomieszczeniu. Strzałem z dubeltówki.

Covington przyznał mi rację, spokojnie kiwając głową.

- Niełatwo coś takiego zaaranżować - zaryzykowałem.

- Przypuszczam, że to zależy. - Wstał i przeszedł przez pokój, żeby zamknąć drzwi, które zostawiłem otwarte. Dodatkowo przekreślił sterzący z zamka wielki, ozdobny klucz. Nie chciał mnie wypuścić czy też wpuścić kogoś innego? - Dla kogoś z zewnątrz, owszem, byłoby to trudne. Dla kogoś od wewnątrz...

Szklanka zmierzała właśnie do moich ust: o mało nie wylałem bezcennego trunku za koszulę, gdy z trudem stłumiłem gwałtowne wzdrygnięcie.

- Od wewnątrz? - powtórzyłem.

Covington stał nade mną, patrząc w dół, dłonie trzymał w kieszeniach. Odnosiłem nieodparte wrażenie, że jesteśmy po tej samej stronie, ale nadal musiałem walczyć z impulsem nakazującym zerwać się z miejsca i zająć pozycję obronną. Widząc go z tak bliska, uświadomiłem sobie, że to bardzo groźny człowiek: miał w sobie poczucie masy, solidności, sugerujące długie godziny spędzone na siłowni.

- Tak. Wie pan, co mam na myśli, panie Castor. Pewnie ma pan własne powody, każące udawać, że nie, ale pan wie. Umysł innego człowieka - dusza innego człowieka, kierująca ciałem pańskiego przyjaciela - mogła zrobić wszystko, co przypisuje się Johnowi Gittingsowi. Zamknąć drzwi. Wsunąć do ust lufę dubeltówki. Nacisnąć spust. Wiedziałby przecież, że czeka go zmartwychwstanie. O ile tylko miałby pewność, że ciało Johna trafi do Mount Grace.

Świadomie nie doszedłem do owego wniosku, dopóki nie powiedział

tego głośno, ale każde słowo było niczym zapadka zaskakująca na wielkim automacie do gry: brzdęk, brzdęk, brzdęk, brzdęk. A potem donośny hurgot głównej wygranej.

- Ale po co miałyby to robić? - spytałem. - Jeśli on - oni - opanowali już Johna, nie musieli przejmować się jego dochodzeniem. Gdyby chodziło im o uciszenie go, i tak by je sobie zapewnili. Po co mieliby go zabijać?

- Niech pan mi powie - podsunął Covington, nadal patrząc na mnie z góry.

- Bo nie wybierają sobie steranych życiem facetów w średnim wieku - wymamrotałem. Brzdęk. Brzdęk, brzdęk, brzdęk. - Bo ten, komu przypadło to zadanie - kto opętał Johna - zrobił to tylko po to, by się go pozbyć. Wymuszone samobójstwo. Nie miał powodu tkwić w nim dłużej.

Covington przytaknął.

- Taka jest moja teoria. Z pewnością, wybierając nową garderobę, wyszukują młodych i zdrowych ludzi. John nie wydał mi się ani młody, ani zdrowy.

Niektóre kółka wciąż wirowały, zapadki nadal zaskakiwały na miejsca: tu dzwonek, tam cytryna. Fragmentaryczne notatki Johna i szaleńczy, paranoiczny taniec, w który mnie wciągnął, dowodziły, że Carla miała rację: jego umysł faktycznie zaczynał się załamywać. Ale części zachowań, które widziała i opisała, w ogóle nie zrozumiała. Bo niby jak? Kiedy John krążył po domu, pisząc liściki do samego siebie i ukrywając je, a potem wracał i je palił albo darł na strzępy, wydawało jej się to czystym obłędem. Ale nim nie było, jeśli uznamy, że w tej grze uczestniczyło dwóch graczy: że John walczył z pasażerem tłamszącym jego ciało i ducha

i prawie wygrywał. Oczywiście nie była to uczciwa walka: a przynajmniej nie po tym, jak tamten załatwił go za pomocą pierdolonej strzelby.

Dźwignąłem się z fotela: nie mogłem dłużej siedzieć, gdy mój mózg pędził jak oszalały, próbując ogarnąć nowe fakty.

- Skąd pan wie o tym wszystkim? - spytałem, mimowolnie przenosząc ciężar ciała na jedną nogę i stojąc w lekkim rozkroku, jakbym wciąż się obawiał, że Covington się schyli i mi przywali.

- Do niedawna - przyznał tamten, jego twarz zachmurzyła się nieco - nie wiedziałem prawie nic. To znaczy podejrzewałem, że Mount Grace stanowi przykrywkę dla nielegalnej działalności. Zbyt wiele rzeczy tu nie pasowało. Dziwne, że fundusz powierniczy nie pozbył się udziałów, skoro ich portfel składał się w głównej mierze z azjatyckich tygrysów i zachodnioafrykańskiego złota. Krematorium nie przynosiło żadnych zysków.

- Todd wyjaśnił mi, że pan Palance je zatrzymał, bo to zabytek - wtrąciłem.

Covington parsknął.

- Poważnie? Lionel nigdy nie interesował się podobnymi sprawami. W dodatku tam właśnie się spotykają - to znaczy zarząd, administratorzy funduszu powierniczego - raz w miesiącu, co oznacza, że to miejsce musi stanowić ważny ośrodek. Naiwnie jednak zakładałem, że wiąże się to z narkotykami albo nielicencjonowanym hazardem - że w ten sposób zarząd szykuje sobie wygodne gniazdko na emeryturę. I niespecjalnie ciążyło mi to na sumieniu. Zawsze uważałem, że jeśli umiejętnie rozegrać własne karty, to, czego staramy się nie wiedzieć, nam nie zaszkodzi.

- A potem?

- A potem zjawił się John Gittings i opowiedział mi część tego, co odkrył w związku z tym miejscem. To było w styczniu. A ja pomyślałem o pewnych rzeczach, które słyszałem na posiedzeniach zarządu albo czytałem w starych aktach. I wszystko ułożyło się w jedną całość. Uświadomiłem sobie, że pod znaną mi organizacją kryje się kolejna, znacznie starsza, całkowicie niewidzialna, realizująca własne cele. - Zmarszczył brwi i się odwrócił. - Powiedziałem, że wszystko zaskoczyło - mruknął. - Ale nie stało się to od razu i natychmiast. Tak naprawdę trwało kilka tygodni. A wcześniej powiedziałem Gittingsowi, że oszalał, i wyrzuciłem go stąd. Potem zacząłem się zastanawiać i zrozumiałem, że wszystko, co wcześniej ignorowałem - wszystko sprowadza się do tego. Biznes reinkarnacyjny działający w Mount Grace. Biznes, którym nie kierują członkowie zarządu, ale ludzie, których popioły tam przechowują. W takim ujęciu to brzmi wariacko, ale taka jest prawda.

- I co pan zrobił? - spytałem.

Spojrzał na mnie, jakbym zaczął udawać kaczkę śpiewającą hymn państwowy.

- Nic nie zrobiłem - odparł z przesadnym niedowierzaniem. - I wciąż nic nie robię. Zadzwoiłem do Gittingsa, żeby go ostrzec, ale już wówczas nie żył. Jeśli potrzebowałem dowodu na to, w jakim gównie mogłem się znaleźć, to go miałem: ci ludzie mogą zabić każdego, sprawiając, że wygląda to - nawet nie jak wypadek, ale jak coś, co zrobiło się samemu. Trzymałem zatem gębę na kłódkę. - Westchnął. - I pilnowałem, by od tej chwili nigdy nie wchodzić do krematorium. Jak pan widział, byłem w pobliżu. Otwierałem drzwi i zamykałem. Ale nie przekroczyłem jego progu i nie zamierzam. Jeśli to brzmi irracjonalnie, to musi mi pan

wybaczyć.

Długą chwilę milczałem. Myślałem o Dougu Hunterze i o tym, jak podczas naszego spotkania opowiadał o skręconej kostce. To tak go dopadli. Skręcił nogę w kostce, a ponieważ na budowie nie było apteczki, poszedł do „kościółka obok”. A kiedy z niego wyszedł, na plecach dźwigał bestię, która okazała się Myriam Kale. Na Ropery Street zauważyłem budowę. Jak mogłem nie skojarzyć?

Nie. Środki ostrożności stosowane przez Covingtona brzmiały irracjonalnie. Wciąż przecież podejmował zbędne ryzyko, podchodząc do drzwi tego przeklętego budynku.

Covington spojrział na zegarek.

- Proszę posłuchać. Muszę iść sprawdzić, co u Lionela. Do tej pory Kim już go umyła i pewnie właśnie kładzie. Mamy stałe zwyczaje, których przestrzegamy. Będzie mu się spało lepiej, jeśli go odwiedzę. Jeśli pan chce, może pan zaczekać.

- A mógłbym pójść z panem? - spytałem, kierując się nagłym impulsem.

Zapadła długa, lodowata cisza.

- Od ponad dziesięciu lat Lionel nie ma nic wspólnego z Mount Grace - oznajmił Covington. - Niczego panu nie powie.

- Być może zdołam coś odkryć bez konieczności rozmowy z nim - odparowałem.

Covington nie wyglądał na przekonanego.

- Jest bardzo słaby. I potrzebuje snu. Nie chcę, by jeszcze bardziej się ekscytował.

- Nie zadam mu żadnych pytań - obiecałem. - Ani nawet nie

wspomnę o tym wszystkim, dopóki z nim będziemy.

Wzruszył ramionami.

- No dobrze. Skoro pan nalega. Pięć minut. Potem musimy wyjść i pozwolić Kim go położyć. Kiedy klepnę pana w ramię, wyjdziemy, nawet jeśli nie będzie pan gotów.

- Jasne - zgodziłem się.

Pokonaliśmy kolejne kilometry ośmiopasmowego korytarza, wspięliśmy się po schodach, innych niż te, które widziałem z holu, i znaleźliśmy się w sypialni wyglądającej bardziej na oddział szpitalny. Sprawiało to przede wszystkim łóżko, sterowane elektronicznie, wielopozycyjne, dla ludzi z problemami ruchowymi. Ale zauważyłem także całą aptekę pigułek i fiolek na nocnym stoliku obok łóżka, butlę z tlenem dyskretnie ustawioną pod ścianą i flotyllę foteli inwalidzkich, zaparkowanych tuż za drzwiami: ręcznych i z silniczkami, składanych i nie, zrobionych z ciężkiej stali bądź lekkiego aluminium - coś na każdą okazję. Pod innymi względami sypialnia przypominała pokój dziecienny: na podłodze walały się zabawki, łącznie ze stareńką kolejką Hornby i jej ułożonymi w koło torami. Biblioteczkę wypełniały bardzo duże książki o wielobarwnych grzbietach.

Kim - pielęgniarka, którą widziałem wcześniej - właśnie poprawiała łóżko. Lionel Palance leżał na stosie poduszek, oddychając przez nebulizator, który drugi pielęgniarz przytrzymał mu przed twarzą. Jego spojrzenie omiotło mnie, nie rejestrując niczego, kiedy jednak spoczęło na Covingtonie, uśmiechnął się.

Wargi się poruszyły, uleciał z nich bełkotliwy dźwięk, mogący oznaczać powitanie.

- Witaj, Lionelu - powiedział łagodnie Covington, siadając na łóżku. -

Widzę, że bierzesz lekarstwa. To mi się podoba.

Pielegniarz zabrał nebulizator i położył na stoliku.

- Peter - odparł staruszek piskliwym, łamiącym się głosem. A potem:

- Zażywam... moje, moje lekarstwa.

Covington przytaknął, odgrywając aprobatę.

- Tak, widziałem. A Kim ci poczyta, dopóki nie zaśniesz. „Takie sobie bajeczki”, zgadza się? Wciąż je czytacie?

- „Noddy'ego” - mruknęła Kim. - Wróciliśmy do „Noddy'ego”.

Covington się skrzywił.

- „Noddy” jest dla niego za prosty. - W jego głosie usłyszałem nowy ton, jak u rodziców kłócących się po raz tysięczny o dziecko, wobec którego żywią wielkie ambicje.

Kim nie ustąpiła.

- Ale on go lubi. Wprawia go w dobry humor.

Covington uniósł ręce w geście kapitulacji - przypuszczam, że bardziej dlatego, że tam byłem, niż że przyjął jej argumenty.

- W każdym razie - rzekł - posłuchasz bajki i pójdziesz spać, prawda?

Wszystko będzie dobrze.

- Dobrze, Peter - zgodził się staruszek.

- Dobranoc, Lionelu. Niech cię Bóg błogosławi. Do zobaczenia rano, jeśli Bóg zechce.

Wyrecytował to szybko, jak zaklęcie.

- Dobranoc, Peter - rzekł piskliwie staruszek. - Niech cię Bóg błogosławi. Do zobaczenia rano. Jeśli Bóg zechce.

Covington wstał i zaczął się obracać, lecz stary człowiek wciąż

patrzył na niego. Nadal próbował mówić, choć na chwilę zabrakło mu tchu.

- Bawiliśmy się w cho... w chowanego.

Potężny, przystojny blondyn spojrzał na swego teoretycznego pracodawcę, który w ultranowoczesnym łóżku i w ultraluksusowym domu wydawał się bardzo mały. W jego twarzy coś się zmieniło, przez moment wyglądał, jakby zarobił cios w szczękę. Zamrugał dwa razy - za drugim dłużej. A kiedy znów otworzył oczy, były wilgotne.

- Tak - odparł z wysiłkiem. - Tak właśnie było, Lionelu. Bawiliśmy się.

Szybko wyszedł z pokoju, nie patrząc na mnie. Zostałem jeszcze chwilę, nasłuchując ciszy. Nie do końca ciszy: oddech Lionela Palance'a brzmiał chrapliwie, niepewnie, a pielęgniarska para krzątała się obok - Kim układała leki na stoliku, podczas gdy mężczyzna zwijał zasikaną piżamę staruszka i chował do plastikowego worka. Coś zahuczało niepokojąco, ale nie wiedziałem co i gdzie.

Nie była to zatem cisza, ale też nie do końca słuchałem, a przynajmniej nie tego wszystkiego. Słuchałem Lionela: rytmu jego duszy i jaźni, muzyki, którą bym zagrał, gdybym kiedykolwiek chciał go przywołać bądź odesłać.

Była bardzo słaba, ale obecna. Co więcej, brzmiała właściwie: tonacja, harmonia, akordy, tempo i niuanse - wszystkie pasowały do siebie. Był sobą - nie ciałem opętanym przez obcego ducha, nie demonem bawiącym się żywą marionetką. Jedynie kruchym staruszkiem, dożywającym ostatnich dni drugiego dzieciństwa w otoczeniu wszelkich luksusów, jakie mogą zapewnić pieniądze.

A jednak stanowił część tego wszystkiego - część tego, co działo się w Mount Grace. Musiał - był przecież jego właścicielem. Covington mówił, że Palance od ponad dziesięciu lat nie miał nic wspólnego z krematorium, ale tu wchodziły w grę wydarzenia rozgrywające się na przestrzeni stulecia, więc kilka lat to zaledwie kropla w oceanie.

Oczywiście nie mogłem go wypytać i wyglądało na to, że z Covingtona też nie wyciągnę więcej. Ale wiedziałem bez cienia wątpliwości, że kiedy w końcu poznam całą historię Mount Grace i odrodzonych zabójców, okaże się także historią Palance'a. A przecucie graniczące z pewnością podpowiadało mi, że będzie to historia pozbawiona szczęśliwego zakończenia.

Cicho wycofałem się z pokoju i dołączyłem do Covingtona na półpiętrze. Nic w jego twarzy i zachowaniu nie wskazywało, że parę minut wcześniej tak bardzo się wzruszył - teraz znów był chłodny i oficjalny, niemal szorstki.

- Co właściwie pan zamierza? - spytał, gdy razem schodziliśmy po schodach. - Przyszedł pan tu przecież z jakiegoś powodu, prawda? Zajmuje się pan tą sprawą, i to nie tylko dlatego, żeby pomóc wdowie po Johnie pogodzić się z jego odejściem.

- Tak - przyznałem. - Przyszedłem tu nie bez powodu. Zbyt wielu ludzi zginęło, Covington. A liczba ofiar jest dziś wyższa niż wczoraj. Wybieram się do Mount Grace, a ponieważ będą mieli nade mną przewagę stu do jednego, kurewsko poważnie traktuję wcześniejsze rozpoznanie.

- To nie wystarczy - odparł głucho. - Cokolwiek pan odkryje i jakkolwiek to rozegra, samemu nigdy się panu nie uda.

- Ofiaruje się pan z pomocą? - spytałem.

Covington roześmiał się z lekkim rozbawieniem.

- Nie. Kategorycznie nie. Po prostu mówię, to wszystko. Nie ma sensu wkładać sobie w usta lufy, jeśli nie chce się popełnić samobójstwa. Proszę poszukać wsparcia - fachowej pomocy. Może innych kolegów po fachu?

- Będę to miał na względzie - wymamrotałem. - Czy mógłby pan jakoś pomóc ze swojej strony? Na przykład zdobyć dla mnie plan budynku. I listę wszystkich skremowanych osób na przestrzeni ostatnich pięćdziesięciu, sześćdziesięciu lat.

- Być może. Ale musiałbym poprosić Todda, a wątpię, by okazał się skłonny do współpracy. Nie przepada za mną.

- Todda prawnika?

- Todda prawnika, Todda syna i Todda ducha świętego. Todda, prezesa zarządu funduszu powierniczego.

Brzdęk, brzdęk, brzdęk.

- Nieważne - rzekłem. - Sam go poproszę.

Poszedłem pieszo do Obwodnicy Północnej, z nadzieją że złapię taksówkę. Ale pierwszy zjawił się nocny autobus. Pojechałem nim do New Southgate, przez większość czasu sam. Dopiero na ostatnim odcinku dołączyła do mnie niewielka gromadka przyjaznych pijaczków. Ich stary, kompletnie idiotycznie, kazał im jechać za tą furgonetką. Osobiście wolałbym wepchnąć ich pod nią, ale ponieważ byli to duzi chłopcy, zamknąłem oczy, pozwalając, by zasypała mnie waląca się ściana dźwięków.

Wpół do trzeciej nad ranem, z bolącą głową maszerowałem w stronę

Wood Green. Moja migrena była przede wszystkim dziełem Juliet i rąk, które leczą, ale dołączyły też implikacje tego, co opowiedzieli mi Nicky i Covington. Będę musiał odwiedzić Mount Grace, ale gdybym przyszedł tam z ulicy, stałbym się łatwą zdobyczą. Ostatecznie nie miałem pojęcia, z czym przyjdzie mi się zmierzyć i czy w ogóle zorientują się, że się zbliżam. Musiałem przygotować mapę terenu, ale nie wiedziałem jak.

Byłem potwornie zmęczony i kiedy dotarłem do bloku i wspiałem się na niekończące się schody - bo windy oczywiście nie działały - do mieszkania Ropeya, mój zwykły, pogodny nastrój ulotnił się nieodwracalnie. Może to zmęczenie sprawiło, że nie zauważyłem, iż drzwi otwarły się po jednym przekręceniu klucza, podczas gdy, wychodząc, jak zawsze zamknąłem na dwa razy.

Lecz gdy tylko przekroczyłem próg, zorientowałem się, mimo nieprzeniknionej ciemności, że nie jestem sam. Poczułem mrowienie skóry na głowie i karku, a potem reszty ciała - w ciemności obserwowało mnie coś nie do końca żywego i nie do końca martwego.

Pośpiesznie cofnąłem się od drzwi, by nie być widocznym na tle plamy światła z korytarza. Lecz oczy tego, kto na mnie czekał, zdążyły już przywyknąć do ciemności i jeśli chciał, wciąż mógł mnie śledzić. Powoli, bezszelestnie wsunąłem dłoń za pazuchę i wyciągnąłem flet. Milcząca obecność miała w sobie coś charakterystycznego i zaczynała układać się w dźwięki - na razie fragmentaryczne, ale jeśli dość długo pozostanę przy życiu, złączą się w jedną całość.

- Równie dobrze możesz zapalić światło - usłyszałem suchy, chrapliwy, całkowicie nieludzki głos. - Gdybym chciał rozszarpać ci gardło, zrobiłbym to, gdy tylko wszedłeś.

Nie musiałem zapalać światła - ten głos odcisnął się na moim umyśle niemal tak mocno, jak zapach Juliet.

- Moloch - warknąłem.

W ciemności zadźwięczał lekki śmieszek, niczym odgłos przykręcanej na palcach śruby.

- Uznałem, że już czas, byśmy połączyli siły - oznajmił demon.

Zapaliłem światło, zdjąłem płaszcz i rzuciłem na oparcie kanapy. Potem zdjąłem buty i wszedłem do pokoju. Zdołałem zrobić to wszystko swobodnie i nonszalancko - ostatecznie, jak powiedział potwór w ludzkiej postaci, nie wystrzelił, choć stanowiłem idealny cel. Cokolwiek zamierzał, nie była to zwykła zasadzka.

- Jak tam wycieczka? - spytał Moloch swym zgrzytliwym głosem, przypominającym tarcie metalu o kość.

Machnąłem lekko ręką.

- Zbyt wielu satanistów.

Współczująco pokiwał głową, lecz jego uśmiech ukazywał zbyt wiele zębów, żeby dodawać otuchy.

- Nasza mała piąta kolumna. Tak. Jeśli to cię pocieszy, w końcu i tak wszyscy zostaną zjedzeni.

Siedział na obrotowym krześle, zabytku z lat siedemdziesiątych, najcenniejszym skarbie Ropeya, oprócz jego zbiorów muzycznych. Wyglądał dobrze: jego skórę zabarwiał rumieniec, przybrał też nieco na wadze. Strój także się poprawił: zamiast szmat, w które był odziany, gdy zobaczyłem go po raz pierwszy przed siedzibą firmy Ruthven, Todd i Clay, teraz miał na sobie czarne spodnie, czarne buty i czarną koszulę z żabotem, z czerwonymi, drogocennymi zapinkami pod szyją i na mankietach. Wyglądałby jak osiemnastowieczny ksiądz grający w grę „moja parafia jest większa od twojej”, gdyby nie długi do ziemi, skórzany

płaszcz. Sprawiał wrażenie kogoś, kto nieco zbyt poważnie potraktował film „Matrix”. Między splecionymi palcami dłoni tkwiło coś małego, połyskującego bielą, od czasu do czasu obracał to lekko. Poza tym w ogóle się nie ruszał. Kiedy ujrzał, że przyglądam się jego dłoniom, rozprostował palce i pokazał, co w nich trzyma: małą czaszkę wielkości niemowlęcia, ale o dłuższej szczęce, oczyszczoną z ciała. Gotów się byłem założyć, że to czaszka kota.

- Po pierwsze i najważniejsze - rzekł pogodnie - nie chcemy, by nam przeszkadzano, więc zaciągnijmy zasłony. Nie będziemy tu wpuszczać hołoty.

Teatralnym gestem rozcapierzył palce, pozwalając, by czaszka sturlała mu się z dłoni. Poleciała w dół, ale piętnaście centymetrów nad dywanem zatrzymała się w powietrzu.

- Normalne usługi zostaną przywrócone - wymamrotał Moloch. - Kiedyś. Do tego czasu ściany nie będą mieć uszu i nikt nie zdoła wpaść tu nieproszony.

Nie mogąc oderwać wzroku od dziwacznie zawieszanej czaszki, usiadłem na najdalszym skraju kanapy, starając się utrzymać możliwie największy dystans do demona. W lewej dłoni mocno ścisnąłem flet, gotów do działania.

Moloch zauważył to i udatnie odegrał zranionego.

- Tamtej nocy ocaliłem ci życie - przypomniał z wyrzutem. - Walczymy po tej samej stronie, Feliksie.

- Czyżby? - spytałem bez ogródek. Powoli, z emfazą pokiwał głową.

- O tak. Wierz mi.

- A z kim dokładnie walczymy?

- Z nieśmiertelnymi. Zabójcami, którzy znaleźli wyjście na drugim końcu piekła. Pamiętasz, że wspominałem ci o rytmie. Sekwencji. Kadencji. Ja znam zakończenie tej historii, a ty jej początek. Czy zatem obejmujemy się jak bracia i podzielimy swą wiedzą?

- Nie - odparłem. - Lepiej tego nie róbmy. Powiedz mi, czego ode mnie chcesz i co możesz mi dać, bez żadnej ściemy, a ja odpowiem, czy jestem zainteresowany.

Demon zacisnął wargi.

- Przyznam - rzekł - że wolałbym ujrzeć pewne zaangażowanie. Co najmniej obietnicę. Nie musi być przypieczętowana krwią. Jeśli powiem ci, co wiem, wykorzystasz to do nie tylko swoich, ale i moich celów. Przysięgnij na coś, na czym ci zależy. Formalności nie są najważniejsze.

Przygwoździłem go wzrokiem.

- Feliksie. - Wydał z siebie westchnienie zaszuszonej, powstałej z grobowca, nienaturalnie ożywionej mumii. - Musimy wepchnąć razem głaz na bardzo wysokie wzgórze. Bez odrobiny zaufania będzie nam ciężko.

Wzruszyłem ramionami.

- Nie wiem nawet, co to za głaz - przypomniałem. - I raczej nie naprę na niego ramieniem, a na pewno nie kierując się ślełą wiarą.

- Wiarą? - Demon machnął ręką w niemal obscenicznym geście. - Nie, nie radziłbym ci pertraktować ze mną, powołując się na wiarę. Czy w ogóle wspominałeś o mnie pani?

- Juliet? Owszem, wspomniałem. - I jak zareagowała?

Pogrzebałem w pamięci.

- Splunęła.

Przytaknął z pewną satysfakcją.

- Natychmiast po tym, jak wymówiła moje imię, zgadza się?

- Tak.

- A ty z pewnością zauważyłeś, że ja nie wymieniłem jej imienia.

Jedynie jej brata, który już nie żyje. To przydatne środki ostrożności wśród takich jak my. Naszych imion nie wybiera się i nie podaje przypadkiem. Mają wyjątkowe właściwości i ich wymówienie ot tak, bez pewnej... -
zawahał się, starannie dobierając następne słowo - profilaktyki może prowadzić do bardzo poważnych konsekwencji. A ona ma dobre powody, by mnie nienawidzić i się bać.

- Założę się - odparłem znudzonym tonem. - I wiesz, doceniam twoją szczerość. Rzekłbym, że jest jak tchnienie świeżego powietrza, tyle że to powietrze cuchnie gnijącym mięsem. To nas do niczego nie prowadzi, prawda?

- Nie - zgodził się Moloch. - Istotnie. - Uśmiechnął się paskudnie. - Jesteś bardzo zabawny, Feliksie, wiesz? Twoja instynktowna nieufność. To, jak zawsze szukasz innych podejść, korzyści, nawet kiedy takowych nie ma. Postrzegasz samego siebie jako palec zatykający tamę, zgadza się? A mnie jako wzbierającą falę. Ale przyrzekam ci uroczyście, na dłuższą metę jesteś - złączył czubki palców i rozłożył, skazując mnie na nicość - nieważny.

- A czy istnieje wzbierająca fala gówna? - spytałem uprzejmie.

- Technicznie zapewne odpowiedź brzmi tak, ale to dość obrzydliwa wizja. Na twoim miejscu wybrałbym sobie inną przenośnię. Coś bardziej w stylu Dawida i Goliata. Co do mnie, to jestem jak wynajęty samochód: staram się bardziej niż inni.

Miałem nadzieję osłabić nieco otaczającą Molocha aurę wyższości, on jednak tylko uśmiechnął się szerzej.

- Czy ty w ogóle wiesz, Castor, czemu martwi powstają? Dlaczego porządek rzeczy uległ odwróceniu tak, że groby otwierają się i wydają na świat ludzi?

Wstrząsnął mną mimowolny dreszcz. Demon musiał go zauważyć, bo uśmiechnął się ze skromną satysfakcją.

- Odpowiedź chyba brzmi: nie - wymamrotał. - Biedny mały Holender, wyęzający w ciemności wszystkie siły, podczas gdy woda unosi się wokół jego kostek, potem kolan, a potem...

- No cóż, każdy ma jakąś teorię - przeciąłem te potwornie irytujące wywody. - Weź numererek i stań w kolejce.

Moloch pokręcił głową.

- Ja nie mam teorii. - Odsłonił zęby w grymasie bardziej przypominającym pogardę niż rozbawienie. - Ja tam byłem, człowieku. Widziałem poczynione szkody. Wielki projekt. O tak. Shedim wiedzieli, co naprawdę oznaczał.

Wielki projekt. Juliet też o nim wspominała, a potem wycofała się bez żadnych wyjaśnień. Poczułem nagły zawrót głowy, jakbym miał przeskoczyć przez niski murek i w ostatniej chwili odkrył, że po drugiej stronie otwiera się przepaść.

- W takim razie czyj to był projekt? - spytałem, nadal tym samym głosem niewiernego Tomasza. - Wasz czy czyjś inny?

Jak to o mnie świadczy, że zaledwie parę godzin po tym, jak usłyszałem o bliskim spotkaniu Gary'ego Coldwooda z kostuchą, przegnałem tę wiedzę w najdalszy kąt umysłu, żeby zagrać w dwadzieścia

pytań z demonem? Że tak bardzo pragnąłem usłyszeć, co ma mi do powiedzenia, że odstawiłem na boczny tor nawet Mount Grace?

Moloch wstał, jego stawy zatrzeszczały niepokojąco.

- Mów dalej - rzuciłem.

Demon zwrócił ku mnie oczy i w powietrzu między nami coś się poruszyło. Zafalowało i zgęstniało, jakby wrzucono w nie coś, co sprawiło, że zaczęło się warzyć. A potem nagle Moloch zniknął przede mną, jego dłoń zacisnęła się na moim lewym ramieniu - z tyłu. Potrzebowałem całej silnej woli, by nie zeskoczyć z kanapy, paść na ziemię i się odturlać.

Obróciłem głowę, patrząc w jego niemrugające oczy. Niewątpliwie był to bardzo skuteczny pokaz siły: serce waliło mi szaleńczo, w gardle zaschło.

- Wolę nie - wychrypiał. - To tylko... przeszłość. Wspomnienia dobrych, starych czasów. Ale te czasy minęły. Nie mogę już zasiadać w fotelu zrobionym z wnętrzości wrogów, ucztować, napawając się duszami twych żalonych pobratymców. To lato nigdy nie wróci.

- Kiepska sprawa - zgodziłem się, starając się mówić spokojnie. - Ach, gdzież są niegdysiejsze flaki?

- Pani - podjął Moloch, puszczając mnie i podchodząc do okna - wiesz, co jada i jak. Podniecenie seksualne to dla niej coś jak enzym trawienny: pozwala pochłonać ciało i duszę. Rozpala, a potem się żywi. Może to robić zarówno tutaj, jak i w krainach poniżej, bo w ostatecznym rozrachunku wszelkie pożądanie kryje się w umyśle. - Wyglądając w noc, z roztargnieniem przesunął szponiastymi palcami po framudze. - Ja, niestety, nie mam tyle szczęścia. Moją strawą są dusze ludzi, którzy

zabijali innych mężczyzn i kobiety. Tylko dusze, nie ciała. Ale nawet dusze mogę chwytać i pożerać jedynie w szczególnych, bardzo określonych okolicznościach. Shedim są gatunkiem wysoce wyewoluowanym i wyspecjalizowanym. Brak nam mechanizmów dobywania życia, duszy, jaźni z rozszarpanego mięsa. Kiedy zatem piekło się zmieniło - gdy granice się przesunęły - zaczęliśmy głodować. I nie istniało żadne łatwe lekarstwo. W subtelnym krainach tworzymy... - Machnął ręką. - Nie znam właściwego słowa: takie małe stworzenia, które budują pułapki, a potem czekają, aż ofiara do nich przyjdzie, zamiast polować. Pułapki, które tkają z wydzielin własnego ciała.

- Sieci - podsunąłem. Mój głos zabrzmiał ochryple i niepewnie, bo gardło wciąż miałem boleśnie suche. - Pajęczce sieci.

- Właśnie. W piekle snujemy sieci. Ale teraz sieci stały puste, a lata mijały. W desperacji zaczęliśmy walczyć. Z sukubami. Ze śpiewakami kości. Ze sobą nawzajem. A im słabsi się stawaliśmy, tym bardziej gorączkowo walczyliśmy. Niczym szczury w worku, rzucaliśmy się na siebie i pożeraliśmy swą substancję, choć nas nie odżywiała.

Moloch umilkł, nadal wyglądając przez okno.

- Więc się urwałeś? - wtrąciłem, by zachęcić go do dalszych zwierzeń.

Uniósł ręce przed twarz, przyglądając im się z głębokim niesmakiem.

- Przypadkowe zaklęcie pozwoliło mi zjawić się na Reth Adoma - oznajmił. - Jakiś czarnoksiężnik nie potrafił nawet właściwie sformułować przywołania, toteż powstałem z ziemi w kwaterze rodzinnej na cmentarzu w środkowym Essex. Szukałem go - tego, który miał czelność mnie przywołać - ale go nie znalazłem. Wielka szkoda, bo bardzo chciałbym

pokazać mu, co o tym myślę. Tak czy inaczej, utkałem sobie ciało fizyczne, by móc tu zostać. Naprawdę fizyczne, nie takie jak symulacja ciała, którą nosi pani. To ciało jest prawdziwe, materialne, a ja żyję wewnątrz niego jak krab pustelnik w pożyczonej muszli. Potrzebowałem wielu lat, by je stworzyć z kawałków mięsa zdobywanych tu i ówdzie. Alternatywą był powrót do domu i śmierć. - Moloch opuścił ręce i odwrócił głowę, znów na mnie patrząc. - Zatrzymała mnie tu bardziej rozpacz niż nadzieja. - Ognie w jego oczach mrugały niczym odległe ogniska na wzgórzach innego kraju. - Moje potrzeby nie są wielkie, ale jak mówiłem, wysoce wyspecjalizowane. Strawa, której potrzebuję, to dusze tych z twojego gatunku, którzy zabili wielu i radowali się owym zabijaniem. A podczas gdy sukuby - takie jak twoja pani - to łowcy, ja chwytam w pułapki. W skarłowaciałej solidnej krainie Reth Adoma, zmiażdżonej potworną pięścią grawitacji, trudno budować pułapki na dusze.

- Ale zabójców łatwo przecież znaleźć - wtrąciłem z wymuszoną lekkością.

- Owszem - zgodził się demon - bardzo łatwo. Znalazłem i pożarłem wielu, ale to jak jedzenie snu o posiłku i budzenie się nadal głodnym. W piekle - jego głos zadrżał tęsknie - dusze leżały latami na naszych tarasach. Kruszały, dojrzewały i gniły, przybierając ostateczną formę. A wtedy, och, jakże ucztowaliśmy.

Zaśmiał się ciepło na to wspomnienie, i był to dźwięk, który naprawdę szczerze pragniemy zapomnieć, ale wiemy, że nigdy nie przegnamy go z pamięci.

- Stare dusze, odłączone od ciała w sposób niepozostawiający śladów

na wrażliwym duchu - wymamrotał. - Tego właśnie łąknę. Lecz tu, w waszym ubogim, bezbarwnym świecie, podobny posiłek to wielka rzadkość. Przez dziesięciolecia uzbierałem dość, by przeżyć. Ledwie. A ty zapewniłeś mi dwie przekąski dające nieco stawy. Ów zmiennokształtny, budujący ciało z kotów... Starłem się z nim dwa razy. Za pierwszym razem, gdy cię śledził po wyjściu z biura prawników, za drugim, kiedy próbował cię zabić w laboratorium. W obu przypadkach zdołałem wchłonąć część jego esencji, gdy dusza w stanie przejściowym na chwilę opuszczała ciało. Nie było to idealne, ale odżywcze. Dzięki temu od wielu lat nie byłem równie silny. Mnie jednak chodzi o skarbiec, Castor. Chcę, żebyś mnie zabrał do wodopoju, do którego przychodzą wielcy, wiecznie żyjący zabójcy, chłonąc ponownie życie, młodość i siłę. Zabierz mnie tam i wypuść, a ja pożrę ich dla ciebie. Kiedy przyprawisz i przyrządzisz dla mnie ucztę muzyką.

Moloch znów umilkł. Czar jego słów był tak silny, że dopiero po paru sekundach uświadomiłem sobie, że czeka na odpowiedź. Szczerze mówiąc, z trudem skupiałem myśli na tym, co obecnie powinno być najważniejsze: odrodzonych zabójcach, przebierańcach w cudzych ciałach. Chciałem wycisnąć z drania, co miał na myśli, mówiąc, że granice piekła się przesunęły, i czym był ów wielki projekt.

Lecz demon nadal patrzył na mnie wyczekująco. Z wysiłkiem zdusiłem w sobie pytania próbujące przebić się do gardła. Chciał, żebym udzielił mu odpowiedzi na jego propozycję, lecz w klasycznym stylu Castora wykonałem unik. Pozostawałem niebezpiecznie świadom faktu, że domagał się obietnicy - nie chciałem powiedzieć niczego, co ów stwór mógłby później wykorzystać przeciwko mnie.

- Mówiąc „skarbiec” - rzekłem ostrożnie - masz na myśli Mount Grace?

- Oczywiście.

- W takim razie mam jeszcze dwa pytania. Do czego cię potrzebuję? I do czego ty potrzebujesz mnie?

Oczy Molocha lekko się zwężyły.

- Wyjaśniłem już, na czym stoję. - Ostre tony dzwiczące w jego głosie ze zgrzytem ocierały się o siebie. - A ty zadajesz pytania tylko dlatego, że chcesz jeszcze przez chwilę utrzymać mnie na dystans. Za murami krematorium kryje się dwieście dusz. Dusz, które poznały sztuczkę podbijania żywych ciał. Czy zdołałbyś egzorcyzmować je wszystkie, nimby cię powaliły? Wątpię. Pokonałyby cię i opętały, a wówczas stałbyś się dla nich jedynie kolejnym garniturem. Potrzebujesz kogoś takiego jak ja - kogoś stojącego nad nimi w łańcuchu pokarmowym. Kogoś, kto został stworzony, by na nich żerować.

Obróciłem jego argumenty w głowie i nie znalazłem w nich żadnych luk. Ale nie dożywa się mojego wieku, nie czytając drobnego druku, nim się coś podpisze.

- Pytanie miało dwie części - przypomniałem spokojnym głosem i z pokerową twarzą.

Demon przyznał mi rację krótkim skinieniem głowy.

- Tak. Oczywiście. Potrzebuję cię, Feliksie, żebyś otworzył mi przejście. Twoimi uroczymi sztuczkami możesz przebić się przez ich obronę: skrępować ich i odwrócić ich uwagę, sprawić, że osłabną. Nie dopuszczają mnie do siebie dłużej niż wolę pamiętać i, jak mówiłem, jest ich bardzo dużo, są starzy i silni. Znaleźli sposoby niewpuszczania mnie

poza swój próg, choć próbowałem tysiąc razy. Poza krematorium wędrują w ciałach, a w ciałach nie mogę ich tknąć. Ale przeprowadź mnie przez drzwi, a zobaczysz, jaką rzeź potrafi zrobić lis w kurniku.

W pokoju znów zapadła cisza - płonące oczy przygważdżały mnie do miejsca. Moloch czekał aż dam mu słowo.

- Wszystko to brzmi świetnie - odparłem, z wysiłkiem odrywając od niego wzrok. Wysiłek ów poszedł na marne, bo moja głowa jak przyciągana magnesem obróciła się i reflektor jego spojrzenia znów padł wprost na mnie. Przypominał ową hipnotyczną fascynację budzoną przez Juliet, tyle że pozbawioną pożądania: nagi przymus, bez żadnych pozorów uwodzenia. - Ale moja muzyka działa tylko na jednego ducha naraz. Tego, o co mnie prosisz, nie da się zrobić. Nie mogę zagrać jednocześnie dwustu melodii. Sam zresztą to mówiłeś.

Moloch charknął i splunął z wielką starannością.

- Zrób to, co musisz - rzekł. - Zbierz do pomocy armię egzorcyistów - albo przywołaj własną odwagę z kloaki, w której ją ukrywasz. Zaproś panią, by poszła z nami, jeśli wciąż odbiera twoje telefony. Szczegóły zostawiam tobie. Moja oferta jest dokładnie taka jak powiedziałem. Pójdziemy do krematorium Mount Grace, ty i ja. Razem. W istocie musimy to być ty, ja i pani, bo nawet z nią nasze szanse będą niewielkie, a bez niej nam się nie uda. Ty pójdiesz, by pomścić śmierć przyjaciela, która, jak słusznie podejrzewasz, była w istocie dwiema odrębnymi śmierciami. Ja pójdę się posilić. Pani - cóż, pójdzie, bo ją poprosisz. Ponieważ stara się udawać człowieka i pod pewnymi względami to czyni ją podatną na twe prośby, choć mogłaby cię zabić, zaledwie napinając wargi sromowe. Powiedz, że tak się stanie, i stanie się. Albo odmów, a

wówczas poszukam sobie innego jada. Posiłek, który łaskawie mi przygotowałeś, dał mi dość siły, bym mógł zaczekać jeszcze parę wieków.

A zatem stało się. Nadeszła chwila prawdy. Może demon blefował o pójściu gdzie indziej: z drugiej strony wyraźnie widziałem, że zmienił się i nie był już chodzącym szkieletem, którego spotkałem przed biurem Todda. Teraz, w razie potrzeby, zapewne mógłby poczekać nieco dłużej. No dobra, jego towarzystwo byłoby mniej więcej tak bezpieczne jak spoconego dynamitu. Ale zbyt wielu ludzi już zginęło i poważnie wątpiłem, bym dostał lepszą propozycję.

- Zgoda - powiedziałem w końcu. - Pójdziemy tam. Razem. I zmiemy z powierzchni ziemi całe to pieprzone gniazdo.

- Przysięgasz?

- Przysięgam.

- Na co przysięgasz?

- Na siebie samego, bo w nic innego, kurwa, nie wierzę.

Moloch skłonił się z lekką, ironiczną emfazą.

- A zatem tak się stanie - rzekł.

Znów odwrócił się do okna i otworzył je jak najszerzej.

- Zaczekaj - rzuciłem. - Najpierw muszę coś załatwić. Nim zajmiemy się duchami, chcę pójść przycisnąć prawnika, Todda. Siedzi w tym po uszy.

- Czyżby? - Moloch nadal stał zwrócony do mnie plecami, toteż nie mogłem odczytać wyrazu jego twarzy.

- Oczywiście, że tak. To on dokładał wszelkich starań, by ekshumować Johna Gittingsa i przewieźć do Mount Grace. To on zajmuje się interesami rodziny Palance'ów, co oznacza, że dyryguje wszystkim.

Zresztą, przecież dlatego właśnie kręciłeś się przed jego biurem. Bo jest jednym z nich: jednym z zabójców, których tropem podążałeś. Mam rację, prawda?

- Możliwe - przyznał Moloch. - I znów, możesz robić, co uznasz za stosowne. Uratowałem ci życie i podałem informacje, których inaczej nie zdołałbyś zdobyć. W tej chwili uważam, że jesteś moim dłużnikiem. Cokolwiek zatem zrobisz, nie uwzględniaj mnie w swoich planach. Jedyne, co nas łączy, to umowa, na którą się zgodziliśmy. Kiedy będziesz gotów do wyprawy do Mount Grace, wymów moje imię - na otwartym powietrzu, w ciszy i, jeśli się da, w ciemności. Usłyszę cię.

Sądziłem, że po prostu wyjdzie przez okno w noc, ale zamiast tego to noc przyszła do niego. Czerń wpłynęła do pokoju niczym fala, zalewając Molocha i pochłaniając go. Ułamek sekundy później zniknęła, a on wraz z nią.

Usłyszałem cichy stukot - to czaszka upadła na dywan i odturlała się, po czym rozkołysana zastygła do góry nogami. Odwrócone oczodoły patrzyły na mnie pusto, zapraszając do studni niegdyś pełnej po brzegi kocich myśli, a teraz wypełnionej nicością.

Normalne usługi zostały przywrócone.

Niemal w tym samym momencie telewizorem wstrząsnął niepokojąco organiczny dreszcz i ekran zapłonął, niczym oko otwierające się w ciemnym kącie pokoju.

- ...Nie wiemy nawet, skąd się wzięła - usłyszałem męski głos, napięty i drżący, jakby jego właściciel miał się zaraz rozpląkać. Mężczyzna na ekranie, rosły, w średnim wieku, miał na sobie strój, który w pierwszej chwili wziętem za mundur policyjny. Nie wyglądał na

skłonного do płaczu. - Po prostu przeszła obok wartowni, a my, cała nasza trójka, wybiegliśmy za nią. Myślałem sobie: skąd się tam wzięła? Bo jest przecież mur. Ma siedem metrów wysokości, i jeszcze siatkę z drutem kolczastym. Nie da się na niego wdrapać. Nikt nie dałby rady.

Obraz zmienił się gwałtownie i ujrzałem zewnętrzne ujęcie jednego z pięciu skrzydeł Pentonville. Zrozumiałem wówczas, że to nie gliniarz, tylko strażnik więzienny.

- Nikt inny nie potrafił podać lepszego wyjaśnienia - oznajmił prezenter poważnym, uroczystym głosem - tego, jak więzień aresztowany za morderstwo zdołał uciec z jednego z najbezpieczniejszych londyńskich więzień, podczas najwyraźniej doskonale zaplanowanego i starannie wykonanego ataku. Tajemnicza kobieta weszła tędy...

Potrząsnąłem głową, by oczyścić myśli. Okazało się to błędem: najróżniejsze, tępe bóle w moim karku i mięśniach twarzy złączyły się nagle w rozspiewanym, roztańczonym, multimedialnym chórze. Na ekranie migały kolejne zdjęcia Pentonville z nałożonymi grafikami komputerowymi, przedstawiającymi drogę przez bramę, obecnie wiszącą na zawiasach, wewnętrzny mur imponującej wysokości i korytarz naszpikowany posterunkami i zakratowanymi, zamkniętymi drzwiami. Reporter nadal mówił, ale na moment moją uwagę przyciągnęły śliczne obrazki.

Potem na ekranie pojawiła się kolejna gadająca głowa, tym razem w garniturze i przemawiająca w imieniu Home Office. Gość zaprzeczył sugestiom, że jedną z przyczyn były redukcje zatrudnienia.

- Na miejscu było dosyć strażników. Trzech na pierwszym posterunku, trzech kolejnych w skrzydle D. Dwaj z nich zostali poważnie

poturbowani i trafili do szpitala. Resztę poddano działaniu narkotyku, neurogazu bądź halucygeny, i nie potrafią sobie przypomnieć, co zaszło.

Cięcie. Kręcone z ręki ujęcie innego strażnika w mundurze, siedzącego na stopniach karetki, z kocem na ramionach. Patrzył w pustkę, wokół błyskały flesze.

- Po prostu na mnie spojrziała - powiedział. - Po prostu... a potem... ja... sam nie wiem. Nie wiem. Byłem tak... - Ukrył twarz w dłoniach. Albo próbował uniknąć owego spojrzenia z przeszłości, albo też znów je przywołać.

Znów cięcie i przejście na fotografię Douga Huntera: archiwalne ujęcie, na którym wchodził do sądu, zapewne w dniu rozprawy wstępnej. Jego obojętna twarz niczego nie zdradzała.

- Oto człowiek, który dziś wieczorem wyszedł frontową bramą Pentonville, pozostawiając za sobą chaos w więzieniu i całym systemie, który ono reprezentuje.

W końcu znalazłem pilota. Teraz nacisnąłem guzik. Moloch dowiódł swego: Juliet była w domu, mleczarnia zalała okoliczne pola, a jeśli wcześniej miałem czas po swojej stronie, to z całą pewnością już nie teraz.

Pokuśtykałem do łazienki, tak potwornie zmęczony, że czułem się, jakby ciało stopiło mi się i znów stężało, tworząc bezkształtną bryłę. Ochlapałem twarz zimną wodą, zrywając jedną warstwę zmęczenia i ukazując pod nią mnóstwo kolejnych.

Uznałem, że przynajmniej na razie spróbuję zapomnieć o Juliet. To, co zrobiła, choć straszne, nie zaskoczyło mnie - i niezwykle szczęśliwie zdołała przy okazji nikogo nie zabić. Trudno jednak orzec, jak długo to potrwa. Jeśli po wyjściu z więzienia pozwoliła Myriam Kale odejść w

ciele Douga Huntera, to tylko kwestia czasu, nim Kale pozna faceta, który zagra jej na nerwach. A wówczas mogę się spodziewać następnego Alastaira Barnarda, leżącego w pokoju hotelowym i czekającego, aż znajdzie go pokojówka przychodząca zmienić pościel.

Nic nie mogłem na to poradzić. Pewnie nie powinienem nawet próbować: byłoby to jak skierowanie gaśnicy na płomień, zamiast podstawę ognia. Ponieważ Myriam Kale stanowiła jedynie objaw czegoś większego, starszego i znacznie bardziej przerażającego.

Dlaczego się w ogóle zgodziłem? Dlaczego postanowiłem zatańczyć z diabłem? Znałem Asmodeusza dość długo, by wiedzieć, jakie kroki preferują demony i gdzie najpewniej skończę, gdy taniec dobiegnie końca. Ale nie miałem wyboru. Nawet gdyby Juliet mnie nie zostawiła, Moloch miał rację co do potrzebnej nam pomocy - specjalisty, przystosowanego do terenu i sytuacji, dzięki piekielnemu odpowiednikowi darwinowskich bodźców. Sił nadprzyrody.

Pozostawało tylko jedno pytanie, na które nie znałem odpowiedzi. Jak, na Boga i wszystkich pieprzonych świętych, miałem dotrzymać swojej części umowy? John Gittings próbował, najwyraźniej też dysponował informatorem wewnątrz - kimś, kto pisał mu liściki i udzielał wskazówek. *Weź wsparcie: weź solidne wsparcie.* Dokładnie to samo doradzał mi Covington i dokładnie po to dzwonił do mnie John. Do mnie i może do Stu Langleya.

Ale ja nie odebrałem, Stu Langley oberwał śmiertelnie w głowę i John musiał radzić sobie sam.

Przyglądałem się sobie w łazienkowym lustrze. Po mojej poobijanej twarzy ściekała woda, skapując na pokrwawioną, wymiętą koszulę.

Szukałem szczelin w słynnej, castorowskiej fasadzie, ale zamiast tego ujrzałem obcą twarz: twarz Johna z mojego snu w nocy przed kremacją. Co takiego mi powiedział? Że miał mi coś dać. A kiedy odparłem, że znalazłem już list w kopercie zegarka, pokręcił głową, jakby to nie miało znaczenia.

- *Nie, nie list. Zapis. Ostatni zapis, nim zadźwięczał gwizdek.*

- *Gwizdek?*

- *Albo bębny. Zapomniałem. To jak szkielet, Fix. Szkielet melodii.*

Może jednak miałem już wsparcie? Może John mógł mnie wspomóc dokładnie tak, jak ja nie wspomogłem jego?

Nieco oszołomiony, wróciłem do salonu i grzebałem pod poduszkami kanapy - moją ulubioną kryjówką dla płaskich, cennych przedmiotów - dopóki nie znalazłem nut zabranych ze skrytki bagażowej na dworcu Victoria. Zaniósłem je na stół, rozłożyłem i wygładziłem najgorsze zgięcia.

Szkielet melodii. Nie próbowałem nawet odgadnąć, co to znaczy: przykro mi, Zygmuncie, ale osobiście nigdy nie wierzyłem, że sny to droga wiodąca dokądkolwiek. Lecz John był perkusistą, a oni różnią się od normalnych ludzi. Szkielet melodii - nie to, co pozostaje, kiedy jej istota przegnije, lecz rama, rusztowanie, na którym można zbudować resztę.

Możliwe, że tak właśnie perkusista myśli o rytmie.

Zapisy na papierze nutowym były dla mnie równie nieczytelne, jak wtedy, gdy ujrzałem je po raz pierwszy. Pionowe, atramentowe kreseczki, rozmieszczone gęsto, lecz z tego, co widziałem, zupełnie przypadkowo w poprzek pięciolinii i na całej kartce. Od czasu do czasu wśród nich pojawiały się znaki mogące być literami bądź symbolami. Pionowa linia z

poziomą w pobliżu wierzchołka, mogąca oznaczać „T” albo +; kolejna przypominająca krzywą gwiazdkę. Nic nie wskazywało, jak pasują do siebie i jak można je przełożyć na dźwięki.

Część problemu stanowił fakt, że nigdy nie zadałem sobie trudu, by nauczyć się czytać nuty, nawet gdy próbowałem opanować własny instrument: melodię przyswajałem sobie najprymitywniejszą metodą, słuchając tego, co się dzieje w mojej głowie, bardziej niż czegokolwiek innego. Teraz zatem nie miałem z czym porównać owego bełkotu.

Jeśli mam mieć jakąkolwiek szansę na rozszyfrowanie go, będę potrzebował eksperta. Podniosłem słuchawkę i wybrałem z pamięci numer. Wyciągnąłem z łóżka wkurzonego staruszka, bo ledwie trzymałem się na nogach i mój wykończony umysł przestawił dwie cyfry.

Spróbowałem ponownie.

- Halo? - Głos kobiety, niewyraźny, senny.

- Louise? - spytałem.

Ten sam głos nieco ostrzej:

- Tak. Kto mówi?

- Felix Castor.

- Fix. Pojechało cię? Popatrz na godzinę. Naćpałeś się czegoś?

- Jak się nazywa twój zespół, Lou?

- Mój zespół? - powtórzyła ze zboląłym oszołomieniem.

- Wciąż przecież grasz, prawda?

- Tak.

- Więc jak się nazywa twój...?

- Dozorcy Anarchii. Fix, nie dzwonisz chyba w środku nocy, żeby spytać...

- Nie - przerwałem jej. - Nie dzwonię. Chcę tylko poznać waszego perkusistę.

Naprawdę nazywał się Luke Pomfret, powiedziała Louise, ale grał pod wspaniale brzmiącym pseudonimem Speedo Plank. Umówiłem się z nim w południe, co pozwoliło mi na hojne siedem godzin odżywczej nieświadomości. Kiedy się obudziłem, z łomotem w głowie i gardłem piekącym, jakby ktoś wepchnął mi do niego parę worków piachu, było w pół do drugiej. Znów zadzwoniłem do Louise, która tym razem poczęstowała mnie znacznie zwawszym i bogatszym gradem wyzwisk, bo była w pełni przytomna. Przeprosiłem szczerze, przysiągłem na Boga i całą bandę innych koleś, że nigdy już nie wytnę jej podobnego numeru, i poprosiłem, by zadzwoniła do pana Planka i przełożyła spotkanie.

Potem zadzwoniłem do domu Juliet, ale odebrała Susan. Brzmiała pogodnie, dopóki nie powiedziałem gdzie jestem i nie spytałem, czy nie widziała swojej drugiej połowy.

- Ale przecież Jules jest z tobą! - zaprotestowała zdumiona.

- Już nie - przyznałem.

Opowiedziałem jej o naszej drobnej różnicy zdań w Golden Coffee House w Brokenshire, pomijając część co barwniejszych detali, na przykład to, jak mnie skopała. Z każdym słowem Susan robiła się coraz bardziej nieszczęśliwa.

- Ale jak ona wróci do domu! - zaprotestowała. - Feliksie, nie powinieneś jej tam zostawiać. Nie potrafi się zachowywać, nie płosząc bądź denerwując ludzi. Narobi sobie kłopotów.

Zdenerwowanie w jej głosie sprawiło, że się zawstydzilem, choć na żadnym etapie nie miałem wyboru.

- Po prostu mnie zostawiła - odparłem, słysząc własne słowa i orientując się, jak żałośnie i wymijająco brzmią. - Była bardzo zła i ostrzegła, żebym za nią nie szedł. A ja, tak czy inaczej, nie byłbym w stanie. To długa historia, nie pytaj.

- Ale czy ma bilet? Paszport?

- Susan - powiedziałem, starając się ją uspokoić. - Juliet już wróciła do kraju. Dotarła tu przede mną. Jeśli nie zjawiała się jeszcze w domu, to dlatego że była... zajęta czymś innym. Miałem nadzieję, że się z tobą skontaktowała...

- Czymś innym, Feliksie? Co masz na myśli?

Zawahałem się. Nie chciałem mówić Susan Book, że kobieta [sic], którą kocha, uczestniczyła w napadzie na więzienie po to, by uwolnić inną kobietę (nieżyjącą od czterdziestu lat i bardzo przekonująco udającą mężczyznę), żeby tamta nie musiała stanąć przed sądem oskarżona o morderstwo. O tym zapewne powinny porozmawiać w cztery oczy, może nad kieliszkiem wina i kolacją przy świecach.

- To ma coś wspólnego ze zleceniem dla policji - rzekłem. Szczera prawda. - Z pewnością nic jej nie jest, ale bardzo jej na tym zależało i nie chciała czekać. Szczerze mówiąc, o tym właśnie muszę z nią pogadać. Zdobyłem nowe informacje i chcę je z nią omówić. Jeśli wróci do domu albo się odezwie, możesz ją poprosić, żeby zadzwoniła?

Susan obiecała, że przekaże moją wiadomość, lecz jej głos brzmiał chłodno. Obwiniła mnie za to wszystko, mimo moich wykretów. W jej oczach wyglądało to prosto: zaprosiła mnie na kolację, a ja przywlokłem

ze sobą wielki worek łajna i chaosu i rozrzuciłem na jej podłodze. Choć nie znała całej historii, tyle przynajmniej wiedziała - i miała rację.

Przyrządziłem sobie szybkie śniadanie, tosta i suche płatki - mleko w lodówce przeszło transsubstancjację, zamieniając się w coś zielonego i złowrogiego. Szyja i plecy bolały mnie tak mocno, że poruszałem się jak zreumatyzowany dziadek. Świetny początek dnia, nie ma co.

Nicky mówił, że Gary'ego Coldwooda trzymają na wyciągu w szpitalu Royal Free. Krok, skok i znalazłem się na ulicach Hampstead, w miejscu, w którym zawsze czułem się mniej więcej tak mile widziany, jak ślimak w sałacie. Fakt, że zapomniałem się ogolić, nie polepszał sprawy. A może polepszał: przynajmniej ludzie nie wykazali chęci naruszania mojej prywatności.

Przed prywatnym oddziałem, na którym umieszczono Coldwooda, pełniło straż dwóch mundurowych, ale nie zatrzymali mnie ani nie spytali o nazwisko: nie miałem pewności, czy są tam, by powstrzymać Gary'ego przed ucieczką - a w takim razie powinni pokładać większą wiarę w jego połamane nogi - czy też przydzielono ich do ochrony Coldwooda przed oszalałymi fanami. Tak czy inaczej, zupełnie bezboleśnie wyrabiali nadgodziny.

Coldwood także nie czuł bólu, ale to dlatego, że nafaszerowali go lekami tak, że był zaledwie w jednej dziesiątej przytomny. Siedziałem tam dziesięć minut, zastanawiając się, czy ocknie się na dość długo, by pojąć, że nie jest sam. Nie wiedziałem nawet, po co przyszedłem, a przynajmniej jak zrównoważyć przeprosiny i wypytywanie.

W końcu uznałem swoją porażkę i wstałem. Coldwood wymamrotał coś, ale nie do mnie i kompletnie niezrozumiale. Jednakże w chwili, gdy

ruszyłem do drzwi, do środka wmaszerowała zwawo pielęgniarka, odcinając mi drogę ucieczki. Miała około czterdziestki i figurę wiktoriańskiej szafy trzydrzwiowej: masywny trapezoid z równą granią piersi przypominającą szelf kontynentalny.

- Kim pan jest? - spytała szorstko.
- Przyjacielem rodziny - odparłem wymijająco.
- Będzie pan musiał wrócić po tym, jak umyję sierżanta.
- Miałem nadzieję, że zdołam zamienić z nim słówko na temat...
- Po kąpieli. A teraz proszę zniknąć, albo wykąpię was obu.

Miałem już oprotestować podobne groźby, gdy dźwięk naszych głosów sprawił, że Coldwood poruszył się i otworzył oczy. Oboje zamknęliśmy się błyskawicznie.

- Fix - wymamrotał. - Czy to... kurwa, tak.

Pośpieszyłem z powrotem do niego, nie zważając na jadowity wzrok pielęgniarki.

- To ja, Gary - oznajmiłem, klękając obok niego w pozycji znanej z miliona wyciskaczy łez.

- Tak - mówił powoli, bełkotliwie. - Myślałem, że to tylko zły sen.

- Śniesz o mnie? W takim razie to, co mówią na glinowie przy Uxbridge Road, to prawda.

- Zamknij... - Urwał w połowie zdania, jego oczy uciekły w bok. Kiedy znów mnie znalazły, skrzywił się z wysiłku, najwyraźniej niepewny, co, do diabła, tam robię.

- Ruthven, Todd i Clay - przypomniałem. - Miałeś dla mnie soczysty kąsek.

Powoli skinął głową.

- Klientela.

- Wielcy gangsterzy?

Przeczący ruch głowy.

- Sędziowie. Politycy. Ważni biznesmeni. Dziesięć stron pierdzielonego who is who.

- No i?

- No i spotykają się raz w miesiącu na imprezie w pieprzonym krematorium. Jak myślisz, po co?

- Wszyscy chodzili do tej samej szkoły. Gary, raz w miesiącu kalendarzowym czy...?

Pielęgniarka przerwała, stając nade mną.

- Chyba za bardzo denerwuje pan sierżanta Coldwooda - upomniała mnie zimno.

- W miesiącu księżycowym - wymamrotał Coldwood. - Dwadzieścia osiem dni. Co dwadzieścia osiem dni, podczas...

Nowiu.

Noc inskrypcji.

To musi się stać w noc INSKRYPCJI, żeby dało się dopaść wszystkich razem.

Klepnąłem go w ramię, choć pewnie nic nie poczuł, i wstałem.

- Dzięki, Gary - rzuciłem. - Zdrowiej.

Kiedy wychodziłem, pielęgniarka naciągała właśnie gumowe rękawice. Zastanawiam się, skąd u niektórych fetysz na ich punkcie: mnie zawsze śmiertelnie przerażają.

Z Lukiem/Speedo spotkałem się w National Gallery, bo zarabia tam

na życie jako przewodnik: w jakiś sposób nie pasowało to do niego, ale może mam w głowie niesprawiedliwy stereotyp perkusisty.

Jego wygląd także sprawiał zawód. Po pierwsze, był bardzo młody, po drugie, bardzo krótkowzroczny. Nosił grube okulary, z rodzaju tych, w których nie wygląda się jak intelektualista, lecz krzyżówka człowieka z obcym. Włosy miał krótkie, starannie zaczesane, lekko połyskujące żelem bądź pomadą. Kiedy się odezwał cichym, spokojnym tonem, pomyślałem, że chyba ktoś tu robi sobie ze mnie jaja.

- Jesteś kumplem Lou - rzekł.

- Tak.

- Co mogę dla ciebie zrobić? Mam dwadzieścia minut, potem przychodzi następna grupa.

Byliśmy w głównym holu galerii, między ladą szatni i sklepikiem z pamiątkami. Kiedy się zjawiłem, Pomfret czekał za biurkiem. Wyraźnie chciał załatwić to jak najszybciej i na pierwszy rzut oka nie zachwyciłem go ani odrobinę bardziej niż on mnie. Z drugiej strony, biorąc pod uwagę stan mojej twarzy, pewnie wyglądałem jak barowy pięściarz, który zszedł na psy.

Wyjąłem z kieszeni nuty, rozprostowałem i podałem mu. Przyjrzał się im krytycznym wzrokiem.

- Co to za melodia? - spytał w końcu.

- O to właśnie chciałem zapytać ciebie - odparłem. - Czy jest tu jakaś melodia? Grasz na perkusji, więc chyba wiesz, nie?

Uniósł wzrok znad nut i pokręcił głową.

- Nie. Nie wiem. To tylko mapa rytmiczna. Zapis hybrydowy, więc nie najłatwiejszy do odczytania, ale używałem już obu systemów i trochę

się orientuję. Problem w tym, że nie podaje melodii, jedynie rytm. W dodatku ten jest cholernie skomplikowany. Gdybym wiedział, co to za melodia, potrafiłbym wszystko dopasować.

- Gdybym ja wiedział co to za melodia, Speedo - warknąłem z irytacją - nie byłoby mnie tutaj. To właśnie melodii szukam.

Pomfret poczerwieniał.

- Co to za gówno? - spytał podniesionym tonem.

- Jakie gówno? - Obejrzałem się przez ramię i z powrotem na niego, zupełnie jakby przypadkowy przechodzień cisnął w niego kawałkiem łajna.

- Mówienie mi: Speedo. Tu jestem Luke. Luke Pomfret. Mój pseudonim sceniczny to nie kijek, którym możesz mnie szturchać, gościu. Nie chcę usłyszeć go więcej podczas tej rozmowy. Nie, jeśli się spodziewasz, że zrobię ci przysługę. W ogóle cię nie znam, koleś, i nie muszę tego znosić. Jasne?

- Jasne - mruknąłem, wykonując gest pośredni między wzruszeniem ramionami a podniesieniem rąk. - Przepraszam. Poruszam się kompletnie po omacku i dostaję od tego świra. Nie chciałem, żeby to zabrzmiało, że się z ciebie nabijam.

Tylko częściowo ugłaskany, Pomfret kiwnął głową.

- Po prostu tego nie rób - rzekł. - Nie rób, a świetnie się dogadamy. Pokażę ci, jak działa ten system, co możesz wyciągnąć z tego zapisu, a czego nie. I na nic więcej nie mam czasu, resztę będziesz musiał zrobić sam. Chodźmy do kawiarni.

W kawiarni panowały pustki, co świetnie mi odpowiadało. Kupiłem Pomfretowi cappucino, a sobie podwójne espresso, dorzucając do tego

paczkę czipsów zastępującą lunch - czy też posiłek, którego spodziewały się moje ogłupiałe po podróży wnętrzności.

Pomfret pociągnął łyk kawy, starł piankę z górnej wargi grzbietem kciuka i rozłożył na stole kartki.

- Dobra - zaczął. - Czy potrafisz czytać zwykłe nuty?

- Leciwie - przyznałem. - Rzadko się z nimi stykam, ale wiem, co znaczą poszczególne symbole.

- Dobra. Przywykłeś zatem do tego, że daszki oznaczają sekwencje nut, tak?

- Tak.

- Ale nie w zapisie perkusyjnym. To zresztą oczywiste. Bo niby jak? Zatem w nutacji perkusyjnej na standardowym papierze nutowym daszki oznaczają coś innego. Każda linia określa głos - jeden z bębnow w zestawie. Najwyższa to hi-hat. Środkowa czy gdzieś wokół niej to werbel. Najniższa - bas. Każda z tych pionowych kresek to uderzenie w jeden z bębnow, chyba że się je skrzyżuje, o tak. - Wskazał jedną skrzyżowaną linię, potem drugą, trzecią. - To zapewne talerze.

Zamrugalem. Nie było mi trudno to zrozumieć, ale prowadził mnie w kierunku, w który nie spodziewałem się wyruszyć. John Gittings używał podczas egzorcyzmów małego, ręcznego tamburynu: wszystko, co było większe, nie nadawało się do pracy w terenie.

- A zatem to zapis na cały zestaw perkusyjny? - spytałem.

Pomfret przytaknął.

- Tak, najprawdopodobniej. To znaczy, linie mogą oznaczać bardzo różne bębny: nie musi to być hi-werbel-bas-talerze. Ale zazwyczaj owszem.

- W porządku - mruknąłem, na razie zostawiając ten temat. - A wszystkie inne znaki? Czy to litery? To wygląda jak t, a ta prawie jak k. Mam tu też gwiazdki, kropki i kreski, jak z alfabetu Morse'a i...

- To nutacja ramowa - wyjaśnił Pomfret. - Inny system. Różne litery oznaczają różne dźwięki. D to „doum”, czyli dźwięk basowy. Tik - „tek” i „ka”. Oba oznaczają werbel, w zależności od tego, czy uderza się go mocną ręką, czy też słabą. Gwiazdki albo kreski oznaczają pauzy. Zazwyczaj tego systemu używa się do zapisu bębna ręcznego, nie pełnego zestawu. To dziwne widzieć je połączone, zupełnie jakby...

Zawahał się, marszcząc brwi, jak gdyby nie do końca pasowało mu to, co miał zamiar powiedzieć.

- Jakby co? - spytałem.

- No cóż, jakby perkusista zrobił zapis dla różnych muzyków - co najmniej dwóch, może trzech - ale chciał zaplanować go na jednej kartce, bo tak go widział w głowie. Jako jeden potwornie skomplikowany rytm, złożony z odrębnych kawałków.

Wpatrywałem się w nuty, próbując przełożyć gęsto nabazgrane znaki na dźwięki. Wciąż nie potrafiłem ich przejrzeć.

- Pokaż mi - poprosiłem. Pomfret zacmokał.

- Łatwo powiedzieć. Potrzebuję czegoś, co posłużyłoby za bębny - rozejrzał się po stoliku. - No dobra - rzekł - spróbujmy.

Wziął filiżankę i postawił do góry nogami na spodeczku.

- Hi-hat - oznajmił. Potem uczynił to samo z moją. - Werbel. - Za cukierniczkę służył stalowy cylinder, pełen paczuszek cukru, które Pomfret wysypał na blat. Sam pojemnik, odwrócony, stanął obok filiżanek.

- Bas. - Zostały jeszcze dwie łyżeczki, które złożył razem zagłębieniami

do siebie. - Talerze.

Zademonstrował każdy z osobna. Trącanie spodeczków sprawiało, że filiżanki grzechotały krótko, głucho. Pacnięta cukierniczka wydawała nieco niższy dźwięk. Uderzenie łyżeczki owocowało metalicznym brzękiem.

- Tak się zaczyna - wymamrotał Pomfret. *Grzechot grzechot łup. Grzechot grzechot brzęk łup brzęk.* - Potem pojawia się drugi rytm, o tak - tylko bas. - *Łup pauza łup łup łup pauza łup pauza łup łup pauza.* - Dobra, a teraz to. Bębny ręczne. Uderzenie, przerwa. Uderzenie, dwie przerwy. Ty to zrób - o stolik.

Spróbowałem, z początku niechętnie i czując się jak idiota. Kelnerka za barem patrzyła na nas albo z troską, albo z irytacją, a może z jednym i drugim. Lecz Pomfret zupełnie się tym nie przejął: teraz słuchał wewnętrznego głosu, lekko przechylając głowę i wędrując wzrokiem pomiędzy nutami i przestrzenią, i z powrotem. Rytm powoli przyśpieszał - albo przynajmniej Pomfret grał go szybciej, jego palce tańczyły po stole tak szybko, że stawały się niemal niewidzialne.

I, o dziwo, zacząłem coś dostrzegać: kiedy trącałem stolik do wtóru jego serii grzechotów i brzęków, w moim umyśle poczułem, jak oderwane elementy zaczynają zbliżać się do siebie, łączyć i zyskiwać znaczenie - niczym pojedyncze nici kocięj kołyski, naciągane między dziecinnymi palcami: szum przechodził w sygnał.

Pomfret był mniej zachwycony.

- Nie, to do dupy - wymamrotał, przerywając nagle. - Dźwięki są zbyt zbliżone.

Wysunął z zestawu większą filiżankę i zastąpił pustą puszką po coli z

sąsiedniego stolika. Wypróbował ją, uznał, że mu odpowiada, spróbował ponownie - i znowu. Rytm, z powolnego, stopniowego, stawał się szybki, szalony, jakby kierował się własną logiką wewnętrzną, dyktującą tempo *accelerando*.

Mój zaimprovizowany akompaniament stawał się coraz pewniejszy, choć czytałem zapis do góry nogami: tak naprawdę czytałem go coraz rzadziej, bo zaczynałem widzieć, dokąd prowadzi rytm, i przewidywać kształty, jakie powinna przyjąć moja własna partia. Był to zaledwie początek, ale z każdą mijaną chwilą wrażenie się wzmacniało. Choć wędrowałem daleko poza własnym ogródkiem, dostrzegałem falę, którą wzbudził John: krępowanie, pierwszą fazę egzorcyzmów.

Ale Pomfret znów zwolnił i urwał.

- Popatrz. - Postukał palcem w zapis. - Tu dodał dodatkowe linie. Teraz potrzebuje trzech perkusistów - jednego z pełnym zestawem i dwóch z bębnami albo tamburynami. To zupełne wariactwo, bo nowy gość jest pół taktu za pozostałymi. Pakuje się w gotowy rytm jak autobus.

- Zamyka lukę - wymamrotałem, wciąż słysząc rytm w głowie. - Zakrada się za nich i zamyka lukę. Niewiarygodne. Nie przerywaj.

- Mam tylko dwie ręce. - Pomfret zerknął na zegarek. - A zresztą i tak muszę już uciekać. Posłuchaj, cokolwiek to jest, na twoim miejscu nie marnowałbym na to czasu. Po zagranii będzie brzmiało do dupy. Jeśli to Lou cię napuściła, pewnie zrobiła sobie dowcip.

Niechętnie opuściłem strefę oddaloną o krok od rzeczywistości, w której szybowałem. Wstałem, ostrożnie zgarniając kartki.

- To nie dowcip - zapewniłem go. - Dzięki za pomoc. Kiedy gracie następny koncert?

Pomfret zamrugał jak puszczyczek za wielkimi okularami.

- We wtorek - odparł. - W tawernie Lock w Chalk Farm.

- Przyjdę - obiecałem. - Chcę cię usłyszeć, kiedy będziesz Speedo Plankiem.

Sprawdziłem parę miejsc, w których mogła przycząć się Juliet, porozmawiałem z paroma osobami, które mogły ją widzieć. Nie znalazłem niczego, a czas płynął.

Następne kilka godzin zapowiadało się upiornie. Włóczyłem się po centrum Londynu, jak wypędzony duch, szukający nowego miejsca, w którym mógłby straszyć. Czułem gniew i niepokój, kwaśny smak w ustach, bo nawet teraz - kiedy się już dowiedziałem, gdzie żyje mój wróg, a w rękach trzymałem naładowaną broń - jeszcze nie mogłem działać. Nie mogłem wkroczyć, dopóki nie zapełnię przynajmniej części pustych plam na mej myślowej mapie: plam, na których obecnie widniał jedynie napis: „Tu żyją potwory”.

Po pierwsze i najważniejsze, pozostawała kwestia moich szans. Jak wielu odrodzonych zabójców znajdzie się w Mount Grace i czy spotkam ich w postaci cielesnej czy duchowej? Czyniło to sporą różnicę. Symfonia na bębny Johna mogła zrobić to, do czego ją zaplanowałem, ale jeśli po przekroczeniu progu zastanę dusze zmarłych, latające swobodnie wokół, zapewne dopadną mnie, nim ja dopadnę ich. Jeśli natomiast będą mieli na sobie ciała innych ludzi, będą mogli stawić inny opór, ale przynajmniej nie musiałbym się martwić perspektywą opętania i zamienienia w cielesnego robota, tak jak najprawdopodobniej spotkało to Johna.

Istniało też kolejne, jeszcze bardziej niepokojące pytanie: jak daleko

sięgała owa siatka diabelskich nieboszczyków? Należało do nich Mount Grace, a także rezydencja Palance'a i jego majątek, dzięki członkom rady nadzorczej, którzy zatrudnili Petera Covingtona i wydawali decyzje w imieniu biednego, dziecinniałego, starego Lionela. Na miłość boską, mieli też własną firmę prawniczą. Na świecie mogły ich działać dziesiątki, nawet setki, przyodzianych w ciała sławnych i bogatych i posługujących się ich nazwiskami. A wtedy trzeba by większego twardziela ode mnie, by rozgryźć tę sprawę, jeśli w ogóle da się ją rozgryźć.

Dlatego właśnie przed pójściem do Mount Grace musiałem odwiedzić Ruthvena, Todda i Claya. Pod innymi względami był to kiepski pomysł, ale nie potrafiłem wymyślić nic lepszego. Musiałem zdobyć dokumenty Maynarda Todda: musiałem wiedzieć, z jak wielką organizacją mam do czynienia i jak głęboko sięgającą. W przeciwnym razie, atakując Mount Grace, jedynie poruszyłbym gniazdo, z którego wyroiłyby się wściekłe osy.

Musiałem zatem dostać się do biura Todda i nie mogłem wykonać ruchu aż do wieczornego zamknięcia. Tymczasem pozostawało mi tylko czekanie - i zastanawianie się, co kombinuje Juliet i czy Myriam Kale nie zdążyła już zawiesić kolejnych skalpów na swoich podwiązkach.

Miałem do załatwienia jeszcze jedno i w pewnym sensie nawet mnie to cieszyło: bo nie miało nic wspólnego z bagnem, w które się wkopałem. Stanowiło część innego bagna, starszego i jeszcze głębszego. Mogłem pojechać taksówką do kliniki Charlesa Stangera, ale w moich kieszeniach panowały pustki, a konto bankowe wkraczało w ostatni okres historycznego upadku. Musiałem oszczędzać środki. Pojechałem zatem metrem do East Finchley, a dalej poszedłem pieszo.

Nim jeszcze dotarłem do bramy, ucieszyłem się, bo już na Coppetts Road, przy zewnętrznym ogrodzeniu, moich uszu dobiegły rytmiczne zaśpiewy. Nie rozumiałem słów, ale zaśpiewy to zaśpiewy: podczas marszów, akcji protestacyjnych, okupacji, wszystkie kryją w sobie przesłanie stanowiące wariację na temat „nas nie przepędzicie/powstrzymacie/zastraszyacie/zmusicie do obcięcia włosów i przywdziania garniturów”. Zatem blokada nadal działała, a morale było wysokie. To oznaczało, że przynajmniej na razie Jenna-Jane nie zdołała dorwać Rafiego w swoje łapy.

Życiowcy najwyraźniej uznali, że zabawią tu dłużej: rozbili namioty i brezentowe szalasy i przechadzali się między nimi, niczym pierwsi widzowie na koncercie rockowym. Niektórzy gotowali na przenośnych kuchenkach bądź małych, jednorazowych zestawach do grillowania sprzedawanych u Sainsbury'ego.

Lecz kiedy w końcu zlokalizowałem Pen pośród radosnego tłumu, wyglądała na tak zmęczoną i przygnębioną, że aż to mną wstrząsnęło. Ujrzawszy mnie, najwyraźniej także przeżyła wstrząs, ale nie spytała, dlaczego moja twarz wygląda jak wielki surowy stek. W tym pytaniu kryłoby się znacznie więcej niewypowiedzianych przesłań, których wołała uniknąć.

- Jak wam idzie? - spytałem sztucznie lekkim tonem, gdy usiedliśmy razem na szczycie małego pagórka, nieco na uboczu.

Ramiona Pen uniosły się niemal niedostrzegalnie.

- Jak dotąd zdołaliśmy ich powstrzymać - oznajmiła. - O mało nie zabrali go zeszłej nocy, bo nie pilnowaliśmy kuchennego wejścia. Tego, którym przyjmują dostawy jedzenia. Ma swój własny parking i mieści się

po drugiej stronie budynku. Po prostu o nim nie pomyśleliśmy.

- Ale teraz już go pilnujecie.

- O tak. Mieliśmy szczęście, że kierowca okazał się idiotą: nie wpadł na pomysł, żeby wyłączyć światła. Ktoś zobaczył nadjeżdżającą furgonetkę i dotarliśmy na czas, by ich przegonić.

Z roztargnieniem pociągnęła źdźbło trawy rosnące między stopami.

- Ale teraz to już tylko kwestia czasu. Próbują zdobyć nakaz sądu, który zmusi nas do ustąpienia. Sędzia u Barneta - Runcie w jakiś sposób przyśpieszył sprawę i jutro rano zapadnie decyzja. Mulbridge musiała dać mu w łapę albo coś takiego.

- To nie w stylu J-J - zauważyłem. - Prędzej poczęstuje cię nożem w brzuch niż dziesiątą. To kwestia niuansów.

Pen spojrzała na mnie z ponurą wrogością.

- W tej chwili nie doceniam niuansów, Fix. Może nie zauważyłeś, ale ledwie jestem w stanie zapanować nad logistyką. Możesz mówić otwartym tekstem? Nie spałam od czasu naszego ostatniego spotkania.

- Prześpij się teraz - zaproponowałem. - Za dnia niczego nie spróbują, zwłaszcza jeśli spodziewają się, że jutro sądy zgodzą się na usunięcie was stąd.

Zamrugła w zwolnionym tempie - jej okolone sińcami oczy wyraźnie nie miały ochoty się otwierać, kiedy raz się przymknęły.

- Ale zostaniesz tu? - naciskała, z trudem wymawiając słowa. - Nie mogę zasnąć, nie wiedząc, czy ktoś będzie czuwał. Ktoś, komu na nim zależy

Nie miałem wcale ochoty: myślałem o czekającej mnie walce, o Myriam Kale posyłającej Douga Huntera z powrotem w szeroki świat,

podczas gdy ja nie zabrałem się nawet za prawdziwych nieprzyjaciół. Gorzej, nie wiedziałem, kto to i ilu ich jest, i nie dowiem się, dopóki nie odwiedzę biura Maynarda Todda i nie przejrzę jego akt. Czas nie był po mojej stronie. Trudno było po prostu tam siedzieć i czuć, jak moje szanse maleją.

Ale widziałem, że naturalna odporność Pen sięgnęła granicy: Pen wydawała się napięta, krucha, w każdej chwili mogła się załamać.

- Zostanę - obiecałem. - Połóż się. Obudzę cię za godzinę.

Dałem jej cztery godziny i kilka minut. Podczas gdy spała, cień kliniki Stangera sięgnął ku nam, a potem rozciągnął się wokół. Życiowcy przychodzili i odchodzili, świętując jedność wszelkiego życia po obu stronach grobu zaśpiewami i zadziornymi hasłami, których nie słuchał nikt oprócz nich.

- Dusza i ciało to przyjaciele! Dusza i ciało złączą się! Śmierć to nie koniec!

W jednej z tych trzech spraw mieli nawet rację.

Zabijałem czas, ponownie przeglądając nuty, odczytując je tak, jak nauczył mnie Luke/Speedo i próbując usłyszeć rytmy - uderzenia i pauzy, nakładki i przeskoki. Wyobrażałem sobie melodię, w którą można by przyoblec ów perkusyjny szkielet: próbowałem przełożyć symfonię na bębny na coś innego. Była to ciężka praca i wciągnęła mnie hipnotycznie, ponownie wrywając z ciała w otchłań, w której działa mój osobliwy talent. Faktycznie straciłem poczucie czasu i dopiero gdy Pen poruszyła się na trawie obok mnie wróciłem do rzeczywistości - przynosząc ze sobą kilka kolejnych okruchów możliwości, parę skręconych wstążek nie do

końca muzyki. Dla nieperkusisty symfonia Johna była niczym układanka z pięciu tysięcy elementów, w której trzeba ułożyć je wszystkie jednocześnie bez żadnego wzoru, a potem sprawdzić czy mają sens.

- Która godzina? - spytała Pen.

Zerknąłem na zegarek.

- Po piątej - oznajmiłem. - Jak się czujesz? Trochę bardziej jak człowiek?

- Jak zdechłak - wymamrotała, usiadła i przetarła oczy. - Ale idź już, jeśli musisz. Dam sobie radę.

Nie byłem pewien, co w moim zachowaniu zasugerowało, że zaczynam się śpieszyć: znaliśmy się tak długo, że czasami w podobnych sprawach nasze porozumienie osiąga poziom telepatii.

- Dobra. - Podniosłem się z ziemi. - Pilnuj go dziś w nocy. Jutro wrócę z zapasem sił.

Pen przyglądała mi się, osłaniając oczy przed promieniami słońca, które zachodziło za moim ramieniem.

- Jeśli w ogóle wrócisz - odparła.

- Tego nie powiedziałem - zaprotestowałem.

- Owszem, powiedziałeś.

- Ona także wstała i niemal wbrew woli postąpiła krok ku mnie. Przez moment myślałem, że mnie uściśnie, bo wyglądało na to, że unosi obie ręce. Potem jednak zamarła, cofnęła się i splotła je na piersi.

- Nigdy ci nie wybaczę tego, co zrobiłeś Rafiemu - oświadczyła.

- Nie szukam przebaczenia, Pen. A gdybym szukał, to gdzie indziej.

- Ale nie chcę, żebyś się zabił, pracując nad jakąś durną sprawą. Wilkołaki mogą cię pożreć. Demony oślepić, zgwałcić i wyssać ci duszę.

Niemal wszystko na tym świecie jest szybsze od ciebie, a ty masz tylko swój dumny flet. Cokolwiek planujesz, Fix, nie rób tego. Nawet stąd widzę, że sam nie wierzysz, że to się uda.

Odegrałem pantomimę przedstawiającą krupiera rozdającego karty w kasynie. Często używałem tego gestu w rozmowach z Pen, kiedy próbowała wróżyć mi z tarota bez pomocy kart. Zawsze ją to wkurza i odpycha - a w tej chwili tego właśnie chciałem, bo nieprzyjemnie zbliżyła się do prawdy.

- W takim razie świetnie - warknęła. - Idź i daj się zabić. Nie martw się tym, w jakim bagnie zostawiasz Rafiego. Niech ktoś inny zapłaci rachunek. To przecież standard, nie?

- Bezmyślny hedonizm - zgodziłem się. - A diabeł zgarnia pulę.

- Który diabeł, Fix?

- Następnym razem przyniosę ci katalog i próbki kolorów.

Odszedłem szybko, nim Pen zdołała stłumić irytację i zaatakować od innej strony. Nie chciałem wyjaśniać więcej niż już powiedziałem, a jeszcze bardziej nie chciałem brać się do rzeczy z przeczuciem, że istnieje inny sposób, ale jestem zbyt głupi, by go dostrzec. Takie myśli sprawiają, że zaczynamy wątpić we wszystko, a to prosta droga do śmierci. Ja chciałem żyć.

To zawsze jest mój problem. Mam za wysokie wymagania.

Stoke Newington po ciemku: hasydzcy ortodoksi z Chabad Lubawicz i łotrzykowie z bogatych domów krążą drapieżnymi grupkami po ulicach. Ja jednak byłem w dość paskudnym nastroju, by stawić czoło wszystkiemu, co mogłem spotkać na drodze. Bóg także był w kiepskim nastroju - zerwał się silny wiatr, wlokący po chodnikach plastikowe reklamówki i skrawki papieru, niebo zasnuwały ciężkie chmury.

W biurach firmy Ruthven, Todd i Clay panowała zachęcająca, nieprzenikniona ciemność. Okrążyłem budynek z zewnątrz, szukając najlepszej drogi do środka i w końcu uznałem, że wejść od tyłu na pierwsze piętro. Miałem ze sobą wytrychy i w mgnieniu oka mogłem otworzyć drzwi od strony ulicy, ale istniało zbyt wielkie niebezpieczeństwo, że zobaczy mnie jakiś przechodzień: nie mogłem sobie pozwolić na stratę czasu, gdyby moje wyczyny zainteresowały stróżów prawa.

Od bocznej uliczki za biurem odchodził ślepy zaułek, zawałony kubłami na kółkach i starymi lodówkami. Wierzchołka wysokiego muru broniło stłuczone szkło, osadzone w bardzo starym cemencie. Jedynych drzwi nie zamknięto na klucz, lecz zaryglowano od wewnątrz, ale cegły po obu stronach były stare, pokruszone i dawały całkiem niezłe oparcie. Wspiąłem się na drzwi, wykorzystując szczeliny między cegłami i przywierając do ściany.

Ich górną krawędź dzieliło od framugi dobre kilkanaście

centymetrów. Stałem na niej, zwinąłem płaszcz i położyłem na szkle. Musiałem jedynie oprzeć się tam na sekundę i przeskoczyć na dach komórki. Potem pochyliłem się i pociągnąłem płaszcz, tylko nieco bardziej sfatygowany.

Niemal natychmiast znów mi się przydał. Owinąłem go wokół pięści, żeby stłuc szybę w oknie na drugim końcu szopy, a potem, bardzo ostrożnie, usunąć stłuczone szkło z ramy. Szczęśliwie w budynku nie wymieniono okien na nowe, podwójne - choć gdyby to zrobili, zawsze mógłbym zeskoczyć na ziemię i spróbować szczęścia z tylnym wejściem. Bezpiecznie ukryty przed nieproszonymi oczami, mogłem nad nimi popracować.

Wyglądało jednak na to, że wszystko idzie po mojej myśli. Nawet macając w ciemności, pod dziwnym kątem, klęcząc, bo szyba była na wysokości mojego kolana, niemal natychmiast znalazłem haczyk i zdołałem go odzepić. Potem podniosłem okno jak najwyżej i wcisnąłem się do środka.

Pod stopami poczułem dywan, ale było za ciemno, bym mógł się zorientować w układzie pomieszczenia. Walcząc z impulsem nakazującym przeć na oślep naprzód, zaczekałem, pozwalając oczom przywyknąć do ciemności. I całe szczęście: kiedy otaczająca mnie przestrzeń powoli wyłoniła się z morza cieni, uświadomiłem sobie, że nie znalazłem się wcale w pokoju, lecz na zakręcie klatki schodowej, tak ciasnej jak ją zapamiętałem. Po pierwszym kroku poleciałbym na dół.

Próbując przypomnieć sobie rozkład budynku z czasu jedynej złożonej za dnia wizyty, ruszyłem na górę, nie na dół. Mniej więcej orientowałem się, gdzie względem schodów znajdę drzwi Todda, ale nie

jak wysoko. Pierwsze otworzyły się, kiedy nacisnąłem klamkę, lecz pomieszczenie wewnątrz nie wyglądało jak trzeba - biurko stało pod najdalszą ścianą, nie pod oknem. Zamknąłem je za sobą i ruszyłem wyżej.

Na następnym piętrze kolejne drzwi okazały się zamknięte. Potem jednak z lekkim zdumieniem zauważyłem, że są zaryglowane od zewnątrz. Odsunąłem zasłonę i zajrzałem.

Tym razem, nawet kiedy otworzyłem szeroko drzwi, ciemność wewnątrz pozostała nieprzenikniona. Co gorsza, pokój wydawał z siebie niski, basowy pomruk, bardziej przypominający wibrację niż dźwięk. W tych okolicznościach istniał milion dobrych powodów, by nie zapalać światła, a jednak to właśnie zrobiłem. Zadziałałem niemal odruchowo: pomacałem ścianę po lewej, sprawdzając, czy jest tam wyłącznik, i kiedy go znalazłem, pstryknąłem.

Poza filmami nie widziałem nigdy, jak zabójca rozkłada swój karabin snajperski i starannie umieszcza poszczególne części w wyciętych w piance otworach w niewielkiej czarnej walizeczce. Zakładam, że faktycznie tak to wygląda, ale ponieważ brak mi doświadczenia, muszę to przyjmować na wiarę. Teraz jednak, kiedy rozmowa zejdzie na rozmontowane wilkołaki, mogę się wypowiedzieć, bo gdy zapłonęło światło, to właśnie ujrzałem.

Pokój wypełniały koty. Wszystkie spały: na podłodze, na meblach, półkach, zapełniając każdą widoczną powierzchnię. Owe wibracje okazały się połączonym, nakładającym się mruczeniem. Odruchowo cofnąłem się o krok, wstrząśnięty implikacjami tego co widzę. I właśnie w owym momencie, gdy próbowałem podjąć decyzję, kot pośrodku pokoju, wielki, biały pers, leżący na antycznym sekretarzyku, otworzył oczy.

Tuż po nim uczyniły to koty leżące obok, następnie ich sąsiedzi i tak dalej, jakby ze środka pokoju rozchodziła się fala, jakby jedna wielka istota posyłała polecenie, pełzające wzdłuż starego, sfatygowanego układu nerwowego, który potrzebuje czasu, by przekazać je członkom.

Teraz przyglądało mi się około setki kotów, w ich oczach płonęła pradawna, nieprzenikniona wrogość. Wyglądało to upiornie, ale najgorsze miało dopiero nadejść. Pers miauknął przeciągle i dwa koty po jego bokach zbliżyły się i otarły mu o policzki, jakby chciały go pocieszyć. Lecz ów łagodny dotyk stał się mocniejszym naciskiem, trwającym zbyt długo. A potem futro i mięśnie na kocich pyszczkach zaczęły się zlewać w odrażającą, bezkształtną masę. Po chwili przysła kolej na ciała. Wokół tłoczyły się inne koty, zeskakujące z zakurzonych półek pełnych starych książek, wypełnionych precedensami, i przemykające po podłodze, by dołączyć do reszty.

Z jednym cichym „kurwa!” rozchyliłem poły płaszcza i wyjąłem z wewnętrznej kieszeni flet. Przelotnie przyszło mi do głowy, by się wycofać i z powrotem zaryglować drzwi. Ale co by to dało? Kiedy koty zlałyby się w stwora, którym miały się stać, drzwi by go nie zatrzymały.

Trzy koty pośrodku zniknęły bez śladu. Kolisty pagórek lepkiego ciała, w które się zamieniły, miał z przodu jakby zarys twarzy. Unosił się z blatu w miarę, jak do podstawy dołączały kolejne koty, rozpływające się coraz szybciej, jakby proces nabierał rozpędu. Sięgnąłem w głąb pamięci, moje palce odnalazły otwory fletu i zacząłem grać.

Już dawno zapomniałem melodię, którą skomponowałem, by załatwić Scruba, kiedy spotkaliśmy się po raz ostatni, a poza tym nie miałem pewności, że ten stwór to *ren sam loup-garou*, który przybrał to

nazwisko i postać. Tak jak powiedziała Juliet, skoro jeden wilkołak nauczył się organizować w żywą kolonię, prawdopodobnie potrafiły to wszystkie, jeśli tylko wpadły na ten pomysł.

Na moją korzyść przemawiało jedno i tylko jedno. W miarę jak *loup-garou* przybierał na wadze i wzroście, jego poczucie w moim wewnętrznym oku, czy raczej uchu, narastało. Z chwili na chwilę melodia *loup-garou* stawała się coraz silniejsza i wyraźniejsza. Pozwoliłem, by jęklive dźwięki wypełniły mi głowę, a potem wypuściłem je przez płuca, gardło i koniuszki palców, do kruchego kawałka lanego metalu trzymanego w dłoniach.

Gęstniejąca masa przede mną ryknęła z wściekłości. Była już znacznie większa - obrzydliwie płynna, ściekała z biurka na podłogę, dając pozostałym kotom znacznie rozleglejszą powierzchnię, do której mogły przywierać. Z bryły sięgnęła ku mnie prymitywna wypustka, na jej zewnętrznej powierzchni wyrosły pęcherze, które zamieniły się w palce, rozprostowujące się i zaciskające spazmatycznie. Z ich końców wystrzeliły ostre szpony.

Grałem dalej, walcząc z narastającą paniką: chciałem przyśpieszyć, lecz logika melodii ciągnęła w przeciwną stronę, zmuszając mnie, bym zwolnił i przeciągał dźwięki jak najdłużej, pozwalając, by przepływały po pokoju w opadających kadencjach. Wieża materii zadygotała, po jej powierzchni przebiegły zmarszczki. Każda przypominała ruch ręki magika, pozostawiającej po sobie najpierw futro, potem nagie, ohydnie różowe ciało, potem znów sierść. Z głównej masy wypłynęły kończyny, niczym mięso z maszynki do mielenia. Gdy tylko nogi oparły się o ziemię, ruszyły chwiejnie w moją stronę. Twarz uniosła się i odłączyła od góry

wieży, niczym obsceniczny bąbel. Ciało pod nią zmarszczyło się i zwęziło, tworząc głowę i szyję. Wciąż były jednolite, oczy miały ten sam kolor i fakturę co ciało, ale z sekundy na sekundę zaczynały się przejaśniać. Twarz wykrzywiła się szyderczo, moja panika wzrosła.

Lecz melodia miała rację, a ja się myliłem. Powolnie, miarowo, z każdą opadającą nutą oplatała powstającego przede mną stwora niczym łańcuchy. I działała: pozostawało tylko pytanie, czy zadziała dość szybko, by uchronić mnie przed pożarciem żywca. *Loup-garou* zwolnił, wygiął grzbiet, jak pod wielkim ciężarem, ale się nie zatrzymał. Postąpił kolejny krok naprzód, szponiasta łapa na końcu ręki napięła się i zacisnęła tuż przed moją twarzą. Bezzębna paszcza otworzyła się, z dziąseł wyrosły kły, z miękkiego różu przekształcające się w lśniącą, twardą biel. Odruchowo szarpnąłem się w tył, trafiając łokciem we framugę i o mało nie upuszczając fletu. To byłby koniec historii, ale zdołałem utrzymać równowagę, jedynie przez moment grając fałszywy ton.

Loup-garou ogarniał złowrogi paraliż, ale promieniował od stóp w górę: jego tułów nadal poruszał się giętko. Pochylił się i łapa śmignęła w stronę mego gardła - cofnąłem się, opierając ciężar na tylnej stopie, i ostre pazury zamieniły przód mojego płaszcza w konfetti: ostry ból i nagłe ciepło na piersi świadczyły, że co najmniej jeden skaleczył mnie do krwi. Szurając nogami jak ślepiec, powoli cofałem się na podest, aż w końcu napałem krzyżem na poręcz i wiedziałem, że dalej już nie ucieknę. Pozostały mi tylko dwa wyjścia: umrzeć albo grać.

Grałem, przeganiając myśl o drugiej opcji. Nogi *loup-garou* ugięły się, runął na kolana, ale nadal próbował mnie dosięgnąć. Kiedy szpony wyciągniętej łapy sieknęły mnie w kostkę, uskokczyłem na bok i kopnąłem

go mocno. *Loup-garou* znów ryknął, lecz tym razem ów dźwięk zabrzmiał głucho, bulgotliwie: był to odgłos czegoś rozpadającego się od środka.

Oczy, teraz w pełni uformowanej twarzy, patrzyły na mnie z otwartą nienawiścią. Z początku była to twarz Scruba, potem po oceanie ciała przeszła kolejna fala i ujrzałem oblicze Leonarda od kopiarki. Stwór próbował coś powiedzieć, lecz zamiast tego z jego ust wytrysnęła krew i czarna żółć. Spośród owego płynnego rozkładu dobiegło mnie parę urywanych dźwięków.

- Ca... Cas...Cast...

Oczy znów zmętniały, płyn wypełniający otwarte szeroko usta nagle zgęstniał błyskawicznie w coś, co śmierdziało i połyskiwało jak stygnąca smoła. W tym momencie *loup-garou* zapewne już nie żył, lecz dziwne drgawki poszczególnych części owego potężnego, leżącego cielska zniechęciły mnie do podejścia bliżej i sprawdzenia. Po prostu zostawiłem go tam na podeście, jak coś wielkiego, niechcianego, czekającego na śmieciarzy.

Gabinet Maynarda Todda mieścił się za następnym zakrętem schodów. Zrozumiałem to, gdy tylko ujrzałem zapalone światło. Uznałem, że subtelnością niczego nie zyskam: walcząc ze Scrubem, narobiłem dość hałasu, by obudzić umarłych. Zakładając, że w pobliżu było ich więcej. Ktoś, kto czekał w środku, wiedział, że tu jestem. Zawsze mogłem odwrócić się i odejść, ale uznałem, że to nie jest wyjście. Pchnąłem zatem drzwi, otworzyłem szeroko i przekroczyłem próg.

Todd siedział za biurkiem, na lekko przechylnym krześle, i opierał się plecami o półki. Pistolet w jego dłoni celował mi w pierś, a on sam sprawiał wrażenie całkowicie odprężonego.

- Pan Castor - rzekł, popychając ku mnie stopą krzesło z drugiej strony biurka. - Jak to jest, że nigdy nie można ufać religijnym fanatykom, nawet w kwestii jednego, prostego morderstwa? Kiedy zabierze im się pentagramy i mistyczne pieczęcie, są jak bezradne, małe dzieci. Bardzo się zawiodłem, słysząc, że przeżył pan swą krótką wycieczkę do Alabamy. Ale każdy zawód staram się traktować jako nowe wyzwanie. Proszę wejść i usiąść.

Wszedłem do pokoju, ale nie siadłem na krzesło - dopóki stałem, istniała szansa, że w którymś momencie zdołam go obezwładnić. Siedząc, już byłbym trupem.

- Pracujesz do późna - zauważyłem.

Wzrok Todda powędrował ku środkowi pomieszczenia. Też tam spojrzałem i ujrzałem łóżko polowe.

- Ostatnimi czasy sypiam tutaj - oznajmił z lekką rezygnacją. - Pani Todd wystąpiła o rozwód. Mówi, że nie jestem człowiekiem, za którego wyszła. I wie pan co? Ma rację. Prosiłem, żeby pan usiadł, panie Castor. Jeden strzał w kolano może pana zmusić.

Usiadłem. Zastanawiałem się, czemu jeszcze mnie nie zabił, skoro taki miał plan. Może nie chciał poplamić krwią wykładziny - jeśli tak, nie ucieszy się, ujrawszy, co zostawiłem na podeście pierwszego piętra.

- W krótkim czasie zaszedł pan bardzo daleko - podjął Todd. - To dobrze świadczy o pańskim talencie detektywistycznym.

- Dzięki.

- Tyle że nie jest pan detektywem. - Głos Todda stwardniał, jego oczy spojrzały na mnie ze szczerym niesmakiem. - Jest pan człowiekiem, który pozbywa się niechcianych duchów. To zaledwie krok od pokątnych

aborcji. To, co ci znachorzy robią na początku cyklu życiowego, pan robi na końcu. I podobnie jak im, chodzi panu wyłącznie o forszę. Brak panu rozumu i motywacji, by nas odkryć.

Nawet nie próbowałem odpowiadać, bo najwyraźniej nie oczekiwałem odpowiedzi. Na jego biurku stało zdjęcie pięknej, choć nieco srogiej brunetki. Podniosłem je i przyjrzałem mu się z namysłem.

- Za kogo zatem wyszła pani Todd? - spytałem.

- Za podrzędnego prawnika, który nie umiał o siebie zadbać.

- A ty...?

- Nie jestem nikim, o kim by pan usłyszał. Według mnie, jeśli przestępca zyskuje sobie sławę, to dlatego że jest dość głupi, by się rzucać w oczy. Ale nie o tym traktuje nasza rozmowa, panie Castor. Może tak wyglądać, lecz tylko dlatego że trudno jest zrzucić z siebie otoczkę cywilizacji. Nieco już odwykłem od fizycznego ranienia ludzi. To była świadoma decyzja z naszej strony - możliwie pełna legalizacja - ale ma też swoje wady. Człowiek traci zawodowy sznyt. - Pochylił się, opuszczając na podłogę przednie nogi krzesła, i wstał. - Prawdę mówiąc - dodał, okrążając biurko - jeszcze na Mile End zamiast pistoletu, zawsze wolałem nóż. Pewnie zatem, jeśli nie ma pan nic przeciw temu, zacznę od noża. Tak, żeby się oswoić. A poza tym w ten sposób lepiej panuje się nad wszystkim. Bardzo bym się wkurzył, gdyby wykrwawił się pan na śmierć albo wpadł w szok, zanim dowiem się wszystkiego, co muszę wiedzieć.

Aha. Zatem tak to miało wyglądać. Spiałem się, gdy się zbliżył. Szukałem okazji, którą mógłbym wykorzystać do szybkiego ciosu albo kopniaka w jaja. Ale Todd zachowywał ostrożność, pozostając poza moim zasięgiem. Pogrzebał w kieszeni. Spodziewałem się, że wyciągnie z niej

nóż, ale nie: trzymał w palcach solidne, lekko sfatygowane, policyjne kajdanki. W pewnym sensie były to gorsze wieści.

- Wsuń ręce między pręty oparcia - polecił Todd.

- Powiedz mi, co chcesz wiedzieć. - Zagrałem na zwłokę, patrząc mu w zimne, surowe oczy. - Może załatwimy to po dobroci.

Todd pokręcił głową.

- Ja umiem załatwiać jedynie siłą - rzekł. - Poza tym bardziej ufam temu, co zdołałem wycisnąć sam. Ostatni raz proszę, panie Castor.

Zawahałem się. Istnieją sposoby zrzućcia kajdanek, ale łatwiej tego dokonać, jeśli gość, który je zakłada, jest nieco tępawy. Ustąpić czy stracić rzepkę? Podjąłem decyzję i zrobiłem co kazał, bez specjalnego zachwytu. Niestety, Todd był bardzo zręczny i ostrożny. Zapiął kajdanki tak mocno, jak tylko pozwoliły zawiasy, a choć zacisnąłem pięści i napiąłem mięśnie przedramion w najlepszym stylu Iana Fleminga, czułem, że nie ustąpią. Zostałem przymocowany do krzesła i mogłem się uwolnić, jedynie otwierając zamek kajdanek - co da się zrobić wyłącznie wytrychem - albo rozwalając krzesło na kawałki. Mało prawdopodobne, by Todd spokojnie przyjął podobną próbę.

- Dobra - rzekł i nim się wyprostował, pociągnął mnie za rękę, upewniając się, że nie mają dość luzu, by sięgnąć do kieszeni płaszcza bądź spodni.

Nawet nie próbował mnie przeszukiwać: zapewne uznał, i słusznie, że nie mam przy sobie niczego, co zdołałoby przebić trzydziestkę ósemkę.

Wrócił za biurko, otworzył górną szufladę i wyjął bardzo poważny kawał metalu: ostrze miało zaledwie dziesięć, dwanaście centymetrów długości, ale nadano mu osobliwy kształt, z lekkim zgrubieniem centymetr

od czubka i asymetryczną krzywizną. Rękojeść zrobiono z czarnej, polimeryzowanej gumy. Był to nóż zaprojektowany do morderczych działań w najtrudniejszych okolicznościach: broń osobistej, jednostkowej zagłady.

- Zaszedłeś daleko z Mile End - zauważyłem, żeby coś powiedzieć.

- O tak - zgodził się Todd, sprawdzając ostrość noża na opuszcze kciuka. - Ale to łatwy awans. Zaraz się przekonasz jak łatwy.

- Myślisz, że byłem dość głupi, by przyjść tu sam?

- No cóż, zjawileś się sam, więc owszem, tak właśnie myślę. Jeśli się myślę, porządnie najem się wstydu. Ale myślmę pozytywnie: nie myślę się i do tego nie dojdzie.

Rozkołysanym krokiem wrócił na moją stronę biurka i przysiadł na nim, pochylając się: pozycja człowieka, któremu się nie śpieszy.

- Dla kogo pracujesz? - spytał.

Nie interesowały mnie strategie ani zmyłki, chciałem jedynie znaleźć odpowiedź, która możliwie jak najdłużej będzie mnie chronić przed pokrojeniem żywcem: im dłużej będę zwlekać, tym większa szansa, że znajdę coś, czego mógłbym użyć przeciw Toddowi. No dobra, chwytalem się brzytwy: wiedziałem, jak marna jest sytuacja, ale nadzieja - nawet żalosna, najtańsza nadzieja - nie umiera nigdy.

- Dla pewnej kobiety, Janine Hunter - oznajmiłem. - Jej starego oskarżono o morderstwo i...

Koniuszek noża śmignął w dół przez mój policzek. Po twarzy spłynęło mi coś ciepłego i mokrego, poczułem w ustach smak krwi.

- Janine - powtórzył Todd. - Tak, wiemy o Janine. - Przemawiał tak obojętnym tonem, że pomyślałem, że lada moment może się znudzić i

znaleźć sobie lepsze zajęcie. - Nieźle nadaje się na przykrywkę. Zasłużyłeś na najwyższą ocenę. Ale ja chcę wiedzieć, kto ci powiedział o nas. O Mount Grace, Lionelu Palansie i całej operacji. O tym, jak wróciliśmy. Widzieliśmy to u Gittingsa, a potem u ciebie. Trochę macania na oślep, dla lepszego efektu, a potem zmierzasz wprost do źródła. Bo ktoś kieruje tobą z tylnego siedzenia. I o to nazwisko właśnie mi chodzi, panie Castor. Spowiedź dobrze zrobi pana duszy. I, powiedzmy, pana lewemu oku. - By podkreślić te słowa, przysunął mi nóż do oczu i pokazał krew na klindze. - A potem prawemu, po krótkiej chwili do namysłu.

A zatem prawda nie wystarczy. Pomyślałem: będę musiał uciec się do bajerów.

- Nie znam jego nazwiska - powiedziałem. - Rozmawialiśmy wyłącznie przez telefon.

- W takim razie jak ci zapłacił? Sprawdziłem twoje konto i dzieje się na nim chyba jeszcze mniej niż w twoim życiu seksualnym.

Podobno trudniej jest kogoś okłamywać, kiedy patrzy mu się w oczy. Zmusiłem się do gapienia wprost w twarz Todda, by nie zaczął wątpić w moją wiarygodność jako informatora.

- On mnie zabije - zaprotestowałem.

Todd pokręcił głową.

- Nie - zapewnił mnie. - Nie zrobi tego. Ja cię zabiję, gdy tylko uzyskam wszystkie szczegóły. Nie musisz się nim przejmować. Przejmuj się mną i tym jak paskudnie się zrobi, kiedy zaczniesz coś ukrywać. Jak on wyglądał, ten człowiek? Szczegóły. Wszystkie, które możesz podać.

Skuliłem się, jakbym ustępował przed nieuniknionym.

- Wysoki - zacząłem. - Wyższy ode mnie. Mniej więcej w moim

wieku, może trochę starszy. Nosił garnitur jeszcze droższy od twojego. Miał brodę. Nie pełną, przystrzyżoną. Gość, który dba o swój wygląd.

- Oczy?

- Nie zauważyłem.

- Włosy?

- Blond.

Z tej pozycji widziałem tylko dolną połowę ciała Todda, ale i tak dostrzegłem lekkie zeszywnienie mięśni - wyężenie uwagi. Albo nie spodziewałem się tego, albo też potwierdziłem jego najgorsze obawy.

- Budowa? - spytał.

Starał się przemawiać znudzonym i obojętnym tonem, jak wcześniej, ale obecnie ów ton dźwięczał fałszywie. Ciekawe. Miło byłoby pożyć dość długo, by się dowiedzieć, co to znaczy.

- Mocnej postury - podjąłem. - Trochę jak rozrabiaka, choć oczywiście z wyższych klas. Nie jak te wasze uliczne szumowiny.

- Spójrz na mnie - warknął Todd, i gdy znów uniosłem głowę, wycelował nożem w moje lewe oko. - Byłem tu, kiedy ty... - zaczął, ale najwyraźniej zmienił zdanie. - Akcent? - rzucił ostro.

- Taki jak twój. Z wyższych sfer, ale to tylko warstwa farby, spod której wyglądało coś innego.

- Czyżby? - Uśmiechnął się drapieżnie, jak rekin. - Przejrzałeś mnie, co, Castor? Jasne, jasne. Za bystry jesteś dla takich jak ja.

Nóż śmignął po raz drugi, a ja wrzasnąłem z bólu i strachu. Kiedy jednak Todd się wyprostował, nadal patrzyłem na świat obojgiem oczu. Tym razem skaleczył mi ucho; nóż oddalał się, zataczając łuk w górę, jakby rysował nim ptaszka. Kość policzkowa: ptaszek. Ucho: ptaszek.

- Jak się do niego zwracałeś? - spytał tym samym swobodnym tonem.

- Musiałeś jakoś nazywać tego wyrafinowanego siłacza.

Z jakichś przyczyn w moim umyśle roіło się od roztańczonych diabłów.

- Louie - odparłem, myśląc o Louie Cypherze z filmu „Harry Angel”. Co za pierdoły. Mam nadzieję, że jeśli diabeł lubi słowne gierki, to pokaże w nich nieco więcej klasy. - Louie... Rourke.

- I jak się z tobą kontaktował?

Wzruszyłem ramionami, starając się nie zdradzać po sobie ulgi. Jeśli bez mrugnięcia okiem łyknał Louiego Rourke'a, to istniała jeszcze dla mnie nadzieja.

- Już mówiłem, telefonicznie. Powiedział, że chciałby mnie wynająć do egzorcyzmów. Naprawdę dużych. Mówił, że mogą być niebezpieczne, ale dobry duchował poradzi sobie bez problemów. Zapłaci dobrze - bardzo dobrze - i przekaże mi wszystkie informacje niezbędne do bezpiecznego zakończenia sprawy.

Todd wytarł klingę o dłoń i przyjrzał się pozostawionej przez nią plamie krwi. Potem znów spojrział na mnie.

- Gratuluję - rzeki. - Właśnie kupiłeś sobie jeszcze pięć minut życia. Opowiedz mi o tym. O tym, jak ten... Rourke cię przygotował. Co już o nas wiedział.

- Co cię to obchodzi? - spytałem.

W głębi oczu Todda zapłonął niebezpieczny blask. Ryzykowałem, ale świadomie: potrzebowałem kilku sekund do namysłu, by przypomnieć sobie moje wcześniejsze posunięcia i wyszykować odpowiedź, która go przekona. Faktycznie zyskałem kilka sekund, ale jak to mówią: nie ma

czegoś takiego jak darmowy lunch. Todd nieco mocniej zamachnął się nożem i z czoła do oczu popłynęła mi krew. W czole jest mnóstwo naczyń krwionośnych, które bardzo mocno krwawią: krew w ułamku sekundy zalepiła mi powieki. Todd odsunął je, przyciskając kciukami. Zamrugalem i spojrzałem wprost w jego szeroko otwarte oczy.

- Obchodzi mnie, ty pierdolony debilu, bo to jego chcę dorwać - warknął. - Nie ciebie. Ty się, kurwa, nie liczysz. Już jesteś martwy. Powiedz mi, dość żebym dorwał w swe ręce gościa, który nazywa się Rourke, a umrzesz nieco łatwiej i tyle. Do tego właśnie sprowadza się twoje życie, Castor. Trzeba było zostać zegarmistrzem.

- No dobrze - wymamrotałem głucho. - Dobrze, tylko nie rób mi krzywdy.

Tekst dość kompromitujący, ale zadziałał. Todd usadowił się z powrotem na skraju biurka i machnął zachęcająco swym narzędziem do przesłuchań.

- W takim razie gadaj - poradził.

- On... powiedział mi o inskrypcji - rzekłem i zobaczyłem, jak ramiona Todda zeszywniały nagle, gdy próbował zapanować nad wyrazem twarzy. Przedobrzyłeś, skurwielu. Hunter mówił: trzy dni. Policzyłem szybko w pamięci. - To dzisiaj, prawda? Mówił, że to będzie dzisiaj.

Todd nawet nie zadał sobie trudu, by odpowiedzieć.

- Mów dalej.

- Powiedział, że jest was około dwustu - podjąłem, cytując liczbę podaną przez Molocha. - I że cała operacja trwa już ładne kilka lat, od czasów... - starałem się zamaskować lekkie wahanie, żeby Todd nie

zauważył - ...Aarona Silvera. Mówił, że Silver był członkiem założycielem.

- Naprawdę?

Nie spuszczałem go z oczu.

- A co, mylił się?

- To człowiek z nożem zadaje pytania, Castor. Mów dalej, dopóki nie każę ci przestać.

- Wiedział, że Silver i Les Lathwell to ta sama osoba. To chyba miał na myśli, nie? Że gość zawsze tam był i doglądał całej operacji.

Wargi Todda uniosły się w groźnym grymasie: nie spodobało mu się takie ujęcie. Nagle przyszło mi do głowy coś jeszcze: czy Nicky nie wspominał, że Silver naprawdę nazywał się Berg?

A Les Lathwell był w Ameryce w latach sześćdziesiątych, ucząc się gangsterskiego fachu od mafii w Chicago; od Berga bardzo już niedaleko do Bergsona. Zaryzykowałem.

- To Silver, to znaczy Les Lathwell, sprowadził tu Myriam Kale, prawda? Znow wziął sprawy w swoje ręce. Zajął się aktywną rekrutacją. Założę się, że prawdziwa, psychopatyczna zabójczym stanowiła cenny okaz w waszych zbiorach.

Todd z wściekłością uniół nóż w zaciśniętej pięści, potem jednak zmienił zdanie i zamiast tego spoliczkował mnie mocno.

- Naprawdę jesteś tak skurwysyńsko głupi? A może próbujesz mnie podpuścić, żebym cię zabił, zanim wszystko wygadasz? Kale? To od początku była katastrofa. Powiedziałem mu: ma nie po kolei w głowie. Dla reszty nas zabijanie to jedynie środek wiodący do celu. Dla niej to nałóg. Choroba. Nigdy nie przestanie i zawsze będzie ściągać na siebie uwagę

niewłaściwych ludzi. Jest ostatnią rzeczą, jakiej byśmy pragnęli. Kimś, kto sra do własnego gniazda, bo nie umie inaczej i nie da jej się tego oduczyć. Pierdolona wariatka!

Miał rację co do otoczki cywilizacji. Teraz, gdy zawładnęły nim emocje, w jego akcencie pojawiło się coś prostackiego, rodem z East Endu. Uznałem, że słusznie będzie dalej go podpuszczać: jeśli się wścieknie, straci równowagę i przestanie myśleć jasno. A wtedy nie wiadomo, jakie pojawią się możliwości.

- Ale to Silver podjął decyzję - powiedziałem - bo on wszystkim sterował. Pan Rourke mówił, że gdybym zdołał wyeliminować Silvera, cała reszta sama by się rozsypała.

Todd roześmiał się, z niedowierzaniem kręcąc głową.

- Wyeliminować Silvera? Kurwa, gdybym wiedział, że o to ci chodzi, zaczekałbym i pozwolił ci spróbować. Sami byśmy to zrobili, ale za dużo się pilnuje, by dać nam okazję. On i ta jego amerykańska zdzira nas zrujnowali. Przez nich znów staliśmy się widoczni, choć latami staraliśmy się ukryć wszystkie wiodące do nas ślady. Żyć wiecznie. Żyć wiecznie jak królowie. Zbudować imperium silniejsze i bezpieczniejsze niż wszystko, co mieliśmy za życia. Taki właśnie był plan, i to, kurwa, jego plan! „To miasto może należeć do nas”. I tak jest! Należy do nas! Zgarniamy swoją działkę, bierzemy wszystko czego zapagniemy, i nikt nie ma o tym pojęcia. A jeśli się dowiaduje, umiera, a także jego żona i dzieci, a ogrody posypujemy pierdzieloną solą. Mamy wszystko. Ale wiesz, jak to mówią: miłość zaślepia. Nie chciał słuchać rozsądnych argumentów. Od chwili, gdy ją spotkał, kompletnie się zmienił. Wyeliminować Silvera? - Znów się zaśmiał, lecz w jego głosie brzmiała dławiąca gorycz. - Trzeba było,

kurwa, powiedzieć.

- Tak - zgodziłem się, zmieniając nieco temat. - Kale od początku była waszym słabym punktem. Za każdym razem, gdy dawaliście jej nowe ciało, znów zabijała...

Todd kiwał głową, toteż mówiłem dalej. Robiłem tylko to, co wszystkie media: wykorzystując reakcję frajera, szlifowałem własne domysły, namierzając prawdę tak, by wyglądało, że znałem ją od początku.

- Za każdym razem stara psychoza dawała o sobie znać. Ale nie mogliście zostawić jej w ziemi. Silver by wam nie pozwolił. Wygląda zatem na to, że pan Rourke miał rację co do hierarchii dziobania.

- Jesteśmy wspólnotą - warknął Todd. - Demokratyczną i egalitarną. Wszystko odbywa się uczciwie, według jasnych, przejrzystych zasad. Spędzasz rok na szczycie w jednym z ciał mających władzę, wpływy i sławę - a potem rok na dole, zarabiając na życie i pilnując interesu. Nie ufamy nikomu innemu, sami musimy zarządzać krematorium i go pilnować. Wszystko zostaje w rodzinie. Ale ten kutafon jest silniejszy niż cała reszta nas. Zaczął tworzyć własne zasady. A ponieważ jest najstarszy, musimy działać ostrożnie. Czas to nie tylko pieniądz, ale też siła. Nie wiemy, jakie przygotował zabezpieczenia, kiedy był jeszcze sam. Tak na wszelki wypadek. Nigdy nie pozwoli się przyłapać ze spuszczonej spodniami. Gdybyśmy go zabili... - Todd nie dokończył, ale jego wzruszenie ramion mówiło aż nadto jasno: zabicie Aarona Silvera, ciała, ducha bądź obu, stanowiłoby początek czegoś, nie koniec. - A zatem to był twój cel - powiedział, wracając do rzeczy. - Nie reszta nas. Tylko Silver. To po to pojechałeś do Alabamy? Po jego śladach?

- Szukałem informacji na temat Kale. Wydaje się, że to jego słaby punkt.

Todd przytaknął.

- Tak, tu masz rację. Ale te okazy, które zabrałeś Chesneyowi. Większość nie miała nic wspólnego z Silverem. O co w tym wszystkim chodziło?

- Nie wiedziałem, co miał Chesney - zrobiłem unik. - Musiałem się przyjrzeć.

Todd spojrzał na mnie zdumiony. I podejrzliwy.

- To znaczy, że nie pracowałeś z Gittingsem?

Miałem wrażenie, że cienki lód pode mną właśnie zaczyna pękać.

- Nie bezpośrednio - wyjaśniłem. - Gittings i Langley stanowili pierwszy zespół. Ja byłem w rezerwie. Rourke uruchomił mnie dopiero, kiedy tamci dali ciała. I oczywiście najpierw musiałem się dowiedzieć, jak daleko zaszli.

Todd wpatrywał się we mnie twardym wzrokiem. Cokolwiek działało się w jego głowie, nie wyglądało dobrze.

- To czemu tak długo węszyłeś wokół wdowy po Gittingsie? - spytał ostro.

Udałem skrepowanie i zawstydzenie.

- Jesteśmy z Carlą starymi przyjaciółmi - wyjaśniłem. - A kiedyś... moglibyśmy być czymś więcej niż przyjaciółmi. Pomyślałem... no wiesz, nie zaszkodzi jej o tym przypomnieć.

Todd odprężył się lekko i uśmiechnął pogardliwie.

- To naprawdę zabawne, Castor. Groves tkwił w tym domu razem z tobą, a ty myślałeś tylko o tym, żeby zamoczyć?

- Wiem - odparłem z gorzkim, nieskrywanym wyrzutem. - Później się domyśliłem. To Groves opętał Johna, zgadza się?

- Opętał. Zrozumiał, że jego mózg zamienia się w papkę, i się zastrzelił. To był najgorszy moment. Jeśli tkwisz w cudzym ciele, które zaczyna przeżywać drugie dzieciństwo, co się z tobą stanie? Groves wołał nie czekać, żeby to sprawdzić. Uznał też, że jest bezpieczny z powodu testamentu. Zwrot do nadawcy. Tyle że zapomniał o amuletach na drzwiach Gittingsa: były dla niego za silne. Nie mógł się stamtąd wydostać. Musiał odegrać atak szału, żeby ściągnąć ciebie. Wtedy nie byłem jeszcze pewien, co o tobie myśleć. Uznałem, że albo się przydasz, albo będziemy musieli cię zabić. Ale prawdziwe okazało się jedno i drugie.

- Sądziłem, że John wiedział za dużo o waszej operacji, żeby wejść w pułapkę. - Starłem się możliwie w pełni wykorzystać hojny nastrój Todda. - Jak go dopadliście?

Todd jakby na moment zapomniał o swej regule człowieka z nożem. Wzruszył ramionami.

- Sam przepis to tajemnica handlowa - rzekł. - Ale dorwaliśmy go tak samo jak wszystkich. Wszedł na nasz teren i go mieliśmy. Oczywiście to samo planowaliśmy zrobić z tobą, w dniu, kiedy spaliliśmy Gittingsa. Ale zjawiała się ta demoniczna suka i musieliśmy sobie odpuścić. Nie byliśmy pewni, czy mamy jej radę, i nie chcieliśmy mieć na głowie kolejnej niezłaławionej sprawy. To jedyny powód, dla którego wyszedłeś z Mount Grace o własnych siłach. Najlepsze plany i tak dalej. Posłuchaj, ta rozmowa była bardzo pouczająca, ale nie chcę jej przeciągać. Chciałbyś kupić sobie jeszcze trochę czasu czy też skończyły ci się rewelacje?

Wstał i podszedł do mnie z boku, trzymając dłoń na wysokości pasa. Mniej więcej domyślałem się, jakie pchnięcie zada: w górę, zapewne w gardło, z tyłu i z boku, by jak najmniej pochłapać się krwią.

- Rourke nie jest sam - zacząłem szybko. - Jest jeszcze dwóch innych. De Niro i Rampling...

- Nie walcz z tym, Castor. Zważywszy na okoliczności, mogło być znacznie gorzej.

Kiedy jego ręka uniosła się, ja już byłem w ruchu. Kopnąłem obiema nogami, nie celując w niego - nie był tak głupi, by podejść zbyt blisko - ale w biurko. Poleciałem do tyłu i na dół, ostrze chlasnęło mnie płytko w ramię.

Miałem nadzieję, że siła upadku roztrzaska oparcie, ale nie. Desperacko rzuciłem się w lewo, a potem w prawo, łańcuchem kajdanek piłując niewzruszone pręty oparcia. Todd ze stłumionym okrzykiem pochylił się nade mną, lecz w tym momencie oparcie pękło i odturlałem się na bok, akurat gdy ku mnie sięgał. Po drodze znów kopnąłem na oślep, raz, drugi, chybiłem o milę, ale przynajmniej zyskałem dość czasu, by się obrócić, oprzeć kolana o ziemię i chwiejnie, potykając się, dźwignąć na nogi. Ręce wciąż miałem skute za plecami, ale przynajmniej miałem teraz szansę.

Czy raczej miałbym, gdyby Todd po zmianie broni nie wsadził pistoletu do kieszeni. Teraz cofnął się, ponownie unosząc w ręce spluwę. Sprawiał wrażenie poirytowanego.

- I co ci to, kurwa, dało?

Czyżby coś działało się ze światłem, czy też coś poruszyło się za oknem za jego plecami?

Postąpiłem krok w stronę drzwi, a on mnie zablokował, co przy okazji wyprowadziło okno poza jego pole widzenia.

- Nie zabijesz mnie - oznajmiłem, próbując zyskać kolejne sekundy.

- Nie? - Todd z lekkim sceptycyzmem uniósł brew. - A to dlaczego?

- Przez hałas - wyjaśniłem. - Ktoś cię usłyszy. A wtedy, oprócz mnie, musiałbyś wytłumaczyć, skąd wziął się cały pokój pełen martwych kotów.

Wycelował mi w głowę, zmienił zdanie i opuścił broń, kierując ją na mój brzuch: boleśniejsze, mniej czyste, ale pewniejsze.

- Tłumik - wyjaśnił i nacisnął spust.

Obserwowałem jego rękę i rzuciłem się na ziemię w chwili, gdy palec wskazujący się poruszył, mimo że i tak by mnie trafił. Nawet z grawitacją po mojej stronie, nie potrafię przegonić kuli.

Lecz w tym momencie okno eksplodowało do wewnątrz i z rozszalałej burzy strzaskanego szkła wyprysnęła ludzka postać, wymachująca rękami i nogami tak szybko, że pozostawiała w powietrzu stroboskopowe powidoki. Rozległ się wilgotny, obrzydliwy trzask i ręka Todda złożyła się wpół w miejscu, w którym w ludzkim ciele nie ma żadnych stawów. Postać wylądowała i obróciła się bez cienia pośpiechu, czy nawet rozmysłu. Bardziej przypominało to oglądanie kogoś ćwiczącego kolejne kroki tańca. Przybysz kopnął Todda w brzuch: tym razem dźwięk był bardziej głuchy, ale efekty równie mordercze. Todd osunął się w dół biurka, kuląc się niczym kwiat zamykający się na noc, i powoli opadł na kolana.

Moloch przyglądał mankiety niczym dandys po pojedynku, patrząc z zimnym rozbawieniem na człowieka, którego właśnie okaleczył. Gapiłem się na niego, oszołomiony, ogłupiały.

- Nie takiego zbawcy się spodziewałeś? - spytał demon, zerkając na mnie z lodowatym, sardonycznym rozbawieniem.

Todd klęczał na podłodze, skulony w pozycji płodowej, absolutnie cichy i nieruchomy. Możliwe, że nawet nie żył - kopniak w brzuch był z całą pewnością dość silny, by uszkodzić niezbędne do życia narządy.

Ponownie dźwignąłem się na kolano i zrobiłem sobie przerwę, bo trzęsły mi się nogi.

- Nie do końca - przyznałem ochryple. - Przecież powiedziałaś, że masz już dosyć ratowania mojego życia. Mówiłaś też, że czas, żebym to ja zrobił ci dobrze, czy coś w tym stylu.

- Owszem. To właśnie powiedziałem. I tak też zrobiłaś, Castor. Te żałosne szczątki na dole. - Cmoknął palce. - Doskonale dojrzałe. Dusza pokrojona i bardzo delikatnie odłączona od ciała. Nie pamiętam, kiedy ostatnio równie dobrze jadłem.

Z trudem zwalczyłem nagłe mdłości. Moloch okrążył mnie i zajął się kajdankami. Usłyszałem, jak ogniwa pękają z głośnym zgrzytem metalu o metal. Rozprostowawszy ręce, odkryłem, że są wolne, choć kajdanki nadal okalały mi przeguby niczym bransolety - a prawe ramię pulsowało boleśnie w miejscu, gdzie nóż Todda wbił się w mięsień.

Nieco niepewnie wstałem.

- To część naszych usług - oznajmiłem. - A przynajmniej teraz. Choć nie tak to zaplanowałem.

- Nie - zgodził się Moloch. - Ale odkryłem, że warto cię śledzić. Szczęśliwe odkrycia to twoja specjalność. Pomyślałem też, że przyłożysz się bardziej, sądząc, że pracujesz bez zabezpieczenia.

- Podnieś go. - Wskazałem ręką Todda. - Posadź na krześle.

Moloch pogodnie pokiwał głową, schylił się i dźwignął prawnika na nogi. Todd wciąż żył: nawet nie stracił przytomności. Lecz twarz miał śmiertelnie bladą, a kiedy Moloch go podniósł, wrzasnął, wymachując zdrową ręką, podczas gdy druga dyndała luźno pod niemożliwym kątem.

Moloch posadził go siłą na krześle i spojrzał na mnie pytająco. Podeszedłem do stłuczonego okna, chwytając głębokie hausty czystego, nocnego powietrza. Miałem powyżej uszu grozy, ale nie wybiła jeszcze nawet północ i wiedziałem, że czeka mnie mroczniejsze zadanie.

- Spróbuj poszukać jakiegoś sznura - wymamrotałem, nie oglądając się. - Inaczej nie da się go utrzymać w pionie.

Papier nutowy ucierpiał nieco, gdy Scrub/Leonard po raz ostatni chlasnął mnie łapą w pierś i o mało nie ukazał światu moich wnętrzności. Nie były to jednak zbyt poważne obrażenia. Rozłożyłem zapis na biurku i wygładziłem dłonią. Todd obserwował mnie z całkowitym brakiem zainteresowania człowieka w szoku. Ranną rękę miał przywiązaną do piersi, drugą skrepowaną za plecami. Okazało się, że w pomieszczeniu, w którym ukrywał się Scrub, stała potężna szpula liny budowlanej. Moloch zużył całą, mocując Todda do krzesła. Praktycznie utkał wokół niego kokon, pozostawiając na widoku niewiele poza bladą twarzą.

Usiadłem na biurku, mniej więcej tam, gdzie Todd podczas mojego przesłuchania. Moloch stanął przy oknie, zwrócony do nas plecami, pozwalając mi samotnie rozegrać sprawę. Może po prostu ten aspekt misji zupełnie go nie ciekawił.

- Wcześniej zaczęłaś pewne zdanie - przypomniałem Toddowi. - Byłaś tam, kiedy ja coś tam, coś tam. Jak zamierzałaś to skończyć.

- Zapomniałem - odparł tamten szyderczym tonem, który zabrzmiał nawet przekonująco, mimo lekko bełkotliwego głosu. Musiał strasznie cierpieć. A czekał go jeszcze gorszy ból.

- Dobra. To nie ma znaczenia - zapewniłem go. - Todd, włamałem się tu dzisiaj, żeby przejrzeć twoje akta i dowiedzieć się czegoś więcej o ekipie z Mount Grace. Ale skoro jesteś tu ciałem - choć nie do końca swoim - możesz dla mnie zrobić coś jeszcze. Będzie to paskudne, nieprzyjemne, a pod koniec nie wiem, w jakim stanie z tego wyjdiesz, ale na pewno nie dobrym. Prawdę mówiąc chce mi się rzygać na samą myśl, ale zrobię to, jeśli będę musiał. Bo jeśli zadziała, być może dziś w nocy ocali mi życie. Pomyślałem zatem, że zaproponuję ci układ. Opowiedz mi o tym, co się dzieje w krematorium. O nocy inskrypcji. Jak wiele osób tam będzie. Jakie środki ochronne przedsięwzięli. Kiedy się zacznie i kiedy najlepiej wejść. Powiedz mi, czego mam się spodziewać, a ja dam ci spokój. Wyjdę stąd, zamknę drzwi, a rano znajdą cię sprzątacze.

Todd zerknął na mnie ponownie spod półprzymkniętych powiek. Ból złamanej ręki wywołał u niego coś w rodzaju łagodnego szoku, albo może panował nad nim za pomocą technik medytacyjnych, bo w jego spokoju było coś niesamowitego. Wypuścił powietrze nosem z głęboko pogardliwą miną.

- Kiepsko blefujesz, Castor - wymamrotał. - Ja już nie żyję, więc nie boję się śmierci. Mam też potężnych przyjaciół. Możesz mnie torturować i zabić, a i tak wrócę.

- Skoro nie żyjesz, mogę cię odesłać - odparowałem. - Tym właśnie się zajmuję.

Słyszając to, Moloch uniósł głowę i obejrzał się na mnie z drapieżnym

uśmiechem. Idea schwywania duszy Todda najwyraźniej go nakręciła.

- Ty - wycelowalem w niego palcem - nie wtracaj sie do tego, albo nici z naszej umowy. Spróbuj złapać tę duszę, a stracisz szansę pożarcia innych. Zrozumiałeś?

Odpowiedź padła zza zaciśniętych zębów.

- Tak.

- To dobrze. - Znów odwróciłem się do Todda. - Wiesz, o czym mówię - dodałem. - Prawda? Jestem egzorzystą. Mam moc pozwalającą skrepować cię i zniszczyć.

Tym razem zdołał uśmiechnąć się słabo.

- Czyżby?

- Zabawne, że pytasz - odparłem beznamiętnie. - Zazwyczaj kiedy jestem tak blisko ducha, nieważne w co odzianego, mój radar zaczyna popiskiwać. Kiedy tu na dole spotkałem ciebie i Scruba - przepraszam, Leonarda - niczego nie poczułem. Za każdym razem, kiedy spotykaliśmy się poza tym budynkiem... znów nic. Muszę przyznać, że masz niezły kamuflaż. Bardzo chciałbym się dowiedzieć, jak to robisz. Ale też grasz w to dość długo, by sporo wykombinować.

Todd nie odpowiedział, lecz kiedy na mnie spojrział, w jego oku coś błysnęło: coś jakby wyzwanie bądź drwina. Patrząc w nuty i powtarzając w myślach pierwsze takty, ponownie wyciągnąłem z wewnętrznej kieszeni flet i uniosłem do pozycji roboczej.

- Ale mam dla ciebie złe wieści - podjąłem. - John Gittings zdołał was namierzyć. Nie wiem, gdzie wtedy stał i jakich użył sztuczek. Według mnie nie był szczególnie cwany, ale jakoś to zrobił. Przygwoździł was i zapisał na papierze. - Odchrząknąłem i splunąłem na podłogę. - I to

właśnie zagram ci dziś wieczorem - wymamrotałem, nie patrząc na Todda.

Przyłożyłem flet do ust, próbując wyczuć melodię: odetchnąłem głęboko, przytrzymałem powietrze sekundę, potem drugą, aż w końcu sekundy zamieniły się w rytm i melodia otwarła się przede mną.

Zacząłem gorączkowym trylem, przypominającym świergot szalonego ptaka: lecz ów ptak zanurkował w locie, przecinając kolejne akordy i wyrównując lot pełną oktawę niżej, w wirze ostrych, zawadiackich dźwięków. Potem odskok w C i przytrzymanie, pełne cztery takty, a potem znów niżej. Wszystko to były wyłącznie domysły: próbowałem też oddać jednocześnie obie części wariackiego zapisu Johna, grając dwugłos na jednym instrumencie.

Todd spojrzał na mnie z tępym zdziwieniem, ale poza tym nie zareagował.

Zmiana tonacji, zmiana rytmu i od początku. Nadal brak reakcji Todda. Kiedy dotarłem do najtrudniejszej części, do której według Luke'a Pomfreta miał dołączyć trzeci perkusista, zacząłem stukać piętą o drewniane biurko, wbrew rytmowi muzyki. Trudno było go złamać, ale z zapisów Johna wynikało jasno, że nowy głos powinien nie zgadzać się z resztą rytmu. Kontynuowałem do chwili, gdy dziwaczny brak synchronizacji sprawił, że pomyliłem się, straciłem poczucie kierunku i umilkłem w środku akordu.

- Co to ma być? - spytał Moloch.

- Zamknij się - warknąłem, próbując powtórzyć w myślach sekwencję, która mnie zmyliła.

I znowu, od początku, tym razem szybciej, bo wewnątrz mnie znów narastało poczucie: ów zmysł, będący moim talentem, moją bronią, który

odezwał się w kawiarni w National Gallery, kiedy Pomfret grał na zastawie stołowej. Teraz moje palce same odnajdywały właściwe otwory, a atonalne zawrodozenie wyplýwało w powietrze niczym odpady toksyczne.

Todd skrzywił się obiecująco. Miałem nadzieję, że nie oznacza to wyłącznie tego, że zna się na muzyce.

Ponownie dotarłem do kluczowego miejsca; zacząłem uderzać najpierw jedną piętą, potem obiema. Zawrodozenie fletu i głuchy łoskot rytmu zderzały się i walczyły ze sobą. Skrzywiony Moloch pokręcił głową, ale Todd wyraźnie zaczął się bać...

- Castor... - wyszeptał.

Następnego słowa nie usłyszałem, zagłuszyła je muzyka, zobaczyłem jednak, jak jego wargi się poruszają, i odczytałem je. Kolejna zmiana akordu wywołała grymas prawdziwego bólu. Zaciśnął powieki. Złowieszczy lek Johna działał. Symfonia na bębny, grana na ślepo na flecie prostym. Ale skoro działa, nie ma co krytykować.

- Castor! - powtórzył Todd, tym razem głośniejsz.

Jego głos załamywał się. Wywrócił oczami. Nadal grałem: logika nabazgranego rytmu wciągnęła mnie tak głęboko, że nie mogłem przestać. Dałem mu wybór, ale teraz już go nie miał. W muzyce pojawiła się samotna fraza z piosenki Davida Bowie „Sound and Vision”, a potem rozplýnęła się, zaskakujący gość z innego wymiaru. Lecąc na autopilocie, zdziwiłem się bardziej niż ktokolwiek inny.

Teraz muzyka pędziła do punktu kulminacyjnego, a rytm wtórny kulał za nią powoli - szybko - powoli. Todd krzyczał, po policzkach plýnęły mu łzy.

- Popiół! To popiół! Popiół z naszych ciał! Popiół to punkt naszego

fizycznego skupienia, podajemy go ludziom, których chcemy dopaść. Potem wdzieramy się w nich razem, razem pokonujemy i jedna dusza zostaje wewnątrz. Proszę, Castor! To prawda! Inskrypcja nie pozwala duszy nosiciela ponownie się wynurzyć. Wciąż tam jest, ale zbyt słaba, by z nami walczyć. Przyprawiamy ją raz na miesiąc, by mieć pewność... Nie! Nie!

Nadal coś bełkotał, lecz nie słyszałem już jego słów, bo zagłuszało je dudnienie mojej własnej krwi. Dudnienie. Tak. Ta symfonia potrzebowała perkusji - wymagała jej. Zeskoczyłem z biurka i zacząłem tupać lewą stopą. Stopniowo zamieniło się to w niezgrabny taniec. Zataczałem się jak pijak, a dźwięki wzbierały we mnie i poruszały mną, gdy tylko tego potrzebowały. Na dole grałem, walcząc o życie, lodowato skupiony, wydobywając każdy dźwięk ze swej głowy i z ciemności, wyłącznie wysiłkiem woli. To, co wypływało ze mnie teraz, było inne, a wola nie grała zbyt wielkiej roli. Ostatnie nuty niemal wydarły mi się z gardła, a kiedy ucichły, odkryłem, że klęczę na podłodze obok krzesła Todda.

Oszołomiony wyprostowałem się i wstałem. Spojrzałem na prawnika, tkwiącego w konopnym kokonie. Jego głowa opadła na bok, zmętniałe oczy patrzyły w pustkę. Z kącika ust wypłynęła na kołnierzyk koszuli strużka śliny. Myślałem, że nie żyje, ale po kilku chwilach uświadomiłem sobie, że jego język porusza się w ustach. Próbował coś powiedzieć.

Nachyliłem się, przykładając ucho do jego warg. Przez chwilę słuchałem. Niewyraźnego, ale usłyszałem słaby dźwięk, wznoszący się i opadający, jak na wpół usłyszane głosy pomiędzy stacjami radiowymi, których nie daje się wyraźniej dostroić.

- Przepędziłeś ducha intruza - powiedział stojący u mego boku

Moloch.

- Owszem. - Od mówienia zabolęło mnie gardło. - I spójrz, ktoś jeszcze jest w domu.

- Pierwotny właściciel ciała - potwierdził Moloch. - Wydaje się... zdezorientowany.

- Raczej bliski katatonii - wymamrotałem, odwracając wzrok. - Złapałeś uciekającego Todda?

- To jest Todd. Dusza, która teraz ożywia to mięso. To, co uciekło, nie jest Toddem, lecz kimś innym, żyjącym w tym ciele i posługującym się nazwiskiem. Ale nie, nie pożałem go. Nie pozwoliłeś mi. Zostawiłem go w spokoju.

Kiwnąłem głową. Musiałem usiąść - po występie czułem się pusty, jak wypestkowany owoc. Gdzieś w głowie przebudził się tępy ból. Potykając się, ruszyłem do pustego krzesła i usiadłem ciężko. Oddychałem szybko, chrapliwie, jakbym właśnie przepłynął kanał La Manche, a panika przygniatała mój umysł niemal fizycznym brzemieniem.

Stwór, który kiedyś był Toddem, spojrział gdzieś w dal, oczami widzącymi jedynie pustkę.

- Co on powiedział? - spytałem demona. - Pod koniec coś krzyczał, ale nie mogłem przerwać, żeby posłuchać, bo zgubiłbym melodię. Stracił jej poczucie.

Moloch streścił, z chłodną precyzją odwracając się od powłoki Maynarda Todda, jakby już go nie interesowała.

- Powiedział, że używają popiołu z własnych kremacji jako nośnika fizycznego, umożliwiającego opętanie nowych ciał nosicieli. Nosicielowi podstępem bądź siłą podaje się popioły. Następnie wszystkie dusze

uczestniczące w tym... spisku... wdzierają się jednocześnie w głąb nowego nosiciela, obezwładniając jego duszę tak, by jeden z nich mógł opętać ciało.

- Tyle sam dosłyszałem - odparłem. - Zdawało mi się, że mówił coś jeszcze.

- Powiedział, że z tobą także próbowali to zrobić, kiedy poszedłeś do Mount Grace żeby spalić Johna Gittingsa. Todd poczęstował cię brandy z pierśiówki. W płynie rozpuszczono popioły. Ale sukub zjawił się, nim mogli dokończyć proces, i musieli go przerwać.

Przypomniałem sobie nagłą, straszliwą słabość, która ogarnęła mnie w chwili, gdy trumna Johna potoczyła się w stronę pieca. Zupełnie nie w moim stylu i teraz zrozumiałem dlaczego. Bo to nie byłem ja.

- Mówił także, że ów proces - opętanie - jest tylko tymczasowy. Dusza opętanego próbuje odzyskać panowanie - próbuje uwolnić się spod ich kontroli. Z czasem staje się coraz silniejsza, choćby nie wiem jak próbowali ją zdominować. Muszą spotykać się w Mount Grace raz w miesiącu, żeby powtórzyć rytuał, z braku lepszego słowa, i odnowić panowanie. Robią to w czasie nowiu i nazywają...

- Inskrypcją.

- Tak. - Spojrzał na mnie z wyglodniałym napięciem. - Castor, w końcu, w desperacji, kiedy próbował cię przekonać, byś go oszczędził, odpowiedział na twoje pytania. Lecz tak czy inaczej, wystarczy tylko wyrzucić za okno. Dzisiaj mamy nów.

- Wiem.

- Mamy ich. Możemy zgarnąć wszystkich. Pokiwałem głową.

- Tak.

Może złowieszcze przeczucie, które mnie ogarnęło, to tylko paranoja. Przeprowadziłem właśnie pełne egzorcyzmy - czy też coś bardzo bliskiego. Duch, który uciekł z tego pomieszczenia, powinien albo zniknąć w eterze, albo runąć wprost do piekła. Tak podpowiadało doświadczenie.

Ale jaki byłby najgorszy scenariusz? Że twarda, stara dusza została przegnana, ale miała dość sił, by oprzeć się unicestwieniu. Że wiedziała, dokąd zmierza, i wystarczyło jej mocy, by tam dotrzeć. Jasne, duch tkwiący w ciele Johna Gittingsa musiał zostać dostarczony do Mount Grace i tam spalony - ale też domu Johna strzegło więcej amuletów i zaklęć niż Pentonville murów. W zamierzeniu miały nie dopuścić umarłych do środka, ale działały w obie strony: dlatego właśnie oszalały, zdesperowany duch zgeistował. Lecz tu, w biurze Todda - zauważyłem to podczas pierwszej wizyty - nie było niczego, co powstrzymałoby złośliwych nieboszczyków. Urządziłem zatem próbę przed wielkim przedstawieniem i dobrze, ale całkiem możliwe, że tym samym uprzedziłem drani o swojej wizycie. Będą mieli mnóstwo czasu, by zgotować mi paskudne powitanie.

- Musimy już iść - oznajmiłem.

Moloch przyjrzał mi się z bezlitosną kalkulacją.

- Myślisz, że dasz radę utrzymać się na nogach?

- Tak - przemówiłem z mgły wyczerpania i bólu. - Muszę tylko złapać wiatr w żagle.

- Nie możemy wejść tam teraz - przypomniał tym samym, zimnym tonem. - Potrzebujemy pani.

Niechętnie podniosłem się z miejsca.

- Wiem - wymamrotałem.

- Dasz radę ją znaleźć?

Nie odpowiedziałem, bo nie wiedziałem. Istniało jeszcze jedno miejsce warte sprawdzenia, ale wiedziałem z całą pewnością, że nie będę tam mile widziany. Podreptałem na dół schodami. Nie słyszałem kroków Molocha, lecz mrowienie na karku świadczyło, że idzie za mną.

Noc wznosiła się przed nami niczym olbrzymia góra. Tylko idioci wdrapują się na nie w ciemności.

Nie spodziewałem się tak szybko wrócić do Royal Oak, a Susan Book także mnie nie oczekiwała. Podczas czterech czy pięciu sekund, które minęły od dźwięków Jerusalem do otwarcia drzwi, zebrałem się w sobie, oczekując burzy.

Susan jednak nie była w nastroju, by mnie nią powitać. Oczy zapuchły jej od nieprzelanych łez, a może od snu. Każdy jej gest i mina świadczyły o tym, jak bardzo jest nieszczęśliwa i że przedwcześnie poddała się rozpacz. Najwyraźniej nieobecność Juliet sprawiała jej przejmujący ból. Zważywszy na fakt, że nawet widok Juliet jest jak dawka nielegalnego narkotyku, tak nagłe pozbawienie jej obecności musiało przypominać gwałtowne, przymusowe odstawienie.

Patrzyła na mnie przez chwilę.

- Mówiłam już, że jej tu nie ma - wymamrotała.

- Wiem. Ale pomyślałem sobie, że może znam sposób, by ją sprowadzić. Mogę wejść i wyjaśnić?

Zgarbiłem się, czując na plecach coraz silniejszy wiatr i próbując przemówić do jej litości, gdyby słowa nie zadziałały. Obok mnie Moloch odchylił głowę, powęszył w powietrzu i warknął.

- Ten chlew cuchnie panią - rzekł swym głosem, zgrzytliwym niczym wypadek samochodowy w zwolnionym tempie.

Susan obróciła się i spojrzała na niego, jej oczy się rozszerzyły. Dopóki się nie odezwał, w ogóle go nie zauważyła.

Może po tak długim życiu z Juliet umiała sama rozpoznać, czym był: to by wyjaśniało nagły strach na jej twarzy. Lecz nawet jeśli się tego nie wiedziało, Moloch mógł budzić lęk. A teraz patrzył na nią nieprzeniknionymi, czarnymi oczami. Susan chwyciła oburącz drzwi, jakby szykując się do zatrzaśnięcia ich nam przed nosem, zawahała się jednak, rozdarta między instynktem przetrwania a dobrym wychowaniem.

Nie byłem pewien, jak ich sobie przedstawić, więc nawet nie spróbowałem. Zamiast tego odwróciłem się do Molocha, stanowił bowiem pilniejszy problem.

- Juliet tu mieszka - poinformowałem go. - Ale teraz jej nie ma. Od powrotu ze Stanów nie odezwała się do nikogo. No, oczywiście oprócz Douga Huntera, a to nic nam nie daje. - Z powrotem spojrzałem na Susan. - A może dzwoniła? - spytałem.

Jej nerwowe spojrzenie wędrowało tam i z powrotem między nami dwoma.

- Nie - rzekła. - Ani słowa. Cały czas... siedzę tu, przy telefonie.

- Zapewne kłamie - powiedział z namysłem, beznamytnie Moloch. - Mógłbyś zadać jej ból i sprawdzić. Dysponujesz w tej dziedzinie imponującym talentem.

Susan pisnęła jak pies, któremu nadepnięto na ogon, i spróbowała zatrzasnąć drzwi. Moloch przytrzymał je lekkim, niespiesznym ruchem ręki. Odtrąciłem ją, a on spojrzał na mnie uprzejmie, pytająco, gdy drzwi się zatrzasnęły.

- Nikt - powiedziałem z powolnym, mocnym naciskiem - tu nikomu nie zada bólu. W ogóle tu nie wejdiesz.

- Nie? - Teraz przemawiał łagodnie, z nutą rozbawienia.

- Nie. Zaczekasz po drugiej stronie ulicy, pod tamtą latarnią. - Pokazałem ręką. - I nie zbliżysz się do tych drzwi ani tego domu, dopóki nie wyjdę.

- A dlaczego miałbym to zrobić?

- Bo w przeciwnym razie biedny piesek nie dostanie nawet jednej kostki. Jeśli chcesz dziś coś zjeść, zrobimy to po mojemu.

Przez dwie, trzy sekundy wpatrywał się we mnie w milczeniu. Zdawało się, że trwa to znacznie dłużej.

- Jeżeli zaproponuje ci herbatę - rzekł w końcu z paskudnym uśmiechem - odmów. I tak mamy mało czasu.

Potem odwrócił się do mnie plecami i odszedł. Ponownie zastukałem i odczekałem. Po jakiejś minucie nacisnąłem dzwonek.

W końcu drzwi uchyliły się odrobinę i ze szpary wyjrzała Susan. Tymczasem zdążyła się już rozplakać. Policzki miała mokre, a twarz spoglądająca na mnie wykrzywiała się w grymasie straszliwego cierpienia.

- Powinieneś już iść, Fix - rzekła zdumiewająco mocnym głosem, jakby, płacząc, pozbyła się części trucizny - Nie powinieneś ze mną rozmawiać po tym, co zrobiłeś Jules. Powinieneś być dla niej lepszym przyjacielem.

Już otworzyłem usta, by wyjaśnić, że to Juliet rozwaliła mi na plecach stolik, a nie ja jej. Ale uznałem, że to nie pora na tanie zdobywanie punktów.

- Myślę, że zdołam sprowadzić ją z powrotem - powtórzyłem. - Jeśli pozwolisz mi wejść na chwilę, wyjaśnię, co chcę zrobić. Potem, jeżeli odmówisz, pójdę sobie.

- Nie. Nie chcę, żebyś tu wchodził. Nie, dopóki jestem sama.

- W takim razie pozwól wyjaśnić tutaj - zaproponowałem.

- Nie chcę słuchać, co masz mi do powiedzenia.

- Susan - spróbowałem po raz ostatni. - Ona musi się o tym dowiedzieć. Zrobiła coś, co może... utrudnić jej zostanie tu, na Ziemi. Albo przynajmniej w Londynie. Coś, co postawiło ją bardzo daleko poza granicą prawa. Dokonała wyboru, według mnie błędnego. I to ją zrani.

- Nic nie może jej zranić. - Susan ponownie pokręciła głową. Nie byłem pewien, czy to przechwałki, czy skarga.

- Myślę, że utrata ciebie by ją zraniła. A jeśli będzie musiała uciekać w pośpiechu, jeśli wszyscy egzorcyści, których zdoła zatrudnić policja, już ostrzą noże, szykując się do walki i w mieście zrobi się za gorąco, to cię zostawi. - Zawiesiłem na moment głos, pozwalając, by ta myśl do niej dotarła, a potem zadałem ostatni cios. - A może sądzisz, że mogłabyś zamieszkać na trochę z jej rodziną?

Po twarzy Susan przetoczyła się cała kawalkada emocji. Nade wszystko chciałem odwrócić wzrok. Słowa Molocha o tym, że mam talent do zadawania bólu ludziom, nadal wisiały w powietrzu: w Abu Ghraib nie uznano by tego za tortury, lecz tu, na progu, w zachodnim Londynie, pod koniec zimy, z mroźnym wiatrem wiejącym mi po twarzy, czułem się jak kat.

Susan patrzyła na mnie, kręcąc głową, odrzucając obraz, który przed nią nakreśliłem - a może odrzucając mnie, przenikając wzrokiem poprzez zmalretowane ciało, aż do mrocznego serca i mówiąc: „nie”. Bez słowa odsunęła się, wpuszczając mnie do środka, a potem zamknęła drzwi, przekręciła klucz i zaciągnęła obie zasuwki. Zaczekałem aż skończy i dałem się poprowadzić do salonu. Był to zaledwie gest, pozwalający

udawać, że Susan wciąż panuje nad sytuacją. Przypomniałem sobie naszą niedoszłą kolację i wszystko, co działo się później, i z trudem zwalczyłem poczucie dojmującego wstydu. Mimo wszystko miała rację: powinienem być lepszym przyjacielem.

Skinieniem ręki, z wyraźnym brakiem entuzjazmu, wskazała mi krzesło. Nadal stałem - nie miałem prawa do jej gościnności. Sama usiadła w jednym z foteli. Zdziwiłem się, i to niemiło, widząc na stoliku obok na wpół opróżnioną butelkę whisky i pół szklanki trunku.

- Zamierzałem - wyjaśniłem - zagrać pierwsze parę dźwięków egzorcyzmów. Egzorcyzmów Juliet.

Oczy Susan rozszerzyły się gwałtownie, zaczęła coś mówić, ale ja parłem dalej, zagłuszając ją.

- Nie części krępującej i odsyłającej, Sue. Jedynie przywołania. Juliet mówiła, że nieważne, gdzie to zagram, zawsze usłyszysz i przyjdzie, żeby... - „Rozszarpać ci gardło”, tak brzmiały jej słowa. Rozpaczliwie szukałem w głowie oględniejszego odpowiednika. - Mnie powstrzymać.

Susan patrzyła na mnie z głębokim, przejmującym, odbierającym mowę oburzeniem. Cała dygotała.

- O tak, powstrzyma cię - zapewniła.

- Wierz mi, Sue, to nie tak, że jej nie doceniam. Po prostu mam nadzieję, że zdołam wyjaśnić, po co przyszedłem, zanim się wtrąci i zrobi ze mną coś nieodwracalnego. Dlatego właśnie wolałbym to załatwić tutaj. Pomyślałem, że mogłaby się zawahać przed czymś bardzo gwałtownym w twojej obecności. Nie chciałyby cię zranić ani przestraszyć.

Te słowa wcale nie pocieszyły Susan. Mimo potwornego wyczerpania i desperackiego pragnienia załatwienia tego, co muszę zrobić,

zanim padnę i oklapnę jak przedziurawiony balon, próbowałem tłumaczyć.

- Jest pewna kobieta. Ktoś, kogo poznała. Nie... romantycznie. W czasie pracy. Ta kobieta potrzebuje pomocy, taka jest prawda. I to właśnie próbuje zrobić Juliet, pomóc jej. Ale nie uważam, by akurat jej pomoc była czymś, czego tamta potrzebuje. O to właśnie pokłóciliśmy się w Alabamie. Jest w tym coś więcej, ale mam nadzieję, że Juliet zgodzi się na kompromis, który jej zaproponuję. - Wzruszyłem ramionami. - To wszystko - dodałem. - Wszystko co chciałem powiedzieć. Reszta zależy od ciebie. I tak to zrobię, ale jeśli każesz mi stąd zniknąć, pójdę gdzie indziej.

Susan podniosła szklanekę z whisky, ale się nie napiła. Jedyne obróciła ją w dłoniach, wbijając wzrok w płytką warstwę niedopitego alkoholu.

- Ta kobieta... - zaczęła. - Czy to sama, o której rozmawialiście przed wyjazdem? Zabójczyni?

Ostrożnie pokiwałem głową.

- Kogo zabiła?

- Ostatnio geja w średnim wieku, który miał ochotę na ostrzejszy skok w bok. Wcześniej... - starannie doбираłem słowa - bardzo dużo ludzi, ale głównie takich, którzy ją skrzywdzili. Albo którzy według niej mogli ją skrzywdzić. Jest chora. Zabijanie to jeden z objawów choroby.

Susan uniosła szklanekę do ust i opróżniła. Skrzywiła się.

- Nie jestem w tym dobra - mruknęła. Zdziwiłem się, że wcześniej przy drzwiach nie zauważyłem, jak bełkotliwie mówi. - Nie lubię nawet tego smaku. Chyba zwymiotuję wszystko, zanim się upiję.

- Susan... - zacząłem.

Niecierpliwie pokręciła głową.

- Zagraj swoją melodię. Chcę to mieć za sobą. Nie chcę tego wszystkiego w moim życiu.

Po raz trzeci tego dnia dobyłem fletu i przytrzymałem w dłoniach, gotów do gry. Zmęczenie zaćmiewało mi umysł i choć wiedziałem, jakie dźwięki muszę zagrać - dźwięki przywołania z odbitym w nich imieniem Juliet - nie mogłem zmusić myśli, by powędrowały w miejsce, w którym powinny się znaleźć. Czułem się jak ktoś, kto próbuje dopasować oko do okularu teleskopu, ale podchodzi pod niewłaściwym kątem i widzi jedynie powiększone odbicie żyłek we własnej gałce ocznej.

Zagrałem jeden dźwięk, wybrany losowo, z nadzieją że szósty zmysł zadziała i muzyka popłynie. Ale nie. W głowie miałem pustkę, nie słyszałem nawet jednej nuty, która połączyłaby się z pierwszą w jakikolwiek sensowny sposób.

Opuściłem flet, przyglądając mu się i z trudem mrugając. Było to dziwne, przerażające uczucie. Miewałem dobre i złe dni, ale nigdy mój talent nie opuścił mnie tak nagle i całkowicie. Chciałem jedynie zagrać przywołanie, to najłatwiejsza część egzorcyzmów: tworząca jedynie ścieżkę, linię najmniejszego oporu dla duszy, której szukamy. Zazwyczaj szło najłatwiej, jeśli znajdowaliśmy się blisko, a trudność rosła wraz z odległością. Ale jedynym powodem, dla którego w ogóle by nie zadziało, nie zadźwięczało w mojej głowie dość długo, by zasugerować początek, byłoby... gdyby...

- Ona już tu jest - powiedziałem. - Prawda?

- Jest na górze. - Susan pokazała ręką. - W naszej sypialni. A przynajmniej to była nasza sypialnia. Nie wiem, czym jest teraz. - Powoli, ostrożnie, lecz nadal rozchlapując nieco na stół, naląła sobie kolejnego

drinka.

Ruszyłem naprzód, mijając ją. Chciałem jakoś ją pocieszyć, ale co mógłbym rzec? Zły przyjaciel Felix znów ruszał do boju: nie ma mowy o żadnych dobrych wieściach.

Główna sypialnia leżała wprost przede mną. Juliet siedziała na parapecie, przyciskając kolana do piersi i unosząc stopy nad ziemię. W pewnym sensie wyglądało to dziwnie dziewczęco. Doug Hunter leżał przywiązany do łóżka zaimprovizowaną lecz imponującą kolekcją sznurów i starych skórzanych pasków. Sprawiał wrażenie spokojnego, był to jednak ponury, niepewny spokój: spokój kogoś, kto już wcześniej zaciekle walczył z więzami i za każdym razem przegrywał. Z owych mętnych, jasnoniebieskich oczu wyjrzała na mnie Myriam Kale i uśmiechnęła się niesymetrycznie. Zatrzymałem się w drzwiach.

- Czy wolno mi się zbliżyć? - spytałem.

Juliet obdarzyła mnie czymś, co u normalnej ludzkiej kobiety byłoby staroświeckim spojrzeniem.

- Możesz wejść, Castor - rzekła. - Nie zamierzam cię atakować. Nie mam ci za złe tego, że miałeś rację. A przynajmniej nie aż w takim stopniu.

Wszedłem do pokoju, omijając łóżko, i stanąłem obok Juliet, wyglądając przez okno. Pod latarnią naprzeciw czuwała ciemna postać z pochyloną głową, nieskończenie cierpliwa: czekała na bankiet, który wynagrodzi jej sto lat głodowania.

- Jak zdołałaś wrócić do domu? - spytałem, wiedząc, że z całą pewnością nie usłyszę prawdy. - Przez kabel transatlantycki? Łódką rybacką? Na grzbiecie wieloryba? No jak?

- Bardziej widowiskową trasą - odparła. - To jedna z tych rzeczy, których byś nie zrozumiał.

- Jasne, jasne. - Byłem zbyt zmęczony, by połknąć haczyk. - Rozmawiałem trochę dłużej z twoim znajomym. No wiesz, tym ze starego kraju. - Skinieniem głowy wskazałem za okno, ale nawet się nie obejrzała.

- Poczulałam jego zapach - odparła. - Powinieneś bardziej uważać na demony, Castor. Jesteś przy nich bezpieczny tylko dopóki cię potrzebują.

- Teraz mi to mówisz. - Obróciłem się, patrząc na postać na łóżku.

Doug Hunter uśmiechnął się i sugestywnie poruszył biodrami.

- Jak się miewa Myriam? - zapytałem.

- Jest w kompletnej rozsypce. Najwyraźniej zawsze się tak dzieje. Po ostatnim razie błagała, żeby nie sprowadzali jej z powrotem, ale i tak to zrobili. Tyle że teraz dali jej męskie ciało, bo sądzili, że to może pomóc zapanować nad jej impulsami.

- To znaczy...?

Juliet wzruszyła ramionami i pokręciła głową.

- W tej chwili rzadko już myśli racjonalnie. To prawie wszystko, co z niej wyciągnęłam. Głównie mówi o Lesie. Lesie Lathwellu. I czasem do niego. Mówi mu, że go kocha. Że go zabije. Że chce, żeby on ją zabił. Mówi też dużo o czymś zwanym inskrypcją: nie chce jej, nie przyjmie jej, nie chce jej przepuścić. A potem płacze. Albo przeklina. Albo gryzie się w język i pluje krwią na pościel.

- Jeszcze w więzieniu - przypomniałem - Dougowi podawano środek antypsychotyczny. Lekarstwo powstrzymujące te ataki. Nie pomyślałaś, żeby zabrać je ze sobą?

Juliet jedynie na mnie spojrzała.

- Nie. Wiem. Twój umysł tak nie działa. A ja nie wpadłem na to, by o tym wspomnieć, kiedy rzucałaś mną po tamtym barze. Szkoda. To byłby lepszy tekst niż „będę na ciebie polował i zabiję jak psa”. Nieźle cię wtedy wkurzyłem.

- Nie moglibyśmy dostać tego leku od lekarza?

- Nie bez zabrania Douga do lekarza. A wtedy wszyscy skończylibyśmy w Pentonville.

- Nie wrócę do domu - oznajmiła z łóżka Myriam Kale. Przemówiła umęczonym głosem z gardła Douga Huntera, jak z dna głębokiej jamy. - Nie możecie mnie do tego zmusić. On przyjdzie i mnie zabierze. Zabierze mnie stamtąd. Teraz on jest moim domem. Wyszłam w cichą noc na pobocze, a kiedy wróciłam, wszystko wciąż tam było. Krew na siedzeniach. Nadal nią śmierdzi.

- W takim razie co mamy zrobić? - spytała Juliet. - Zastanawiałam się, czy nie zadzwonić do Coldwooda, ale nie chcę narobić kłopotów Susan. Jeśli znajdą w jej domu Huntera...

- Nie chodzi wyłącznie o Susan - zauważyłem, walcząc z pragnieniem zerknięcia na zegarek. Czas nie był naszym przyjacielem. Musieliśmy działać. Ale Juliet można tylko zaprosić, nie przymusić. - O ciebie także. Wyciągnęłaś Huntera z więzienia. Nie przeszłaś przed kamerą, ale niewiele osób jest zdolnych do podobnego wyczynu. Jak dotąd, uratował cię tylko fakt, że Gary Coldwood leży w szpitalu, a to on wie, gdzie mieszkasz.

Wyraźnie zaskoczyła ją ta informacja.

- W szpitalu? Co mu się stało?

- Wciągnąłem go w tę sprawę po tym, jak ktoś próbował mnie zabić.

Pomyślałem, że zdoła potrząsnąć drzewem lepiej ode mnie. Ale oni tylko zrujnowali mu karierę i połamali nogi. Juliet, musimy to załatwić. Nie tylko Myriam Kale, ale wszystko. Mount Grace, imprezę z reinkarnacjami, wszystko.

- Pan mnie puści - zasugerowała z łóżka Myriam Kale, patrząc na mnie wielkimi, obłąkanymi oczami. - Obciągnę panu, obciągnę i wszystko połknę. Najlepsza laska w pana życiu.

Juliet zmarszczyła brwi.

- Mount Grace? Krematorium? Jaki to ma związek z nim?

Opowiedziałem jej wszystko najszybciej jak mogłem, zaczynając od pogrzebu Johna i omawiając kolejne ważniejsze wydarzenia. Kiedy dotarłem do Molocha i roli, jaką odegrał, wyszczerzyła zęby. A kiedy zasugerowałem, że mogłaby zechcieć pójść z nami i wziąć udział w niewielkim włamaniu i hurtowej rzezi, z ponurym zdumieniem pokręciła głową.

- Miałabym walczyć u boku demona? - spytała.

- W zasadzie tak. - Staralem się, by zabrzmiało to pewnie. - Jeśli masz problem ze szcurami, potrzebny ci terier. Wedle moich najlepszych ocen, tych skurwieli jest ze dwustu. Dałabyś im radę sama?

- Nie. Ci w ciele byłiby łatwą ofiarą. Duchy... wątpię, by zareagowały na mnie jak należy.

- Właśnie. A ja mógłbym egzorcyzmować duchy, ale to morderczo ciężka praca. Raz już dziś grałem tę melodię, zupełnie jakby rzuciło się na mnie paru gości z bejsbolami. Poza tym istnieje szansa, że nawet to nie wystarczy: nie samo w sobie. Ci goście są twardzi. Niektórzy od stu lat wymykają się śmierci. Mógłbym przegnać dusze z wypożyczonych ciał,

ale poważnie wątpię, czy zdołałbym je usunąć z tego padołu. Wciąż by tu były, nadal niebezpieczne: pragnęłyby zemsty i najprawdopodobniej by mnie dopadły. Natomiast Moloch to wyspecjalizowany drapieżnik. Stałby obok nas z nożem i widelcem, by dokończyć dzieła. Widzisz, razem, we trójkę moglibyśmy...

- Castor, co ja bym z tego miała? Powiedz wyraźnie.

Zawahałem się. Miałem nadzieję, że logistyka wciągnie ją do tego stopnia, by nie zadała trudnych pytań.

- Zemstę? - podsunąłem.

Szczerze się zdziwiła.

- Za Coldwooda?

- Tak.

Długa cisza.

- Nie sądzę - powiedziała w końcu. - To nie moja wałka. A teraz jeszcze mniej niż kiedyś. Nikt mi nie płaci. Kiedy skończymy, nikogo to nie obejdzie. Zemsta nie wystarczy.

Powoli wypuściłem ustami powietrze.

- No dobra... Mógłbym odwołać się do twojego poczucia obowiązku obywatelskiego, ale nie znoszę, kiedy się ze mnie śmiejesz. Jeśli o mnie chodzi, to kwestia życia lub śmierci. Wiedzą, że dowiedziałem się o nich, i nie dadzą mi spokoju. - Zawahałem się. - A co do ciebie, z globalnej perspektywy, kiedy wszystko się skończy, możesz zyskać to...

- Że zostaniesz ze mną - dokończyła z progu Susan.

Oboje obróciliśmy się ku niej, z idealnym, komicznym zgraniem.

- Sue. - Ton Juliet był łagodniejszy niż słowa. - Zaczekaj na dole. To ciebie nie dotyczy.

Susan zamknęła za sobą drzwi i splotła ręce na piersi. Nigdy wcześniej nie widziałem u niej podobnego wyrazu twarzy. Raz jeden zerknęła nerwowo na związaną postać na łóżku, a potem skupiła całą uwagę na Juliet.

- Sprowadziłaś do mojego domu zbiegłą zabójczynię, Jules - rzekła tonem przywodzącym na myśl napiętą do granic wytrzymałości strunę. - A ja ci pozwoliłam, bo myślałam, że nie zrobiłabyś tego, gdybyś nie musiała. Ale jeśli postąpiłaś tak tylko dlatego, że to kobieta, która zabija mężczyzn, a kiedyś ty sama... sama to robiłaś, to nie wystarczy. Poza tym Felix ma rację co do jednego. Jeśli tego nie naprawisz, będziesz musiała odejść. Stracę cię. Nie chcę cię stracić z powodu czegoś takiego.

Juliet nie zdziwiłaby się bardziej, gdyby słowa te wyśpiewała przed nią kawalkada stepujących myszy. Zamrugła, wyraźnie próbując ogarnąć myślami sytuację.

- Gdybym nawet musiała odejść - oznajmiła - wrócę do ciebie. Nie mogą mnie powstrzymać.

Napięta struna pękła.

- Mogą cię odesłać do domu! - krzyknęła Susan, podchodząc do Juliet z zaciśniętymi pięściami, jakby zamierzała ją uderzyć. Znowu się rozplakała, ale tym razem nie ścierała płynących po policzkach łez, nawet ich nie dostrzegała. Pałała tak ognistym gniewem, że zdziwiłem się, że nie parują. - Mogą cię schwytać i odesłać do piekła, nieważne, jaka jesteś silna. Znajdziesz się tam, w ciemności, i będziesz musiała czekać, aż znowu ktoś cię wezwie. Tyle że wezwie cię jako niewolnicę, tak jak wcześniej. Albo ja będę musiała znaleźć sposób, by cię przywołać. I co wtedy? Wtedy byłabyś moją niewolnicą! My... nie byłybyśmy już sobą.

Stałybyśmy się żalonym, mizernym żartem. To musi się skończyć, Jules. Musisz położyć temu kres, a potem wszystko wyjaśnić i przeprosić.

Mniej więcej od połowy wywrzaskiwała te słowa, zamiast po prostu krzyżeć. Jej pięści dygotały jak kamertony. Juliet chwyciła je w dłonie, łagodnie popchnęła w dół, a potem objęła Susan. Ta oklapła jej w ramionach, nagle pozbawiona wszelkiej woli walki.

- Musisz - wymamrotała niemal niesłyszalnie, przyciskając głowę do piersi Juliet. - Proszę. Dla mnie.

Juliet patrzyła na mnie ponad głową Susan. Nie sprawiała wrażenia uszczęśliwionej. Więcej, wyglądała jakby się bała, i to nie duchów z Mount Grace.

- Taki masz plan? - spytała ostro z ponurą, beznamiętną miną. - Idziemy do krematorium. Włamujemy się do środka. A ja utrzymuję naszą trójkę przy życiu dość długo, byś zagrał swoją melodię, a Moloch się posilił?

Nieco wstrząsnęło mną to, jak szybko sytuacja się zmieniła. Ku własnemu zdumieniu uświadomiłem sobie, że nie spodziewałem się wygrać w tym starciu.

- Kryję w tym nieco więcej - odparłem niezręcznie. - Ale tak, taki jest podstawowy plan.

- To absurd. Nie znamy ich liczby ani siły.

Juliet pocałowała Susan łagodnie w policzek, jeszcze chwilę tuliła ją do siebie, a potem bardzo stanowczo odsunęła na bok. Susan przyjęła to wszystko z wielkim stoicyzmem.

Sięgnąłem do kieszeni i wyciągnąłem z rękawa asa. To była oddarta kartka papieru, którą znalazłem w zegarku kieszonkowym Johna Gittingsa

- gdy się zastanowić, naprawdę zadał sobie mnóstwo trudu, by dopilnować, że dostanę wszystko, czego mi trzeba. W czasie, gdy jego mózg odmawiał współpracy, John wykazał się większą przebiegłością niż kiedykolwiek wcześniej.

- John był tam przed nami - oznajmiłem.

- I dlatego umarł?

- Owszem, ale zostawił notatki. Nie mówią nic o ich mocnych stronach, ale jest tu parę fascynujących sugestii co do słabości.

- A ty - Juliet przygwoździła mnie zimnym, twardym spojrzeniem - mówiłaś, że trudno zagrać tę melodię, że cię wyczerpała. Sądzisz, że wystarczy ci energii, by zagrać ją dziś jeszcze raz? Proszę, nie bierz tego do siebie, ale wyglądasz, jakbyś miał mieć problemy nawet z nadmuchaniem balonika.

Myślałem dokładnie o tym samym, ale ponieważ nie miałem wyboru, jedynie wzruszyłem ramionami.

- Poradzę sobie - oświadczyłem. - Zawsze sobie radzę.

Wyraz twarzy Juliet nie uległ zmianie.

- Jeśli nie będziesz w stanie tego zrobić - rzekła - to lepiej powiedz od razu. Nie ma sensu ruszać do walki z planem, który nie zadziała.

- No dobra - przyznałem. - W tej chwili raczej nie byłbym w stanie. Ale dotarcie tam zabierze nam co najmniej godzinę. Mam nadzieję, że to dość czasu, żebym odzyskał trochę sił.

- Zobaczymy - zapowiedziała ponuro.

Zostawiłem ją i Susan same na parę minut, żeby mogły się pożegnać. Kiedy Juliet wyszła z sypialni, posłałem jej pytające spojrzenie. Minęła mnie bez słowa z nieprzeniknioną miną, lecz w ułożeniu jej ramion

wyczułem napięcie, którego nigdy wcześniej nie widziałem. Zazwyczaj Juliet posługuje się mową ciała, żeby zwabiać mężczyzn - to jej druga natura, część tego, jak się żywi. Fakt, że mogła stracić panowanie nad swym ciałem, nawet w tak drobnej materii, był zdumiewający i bardzo niepokojący.

Na nasz widok Moloch uśmiechnął się i ironicznie skłonił przed Juliet.

- Siostrze Bafometa - wychrypiął - zaszczytasz mnie bardziej niż całe moje plemię. Nigdy nie sądziłbym, że ktoś z tak mizernych kręgów mógłby...

Potężne uderzenie Juliet sprawiło, że zachwiał się na nogach, jego głowa poleciała w tył.

- Trzeba było pozostać w swych mizernych kręgach - warknęła, przyszpilając go wzrokiem. - To groteskowe, widzieć się tu, na Ziemi. Jedno słowo, Molochu. Jeszcze jedno słowo zużyje resztki mojej skromnej cierpliwości.

Twarz demona nie jest wcale trudniejsza do odczytania niż człowieka. Po jego zwężonych oczach i napiętym uśmiechu widziałem, że miał na końcu języka ciętą ripostę - ale zabrakło mu jaj, by ją wygłosić.

- Wszystko w porządku? - spytałem, przerywając napiętą ciszę.

Oboje bez przekonania pokiwali głowami.

- W takim razie ruszajmy dokonać dzieła zniszczenia.

Podczas górskiej wspinaczki pierwszą rzeczą jest rozbicie obozu wyjściowego. W naszym przypadku stała się nim budowa na końcu Ropery Street, tuż obok krematorium, po drugiej stronie ziemi niczyjej z normalnego błota. No dobra, oprócz niej, od wypielegnowanych terenów Mount Grace oddzielało nas także wysokie ogrodzenie, ale widzieliśmy wszystko wyraźnie. Dość wyraźnie, by dostrzec światła samochodów, jadących podjazdem dwójkami i trójkami, a potem zatrzymujących się i gasnących, gdy kierowcy wchodzili do budynku. Inskrypcja już się zaczęła, albo może zacznie wkrótce. Tak czy owak, mieliśmy na wyciągnięcie ręki wszystkich naszych wrogów, żywych i umarłych. Szczęściarze.

Staliśmy niemal na szczycie wieży rusztowań, otaczającej skorupę powstającego budynku. Moloch i Juliet wpatrywali się czujnie w ciemność, która nie miała przed nimi tajemnic. Osobiście ni chuja nic nie widziałem: nie dość, że był nów, to jeszcze niebo nad nami pokrywała skłębiona masa czerni w czerni - tak wysoko wiatr wymierzał nam całe serie potężnych ciosów. Lecz na razie burza jeszcze się nie rozpełtała, może czekała na bardziej dramatyczny moment.

- Są tam zbrojni - oznajmiła w końcu Juliet. - Mnóstwo zbrojnych. Niektórzy przy bramie, inni przy drzwiach. Kolejni zajmują pozycje w ogrodach. Wyraźnie wiedzą, co robią. Grupki dwu-, trzyosobowe, każda pozostająca w kontakcie wzrokowym z co najmniej dwiema innymi.

- Wynajęta ochrona - rzekłem. - Pewnie nielegalnie, skoro mają pistolety.

- Karabiny - wymamrotał Moloch. - I pistolety za pasem. A także granaty.

Wzruszyłem ramionami z możliwie największą nonszalancją.

- To ma sens - przyznałem. - Tu właśnie nasza mafia umarłaków jest najślabsza, pojedynczo i w grupie.

- W jakim sensie? - spytała Juliet.

- Wszyscy muszą na nowo związać i zakneblować swych wewnętrznych zakładników, toteż potrzeba co najmniej części ich sił, by utrzymać panowanie nad ciałami. Po rytuale czeka ich miesiąc spokoju. Są też narażeni, bo zebrali się razem. Wiedzą doskonale, że gdyby ktoś chciał się ich pozbyć, to jest to najlepsza chwila. Stąd ta paranoiczna ochrona. Właściwie powinna nas ucieszyć. Dowodzi, że się boją.

- Dowodzi też, że nie są głupi ani ślepi - zauważyła Juliet. - Gdyby byli, mielibyśmy większą szansę powodzenia.

Nie odpowiedziałem. Przyglądałem się deskom rusztowania pod stopami, chyboczącym się lekko na wietrze. Teraz wiedziałem, że to tutaj nastąpił zwrot w życiu Douga Huntera. Zadzwoiłbym do Jan, by potwierdzić tę hipotezę, ale nie wątpiłem, co mi odpowie. To było ostatnie miejsce, gdzie pracował. W dniu, kiedy zwichnął sobie kostkę, poszedł obok, do krematorium, żeby sprawdzić, czy zdoła wyżebrać, porzucić bądź podwędzić apteczkę. I była to ostatnia rzecz, jaką zrobił z własnej woli.

Nagle wydało mi się to złym omenem: przypuścić atak z miejsca o takiej historii. Zapragnąłem się stąd wydostać i zacząć działać, bo im szybciej to zrobimy, tym szybciej będziemy mieli wszystko za sobą.

Kiedy jednak postąpiłem krok w stronę drabiny, Juliet wyciągnęła rękę i zacisnęła mi ją na ramieniu, zatrzymując mnie w miejscu.

- Castor - powiedziała. - Jest jeszcze coś, co musisz tu zrobić. Ty - to do Molocha - zejź na dół i zaczekaj na nas. Dołączymy do ciebie za jakieś pięć minut.

Moloch wyszczerzył zęby.

- Sojusznicy nie powinni mieć przed sobą tajemnic. Cokolwiek masz do powiedzenia, powinniśmy usłyszeć to wszyscy.

- Nie mam nic do powiedzenia - poinformowała go Juliet. - A poza tym z pewnością masz dość dobry słuch, by i tak wszystko usłyszeć. Ale nie będziesz oglądał.

Moloch nie odpowiedział. Z wyraźną niechęcią postawił stopę na drabinie i zaczął schodzić.

Spojrzałem na Juliet. Odpowiedziała spojrzeniem. W moim brzuchu winda zerwała się z kabli i runęła na samo dno szybu.

- Wciąż jesteś słaby - rzekła.

- Tak. - Mój głos nawet w moich uszach wydawał się lekko zdławiony. - Bywało lepiej.

- Może tego nie wiesz, ale umiem nie tylko brać, ale i dawać. Przez kilka sekund wpatrywałem się w nią, szukając w głowie odpowiednich słów. Nie znalazłem ich.

- Umiesz...

- Kiedy się posilam, odbieram mężczyznom, z którymi się pieprzę, ich siłę, życie i duszę. Kiedyś zaczęłam to robić z tobą. Na pewno pamiętasz.

Skinałem głową - przez większość nocy, kiedy budziłem się w mroku

z zimnym potem na twarzy i piersi i sercem tańczącym podkręcone mambo, pamiętałem aż za dobrze.

- Nie zamierzam się z tobą kochać. Gdyby Susan się dowiedziała, zraniłoby ją to, a wolałabym jej nie okłamywać. Ale użyję ci nieco sił potrzebnych do dzisiejszego zadania. Być może dzięki temu przeżyjesz tę noc.

Dwa kroki i znalazła się blisko mnie, jej oczy patrzyły wprost w moje. Niemal zerowy dystans. Niemal zerowa osobliwość - czarne dziury jej źrenic wciągały mnie, nie wbrew mej woli, lecz wykorzystując wolę, by wzmocnić jeszcze swoje przyciąganie.

Położyła mi dłoń na karku i przyciągnęła blisko. Nasze wargi się zetknęły.

A przynajmniej zakładam, że się zetknęły. Gdyby hipnoterapia gwarantowała, że sobie przypomnę, jeszcze dziś zapisałbym się na kurs i chętnie zapłacił ile trzeba, łącznie z własną prawą ręką. Lecz choć potrafię przywołać w pamięci każdy morderczy szczegół owej nocy, kiedy Juliet próbowała mnie zgwałcić i pożyć, z pocałunku pamiętam tylko uczucie, jakby całe moje ciało stopiło się, rozpląnęło jak lój, zamieniło w parę, a potem spadło jak deszcz dokładnie w to samo miejsce, w którym stałem. Nie wiem nawet, jak długo to trwało: nie da się określić trwania czegoś podobnego. Było. Było wszędzie. A potem przestało. Juliet cofnęła się ku drabinie, a ja zostałem sam, każdą komórką ciała z osobna czując chłodne powietrze nocy.

- To powinno wystarczyć - dobiegł z nieokreślonej odległości głos Juliet. - Wykorzystaj to mądrze.

Z ogromną niechęcią dochodząc do siebie po euforii, która zniknęła

już z mojego umysłu, nie pozostawiając śladów, obróciłem się, by pójść za nią. Moje ciało wypełniało gorąco, suche jak powietrze w palenisku. Gdyby nie ono, rozplakałbym się.

- A teraz - powiedział z ironiczną emfazą Moloch, kiedy dotarliśmy na dół - jeśli poprawiłaś już sukienkę... - Ostrzegawcze spojrzenie Juliet uciszyło go.

- My jesteśmy szpicą - poinformowałem go. - Wejdziemy od frontu. Juliet dołączy do nas, kiedy zrobi to co konieczne.

Skłonił się, pokazując gestem, abym poszedł pierwszy. Jeszcze raz obejrzałem się na nią.

- Życzę szczęścia - rzuciłem z braku czegoś lepszego.

- Nie ma czegoś takiego - odparła beznamiętnie, już się oddalając. - Ufaj szczęściu, a dziś w nocy zginiesz.

Skierowałem się ku wyjściu z budowy. Gdy się zjawiliśmy, bramę zamykała kłódka. Moloch przekręcił ją między palcem a kciukiem i pękła, a potem lekceważąco odrzucił przez ramię. Teraz nic nam nie przeszkodziło i z powrotem znaleźliśmy się na ulicy.

Brama krematorium stanowiła dużo poważniejszą przeszkodę. Mieliśmy ją po lewej, najwyżej pół kilometra dalej. W dniu kremacji Johna nie zdołałem się jej przyjrzeć, ale teraz widziałem, że zbudowano ją tak, by wytrzymała poważne oblężenie. W miejscu, gdzie skrzydła się stykały, ujrzałem masywny łańcuch i pęk kłódek, przypominające olbrzymią bransoletkę z wisiorkami.

Nie śpieszyliśmy się, nie chcieliśmy dotrzeć na miejsce zbyt wcześnie. Gdy się zbliżyliśmy, beznamiętni mężczyźni w środku spojrzeli na nas przez kraty. Było ich trzech, ubranych w żałobne, czarne mundury

księży bądź pracowników ochrony. Ale większość księży nie może się pochwalić podobną budową. Przyjrzałem im się. Ani śladu broni krótkiej - jedynie atomowe pałki w kaburach u pasów - ale też nie chcieliby, by przypadkowy przechodzeń zauważył coś podejrzanego i wezwał policję. Jeśli tylko damy im pretekst, wkrótce ujrzymy też karabiny.

- Dobry wieczór, panowie - rzuciłem, zatrzymując się tuż przy bramie.

Mistyczne energie Juliet płonęły we mnie, kipiałem rozbawieniem. Trudno mi było nie roześmiać się w głos.

Facet pośrodku obdarzył mnie znudzonym, neutralnym spojrzeniem.

- Możemy czymś panom służyć? - spytał tonem wyraźnie nieoczekującym potwierdzenia i sugerującym, że byłoby niemile widziane.

- Tak - odparłem pogodnie. - Przyszliśmy zobaczyć wuja George'a. Leży w ogrodzie pamięci, tuż obok kamiennego cherubina z faszystowskim graffiti na dupie. George Armstrong Castor. Służył w kawalerii.

Strażnik nie odpowiedział natychmiast, spojrzął na nas przeciągle, a jego brwi uniosły się, kreśląc na twarzy ciemne V kamiennej dezaprobaty.

- Ogród pamięci jest zamknięty - oznajmił. - Będziecie musieli wrócić jutro rano.

Stanowczo pokręciłem głową.

- Jutro rano nic nam nie da. Oplakujemy go teraz. Do jutra zapewne znów poczujemy się cyniczni i samowystarczalni. Zechcecie otworzyć, zanim stracę cierpliwość?

Słowa zawisły w powietrzu. Uśmiechałem się, kiedy je wypowiadałem: lekko obłąkanym uśmiechem, w żaden sposób nie

osłabiającym groźby. Ale zboląła mina strażnika, który podrapał się po uchu i uniósł ramiona, mówiła niezwykle jasno, że to mało wiarygodna groźba - i że ma już dość uprzejmości na tę noc.

- Wypierdalaj stąd, koleś - zaproponował. - Mówiłem już, mamy zamknięte.

Moloch minął mnie i chwycił oburącz pręty, napinając mięśnie. Potrząsnął bramą w zawiasach, sprawdzając jej ciężar i trwałość. Jeden ze strażników z boku roześmiał się szyderczo. Lecz dowodzący nimi gość wyraźnie nie widział w tym nic śmiesznego.

Postąpił krok w stronę bramy, sięgając ręką do uchwytu pałki. I wtedy właśnie, szczęśliwym trafem, zaczęła się zabawa. Z daleka z prawej dobiegł nas przeraźliwy huk: trzech strażnicy odwrócili głowy, zaskoczeni, sprawdzając co to za hałas. My natomiast, świadomi, że coś się stanie, nie musieliśmy.

Pamiętałem, jak Todd mówił, że wspólnota z Mount Grace wolała zatrzymać wszystko w rodzinie, więc to, co zdarzyło się później, nie było niczym, na co owe bandyckie dusze operujące tych ludzi sobie nie zasłużyły. Niestety, pamiętałem też, że ich ciała wciąż należały do kogoś innego, że w każdym z nich tkwił więzień zamknięty w ślepej celi i błagający o uwolnienie. Moloch spełnił ich życzenie w wyjątkowo odrażający sposób.

Pchnął bramę w górę i do wewnątrz, zawiasy puściły z serią ostrych, metalicznych trzasków, przypominających uderzenia młota o kowadło. A potem zamachnął się oboma skrzydłami, jak gigantyczną packą na muchy i uderzył trzech mężczyzn, przygniatając ich do ziemi.

Wstępując na zaimprovizowany most, odwróciłem wzrok, próbując

nie patrzeć na czerwoną ruinę krwi i kości pod moimi stopami. Powtarzałem sobie, że nie mieliśmy wyboru: myślałem o Johnie Gittingsie, Vinsie Chesneyu i Garym Coldwoodzie. Nie pomogło: nic nie mogło zrównoważyć podobnego ciężaru.

Moloch maszerował przodem, nawet nie próbując oglądać się za siebie i sprawdzić, czy wciąż mu towarzyszę. Wyjąłem flet i przyłożyłem do ust.

Ściana to nie ściana, widniało w liście Johna. Innymi słowy, duchów z Mount Grace nie ograniczały bariery fizyczne i każdy, kto sądził, że wytrzyma pod ich ostrzałem, póki nie dotrze do drzwi frontowych pomieszczenia z piecem czy do innego miejsca, które uzna za epicentrum, zapewne by nie przetrwał.

Zacząłem grać. Tym razem nie musiałem się potykać i macać na oślep: częściowo dlatego, że muzyka nadal dźwięczała mi w duchu, po tym, jak za jej pomocą jak skalpelem odkroiłem ducha od ciała w biurze Maynarda Todda; lecz głównie ponieważ soki, którymi wypełniła mnie podczas pocałunku Juliet, bulgotały i płonęły w mojej krwi. Nie sprawiały wrażenia prądu przepływającego przeze mnie: były bardziej namacalne. Zupełnie jakbym to ja stał się prądem płynącym przez świat.

Kolejny huk i po pokonaniu długiego zakrętu podjazdu ujrzałem sychacz, pojawiający się jakiś kilometr przede mną. Umiejętności szoferskie Juliet nie poprawiły się zbytnio, ale buldożer to pojazd prosty do kierowania, jeśli oczywiście nie obchodzi nas, w co trafiamy. Pierwsza lawina dźwięków - ta, która odwróciła uwagę strażników przy bramie - oznaczała chwilę, gdy Juliet rąbnęła w ogrodzenie i przebiła się przez nie od strony budowy na teren krematorium. Teraz jechała ukośnie przed

nami, pozostawiając za sobą szlak zbezczeszczonych urn i powyginanych słupków. Uganiający się dokoła ludzie strzelali do niej, próbując jednocześnie uniknąć zmiżdżenia pod potężnymi gąsienicami, niosącymi ją naprzód. Juliet nie zwracała uwagi na strzały - zarówno te chybione, jak i kilka tych, które dotarły do celu.

W ten sposób odciągnęła od nas pościg i zagłębiła się w ozdobny, ligustrowy żywopłot na drugim końcu podjazdu, pochyłona wśród porywów wiatru przeradzającego się niemal w huragan; a jednak z nieba wciąż nie spadła nawet kropla deszczu. Szliśmy dalej, przez nikogo nie zatrzymywani. Przed sobą ujrzeliśmy drzwi budynku.

Nie zapowiadało się ciekawie. Mężczyźni w czarnych uniformach, pełniący straż na stopniach, zobaczyli nas z daleka i właśnie klękali, unosząc karabiny.

Moloch ruszył ku nim biegiem, a ja tymczasem skręciłem ze ścieżki między drzewa, ani na moment nie przerywając gry. Część mego umysłu szacowała prawdopodobne trajektorie pocisków, które mogłyby go chybić i polecieć w moją stronę.

Zatoczyłem szeroki łuk pośród odgłosów zderzających się ciał i zdławionych krzyków ludzi na schodach, gdy demon wylądował wśród nich, nie zważając na kule, tak złakniony czekającej go uczyty, że chwilowo przestał go pociągać nawet sadyzm. Gdy wyłoniłem się z kępy drzew, obracał się już, szukając mnie wzrokiem, sztywny ze zniecierpliwienia. Jego pięści zaciskały się i rozluźniały. Wokół na ziemi, niczym liście, leżeli ludzie, nieprzytomni bądź martwi.

Wciąż grałem i muzyka nabrała już własnego rozpędu, tak jak wcześniej w biurze Todda. Grała się sama, poprzez mnie, i miałem

wrażenie, że wystarczy, że przytrzymam flet przy ustach, dając jej sobą kierować. W przeciwnym razie mózg pękłby mi od narastającego ciśnienia, niczym wielki, przepełniony wodą balon.

Przeciąłem podjazd i wspiałem się po schodach, moje stopy arytmicznie uderzały o ziemię, tworząc złożony, przesunięty w fazie podkład, którego potrzebowała muzyka, by zadziałać. Teraz czułem już opór, ale nie w postaci, której się spodziewałem. Sądziłem, że źli zmarli spróbują mnie opętać i że poczuję tę samą słabość i zawroty głowy, jak w dniu kremacji Johna. Ale to zupełnie ich nie przypominało: nie z początku. Zaczęło się jako spowolnienie, jakbym brodził po uda w lodowatej wodzie i musiał przeć naprzód, powoli zwalniając kroku.

Kiedy dołączyłem do Molocha, ten odwrócił się, uniósł ręce i kopniakiem otworzył drzwi, po czym, nie oglądając się, pomaszerował do środka. Tuż za progiem czekało jeszcze dwóch strażników: strzelili mu w pierś i w głowę. Podniósł jednego - lewą ręką za gardło, prawą ściskając krocze - i zamachnął się ciasnym łukiem tak, że jego czaszka zderzyła się z głową drugiego, z odrażającą, niepowstrzymaną siłą. Był to jeden ruch - jeden zatrzymany krok - a potem ruszył dalej, pozostawiając skulone ciała pod aniołem Świętego Mateusza, którego szatę zaplamiała krew i strzępy mózgu.

Poszedłem za nim, lecz choć schroniliśmy się już przed wiatrem, każdy krok stawał się coraz trudniejszy. Teraz, w środku, poczucie oporu narastało: zimna woda sięgała mi wyżej pasa i zastygała w lód, walcząc z gorącem, którym obdarzyła mnie Juliet. Uświadomiłem sobie nagle, nie wiedząc kiedy dokładnie się pojawił, obecność dźwięku, pozostającego niemal poza granicą słuchu: atonalnego pisku, który skubał watek tkanej

przeze mnie melodii, niszcząc zakłęcie, składane mozolnie z miniaturowych porcji.

Kiedy ostatni raz szedłem przez ten hol, wydawał mi się długi na zaledwie dwadzieścia kroków. Teraz sprawiał wrażenie o wiele dłuższego, a każdy krok raczej zwiększał dystans, niż go pomniejszał. Jeden. Drugi. Trzeci. Perspektywa falowała i ugiwała się, przestrzeń ustępowała, krwawiła. Uniosłem lewą stopę i poczułem mordercze wahanie, uskok w czasie, nim znów opadła. W mojej muzyce pojawiła się dziura, przez którą zaczął wylewać się umysł. Siedem. Osiem. Przedzierałem się tunelem metra, powietrze zaciskało się wokół mnie, grunt pod nogami uciekał, oddalając się w bezdenną otchłań.

Dziewięć.

Spowił mnie kokon cienkich pisków, niesłyszanych głosów. Wiedziałem, czym są: niepochowani zmarli, broniący swego wewnętrznego sanktum, z zaciętością i uporem, które za życia stanowiły ich charakterystyczną cechę. W owadzim chórze rozpoznawałem nawet poszczególne głosy, bo mój zmysł śmierci włączył się niczym pasywny radar, analizując i identyfikując zimne, okrutne intelekty, skupione na tym, by mnie zabić.

Przede mną Moloch potknął się, lecz moja percepcja tak bardzo się wyostrzyła, że poruszał się w zwolnionym tempie. W drzwiach kaplicy stał kolejny strażnik, pistolet w jego dłoni celował w tors Molocha, palec naciskał spust. W naciągniętej czarnej skórze, pokrywającej plecy demona, rozkwitły poszarpane dziury, z których niczym łzy wypłynął zielony śluz - drobne, nieważne przeszkody, zarówno dla mnie, jak i dla niego. Lecz powietrze wokół głowy i ramion Molocha gęstniało, jak zwarzone. Żli

zmarli zbierali siły, próbując go nie wpuścić. Zwolnił, chyląc głowę pod niewidzialnym ciężarem.

Ja także go czułem. Dziesiąty krok miał być moim ostatnim: stopa opadała ciężko jak worek pełen kluczy francuskich i wątpiłem, czy wystarczy mi sił, by znów ją podźwignąć. A nawet jeśli, co wtedy? Kolejny krok i jeszcze jeden, jak u Syzyfa z jego głazem. Następny zyskany metr, nic więcej: niewielka zmiana pozycji, pozbawiona znaczenia wobec organicznego rozrastania się korytarza? Lepiej zatrzymać się i odpocząć, sprawdzić co będzie dalej. Może nic. Nic byłoby dobre.

Moloch sięgał oburącz w stronę mężczyzny, który strzelał mu raz po raz w pierś. Lecz demon macał przed sobą niczym ślepiec, a jego stopy, podobnie jak moje, pozostawały wbite w posadzkę. Mętnie pojąłem, skąd ta ślepotą: mnie także coś ohydneho wciskało się do głowy, zasypując mętną świadomość gęstym, żywym, dławiącym osadem, zbierającym się za moimi oczami niczym muł na brzegu rzeki.

Odkryłem, że przeciągam nutę w ustach w pojedynczy oddech, który mógł już tylko słabnąć. Nie miałem pojęcia, co nastąpi po nim. Trudno mi było nawet się przejmować. Z mojego umysłu pozostał samotny promyk światła, migoczący coraz słabiej, zaczynający gasnąć.

Uratowała mnie Juliet - Juliet i nasz pośpiesznie naszkicowany plan. Na zewnątrz rozległ się kolejny apokaliptyczny huk, który wstrząsnął posadami budynku i w tym samym momencie moja świadomość znów wypłynęła na powierzchnię, podskakując i opadając tak, że świat zachybotał się mdląco dokoła i omal nie padłem na kolana. Naddźwiękowy skowyt w uszach osłabł, zmieniając się w głuchy, zawodzący jęk.

Moloch roześmiał się ochryple, tryumfalnie. Choć tego nie widziałem, wiedziałem, że na zewnątrz Juliet wjechała właśnie buldożerem z opuszczoną gotową łyżką na malownicze trawniki i ścieżki ogrodu pamięci. Urny pogrzebowe eksplodowały pod gąsienicami, niczym przejrzałe owoce, rozsypując suche, pradawne popioły w objęcia wygłodniałego wiatru. I czując zbezczeszczone ziemskie szczątki, czując inny wiatr, wiejący z wieczności i atakujący ich milionami palców, nieboszczycy w końcu się przerazili. Ich atak osłabł, bo nie spodziewali się tak potężnej i celnej odpowiedzi. Natchnęła mnie do niej rada, którą przekazał mi John w kopercie zegarka, rada otrzymana wcześniej od tajemniczego informatora: *Pamiętaj, że nadal możesz im zagrozić. To znaczy fizycznie. Jeśli zamachniesz się do kopniaka, przeciwnik zasłoni jaja.* Nie miałem pojęcia, co to znaczy, dopóki Todd nie powiedział mi, że wraz z martwymi kumplami używają własnych popiołów jako przekaźnika pozwalającego przeskakiwać w nowe ciała. To wówczas ujrzałem przed sobą mglisty kształt tego, co musieliśmy zrobić. A kiedy dotarliśmy na budowę i Moloch znalazł w baraku, w sejfie o ścianach grubości zaledwie kilku centymetrów, kluczyki do buldożera, uznałem, że to zrządzenie losu.

Chwila spokoju minęła. Zmarli ponowili atak, choć bez wątplenia kolejny oddział ruszył, aby dopaść Juliet, ogłosić jej wyrok i wymierzyć karę wyznaczoną przez oczyszczoną przez dziesięciolecia zbiorową nienawiść. W sumie mieliśmy zaledwie pięć sekund oddechu.

Ale to wystarczyło. Podchodząc tak blisko, zmarli niezwykle mi pomogli: ich esencja odcisnęła się na mym zmyśle śmierci tak wyraźnie, że mógłbym zagrać dla nich po ciemku, w rękawiczkach. Znów zacząłem grać i melodia zwijała się w powietrzu jak żywa istota, oplatając i

ściskając wściekle duchy, które śmigaly ku mnie, znów próbując uderzyć. Spodziewały się łatwej ofiary i wpadały wprost w rozpedzoną lawinę.

Moloch się przeciągnął. Ponieważ większość mojej uwagi skupiała się gdzie indziej, uznałem, że dźwięk, który usłyszałem, to trzask jego kości. Ale nie: był to głuchy szczęk pistoletu strażnika, gdy iglica uderzyła w pustą komorę. Mężczyzna wpatrywał się w broń oszołomiony i przerażony. Potem zaczął sięgać do pasa, gdzie zapewne ukrywał zapasowy magazynek. Cios Molocha zmiażdżył mu niemal całą twarz, toteż nigdy nie dokończył swego ruchu. Poleciał do tyłu, na drzwi kaplicy i zsunął się po nich na podłogę. Moloch otworzył je pchnięciem i przekraczając umierającego, wmaszerował do środka.

Ruszyłem za nim, rozlewając wokół siebie słodką muzykę, tak jak ninja rzucający szurikenami.

W kaplicy roilo się od zwijających się duchów, widzialnych dzięki melodii, która wbrew ich woli zatrzymała je w miejscu. Przypominały niezwykle złożoną, stale poruszającą się kocią kołyskę, przepływały obok siebie i przez siebie, nawet się nie dotykając. W splątanej masie pojawiały się twarze, ręce, nogi i inne zniekształcone, skape echa ludzkich postaci. A potem znikaly bez śladu.

Moloch spojrzał na mnie.

- *Allegro* - warknął. - I, jeśli zdołasz, *al pepe*.

Ukląkł na jednym kolanie i pochylił głowę. Przez moment wyglądał, jakby groteskowo skłaniał się przed wrogami, których zamierza pożreć. Ale chodziło o coś zupełnie innego. Coś znacznie obrzydliwszego.

Wcześniej mówił mi, że sam stworzył dla siebie ciało, powoli, starannie. Gdybym zastanowił się, co właściwie miał na myśli, zapewne

wyobrazilbym sobie coś w rodzaju robienia swetra na drutach. Ale najwyraźniej wybrałem złą prędkość. Czarna skóra płaszcza Molocha rozstąpiła się w pionie, ukryte pod nią mięśnie zaczęły się napinać i rozrastać: nagle w szerokiej szczelinie w płaszczu ujrzałem coś czerwonego i skłębionego, jakby wnętrzności demona zamieniły się w rozpaloną ciecz.

Z owego kotła wleciało coś jakby para, a potem zmaterializowało się w powietrzu, przybierając kształt, od którego ścisnął mi się żołądek, a w gardle wezbrała kwaśna żółć. Miało wiele kończyn i wiele paszczy. Kończyny siekały powietrze, przenikając przez skłębioną masę zawieszonych tam dusz, w złożonym, powtarzającym się rytmie. Wkrótce dusze zaczęły się zmieniać, przekształcać w coś, co szybko straciło wszelkie podobieństwo do człowieka. I wtedy paszcze otwarły się i Moloch zaczął pić.

Trwało to bardzo długo. Odwróciłem wzrok, skupiony na muzyce, próbując nie słuchać odgłosów bankietu demona. Oznaczało to jednak, że musiałem patrzeć na strażnika o zmiażdżonej twarzy, toteż w końcu zamknąłem oczy i jeszcze kilka minut grałem w ciemności, w abstrakcyjnym transie.

Wyrwała mnie z niego dopiero ręka na ramieniu. Kiedy otworzyłem oczy, u mego boku stała Juliet. Od czoła aż po buty pokrywała ją krew. Zastanawiałem się, czy któryś z zabitych przez nią mężczyzn zginął podniecony. Zapewne nie: poruszała się zbyt szybko, zbyt gwałtownie, by móc uruchomić swe śmiertelne wdzięki. Z jakiejś przyczyny, której nie umiem wyjaśnić, ta myśl sprawiła mi ulgę.

W kaplicy zapadła cisza. Większość duchów zginęła. Nabrzmiała,

ektoplazmatyczna bryła Molocha unosiła się i pulsowała w powietrzu nad nami, jak bluźnierczy zeppelin, po jej powierzchni przelatywały perystaltyczne zmarszczki, a niezliczone macki dygotały.

- Super - powiedziałem ochryple. - Tylko następnym razem, kiedy przekroczysz dziesięć mil na godzinę, wrzuc drugiego biegu. Zamierzałem ci to powiedzieć już kiedy podwiozłaś mnie swym maserati.

Juliet najwyraźniej nie była w nastroju do przekomarzanek.

- Musimy już iść - wymamrotała, wpatrując się w upiorną, widmową masę.

Macki poruszały się wolniej, paszcze zamykały kolejno. Jeśli istnieje duchowy odpowiednik miętówki, demon osiągnął ten etap posiłku, na którym mógł o nią poprosić.

Zrozumiałem, co ma na myśli Juliet, i ruszyłem do drzwi. Ale było już za późno.

- Ach! - jęknął przymilnie Moloch głosem, który docierał do nas poprzez wibracje kości naszych czaszek, bez eterycznego pośrednika. - Siostra Bafometa. Mówiłem ci kiedyś, jak go zabiłem?

Juliet spojrzała na obscenicznego, naźartego stwora o dziesiątkach wyszczerzonych w uśmiechu paszczy.

- Od tyłu - rzekła.

Fizyczne ciało, które porzucił demon po to, by się posilić, nagle uniosło głowę i wstało.

- A czy mam ci powiedzieć, jak zabiję ciebie? - spytało.

Juliet uniosła brew, której idealną linię skaził skrawek ludzkiej tkanki, przyklepionej do czoła ludzką krwią.

- *Shedim ere'fa minur* - powiedziała. - *Ehad iniru, ke rekol ha dith*

gerainou.

Obaj Molochowie - balon i ten drugi, wyglądający jak człowiek - ryknęli w odpowiedzi. Obaj jednocześnie rzucili się na Juliet.

Juliet zderzyła się z „człowiekiem” i zatrzymała go w miejscu. Oboje poruszali się tak szybko, że niemal nie dostrzegałem ruchu: jakby przeskakiwali z jednej statycznej pozy w drugą, niczym na pokazie slajdów. Moloch próbował tej samej taktyki wstrząsowej, którą zastosował w walce z *loup-garou*, zasypując ją gradem ciosów i kopniaków, niczym konfetti na weselu. Juliet blokowała każdy z nich, a nawet odpowiedziała kilkoma własnymi i nagle Moloch zaczął się cofać, parując, nie atakując.

Potem jednak macki balonu przeniknęły jej przez głowę, ramiona i pierś. Na ułamek sekundy zamarła w miejscu: Moloch dostrzegł szansę i wykorzystał ją. Uniósł nad głowę prawą rękę, rozcapierzając szponiaste palce. Sekundę później usłyszałem odgłos uderzenia. Juliet poleciała do tyłu i z ogłuszającym łomotem rąbnęła o ścianę.

- Och, to tylko historyjki - warknął Moloch. - Nie jestem nawet pewien, czy w ogóle by mi stanął przy takim obleśnym kawale przechodzonego mięcha jak ty.

Juliet pozbierała się i wstała z widocznym wysiłkiem. Jej twarz przecinały trzy jaskrawe rany, biegnące ukośnie, równoległe z lewej skroni. Spływała z nich krew, pulsującymi, arteryjnymi strumieniami. Lecz to nie rana sprawiała jej problemy ani krew, ale marionetkowe sznurki dyndające z balonowatego potwora, czepiające się coraz gęściej jej czoła, rąk, pleców i piersi. Postawiła krok naprzód, szykując się do skoku, ale była zbyt wolna i spóźniła się o bezlitośnie długą część sekundy. Stopa Molocha trafiła ją w brzuch i Juliet zgięła się w pół. A potem demon

obrócił się jak tańczący derwisz i drugi kopniak, wycelowany w opuszczoną twarz uniósł ją z ziemi. Tym razem uderzyła o ścianę dość mocno, by pozostawić w jednej z drewnianych płyt zagłębienie w kształcie czaszki.

Znów przyłożyłem do ust flet - przejmująca zgroza sprawiła, że poruszałem się niezgrabnie, pusty umysł nie reagował. Moloch nawet na mnie nie spojrzał, jedynie machnął ręką. Jedna z szybujących macek baloniastego potwora przepłynęła leniwie przez moje gardło, które zacisnęło się w nagłej agonii. Sapnąłem głucho w proteście - był to jedyny dźwięk, jaki zdołałem z siebie wydać. Kolejna macka przeniknęła mi przez pierś i nogi ugięły się pode mną tak, że upadłem ciężko na kolana.

- Sto lat - rzucił lekko Moloch. - To bardzo długo jak na czas między posiłkami. Bez wątpienia dobrze zrobiło mi na figurę, ale jednak. Nie było to miłe. Zdecydowanie niemiłe.

Juliet dźwignęła się na czworaki i na oślep sięgnęła ku jego kostce, może zamierzając go wywrócić. Nadepnął jej na przegub, przekręcając stopę, gdy wsparł się na niej całym ciężarem. Usłyszałem głośny trzask.

- Wielki projekt - warknął Moloch, stojąc nad nią. - Shedim będą szczać na ruiny waszego wielkiego projektu i pogrzebią wasze dzieci na pustkowiu, które po nim zostanie. - Uniósł ją jedną ręką i niemal czule spojrzał jej w twarz. - A kobietę, z którą żyjesz - dodał - na jakiś czas zatrzymam, jako zwierzątko. Dopóki mnie nie znudzi. Potem ją pożrę, żując długo, niespiesznie. *Meiden agon*, siostró Bafometa: nie traćmy umiaru.

Moloch uniósł Juliet wysoko nad głowę, przytrzymał przez sekundę, a potem opuścił tak, że jej kręgosłup złamał się o uniesione kolano. Juliet

sapnęła z bólu.

Ów dźwięk był tak nieoczekiwany i tak niewłaściwy, że mój organizm zalała fala adrenaliny. Nic nie mogło zranić Juliet - nic nie mogło przebić się przez jej osłonę. To przecież część tego, czym była.

Mój mózg znowu pracował leniwie, zacząłem wystukiwać szybki rytm dłońmi o zimne kamienie posadzki. Dźwięk był bardzo cichy, zagłuszały go rzeźnicze odgłosy tego, co Moloch robił z Juliet. Ale mimo wszystko był to rytm - a rytm, jak nauczył mnie John Gittings, to szkielet melodii.

Z początku Moloch nic nie zauważył. Nadal wygłaszał pełen pychy monolog, napawając się bólem i upokorzeniem śmierci Juliet tak, by choć w części spełnić radosne fantazje, które podtrzymywały go przy życiu przez ostatnie stulecie. Oburącz pracował nad jej twarzą, mówiąc niskim głosem kochanka, i jego słowa do mnie nie docierały. Balon wisiał nad nim i z tyłu, macki przenikały mu przez pierś, wbijając się w ciało Juliet. Oczywiście: jeśli mordercy mieli swojego świętego patrona, to właśnie ją. To musiała być najlepsza część posiłku.

Nagi rytm jest podstępniejszy i bardziej niepewny niż gwizdana melodia. Przypomina wąskie ostrze zaimprovizowanego noża, wbijające się między żebra i niezadające bólu, nim nie wniknie głęboko i nie zacznie ciąć szerzej. Pozwoliłem mu wbić się głębiej, głębiej, jeszcze głębiej. Mój ochrypły, syczący oddech stał się teraz częścią wzoru, podobnie odgłosy tarcia przegubów o mankiety koszuli, skrzypienie kolan, gdy przeniosłem na nie ciężar, unosząc się na jednym. Wszystko to, wszystkie nieważne, ciche, powtarzające się wewnętrzne dźwięki zlewały się w coś niewiarygodnie subtelnego, nieprawdopodobnie smukłego i ostrego.

Wysięk tak mocnego ich skupienia przypominał fizyczny ból wnętrzości. Przytrzymałem go, jak długo mogłem. A potem pozwoliłem ostrzu rytmu rozłożyć się, niczym druty parasolki, w samym środku cuchnącego, mięsistego serca demona.

Moloch zeszywniał nagle i odwrócił się, patrząc na mnie z oszołomieniem i zdumieniem.

- Trzy... najbardziej bezużyteczne rzeczy na świecie - wychrypiałem, zmuszając dźwięki do przedarcia się przez otarte gardło. Czułem wraz z nimi smak własnej krwi.

- Castor - wymamrotał z niedowierzaniem, niezrozumieniem.

- Cycki zakonnicy... jaja mnicha... i oklaski dla zespołu.

- Balon eksplodował z wilgotnym, obleśnym, żalnym beknięciem.

Pierś Molocha także eksplodowała, w miejscu gdzie przebijały ją macki: pośród poszarpanych strzępów ciała ujrzałem ostre zęby żeber. Jego ludzka postać wywróciła się niczym drzewo i runęła na podłogę bez ruchu, wokół niej, na posadzce, leniwie rozlewała się zielonoczarna plama.

Wstanie na nogi wydawało się nieosiągalnym celem, ale wiedziałem, że muszę spróbować. Odgłosy strzałów, hałas towarzyszący ślepemu zniszczeniu czynionemu przez buldożer i krzyki umierających nie pozostały niezauważone: ostatecznie nie byliśmy w Kilburn. Niedługo zjawią się jasnoocy chłopcy w niebieskim, aby sprawdzić, co się dzieje, i dobrze by było, gdyby nas tu nie znaleźli.

Juliet była w strasznym stanie. Rozsądna część mego umysłu wiedziała, że potrafi naprawić wszelkie obrażenia: to ciało było tylko strojem, który przywdziewała podczas wizyt tutaj. Mimo wszystko sam jej widok sprawiał mi ból i podniosłem ją drżącymi rękami. Była znacznie

lżejsza niż na to wyglądała, odkryłem to już wcześniej. Zwiła mi bezwładnie w ramionach, jej wargi poruszyły się, ale nie doleciał z nich żaden dźwięk.

- Będę musiał cię ponieść - oznajmiłem. - Wiem, że masz złamany kręgosłup, ale nie widzę innego sposobu, by to załatwić. Mam nadzieję, że nie będzie zbyt bolące.

Odszukawszy resztki siły, którą we mnie przelała, wyniosłem ją za drzwi, korytarzem, na chłodne, nocne powietrze.

To nie był jeszcze koniec. Pozostał wciąż jeden człowiek, którego musiałem dziś odwiedzić: odwiedzić i może zabić. Ponownie.

Wiatr ani trochę nie osłabł i teraz, w idealnie dobranej chwili, zaczął padać deszcz. Łzy z dwustu pogrzebów zachowane i przelane w jednej rzęsistej ulewie.

Wielką zaletą maserati Juliet było przyspieszenie: wóz wyposażono w napęd warp i silniki impulsowe. Kiedy dotarłem do Obwodnicy Północnej - o trzeciej nad ranem szczęśliwie pustej - i docisnąłem gaz, sześć czy siedem korców brutalnej siły g przycisnęło mnie do ręcznie zszywanej skóry, a blask ulicznych latarni przesunął się w stronę błękitu. Miałem wrażenie, że dotarcie do Chingford Hatch zabrało mi najwyżej półtorej minuty.

Brama Słodowni stała otworem, podobnie drzwi frontowe. Tak jak ostatnio, gdy tu byłem, paliły się wszystkie światła: lecz tym razem zauważyłem brak ludzi uganiających się wokół niczym bezgłowe kury. Zaparkowałem i zerknąłem na Juliet, leżącą bez ruchu na tylnym siedzeniu.

Było za ciemno, by stwierdzić, czy proces leczenia już się zaczął. Gdyby odzyskała przytomność, spytałbym, jak się czuje, a wówczas, gdyby złamała mi mały palec, tak jak zapowiedziała w Alabamie, dostałbym dowód, że zaczyna dochodzić do siebie. Ale tak czy inaczej, nie zabrałbym jej tam, dokąd się wybierałem.

Wysiadłem z samochodu i po kamiennych płytach ruszyłem do drzwi. Nadal nikogo nie widziałem, a w holu powitała mnie martwa cisza. Wędrowałem z pokoju do pokoju, z początku spodziewając się zasadzki i zaglądając za wszystkie drzwi. Ale nie da się zbyt długo utrzymać tak wyostrzonej czujności. Po jakimś czasie zmieniło się to w nieco nerwową

przechadzkę.

Znalazłem Covingtona w sypialni Lionela Palance'a. Siedział na stalowym krześle obok łóżka, czytając staruszkowi bajkę - i nie był to „Noddy”. Chyba faktycznie postawił na swoim. Wszedłem do środka, czyniąc możliwie najmniej hałasu i stanąłem za jego plecami, a on czytał dalej. Całkiem przekonująco odgrywał poszczególne głosy.

- „Taffy, co robiłaś przez cały czas? - ozwał się Tegumai. Naprawił wreszcie swój oszczep i zabierał się do łowienia ryb.

- Ach, załatwiłam pewną drobną sprawę. Nie pytaj o nic, drogi Tatku, bo niezadługo dowiesz się o wszystkim i ogromnie się zdziwisz. No, przyrzeknij mi, Tatku, że się zdziwisz!

- Dobrze! - rzekł Tegumai i począł łowić ryby”*.

Covington zerknął na swą jednoosobową widownię. Palance już spał, jego pierś unosiła się i opadała.

Zamknął książkę i położył na stoliku, pomiędzy lekami. Poruszał się nieco sztywno, toteż parę fiolek upadło na podłogę: zebrał je i odstawił na miejsce. Pochylił się, ucałował Palance'a w czoło, nie budząc go, a potem znów się wyprostował i uniósł ręce, jakby się szykował do morderczej próby.

- Castor - rzekł, odwracając się. Sprawiał wrażenie niewiarygodnie zmęczonego. - I jak ci poszło?

- Właściwie, Aaron, całkiem dobrze.

- To znaczy?

- To znaczy, że gdybyś teraz poszedł do Mount Grace, zastałbyś prawdziwą kostnicę.

- To... dobrze. Dobrze. Przynajmniej zakładam, że dobrze. A ty i

twój... zespół, wyszliście z tego cało?

Pokiwałem rozprostowaną dłonią.

- Straciliśmy jednego z nas. Na szczęście.

Wstał i spojrzał mi spokojnie w oczy.

- A teraz przyszedłeś po mnie.

- Owszem.

- Napijesz się whisky?

- Owszem.

Covington poprowadził mnie w dół schodami, do tego samego pokoju, w którym siedzieliśmy poprzedniej nocy. Miałem wrażenie, że działo się to w innym życiu. Podniósł butelkę springbank, ale ja położyłem mu dłoń na ramieniu i pokręciłem głową.

- Coś ostrzejszego - rzekłem. - Proszę. Zajzajerowego, jeśli masz.

Znalazł mieszaną szkocką o nazwie, której nie rozpoznałem, i uniósł, spoglądając na mnie. Pokiwałem głową.

- Barman, nalej dwa palce krwiooczki - zacytował. Odegrał pointę, kierując dwa palce ku, lecz nie w moje oczy.

Nie roześmiałem się. Z niewiadomych przyczyn nie byłem w nastroju.

Postawił dwie szklanki, do jednej nalał hojną porcję. Potem przyjrzał się butelce, jakby zmienił zdanie, i zabrał ją, pozostawiając pustą szklankę na barze.

- Usiądziemy? - spytał, wskazując fotele.

- Wszystko jedno.

Poszedłem za nim do trzyczęściowego kompletu ze skóry. Wyciągnął się na sofie, ja wybrałem jeden z foteli. Trącił butelką moją szklankę i

pociągnął głęboki łyk whisky - nawet się nie wzdrygnął, choć, Bóg mi świadkiem, łagodna to ona nie była.

- Nazwałeś mnie Aaron - zauważył, oblizując powoli wargi.

- Wolałbyś, gdybym mówił ci Peter?

Covington się zastanowił.

- Nie, raczej nie - przyznał. - Szczerze mówiąc, w pewien osobliwy sposób, wydaje się to słuszne. Silvera sam sobie wymyśliłem, ale Aaron to imię, z którym przyszedłem na świat. W końcu zawsze krąg się zamyka. Skąd wiedziałeś?

Poczułem, jak moje brwi unoszą się i opadają.

- Nieszczególnie się ukrywałeś.

Odpowiedzią było wzruszenie ramion.

- Mimo wszystko. John Gittings mnie nie przejrzał. A może? Czy moje nazwisko znajdowało się w jego zapiskach?

- Nie.

Obróciłem szklanekę, patrząc na załamania światła w złotym płynie, niczym duchy robaków. Cofnąłem się myślami, próbując odtworzyć w głowie sekwencję, bo wiedza ta docierała do mnie powoli, partiami. Nie istniał jeden określony moment, w którym nad głową zabłysła mi żarówka.

- John tego nie wykombinował. Ale przypuszczam, że częściowo przekonał mnie list, który mu wysłałeś. Powiedziałaś, żeby zabrał wsparcie, mnie powtórzyłeś to samo, kiedy cię odwiedziłem. To traciło strunę. A przy okazji, skąd taka pisownia? To znów instynkt maskowania?

Covington skrzywił się z lekkim żalem.

- Nie umiem poprawnie pisać - przyznał. - Pewnie teraz mają na to nazwę - albo wkrótce ją wymyślą. Aaron Silver nauczył się angielskiego

dość późno i nigdy nie zdołał opanować ortografii. Teraz odkrywam, że każde nowe ciało, które zasiedlam, ma te same ograniczenia co oryginał. Da się je zmienić, ale to trudne. I nie trwa długo. Stare nawyki mają tendencję do powracania. Przeszłość jest... wyraźniejsza niż terażniejszość. Łatwiej mi tak pisać, niż sprawdzać prawidłową pisownię. To wszystko? Ten jeden zbieg okoliczności? To, że powiedziałem to samo, co napisałem Gittingsowi?

- Nie.

- W takim razie...?

- Naprawdę chcesz, żebym opisał ci wszystkie drobne tropy, które zostawiłeś?

- Jeśli nie masz nic przeciw temu, owszem. Nadal trudno mi uwierzyć, że po tak ciężkiej pracy i tak długim czasie utrzymywania się przy życiu, przebudziło się we mnie pragnienie śmierci. Zrób to dla mnie.

Znów zanurkowałem pomiędzy rozproszone myśli.

- Szczerze mówiąc, szukałem cię - zacząłem. - A przynajmniej nie dokładnie ciebie, ale kogoś za kulisami, kto pociągał za sznurki. Musiałeś tam być. Ktoś zatrudnił Johna i dał mu niewielką fortunę do wydania na pamiątki po mordercach.

Ktoś mu powiedział o tym, co się dzieje w Mount Grace, lecz z jakichś powodów pozwolił tygodniami błądzić w ciemności i sprawdzać cmentarze, zamiast po prostu podać adres. Innymi słowy, ktoś bawił się w gierki. Podsuwał mu okruchy, ale nie chciał wyłożyć kart. Może dlatego, że gdyby John udał się wprost do Mount Grace, wszyscy martwi kumple wiedzieliby, kto go przysłał.

Covington uśmiechnął się zimno - może na słowo kumple.

- Mów dalej.

- Jan Hunter także miała tajemniczego dobroczyńcę. Kogoś, kto do niej zadzwonił, przedstawiając się jako Paul Sumner, tyle że Paul Sumner już nie żył. Zgaduję, że to znowu ty próbowałeś pociągnąć sprawę dalej, mimo śmierci Johna, a może także szukałeś sposobu uratowania Douga Huntera przed karą za morderstwo, którego nie popełnił. I znów, sznurki z każdej strony. Czy wezwałeś również Molocha?

Covington bez słowa pokiwał głową.

- Tak też sądziłem. To był zbyt duży przypadek - że demon o właśnie takich preferencjach pokarmowych przybył z piekła akurat w miejsce, gdzie wywęszył Mount Grace, kuszące jak wielki, pełny grill. Ale nie sprawił tego przypadek: wszystko stanowiło część twojego planu.

Pociągnąłem porządny łyk whisky. Przyjemnie zapiekła mnie w ustach.

- To właśnie było najwyraźniejsze - podjąłem. - Sznurki. Nie ma sznurków bez kogoś, kto by za nie pociągał. Skąd wiedziałem, że to ty? Sprawilo to mnóstwo drobiazgów. Twoje prawdziwe nazwisko - to znaczy prawdziwe nazwisko Aarona Silvera - brzmiało Berg. Ruth Kale przedstawiłaś się nazwiskiem Bergson.

Covington otworzył usta, by coś powiedzieć, ale przewidziałem jego protest.

- Nie, masz rację. Nie wyłapałbym tego, gdybym nie wiedział już wcześniej. To Paragon, Silver. Pokazałaś się tam dwóm osobom.

Spojrzał na mnie ze zdumieniem.

- Wiem. Tyle że podniosłem kołnierz i poruszałem się bardzo szybko. Wątpię, by któryś zdążył mi się przyjrzeć.

- Faktycznie. Ale podane przez nich zupełnie różne opisy zaintrygowały mnie. Recepcjonista, Merrill, mówił, że byłeś stary. Ale Oguneta zderzył się z tobą w korytarzu i poczuł twoje twarde mięśnie: wiedział, że to musiał być młody, sprawny facet. Skąd zatem wrażenie Merrilla?

- Nie wiem, Castor. Oświeć mnie.

Pokazałem palcem jego głowę.

- Twoje śnieżnobiałe kędziory. Minałeś recepcję ze spuszczoną głową i postawionym kołnierzem, toteż zobaczył wyłącznie włosy. Nie wiem, może jest też coś w twoim chodzie: kolejne echo. Coś, co wiąże się z byciem stu pięćdziesięcioletkiem. Tak czy inaczej, ten paradoks nie dawał mi spokoju. A kiedy mój mózg zaczął nad nim pracować, dostrzegłem, że pomniejsze pytanie - kim był zamaskowany człowiek? - jest tym samym, co znacznie większe: po co w ogóle tam przyszedłeś? Dlaczego zabrałeś ze sobą młotek? Po co zamknąłeś stajnię, skoro koń już uciekł i wiedziałeś, że Doug Hunter - oraz, tkwiąca wewnątrz niego Myriam Kale - i tak zostaną aresztowani.

Covington powoli pokręcił głową.

- Naprawdę to przemyślałeś, prawda? I jak? Dlaczego to zrobiłem?

- Ponieważ ciało to glina. Kiedy ludzka dusza opętuje ciało zwierzęce, nagina je jak tylko może, zmuszając do przyjęcia ludzkiej postaci. Czasem dusza zwierzęca stawia opór i kiedy huśtawka przechyla się na drugą stronę, można obserwować bardzo ciekawe - i dość paskudne - rezultaty. To samo spotyka ciebie i twoich kumpli, prawda? Im dłużej tkwicie w cudzym ciele, tym bardziej przystosowuje się do waszej obecności. Tym bardziej powraca do kształtów i postaci, które pamięta z przeszłości. Dlatego jako Peter Covington jesteś jasnym blondynem,

dlatego byłeś jasnym blondynem jako Les Lathwell: ponieważ dusza Aarona Silvera pamięta śnieżnobiałe włosy. A młotek, ściskany w dłoni Douga Huntera, kiedy Myriam Kale wyłoniła się z jego duszy i przejęła stery...

- ...nosił odciski palców Myriam. Jasne. Przy okazji, leży za barem: zakładam, że zechcesz go zabrać. Po dzisiejszej nocy nie zrobi to już żadnej różnicy mnie ani Mimi. Mogę ci dolać, Castor?

Spojrzałem na pustą szklanę.

- Chyba lepiej nie - mruknąłem. - Jeśli mam cię odesłać, muszę myśleć jasno.

- Nie przejmuj się, nie będę ci niczego utrudniał. Ale mam ochotę wypowiedzieć się przed śmiercią. I chcę cię też o coś poprosić. Napij się ze mną.

Pierdolić to. Właściwie, czemu nie? To był jego dom i jego wódka. Uniosłem szklanę. Covington napełnił ją z flaszki, z której popijał. Co tam, alkohol ponoć dobrze dezynfekuje.

- Kiedy spowiadałeś się po raz ostatni? - spytałem.

Roześmiał się.

- Ponad sto lat temu. Poza tym jestem żydem, nie katolikiem. W każdym razie urodziłem się jako żyd: religia nigdy zbyt wiele dla mnie nie znaczyła i właśnie dlatego kazałem się spalić, nie pogrzebać. Nie wierzyłem w zmartwychwstanie ciała. Całe życie robiłem to, co musiałem, by przetrwać, i nie pozostawiało to zbyt wiele miejsca na rozmyślanie o Bogu. Ostatni raz poszedłem do schul w dniu swojej barmicwy. Trzy lata po tym zabiłem pierwszego człowieka. Zapewne obie te rzeczy w równym stopniu stanowiły wejście w dorosłość.

Nagle perspektywa wysłuchania jego historii wydała mi się znacznie mniej pociągająca.

- Czyli byłeś złym człowiekiem - wtrąciłem. - Jeśli chcesz, możemy to uznać za ustalone. Przejdź do pokuty i odkupienia.

- Pokutą zajmowałem się po swojemu, Castor. A dla twojej informacji, nawet nie zacząłem wyznawać ci grzechów. Nie sądzę, by ludzie, których zabiłem jako Aaron Silver, mieli powody do narzekań. Gdybym dał im szansę, tak samo potraktowaliby mnie. I w końcu jeden faktycznie to zrobił. Henry Meyer-Lindeman załatwił mnie w burdelu w Streatham. W czasie numerka.

Zastrzelił mnie i leżącą pode mną pannę, Ginny Tester. Oboje zginęliśmy na miejscu.

- I twój koniec stał się nowym początkiem.

Covington się skrzywił.

- Nie od razu. Byłem w szoku, gdy ocknąłem się po śmierci i odkryłem, że jestem uwięziony w Mount Grace. Uwiązany do własnych popiołów. Oczywiście, tak naprawdę nigdy nie jest się uwięzionym. Więzienie nas tylko własne nawyki. Nasz sposób myślenia. Ale wydawało się to bardzo rzeczywiste. Zupełnie jakbym miał spędzić całą wieczność na tym skrawku ziemi, a wieczność w tamtym miejscu trwałaby naprawdę długo. Lecz rok później umarł Stephen Kesel, który miał takie samo zdanie o pogrzebach. A cztery lata potem nadeszła kolej Rudolfa Gougha. To była masa krytyczna. W krematorium mieszkał stary dozorca. Dopadliśmy go pewnej nocy we śnie: nasza trójka działająca razem. Potem dosiadaliśmy go po kolei. Wróciliśmy. Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłem, było złożenie wizyty Meyerowi-Lindemanowi i zapłacenie zawiązki. Bardzo lubiłem

Ginny Tester, zasłużyła na coś lepszego niż tak niegodna śmierć. Steve i Rudy mieli do załatwienia podobne sprawy - dobre i złe. Lecz bardzo szybko zorientowaliśmy się, że to wykracza poza załatwianie dawnych spraw. Odkryliśmy także, że jeden z nas nie może zdradzić pozostałych: Steve próbował uciec, ale trzy dni później wrócił, kuśtykając - dozorca walczył i trzeba było całej naszej trójki, by znów go poskromić. I tak to wyglądało. Byliśmy nieśmiertelni, ale tylko dopóki trzymaliśmy się razem. Wspólnota nieśmiertelnych. Póki śmierć nas nie rozłączy, tyle że nie mogła, czy tego chcieliśmy, czy nie. W ciągu następnych dwudziestu lat powstały wszystkie zasady i udoskonalenia - to były lata spędzone na rzucaniu o ścianę wszystkim, co mieliśmy pod ręką, i sprawdzaniu, czy spadnie, czy nie. Doświadczenia i udoskonalenia. Odkryliśmy, że z popiołami idzie nam dziesięć razy lepiej, a opętanie trwa dłużej. Odkryliśmy, że noc jest lepsza od dnia, zwłaszcza kiedy dokonywaliśmy pierwszego wtargnięcia w nowe ciało i że nów jest najlepszy. Zmieniliśmy to wszystko w bardzo sprawny proces. Sprawdzony i wypróbowany. Fakt, że nikt nie wierzył, że to co robimy jest w ogóle możliwe, także działał na naszą korzyść, bo oznaczał, że nikt się nie pilnował.

- A co z Myriam Kale? - wtrąciłem. - Skąd ona w tym wszystkim?

Przez chwilę wydało mi się, że Covington mnie nie usłyszał.

Wpatrywał się w skupieniu w sufit.

- Słyszałeś płacz Lionela?

- Niczego nie słyszałem.

Odprężył się lekko.

- Dobra. To pewnie tylko wiatr. Wybrałem ten pokój, bo jest dokładnie pod jego sypialnią: jeśli się poruszy, usłyszymy. Zauważyłeś, że

odprowiłem pielęgniarki, sam mam dziś... służbę. Myriam, no tak. Myriam była naszą Yoko Ono. Femme fatale, którą wini się za rozbitcie zespołu.

Pociągnął kolejny długi łyk whisky. Podczas każdej przerwy w rozmowie regularnie, ostro popijał i butelka była już niemal pusta. Szykował się do czegoś, ale zastanawiałem się, czy przypadkiem nie przeoczył już właściwego przystanku.

- W latach sześćdziesiątych - podjął - żyłem w moim ósmym ciele, jeśli potrafisz w to uwierzyć. Zużywały się bardzo szybko: zmagania psychiczne powodują przedwczesne starzenie. Nasze szeregi wzrosły do dwustu i na tym poziomie pozostały. Wpadliśmy już na pomysł porzucenia zorganizowanej przestępczości i przekształcenia jej w legalnie działające biznesy - coś, co da nam równie wielkie bogactwa, ale zmniejszy zagrożenie, że jakiś wścibski policjant przypadkiem trafi na nasz ślad. Ja sam zaczynałem się czuć dość... klaustrofobicznie. Niespecjalnie odpowiadało mi towarzystwo kolegów po fachu. Ćwiczyłem też techniki medytacyjne. Odkryłem, że przy zachowaniu właściwej dyscypliny mogę zachować kontrolę nad ciałem bez ograniczeń i konieczności inskrypcji. Pojechałem do Stanów na długi urlop - chciałem znaleźć się jak najdalej od Mount Grace. Ale potrzebowałem pretekstu, toteż wymyśliłem durną historyjkę o nawiązaniu kontaktów z amerykańską mafią. A potem, żeby wyglądało na to, że faktycznie to robię, spędziłem trochę czasu z rodzinami z Chicago. Tak właśnie poznałem Myriam. Chyba ją pokochałem, bo stanowiła absolutne przeciwieństwo wszystkiego, czym się stałem. No dobrze, była zabójczynią: pod tym względem nie różniliśmy się od siebie. Ale w tym, co robiła, nie kryła się żadna kalkulacja. Była spontaniczna, posłuszna jedynie własnemu instynktowi, nieważne,

dobremu czy złemu. Tymczasem w Mount Grace kalkulacje stały się naszym sercem i duszą. Byliśmy jak części maszyny, która cały czas parła naprzód. My byliśmy nieśmiertelni i nietykalni, Myriam wrażliwa i okaleczona. Sam nie wiem. Nie potrafię analizować własnej psychiki. Pociągała mnie. Chciałem jej pomóc. Zapewne miłość pojawiła się później i nigdy nie została skonsumowana. Najbliżej seksu byliśmy w kinie dla zmotoryzowanych, kiedy ją masturbowałem. Gdy doszła, rozplakała się, tak bardzo płakała. Jakby nie mogła tego znieść. Boże, co oni jej zrobili! Nadal była silna, ale... złamana. Tak bardzo, że nie dało się tego wyleczyć. Ale, jak mówiłem, to były jedynie wakacje. Wróciłem do domu i znów rzuciłem się w wir codziennych, życiowych spraw. Krayowie, nigdy niebędący częścią naszej małej kliki, zostali aresztowani i wywiezieni do Broadmoor, co oznaczało, że mieliśmy dla siebie cały East End. A potem przeczytałem o aresztowaniu i skazaniu Myriam i od razu podjąłem decyzję, że ją wprowadzę.

- Dotarliśmy już do twoich grzechów? - wtrąciłem.

Covington uśmiechnął się bez cienia rozbawienia.

- Prawie. Reszta komitetu od początku była temu przeciwna. Widzieli możliwe problemy, wynikające z pojawienia się w naszym klubie autentycznej psychopatki - i oczywiście mieli rację. Sam także dostrzegałem potencjalne kłopoty, ale nie obchodziły mnie. Byłem zdecydowany spróbować. W jakiś sposób czułem się za nią... odpowiedzialny. I wbrew wszelkim dowodom miałem nadzieję, że w nowym ciele dojdzie do siebie. Pokona obłąd i stanie się tym, kim miała zostać przed gwałtami i biciem. Nie udało się. I owszem, teraz docieramy do grzechów. Kiedy myślę o ludziach, których zabiła, czuję żal i wstyd.

Nigdy nie przepadałem za torturami i z osobistych przyczyn nie znoszę mieszania przemocy i seksu. Zawsze wówczas myślę o biednej Ginny. Ale szkoda już się dokonała. Członkowie komitetu śmiertelnie się bali, że Myriam ściągnie na nas niechcianą uwagę. Zapłacili nawet za załatwienie tego biednego grafomana, Sumnera, bo napisał o niej książkę. Coraz trudniej przychodziło mi przekonywanie ich, żeby dali jej kolejną szansę - aż w zeszłym roku, kiedy zaproponowałem danie jej ciała męskiego, po to, by wybić ją z wpojonych schematów zachowań, oznajmili, że to już ostatni raz. Zrobiło się dość gorąco. Powiedziałem, że są jedynie żalonymi echami tego, czym byli za życia. Tak bardzo boją się utraty obecnych wygod, że w istocie w ogóle nie żyją. Oni oskarżyli mnie, że zrobiłem się zbyt ważny i próbuję kierować Mount Grace jak moim osobistym imperium. Grozili, że mnie wygnają, a ja odparłem, że nie mogą. Już nie. Nie potrzebowałem ich, żeby panować nad tym ciałem. Mogłem też sprawić sobie nowe, w dowolnej chwili, bez ich pomocy. Zapewne niemądrze postąpiłem, ujawniając to: kiedy zrozumieli, jak silny się stałem, zerwali ze mną wszelkie kontakty. Lecz wówczas... sprawiło mi to ulgę. Bo dręczyło mnie coś innego. Gorszego nawet niż Myriam.

- Palance - zgodłem.

- Tak - wyszeptał Covington. - Lionel. - Opróżnił butelkę jednym, potrójnym łykiem.

- Kim on jest, Covington?

- Moim synem.

W martwej ciszy, która nastąpiła po owym prostym stwierdzeniu, policzyłem szybko w głowie, ale wynik zupełnie mi nie pasował. Covington odczytał zarówno wyliczenia, jak i ich efekty na mojej twarzy i

machnął ręką, przeganiając wszelkie protesty.

- Nie spłodziłem go jako Aaron Silver - wyjaśnił. - Byłem w którymś ciele, nie pamiętam nawet którym: teraz wszystkie zlewają się w jedno. Po tym jak nosiłem je rok czy dwa, wyglądały identycznie. Widzisz, Castor, kiedy opanowaliśmy już mechanizm opętania, pozostały jedynie problemy prawne. Mieliśmy spore majątki, które musieliśmy przekazywać sobie z pokolenia na pokolenie - z jednego ciała do następnego - i chcieliśmy to zrobić w sposób, który nie wydawałby się dziwny obserwatorowi z zewnątrz. Niektórzy z nas zrobili studia prawnicze, co oznaczało, że na poziomie kontraktów mogliśmy przygotować wszystko jak należy. Ale to musiało dobrze wyglądać. Dość dobrze, by uniknąć czyjegokolwiek zainteresowania. W końcu Seb Driscoll - ten, którego poznałeś jako Todda - wpadł na genialny pomysł. Będziemy mieli dzieci. Nie musiały pochodzić z małżeństw kościelnych ani z domków z ogródkami: po prostu od czasu do czasu musieliśmy zapłodnić jakąś kobietę tak, by mieć własne, biologiczne dzieci. Bo jeśli ma się dziecko - autentycznie, genetycznie swoje - wszystko staje się łatwe. Kiedy nadchodzi czas zmiany ciała, zapisujemy wszystko dzieciakowi. A potem się zabijamy. Przeskakujemy. Teraz my jesteśmy dzieckiem, mamy majątek i nikt nie zadaje pytań. Wszystko wygląda świetnie: porządny facet, który do końca życia robił co należy i jak należy. Koniec, kropka.

Covington wstał powoli, ostrożnie. Z wyrazu jego twarzy i lekko niepewnych ruchów wnioskowałem, że alkohol zaczyna działać.

- Co zatem poszło nie tak? - spytałem.

- Nic. - Jego głos ociekał goryczą. - Oprócz... może ludzkiej natury. Nie zdziwiłbyś się chyba, gdybym w owym czasie uznał, że już jej nie

mam, prawda? Po wszystkim co zrobiłem. Po aferach, zabójstwach, tylu latach. Życie jest bardzo tanie. Ale nie nasze własne. A dzieci stanowią część naszego życia, wyrastającą w cudzym.

Teraz, kiedy podniósł się z kanapy, wyraźnie nie wiedział, co ze sobą począć. Próbował krążyć, ale jakoś mu to nie szło. Zatrzymywał się po paru krokach, jakby starał się sobie przypomnieć właściwą sekwencję ruchów, tyle że mu umykała, zmuszając do przerwania i zaczęcia od nowa.

- Mieliśmy problemy z Lionelem - podjął, wbijając wzrok w posadzkę. - W bardzo nieodpowiedniej chwili musieliśmy dokonać transferu własności ziemi. Miał wtedy zaledwie dwa lata. Zrobiliśmy to, bo nie mieliśmy wyboru. Wówczas kobieta będąca matką Lionela zaczęła robić problemy - próbowała wydawać nasze pieniądze - i Driscoll kazał ją załatwić. Ale zabójca spieprzył sprawę, kobieta wszystko rozgłosiła i potem niełatwo już było do niej dotrzeć. Czy raczej niełatwo w zwykły sposób. Lecz Driscoll znalazł rozwiązanie kwadratury koła. Opętał Lionela i zmusił, by ją zabił.

Mimo wszystkiego, co widziałem i zrobiłem tej nocy, w tym momencie poczułem nieprzyjemny ucisk w żołądku.

- Swoją własną matkę?

- Tak. Trzy miesiące po drugich urodzinach. Słodkie, co? Ta kolejka na górze - nie wiem czy ją widziałeś - ja mu ją posłałem. Durny prezent dla dwulatka: nie umiał nawet złożyć pieprzonych torów. Ale to nie miało znaczenia, bo nie było mu pisane się nią pobawić. A Driscoll bawił się znakomicie. Do tego czasu nosił już wiele ciał, ale nigdy nie próbował dziecka. Został więc kilka miesięcy. Popisywał się, przychodząc na comiesięczne inskrypcje, w eleganckim garniturze i patrząc na mnie

oczami mojego syna... Wybaczysz? Muszę odetchnąć świeżym powietrzem.

Wycelował butelką i cisnął nią o wielkie okno. Flaszka rozbiła się, szyba popękała, ale została w ramie. Zirytowany podszedł do baru, chwycił ciężką, szklaną popielnicę i cisnął nią jak dyskiem, Tym razem się udało: wyleciała, wirując, przez okno, które eksplodowało widowiskowo, i roztrzaskała się na kamiennych płytach, w fontannie odłamków, które przez moment zalśniły i zamigotały w blasku jednego z reflektorów ochrony. Jak gdyby nigdy nic Covington odwrócił się do mnie. Oczy miał suche, ale jego policzki powłókł rumieniec, a usta wykrzywiały się w upiornym grymasie, przez co przystojna twarz zmieniła się w maskę, której wolałbym nie oglądać.

- I tak zaczęła się nowa moda. Driscoll tak często o tym gadał, że wszyscy musieli spróbować. Oceniam, że pomiędzy drugimi i dziesiątymi urodzinami Lionel miał czterdziestu do pięćdziesięciu różnych pasażerów. A ja na to pozwoliłem. Stałem z boku i... nic nie robiłem. Nawet o tym nie myślałem. Nie obchodziło mnie. W każdym razie wmawiałem sobie, że mnie nie obchodzi. Życie jest tanie, a reszta to tylko sentymenty, jeszcze tańsze. Po dziesiątych urodzinach zostawili go w spokoju. Przestał ich interesować. Ale do tego czasu było już za późno. Ośrodki kognicyjne w mózgu... sam nie wiem. Słyszałem cztery czy pięć różnych wyjaśnień. W kluczowych momentach rozwoju mózgu Lionel... spał. Był więźniem we własnym ciele, ogłuszonym, osiem lat nieprzytomnym. Nigdy już nie miał stać się normalny. Okazało się, że tych lat nie da się tak po prostu odzyskać. Covington odetchnął chrapliwie.

- Musieliśmy zatem dokonać trudnego wyboru. Lionel nadal

pozostawał legalnym właścicielem sporych terenów - dużej części naszego majątku. Był pod kuratelą sądu, a ja pozostawałem jego opiekunem prawnym. Gdybym jednak zarządzał jego majątkiem jak własnym, pojawiłyby się problemy. To by wyglądało na nadużycie, dokładnie coś, czego chcieliśmy uniknąć. Zachowaliśmy zatem dyskrecję. Nadal opętywaliśmy Lionela i używaliśmy go jako marionetki - według ściśle określonej rozpiski, bo do tego czasu nowinka straciła już swój urok, a nikt nie miał ochoty po raz kolejny przechodzić wieku dojrzewania. Kontynuowaliśmy to, dopóki nie osiągnął pełnoletności. Potem stał się równie użytecznym garniturem jak każdy inny i problemy się skończyły. Zrobiliśmy co trzeba. Lecz szkody także się dokonały. Teraz, gdy było za późno, ujrzałem - po raz pierwszy naprawdę zrozumiałem - jaką potworność uczyniliśmy. Jaką staliśmy się ohydą. Nie mogłem uratować Lionela. Więcej, stanowiłem część tego, co mu zrobiono. Mogłem natomiast postanowić, że nie będzie więcej Lionelów. Że operacja w końcu się zakończy. A kiedy stracili zainteresowanie - kiedy stał się zbyt stary i w końcu go uwolnili - sprowadziłem go tutaj. Starłem się zrobić wszystko, by żyło mu się wygodniej: więcej, szczęśliwie, lecz najczęściej wygodnie to wszystko, na co możemy liczyć. Niewiele pamięta, ale dręczą go koszmary i stale jest zagubiony. Wciąż czuje też panikę, jakby zapomniał o czymś ważnym, jakby miało stać się coś strasznego i to była jego wina. Widzisz zatem, to nie Myriam sprawiła. Wszyscy tak sądzą i może dla nich ona stanowiła prawdziwy kryzys. Dla mnie do tego czasu czara przelała się już z naddatkiem. Na cokolwiek pozwalali mi i nie pozwalali z Myriam, skończyłem z nimi. Raz a dobrze. Spojrzał na mnie ponuro.

- Jeszcze drinka?

- Nie.

- Nie. Dla mnie chyba też nie. Widzę, jak na mnie patrzysz, Castor.

Kiedyś zabiłbym cię za to.

- To twoje dzieło, Aaron. Od początku nim było.

Przytaknął.

- Owszem. Która godzina?

- Koło wpół do szóstej.

- Następna zmiana pielęgniarek przychodzi o szóstej. Muszę dopilnować, by wszystkie dotarły: jeśli ktoś się nie zjawi, muszę zadzwonić do agencji. Potem jestem twój. Pojedziemy tam, gdzie jest Myriam. Załatwimy to.

- Świetnie. - Ciężko podniosłem się z fotela. Covington mógł sobie oszczędzić wysiłku, wybicie okna nie oczyściło powietrza w tym pokoju. Podszedłem do baru, znalazłem młotek owinięty w folię groszkową i wsparłem na ramieniu. - Zaczekam w samochodzie. Wyjdź, kiedy będziesz gotów.

Pokonałem powrotną trasę przez labirynt, wyszedłem na podjazd i wsiadłem do wozu. Miękka skóra była zbyt wygodna i zasnąłem, dręczony niespokojnymi snami. Występował w nich John Gittings, a także Gary Coldwood. Kiedy poczułem na ramieniu - tym samym, w które wcześniej dźgnął mnie Todd - dłoń przywołującą z powrotem do świata jawy, cały byłem zlany lodowatym potem.

To Covington mnie obudził, siedział już w fotelu pasażera.

- Ładny samochód - zauważył bez wielkiego entuzjazmu. - Czy

należał do martwej kobiety z tyłu?

- Demona - poprawiłem. - Owszem, to jej wóz. A pogłoski o jej śmierci są zwykle mocno przesadzone.

- Jestem gotów, Castor. A ty?

Przekręciłem kluczyk w stacyjce. Nie sądziłem, bym kiedykolwiek był gotów. Lecz nawet zimnym, wilgotnym, mglistym, wczesnym rankiem po nocy bólu i krwawej łaźni można polegać na włoskich inżynierach. Maserati zapalił od razu. Wyprowadziłem go za bramę.

Na widok kochanki, Sue Book wydała bolesny okrzyk. Potem wyrwała mi ciało Juliet i zaniosiła je do innego pokoju - nawet Sue była w stanie bez wysiłku unieść ten niewielki ciężar - po czym kopniakiem zamknęła za sobą drzwi. Uznałem, iż to oznacza, że gdybyśmy mieli ochotę na herbatę i ciasteczka, będziemy musieli je przygotować sami.

Ale Covington łaknął czegoś zupełnie innego i nie był w nastroju na długie czekanie.

- Gdzie ona jest? - spytał ostro, rozglądając się po niewielkim holu. - Jest tutaj?

- Na górze - odparłem, a on pobiegł, przeskakując po trzy stopnie, nim zdążyłem zamknąć usta.

Nie poszedłem za nim od razu. Energia, której użyczyła mi Juliet, już uleciała i wydarzenia ostatnich kilku godzin zebrały obfite żniwo. Czułem się jak kawał wysuszonego łąjna, które wiatr przyniósł z dworu i rzucił pod schody, skąd nie mogło już się ruszyć. Przyniesione z wiatrem łąjno nie potrafi walczyć z siłą grawitacji: zna swoje miejsce.

W końcu jednak przywołałem skądś siłę woli i zacząłem się wspinać. Z sypialni naprzeciwko dobiegał mnie znizony głos Covingtona, a potem szaleńczy śmiech wypływający z gardła Douga Huntera.

Zawahałem się na ostatnim stopniu, niepewny, czy nie wolą zostać sami.

„Załatwimy to” Covingtona nie wskazywało na to, co zaplanował -

ani nawet kogo dotyczyło owo my.

Oparty o ścianę, rozkoszowałem się chwilowym poczuciem nieopisanej lekkości, które pojawia się, gdy przez długi czas dźwigamy coś bardzo ciężkiego i w końcu możemy to zostawić. Jutro pojawią się nowe ciężary, lecz jutro to inny dzień - przynajmniej technicznie, choć od wschodu słońca dzieliło nas najwyżej pół godziny.

Lekkość minęła, nadal jednak czułem się dziwnie oderwany od własnych emocji. Wyrzuty sumienia, które mnie ogarnęły na wieść o wypadku samochodowym Gary'ego Coldwooda, w końcu błogo ucichły. Nie odczuwałem jednak tryumfu ani satysfakcji, mimo rozprawienia się z jego prześladowcami. Wręcz przeciwnie, opowieść Covingtona sprawiła, że czułem się, jakby czekała mnie jeszcze żałoba, ale na razie nie byłem na nią gotów.

Głos Covingtona w sypialni wznosił się i opadał, nadal nie słyszałem poszczególnych słów. Słyszałem natomiast odpowiedzi Kale.

- Nie. Nie widziałam cię. Szukałam cię i nie widziałam. Zostawiłeś mnie!

Pomruk Covingtona.

- No to pięknie! Cudownie! Nieważne, jak chcesz to nazwać. Pierdolone... kutasy! Gadające kutasy, nazywające się ludźmi! Kochasz mnie? Jasne, założę się. Założę się, że mnie kochasz!

Pomruk.

- Cóż, teraz to jestem ja. Już nie on, ja.

Pomruk.

- Nie wiem jak. Ale nawet gdybym wiedziała, nie mogłabym tego zrobić. Nie sama, Les! Nie... Nie pokonałabym sama całej drogi. Nie każ

mi. Nie kaź mi tego robić.

Pomruk.

- Nie.

Pomruk.

- Nie możesz. Nie kłam! Nie będę nawet miała nikogo, kto mógłby potrzymać mnie za rękę.

Pomruk.

Długa cisza.

Kale roześmiała się, a po chwili śmiech zamienił się w płacz.

- Nie zostawiaj mnie. Nie zostawiaj mnie, Les. Tak bardzo się boję.

I teraz po raz pierwszy usłyszałem jego odpowiedź.

- Ja odchodzę, Mimi. Podjąłem już decyzję. A ty nie utrzymasz się w tym ciele, nie beze mnie i pomocy pozostałych. Chodź teraz ze mną, albo później sama. To jedyny wybór jaki masz.

Kolejna długa cisza.

Covington stanął w drzwiach.

- Jesteś nam potrzebny - oznajmił.

W innych okolicznościach mógłbym zaprotestować na myśl o zagranii dwóm duszom jednocześnie: dopiero co zagrałem dwustu i wyszedłem z tego z nietkniętym umysłem, więc nie wydało mi się to aż tak trudne. Poza tym Covington nie chciał pełnych egzorcyzmów: jedynie odłączenia. Czegoś, co pozwoli im wyrwać się z ciał i poruszać swobodnie.

Ze wstydem jednak przyznam, że trochę potrwało, nim w mojej głowie zjawiała się muzyka. Tej nocy bardzo głęboko zaczerpnałem ze swego talentu i wciąż towarzyszyło mi dziwne poczucie oderwania, jak

oszołomienie po znieczuleniu. Covington zdjął więzy z rąk i tułowia Kale, usiedli razem na łóżku, obejmował czule jej ramiona - czy raczej ramiona Douga. Przywarła do niego tak mocno, że widziałem, jak zbieleły jej kostki. Oboje patrzyli na mnie bez słowa, jak skazani więźniowie czekający na wynik ostatniej apelacji.

W końcu zaryzykowałem i zagrałem pierwszy dźwięk. Gdy tylko go usłyszałem, zrozumiałem, że nie jest odpowiedni. Przytrzymałem go jednak, a potem zacząłem modulować w dół skali, aż w końcu namierzyłem coś, co sprawiało wrażenie ruchomego i żywego. Pozwoliłem kolejnym dźwiękom samodzielnie odnajdywać drogę przez otwór, niemal całkiem odsłonięty, kształtując je samym oddechem. To nie była melodia, jedynie chaotyczne zawrodożenie, udające muzykę.

Covington ucałował Myriam Kale w czoło Douga Huntera, wyszeptał coś, czego nie usłyszałem pośród dźwięków fletu, a potem zsunął się bokiem z łóżka. Kale wytrzymała parę chwil dłużej, po czym opadła ciężko na poduszki, jej zamykające się oczy zasnuła mgła.

Duch Covingtona był rozmazaną niewyraźną plamą, wiszącą nad ciałem - może to efekt uboczny kamuflażu ochronnego, który stosowali powstali zmarli z Mount Grace w czasach swej chwały, a może chodziło o to, że był tak cholernie stary i przez ostatnie sto lat przecierał sobie drogę w tak wielu różnych cielesnych domach. Może po prostu się zmienił i pozostała z niego jedynie esencja, minimalny znacznik ludzkiej postaci.

Kale natomiast była wspaniała. Wówczas po raz pierwszy ujrzałem to, czego zdjęcia nie zdołały uchwycić: energię i drapieżny wdzięk, które przyciągnęły tak wielu mężczyzn i sprawiły, że wielki Aaron Silver wpadł po uszy i zginął.

Dwie dusze - jedna boleśnie wyraźna, druga niemal nieobecna - złączyły się nad łóżkiem, a potem zaczęły falować, jak powietrze nad rozgrzanym asfaltem. Nigdy wcześniej nie widziałem czegoś podobnego: to były autoegzorcyzmy, świadoma, upragniona abdykacja. Kale uśmiechnęła się, gasnąc, ale też mały uśmiechają się, kiedy się boją, a w jej oczach dostrzegłem coś bliskiego ślepej grozie. Patrzyła na Covingtona - na człowieka, który urodził się jako Aaron Berg, a potem nosił tak wiele innych nazwisk - i wydało mi się, że jej twarz łagodnieje, znikając bez śladu z mojego pola widzenia.

Doug Hunter ocknął się po zaledwie kilku minutach. Bałem się, że mógłby wyciągnąć niewłaściwe wnioski, odkrywszy, że leży przywiązany do łóżka w obcym domu, a obok siedzi kompletnie nieznany mu facet, ale przynajmniej tą komplikacją nie musiałem się przejmować. Z początku był zbyt słaby i chory, by przejmować się tym, gdzie się znalazł. A potem wspomnienia powróciły z pełną siłą.

Peter Covington - zakładając, że tak pierwotnie nazywał się jasnowłosy - nie miał tyle szczęścia. Podobnie jak Maynard Todd, zbyt długo był tylko powłoką dla zmarłych z Mount Grace i uszkodziło go to znacznie głębiej. Leżał na podłodze, świadomy, lecz niezdolny do niczego. Jego wargi poruszały się bezdźwięcznie.

Pomogłem Dougowi się rozwiązać, a potem wstać.

- Gdzie jest... Jan? - wybełkotał.

- Czeka na ciebie w domu - poinformowałem. - Chcesz tam pójść teraz?

Spróbował coś powiedzieć, ale nie mógł ukształtować słów. Zamiast tego pokiwał głową.

- Nadal jesteś oskarżony o morderstwo, Doug. Pewnie lepiej by było, gdybyś się poddał, zamiast czekać, aż cię złapią i ściagną.

Znów pokiwał głową.

- Ju-jutro.

Pewnie. Zawsze jest jeszcze jutro.

Świat obracał się pod moimi stopami, a ja obracałem się wraz z nim.

W owym czasie wydarzenia te przepełniły mnie strachem, zdumieniem i czcią, lecz sami wiecie, jak to jest: po jakimś czasie i niezliczonych odtwarzaniach w pamięci tracą wiele ze swej niegdysiejszej mocy. Pewnie sami miewaliście podobne tygodnie.

Juliet, strzeżona przez Sue Book niczym przez rottweilera o czułym sercu, w ciągu paru tygodni niemal w stu procentach doszła do siebie. Ale w owym „niemal” kryje się cały skarbiec znaczeń. Moloch zranił ją na poziomie głębszym niż ciało, toteż ciało nie zdołało wszystkiego wyleczyć. Odmówiła dyskusji o szczegółach, a kiedy naciskałem, jak przystało na lubieżnego drania, wręczyła mi zaproszenie w ozdobnej, dziewczęcej kopercie ze srebrną obwódką. Przerwałem lekturę, dotarłszy do linijki UROCZYSTOŚĆ ZAWARCIA ZWIĄZKU PARTNERSKIEGO. Nadal mam nadzieję, że kiedy dojdę do nazwisk, będą należały do dwóch nieznanych mi osób.

Gary Coldwood także wyzdrowiał: przez sześć miesięcy pozostawał zawieszony, potem jednak przywrócono go do służby, bo stos dowodów świadczących o tym, że go wrobiono, stał się tak wysoki, że lada moment mógł się zawalić i zrobić komuś krzywdę - przy silniku jego samochodu ktoś majstrował, podobnie przy hamulcach. Miał otarcia po sznurach na rękach i rozwaloną górną wargę, po tym jak ktoś wmusił w niego alkohol znaleziono nawet odłamek szkła z butelki rumu „Bacardi” w podniebieniu.

Wykorzystał pół roku przymusowego urlopu i ukończył kurs kryminalistyczny. Teraz nie da się z nim normalnie porozmawiać, bo zawsze wcześniej czy później wspomni o krzepliwości, śladach pośmiertnych i gwiazdzistych ranach wlotowych. Ale nadal kuleje, ma blizny, a kiedy się spotykamy, w powietrzu między nami wisi coś niewypowiedzianego. Nie oczekuje przeprosin, w niczym by nie pomogły. Może będziemy się spotykać rzadziej i rzadziej, aż w końcu albo to coś odejdzie w niebyt, albo nasza przyjaźń.

Pewnego ponurego, wtorkowego popołudnia, chylącego się niebezpiecznie ku wieczorowi, w moim biurze w Harlesden zjawiała się Jan Hunter. Próbowwała zapłacić mi resztę umówionej stawki. Nie wyjąłem nawet rąk z kieszeni.

- Ja też czytuję gazety, Jan - powiedziałem. - Douga oczyszczono z zarzutu morderstwa, bo w końcu zdecydowali się przyjąć młotek jako dowód. Ale nadal dostał trzy lata za ucieczkę z więzienia. Nic mi nie jesteś winna.

- Wie pan dokładnie, jak wiele jestem panu winna, panie Castor - upierała się. - Ktokolwiek popełnił przestępstwo, to mój mąż odsiedzi wyrok i to mój mąż wyjdzie z więzienia - jeśli wszystko dobrze pójdzie, w przyszłym roku - a ja będę na niego czekać. Gdyby nie pan, może już nigdy bym go nie zobaczyła.

Wiedziałem, że to kłamstwo, ale trudno jej było wyjaśnić. Samotna Myriam Kale, bez wsparcia grupy z Mount Grace i comiesięcznych inskrypcji, wcześniej czy później i tak musiałaby opuścić ciało Douga. A jeśli nawet to, co zrobiliśmy, złagodziło szok i zmniejszyło potencjalne uszkodzenia, podziękowania należały się człowiekowi, który zmarł po raz

drugi, by do tego doprowadzić. Kazałem jej odłożyć pieniądze na drugi miesiąc miodowy: jeśli mądrze zainwestuje, może nawet będzie ich stać na intymny weekend w Clacton.

Długo trwało, nim przegryzłem się przez wszystkie akta zabrane z biura Maynarda Todda, lecz wstępny przegląd nazwisk był szybki i łatwy - choć na widok części z nich moje brwi uniosły się tak wysoko, że pokonały szczyt czaszki i zatrzymały się za uszami. Po pierwsze, znalazło się wśród nich paru ministrów obecnego rządu, szef ważnego związku zawodowego i prezesa trzech firm, o których słyszałem nawet ja.

Lecz największą niespodziankę stanowił ktoś inny. Zupełnie inne nazwisko sprawiło, że wyprawilem się na sam koniec linii Northern metra, pięć dni po tym, jak bomba wybuchła i jej echa zaczęły cichnąć.

Sąd numer jeden w Barnet tego ranka miał bogaty plan zajęć: nie przyglądałem się szczegółom, lecz z listy wynikało, że ma wymierzyć szybką sprawiedliwość imponującej liczbie ludzi. Jak to mówią, mniejsza o jakość, liczy się przebieg.

Usiadłem w tylnej ławce, starając się nie rzucać w oczy, ale coś wyraźnie gryzło czcigodnego pana Montague Runciego w jego czcigodny tyłek. Po pierwsze, nie wyglądał na kogoś w szczytowej formie: twarz miał bladą, jego czoło lśniło od potu, jakby trawiła go mocna gorączka. I co chwila zerkał na mnie na środek tylnego rzędu, za każdym razem z coraz większą irytacją. Walczył z tym jak mężczyzna w czasie pierwszej sprawy (włamywacz recydywista skazany na trzy lata), ale w drugiej (niezapłacony podatek gruntowy) nieco stracił wątek, a w trzeciej (niespłacone długi) był już wyraźnie wściekły. W końcu ogłosił półgodzinną przerwę i wymaszerował z sali tak szybko, że nie zdążyliśmy

nawet wstać i usiąść, nim trzasnęły za nim drzwi.

Po jakiejś minucie urzędnik sądowy od niechcienia przecisnął się na tył sali i spytał, czy zechciałbym odwiedzić wysoki sąd w jego pokoju. Odparłem, że z rozkoszą, i spytałem, czy mogę zabrać ze sobą pogrzebową urnę z brązu: w środku tkwiły doczesne szczątki mojego wuja George'a, z którymi trudno mi się rozstać.

Kiedy wszedłem, Runcie posłał mi wściekłe spojrzenie, ale zachował dość rozsądku, by odprawić urzędnika, nim się na mnie rzuci. Wykorzystałem tę sposobność i usiadłem po drugiej stronie szacownej, mahoniowej barykady jego biurka. Runcie stał, do tego stopnia sztywny z oburzenia, że lekko wibrował, niczym tracony kamerton. Naprawdę nie wyglądał najlepiej - bladość z szarawej stawała się woskowożółta.

- Jak pan śmie zabawiać się w gierki w sądzie? - rzucił, gdy tylko zostaliśmy sami, wskazując trzęsącym się palcem urnę. - Co to... ta rzecz ma znaczyć?

Przetarłem urnę ręką, bo brąz tu i ówdzie lekko zaśniedział.

- No cóż - wyjaśniłem - to przede wszystkim oznaka szacunku dla zmarłych, ale też coś, co pozwala żywym skupić swój żal. W przeciwnym razie można by po prostu spuścić prochy w kiblu, a pieniądze zużyć no...

- Proszę bez takich... bzdur - przerwał mi Runcie, cedząc słowa przez zaciśnięte zęby. - Czemu pan to tu przyniósł? Dlaczego mi pan to pokazuje?

- Ach. - Pokręciłem głową, na znak, że źle go zrozumiałem. - Tak, teraz chwytam. Nie chodzi o „co to, do diabła?”, ale „co to, do diabła, robi w moim sądzie?”. Cóż, panie R., to wielkie, potężne, kurewskie memento mori. Co, jeśli pana łacina nieco zardzewiała, znaczy...

- Wiem co to znaczy.

- „Pamiętka po śmierci, poruszające, przejmujące świadectwo ludzkiej śmierci...”.

- Wiem co to znaczy! - krzyknął Runcie. - Zabieraj to z mojego sądu, albo oskarżę cię o obrazę! Odsiedzisz trzydzieści dni, zrozumiałeś?

Z namysłem pomasowałem grzbiet nosa.

- Trzydzieści dni to bardzo długo - zauważyłem.

Runcie pokręcił głową, jego oczy błyszczały szaleńczo.

- O nie. Trzydzieści dni to moja wstępna propozycja, panie... jak tam panu jest. Carson? Carter? Znam cię. Wiem, co próbujesz zrobić. Nie możesz zastraszyć sędziego. Ale z pewnością możesz wpakować się w poważne kłopoty, jeśli spróbujesz.

Nawet nie odpowiedziałem. Zamiast tego odwróciłem urnę w jego stronę. Widoczne na niej nazwisko nie brzmiało Runcie, ale sprawiło, że jęknął i upadł ciężko na krzesło, w ciągu sekundy pozbawiony całej woli walki.

- Teraz - rzekłem lekko - wiemy, na czym stoimy. Ty na drodze wybrukowanej wyłącznie dobrymi chęciami, których nie wykorzystałeś. A ja na twoich jajach.

Runcie powiedział coś, nie do końca usłyszałem co, ale było w tym nazwisko z urny, a także jakiś protest czy zaprzeczenie. Ponownie obróciłem lekko powgniatane naczynie z brązu i przyjrzałem się tabliczce.

- John Colmore - odczytałem. - Alias Jack Spot, król Aldgate. To ty, prawda? Domyślam się, że byłeś jednym z wcześniejszych, i wcale nie najgorszych. Z tego co słyszałem, ściągałeś od żydowskich kupców z Mile End sporą kasę za „ochronę”, ale kiedy zjawiły się czarne koszule,

wkroczyłeś do akcji i faktycznie ich ochroniłeś, a to raczej rzadkie. I oczywiście od tego czasu bardzo nad sobą pracowałeś. Aaron Silver mówił mi, że część z was z przyczyn taktycznych skończyła studia prawnicze, ale proszę, proszę! Prawdziwy sędzia. Wygląda na to, że można jednak wyrwać się z rynsztoka.

Runcie posłał mi spojrzenie ociekające jadem, ale wybaczyłem mu, bo nie miał nic, czym mógłby je wesprzeć.

- Nie zrozum mnie źle, Jack - zakończyłem. - Osobiście nic do ciebie nie mam. Ale muszę dbać o moich bliskich, a w tej chwili, tak jak ja to widzę, stanowisz część problemu. Oto, co zatem zrobisz. Wydasz natychmiastową decyzję, zakazującą Jennie-Jane Mulbridge zabrania Rafiego Ditko z kliniki Stangera. Uznasz się także *ultra vires* w kwestii opieki prawnej i podrzucisz tę sprawę jednemu z kumpli z sądu apelacyjnego, naciskając dyskretnie tu i ówdzie, by rozstrzygnął na rzecz Pen Bruckner. Załatwisz to od razu, przy mnie. A potem może zechcesz zrobić sobie przerwę i wypić drinka, bo z pewnością na niego zasłużysz.

Runcie nadal patrzył na mnie wściekle, jakbym był kawałkiem łajna, wdeptanym w perski dywan.

- Nie da się kupić prawa, panie Castor.

- Nawet nie śmiałybym próbować - zaprotestowałem, unosząc ręce w geście urażonej niewinności. - Choć podejrzewam, że Jenna-Jane owszem. Ale to nie łapówka. To wymuszenie.

- Nie możesz mi grozić.

- Czyżby? Pozwól zatem, że coś ci opowiem. Jesteś duchem siedzącym w ciele, które, według mojego osądu - wybacz ten żarcik - zaczyna już cię odrzucać. Twój przyjaciele nie mogą ci już pomóc nad nim

zapanować: koniec z inskrypcjami, nie ma powrotu. Co pozostawia ci trzy możliwe wyjścia. Zaśpiewaj ze mną, jeśli znasz słowa. - Zaczęłam odliczać na palcach. - Pierwsze. Trzymasz się go desperacko, rozkoszując się każdą sekundą cielesnego istnienia, aż w końcu ostatecznie stracisz oparcie i odpłyniesz w wieczność jak balon, któremu odcięto sznurek. Drugie - najbardziej ryzykowne - wypuścisz. Odejdiesz teraz, póki wciąż jesteś silny, zamiast marnować siły na walkę, której nie możesz wygrać. Znajdziesz sobie świeże gniazdko w trupie albo psa do remontu. Powrócisz jako zombie albo *loup-garou*, by doczekać kolejnego dnia. Jeśli się na to zdecydujesz, mogę nawet udzielić ci pewnych wskazówek. Parę razy miałem do czynienia z wypożyczonym ciałem. Ale istnieje też wyjście numer trzy. Jesteś gotów na numer trzy?

Runcie ukrywał twarz w dłoniach, nie dawał żadnych oznak, że moje słowa do niego dotarły, ale wiedziałem, że słucha.

- Oto trzy. Wkurzysz mnie, a ja zagram ci krótką, wesołą melodię. I to będzie koniec, Jack. Tu i teraz. Bo jestem krupierem z piekła rodem i znam twoje karty. A niektórzy moi przyjaciele zginęli, bo niektórzy twoi przyjaciele woleli strzelać, nim ktokolwiek zada im jakieś pytania. Więc nie jestem ci nic, kurwa, winien. Nawet jednej, drobnej przysługi.

Wstałem.

- Wybór należy do ciebie. A ponieważ jestem dziś w radosnym, szczodrym, promiennym nastroju, dam ci czas, póki nie dotrę do drzwi.

Według moich standardów można to uznać za szczęśliwe zakończenie. Zamknąłem sprawę, i uszedłem z niej z życiem - co, jeśli spojrzeć w statystyki, lokuje mnie w kilku górnych procentach. Rafi, przynajmniej na razie, był bezpieczny przed ciekawością naukową Jenny-Jane: mógł się odprężyć i rozpakować w swej wyściełanej celi dla dwojga. A to z kolei zyskało mi znowu życzliwość Pen do tego stopnia, że była w stanie rozmawiać ze mną całe kilka minut. Miałem nawet podstawy liczyć, że się złamie i znów pozwoli mi zamieszkać na strychu, kiedy Ropey Doyle wróci z Irlandii ze śnieżnobiałą opalenizną i mocniejszym akcentem.

Cnotliwi dostaną nagrodę w Królestwie Niebieskim. Reszta z nas, biednych sukinsynów, musi się zadowolić tym, co zdoła wskrobać dla siebie na ziemi.

Czasami, w wolnych chwilach, powracam myślami do mojego dzieciństwa w Walton w Liverpoolu. Latem, podczas upałów, chodziliśmy w miejsce zwane Sisters. Była to seria lejów po bombach na rozległym pustkowiu obok zamkniętej linii kolejowej. Większe leje z czasem napelniły się wodą i zamieniły w stawy. Nawet w najgorętszy dzień lata woda w owych stawach była lodowato zimna. Wsuwało się do niej nogę, potem głośno klęło i cofało ją do wtóru drwin dzieciaków, które albo już weszły, albo nie miały zamiaru próbować. Człowiek wchodził zatem trochę głębiej, i znów głębiej - najpierw stopa, potem łydka, kolano, biodro - a lodowate zimno wgryzało się w nogi z morderczą zaciętością.

Potem zimna woda lizała ci brzuch i robiło się jeszcze gorzej. Miałeś nadzieję, że przywykniesz, ale im głębiej wchodziłeś, tym bardziej bolało. Aż w końcu zanurzałeś się po ramiona i - ni z tego, ni z owego - robiło się świetnie, chłodnie, odświeżająco, wspaniale. A co najlepsze, mogłeś śmiać się z innych, biednych drani, którzy nadal pozostawali na etapie zanurzania stopy. Zawsze zazdrościłem nielicznym twardzielom, którzy po prostu rozpędzali się, wpadali do wody zwinięci w kłębek i prostowali się ze śmiechem już po wszystkim, załatwiając całą stopniową mękę w jednej chwili czystej, nieskażonej odwagi.

Oto, do czego zmierzam. Dobra, może w grobie jest faktycznie zimno. Może wychodzimy ze światła, myśląc: „Ja pierdolę, jest źle. Gorzej niż kiedykolwiek sądziłem”. Ale cała sztuka polega na tym, by zacisnąć zęby, rozpędzić się i zanurkować.

Kiedy trafię do krainy, z której nie wraca żaden podróżny, zamierzam zrobić to w biegu. Założę się, że pierwsze dziesięć sekund będzie najgorsze.